

# Demon

Varley John

Książka III z Tytan



calibre 0.9.43

John Varley

DEMON

Przełożyła Katarzyna Karłowska

Wydanie polskie: 1993

Wydanie angielskie: 1984

Książka ta jest dedykowana:

Iruingowi Thalbergowi, za pychę;

Władowi Draculi, Wojewodzie na Palach, za pomysł;

oraz Edwardowi Tellerowi, za kontekst.

PROROCTWO

Do roku 2024 dzięki kinu zostanie rozwiązany jeden z najważniejszych

podstawowych problemów - z powierzchni cywilizowanego świata znikną konflikty zbrojne.

Z pomocą uniwersalnego języka ruchomych obrazów na całej Ziemi zostanie ustanowione prawdziwe braterstwo ludzi... Wszyscy ludzie rodzą się równi.

D.W. Griffith, 1924 (Reżyser "Narodzin narodu", adaptacji powieści "The Klansmen")

Muzyka zawsze będzie głosem niemego dramatu. Nigdy nie powstaną filmy dźwiękowe.

D.W. Griffith, 1924

W porządku, D.W., przeczytaj to...

KRÓTKI METRAŻ

Przez głupotę wpakowaliśmy się w ten bigos - dlaczego ona nie może nas z niego wyciągnąć?

Will Rogers

Wkrótce na ekranach

Pierwszy w dolinie pojawił się poszukiwacz plenerów.

Jak większość stworzeń, których genetyka była w całości wymyślona przez Gaję,

poszukiwacz nie posiadał płci. Nie miał też ust, ani narządów trawiennych, był za to wyposażony w parę kameropodobnych oczu i nieprawdopodobnie rozwinięty zmysł orientacji przestrzennej.

Donośnie jazgocząc wrzecionowatymi rotorami, poszukiwacz przeleciał nad doliną,

zawisł nieruchomo, a potem powoli zawrócił. U podnóża dwudziestometrowego klifu

wypatrzył wartko płynącą rzekę, a na jego szczycie duży płaskowyż, obrośnięty drzewami w ilości znacznie przekraczającej potrzeby naciągającej Ekipy. Niczym kociak, który znajduje miskę z mlekiem, poszukiwacz poczuł, jak przepelnia go błogie zadowolenie. Plener był

idealny.

Przeleciał ponad drzewami, spryskując je feromonem wabienia. Potem kilkakrotnie

okrążył płaskowyż i obsypał go zarodnikami. Gdy poczuł, że ogarnia go zmęczenie,

wylądował na skraju. Jego rotor usechł i odpadł. Poruszał się teraz na długich, pierzastych odnóżach. Co sto kroków zatrzymywał się i przy pomocy spiczastego organu wyrastającego z brzucha sadił w ziemi ziarno.

Ostatkiem sił dotarł do drzew i tam umarł.

Po upływie dwudziestu obrotów płaskowyż pokryły metrowe krzewy. Pas otaczający

teren porosły drzewa klieg. Miały już po dwadzieścia stóp wysokości i wydłużały się w tempie dwóch metrów na obrót.

Po upływie czterdziestu pięciu obrotów po śmierci zwiadowcy przybyła ekipa

przygotowawcza złożona z cieśli, woźniców i winiarzy. Cieśle byli bezwłosymi zwierzakami wielkości niedźwiedzi grizzli, różniącymi się między sobą wyłącznie ekstrawagancko ukształtowanym uzębieniem. Niektórzy posiadali siekacze takie jak bobry i byli zdolni kilkoma ugryzieniami powalić drzewo. Inni mieli jeden wystający, dwumetrowy ząb,

pokarbowany na krawędziach, którym cięli surowe drewno na belki i deski. Byli też cieśle obdarzeni zębami trapezoidalnymi. Potrafili tak obgryźć koniec deszczułki, że powstawał

trzępień, gotowy do połączenia z innym elementem. Jeszcze inni mieli zęby w kształcie świdrów. Energicznymi ruchami głów wywiercali otwory na trzępienie.

Na Gai grupę czterdziestu cieśli nazywano wspólnotą.

Cieśle mieli dłonie podobne do ludzkich, z tym że każdy palec był wyposażony w

paznokieć o innym kształcie, przeznaczony do wykonywania różnych czynności. Natomiast wnętrza ich dłoni były tak zróżnicowane, jak ludzkie linie papilarne. U jednych twarde i zrogowaciałe, u innych poryte głębokimi bruzdami lub deseniem, albo wreszcie gładkie niczym jubilerska ściereczka. Dzięki takim dłoniom cieśle mogli heblować i szlifować drewno, osiągając zdumiewającą gładkość powierzchni. Odległość między końcem kciuka a końcem małego palca u każdego cieśli wynosiła dokładnie tyle samo: pięćdziesiąt

centymetrów.

Po upływie niewielu obrotów pojawiły się pierwsze zarysy przyszłych estrad, studiów dźwiękowych, budynków archiwów i dziesiątek kaplic.

Winiarze byli stworzeniami służącymi tylko do jednego celu: opanowywali plener, a

tam pożerali kiście małych białych winogron. Rośliny, które rodziły te owoce, winoroślami wprawdzie nie były, ale wydawały z siebie winogrona. Winiarze wyjadali je do ostatka, po czym zapadali w stan odrętwienia, z którego już nigdy się nie budzili. Jednakże po upływie trzydziestu obrotów odciągano z nich wyśmienite białe chablis.

O ile związek cieśli mieścił się jeszcze jakoś w przyjętych normach, woźnice byli czymś zupełnie niesamowitym.

Przypominali nieco hipopotamy, ale rozmiarami pięciokrotnie przewyższali słonie.

Byli lądowymi wielorybami drobiącymi na sześciu odnóżach wystarczająco grubych, by mogli się utrzymać w niskiej grawitacji Gai. Do doliny przybyło ich trzech i z miejsca zaczęli zjadać rośliny, które wyrosły z zarodników wysianych przez poszukiwacza plenerów.

A rosło tam wiele gatunków roślin. Każda odmiana wędrowała do innego żołądka.

Każdy z woźniców posiadał jednaście oddzielnych systemów trawiennych.

Po oczyszczeniu pola woźnice odchodzili na bok i padali na ziemię, pogrążając się w śpiączce jak winiarze. Ich odnóża drgały przez chwilę, po czym zmieniali się w baniaste pęcherze pokryte szeregami wypustek o oszłamiających kształtach i barwach. Tym

zwierzakom otwory gębowe zostawały na dłużej. Gdy dana budowa dobiegała końca, zjadały wspólnotę cieśli.

Gaja zawsze dbała o higienę swoich przedsięwzięć.

Jednak wszystko ruszyło dopiero wtedy, gdy do akcji powoli wkroczyła ekipa filmowców.

Pojawiły się hordy małych i płochliwych boleksdw, które bezmyślnie miotały się na wszystkie strony i bezpłodnie terkotały szpulami, zbyt głupie, by wiedzieć, że trzeba im założyć nowy film. Na widok woźniców zaczynały się bić o dostęp do ich wymion, niczym prosiaki tłoczące się u brzucha zmęczonej maciory. Wydawały przy tym pisk, brzmiący mniej więcej jak: mijt! mijt! mijt!

Tuż za nimi pojawiły się arrifleksy, którym towarzyszyli producenci, a po nich majestatyczne panafleksy, każdy ze swoim głównym producentem. Gatunki zajmujące się produkcją nie miały nic do roboty, natomiast ich fotofaunalni sym-bionci obżerali się azotanem srebra, piroksyliną i innymi związkami chemicznymi, które wędrowały do

odpowiednich zbiorników. Wszyscy producenci wyglądali mniej więcej tak samo, różnili się tylko rozmiarami. Główni producenci byli najwięksi i tylko oni dysponowali głosem. Od czasu do czasu, z powodów, które miały niewiele wspólnego z porozumiewaniem się, któryś z nich pomrukiwał: uncz, uncz.

Kiedy boleksy, arrifleksy i panafleksy już się najadły, na teren budowy zaczęli napływać następni członkowie Ekipy, wymijając cieśli, którzy wykańczali wszystkie prace paznokciami, precyzyjnymi jak szwajcarskie zegarki. Słysząc było gęganie

dwudziestometrowych ramion mikrofonowych, brodzących uroczyście w tym chaosie niczym bociany. Grupy pomocników operatorów świateł i inspicjentów błyskawicznie rozbiegały się na wszystkie strony, kierując innych na stanowiska pracy. Malarze wysysali barwniki i farby z woźniców, po czym rozsmarowywali je po drewnie długimi perforowanymi ogonami.

Przybywały słonie, ciągnąc łomoczące wozy pełne kostiumów, rekwizytów, dywanów, szminek teatralnych i przenośnych przebieralni. Były to prawdziwe ziemskie słonie, wyhodowane z importowanej rasy. Grawitacja na Gai sprawiała, że słonie nie poruszały się ociężale, lecz harcowały, giętkie i swawolne jak koty.

Pandemonium nabierało kształtu.

Przedostatnie weszły humanoidy, androidy, homunkulusy oraz kilka prawdziwych istot ludzkich, co było sygnałem, że niebawem pojawi się we własnej osobie Sama Pani Reżyser.

Niektóre z tych hybryd, które pochodziły od ludzi bądź zostały stworzone w oparciu o ludzkie cechy, były aktorami, inne zwykłymi statystami. Kręciły się wśród nich powłóczące nogami mary, do których wstręt czuły chyba nawet bezmózgie twory. Pojawiło się nawet kilka gwiazd. Luter wpadł gwałtownie, z ogniem w oszalałych oczach, i zabrał swych apostołów prosto do oddzielnej kaplicy. Brigham i jego chłopcy wjechali konno, ale przekonali się, że ich świątynia jeszcze nie jest gotowa. Zewsząd padały oskarżenia i mnożyły się gwałtowne wybuchy gniewu. Pojawiła się Marybaker, po niej Elron. Krążyły pogłoski, że w sąsiedztwie znajduje się Billy Sunday, a może nawet sama Kali. Zanosilo się na niezły festiwal.

Kiedy wszystkie boleksy, arrifleksy i panafleksy skończyły jeść, przyłączał się do nich odpowiedni producent i odtąd

funkcjonowali jako jedna całość. Przedstawiciele fotofauny, podobnie jak producenci, z wyjątkiem wzrostu, byli do siebie tak podobni, że każdy z nich mógł posłużyć za model pozostałych. Cechą wyróżniającą u panafleksów był rozmiar pojedynczego, szklanego oka i szerokość horyzontalnego odbytu, która wynosiła dokładnie siedemdziesiąt milimetrów.

Panafleksom kierowało tylko jedno pragnienie: kadrować. Dla kadrowania byli gotowi na wszystko - ujeżdżali helikoptery, zawisali na ramionach mikrofonowych, przepływali wodospady w beczce. Powoli namierzali wszystko swym nieruchomym okiem i kiedy ujęcie było gotowe, kręcili film. Gdzieś w ich wnętrzościach mieszały się pod wielkim ciśnieniem: bawełna strzelnicza, kamfora i inne dziwaczne substancje, aby utworzyć celuloidową taśmę, powleczoną fotore-akcyjnymi chemikaliami, pozwalającymi uzyskać kolorowy negatyw.

Taśma przesuwiała się za okiem panafleksa i podlegała ekspozycji w oddzielnych ramkach, dzięki naciągowi kości i mięśni oraz mechanizmowi zapadkowemu, który z pewnością nie był obcy Edisonowi.

Producent dosiadał grzbietu panafleksa i wpatrzony w jego zad oczekiwał na wyłonienie się filmu, który potem zjadał. Aby uniknąć prześwietlenia, wymagało to oczywiście bliskiego kontaktu. Producenta to jednak nie zrażało, ponieważ odczuwał nieprzerwany głód filmu. Po zjedzeniu filmu wywoływał go, a potem obrabiał.

Podczas defekacji stworzenia te stawały się gotowym projektorem i dlatego właśnie Gaja nazywała je producentami.

Minęło sześćdziesiąt obrotów od czasu, jak poszukiwacz odkrył ten plener i stwierdził, że jest dobry. Agenci prasowi i spece od reklamy powracali z polowań w lasach, obładowani łupami. Były to stworzenia przypominające małpy: jedyne dwa gatunki drapieżne, jakie kiedykolwiek stworzyła Gaja. Gai nie udawały się drapieżniki. Spec ledwie dałby sobie radę w afrykańskiej dżungli. Jednakże na samej Gai większość ofiar nie potrafiła zbyt rączo uciekać, głównie dlatego, że nie było takiej potrzeby. Nie trzeba było tropić, ani nawet zabijać śmieszków, zasadniczego źródła mięsa, ponieważ one

w ogóle nie biegały. Można było zdzierać z nich płaty mięsa, nie czyniąc im

najmniejszej krzywdy. Podczas przygotowań do pierwszej uczy w kantynie zaskwierczało na tłuszczu wiele steków ze śmieszka, które podano później na długich stołach nakrytych nieskazitelnie białymi obrusami i zastawionych wielkimi kryształowymi dzbanami pełnymi chablis. W oczekiwaniu na przybycie Gai nad całym placem budowy zaległa pełna napięcia cisza, przerywana jedynie ciągłym mijt, mijt, miiijjt podnieconych boleksów, które przepychały się, aby zająć lepsze miejsce.

Ziemia zaczęła się trząść. Gaja nadchodziła od strony lasu. Kiedy jej głowa pojawiła się ponad koronami drzew, zgromadzeni kapłani wydali pełne czci westchnienia.

Gaja miała piętnaście metrów wzrostu. Lub jak wołała to ujmować: “pięćdziesiąt stóp, całe dwa, błękitne oczy ma”.

Były one rzeczywiście błękitne, choć skrywała je para największych okularów

słonecznych, jakie kiedykolwiek skonstruowano. Była platynową blondynką. Nosila na sobie tyle ciężkiego płótna, ufarbowanego na niebieski kolor, ile wystarczyłoby na takielunek dla hiszpańskiego galeonu. Tę sięgającą do kolan suknię wykroili i uszyli dla niej rzemieślnicy wyrabiający namioty. Na nogach miała mokasyny wielkości szerokodennych canoe. Z twarzy i sylwetki nieodparcie przypominała Marilyn Monroe.

Zanim dotarła do polany, zatrzymała się i otaksowała wzrokiem wszystkich swoich

poddanych oraz ich dzieła. Po chwili skinęła głową: była zadowolona. Gdy światła na drzewach klieg zwróciły się w jej stronę, wydatne wargi rozchyliły się w uśmiechu, odsłaniając równe białe zęby wielkości płytek łazienkowych. Szpule wszystkich boleksów i arrifleksów zaterkotały z podziwem.

Wybudowane dla niej krzesło ugięło się hałaśliwie pod jej ciężarem. Jej wszystkie

ruchy wydawały się spowolnione. Mrugnięcie powieką zdawało się trwać sekundę.

Panafleksy nauczyły się sprytnie przyspieszać taśmę, dzięki czemu wydawało się, że Gaja porusza się z normalną prędkością, podczas gdy jej słudzy pomykali prędko jak myszy.

Garderobiani wdrapali się na drabiny stojące za jej krzesłem, uzbrojeni w grabie

służące do czesania włosów, wiadra lakieru do paznokci i puszki tuszu do rzęs. Gaja ignorowała ich; do obowiązków garderobianych należało przewidywanie jej ruchów - co nie zawsze im się udawało. Spojrzała na ogromny ekran ustawiony naprzeciwko jej krzesła.

Objazdowy Festiwal Filmowy Pandemonium miał się właśnie zacząć. Drzewa klieg

poczerniały, odwróciły się, a w całej dolinie pociemniało. Gaja odchrząknęła - co

przypominało odgłos silnika diesla - a potem przemówiła kobiecym głosem. Bardzo głośnym, lecz jednak kobiecym.

- Puszczajcie - powiedziała.

Kronika filmowa

Powszechnie wiadomo, że piąta wojna światowa zaczęła się w wadliwej, wartej

zaledwie dwadzieścia centów, Molekularnej Matrycy Obwodowej nowo zainstalowanego

komputera wojskowego, znajdującego się na głębokości czterech mil pod górą Cheyenne w Wyoming.

Śledztwo ostatecznie doprowadziło do mieszkania trzy-dziesięcioośmioletniego Jacoba

Smitha, zamieszkałego w Salt Lake City, 3400 Tempie. To właśnie Smith testował MMO i pozwolił, aby ją zainstalowano w Zachodnim Bioelektrycznym Szeregu Mózgowym Marka

XX “Archanioła”. Archanioł zastąpił wówczas przestarzałego Marka XK w funkcji obrony Terytorium Noworeformowanych Świętych Ostatnich Dni, powszechnie znanego jako

“Ziemie Normandzkie”.

Był to taki sam apokryf jak opowieść o krowie pani O’Le-ary. Przeciek dotarł jednak do pewnego gorliwego, młodego reportera pracującego dla jednej ze światowych sieci prasowych i tak stał się tematem wiodącym w nocnym serwisie informacyjnym: “Piąta Wojna Światowa: Dzień Trzeci”. Piątego Dnia Jake Smith pojawił się znowu w wiadomościach po tym, jak żądny krwi motłoch wywlekł go z siedziby policji i powiesił na latarni na Placu Tempie, w odległości zaledwie trzydziestu jardów od pomnika innego sławnego Smitha, nie będącego jednak żadnym jego krewnym.

Przed upływem Dnia Szesnastego w wiadomościach pokazywano historyków, którzy debatowali nad tym, czy obecne nieporozumienie należy nazwać III, TV, czy V Wojną

Światową, Czwartą Wojną Atomową czy też Pierwszą Wojną Międzyplanetarną.

Istniały powody, aby obstawać przy określeniu “międzyplanetarna”, ponieważ

podczas pierwszych dni kilka osad z Księżyca i Marsa sprzymierzyło się z niektórymi frakcjami ziemskimi, a parę kolonii La Grange zaczęło nawet ukradkiem organizować

wspólną politykę zagraniczną. Jednakże do czasu powieszenia Jake’a Smitha wszyscy

pozaziemcy zdążyli zadeklarować neutralność.

Ostateczną decyzję podjął analityk z sieci logoprojektów w jednym z biur

Konfederacji Wschodnio-Kapitalistycznej, znajdującym się przy Szóstej Alei w Nowym Jorku. Z dnia na dzień arbitrony dla liczebnika V przybrały wysokie wartości pozytywne. V

wyglądało seksownie i mogło być skrótem od “Viktoria”, więc ostatecznie przyjęto nazwę V

Wojna Światowa.

Następnego dnia Szósta Aleja wyparowała.



Serwisy światowe oprzytomniały. Przed nadejściem Dwudziestego Dziewiątego Dnia

wszystkich nękało pytanie: Czy to jest TO? Pod słowem "to" kryły się takie pojęcia, jak Holocaust, Czterech Jeźdźców, Ostatni Bój, Zagłada Gatunku Ludzkiego. To była trudna kwestia. Nikt nie chciał jednak niczego ostatecznie rozstrzygać, bowiem wszyscy pamiętali jajka rozbite na jakże licznych głowach tych, którzy krakali o końcu świata po wybuchu Przegranej Wojny. Niemniej jednak wszystkie sieci prasowe obiecywały, że to one będą podawać najświeższe wiadomości.

Nikt się nie zdziwił, że wojna jest wynikiem usterki technicznej. Atak Terytoriów

Normańskich na Cesarstwo Birmańskie był oczywistą pomyłką. Obie walczące strony nie miały do siebie absolutnie żadnych pretensji. Jednakże

wkrótce potem, jak zawiodła MMO w Wyomingu, Birmań-czycy mieli już wiele powodów do gniewu.

Krążący na niskiej orbicie satelita Moroni VI dotarł w pobliże Tybetu, odpalił

wielogłowicowe pociski raketowe na wysokości pięćdziesięciu mil nad Singapurem i

rozpoczął odwrót. Wszystkie sześć głowic rozrzucało za sobą makiety pozorujące, a

poprzedzało je dwadzieścia podobnych, choć nieszkodliwych pocisków raketowych, których zadaniem było ściągnąć na siebie pociski antyraketowe i lasery. Birmański komputer ledwie zdołał wykryć nadlatującą horde i wyciągnąć wniosek, że Moroni VI atakuje co najmniej dwanaście celów na powierzchni ziemi. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy kończył

obliczenia, trzydzieści mil ponad powierzchnią Nowej Południowej Walii eksplodowały głowice o mocy dziesięciu megaton. Gwałtowne promieniowanie gamma wytworzyło impuls elektromagnetyczny, czyli IEM, który zniszczył wszystkie telefony, ekrany, przekaźniki i elektryczne pastuchy od Woodmery po Sidney i sprawił, że kanalizacja w Melbourne zaczęła działać w odwrotną stronę.

Potentat Birmański był człowiekiem zawziętym. Jego doradcy próbowali przekonać

go, że gdyby Salt Lake City rzeczywiście dążyło do wojny, wtedy taktyce polegającej na użyciu IEM powinna towarzyszyć bezpośrednia inwazja. On jednak przebywał podczas ataku w Melbourne. Wcale się dobrze nie bawił.

Po dwóch godzinach Provo w Utah zmieniło się w radioaktywny gruz, a lunapark w

Boneville przestał istnieć.

To nie wystarczyło. Potentat nigdy nie potrafił rozróżnić jednej religii Zachodu od drugiej, więc nie chcąc się pomylić, odpalił pocisk raketowy w stronę Mediolanu w Stanach Watykańskich.

W Bazylice Świętego Piotra odbyło się posiedzenie Rady Papieży. Nie w tej starej, którą wyburzono, aby stworzyć miejsce pod budowę bloku mieszkalnego, lecz w nowej, znajdującej się na Sycylii, zbudowanej ze szkła i plastiku. Obradowali przez pięć dni.

Szóstego "Trybuna papieska" wydrukowała Bullę Papieską, mocą której w stronę Bangkoku poleciała głowica bojowa "Gabriel".

Papieżyca Elaine nie ogłosiła natomiast innej rezolucji, rezolucji, którą sformułował podczas trwania posiedzenia wi-cepapież Watanabe.

- Skoro mamy zamiar uderzyć na I.B. - rzekł Watanabe - to czemu "przypadkiem" nie mielibyśmy posłać jednego z tych rozpieprzaczy na B.R.K.?

I tak, wkrótce potem jak naziemny wybuch jednej mega-tony zrównał z ziemią

Bangkok, na przedmieścia Potchef-stroom w Burskiej Republice Komunistycznej spadł drugi "Gabriel". Wydawało się mało ważne, iż zamierzonym celem miał być rzekomo Johannesburg.

Tak więc VWŚ, bo takiego skrótu zaczęto niebawem używać, zaczęła się toczyć

ruchem wahadłowym, jako że wszystkie strony oczekiwały po kolei, aż ten czy inny kraj przypuści ów totalny szturm, który na wiejskich jarmarkach, festynach i pokazach ogni sztucznych nazywa się strzałem z grubej rury. Spodziewano się, że na bojowe jednostki wojskowe, gęsto zaludnione ośrodki oraz miejsca wydobywania surowców naturalnych spadnie zwarta lawina pocisków nuklearnych, a po niej wszelkie możliwe zarazki i śmiertelne chemikalia. Na początku wojny taki atak przypuścić mogło pięćdziesiąt osiem narodów, ugrupowań religijnych, partii politycznych i innych ludzkich wspólnot.

Zamiast tego bomby spadały z częstotliwością jednej na tydzień. Z początku

wyglądało na to, że robił to każdy, kto chciał, lecz po trzech miesiącach sojusze

ustabilizowały się zgodnie z zadziwiająco tradycyjnymi podziałami. Sieci prasowe zaczęły nazywać strony Kapitalistycznymi Świniami i Komuchami. O dziwo Normanowie i

Birmańczycy stanęli ostatecznie po tej samej stronie, Watykan po przeciwnej. Awanturników było wprawdzie więcej - dziennikarze wszystkim nadawali określenia, gdy ujawniali się co jakiś czas i kopali gigantów w gołe. Jednak, ogólnie rzecz biorąc, wojna wkrótce zaczęła przypominać ten rodzaj bójek, które tak bardzo lubili Rosjanie podczas Pierwszej Wojny Atomowej. Kompletnie napompowani wódką, kolejno bili się nawzajem po twarzach, dopóki w końcu któryś nie zwał się z nóg.

Rekord w takiej bójce padł w 1931 roku i nigdy potem nie został pobity, kiedy to dwóch towarzyszy okładało się przez trzydzieści godzin.

Ponieważ tygodniowo spuszczano jedną pięciomegatonową bombę - czyli około jednej kilotony na minutę - szacowano, że ziemskie zapasy broni nuklearnej starczą na osiemset lat.

Conal "Żądło" Ray był Kapitalistyczną Świnią. Podobnie jak jego koledzy zasadniczo się tym nie przejmował, ale mimo to wolał nazywać samego siebie Kanadyjskim Bekonem.

Jako obywatelowi Dominium Kanadyjskiego, najstarszego kraju na Ziemi, Conalowi

nie groził pobór do wojska, a przemienienie się w obłok pary w znacznie mniejszym stopniu niż większości ludzi. Żaden kraj nie zajmował się poważnym organizowaniem armii. Wojna nie wymagała już udziału większej liczby ludzi. A na Dominium spadła tylko jedna bomba.

Trafiła w Edmonton i Conal zauważył to właściwie tylko dzięki temu, że drużyna Oilersów przestała się pojawiać na meczach Kanadyjskiej Ligi Hokejowej.

Nigdy nie dotarło do Conala, że Kanada była niegdyś znacznie większym krajem, a

jeśli nawet ktoś mu to kiedyś oznajmił, to fakt ten nie zainteresował go na tyle, aby go zapamiętać. Kanada zwykła się poddawać i dzięki temu przetrwała. Najpierw utraciła Quebec, potem Kolumbię Brytyjską, która stała się częścią Terytorium Normañskiego.

Ontario również uzyskało niepodległość, Kraje Nadmorskie zostały przejęte przez EWG, a większość południowej Manitoby i Saskatchewanu przeszła w posiadanie General Protein, państwa-korporacji. Okrojona Kanada, ze stolicą w Yellowknife, gnieździła się teraz między zachodnimi brzegami Zatoki Hudson i podnóżkami Gór Skalistych. Conal mieszkał na

przedmieściach Fort Reliance, w dystrykcie zwanym Ar-tillery Lake. Fort Reliance miał pięć milionów mieszkańców.

Conal od dzieciństwa wyrabiał w sobie dwie pasje: hokej i słuchanie komiksów. W

hokeja grał fatalnie, bo był po prostu zbyt gruby i wolny. O jego udziale w meczu zazwyczaj decydowano na samym końcu, a kiedy już grał, stawiano go

w bramce, bo teoretycznie trudno jest wstrzelić krążek do bramki, w której stoi ktoś tak opasły.

W dniu jego czternastych urodzin jakiś chuligan rzucił mu śniegiem w twarz i Conal odkrył wtedy nową pasję: kulturystykę. Ku zdziwieniu zarówno swojemu, jak i innych był w tym piekielnie dobry. Zanim ukończył szesnaście lat, miał szansę zostać Mr Canada. Udatnie naśladując Charlesa Atlasa, odszukał tamtego chuligana i wepchnął go do przerębli w lodzie pokrywającym pobliskie jezioro. Nikt już nigdy łobuza więcej nie zobaczył.

Imię "Conal" w języku celtyckim oznacza "wysoki i silny". Conal nabrał przekonania, że jego matka nadała mu właściwe imię, chociaż miał zaledwie pięć stóp i osiem cali wzrostu.

Pani Ray odziedziczyła ponadto jeszcze coś po swych przodkach, coś co spowodowało, że Conal uległ czwartej namiętności.

Dlatego właśnie, w 294 Dniu Wojny, kiedy ukończył osiemnaście lat, zabrał się

porannym kursem na sanie, które dowiozły go do międzyplanetarnego portu Cape Churchill, i tam wsiadł na statek lecący na Gaję.

Z wyjątkiem podróży do Winnipeg Conal nigdy przedtem nie wyjeżdżał z Kanady. Ta

wyprawa trwała dość długo: Gaja znajdowała się w odległości prawie miliarda mil od Artillery Lake. Bilet był drogi, ale George Ray, ojciec Conala, przestał już stawać na przeszkodzie zachciankom swego syna. Przez trzy lata chłopiec nie robił nic, tylko jadł, grał

w hokeja i dźwigał ciężary, pomyślał więc, że to dobrze, że się trochę ruszy. Miliard mil brzmiało całkiem nieźle.

Saturn zrobił na Conalu obłędne wrażenie. Jego pierścienie wyglądały na tak twarde, że dałoby się po nich jeździć na łyżwach. Obserwując, jak statek dokuje przy ogromnej, czarnej masie Gai, wyciągnął swój najstarszy komiks, zatytułowany "Złote ostrza". Była to opowieść o małym chłopcu, który dostał od złego czarownika parę magicznych łyżew, i o tym, jak się uczył na nich jeździć. Na samym końcu chłopiec - który również nosił imię Conal

- opanował wreszcie jazdę na tych łyżwach po mistrzowsku i potężnym kopniakiem zrąbał

czarownikowi głowę. Conal postukał palcem w linie dźwiękowe obramowujące ostatnią

tablicę, usłyszał znajomy chrzęst rozłupywanej czaszki czarownika i zapatrzył się na krew i obrzydliwe cząstki mózgu rozlewające się po stronicy książki.

Conal wątpił, by potrafił zabić Czarodziejkę swymi łyżwami, choć na wszelki

wypadek zabrał je z sobą. Marzył natomiast o tym, by pokonać ją gołymi rękoma. W

przyptywie bardziej praktycznego podejścia do życia zabrał z sobą również pistolet.

Jego ofiarą miała być Cirocco Jones, były kapitan Statku Kosmicznego Dalekiego

Zasięgu "Ringmaster", ongi Dowódca Dywizjonu Aniołów, Zadnia Matka Tytanii sub rosa, niegdyś Wielka i Potężna, lecz od dawna już zdymisjonowana Czarodziejka Gai, zwana teraz Demonem. To ją miał zamiar teraz wepchnąć do przerębli.

Conal szukał Cirocco Jones przez cały miesiąc. Stało się tak po części dlatego, że Demon nie miał ochoty dać się znaleźć, choć aktualnie nie uciekał przed niczym

szczególным. Innym powodem, dla którego trwało to tak długo, był fakt, że Conal, jak wielu przed nim, nie doceniał Gai. Wiedział, że Świat/Bóg jest wielki, ale nie dopasował liczb do prawdziwych rozmiarów terytorium, które musiał przeszukać.

Wiedział, że Jones można było zazwyczaj spotkać w towarzystwie tytanii oraz że

tytanie zwykle przebywają na terenie zwanym Hyperionem, więc tam głównie prowadził

poszukiwania. Po miesiącu przyzwyczał się już do grawitacji wynoszącej we wnętrzu Gai jedną czwartą ziemskiej i do przyprawiających o zawroty głowy widoków, które roztaczały się w tym mamucim wnętrzu. Dowiedział się też, że żadna ty-tania nikomu nic nie powie o Jones, zwanej teraz przez nie Kapitanem.

Tytanie były o wiele większe niż się spodziewał. Te cen-tauropodobne stworzenia

odgrywały niepoślednią rolę w wielu komiksach, ale rysownicy portretowali je dosyć dowolnie. Oczekiwał, że zetknie się z nimi oko w oko, podczas gdy w istocie ich przeciętny wzrost sięgał trzech metrów. W komiksach tytanie były rodzaju męskiego albo żeńskiego, jakkolwiek nigdy nie pokazywano ich organów płciowych. W rzeczywistości wszystkie

tytanie wyglądem przypominały osoby płci żeńskiej i nie sposób było pojąć naturę ich seksualności. Między przednimi nogami miały albo organy męskie, albo żeńskie - z wyglądu całkowicie ludzkie - a między tylnymi i jedne, i drugie. Przedni organ męski był zazwyczaj osłonięty. Gdy wreszcie zobaczył coś takiego, odniósł to samo wrażenie niedopasowania, jakiego nie doświadczał od czasu swego pierwszego tygodnia ze sztangą.

Odnalazł ją w lokalu zwanym "La Gata Encantada". Był to pub znajdujący się w

pobliżu pnia najwyższego drzewa, jakie Conal kiedykolwiek widział. Prawdę powiedziawszy, drzewo to było największe w całym Układzie Słonecznym, a pod nim i jego konarami leżało największe na całej Gai miasto tytanii, zwane Titantown.

Siedziała w kącie przy stole, wsparta plecami o ścianę. Towarzyszyło jej pięć tytanii.

Grały w jakąś skomplikowaną grę, w której posługiwały się kośćmi i misternie rzeźbionymi figurami szachowymi. Przed każdym z graczy stał galon ciemnego piwa. Kufel stojący przed Cirocco Jones był nietknięty.

Gdy tak siedziała zgarbiona na krześle obok tytanii, wyglądała niepozornie, ale w

rzeczywistości miała ponad sześć stóp wzrostu. Cały jej ubiór był czarny, łącznie z kapeluszem, podobnym do tego, który nosił Zorro w jednym z ulubionych komiksów Conala.

Dzięki temu kapeluszowi jej twarz była nieomal całkowicie skryta w cieniu, z wyjątkiem nosa, zbyt wielkiego, by dał się zakryć. W zaciśniętych zębach tkwiło cygaro, za pasem stalowobłękitna trzydziestka ósemka. Miała jasnobrązową cerę, a jej włosy były długie i poprzetykane srebrzystymi pasemkami.

Podszedł do stołu i spojrzął jej w twarz. Nie bał się; długo czekał na tę chwilę.

- Nie jesteś czarodziejką, Jones - powiedział. - Jesteś wiedźmą.

Przez moment sądził, że jego słowa zagłuszył szcęk i gwar panujący w pubie. Jones ani drgnęła. Niemniej jednak w jakiś sposób wściekłość, jaka przepełniała jego umysł, wydostała się na zewnątrz i zelektryzowała powietrze. Hałas zaczął stopniowo zamierać.

Wszystkie tytanie odwróciły się i utkwili w nim wzrok.

Ciocco Jones powoli uniosła głowę. Conal uświadomił sobie, że patrzyła na niego już od jakiegoś czasu - prawdę powiedziawszy, jeszcze zanim podszedł do stołu. Miała

najtwardsze i zarazem najsmutniejsze spojrzenie, jakie kiedykolwiek widział. Jej głęboko osadzone oczy były czyste i ciemne jak węgiel. Nawet nie mrugnawszy powieką, zlustrowała całą jego postać, od twarzy i obnażonych ramion aż po zawieszoną przy biodrze kolta z długą lufą i dłoń, która otwierała się i zamykała w odległości kilku cali od broni.

Wyjęła cygaro z ust i wyszczerzyła zęby w drapieżnym uśmiechu.

—  
A kim ty, do diabła, jesteś? - spytała.

—  
Nazywam się Żądło - odparł Conal. - Przyszedłem cię zabić.

—  
Czy chcesz, abyśmy się nim zajęły, Kapitanie? - spytała jedna z tytani. Ciocco zbyła ją gestem dłoni.

—  
Nie, nie. To chyba sprawa honoru - powiedziała.

—  
Absolutna racja - rzekł Conal. Wiedział, że jeśli podniesie głos, będzie mówił

piskliwie, więc urwał na chwilę, aby uspokoić oddech. Nie chciała pozwolić, aby te zwierzaki wykonały za nią brudną robotę. Wyglądało na to, że mimo wszystko jest godnym przeciwnikiem.

—

Kiedy tu wylądowałaś, setki lat temu...

—  
Osiemdziesiąt osiem - poprawiła go.

—  
Co?

—  
Wylądowałam tu osiemdziesiąt osiem lat temu. Nie setki.

Conal nie dał się zbić z tropu.

—  
Czy pamiętasz, kto ci wówczas towarzyszył? Czy pamiętasz człowieka nazwiskiem Eugene Springfield?

—  
Pamiętam go bardzo dobrze.

—  
Czy wiedziałaś, że on jest żonaty? Czy wiedziałaś, że pozostawił na Ziemi żonę i dwoje dzieci?

—  
Tak. Wiedziałam o tym.

—  
Conal zrobił głęboki wdech i wyprostował się.

—  
Cóż, był moim prapradziadkiem.

—  
Gówny prawda.

—  
Nie żadne gówno prawda. Jestem jego potomkiem i przyleciałem tu, aby pomścić jego śmierć.

—  
Panie... nie wątpię, że robiłeś w życiu wiele szalonych rzeczy, ale to byłoby twoim największym szaleństwem.

—  
Przebyłem miliardy mil, aby cię znaleźć, i teraz stoimy twarzą w twarz.

Sięgnął do sprzączki przy pasie. Cirocco drgnęła ledwie dostrzegalnie. Conal nawet tego nie zauważył. Odpinał właśnie pas. Po chwili rzucił broń na podłogę. Lubił nosić przy sobie tego kolta. Przypiął go zaraz po wylądowaniu, gdy tylko spostrzegł, ilu ludzi chodzi tu uzbrojonych. Przyjemnie było uwolnić się od przestarzałych przepisów o broni palnej, które obowiązywały w Dominium.

- Posłuchaj - powiedział. - Wiem, że masz kilkaset lat, i wiem, że potrafisz nieczysto walczyć. Cóż, jestem gotów stawić ci czoło. Wyjdźmy na zewnątrz i walczy ucziwie.

Na śmierć i życie.

Cirocco powoli pokręciła głową.

- Synu, nie dożywa się stu dwudziestu trzech lat, jeśli się robi wszystko ucziwie. -

Spojrzała ponad jego ramieniem i skinęła głową.

Tytania stojąca za nim uderzyła go pustym dzbanem po piwie w czubek głowy. Grube szkło rozprysło się na kawałki, a Conal zwałił się na podłogę usłaną pomarańczowymi odchodami.

Cirocco wstała i wsunęła drugi rewolwer za cholewę wysokiego buta.

- Sprawdźmy, co to za cwaniak.

Była wśród nich tytania uzdrowicielka. Zbadała krwawiącą głowę Conala i

obwieściła, że ten człowiek prawdopodobnie przeżyje. Inna tytania ściągnęła plecak z jego ciała i zaczęła go przetrząsać. Cirocco stała obok i paliła cygaro.

—  
Co znalazłaś? - spytała.



---

Zobaczmy... Kawałek suszonej wołowiny, pudełko naboju broni, para łyżew... i około trzydzieści komiksów.

---

Śmiech Cirocco był melodią dla uszu tytania, słyszały go przecież tak rzadko.

Wszystkie śmiały się wraz z nią, kiedy puściła komiksy w obieg. Wkrótce w całym lokalu rozległy się szumy i pobrząkiwania, przeplatane trzaskiem gumy balonowej i innymi efektami dźwiękowymi.

- Ja odpadam - powiedziała do siedzących przy jej stole.

Conal obudził się. Nie wyobrażał sobie, że ból głowy może być tak potworny. Jego ciałem targały wstrząsy. Otworzył oczy.

Stwierdził, że wisi głową w ddł nad zboczem o wysokości dwóch mil.

Od krzyku rozboleła go strasznie głowa, ale nie potrafił się powstrzymać. Był to

piskliwy, dziecięcy wrzask, tak wysoki, że prawie niesłyszalny. Po chwili omal się nie udławił własnymi wymiotami.

Ktoś owinął go taką ilością liny, jakby bawił się w pająka. Jedyłą częścią ciała, ktdrą mógł ruszać, była szyja, więc mimo że bolała go przy każdym ruchu, wykręcał ją we

wszystkie strony i rozglądał się oszalałym wzrokiem.

Przywiązano go do pleców jakiejś tytania w taki sposób, że jego głowa spoczywała na jej ogromnym zadzie. Tytania wspinała się na pionową skalną ścianę. Kiedy opuścił głowę zupełnie pionowo, widział tylne kopyta stworzenia skrabające się po występach szerokości dwóch cali. Obserwował, jednocześnie z fascynacją i zgrozą, jak jeden z występów obsunął

się i w dół poleciał grad kamieni. Patrzył za nim, dopóki nie stracił go z oczu.

---

Ten sukinsyn wyrzygał mi się na ogon - powiedziała tytania.

---

Tak? - Dobięgl go inny głos, po którym rozpoznał Cirocco Jones.

A zatem Demon siedział gdzieś w pobliżu jego stóp.

Miał wrażenie, że zaraz oszaleje. Wrzeszczał, błagał, ale nie reagowały. To było

niemożliwe, żeby to stworzenie potrafiło samodzielnie wspinać się po takim zboczu, a jednak robiło to, dźwigając Conalą i Cirocco na swoim grzbiecie, i to

z taką szybkością, z jaką Conal poruszał się po płaskim terenie.

Cdź to za zwierzę ta tytania?

Wniosły go do jaskini znajdującej się w połowie drogi na szczyt klifu. Właściwie było to zagłębienie w skale o wysokości dziesięciu stóp i mniej więcej tak samo szerokie, głębokie zaś na czterdzieści. Nie prowadziła do niego żadna ścieżka.

Z łomotem zwalono go na ziemię. Nadal tkwił w kokonie ze sznura. Cirocco usadziła go brutalnie.

—  
Za jakąś chwilę będziesz musiał odpowiedzieć na kilka pytań - powiedziała.

—  
Powiem wszystko.

—  
To jasne jak cholera. - Znowu uśmiechnęła się do niego szeroko, po czym uderzyła go w twarz lufą jego własnej broni. Już miał zaprotestować, kiedy uderzyła go ponownie.

Cirocco musiała go czterokrotnie uderzyć, dopóki się nie upewniła, że naprawdę stracił przytomność. Uderzyłaby go kolbą, ale w ten sposób celowałaby lufą w samą siebie, a nie po to przeżyła sto dwadzieścia trzy lata, żeby teraz robić tak głupie rzeczy.

—  
Nie trzeba było nazywać mnie wiedźmą - powiedziała.

—  
Nie patrz tak na mnie - odparł Piszczalka. - Ja osobiście zabiłbym go już w La Gata.

Tak. - Usiadła na piętach i zwiesiła ramiona. - Wiesz, czasami zastanawiam się, co może być wspaniałego w dożyciu stu dwudziestu czterech lat.

Tytania nic nie powiedziała. Poluźniła więzy opasujące Co-nalę i rozebrała go.

Towarzyszyła Czarodziejce od wielu lat i znała jej nastroje.

Tyłna część groty była obludzona, ale tego dnia panował taki upał, że na kamienne podłoże ściekały strumienie wody. Cirocco uklęknęła przy kałuży. Spryskała twarz, a potem się napiła. Woda była lodowato zimna.

Cirocco spędziła tu wiele nocy, od kiedy sprawy przybrały niefortunny obrót. Miała stos kocy, kilka bel siana, a także

dwa drewniane wiadra: jedno służyło za latrynę, drugim nabierało się wodę do picia.

Na dwóch hakach wbitych w ściany zawiesiła hamak. Jedynym udogodnieniem była stara, blaszana umywalka. Kiedy Cirocco była zmuszona zostać w grocie na dłużej, zasłaniała wejście do niej ubraniami, zatrzymując w ten sposób suche prądy wstępujące.

—  
Ej, przeoczyliśmy jeden - powiedział Piszczalka.

—  
Jeden co?

Tytania rzuciła w jej stronę komiks, który wyciągnęła z tylnej kieszeni Conalę.

Cirocco złapała go i jeszcze przez chwilę przypatrywała się efektom pracy tytanii.

Na środku groty siedział nagi kulturysta przywiązany do grubego pała osadzonego w podłodze. Kostki nóg miał przymocowane do dwóch kołków, które dzieliła odległość jakichś trzech stóp. Był całkowicie bezbronny. Piszczalka przymocował głowę jeńca do pała, obwiązując mu czoło szerokim, skórzanym pasem.

Twarz mężczyzny stanowiła jedną miazgę: zaschnięte krople krwi, złamany nos i kości policzkowe. Jednak, zdaniem Cirocco, szczeka pozostała nietknięta. Miał opuchnięte usta, oczy zmieniły się w wąskie szparki.

Westchnęła i spojrzała na pomięty komiks. Na okładce widniał tytuł "Czarodziejka Gai" i wizerunek jej dawnego statku, "Ringmastera", tuż przed katastrofą. Mimo że minęło tyle czasu,

z trudem zносиła ten widok.

Książka była wyjątkowa, w tym sensie, że wszyscy bohaterowie posiadali imiona i

nabywca nie miał prawa ich zmieniać. Większość innych komiksów Conala była opatrzona klauzulą, że ich właściciel może nazwać głównego bohatera swoim imieniem.

Bohaterowie byli znajomi: Cirocco Jones, Gene, Bill, Cal-vin, siostry Polo, Młodszy Piszczalka i Mistrz Śpiewu.

I naturalnie ktoś jeszcze.

Cirocco zamknęła książkę i przełknęła ślinę, aby pozbyć się uczucia drapania w

gardle. Potem wyciągnęła się w hamaku i zaczęła ją przeglądać.

- Czy naprawdę chcesz to przeczytać? - spytał Piszczalka.

- Tego się nie da czytać. Tu nie ma słów. - Cirocco tak naprawdę nigdy nie widziała książki takiej, jak "Czarodziejka Gai", ale pojmowała zasadę. Kolory jarzyły się, pulsowały albo połyskiwały i były wilgotne w dotyku. W tuszu zatopiono mikroskopijne dymki. Po dotknięciu klawiatury pojawiały się w nich kwestie wypowiedane przez bohaterów. Efekty dźwiękowe zastępowały dawniejsze blurpy, upsy, wrumy, kraki i inne piski.

Treść dialogów była jeszcze bardziej beznadziejna od tego, co powiedział Conal w La Gacie, więc Cirocco tylko oglądała obrazki. Opowieść łatwo dawała się zrozumieć. Pomimo sporych uproszczeń była nawet dokładna.

Zobaczyła swój statek dolatujący do Saturna. Nastąpiło odkrycie Gai, czarnego kręgu o średnicy trzynastu kilometrów krążącego po orbicie. Statek uległ zniszczeniu i cała załoga, po serii dziwnych snów, znalazła się we wnętrzu planety. Odbyli przejażdżkę

miękkolotem, zbudowali łódź, a podczas żeglugi po rzece Ophion napotkali tytanie. Cirocco z jakichś niewiadomych przyczyn potrafiła śpiewać w ich języku. Cała grupa wplątała się w wojnę z aniołami.

Bohaterowie pieprzyli się częściej niż pamiętała. Pojawiło się kilka niezwykle

mocnych scen z udziałem Cirocco i Gaby Plauget, a potem jeszcze liczniejsze z Cirocco i Genem Spring-fielem. Ostatni epizod był zupełnie zmyślony, a pierwszy podany w złej kolejności.

Wszyscy byli uzbrojeni po zęby. Nosili przy sobie większą ilość broni niż batalion najemników. Mężczyźni mieli nieprawdopodobnie rozwinięte mięśnie, jeszcze bardziej niż Conal, a kobiety miały piersi wielkości arbuzów, które stale im wyskakiwały ze skąpych skórzanych biustonoszy. Napotykali potwory, o których Cirocco nigdy nawet nie słyszała, i nie zostawiali za sobą nic prócz krwawych szczątków.

I nagle to wszystko stało się interesujące.

Zobaczyła Gaby, Gene'a i siebie samą wspinających się po jednym z ogromnych kabli, które prowadziły do centrum Gai. Mieli przed sobą jeszcze sześćset kilometrów.

Rozbili obóz i wtedy akcja uległa przekłamaniam. Wydawało się, że tworzą trójkąt miłosny, przy czym Cirocco była zaangażowana

uczuciowo z obydwoma towarzyszami. Razem z Gaby spiskowały przy ognisku, zapewniając się o swej miłości na śmierć i życie, i mdwiły sobie rzeczy typu: "Och, Gaby, uwielbiam twoje dłonie na mojej gorącej, wilgotnej cipce".

Następnego ranka - choć zdaniem Cirocco ta wyprawa trwała znacznie dłużej - na

audiencji u wielkiej bogini Gai, Gene'owi zaofiarowano stanowisko Czarodzieja. Skłonił się pokornie na znak, że je przyjmuje, lecz Cirocco schwyciła go za włosy, odchyliła jego głowę do tyłu i poderżnęła mu gardło od ucha do ucha. Po stronicy polał się strumień krwi, a Cirocco odkopnęła z pogardą odciętą głowę. Gaja, która w tym komiksie przedstawiona została jako istota o zajęczym sercu, mianowała Cirocco Czarodziejką, a Gaby została jej niegodziwą asystentką.

Potem działo się jeszcze więcej dziwnych rzeczy. Cirocco westchnęła i zamknęła książkę.

—  
Wiesz co? - powiedziała. - Możliwe, że on mdwi prawdę.

—  
Tak mi się zdawało.

—  
Chyba naprawdę jest zwykłym idiotą.

—  
Cóż, wiesz, jaka jest kara za głupotę.

—  
Tak. - Odrzuciła komiks na bok, podniosła jedno z drewnianych wiader i chlusnęła Conalowi w twarz lodowatą wodą.

Budził się stopniowo. Szturchano go i szczypano, ale wszystko wydawało się jakies

nieprawdziwe. Nie pamiętał nawet, jak się nazywa.

Wreszcie zdał sobie sprawę, że jest nagi i pozbawiony wszelkich szans na ucieczkę.

Miał rozłożone szeroko nogi, nie mdgł nimi ruszać. Nie widział nic, dopdki Jones nie otworzyła siłą jednego z zalepionych krwią oczu. Poczłł bdl. Pas unieruchamiał jego głowę i to też go bolało. Prawdę powiedziawszy, bolało go wszystko.

Jones usiadła naprzeciwko niego na wiadrze postawionym do gdry dnem.

Przypatrywała mu się obojętnie głębokimi, czarnymi oczyma. W końcu nie mdgł już tego wytrzymać.

- Będziesz mnie torturować? - wybełkotał.

—  
Ano.

—  
Kiedy?

—  
Kiedy mnie okłamiesz.

Jego myśli płynęły wolno jakby zanurzone w kleju, ale coś w jej spojrzeniu kazało mu się skoncentrować.

—  
Skąd będziesz wiedziała, że kłamie? - spytał.

—  
To jest pewien problem - przyznała.

Podniosła ndź i obróciła go tuż przed jego oczami. Lekko przyłożyła jego krawędź do wierzchu stopy Conala i pociągnęła powoli. To nie bolało, ale pojawiła się krwawa kreska.

Znowu podniosła ostrze i czekała.

- Ostry - zaryzykował. - Bardzo ostry.

Pokiwała głową i odłożyła ndź.

Wyjęła cygaro z ust, strzepnęła popiół i zaczęła dmuchać na jego koniec, dopóki nie rozjarzył się jaskrawo. Przybliżyła rozżarzoną końcówkę na ćwierć cala do jego stopy.

Skóra zaczęła puchnąć i tym razem coś poczuł, zrozumiał, że to nie było zwykłe cięcie nożem.

—

Tak - powiedział. - Tak, tak, już rozumiem.

—

Jeszcze nie. - Nie cofnęła cygara.

Próbował wyswobodzić stopę z więzów, ale ręka stojącej za nim tytanii przytrzymała ją w żelaznym uścisku. Zagryzł wargi i wywrócił oczy w głąb. Zaczął krzyczeć. Krzyczał

długo, a ból nie ustępował ani na chwilę.

Nawet gdy wreszcie zabrała cygaro - po pięciu minutach? dziesięciu? - ból nie zmalął.

Conal łkał długo i żałośnie.

Wreszcie był w stanie spojrzeć. Skóra została wypalona na przestrzeni jednego cala.

Spojrzał na Cirocco, która wciąż przypatrywała mu się z kamiennym spokojem. Nienawidził

jej. Nigdy nikogo i niczego tak nie nienawidził, jak jej w tej chwili.

- To trwało dwadzieścia sekund - wyjaśniła.

Zaszlochał, kiedy uświadomił sobie, że ona mówi prawdę.

Próbował skinąć głową, próbował powiedzieć, że wie, co to oznaczało, że dwadzieścia sekund to nie jest długo, ale nie potrafił odzyskać władzy nad swoim głosem. A ona czekała.

- Jest jeszcze coś, co powinieneś zrozumieć - oświadczyła. - Stopa jest dość wrażliwą częścią ciała, ale nie tą najbardziej wrażliwą. - Wstrzymał oddech, kiedy błysnęła końcem cygara tuż obok jego nosa, trwało to wystarczająco długo, aby poczuł żar. Potem powoli przesunęła paznokciem po jego tułowiu, od brody aż do krocza. Kiedy dłoń się zatrzymała, usłyszał ciche skwierczenie i poczuł zapach palonych włosów.

Cofnęła rękę, nie sprawiając mu bólu, i wtedy Conalowi zdarzyła się zdumiewająca

rzecz. Nagle przestał ją nienawidzić. Było mu przykro, kiedy czuł, jak jego nienawiść przemija. Nic mu już nie pozostało. Nagi, obolały, torturowany, na czym miałby się oprzeć jak nie na nienawiści?

Wsadziła z powrotem cygaro do ust i zacisnęła zęby.

- W porządku - powiedziała. - No więc jaki to pakt zawarłeś z Gają?

I wtedy znowu się rozpłakał.

To trwało wieczność. To było potworne, ale prawda nie mogła go uratować. Ona

dopatrywała się w nim kogoś, kim nie był.

Przypalała go jeszcze dwukrotnie. Nie przykładła już cygara do czarnej plamy, gdzie zakończenia nerwów zmartwiały, lecz do surowych, napuchniętych krawędzi rany, aż

oszalały wrzeszczał z bólu. Po drugim razie skupił całą swoją istotę, aby móc wyznać jej wszystko, co tylko chciała usłyszeć.

—

Jeśli nie spotykałeś się z Gają - powiedziała Jones - to z kim się w takim razie

spotykałeś? Czy to był Luter?

—

Tak. Tak, to był Luter.

—

To nieprawda. To nie był Luter. Kto to był? Kto ci kazał mnie zabić?

—

To był Luter. Przysięgam, że to był Luter.

—

Czy Luter jest kapłanem?

—

...tak?

—

Opisz mi go. Jak on wygląda?

Nie miał zielonego pojęcia, ale wiele mógł się dowiedzieć z jej oczu. Przestały być nieprzeniknione. Można z nich było wyczytać miliony informacji i Conal stał się najlepszym na

świecie uczniem oczu Cirocco. Widział zmiany, które oznaczały śmiertelny ból i

zapach palonego ciała. Zaczął mówić. W połowie opisu uświadomił sobie, że streszcza "Złote ostrza", ale nie przestawał, dopóki nie uderzyła go w twarz.



- Nigdy nie widziałeś Lutra - powiedziała Jones. - Więc kto to był? Czy to była Kali?

Błogosławiony Forster?

Billy Sunday? Święty Torquemada?

- Tak! - wrzasnął. - Oni wszyscy - dodał potulnie.

Jones potrząsnęła głową i Conal usłyszał, jakby z oddali, odgłos skomlenia. Miała zamiar to zrobić, widział to w jej oczach.

- Synu - powiedziała smutnym głosem - okłamujesz mnie, a powiedziałam ci, żebyś nie kłamał. - Wyjęła cygaro z ust, dmuchnęła na nie znowu i przystawiła mu do krocza.

Wytrzeszczył oczy, usiłując to zobaczyć. Ból był dokładnie taki, jak sobie wyobrażał.

Trudno im było przywrócić go do życia, bo wolał pozostać martwy. W śmierci nie było bólu, żadnego bólu...

W końcu jednak się ocknął, na powrót czując znajomy ból. Był zdziwiony, że... tam go nie boli. Nie potrafił nawet się zmusić, aby wymyślić słowo na to miejsce, które ona przypaliła.

Patrzyła znowu na niego.

- Conal - powiedziała. - Jeszcze raz cię zapytam.

Kim jesteś, co tu robisz i dlaczego chcesz mnie zabić?

Powiedział jej więc, docierając do prawdy okrężną drogą. Był potwornie obolały i wiedział, że zaraz znowu go będzie torturowała. Nie chciał już dłużej żyć. Czekał go tylko ból, ale po nim miał nastąpić wieczny spokój.

Jones podniosła nóż. Na jego widok zaskomlał i próbował się skurczyć, ale tak, jak przedtem, na nic się to nie zdało.

Przecięła sznur przy jego lewej stopie, a tytania w tym samym czasie obluzowała więzy przy słupie. Głowa Conala opadła do przodu, podbródek uderzył o pierś, ale nadal nie otwierał oczu. W końcu jednak musiał spojrzeć.

Zobaczył cud. Część włosów łonowych się spaliła, ale jego

penis, skurczony ze strachu, był zupełnie gładki. Obok niego, na kamiennym podłożu leżał mały kawałek lodu powoli topniejący w kałużę.

- Nie okaleczyłaś mnie - powiedział.

Jones zdawała się być zdziwiona.

Co masz na myśli? Przecież przypalałam cię trzy razy.

—  
Chciałem powiedzieć, że mnie nie okaleczyłaś. - Wskazał to miejsce ruchem podbródka.

—  
Ach, racja. - O dziwo, wyglądała na zażenowaną. Co-nał poczuł smak nadziei, że jednak będzie żył. Ku jego zaskoczeniu to był realny smak.

—  
Mam za słaby żołądek na takie rzeczy - wyznała Jones. Conal pomyślał, że jeśli kłamała, to jest dobrą aktorką. - Umiem zabijać czysto - kontynuowała - ale nie znoszę zadawać bólu. Wiedziałam, że jesteś już w takim stanie, że nie odróżniasz gorąca od zimna.

Po raz pierwszy w jakikolwiek sposób wyjaśniła swoje postępowanie. Bał się ją pytać o cokolwiek, ale musiał to zrobić.

—  
Więc dlaczego mnie torturowałaś? - spytał i natychmiast się zorientował, że to było złe pytanie. W jej wzroku po raz pierwszy zagościł gniew i Conal omal nie umarł ze strachu, bo z wszystkich tych rzeczy, które dotąd widział w jej oczach, nic nie było tak zatrważające jak gniew.

—  
Bo jesteś głupcem. - Umilkła, co przypominało zatrzaśnięcie drzwiczek w

buzującym piecu. Jej oczy na powrót ochłodziły i pociemniały, choć gdzieś w ich głębi jeszcze tlił się żar. - Włazłeś do gniazda szerszeni i dziwisz się, że zostałeś użądłony. Podchodzisz do najstarszej, najniebezpieczniejszej i najbardziej owładniętej paranoją istoty ludzkiej w całym układzie słonecznym, aby jej powiedzieć, że chcesz ją zabić, i spodziewasz się, że ona będzie się w to bawić zgodnie z regułami twoich komiksów. Nie umarłeś tylko dzięki zasadzie, która głosi, że jeśli coś przypomina człowieka, to będzie żyć tak długo, dopóki nie zadam mu kilku pytań.

Myślałaś, że nie jestem człowiekiem?

—

Nie miałam podstaw, by to zakładać. Mogłeś być nowym rodzajem kapłana albo jakimś zupełnie innym żartem. Syneczku, my tutaj nie wierzymy nikomu na twarz, my...

—

Urwała, wstała i odwróciła się od niego. Kiedy znowu spojrzała, jej wzrok był nieomal przepaszający.

—

Cóż - powiedziała. - Wyjaśnienia nie mają sensu. Nie moja sprawa, jakie wiesz

życie, ale kiedy widzę przykład takiej głupoty, zawsze mam ochotę ją korygować. Czy możesz się nim zająć, Piszczalko?

—

Nie ma sprawy. - Dobiegło go gdzieś z tyłu. Poczuł, jak więzy stają się luźniejsze.

Spowodowało to ból w całym ciele, ale i tak czuł się cudownie. Jones ponownie przykucnęła przed nim i wbiła wzrok w ziemię.

—

Masz kilka możliwości do wyboru - powiedziała. - Mamy różne trucizny, które są

całkiem bezbolesne i szybko działają. Albo mogę ci strzelić prosto w skroń. Możesz też rzucić się w przepaść, jeśli wolisz ją w ten sposób spotkać. - Mówiła takim tonem, jakby się pytała, czy chce placek z wiśniami, ciastko czy lody.

—

Kogo mam spotkać? - zapytał. Zobaczył w jej oczach lekkie rozczarowanie, znowu okazał się głupi.

—

Śmierć.

—

Ale... ja nie chcę umierać.

Większość ludzi nie chce.

Trucizna się skończyła, Kapitanie - powiedziała ty-tania. Podniosła Conalą z taką

łatwością, jakby był szmacianą lalką i ruszyła w stronę wejścia do jaskini. Conal nie był w najlepszym stanie. Utracił większość swej normalnej siły. Wziął się jednak w garść i w miarę zbliżania się do krawędzi stawiał coraz większy opór, chociaż i tak nie miało to znaczenia.

Tytania radziła sobie z nim bez najmniejszych trudności.

Czekajcie! - krzyknął. - Czekajcie! Nie musicie mnie zabijać!

Tytania postawiła go na skraju zbocza i przytrzymała, a Jones przystawiła lufę do jego skroni i odwiodła kurek.

Chcesz kulę czy nie?

Po prostu mnie puść! - wrzasnął. - Już nigdy nie będę cię nachodził.

Tytania puściła Conalą, co go tak zaskoczyło, że wpadł w jakiś dziki płas na krawędzi przepaści, omal się nie przewrócił, upadł na kolana, potem na brzuch, aż w końcu przywarł do zimnego głazu, dyndając nogami w powietrzu.

Tytania i Jones stały w odległości dziesięciu stóp od niego. Ostrożnie, powoli

ukłęknął, po czym przysiadł na piętach.

Nie zabijaj mnie, proszę.

Zrobię to, Conal - powiedziała. - Proponuję ci, byś wstał samodzielnie. Dam ci

czas, jeśli chcesz się pomodlić, albo zrobić coś w tym stylu.

—  
Nie - powiedział. - Nie chcę się modlić. I nie chcę wstawać. To zresztą nie ma  
znaczenia, prawda?

—  
Tak to sobie zawsze wyobrażałam. - Podniosła broń.

—  
Czekaj! Czekaj, proszę, powiedz mi tylko dlaczego?

—  
Czy to jest ostatnia prośba?

—  
Chyba tak. Jestem... jestem głupi. Jesteś o wiele sprytniejsza ode mnie, możesz  
mnie zgnieść jak... ale po co mnie zabijać? Przysięgam, że już mnie nigdy nie zobaczysz.

Jones opuściła pistolet.

—  
Jest kilka powodów - powiedziała. - Tak długo, jak trzymam cię na muszce, jesteś  
nieszkodliwym głupcem. Możesz jednak mieć szczęście, a niczego tak bardzo się nie boję jak  
głupców, którzy mają szczęście. I jeśli zrobisz mi to samo, co ja tobie, to dołożę wszelkich starań,  
żeby cię odszukać, choćby nie wiem jak długo miało to trwać.

—  
Nie zrobię tego - powiedział. - Przysięgam na wszystko.

—  
Conal, na tym świecie żyje może z pięciu ludzi, którym wierzę. Dlaczegoż to  
miałbyś być numerem szóstym?

—  
Bo ja wiem, że zasłużyłem na to, co mi się przytrafiło, bo mam osiemnaście lat i

zrobiłem głupstwo i naprawdę nie chcę, byś jeszcze kiedykolwiek się na mnie zezłościła.

Jestem gotów na wszystko. Wszystko. Będę twoim niewolnikiem przez resztę życia. Zrobię, co tylko zechcesz. - Urwał i wiedział już każdą cząstką swej duszy, że to, co właśnie powiedział, jest prawdą. Przypomniawszy sobie jednak, że niewiele dobrego przyniosła mu prawda kilka godzin temu. Musi istnieć jakiś sposób, aby jej udowodnić, że mówi prawdę. W

końcu znalazł go. Uroczysta przysięga.

—  
Jak Boga kocham, niech szczerzę - powiedział i czekał.

—  
Strzał nie padał. Otworzył oczy i zobaczył, że Jones i ty-tania patrzą na siebie. W

końcu tytania wzruszyła ramionami i skinęła głową.

Chwila na muzykę

Wkrótce po wylądowaniu Conala na Gai orbitę Saturna opuścił statek o nazwie

“Ksenofob” i z maksymalnym przyspieszeniem ruszył w stronę Ziemi.

Wyprawa “Ksenofoba” nie miała nic wspólnego z Conalem. Wiele podobnych

statków od stu lat krążyło wokół Saturna. Ten podlegał kiedyś dowództwu ONZ. Kiedy ta organizacja przestała istnieć, statek przeszedł w posiadanie Rady Europy, a później innych organizacji pokojowych.

W żadnym z traktatów czy protokołów podpisanych przez Gaję oraz różne kraje i

korporacje europejskie nie było ani jednej wzmianki o tych statkach. Kiedy Gaja została przyjęta do ONZ jako członek z prawem głosu, uznała, że dyplomatycznie będzie zignorować ich istnienie, mimo iż cel, któremu służyły te statki, stanowił tajemnicę poliszynela. Każdy z nich miał na swoim pokładzie broń nuklearną w ilości dostatecznej do zamienienia Gai w obłok pary. Traktat nie traktat, Gaja - odrębna, zdolna do uczuć istota - ważyła więcej niż wszelkie ziemskie formy życia razem wzięte i dlatego rozsądek nakazywał, aby wszystkim kolejnym pokoleniom zapewnić możliwość jej zniszczenia, gdyby zademonstrowała jakieś nieprzewidziane możliwości.

—  
Prawda jest taka - powiedziała kiedyś Gaja Cirocco - że za cholerę nie mogę nic

zrobić, ale dlaczego niby mieliby to wiedzieć?

---

I kto by ci uwierzył? - odpowiedziała Cirocco. Cirocco uważała, że w głębi ducha

Gaja jest zadowolona okazywanym jej zainteresowaniem oraz tym, że stanowi przyczynę bezprecedensowego pokazu jedności wiecznie skłóconych narodów planety Ziemi.

---

Jednakże wraz z początkiem drugiego roku wojny okazało się, że ładunek

“Ksenofoba”, dotychczas bezużyteczny w przestrzeni kosmicznej, może się przydać na Ziemi.

Gaja zauważyła jego odlot.

W ludzkim sensie tego słowa trudno mówić o uśmiechu stworzenia mającego kształt

koła wozu o średnicy tysiąca trzystu kilometrów. A jednak Gaja uśmiechała się - gdzieś na pulsującej, szkarłatnej Unii światła, która stanowiła centrum jej świadomości.

Pół dekaobrotu później Objazdowy Festiwal Filmowy Pandemonium rozpoczął

organizować dla przepełnionych sal podwójne seanse z “Tryumfem woli” Leni Riefenstahl i

“Doktorem Strangelove, czyli jak przestałem się bać i pokochałem bombę” Stanleya

Kubricka.

Na Gai czas odmierzał obrót.

Jeden obrót trwał tyle, ile Gaja obracała się wokół własnej osi: sześćdziesiąt jeden minut, trzy i pół sekundy. Obrót często nazywano “godziną Gai”. Do oznaczenia innych odcinków czasowych używano przedrostków metrycznych. Kiloobrot, zwany Miesiącem Gai, trwał czterdzieści dwa dni.

Dwa kiloobroty po tym, jak “Ksenofob” opuścił Saturna (i został zestrzelony w

pobliżu orbity księżycowej przez Komuchów), rozpoczęły się loty miłosierdzia. Właśnie wtedy Gaja ujawniła swe nieprzewidziane możliwości.

Wiedziano, że Gaja jest odrębną istotą, wiekowym przedstawicielem gatunku

Tytanów, będącego produktem inżynierii genetycznej. Miała pięć młodszych sióstr krążących po orbicie wokół Urana i nierozwiniętą jeszcze córkę, która czekała na swoje narodziny na powierzchni Japetosa, księżycy Saturna. Dzięki wywiadam, których sporadycznie udzielały Uranowe siostry Gai, udało się ustalić, jakie są metody reprodukcji Tytanów, rodzaj ich jaj, sposoby ich rozpowszechniania i rozdziału.

Przyjęto także, że Gaja, sędziwy Tytan, zatrudnia sztucznie wykonane istoty, które nie posiadały niczego takiego, jak wolna wola, lecz raczej stanowiły przedłużenie jej samej w taki sam sposób, w jaki palec czy ręka jest przedłużeniem ludzkiego ciała. Istoty te nazywano

“narzędziami Gai”. Przez

wiele lat jedno z takich narzędzi przedstawiano gościom jako samą Gaję. Kiedy

Ciocco zabiła to narzędzie, Gaja bezzwłocznie wykonała następne.

Ciocco nie była zdziwiona faktem, że te narzędzia i nasiona można z sobą łączyć. Po dziewięćdziesięciu latach życia obok oszalałego Boga niewiele już mogło ją zaskoczyć.

Powstały organizm w dużej mierze przypominał statek kosmiczny. Gaja wysiała całe

pole tych zdolnych do odczuwania, dających się kierować, nadzwyczaj potężnych nasion, gdy tylko się dowiedziała, że “Ksenofob” został zniszczony i że raczej nic go nie zastąpi.

Wszystkie razem utworzyły pierścień na orbicie wokół Ziemi. Dziewięćdziesiąt pięć procent tych, które leciały w pierwszym rzucie, wyginęło, zanim dotarły do atmosfery. Drugi rok wojny był nerwowy - każdy najpierw strzelał, a potem już się nie trudził zadawaniem pytań.

Niemniej jednak stopniowo poznawano się na właściwościach nasion. Każde

kierowało się w stronę miejsca nuklearnej rzezi, lądowało i zaczynało krzyczeć, że zbawienie jest bliskie. Nasiona przemawiały, grały muzykę, która miała podnieść na duchu załamane istoty uciekające przed holocaustem, i obiecywały opiekę lekarską, świeże powietrze, żywność, wodę oraz nieograniczone możliwości w stęsknionych ramionach Gai.

Światowe sieci informacyjne wyłowiły tę sprawę i nazwały to “lotami miłosierdzia”.

Z początku wsiadanie do któregoś z nasion wiązało się z ryzykiem, ponieważ wiele z nich ze-strzeliwano podczas prdby opuszczenia Ziemi. Mało kto jednak się wahał. Byli to przecież świadkowie potworności, w porównaniu z którymi piekło wydawało się letnim kurortem.

Sami walczący długo jeszcze ignorowali loty nasion Gai. Mieli ważniejsze problemy, na przykład: który milion ludzi zamordować w danym tygodniu.

Każde nasienie mogło przenieść zaledwie około setki ludzi, więc w miejscu, gdzie

wylądowało, wybuchała panika i zamieszki. Dzieci często nie miały żadnej szansy wejść na pokład, ponieważ dorośli porzucali je, gdyż przeszkadzały im w przekraczającej wszelkie cywilizowane granice walce o miejsce.

Żadna z sieci nie doniosła o tym, ale podrdż w stronę Saturna obfitowała w cudowne zdarzenia. Żadna z ran nie okazała się tak poważna, aby jej nie można było uleczyć. Znikały też potworne ślady działania broni biologicznej. Nikomu nie brakowało ani jedzenia, ani picia. Podczas lotd w



miłosierdzia na nowo rodziła się nadzieja.

Wnętrze Gai było podzielone na dwanaście obszarów. Sześć stale kapało się w

dziennym świetle, pozostałe były pogrążone w wiecznym mroku. Między tymi obszarami znajdowały się wąskie przesmyki blednącego lub jaśniejącego światła - zależało to od kierunku podróży albo stanu umysłu - zwane strefami zmierzchu.

W strefie dzielącej Japetosa i Dione znajdowało się wielkie jezioro o nieregularnym kształcie, otoczone górami Moros. "Moros" znaczy "Przeznaczenie" lub "Los".

Wybrzeże gór Moros było nieregularne i urwiste. Jego południowa część składała się z szeregu półwyspów otaczających wąskie i głębokie zatoki. Półwyspy były w większości bez nazwy, ale każda zatoka została już nazwana. Były wśród nich: zatoka Oszustwa, Zatoka Nieczystości, Zatoka Smutku, Zatoka Dwuznaczności, a także Zatoki Niedbałości, Głodu, Choroby, Walki i niesprawiedliwości. Lista była długa i przygnębiająca, lecz nie pozbawiona pewnej logiki - kartografowie odpowiedzialni za ową nomenklaturę posłużyli się listami z greckiej mitologii. Wszystkie zatoki zostały nazwane imionami dzieci Nyks (nocy), matki Moros. Moros była najstarsza - Oszustwo, Nieczystość, Smutek itd. stanowiły jej młodsze, nieoświecone rodzeństwo.

Na wschodnim krańcu linii wybrzeża znajdowała się zatoka Peppermint. Przyczyna

takiej nazwy była prosta: nikt nie chciał żyć w pobliżu miejsca zwanego Zatoką Morderstwa, więc Czarodziejka nazwała je inaczej.

Nad tą Zatoką powstało osiedle - rozległe, pełne hałasu i brudu. Nazwano je

Bellinzona. Jedna jego połowa przylegała do prawie pionowej ściany wschodniego półwyspu, a druga rozciągała się na wodzie, na pontonowych pomostach. Wyspy Bellinzony były

sztuczne, pobudowane na palach, ostro zakończonych krokwiach albo skałach sterczących z czarnych wdd.

Bellinzona bardzo przypominała Hong Kong. Było to wielojęzyczne miasto pełne

łodzi. Łodzie przywiązywano do pomostów lub innych łodzi, czasami w rzędach liczących dwadzieścia lub trzydzieści sztuk. Łodzie były budowane z drewna, we wszystkich znanym ludziom stylach: gondole, dżonki, barki, arabskie dowy, kutry, skify i sampany.

Rocky przybył do Bellinzony w momencie, gdy miasto istniało zaledwie od trzech lat, choć już zdążyło się postarzeć od grzechu i rozkładu, przypominając ogromny, zbrodniczy wrzód na twarzy Zatoki Peppermint.

W mieście tym mieszkali ludzie, a ludzie ci byli tak różni jak ich łodzie, wywodzili się bowiem ze wszystkich ras i narodów. Nie mieli zorganizowanej policji, straży pożarnej, szkół, sądów i podatków. Posiadali broń, ale nie dysponowali amunicją. Pomimo tego jednak liczba morderstw była astronomiczna.

Rodzimi mieszkańcy Gai rzadko odwiedzali to miasto. Było zbyt wilgotne dla

piaskowych widm i zbyt zadymione dla miękkołotów. Hutnicy z Fojbe utrzymywali kontakty z enklawą położoną na jednej z wysp, odkupywali od niej ludzkie dzieci, aby je później wykorzystać jako inkubatory i źródło pierwszych posiłków w okresie wylęgu. Od czasu do czasu pojawiali się tam Podwodni i zerowali na mieście. Odgryzali wielkie kęsy, połykając je w całości, lecz większa część systemu kanalizacyjnego Bellinzony odstręczała te odczuwające łewiatany. Tytanie przybywały tu na handel, lecz uważały miasto za przygnębiające.

Większość mieszkańców Bellinzony zgadzała się z tytanium. To byli ci, którzy

uważali to miejsce za romantyczne - surowe, prężne i pełne życia, "zapalczywe jak pies, któremu jęzor lata z niecierpliwości, po barbarzyńsku sprytny..." Jednakże w odróżnieniu od starego Chicago Bellinzona nie była miastem rzeźników, wytwórców narzędzi czy zbieraczy pszenicy. Pożywienie pochodziło z jeziora, manny lub głębokich studni z mlekiem Gai.

Miasto wytwarzało głównie ciemnobrązowe plamy na wodzie i smugi dymu w powietrzu,

niektóre dzielnice Bellinzony wiecznie płonęły. W wilgotnych bocznych ulicach można było kupić pętle dla dusicieli, trucizny i niewolników. Na stoiskach rzeźnickich otwarcie sprzedawano ludzkie mięso.

Było tak, jakby wszelkie nieszczęścia storturowanej Ziemi sprowadzono do tego

jednego miejsca, przedestylowano, skoncentrowano i pozostawiono, by zgniły.

Czyli dokładnie tak, jak zaplanowała Gaja.

Podczas 97.761.615-tego obrotu dwudziestego siódmego gi-gaobrotu do Pomostu

Siedemnastego na przedmieściach Bellinzony przybił markas Syntetyzatora (Trio Lidyjskie z Krzyżykiem) Rock'n'Rolla.

Ciocco Jones powiedziała kiedyś o tej tytaniu, że Jest przykładem systemu, który miał

wszystko uprościć, a wymknął się spod kontroli". Chciała przez to powiedzieć, że prawdziwe imię każdej tytanii jest pieśnią, która może wiele powiedzieć o danej tytaniu, lecz nie da się przełożyć na żaden ludzki język. Bez pomocy Gai żaden człowiek nigdy się nie nauczył

śpiewać i dlatego całkiem słusznie przyjmowały angielskie imiona - w języku, który dominował na Gai.

System był przydatny - dla tytanii. Ostatnie imię oznaczało akord, do którego należała.

Akordy zaś były odpowiednikiem klanów, stowarzyszeń, rodów, względnie ras. Mało który człowiek rozumiał, co oznacza akord, choć wielu z nich rozpoznawało odmiany skór tytanii, które odróżniały je niczym szkockie tartany albo szkolne krawaty. Drugie imię ujmowane w nawias oznaczało jeden z

dwudziestu dziewięciu sposobów, w jaki urodziła się dana tytania, mogąca posiadać od jednego do czworga rodziców. Pierwsze imię uświęcało i słaWiło trzeci najwaŹniejszy element dziedzictwa kaŹdej tytanii: muzykę. Na pierwsze imię wszystkie obierały sobie nazwy instrumentów.

Cały system brał w łeb przy Syntetyzatorze. Czarodziejka uznała, że to imię jest zbyt szkaradne, aby go można było używać. Przeważa więc Syntetyzatora Rockym i tak już zostało. Cirocco nie posiadała się z radości, bowiem tym przewiskiem zdręczano ją od przeszło stulecia, a odkąd nadała

to imię tytanii, nikt już jej tak nie nazywał, choćby po to, by uniknąć nieporozumień.

Tytania Rocky przycumowała łódź, rozejrzała się po okolicy, a potem po niebie.

Wydawało się, że jest późny wieczór. Tak było w górach Moros od trzech milionów

ziemskich lat i Rocky nie oczekiwał żadnych zmian. Ze szprychy Dione, na wysokości trzech tysięcy kilometrów, opadały chmury, a ku zachodowi, przez łukowato zwieńczony dach nad Hyperio-nem, sączyły się żółte jak masło promienie słoneczne.

Wciągnął powietrze i choć natychmiast tego pożałował, ostrożnie zrobił to jeszcze raz, szukając zgnięłego zapachu kapłana albo jeszcze gorszego smrodu zombie.

Miasto wydawało się senne. W pogrąŹonej w wiecznym zmierzchu Belłinzone nie

było ani godzin szczytu, ani ciszy nocnej. Ludzie zajmowali się czymś, jeśli byli w odpowiednim nastroju albo gdy nie mogli już tego odłożyć na później. Dawało się jednak wyczuć jakąś aktywność. Bywało tak, że w powietrzu zawisała przemoc, albo gotowa

natychmiast obudzić się do życia, albo przeciwnie, już nasycona, gdy zwijała się w kłębek jak leniwa bestia i mościła się do płytkiego snu.

Rocky podszedł do starego rybaka, który piekł rybnie głowy na ogniu rozpalonym w zardzewiałym wiadrze.

- Starcze - przemówił do niego po angielsku. Rzucił w jego stronę paczuszkę z

kokainą. Stary chwycił ją w locie, powąchał i wsadził do kieszeni. - Pilnuj mojej łodzi -

powiedział Rocky. - Kiedy wrócę, dam ci jeszcze jedną.

Rocky odwrócił się i pomost zadudnił odgłosem jego czterech twardych kopyt.

Tytania zachowała ostrożność, ale raczej się nie bała. Ludzie potrzebowali wiele

czasu, aby się czegoś nauczyć, ale teraz wiedzieli już wystarczająco dużo. Kiedy skończyła im się amunicja, tytanie przestały być łagodne.

Tak naprawdę nigdy takie nie były, ale cechowało je spore wyczucie realizmu. Nie

było sensu klócić się z uzbrojonym człowiekiem. Przez większą część stulecia większość ludzi na Gai miała broń. Teraz zabrakło kul i Rocky mógł przemierzać pomosty Bellinzony bez większego strachu.

Swoją wagą przerastał pięciu ludzi, a siłą dziesięciu. Był też dwukrotnie szybszy.

Zaatakowany przez człowieka, potrafił bez żadnego wahania pozbawić go kopniakiem głowy i gołymi rękoma rozedrzeć na strzępy. Napadnięty przez bandę złożoną z pięćdziesięciu ludzi, potrafił uciec. A jeśli już nic nie mogło mu pomóc, dysponował jeszcze naładowanym rewolwerem kalibru 38, cenniejszym niż złoto, który nosił w sakiewce przy brzuchu.

Zamierzał jednak przekazać tę broń, nie oddawszy z niej ani jednego strzału, Kapitan Jones.

Kiedy tak truchtał przez mroczne miasto, stanowił niesamowity widok.

Wyprostowany, miał trzy metry wzrostu i jak się wydawało, co najmniej metr szerokości.

Choć kształtem przypominał centaura, był znacznie smuklejszej budowy od swego

klasycznego greckiego modelu i różnił się szczegółami, nie posiadał bowiem Unii

odgraniczającej ludzkie i końskie cechy. Całe jego ciało było zupełnie gładkie i bezwłose, poza gęstymi, czarnymi puklami zwisającymi z głowy i ogona oraz włosami łonowymi

między przednimi nogami. Jego skóra miała odcień limonowej zieleni. Nie nosił ubrań, a za to przystrajał się biżuterią i fantazyjnym makijażem. Najbardziej zaskakujące w nim było to, że ludzie, którzy nigdy przedtem nie widzieli tytanii, na pierwszy rzut oka brali go za stworzenie rodzaju żeńskiego. Było to jednak złudzenie: wszystkie tytanie miały wielkie, stożkowate piersi, długie rzęsy, szerokie, zmysłowe usta i żadna nie nosiła brody. Górna, półtorametrowa część ciała tytanii była natychmiast identyfikowana z kobietami wszelkich ziemskich kultur. Jednakże płeć tytanii określały organy znajdujące się między jej przednimi nogami. Rocky był istotą rodzaju męskiego, która mimo tego mogła rodzić dzieci.

Szedł po wąskich pomostach, wystających ponad nieskończonymi rzędami łodzi,

mijając rozstępujących się przed nim ludzi. Rozdymał szeroko nozdrza, wciągając w nie najrozmaitsze wonie - piezzonego mięsa, ludzkich ekskrementów, przebywającego gdzieś daleko hutnika, świeżych ryb, ludzkiego potu - lecz ani razu nie poczuł zapachu kapłana.

Stopniowo przybliżał się do bardziej uczęszczanych przejść i szerokich kanałów Bellinzony.

Stukał kopytami po mostach, ukształtowanych w tak wysokie łuki, że stanowiły nieomal półkola. Dzięki nim łatwiej było sobie radzić z grawitacją Gai wynoszącą jedną czwartą ziemskiej.

Zatrzymał się na skrzyżowaniu tuż przy wejściu do Dzielnicy Wolnych Kobiet.

Rozejrzał się dookoła, świadom, że przy linii zakazu stacjonuje oddział siedmiu Wolnych Kobiet, ale się tym nie przejmował. Mógł wejść do dzielnicy, jeśli tylko chciał, strażniczki strzegły wejścia jedynie przed ziemskimi samcami.

W pobliżu kręciło się niewielu ludzi. Jedynym człowiekiem, którego Rocky dostrzegł, była kobieta, na oko dziewiętnasto- lub dwudziestoletnia, choć tytania z trudem przychodziło odgadywanie wieku ludzi znajdujących się między okresem dojrzewania a menopauzą.

Kobieta siedziała na słupku, z podbródkiem wspartym na dłoniach. Była ubrana w głęboko wycięte czarne trzewiki z topornie ukształtowanymi czubkami i długimi wstążkami opasującymi kostki.

Kiedy spojrzała na niego, Rocky natychmiast się zorientował, że inni ludzie z pewnością uznają tę kobietę za szaloną. Widział także, że nie można jej uznać za

niebezpieczną. Ty-tania nie zastanawiała się nad pojęciem szaleństwa, słowo to pochodziło wszak z ludzkiego języka. Zresztą połączenie obłądu z łagodnością stworzyło ludzi, których Rocky cenił najbardziej. W końcu Cirocco Jones była szalona...

Uśmiechnął się do kobiety, która przekrzywiła głowę, stanęła na palcach, podniosła ręce i nagle uległa przemianie. Zaczęła tańczyć.

Rocky znał jej historię. Takich jak ona było tysiące: ludzie-śmieci, pozbawieni domu, przyjaciół, czegokolwiek. Rocky słyszał o jakichś żebrakach z Kalkuty, którzy mieli przynajmniej skrawek chodnika do spania. Kalkuta była już tylko wspomnieniem. Wielu mieszkańców Bellinzony nawet tego nie miało. Wielu na zawsze przestało spać.

Ile lat mogła mieć ta dziewczyna, kiedy wybuchła wojna? Piętnaście? Szesnaście?

Przeżyła ją, zabrana z ulicy przez nasienie z Gai, i trafiła tutaj, pozbawiona nie tylko dobytku, kultury i wszystkich ludzi, którzy kiedyś coś dla niej znaczyli, ale również rozumu.

A jednak była bogata. Ktoś, z pewnością dawno temu, jeszcze na Ziemi, nauczył ją tańczyć. Nadal potrafiła to robić i miała baletki. A także swoje szaleństwo. Coś takiego liczyło się na Gai. To był rodzaj ochrony. Tym, którzy dręczyli obłąkanych, często przytrafiały się złe rzeczy.

Rocky wiedział, że ludzie nie widzą tańca świata. Niewielu obecnych przy tej scenie zauważyło, że kobieta tańczy, nie potrafili usłyszeć dźwięków, które rozumiała tytania. Na widok tych podskoków i płaśów Rocky odniósł wrażenie, że to koncert Filharmonii z

Titantown. Gaja stanowiła cudowną scenę baletową. Pozwalała unosić się zawsze w

powietrzu i sprawiała, że chodzenie na czubkach palców wydawało się naturalnym sposobem poruszania się ludzi - o ile w ogóle można było o nich powiedzieć, że znają jakiś sposób.

Ludzki taniec rodził w Rockym nastrój beztróskiego podniecenia. Już sam fakt, że ludzie potrafili chodzić, zakrawał na cud, a co dopiero ten taniec...

I właśnie na tym plugawym pomoście, na skraju ludzkiego śmietniska kobieta w kompletnej ciszy odegrała "La Syl-phide".

Na koniec dygnęła i uśmiechnęła się do niego. Rocky sięgnął do sakiewki i wyszperał

jeszcze jedną paczuszkę z kokainą, choć w jego mniemaniu była to mizerna zapłata choćby za sam uśmiech. Tancerka spojrzała na kokainę i ponownie dygnęła. Pod wpływem nagłego odruchu tytania podniosła rękę, wyciągnęła jeden z białych kwiatów, które miała wplecione we włosy, i podała go dziewczynie. Tym razem uśmiech był jeszcze słodszy, wywoływał łzy w oczach.

—  
Grazie, padrone, mille grazie - powiedziała tancerka i pośpiesznie odeszła.

—  
Czy dla mnie też masz kwiata, szkapo?

Rocky odwrócił się i ujrzał niskiego, potężnie zbudowanego mężczyznę, czy też

"Byka Kanadyjczyka", jak lubił się przedstawiać. Tytania знаła Conalą od trzech lat i uważała go za rozkosznie obłąkanego.

—  
Nie myślałem, że interesujesz się ludzkimi...

—  
Tylko nie mów o żadnych "tyłkach", Conal, bo inaczej usunę ci kilka zębów.

—  
A niby czemu? Co się tak jeżysz?

—  
Jako kompletnie głuchy na piękno i tak byś pewnie nie zrozumiał. Zadowol się stwierdzeniem, że twój widok w tym miejscu przypomina łajno w wazie z epoki Ming.

Dobra, spróbuję. - Wzruszył ramionami okrytymi płaszczem podbitym owczym

runem, rozejrzał się dookoła i ostatni raz zaciągnął się niedopałkiem cygara, aby go potem cisnąć do mętnej wody. Conal zawsze nosił ten płaszcz. Rocky uważał, że dzięki temu interesująco pachniał.

—  
Widziałeś coś? - spytał wreszcie Conal. Spojrzał w stronę siedmiu sióstr

strzegących dzielnicy, które odwzajemniły spojrzenie i niezobowiązująco wycelowały broń w jego stronę.

—  
Nie. Nie poznałem jeszcze miasta, ale wydaje mi się spokojne.

—  
Mnie też. Miałem nadzieję, że wywęszyłeś coś, czego ja nie zauważyłem. Sądzę jednak, że już dawno nikt niebezpieczny się tu nie pojawił.

—  
Wiedziałbym o tym, gdyby tak było - potwierdził Rocky.

—  
No to chyba mogą ruszać. - Spochmurniał i spojrzał na tytanie. - Chyba że chcesz jej to wyperswadować.

—  
Nie mogę i nie chcę - powiedział Rocky. - Dzieje się coś wyjątkowo niedobrego.

Trzeba coś zrobić.

—  
Tak, ale...

- To nie jest aż takie niebezpieczne, Conal. Nie skrzywdzę jej.

- Na twoim miejscu bym się nie odważył.

Tego pierwszego dnia Cirocco i Conal długo się targowali. Choć od tego czasu minęło już wiele lat, Conal dobrze to sobie zapamiętał. Zobowiązał się do służby na całe życie.

Ciocco twierdziła, że to za długo, że to okrutna i niespotykana kara. Zaproponowała dwa myriaobroty. Conal stopniowo opuszczał do dwudziestu. Czarodziejka zaoferowała trzy.

Stańło w końcu na pięciu. Jednakże Ciocco nie wiedziała ani wtedy, ani teraz, że Conal miał zamiar dotrzymać swej pierwotnej obietnicy. Będzie jej służył aż do śmierci.

Kochał ją całą duszą.

Co nie oznaczało, że nigdy się nie załamywał, że nigdy nie miał złych chwil. Czasami siadywał w ciemności, kompletnie samotny, nie bacząc na niebezpieczeństwa, i dawał się ponieść napadowi złości, wściekając się, że tak źle go traktowała, że robiła mu rzeczy, na ktore nie zasługiwał. Zadręczał się tak "po nocach", bezsenne spędzając wieczne gajańskie popołudnie, czując, jak narasta w nim bunt, i poznając smak śmiertelnego strachu. Czasami bowiem przychodziło mu na myśl, że istnieje gdzieś jakieś nie znane mu miejsce, w którym czułby do niej nienawiść, a to byłoby okropne, bo była najcudowniejszą istotą, jaką kiedykolwiek poznał. Przecież darowała mu życie. Przedtem tego nie wiedział, teraz jednak był przekonany, że sam by tego nie zrobił. Osobiście zastrzeliłby takiego głupiego, wścibskiego durnia, maniaka komiksów. Gdyby dzisiaj spotkał takiego idiotę, na pewno by go zabił. Jedna seria w głowę, łup! Bo tylko tak należało postąpić.

Pierwsze kiloobroty okazały się trudne. Nadal się dziwił, w jaki sposób udało mu się pozostać przy życiu. Ciocco zazwyczaj nie miała czasu, aby się o niego troszczyć, więc zostawiała go po prostu samego w jaskini, z której nie mógł uciec. Miał mnóstwo czasu na przemyślenia. Zdrowiał i przyglądał się sobie po raz pierwszy w życiu. Nie w lustrze - w grocie nie było luster, co przez jakiś czas doprowadzało go do furii, bo przywykł do podziwiania przyrostu swych mięśni, a zresztą chciał zobaczyć, do jakiego stopnia go oszpeciła. W końcu zaczął się rozglądać w innych kierunkach. Spojrzał w lustro minionych doświadczeń i wcale nie ucieszyło go to, co zobaczył.

Bo co właściwie posiadał? Summa summarum tylko silne ciało (obecnie połamane) i... swoje słowo. I nic więcej.

Intelekt? A gdzie tam. Wdzięk? Niestety, Conal. Elokwencja, cnotliwość, prawość, umiar, uczciwość, wdzięczność, uczuciowość? Cóż...

Jesteś silny - powiedział sobie - ale nie teraz, i ona, spójrz prawdzie w oczy, pokona cię, kiedy tylko zechce. Jesteś dość przystojny, tak przynajmniej twierdziły dziewczyny, ale czy możesz na to liczyć? Nie, taki się tylko urodziłeś. Kiedyś byłeś zdrowy, ale teraz już nie jesteś, ledwie trzymasz się na nogach.

Co więc pozostało? Ano, tylko honor.

Musiał się zaśmiać. Sprawa honoru - powiedziała Ciocco chwilę przed tym, jak tytania podstępnie go ogłuszyła. Ale czym w takim razie jest honor?

Conal nigdy nie słyszał o markizie Queensbury, ale nauczył się gentlemańskich zasad.



Nie strzela się komuś w plecy. Tortury są niezgodne z Konwencją Genewską. Zawsze należy oddać ostrzegawczy strzał w powietrze. Mówić przeciwnikowi o swoich zamiarach. Dać mu szansę równej walki.

To wszystko znakomicie pasowało, ale do gier. Zasady rządzą tylko grami.

- Czasami trzeba sobie wymyślać własne zasady - powiedziała mu znacznie później

Cirocco. Jednak wtedy sam już do tego doszedł.

Czy to oznaczało, że nie istnieją żadne zasady? Nie. To znaczyło po prostu tyle, że należy zdecydować, według jakich zasad żyć tak, żeby przeżyć, ponieważ Girocco mówiła właśnie o przetrwaniu, a w tym była lepsza niż ktokolwiek w historii ludzkości.

- Najpierw musisz określić, na ile ważne jest dla ciebie przetrwanie - powiedziała. -

Wówczas już będziesz wiedział, co robić, aby przetrwać.

W stosunku do wrogów zasady nie istniały. Honor się tu nie liczył. Wroga najlepiej zabić z dużej odległości, bez ostrzeżenia, strzałem w plecy. Jeżeli trzeba torturować wroga, należy mu wypruć wszystkie flaki. Okłamywało się, jeśli tak było trzeba. Takie rzeczy nie mają znaczenia. Wróg to wróg.

O honor należało dbać jedynie w otoczeniu przyjaciół.

Conal ledwie potrafił to pojąć. Nigdy nie zawierał z nikim przyjaźni, a jakoś trudno mu było zacząć od Girocco, która wydawała się raczej najlepszą kandydatką na największego wroga. Nikt dotąd nie skrzywdził go choć w jednej tysięcznej tak jak ona.

Wciąż jednak powracał do swojej listy. Jego słowo. Dał swoje słowo. Nagiemu, bezbronnemu, oddzielonemu sekundami od śmierci tylko to pozostało, ale dał je uczciwie.

Albo orzynajmniej tak myślał. Sęk tkwił w tym, że nadal myślał o zabiciu Girocco.

Przez jakiś czas uważał, że warto poświęcić życie dla tego celu. Całymi godzinami stał na skraju przepaści, gotów skoczyć, i przeklinał się za to, że dał się tak upodlić.

Kiedy wróciła po upływie hektoobrotu, powiedział jej, o czym myślał. Nie śmiała się.

Zgadzam się, że danie słowa jest coś warte - powiedziała. - Moje też coś dla mnie znaczy, więc nie daję go ot tak sobie.

Ale okłamałabyś wroga, prawda?

—

Na tyle, na ile bym musiała. Musiał to przemyśleć.

—

Już ci o tym wspominałam - powiedziała - ale to należy powtarzać. Przysięga dana pod przymusem nie jest wiążąca. W ogóle bym się nad tym nie zastanawiała. Przysięga, której nie dałam z własnej woli, to żadna przysięga.

—

Zatem nie spodziewasz się, że ja dotrzymam swojej?

—

Szczerze mdwiąc, nie. Nie widzę powodu.

—

To dlaczego się na nią zgodziłaś?

—

Z dwóch powodów. Uważam, że w razie czego jestem w stanie przewidzieć twój ruch i zabić cię, natomiast Piszczalka uważa, że dotrzymasz słowa.

—

Tak będzie - powiedział Piszczalka.

Conal nie rozumiał, dlaczego tytania tak mu ufa. Niebawem znowu zostawiły go

samego i miał więcej czasu na myślenie, ale przyłapał się na tym, że ciągle wędruje tymi samymi drogami. Przysięga dana pod przymusem... i to jego Słowo.

Na koniec nie pozostało już nic. Musiał skoczyć, albo dotrzymać słowa. Startując od tej szczątkowej godności, być może miał szansę stać się kimś, kogo Czarodziejka uszanuje.

Conal i Rocky weszli do dzielnicy Wolnych Kobiet. Wszystkie siedem strażniczek

zbadalo skrupulatnie przepustkę Conala i mimo tego, że ją posiadał, najwyraźniej nie miało chęci go przepuścić. Od czasu założenia dzielnicy przed dwoma laty żadnemu z męskich osobników z Ziemi nie udało się pokonać więcej niż pięćdziesiąt metrów poza bramami i przeżyć, aby móc potem o tym

powiedzieć. Jednakże Wolne Kobiety, z samej swojej natury, były grupą ludzką, która uznawała autorytet Czarodziejki. Cirocco Jones była dla nich boginią, istotą nadprzyrodzoną, żywym wcieleniem legendy. Jej wpływ na Wolne Kobiety był

mniej więcej taki, jaki mógłby mieć bezspornie prawdziwy, żywy, oddychający Holmes na grupę fanatycznych Sherlockianistów: dostawała wszystko, o cokolwiek poprosiła. Jeśli chciała, aby ten człowiek wszedł do zony, to tak musiało się stać.

Za posterunkiem straży znajdował się stumetrowy pasaż zwany Zoną Śmierci. Były

tam mosty zwodzone, opancerzone bunkry ze szczelinami strzelniczymi i kotłami na wrzący olej - wszystko tak zaprojektowane, aby przetrzymać atak na tyle długo, aby amazonki mogły zorganizować swe siły.

Czekała na nich jakaś kobieta. Obnosiła swoje czterdzieści pięć lat z takim spokojem, jaki wielu chciałoby osiągnąć, lecz udaje się to tylko nielicznym. Miała długie i siwe włosy.

Zgodnie ze zwyczajami panującymi w domach Wolnych Kobiet od pasa w górę nie miała na sobie nic. W miejscu, gdzie kiedyś była prawa pierś, widniała teraz gładka, niebieskawa blizna, zakrzywiająca się od mostka do siódmego zębra.

—

Mieliście jakieś kłopoty? - spytała kobieta.

—

Cześć, Trini - powiedział Conal.

—

Żadnych - zapewniła ją tytania. - Gdzie ona jest?

—

Tędy. - Trini zstąpiła z pomostu na pokład barki. Rocky i Conal zeszli do innej

łodzi, nieco mniej okazałej, po czym po rozkołysanym mostku zbudowanym z deszczulek przedostali się do trzeciej łodzi.

Ta wyprawa była czymś fascynującym dla Rocky'ego, którego zawsze ciekawiło, jak

wyglądają ludzkie gniazda. Stwierdził, że są przede wszystkim brudne i pozbawione

prywatności. Niektóre z łodzi były bardzo niewielkie - maleńkie łupiny, jedne osłonięte płóciennymi markizami, a inne całkowicie nie zabezpieczone przed działaniem żywiołów. Na wszystkich gnieździły się kobiety w najrozmaitszym wieku, fonał widział kobiety śpiące w kojach umieszczonych w

możliwie jak największej odległości od prowizorycznego

gościńca. Wiele kobiet doglądało ognia i dzieci.

Doszli wreszcie do większej łodzi z solidnym pokładem. Była zacumowana tuż obok

granic dzielnicy, w pobliżu otwartych wód Zatoki Peppermint. Na pokładzie rozbito duży namiot. Trini rozchyliła jedno ze skrzydeł i Conal z Rockym weszli do środka.

W pomieszczeniu, które mogło pomieścić wygodnie pięć tytani, zastali ich sześć.

Rocky była siódma. Oprócz Conala jedynym człowiekiem w tym towarzystwie była Cirocco Jones, która opatulona w koce leżała w czymś, co wyglądało jak bardzo niski fotel fryzjerski.

Głowa Cirocco wystawała poza pokład, a fotel ścisnęła między swoimi podwiniętymi,

żółtymi przednimi nogami Valiha (Solo Eolskie) Madrygał. Tytania powoli przeciągała brzytwą po czaszce Cirocco, kończąc właśnie golić jej czubek.

Cirocco podniosła głowę i Valiha zagruchała ostrzegawczo. Rocky zauważył, że

głowa Czarodziejki chwiała się, jej wzrok był zamglony i że mówiła niezbyt wyraźnie, ale tego należało się spodziewać.

- Dobrze - powiedziała Cirocco. - Możemy już zacząć. Tnij, kiedy będziesz gotów, doktorku.

Spośród zgromadzonych w namiocie tytani Conal dobrze znał tylko cztery:

Rocky'ego, Valihę, rzecz jasna Piszczalkę oraz syna Valihey, Serpenta. Valiha i Serpent wyglądali jak bliźnięta jednojajowe, gdyby nie przednie narządy płciowe, a przecież Valiha miała dwadzieścia, zaś Serpent zaledwie piętnaście lat. Przez dłuższy czas Conal nie potrafił

ich odróżnić. Skinął głową w stronę Violi (Duet Hypolidyjski) Toccata, którą ledwie znał, i został przedstawiony Czeleście i Clarino, obydwóm z akordu Psalm, które odkloniły mu się z powagą.

Patrzył, jak Rocky wchodzi do środka namiotu i klęka u boku Kapitana. Serpent podał

mu czarną torbę, z której wyjął stetoskop. Kiedy Rocky wkładał do uszu słuchawki, Cirocco schwyciła drugi koniec przyrządu i przyłożyła go sobie do nagiej czaszki, po czym

postukała się po niej pięścią.

—

Dong... dong... dong... - zaintonowała Cirocco głuchym głosem i naraz zaczęła się

śmiać.

---

Bardzo śmieszne, Kapitanie - powiedział Rocky. Podał Serpentowi, odpowiedzialnemu za sterylizację, błyszczące stalowe skalpele i wiertła. Conal podszedł bliżej i usiadł obok Rocky'ego. Cirocco schwyciła jego dłoń żelaznym uściskiem.

---

Tak się cieszę, że mogłeś przyjść, Conal - powiedziała i ni stąd, ni zowąd znowu się roześmiała. Conal pojął, że Czarodziejka została czymś odurzona. Jedną z sidstr Psalm odkryła otulone kocem stopy Cirocco i zaczęła w nie wtykać igły, obracając je między kciukiem i palcem wskazującym.

---

Aua - powiedziała Cirocco, niezbyt przekonująco. - Aua. Uff.

---

Czy to boli?

- Gdzie tam. Nic nie czuję. - I zaczęła chichotać.

Conal spocił się. Patrzył, jak Rocky pochyla się, zdejmując koc z piersi Cirocco i przykłada ucho do jej serca. Nasłuchiwał jeszcze w innych miejscach, po czym przyłożył ucho do głowy. Powtórzył to samo z użyciem stetoskopu, ale było widać, że nie żywi zbytniego zaufania do tego przyrządu.

- Czy nie jest tu potwornie gorąco? - spytał Conal.

- Zdejmij płaszcz - powiedział Rocky, nie patrząc na niego.

Conal rozebrał się i wówczas zauważył, że jednak jest chłodno. W każdym razie pot na jego ciele był zimny.

---

Powiedz mi, doktorku - spytała Cirocco - czy kiedy skończysz, będę mogła grać na pianinie?

---

Oczywiście - odparł Rocky.

—

To wspaniale, bo ja...

—

...w ogóle nie umiem na nim grać - dokończył Rocky. - To bardzo oklepane,

Kapitanie.

Conal nigdy tego nie słyszał i nie mógł się pohamować aby się nie roześmiać.

- Co ty, do diabła, robisz? - ryknęła Cirocco, próbując się podnieść. - Ja tu zaraz umrę, a tobie się wydaje, że to śmieszne, tak? Ja cię... - Conal nie usłyszał, co z nim robi, bo Rocky zaczął ją uspokajać. Gniew minął równie szybko, iak się pojawił i Cirocco ponownie się roześmiała. - Hej, doktorku, czy będę mogła grać na pianinie?

Rocky rozsmarowywał jakiś czerwony roztwór na czole Cirocco, a trzy inne tytanie

zaczęły cicho śpiewać. Conal wiedział, że jest to pieśń, która uspokaja, ale na nim nie robiła żadnego wrażenia. Cirocco natomiast wyraźnie się odprężyła. Pieśń prawdopodobnie

pomagała, jeśli rozumiało się słowa.

Możesz poczekać na zewnątrz, Conal - oświadczył Rocky, nie podnosząc wzroku.

O czym ty gadasz? Właśnie, że tu zostanę. Ktoś musi pilnować, czy robisz to jak

należy.

—

Naprawdę uważam, że powinieneś wyjść - upierał się Rocky, tym razem

spoglądając na niego.

—

Dla mnie to pestka. Wytrzymam.

—

Proszę bardzo.

Rocky ujął skalpel i szybkim, pewnym ruchem naciął duże, odwrócone "C" od czubka

głowy Cirocco aż do jej brwi. Powalanymi purpurą palcami odwinął płat skóry w prawo, odsłaniając zakrwawioną czaszkę.

- Wyprowadźcie go - powiedział Rocky. - Za kilka minut mu przejdzie.

Rocky usłyszał trucht Czelesty wynoszącej bezwładne ciało Conala, podobnie jak

wcześniej usłyszał odgłos jego upadku na podłogę, ale ani razu nie oderwał oczu od swej pracy. Wiedział, że Conal zemdleje. Ostrzegał o tym krzykiem praktycznie od dziesięciu minut. Każdy uzdrowiciel wychwyciłby te objawy, mimo że dla ludzkiego ucha były niesłyszalne.

Jeśli istniał jakiś teren niekwestionowanej wyższości tytanii, to było nim ucho.

To właśnie ucho tytanii usłyszało po raz pierwszy dziwne dźwięki wydobywające się

z głowy Cirocco. Nie były to dźwięki, które dawały się nagrać na magnetofon - w ludzkim sensie tego słowa nie można było nawet nazwać tego dźwiękami. Jednakże wszyscy kolejni tytanijni uzdrowiacze słyszeli je: szept zła, pomruk zdrady. Było tam coś, czego być nie powinno. Nikt nie miał pojęcia, co to takiego.

Rocky przestudiował ludzką anatomię. Mówiło się o tym, że do tej operacji należy znaleźć lekarza-człowieka, ale Ci-rocco ostatecznie nie wyraziła na to zgody, bardziej ufając dłoniom przyjaciela.

Tak więc teraz przygotowywał się do otwarcia czaszki istoty, która była dla tego świata tym, czym Jezus Chrystus był dla sekty stworzonej przez ludzi zwanych chrześcijanami.

Miał nadzieję, że nikt nie zauważy, jak bardzo jest przerażony.

—  
Jak to wygląda? - spytała Cirocco. Rocky uznał, że jej głos brzmi lepiej, było w nim dużo mniej napięcia. Przyjął to za dobry znak.

—  
Nie mogę niczego odczytać. Jest tu wielka czarna ósemka w białym kole...

Cirocco zachichotała.

Myślałam, że będzie tam napis: “Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu

wchodzicie”. - Zamknęła na moment oczy i odetchnęła głęboko. - Przez chwilę wydawało mi się, że to czuję - powiedziała drżącym głosem.

—  
Niemożliwe - odparł Rocky.

—  
Skoro tak mdwiesz. Czy mogę się napić?

Valiha przyłożyła słomkę do jej ust i Czarodziejka upiła łyk wody.

- Jest tak, jak myślałem - powiedział Rocky, kiedy skończył uważnie słuchać. - Kłopot tkwi gdzieś głębiej.

- Mam nadzieję, że nie nazbyt głęboko.

Rocky wzruszył ramionami i sięgnął po wiertło.

- Jeśli tak jest, nic na to nie poradzę. - Podłączył wiertło do prądu i sprawdził je, przysłuchując się piskliwemu jazgotowi. Cirocco skrzywiła się.

- Opowiedz mi coś o rock and rollu - poprosiła.

Rocky przyłożył czubek wiertła do czaszki Cirocco i uruchomił wiertarkę.

- Rock and rolli był połączeniem kilku pierwiastków muzycznych istniejących w ludzkiej kulturze wczesnych lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku - zaczął Rocky. -

Rhythm and blues, jazz, muzyka gospel, trochę wpływów country...

Wszystko to zaczęło się pojawiać pod różnymi nazwami w różnych stylach około

1954 roku. Większość naszego akordu zgodnie uważa, że pierwszą syntezę osiągnęło w piosence “Maybellene” Chucka Berry’ego.

Why cancha be true?” - zanuciła Cirocco.

Rocky przestawił wiertło w inne miejsce i przyjrzał się podejrzliwie Czarodziejce.

Przeprowadzałaś jakieś studia - powiedział oskarżycielskim tonem.

- Po prostu ciekawiła mnie nazwa twojego akordu.



To była chluba historii muzyki - przyznał Rocky. - Przez jakiś czas posiadała wielką moc przyciągania, lecz jej potencjał wkrótce się wyczerpał. W tamtych czasach było to naturalnie częste zjawisko, nowa forma muzyczna rzadko utrzymywała się przez dwa lata, a jeszcze rzadziej przez dziesięciolecie.

---

Rock and roli trwał przez pięć dziesięcioleci, prawda?

---

Zależy, z kim o tym rozmawiasz. - Rocky skończył wiercić drugi otwdr i zabrał się za trzeci. - Gatunek muzyczny zwany rockiem utrzymywał się przez długi czas, ale utracił kontakt ze swoim zeitgeistem.

---

Tylko bez takich sldw. W końcu jestem tylko głupim człowiekiem.

---

Przepraszam. Energia twdrcza wyczerpywała się w produkcji coraz to bardziej

bizantyjskiej, pokonywana przez możliwości techniczne, do wykorzystania albo zrozumienia których brakowało jej gwałtowności, rozmachu i inteligencji. Stała się pustą bańką z błyszczącą powłoką, bardziej zaabsorbowaną samą praktyką niż teorią. Perfekcjonizm nigdy nie był jej silnym atutem i wkrótce został zupełnie zarzucony. Wielkość danego artysty zaczęto mierzyć w decybelach i megadolcach. Nie zastąpiona przez nic innego, kulała się jakoś do przodu, martwa, choć nie pogrzebana, aż kiedyś tam, w połowie lat

dziewięćdziesiątych, zaczęto ją wreszcie lekceważyć i traktować jako muzykę poważną.

- I takie gorzkie słowa mówi ktoś o nazwisku Rock'n'Roll.

Rocky skończył właśnie wiercić piąty otwdr i zabrał się za następny.

---

Ale skąd. Nie chcę tylko deifikować trupa, jak to zwykli robić niektórzy naukowcy.

Muzyka barokowa tak długo będzie żywa, dopdki się znajdą tacy, którzy jej z przyjemnością słuchają. W takim sensie żyje również rock and roli. A przecież barok wyczerpał swoje możliwości setki lat temu. Tak samo rock.

---

A kiedy umarł rock?

—

Zdania są podzielone. Jedni twierdzą, że w 1970, kiedy McCartney wytoczył

proces Beatlesom. Drudzy uważają, że stało się to dopiero w 1976. Jeszcze inni z różnych powodów wymieniają rok 1964.

—

A jakie jest twoje zdanie?

—

Między 64 a 70. Raczej bliżej 64.

Do tej pory wyborował już osiem otworów i teraz zaczął je łączyć przy pomocy

nacięć. Pracował w milczeniu, gdyż Cirocco chwilowo nie miała nic do powiedzenia. Słysząc było jedynie dźwięk piły i ciche chlupotanie wody uderzającej o burty łodzi.

- Czytałam pochlebne recenzje na temat Eltona Johna - powiedziała Cirocco.

Rocky skwitował to parsknięciem.

—

A jak to było z odnową rocka w latach osiemdziesiątych?

—

Zwykle śmieci. Czy teraz wspomnisz jeszcze coś o disco?

—

Nie, o tym nie będę mówić.

—

To dobrze. Nie chcesz chyba, żeby omsknęły mi się palce?

Cirocco wrzasnęła.

Rocky omal nie wypuścił piły z ręki. Nigdy nie słyszał tak straszliwego bólu w

ludzkim głosie. Krzyk stawał się coraz bardziej przenikliwy i głośny, tak że Rocky miał

ochotę umrzeć. Co on takiego zrobił? Jak to się stało, że zadał tyle bólu swojemu

Kapitanowi?

Gdyby nie silne ręce Valihy, Cirocco zdarłaby sobie skórę z twarzy. Wszystkie

mięśnie w jej ciele naprężyły się i sterczały teraz jak kable. Wyrwała się, krzyk zamarł nagle z powodu braku oddechu. Ta cisza była dla Rockj'ego jeszcze bardziej bolesna. Czarodziejka usiłowała przegryźć sobie język więc Serpent wepchnął jej kawałek drewna między zęby, ale udało mu się to zrobić tylko połowicznie. Podkładka była głaba i Rocky usłyszał trzask szczęki.

Nagle wszystko się skończyło. Cirocco otworzyła oczy i ostrożnie obrdciła głowę,

jakby wypatrując czegoś, co zaraz miało na nią skoczyć. Patyk był prawie przegryziony na pół.

Co to było? - spytała bełkotliwie. Rocky delikatnie obmacał jej szczękę i postanowił, że opatrzy ją później.

Miałem nadzieję, że ty mi powiesz. - Odchylił głowę, aby Serpent mógł otrzeć mu pot z twarzy.

To było tak... jakbym poczuła jednocześnie wszystkie migreny świata. - Wyglądała na zaintrygowaną.  
- Ale już ledwie to pamiętam. Jakby to się nigdy nie zdarzyło.

- Chyba powinnaś się z tego cieszyć. Czy mam operować dalej?

- O czym ty mówisz. Nie możemy teraz przestać.

Rocky spojrział na swoją dłoń, która wreszcie przestała się trząść. Zastanawiał się, co go pokusiło, aby studiować ludzką anatomię. Gdyby nie był tak cholernie ciekawski, teraz na jego miejscu byłby ktoś inny.

—  
To przypominało jakby ostrzeżenie. - Tylko to przyszło mu na myśl. Choć nikomu tego nie powiedział, domyślał się mniej więcej, co znajdzie pod czaszką Cirocco.

—  
Otwieraj - powiedziała pacjentka i ponownie zamknęła oczy.

Rocky zrobił, co mu kazano. Dokończył ostatnie cięcie i wyjął fragment kości. Tak

jak mu to objaśnił Gray, pod spodem znajdowała się opona twarda, a pod błoną mdzg. W

środku, w podłużnej szczelinie między dwoma przednimi płatami, widać było obrzmienie, którego tam być nie powinno. Miało kształt odwróconego krzyża, niczym znak diabła...

“To znak Demona” - pomyślał Rocky.

I kiedy tak patrzył, obrzmienie drgnęło.

Naciął je dookoła, oddzielił błony od znajdującej się pod nimi materii szarej i spojrział na koszmar. Koszmar odwzajemnił spojrzenie i mrugnął.

Oprócz głowy był cały jasnobiały i przezroczysty. Wyglądałby jak małeńki wąż, gdyby nie ręce zakończone miniaturowymi, szponiastymi dłońmi. Jego ciało spoczywało w podłużnej szczelinie, a ogon zwisał między półkulami.

Rocky wychwycił to wszystko w ciągu kilku sekund; teraz przyglądał się jaszczurczej twarzy, obdarzonej ogromnymi, ruchliwymi oczami troglodyty. Usta poruszały się, były otoczone wargami i Rocky zobaczył język.

—  
Schowaj mnie z powrotem! - zaskrzeczało stworzenie i zaczęło się wkopywać do wnętrza płatów mózgu Cirocco.

—  
Pinceta - powiedział Rocky i zaraz poczuł ją w dłoni. Schwycił demona za kark i wyciągnął na zewnątrz. Ogon był jednak dłuższy niż sądził i nadal mocno tkwił w szczelinie.

—  
Światło! Światło! - zapiszczało stworzenie. Rocky ścisnął jego kark silniej i wtedy zaczęło się dławić.

—  
Dusisz mnie! - zachrypiało.

Nic bardziej nie zadowoliłoby Rocky'ego, niż ukreślenie mu karku, ale obawiał się, że może tym zaszkodzić Cirocco. Poprosił o następne narzędzie i energicznie rozdzielił nim połowy mózgu. Zobaczył teraz, że ogon potwora tkwi głęboko w corpus callosum.

- Matko - przemówiła dziwnym głosem Cirocco i zaczęła płakać.

Co robić? Co robić? Rocky był oszołomiony, ale wiedział jedno: nie może zamknąć głowy, dopóki nie usunie z niej tego stworzenia.

—  
Nożyce - powiedział. Kiedy już je trzymał, zaczął je wsuwać między półkule,  
najgłębiej, jak tylko mógł, aż w końcu złapał koniec ogona między ostrza. Wtedy się zawahał.

—  
Nie, nie, nie... - zawrzeszczało stworzenie, kiedy zorientowało się, co on robi.

Rocky jednak to zrobił.

Stwór wrzasnął w niebogłosey, ale Cirocco ani drgnęła. Rocky przez dłuższy czas  
wstrzymywał oddech, po czym odetchnął i ponownie zajrzał do środka. Zobaczył ucięty koniec  
ogona, który wił się przez chwilę, po czym oderwał od uwięzi, do której Rocky nie był  
w stanie sięgnąć. Teraz jednak został oderwany i Rocky sięgnął po niego szczypcami, po czym  
przypomniął sobie o swoim więźniu, który do tej pory zupełnie  
zsiniał. Podał piszczące paskudztwo Serpentowi, który wrzucił je do szklanego słoja i szczelnie  
zamknął. Rocky wyciągnął odciętą końcówkę ogona.

—  
Kapitanie, czy mnie słyszysz? - spytał.

—  
Gaby - wymamrotała Cirocco. Po chwili otworzyła oczy. - Tak, słyszę cię.

Widziałam, jak go wyciągałeś.

—  
Naprawdę?

—  
Tak, choć nie jestem pewna, jak to się odbyło. Już po wszystkim. Koniec. Wiem to.

—  
Gaja nie będzie dziś zadowolona - zaśpiewała Vali-ha. - Mamy jej szpiega. -

Uniosła słoje w górę. Zamknięte w jego wnętrzu stworzenie wiło się i ssało koniec  
amputowanego ogona.

Przepraszam za tamto - powiedział Conal, siadając obok Rocky'ego. Spojrzał na Cirocco nieco mętnym wzrokiem, ale panował nad sobą. - Chyba wszystko w porządku, prawda, Rocky? Nic w końcu nie znalazłeś?

Valiha pokazała Conalowi słój.

- Niech się ktoś nim zajmie - powiedział Rocky. - Czas już kończyć.

Jedenaście obrotów po tym, jak Rocky na powrót zaszył głowę Cirocco, w kinie "Pandemonium" rozpoczęto kolejny podwójny seans: "Rock Around the Clock" z Billem Haleym i the Comets oraz "Mózg Donowana".

Jak zwykle nie wiadomo, dlaczego Gaja wybrała właśnie te filmy ze swej przepastnej filmoteki, ale wielu ludzi, którzy przyszli na pokaz, zauważyło, że nie wydawała się zadowolona. Ledwie patrzyła na ekran. Wierciła się i popadała w zamyślenie. Była tak zdenerwowana, że w którejś chwili przypadkowo nadepnęła na dwa panafleksy i jednego człowieka, zabijając na miejscu całą trójkę.

Ciała szybko pożarli kapłani.

Odcinek dziesiąty

Nikommu nawet się nie śniło, że wojna może trwać siedem lat, ale tak się właśnie stało.

Tak jak losy każdej wojny, jej koleje toczyły się zmiennym rytmem. Był nawet taki

pięciomiesięczny okres, kiedy nie spadła żadna bomba, i niektórzy ośmielali się już mieć nadzieję, że odtąd tak będzie zawsze. Wtedy do ataku ruszyło Dallas i nastąpiła ponowna wymiana ognia. Czterokrotnie z jednego obszaru kuli ziemskiej przelatywały na drugi wielkie eskadry sterowanych pocisków - niezwykle potężnych "Niedzielných Szpil", których

zadaniem było raz na zawsze zakończyć konflikt. Żadnej jednak się to nie udało. Walczący odpadali po drodze, osiągając punkt, w którym nie było nikogo, kto mógłby dalej kierować atakiem. Jednakże bojowe centra jakichś dwudziestu kilku narodów były wkopane tak

głęboko, że mogły toczyć walkę jeszcze przez dwa stulecia.

Aż siedemdziesiąt procent broni okazało się wadliwej z tego czy innego powodu. Na

setki miast spadały niewypały, plując plutonem i powiadamiając mieszkańców, że za nimi lecą następne bomby. W wielu artykułach w prasie dziennikarze ubolewali nad chciwością producentów amunicji, którzy obcinali kupony od kontraktów rządowych, w nadziei, że nikt się nigdy nie dowie, iż

bomby są wadliwe. Linczowano dyrektorów fabryk - w ogóle

linczowanie stało się ogólnoświatową manią, czymś, co odrywało uwagę od wojny.

Generałów obdzierano żywcem ze skóry, dyplomatów wieszano i ćwiartowano, premierów gotowano w oleju, ale to wszystko nic nie dało. Ci, którzy się liczyli, siedzieli w bunkrach, pięć mil pod ziemią.

Czyniono starania w kierunku zawarcia pokoju, lecz każda konferencja kończyła się

zamianą goszczącego ją miasta w obłok pary. Oberwała i Genewa, i Helsinki, a po nich Dżakarta, Sapporo i Juneau. Doszło w końcu do tego, że do uczestników negocjacji strzelano, gdy tylko próbowali wejść do miasta.

Po siedmiu latach temat wojny nie pojawiał się już w wieczornych wiadomościach.

Zniszczono wszystkie organizacje zajmujące się zbieraniem informacji. Cały czas przekazu satelitarnego wykorzystywano do przekazywania zaszyfrowanych wiadomości militarnych, a zresztą i tak nikt już nie miał telewizora, aby odbierać jakiegokolwiek audycje. Wyczerpaniu uległa jedna setna ziemskiego arsenału nuklearnego, a jedna dwudziesta została zniszczona jeszcze przed użyciem. Wciąż jednak dużo było w zapasie.

Choć ludzi nie zostało już wielu.

Mniej więcej od trzech lat nie było już niczego, co mogło by się jeszcze liczyć.

Garstka tych, którzy przetrwali, kradła puszki z jedzeniem, polowała i zjadała się nawzajem.

Niewiele już jednak pozostało do złapania.

Od samego początku wojny mesjasze objawiali się z częstotliwością trzech lub

czterech na godzinę. Prawie każdy z nich twierdził, że wie, jak zakończyć wojnę, lecz żaden z nich tego nie zrobił. Większość już nie żyła i taki sam los miała wkrótce reszta zamieszkałych na Ziemi ludzi.

Przez siedem lat Koloniści drżeli z niepewności, spodziewając się najgorszego. Po

prędkim ogłoszeniu neutralności, tuż po wybuchu wojny, jedynym pragnieniem

księżycowych i marsjańskich miast oraz kolonii orbitalnych było uniknięcie konfliktu. W tym czasie ginęła cała ziemska cywilizacja. Trwały jedynie dyskusje, czy trzem narodom księżycowym uda się przetrwać bez wsparcia z Ziemi. Na początku wojny na Księżycu żyło około miliona ludzi. Marsjanie uważali, że przetrzymają dwadzieścia lat, ale nie dłużej.

Kolonie 0'Neila znacznie przewyższały swą liczbą osady planetarne. Były ich setki, a liczba mieszkańców każdej z nich wahała się od pięciu do stu tysięcy. Większość usytuowana została w

punktach L4 i L5 stabilności grawitacyjnej, na sześćdziesiątym stopniu przed i za Księżycem. Spore grupy znajdowały się też w L1 i L2, pomimo perturbacji, które sprawiały, że struktury te dryfowały z punktów li-bracji. Dzięki niewielkim silnikom sterującym nawet największa kolonia mogła pozostać stabilna przy minimalnym zużyciu energii.

Wojna trwała dalej, więc silniki okazały się przydatne do czegoś innego. Cichcem, nie podnosząc z tego powodu żadnej wrzawy, niektóre z kolonii 0'Neila zaczęły się przekształcać w pojazdy kosmiczne. Te nowsze były już wyposażone w odpowiedni napęd. Starsze

potrzebowały nieco więcej czasu i wchodziły na wolniejsze trajektorie. Migracja rozpoczęła się najpierw od tych, którzy uważali, że potrafią przetrwać bez Ziemi.

Można było się udać do wielu miejsc, ale żadne z nich nie było idealne. Ktoś

próbował orbity wokół Merkurego, gdzie znajdowały się wielkie ilości swobodnej energii.

Okazało się jednak, że ilości te są aż nazbyt wielkie. Kilka weszło na orbitę wokół Wenus i na trojańskie orbity względem Wenus. Liczniejsza grupa udała się w sąsiedztwo Marsa lub do trojańskich punktów Ziemi. Problem polegał na tym, że należało się znaleźć o tyle daleko od Ziemi, aby wyglądać jak cel, do którego nie warto strzelać i którego nie sposób trafić, a jednocześnie trzymać się wystarczająco blisko Słońca, aby przetrwać.

Bardzo niewielu zdecydowało się na wielki skok. Przekształcili swoje domy w statki kosmiczne i ruszyli w drogę.

Conal dowiedział się o tych wydarzeniach od uchodźców przybyłych w siódmym roku

wojny. Nieuchronnie musiał mu przyjść do głowy obraz poczerniałej Ziemi, rozpadającej się na kawałki, opasanej pierścieniami ognia. I stada maleńkich stworzonek uciekających z niej w popłochu.

—

Szczury, które opuszczają tonący okręt - powiedział do Cirocco.

—

A co twoim zdaniem powinny robić szczury? - odparowała. - Tonąć z godnością?

Szczur jest chyba najsprytniejszym i najtwardszym stworzeniem. Ani szczury, ani te szaraki nie są nic winne temu statkowi.

—

Nie musisz mi zaraz prawić kazań.

—



Będę robiła to tak długo, jak długo będziesz uważał, że trzeba wierzyć

psychopatom. Każdy, kto jeszcze może uciec z Ziemi i tego nie robi, to ktoś taki, kto twierdzi, że nie ma nic złego w dzieleniu łóżka ze wściekłym psem. Te szaraki

—  
to zdrowi psychicznie, którzy uciekają z wariatkoma. Które być może jest jednocześnie grobem.

W wolnych chwilach Conal lubił się włóczyć wokół Portalu tuż na obrzeżach Bellinzony i ulepszać rasę.

Portal był dokładnie tym, co oznaczała jego nazwa: portem wejściowym dla

wszystkich nie chcianych wraków, które gromadziły się przy wybrzeżach Gai. Na zewnętrznej powierzchni Gai znajdował się łapacz, który przechwytywał wszystkie

powracające jaja Gai, względnie, obecnie dość już rzadkie, ziemskie statki szukające schronienia. Ludzi zabierano stamtąd do miejsca, które na Gai było odpowiednikiem Ellis Island, do samych głębi jej wnętrza, gdzie przechodzili przemianę. Procedury imigracyjne były niegdyś skomplikowane i czasochłonne. Teraz stało się to zupełnie proste: święci na lewo, śmiertelnicy na prawo. Wszystkich mesjaszy, księży, kapłanów, pastorów, szamanów, guru, twórców fetyszów, derwiszów, mnichów, rabinów, mułłów, ajatollahów, wikarych, nekromantów, prałatów i papieży zabierano na audiencję u Gai. Pozostałych pakowano do kapsuł jedynie z tym bagażem, który byli w stanie unieść na plecach. Następnie odbywali krótką przejażdżkę po układzie krwionośnym Gai, kończącą się w zwieraczu odbytu, który wypychał ich, po dwudziestu za jednym zamachem, do małej groty, którą Cirocco nazywała

“dupą świata”.

Ponieważ wszyscy uchodźcy przybywali do tego samego miejsca, Portal przyciągał

pewnych ludzi, którzy mieli nadzieję obłowić się na słabości albo ignorancji. Niczym alfonsi pełniący wartę przy dworcu autobusowym w wielkim mieście wypatrywali imigrantów,

którzy posiadali coś, co można było sprzedać z zyskiem. Czasami były to skromne dobra materialne. Czasami coś jeszcze nędzniejszego.

Dziwna to była gra, w którą grał Conal. Grał w nią wiele razy, choć Cirocco

twierdziła, że robiąc to, jest głupcem. Nie przestałby tego robić nawet, gdyby tak rzeczywiście myślała, wiedział jednak od Piszczalki, że tak nie jest.

- To opłacalna głupota - stwierdziła tytania. - Tak postępują tytanie. - Tytanie nie podejmowały się, jeśli sprawa była przegrana i jeśli nie były w stanie wytepić wszelkiego zła na świecie. Czyniły dobro, tam gdzie dostrzegały jakąkolwiek szansę, starając się nie dać przy tym zabić. Tak samo działał Conal.

Co wcale nie oznaczało, że działał pochopnie. Niektórzy z zabijakdw Portalu

organizowali gangi, nie pozwalając wchodzić sobie w drogę. Conal trzymał się na uboczu, z dala od nich, i szukał okazji do podejścia myśliwego, kiedy ten prowadził już zwierzynę do swej ciemnej nory. Kiedy udało mu się wytropić i zaatakować zniecka portalowego

szczura, zabijał go. Conal nie widział różnicy między mordercą, złodziejem, handlarzem żywym towarem czy porywaczem dzieci. W Bellinzonie nie było więzień, ani żadnej

pośredniej metody przeżycia: było się szybkim albo martwym.

Nierzadko był zmuszony patrzeć, jak katowano ludzi na miazgę, obdzierano ze

wszystkiego do naga i krwawiących pozostawiano na pastwę losu. Zabierał wówczas taką ofiarę do jakiegoś z konowałdw, którzy w Bellinzonie spełniali funkcję szpitali.

Ten dzień zapowiadał się dobrze. Rozejrzawszy się dookoła, spostrzegł grupę czterech Strażników wymachujących pałkami najeżonymi zardzewiałymi gwoździami. W sporej

odległości od nich, na wzniesieniu, stały trzy łuczniczki Wolnych Kobiet. Przy odrobinie szczęścia nie musiałyby nic robić. Sama obecność członków tych ugrupowań ochronnych przepędzała robactwo.

Stopniowo coraz mniej można było zrabować przy Portalu. Coraz więcej ludzi

przybywało tu w byle czym na grzbiecie i z pustym spojrzeniem w oczach - żywe trupy z ziemskiego cmentarzyska. Większość z nich uratowano, kiedy już byli o włos od śmierci, z bagażem wielu lat potwornych cierpień. Gaja uzdrawiała ich ciała, ale nie potrafiła, albo nie chciała, zrobić niczego z ich umysłami.

Grupa, która przybyła tego dnia, była inna. Co najmniej połowa z nich nie tylko miała na sobie kompletne stroje, ale ponadto nieśli ze sobą paczki i walizki wypchane dobytkiem.

Conal już słyszał podnoszący się pomruk szakali. W powietrzu rozległ się świst łuku Wolnej Kobiety i gardło jednego

z nich przebiła strzała, co w Bellinzonie należało rozumieć jako łagodne ostrzeżenie.

Strażnicy zaczęli wymachiwać pałkami, ale wkrótce zmuszono ich do odwrotu. Conal

wycofał się. Nie miał zamiaru zginąć w zamieszkach.

Kiedy już miał się stamtąd wynieść na dobre, zauważył niezwykle interesującą parę: niska

trzydziestoletnia kobieta z dziwnym malunkiem na twarzy i małym tobołkiem w

ramionach szła obok oszalamiająco pięknej dziewczyny, która musiała mieć chyba z sześć stóp wzrostu. Obydwie kobiety miały na sobie jaskrawe, watowane kostiumy z syntetycznego jedwabiu, jakie używa się do lotów w kosmosie. Wyższa niosła większą część bagażu, niższa miała przy sobie tylko tę jedną paczkę, zawiniętą w jedwab.

Conal jęknął. Widok ten przypominał wpłynięcie obładowanego skarbami

hiszpańskiego galeonu do gniazda piratów. Nie miały pojęcia, co się zaraz stanie.

A stało się szybko. Z tłumu oderwała się mała postać, uderzyła niższą z kobiet w

twarz i schwyciła tobołek. Conal zorientował się, że to jest niemowlę. Matka zaczęła ścigać mężczyznę, lecz nagle została otoczona przez resztę gangu, który zabrał się do

obrabowywania ich obydwu, podczas gdy tamten pierwszy uciekał z najcenniejszym łupem.

Nie mógł im w żaden sposób pomóc. Atakowało je przynajmniej sześciu ludzi. Nie

zastanawiając się więc pobiegł za mężczyzną z dzieckiem, ponieważ ze wszystkiego, co mogło się wydarzyć w Bellinzonie, za najgorsze uważał bycie sprzedanym hutnikom. Już go doganiał, kiedy posłyszał krzyk i odruchowo obejrzał się za siebie.

To przypominało tornado. Kobiety miały noże w obu dłoniach i za cholewami butów,

obracały się jak oszalałe we wszystkie strony i wrzeszczały co sił w płucach; cięły i kłuły swymi ostrzami. Jeden z mężczyzn został raniony siedmiokrotnie, zanim zdążył upaść i umrzeć. Inny próbował przytrzymać go za gardło, ale w tej samej chwili drugi nóż rozpruł mu wnętrzności. Powalonych było już czterech, a piąty właśnie padał, kiedy pozostali poderwali się wreszcie do ataku.

Było to coś autentycznie niesamowitego. Conal w życiu nie widział tak

zdmiewającej demonstracji czystej, pełnej wściekłości, woli walki. Nie było jednak szansy, aby te dwie dały radę stawić czoła armii. Zamierzały najwyraźniej posłać całą tę kompanię honorową do piekła, niemniej czekała je niechybna śmierć. Jedyne, co mógł zrobić w tej sytuacji, to uratować dziecko.

Zwlekał niemalże zbyt długo, zahipnotyzowany tą jatką. Uciekający porywacz zbliżał

się już do głównego mostu Bellinzony, nim Conal przedarł się wreszcie przez tłum i wybiegł na otwartą przestrzeń.

Po przebiegnięciu mostu dystans wynosił sto metrów. Uciekinier był niski i szybki.

Lawirował w tłumie, ale w końcu przechytrzył sam siebie. Wiedząc, że goni go rostry mężczyzna, zwolnił i obejrzał się przez ramię, aby stwierdzić, czy nie ma go gdzieś blisko.

Gdyby tak biegł jeszcze przez minutę, Conal pewnie by go zgubił, natomiast gdyby Conal biegł jeszcze przez sekundę, zostałby zauważony. To jednak była jego gra, więc kiedy porywacz obejrzał się, nie dostrzegł żadnych śladów pogoni.

Kiedy obejrzał się po raz drugi, a potem trzeci, również nic nie zobaczył. Za czwartym razem też niczego nie było i to nie bez powodu, bowiem Conal stał już przed nim.

Nie było trudno się zorientować, dokąd biegnie mężczyzna - miejsce punktu

handlowego hutników było powszechnie znane. Nie było sensu długo przetrzymywać

niemowlęcia, większość ludzi wrogo patrzyła na porywanie dzieci. Tak więc Conal zajął

stanowisko przy wąskiej przystani i czekał.

Mężczyzna nadbiegał z naprzeciwka, wciąż z napięciem wypatrując za sobą pogoni.

Conal odnosił wrażenie, że musiał usłyszeć tamte wrzaski i przerazić się nimi. Zrobił to, czego należało się spodziewać, to znaczy zasłonił się ciałem dziecka i zaatakował Conala nożem trzymanym w prawej dłoni. Conal schwycił go za rękę i złamał nadgarstek.

Mężczyzna krzyknął, nóż poleciał na ziemię. Potem drugą ręką zadał mu cios w plecy.

Porywacz wypuścił dziecko, Conal złapał je, a następnie wyswobodził nóż z padającego już na pomost ciała.

Upewnił się, że dziecku nic się nie stało, po czym ukląkł przy leżącym.

Mężczyzna. W porządku, w Bellinzone wystarczyło skończyć trzynaście czy

czternaście lat, aby być traktowanym jako mężczyzna. Conal jednak nie uważał tego za słusne. Porywacz miał nadal chłopięcy wygląd. Wyglądał na Japończyka. To też nie było rzadkie zjawisko. Proporcje ludzkiej populacji Gai odpowiadały z grubsza populacji Ziemi, co oznaczało, że czerwono-, czarno- i żółtoskórych było więcej niż białych.

Chłopiec skręcał się z bólu i mamrotał coś w swoim ojczystym języku. Zdawało się,

że lada chwila umrze. Conal wziął do ręki nóż i uniósł brwi, mając nadzieję, że zostanie to zrozumiane jako pytanie. Chłopiec żarliwie skinął głową. Conal jednym, płynnym ruchem między żebrami wbił nóż w jego serce i po chwili chłopiec już nie żył.

Otarł i schował ostrze.

- Wielki bohater - mruknął. Gówniany to świat, w którym nie można się poczuć

dobrze po zabiciu ludzkiego ścierwa, trudniącego się mordowaniem dzieci. Ostatnie słowo jak zwykle należało do Cirocco. Po prostu w tym życiu jest piekielnie mało rzeczy, po dokonaniu których człowiek nie czuje obrzydzenia, z takiego lub innego powodu.

Nie bardzo wiedział, co ma teraz zrobić z dzieckiem.

Przyszło mu jednak do głowy kilka pomysłów. Istniały zakony oraz kilka innych

organizacji, które przyjmowały do siebie sieroty. Najsilniejszą z nich były Wolne Kobiety, które zdaniem Conala mogły też zapewnić najlepszą opiekę niemowlęciu.

Dziecko było owinięte w rodzaj jakichś nosideł astronau-tycznych i zrazu trudno było się zorientować, jak je z nich wyplątać, ale w końcu mu się to udało. Rzucił okiem we właściwe miejsce i pokręcił głową. W porządku, Wolne Kobiety nie zechcą małego

chłopczyka. Do kogo iść teraz?

Nagle przyszła mu do głowy zabawna myśl. To było oczywiście niemożliwe, ale może

jednak...?

Zawrócił więc w stronę Portalu.

Nadal tam były, wciąż żywe. Wyglądało jednak na to, że jeśli coś szybko się nie zdarzy, ich minuty będą policzone.

Na oko stuosobowy tłum najtwardszych i najgroźniejszych typów, jakimi mogła się pochwalić Bellinzona, tworzył półkole w promieniu pięćdziesięciu metrów od kamiennego muru, do którego przyparte były kobiety. Cała wewnętrzna przestrzeń półkola była zasłana trupami. Conal doliczył się dwóch tuzinów i na tym poprzestał, było ich jednak znacznie więcej. Stanął za plecami atakujących, starając się zrekonstruować przebieg wydarzeń.

Przyjrzał się ciałom. Większość leżących bliżej kobiet padła ofiarą ran kłutych. Dalsze miały rany rzadko widywane na Gai: okrągłe otwory wielkości dziesięciocentówki. Jego przypuszczenia okazały się trafne, gdy jakiś mężczyzna z tłumu wyciągnął włócznię i wtedy jedna z kobiet strzeliła mu w brzuch. Conal uchylił się instynktownie. Tłum cofnął się, ale zaraz nieubłaganie zaczął znów posuwać się do przodu. Pokusa była po prostu zbyt wielka.

To wszystko przypominało loterię. Nikt ze zgromadzonych nie wiedział, ile amunicji pozostało kobietom. Do ich pokonania wystarczyłby grupowy atak, ale w tym stadzie hien nie było nikogo, kto mógłby taki atak zorganizować.

Conal dopatrzył się w tej sytuacji specyficznej ironii. Rzecz jasna, obydwie kobiety posiadały ograniczony zapas kul, w przeciwnym razie strzelałyby do każdego, kto znajdował

się w ich zasięgu. Żaden z napastników nie miał ochoty dać się zabić po to tylko, by ktoś inny mógł przechwycić łup. W rezultacie więc, za kilka minut lub godzin, obydwu kobietom zabraknie amunicji i wtedy będzie je można ponownie zaatakować, tylko że wtedy

przypuszczalnie nie będzie już warto.

Conal raz jeszcze przyjrzał się wysokiej dziewczynie. Siedemnaście lat - pomyślał.

Może osiemnaście. Długie blond włosy, jaskrawoniebieskie oczy. Już wcześniej zauważył, że była piękna. Miała ponadto w sobie coś jeszcze, jakąś cechę łączącą ją ze starszą kobietą - jej matką? Może był to wyraz oczu, które mówiły, że umrze stojąc, walcząc, że nikt jej nie weźmie żywej. Conal czuł do niej szacunek. Wiedział, co

to znaczy być pojmanym, i wiedział też, że już nigdy nikomu na to nie pozwoli.

Wysoka kobieta oddała kolejny strzał, gdy ktoś znowu cisnął w ich stronę włócznię.

Tym razem kula przeszła włócznika na wylot i trafiła stojącego za nim mężczyznę prosto w serce. Niezła broń - pomyślał Conal.

Gdzie są Wolne Kobiety? - następna myśl przemknęła mu przez głowę. I wtedy je

zobaczył. Zostały również przyparte do muru, jedna już nie żyła, zaś druga była poważnie ranna. Trzecia kulila się przy nieruchomych ciałach swych sióstr i z przestraczem w oczach trzymała łuk gotowy do strzału. Obydwie grupy dzieliło w tej chwili tylko dwadzieścia metrów, ale żadna z przybyłych jakoś nie wykazywała chęci zbliżenia się do łuczniczki. A zresztą kim, do diabła, były te kobiety? Najwyraźniej nie ufały nikomu. Nie widział takiej podejrzliwości od czasu... cóż, z czymś takim spotkał się tylko u Cirocco Jones. Nie będzie łatwo je uratować.

Do tego momentu nie uświadamiał sobie, że ma zamiar je uratować. Zmarnował kilka

minut na próbę wybicia sobie tego z głowy. Na pierwszy rzut oka wydawało się to

największym idiotyzmem, jaki miał zamiar popełnić od tamtego dnia, kiedy wtoczył się do pewnego baru i powiedział najniebezpieczniejszej z wszystkich kobiet we wszechświecie, że chce ją zabić.

Spojrzał na twarzyczkę chłopczyka.

—  
A czemuż to się pan uśmiechasz? - spytał, odwrócił się i pośpiesznie przebiegł

przez most.

—  
Stu, powiadasz? - Tytania o imieniu Serpent uniosła sceptycznie brew.

—  
Do diabła, Serpent, wiesz, że nie umiem liczyć do dwudziestu jeden, jeśli nie

rozepnę rozporka. Jest ich mniej więcej stu, może stu dwudziestu.

—  
Czy możesz mi jeszcze raz opisać tę niższą?

—  
Ma rysunki na twarzy. Prawdziwa diabelska maska. Ta druga...

—  
To są tatuaże - powiedział Serpent.

—

To znaczy, że się nie ścierają? Skąd wiesz?

—

—

Ma na czole narysowane trzecie oko, prawda?

—

Tak... chyba tak. Włosy zasłaniały jej całą twarz i te wszystkie oczy musiały się nieźle nabiegać, żeby patrzeć jednocześnie w sześć stron... Skąd wiesz?

—

Znam ją.

—

To znaczy, że pójdziesz?

—

Tak, myślę, że tak. - Rozejrzał się po wnętrzu wielkiego magazynu, który służył tytaniom za punkt handlowy, i dostrzegł dwie inne przedstawicielki swej rasy. -

Przypuszczam nawet, że chyba pójdziemy we trójkę.

Łomot kopyt na drewnianym moście zabrzmiał niczym galop trzech jeźdźców

Apokalipsy. Conal, przyklejony do grzbietu Serpenta, żałował, że nie może zadać w róg.

Piekielna kawaleria jadąca z odsieczą. Ludziom stojącym na tyłach tłumu wystarczył sam ten widok, by czmychnęli w popłochu niczym hieny porzucające padlinę. Biegli na oślep, nie wybierając kierunku, byle tylko nic nie stało na drodze ucieczki. Niektórzy wskakiwali do cuchnących wód zatoki.

Wielu nie miało jednak czasu na ucieczkę. Nie uzbrojone tytanie szarżowały prosto na nich, z miejsca biorąc się za łamanie karków.

Conal bał się, że kobiety będą strzelać do tych zjaw, ale najwyraźniej ich

podejrzliwość nie obejmowała tytanii. Rozglądały się czujnie, wypatrując każdej sposobności, by móc wreszcie odsunąć się od muru. I wtedy Serpent uniósł Conala i cisnął nim ponad głowami tworzących krąg ludzi.



Stanął na równych nogach i zatoczył się do przodu, pokazując, że trzyma dziecko, by przypadkiem nie zaczęły do niego strzelać. Stał tak chyba przez cały obrót, a w tym czasie kobiety zostały obsypane gradem kamieni. Potknął się o duży, okrągły kamień, upadł i po chwili przeczołgał się za kryjącą kobiety prowizoryczną barykadę z bagaży.

Spojrzał na twarz jasnowłosej amazonki. Dziewiętnaście - stwierdził. Na jej lewym policzku widniał strumień zakrzepłej krwi. Poczł wzbierającą falę gniewu i zapragnął natychmiast zabić tego sukinsyna, który jej to zrobił. Jednakże miał teraz co innego do roboty, ponieważ dziewczyna przyłożyła mu broń do skroni. Podał jej dziecko i uśmiechnął się w najbardziej uwodzicielski sposób, na jaki było go stać.

- Cześć. Mam na imię Conal, a to chyba twoje.

Kolejny ulubiony aforyzm Cirocco: "Nigdy nie spodziewaj się wdzięczności". Dziewczyna pogardliwie wydeła górną wargę i gwałtownym ruchem głowy wskazała starszą kobietę.

- Nie moje. Jej.

Gawęda podróżnicza

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy w Bellinzonie Conal ruszał na odsiecz, w

Fojbe do Cirocco Jones przyszedł anioł.

Stała na skraju trzykilometrowego klifu, który wytyczał granicę północnego

plaskowyzu, i obserwowala go, jak nadlatywał z południa. Za aniołem wznosiła się czarna góra o czterech wierzchołkach różnej wysokości. Zdaniem Cirocco przypominała stłuczoną butelkę wsadzoną dnem w ziemię i obsypaną dookoła. Inni widzieli w tym kształcie

zrujnowaną dzwonnice. Cirocco uznawała trafność tej analogii: krążyły nawet wokół niej nietoperze. Albo jakieś inne stwory, tylko przypominające nietoperze. Góra znajdowała się w odległości dwudziestu kilometrów. Nietoperze musiałyby mieć rozmiary odrzutowców, aby dać się dostrzec z takiego dystansu.

Cirocco znała dobrze to miejsce. Kilka lat wcześniej spędziła tam pewien okres czasu.

Lubiła to wspomnienie.

Anioł przeleciał ponad jej głową, zatoczył krąg, aby zmniejszyć wysokość, po czym

zawisł w miejscu, łopocząc swymi potężnymi skrzydłami. Nie miał ochoty stawać na ziemi Fojbe. Cirocco wiedziała, że pozostawanie w takiej pozycji go wyczerpuje, więc nie marnowała czasu.

—

Kong? - krzyknęła.

—

Martwy. Dwieście, trzysta obrotów.

—

Gaja?

—

Poszła.

—

Rozważała to przez sekundę, po czym machnęła ręką na znak, że dziękuje.

Odprowadziła anioła wzrokiem, po czym usiadła na skraju klifu. Zdjęła wysokie,

wodoodporne buty z brązowej skóry - arcydzieła rąk tytanii, zgrabnie opinające łydki -

złożyła je w małe, płaskie zawiniątko i schowała do plecaka. Potem założyła plecak na ramiona, poprawiła paski i sprawdziła mocowanie kilku przedmiotów, które miała

przytroczone do pasa, odwróciła się i zaczęła schodzić z klifu.

Tylko alpinista z Acapulco zszedłby z tej skalnej ściany szybciej niż ona. Lekceważąc linę, którą miała schowaną w plecaku, schodziła z trudnego, nieomal pionowego zbocza prędzej niż inni ludzie z drabiny. Wykonywała wszystkie czynności machinalnie - jej ręce i boscie stopy same wiedziały, co robić.

To, że ludzie często przekonywali ją, że posiada niezwykle umiejętności, dostarczało jej czasami tematu do rozmyślań. Wiedziała, że nie pozostało w niej już zbyt wiele ludzkich cech. Jednakże zdawała sobie też sprawę, że daleko jej jeszcze do nadczłowieka. Wszystko było sprawą perspektywy, częściowo też zależało od umiejętności uczenia się wraz z każdym życiowym doświadczeniem, a w tym Cirocco była naprawdę dobra. Większość błędów

popęłniła wiele dziesiątek lat wcześniej. Niektóre z nich polegały na próbie przewyciężenia własnych ograniczeń i to tych najbardziej nieprzekraczalnych. Ktoś obserwujący jej wędrowkę w dół zbocza pomyślałby, że się niezwykle śpieszy i że postępuje zupełnie po wariacku. Prawda natomiast była taka, że mogła to robić znacznie szybciej.

Cirocco wyglądała na kobietę trzydziestopięcio-, czterdziestoletnią, ale ocena jej wieku zależała od tego, jak się na nią patrzyło. Skóra na jej dłoniach, szyi i twarzy mogła należeć do trzydziestolatki, żylaste ramiona i atletycznie zbudowane nogi wydawały się dużo starsze. Prawdziwy wiek zdradzały dopiero jej oczy. Trudno było jednoznacznie ocenić taką kobietę jak Cirocco Jones. Wyglądała na

bardzo silną, ale pozory myliły. W rzeczywistości była znacznie silniejsza.

Kiedy dotarła do łagodnych wzgórz u podnóża klifów, wciągnęła buty i zaczęła biec; nie dlatego, że się śpieszyła, ale dlatego, że nie miała nic innego do roboty i na ogół zwykła poruszać się właśnie w ten sposób.

W niecały obrót pokonała dwadzieścia kilometrów. Przebiegłaby je szybciej, ale po

drodze musiała przepłynąć trzy rzeki. Szybko wdrapała się na górę Konga. Jej zbocze było dość łagodne aż do poszarpanego, rozwidlonego wierzchołka, ale na niego nie musiała się wspinać. Stamtąd wiodła szeroka autostrada do jaskini wielkiej małpy.

Ostatni etap pokonała wolniejszym krokiem. Nie chodziło o to, że nie ufała aniołowi.

Skoro powiedział, że Kong nie żyje, to nie żyje. Jednakże sam zapach tego miejsca przywodził na myśl nieprzyjemne wspomnienia.

Weszła pod skalne sklepienie i zagłębiła się w mrok. Dwukrotnie musiała okrążyć

dwudziestometrowe romboidalne stwory zagradzające jej drogę. To były te “nietoperze”, które widziała z oddali. Stanowiły bez wątpienia coś więcej niż skrzyżowanie gada z ogrodowym ślimakiem, bowiem ważyły od dziesięciu do dwunastu ton. Kiedy zwijały swe pteroda-ktylowe skrzydła przy ciele, można je było pomylić z zawalonym namiotem

cyrkowym. Wydawało się, że są martwe, ale tak nie było. Potrafiły hibernować przez cały myriaobrót. Aby poderwać się do lotu, wpełzały na swej ślimaczej stopie na spiczaste szczyty góry Konga, odrywały się od podłoża i potem szybowały całymi dniami. Cirocco nie sądziła, że mogą być niebezpieczne. Nigdy się nie dowiedziała, czym się żywią albo dlaczego latają.

Podejrzewała, że zostały stworzone tylko po to, aby nadawać temu miejscu odpowiednią atmosferę. Tego typu domniemania nie były wcale niedorzeczne w odniesieniu do Gai.

Dotarła do końca korytarza i ostrożnie wyjrzała znad krawędzi.

Dno jaskini znajdowało się sto metrów niżej. Była to nie najgorsza kopia groty, przez którą w filmie z lat trzydziestych dwudziestego wieku przekradał się gumowy goryl. Z góry można było dostrzec płytkie jezioro oraz formacje skalne

przypominające stalaktyty i stalagmity - wszystkie były znacznie większe od tych,

jakie mogłyby powstać na drodze naturalnych przemian geologicznych przez trzy miliony lat życia Gai. Jak wiele innych scenerii na Gai ta również została skonstruowana niezwykle starannie.

Niemniej jednak była to ruina. Wiele skalnych formacji oderwało się już od podłoża.

W jeziorze kipiał szlam, błotniste brzegi poryły odciski stóp, głębokie na trzy metry. Wodę pokrywał

różowawy nalot. A na samym środku groty, oświetlona słabymi, padającymi przez zawalony sufit promieniami światła, znajdowała się gwiazda wieczoru: potężny Kong, ósmy cud świata.

Cirocco pamiętała czasy, kiedy wyglądał lepiej.

Leżał na grzbiecie, otoczony lilipucim rojem hutników, zajętych rozbieraniem go na części.

Podeszli do tego zadania z typową dla nich precyzją, tempem i skutecznością. Przez południowe wejście do jaskini została przerzucona lina. Girocco wiedziała, że jest przywiązana do kolejki linowej zjeżdżającej w dół zbocza, prawdopodobnie łączącej nową odnogę odchodzącą od drogi zwanej Czarnym Lasem, która z kolei dobiegała do głównej traktacji Fojbe-Argos. Pociąg stał bezczynnie na końcowej stacji. Składał się z chromowanego parowozu oraz dwudziestu wagonów - automatycznych wywrotek, normalnie używanych do przewozu rudy żelaza z Czarnego Lasu, a teraz pełnych fragmentów Konga. Hutnicy byli dobrymi kolejarzami.

Potrafili też mnóstwo innych rzeczy. Rozebrali całą głowę, tors i część ramienia

Konga. Masywne kości cięli hałaśliwymi piłami parowymi.

Widok był ponury, choć fascynujący. Girocco spodziewała się, że po upływie trzystu obrotów, czyli po prawie dwóch tygodniach, Kong będzie niemiłosiernie cuchnął. Zresztą w samej jaskini zawsze unosił się paskudny zapach, ponieważ nigdy nie przyszło mu do głowy, aby uprzętać tony łajna, które wydalał z każdym kiloobrotom, albo żeby chociaż wyjść na zewnątrz, gdy chciał sobie ulżyć. Okazało się jednak, że wcale nie gnił.

Girocco to zdenerwowało. W porządku, nie ma takiej zasady, zgodnie z którą miałyby gnić, ale taki gówniarz jak on powinien gnić.

Niemniej jednak leżał teraz, poćwiartowany aż do zdumiewająco skomplikowanej

klatki piersiowej, równie świeży jak tego dnia, kiedy go zabito. Grupy hutników rozcinały jego ciało wielkimi rybackimi nożami osadzonymi na długich kijach, oddzierając połcie różowego mięsa, unosząc je przy pomocy haków zasilanych małymi maszynami parowymi i wysokiego masztu, podobnego do tych, które drwale ustawiają w lasach.

Jeszcze jeden hektoobrót i już po nim.

Girocco ten widok zupełnie nie wstrząsał. Wątpiła, czy cokolwiek mogło ją zmusić, aby współczuła tej wielkiej, zi-diociałej bestii. Gdyby ktokolwiek po nim zapłakał, to zaprosiłaby taką litościwą duszyczkę do spędzenia roku w tych lochach, aby sobie popatrzyła, jak Kong odgryza głowy żywym tytaniom. Jego ogromny łeb był teraz zwrócony w stronę Girocco. Zabawna rzecz: wcale nie wyglądał jak goryl. Z tymi głupawo wydętymi wargami i odstającymi uszami jego głowa przypominała raczej łeb szympansa, a zmierzwiona brudno-brązowa sierść była taka, jaką mają orangutany.

Tylko dwie rzeczy interesowały ją w tej scenie oprócz szczęśliwej wieści o jego

śmierci. Kto go zabił? I dlaczego hutnicy przywiązali jego jedyne ocalałe ramię grubymi linami?

Mijt, mijt, mijt, miiiiijt!

Słyszac ten dźwięk Cirocco odwróciła się ostrożnie i wypatrzyła maleńkiego boleksa, który przycupnął w skalnej niszy dziesięć metrów ponad nią. Przypatrywał jej się w milczeniu.

No tak! - pomyślała.

- Chodź tu, zwierzaczk - zanuciła, wspinając się w jego stronę. - No chodź tu,

malutki, nie bój się. - Pogwizdywała przy tym i cmokała językiem jak na szczeniaka, ale boleks tylko popiskiwał i wycofywał się coraz bardziej w głąb swej niszy, głębszej, niż Cirocco początkowo sądziła. Próbowala go dosięgnąć, ale stworzenie wpełzało coraz dalej.

Nie było sposobu, żeby go stamtąd wyciągnąć.

Zastanawiała się, czy nie poprosić hutników o pomoc. Na

pewno mogli szybko wykurzyć stamtąd tego stworka. Przyszedł jej jednak do głowy

lepszy pomysł. Wróciła na swe poprzednie miejsce i zaczęła tańczyć i śpiewać.

Cirocco była znakomitą śpiewaczką, ale Isadora Duncan nie znalazłaby w niej

rywalki. Niemniej jednak starała się, jak mogła, robiąc przy tym tyle hałasu, że w końcu jeden z hutnikdw oderwał wzrok od swej pracy - tylko po to, by się obejrzeć za siebie i potem niewątpliwie dołączyć kolejny przykład nieobliczalności ludzkich zachowań do swego chłodnego, blaszanego umysłu.

Wkrótce boleks odważył się wyrzeć ze swej kryjdwki. Cirocco zaczęła tańczyć

jeszcze szybciej. Jego szkliste oko roziskrzyło się. Zobaczyła, jak stworzenie wychyla się, aby zrobić zbliżenie, i wkrótce jęło pomykać w dół, cały czas filmując swym absolutnie nieruchomym okiem. Boleksy nie potrafiły być obojętne wobec otaczających je wydarzeń.

Schwyciła go, kiedy już był dostatecznie blisko. Boleks zapiszczał, ale nie był w

stanie się wyrwać. Nadal kręcił. Cirocco wiedziała, że jeśli przybył tu wraz z festiwalem Pandemonium, to już dawno temu musiał mu się skończyć film. Koproducent, przyczepiony do jego grzbietu, z całą pewnością już nie żył. Oderwała go z trudem - koproducenci pozostawali wczepieni jak kleszcze, jeszcze długo potem, jak stawali się już tylko pustymi pojemnikami po filmie - i puściła boleksa. Stworzenie, uciekając, wciąż kręciło, najwyraźniej ogarnięte ekstazą filmowania, aż w końcu spadło ze skalnego występu i rozstrzaskało się gdzieś w dole.

Cirocco wydobyła nóż i rozcięła tułdw zwierzaka. Cały już wysechł w środku, a na

rolce cieniutkiej jak muszelka było nawinięte tysiąc sześćset stóp ośmiomilimetrowego filmu.

Odwinęła kilka początkowych klatek, podniosła taśmę do światła i przyjrzała się jej zmrużonymi oczyma. Trudno było oczywiście wyróżnić jakieś szczegóły, ale najwyraźniej nakręcona została jakaś scena walki. Jeden z zapaśników był biały, a drugi brązowy. Biały był

nagą kobietą. Nie mogło być wątpliwości, co to za kobieta.

Widok musiał być spektakularny, ale nic w tym dziwnego. Gaja rzadko szczeniła

fundusze. Cirocco potrafiła sobie wyobrazić tę scenę: Kong, niepodzielny władca przestrzeni, którą mógł ogarnąć wzrokiem, obserwuje oszołomiony, jak jakiś ohydny cyrk rozbija swój obóz. Pewnie nie spuszcza zaniepokojonego wzroku z piętnastometrowej kobiety. Kong został zaprogramowany na zabijanie tytani i mężczyzn, kobiety miał więzić. Gaja jednak nie pachniała najlepiej. Zresztą żadne z pozostałych szalonych stworzeń związanych z

Pandemonium nie przypominało pożywienia ani istoty, którą łatwo uwięzić. W porównaniu z czymś takim Kong musiał przypominać domowego kotka. Był leniwy i głupi.

Prawdopodobnie największym problemem Gai było zmuszenie go do podjęcia walki.

Cirocco nieomal współczuła Kongowi.

- Gaja dała nam tego trupa.

Odwróciła się, by stanąć twarzą w twarz z hutnikiem, który właśnie do niej podszedł.

—  
Znakomicie - powiedziała. - Jest wasz.

—  
Powiedziała, że należy ci się jakiś procent, gdybyś się tu przypadkiem znalazła.

Przyjrzała się uważnie stworzeniu. Sądząc po ilości błyszczących łusek, którymi było pokryte jego ciało, musiał być tajkunem, znajdującym się bardzo wysoko w hierarchii roju. W

jego chromowanym pancerzu widziała własne odbicie. Chrom był czymś rzadkim na Gai.

Hutnicy ciężko harowali, aby wykrobać choć odrobinę tego metalu z głębokich sztolni Czarnego Lasu w Fojbe. Przez jakiś czas kwitł handel zderzakami antycznych samochodów, ale wojna go przerwała.

Uczucia Cirocco wobec hutników były dość ambiwalentne. Trudno lubić stworzenia,

które hodują własne potomstwo w ciałach ludzkich dzieci. Z drugiej jednak strony nie nienawidziła

ich aż tak bardzo, jak reszta ludzi. Być może byli “potworami”, ale wówczas należało uznać, że ludzie też są potworami, bo jedzą cielecinę albo jagnięce kotlety. Poza tym nie stanowili aż takiego zagrożenia dla dzieci, jak ich rodzice lub sąsiedzi. Porwania dzieci stanowiły w Bellinzone rodzaj chałupniczego rzemiosła. Hutnicy nigdy niczego nie kradli, płacili za wszystko, co dostali, i to prawdziwymi dolarami, a kupowali naprawdę niewiele. W

porównaniu z całą resztą, począwszy od Cezara, a skończywszy na tych, którzy właśnie zmieniali oblicze Ziemi, hutnicy byli świętymi.

Mimo to człowiek, który znalazł się w pobliżu przedstawiciela tej najbardziej

niesamowitej z inteligentnych ras Gai, czuł, jak cierpnie mu skóra. Najlepszą ich cechą była natomiast absolutna niezawodność.

—  
A niby dlaczego mam prawo do procentu? - spytała Cirocco.

—  
Nikt nigdy nie zadaje Gai pytań.

—  
Powinieneś kiedyś spróbować. - To zdanie było bezcelowe. Cirocco nie miała

najmniejszego zamiaru podburzać hutników do buntu. Stworzenie przypatrywało jej się obojętnie, o ile można powiedzieć o stworzeniu, które nie za bardzo ma jakieś oczy, że się czemuś przypatruje. Przypominał jej obrazek z książki, którą czytywała w dzieciństwie, a mianowicie Sowę z “Kubusia Puchatka”. Był wysoki i cylindryczny w kształcie, a na górze miał maleńkie stożki, które mogły być uszami. Jego metalowe ciało wybrzuszało się pod spódnicą sięgającą prawie do ziemi i nieomal zupełnie kryjącą dziwaczne stopy. Stworzenie miało ogromną ilość rąk. Cirocco nigdy nie dowiedziała się, ile ich dokładnie jest, bo chowały się w swych zagłębieniach niczym ostrza scyzoryka.

—  
Zamiast tego procentu chcę, żebyście mnie odwieźli do Ophionu.

—  
W porządku. - Stwór odwrócił się i ruszył przed siebie krokiem przypominającym chód pingwina.

Co z nim zrobicie?

Hutnik zatrzymał się i odwrócił w jej stronę.

- Jakiś pożytek się znajdzie. - Cirocco pojęła, że stworzenie chce jej w ten sposób powiedzieć: "To nie twoja sprawa". Pomimo całego stulecia kontaktów ze stale

majsterkującymi i handlującymi hutnikami niewiele o nich wiedziała.

Nie wiedziała nawet, czy wewnątrz ich metalowych ciał kryje jakieś żywe tkanki. Przez moment przemknęło jej przez głowę, że ci, których tu widzi, to roboty, a prawdziwi hutnicy nigdy nie opuszczają swej pilnie strzeżonej wyspy na morzu Fojbe. Wiedziała natomiast, że hutnikowi nie odrasta utracone ramię. Sam musiał takie dopiero skonstruować i przykręcić na nowo.

.- Dlaczego go przywiązaliście?

Odpowiedzią było milczenie. Tajkun odwrócił się powoli, aby spojrzeć na Konga, a potem znowu przeniósł wzrok na Cirocco. Czy go przypadkiem nie rozśmieszyła? Nie wiedziała dlaczego, ale odniosła takie wrażenie.

- On ciągle żyje.

Cirocco spojrzała w tamtą stronę i włosy zjeżyły jej się na głowie. Oczy Konga były otwarte. Patrzył na nią spod nastroszonych brwi. Jego jedyne ramię, ucięte w łokciu, podniosło się i naprężyło liny. Przewrócił oczami, wydawało się, że próbuje odwrócić głowę, ale był na to zbyt słaby. Spojrzał na nią ponownie, zapominając, że ma problem z

przywiązanym ramieniem.

Jego wargi wywinęły się w wyczekującym i jakby smutnym szympansim uśmiechu.

Myślała o nim wciąż, nawet wtedy, gdy już siedziała na dachu pociągu i wpatrywała się w ginącą w oddali górę Konga.

Kiedy on umrze? Widziała, jak wyjmowali z niego coś, co musiało być jego sercem, choć wcale nie biło. Odruchy? Jak drgające, odcięte kończyny żaby? Wątpiła w to. W tych oczach widać było świadomość.

Dzieła Gai były trwałe. Zgodnie z jej projektem Kong nie miał się zestarzeć,

rozmnożyć albo... umrzeć. Może więc znieruchomieje dopiero wtedy, gdy brygada hutników porąbie jego mózg na kawałki.



Albo może i nie.

Stwierdziła, że naprawdę jest jej go żal.

Ciocco dotarła do głównej wschodnio-zachodniej linii w miejscu położonym na

północ od morza Fojbe. Wskoczyła do pociągu towarowego jadącego na wschód, myśląc, że zawiezie ją tylko do rzeki Argos, ale odkryła, że pracownicy hutnicy przedłużyli linię o pięćdziesiąt kilometrów od czasu jej ostatniego pobytu w Fojbe, nie dalej jak sześć kiloobrotów wcześniej. Teraz zaś budowali końcową stację. Zorientowała się, że wkrótce dotrą do Tetydy. Była ciekawa, jak sobie poradzą z piaskami.

Piasek naturalnie stanowił problem również dla niej, ale wiedziała, jak sobie z nim radzić.

Zostawiwszy za sobą hutników i wszystkie ich dzieła, ruszyła biegiem w stronę

północno-wschodniego zakątka Fojbe. Przed nią, na krzywiznie Gai wynurzała się Tetyda, żółta, opuszczona i bezlitosna.

Biegła przez cały czas, zatrzymując się tylko wtedy, gdy udało jej się znaleźć coś do jedzenia. Ciocco знаła dziesięć tysięcy jadalnych roślin Gai, ponad tysiąc zwierząt, a nawet kilka takich miejsc, w których można było jeść glebę. Oprócz użytecznych gatunków istniała taka sama liczba roślin trujących, czasami niewiele się różniących od jadalnych.

Fojbe nie była terenem przyjaznym - o ile w ogóle jeszcze istniało coś takiego. Kiedy zaczęła odczuwać zmęczenie, postanowiła, że odpocznie trochę przed przeprawą przez Tetydę. Nie spała już dziewięćdziesiąt obrotów i większą część tego czasu biegła.

W strefie zmiernych Fojbe-Tetyda natknęła się na głęboki staw. Górzysta i skalista okolica pełna była strumieni i błękitnych jezior. Woda w nich nie była zimna. Udało jej się znaleźć złożę niebieskiej gliny.

Usiadła, aby zdjąć buty, a potem wepchnęła do nich koszulę i spodnie. Z plecaka

wyjęła niewielki zwój liny, schowała na jego miejsce buty, po czym uszczelniła plecak, obciążając go dziesięcioma kilogramami kamieni. Uklękłszy w glinie, zmięta i skruszyła kilka szerokich liści. Kiedy wypuściły kleisty sok, zmieszała je razem z gliną.

Wkrótce glina stała się plastyczna. Rozwałkowała ją i wtarła w całe ciało oraz we

włosy. Kiedy wstała, była błękitnym demonem o białych oczach. Warstwa błota miała

grubość jednej ósmej cala, ale w ruchu nie pękała ani nie odpadała.

Zanurzyła linę w stawie. Kiedy napęczniała, przymocowała jeden z jej końców do

krzaka rosnącego na brzegu. Potem zanurzyła się w wodzie, luźno układając za sobą linę, która do

tego czasu była już mocnym przewodem do oddychania.

Kiedy znalazła się już dwa sążnie pod powierzchnią wody, słabe światło zmierzchu

zgasło. Po omacku znalazła drogę do jakiegoś zamulonego występu i ułożyła się tam na plecach, kładąc obciążony plecak na brzuchu. Przyłożyła drugi koniec przewodu do ust i zwolniła oddech.

Po minucie autohipnozy spała głębokim snem.

Trzy godziny snu jak zwykle wystarczyły. Otworzyła oczy wśród chłodnych ciemności.

Schwyciła coś, co prześlizgnęło się tuż obok niej, po czym popłynęła w kierunku powierzchni. Wkrótce potem zatrzymała się i poszukała wzrokiem ewentualnego

niebezpieczeństwa czyhającego ponad wodą, a potem ostrożnie wystawiła twarz ponad

powierzchnię stawu. Spokój. Zadowolona wynurzyła się i spojrzała na swoją ofiarę. Skalny węgorz wyżynny, oddalony mocno od swych zwyczajnych terytoriów występowania.

Porzuciła pomysł rozpalenia ogniska i cisnęła rybę z powrotem do stawu. Węgorze wyżynne dawały się z łatwością przyrządzać, ale ich mięso było żylaste i gorzkie.

Niebieskie błoto zdzierało się jak guma. Stanowiło znakomitą izolację.

Podczas swego długiego życia nauczyła się wielu rzeczy. Jedną z nich była zasada

zachowywania wszelkich wygod tak długo, jak się da. A to oznaczało posiadanie suchych butów, nawet jeśli trzeba było spać pod wodą. Z satysfakcją wyciągnęła je teraz z plecaka. To był cudowny plecak i nie mniej cudowne buty. W jej rankingu ważnych rzeczy suche buty daleko wyprzedzały pożywienie, a nawet trochę wodę.

Ubrała się, naciągnęła buty i ponownie poderwała się do biegu.

Kiedy tylko to było możliwe, Cirocco unikała również Te-tydy. Tym razem jednak

musiała się przez nią przepawić. Zagrzebała się w resztkach zwiędłych liści, wyjęła mikroskopijną lornetkę szpiegowską i zbadła, czy na rozciągającym się przed nią terenie nie ma śladów piaskowych widm. Nie spodziewała się ich spotkać tak daleko na północy,

bowiem powierzchnia piasku kryła wodę, skraplającą się z północnej

ściany i zabójczą dla silikonowych istot. Nie dotarłaby jednak do tego miejsca, gdyby zawsze polegała wyłącznie na swoich przewidywaniach.

Zwyczaju podróżowania bez bagaży nauczyła się przed dwudziestu laty. Kamuflaż był sztuką, której uczyła się co najmniej równie długo. Kiedy Bóg naprawdę spogląda z nieba - patrzy na ciebie i jest gotów zabijać - opłaca się być i szybkim, i trudnym do wykrycia. Jej plecak mieścił dziesięć kilo samych niezbędnych rzeczy. Dzięki nim, a także swoim umiejętnościom, mogła stopić się w jedno z absolutnie każdym otoczeniem.

Ciocco obliczyła, że temperatura na piaskach będzie wynosiła trzydzieści dziewięć stopni.

Nieważne, wiedziała, co robić.

Rozebrała się ponownie, wepchnęła ubranie do plecaka i zaczęła podkopywać krzak, który wydawał się uschnięty. Jednakże wysuszone gałęzie stanowiły tylko szczyt rośliny, jej najmniej interesującą część. Promieniowały zgniłą wilgocią.

Kiedy dokopała się do obrzmiałych korzeni, jej nagie stopy obmył strumień wody.

Uklękała, złożyła dłonie i napiła się. Woda miała zasadowy posmak, ale orzeźwiła ją.

Nacięła nożem guzek na jednym z korzeni, otworzyła go, a kiedy wytrysnęła z niego śliska, żółta ciecz, wycisnęła ją sobie na dłonie i natarła nią całe ciało. Jej cera nabrała barwy, którą przewodniki określają jako "opalony na brąz". Był to ciepły kolor, ale odrobinę zbyt ciemny na tle piasków Tetydy. Nacierала się tak długo, aż jej skóra nabrała wreszcie odpowiedniej żółtawobrązowej barwy. Ciecz pachniała jałowcem. Było to również lekarstwo na pryszczę, ale akurat tej właściwości Ciocco nie potrzebowała.

W plecaku miała jeszcze kilka szarf. Wybrała dwie odpowiedniej barwy, zamknęła plecak, po czym jedną szarfą opasała swe ciemne włosy, a drugą plecak. Zrobiwszy to, stała się prawie niewidzialna.

Boso zeszła w dół skalistego zbocza Fojbe i dotarła do falistych diun. Zaczęła biec.

Dwieście kilometrów dalej, pokonawszy ponad połowę drogi do Tetydy, zauważyła jakąś postać.

Zrobiła to, co nakazywał rozsądek: rzuciła się głową w piasek i wbijała w niego, dopóki zupełnie jej nie zakrył. Przyczaiła się jak trygon na dnie oceanu i czekała.

Raczej nie miała wątpliwości, kogo widzi. Jak zwykle poczuła gęsią skórę, ale po chwili to wrażenie ustąpiło. Możliwe, że traciła rozum. Sto kilometrów na południe od tego miejsca,

dwadzieścia lat wcześniej, umarła Gaby.

Cirocco to nie obchodziło. Wstała, cała oblepiona piaskiem. Pot, który ją tak

skutecznie chłodził podczas biegu, teraz spływał po całym ciele, żłobiąc wyraźne bruzdy w pokrywającym ją pyle.

Na zboczu wydmy, w odległości czterystu metrów, w bezlitosnej słonecznej mgle

zamigotała sylwetka Gaby. Jak zwykle przyszła naga. Czemu nie? Po co duchowi ubranie w niematerialnym świecie? Jej skóra była blada jak mleko. Z początku Cirocco czuła się nieswojo na widok jakby bez-krwistej postaci. Potem przypomniała sobie, że przed

przybyciem na Gaję Gaby zawsze była blada. Razem z Cirocco stały się jedynymi opalonymi ludźmi w świecie, do którego ledwie docierały promienie słoneczne. A potem Gaby umarła.

Po śmierci musiała zupełnie szernieć, choć Cirocco już tego nie widziała, ani nikogo o to nie wypytywała.

—  
Jesteś bezpieczna! - krzyknęła Gaby, wciąż idąc w jej stronę.

—  
Dziękuję! Na jak długo?

—  
W całej Tetydzie.

Cirocco czekała, dopóki Gaby nie zniknie za grzebieniem wydmy, po czym sama

przeszła na drugą stronę. Gaby zatrzymała się na chwilę na szczycie i zaczęła schodzić w dół.

Jej stopy pozostawiały głębokie ślady w piasku. Była niesamowicie piękna. Cirocco usłyszała własne łkanie. Padła na kolana i przysiadła na piętach. Opuściła bezwładnie ramiona.

Gaby zatrzymała się w odległości pięćdziesięciu metrów. Cirocco nie potrafiła nic powiedzieć, miała zbyt ściśnięte gardło i nie mogła zaczerpnąć oddechu.

—  
Czy z nimi wszystko w porządku? - wykrztusiła w końcu.

Tak - odparła Gaby. - Conal je znalazł. Uratował im życie.

—

Wiedziałaś, że ten chłopak okaże się przydatny. Dokąd je zabrał?

—

Tam, dokąd ty idziesz. Będziesz tam przed nimi.

—

Świetnie. - Pogrzebała w myślach. Natrafiła na zabronione tematy. - Mhm... czy

to... czy one...

—

Tak, one są nadal częścią klucza. Nie jego całością.

—

Klucza do czego?

—

Na razie nie mogę ci powiedzieć. Czy nadal mi ufasz?

—

Tak. - Żadnego wahania. Bywały różne złe momenty, ale... - Tak. Ufam ci.

—

To dobrze. Chciałam...

—

Kocham cię, Gaby.

Obraz zaczął migotać. Cirocco krzyknęła, po czym zatkała usta wierzchem dłoni.

Przez ciało Gaby przeświecała wydma.

—

Ja też cię kocham, Rocky. Teraz Kapitan, prawda?

—  
Jak ci się tylko podoba.

—  
Nie mogę zostać. Gaja jest w Hyperionie. Kieruje się na zachód.

—  
Ale nie wejdzie do Okeanosa.

—  
Nie.

Ta drobna kobieta to była Gaby. Zresztą wcale jej tam nie było. Tylko zarys, życzenie, miraż... aż w końcu zupełnie zniknęła.

Ciocco siedziała nieruchomo przez prawie cały obrót, uspokajając się, wpatrując w ślady na wydnie, w miejscu, gdzie stała Gaby. Tak jak ostatnim razem nie podeszła, by ich dotknąć. Bała się odkryć, że ich tam wcale nie ma.

Północna tarcza lodowa Tei miała swój początek w zmierzchu, a dalej zakrzywiała się w stronę południa i wschodu. W błogosławionym chłodzie Ciocco biegła jej skrajem.

Nie miała zamiaru przekraczać Tei na północy. Góry dawały się przejść - Ciocco

wiedziała na podstawie swoich doświadczeń, że wszystko daje się przejść, pokonywała je raz na dwa kilobroty - ale nie miała na to czasu. Najszybciej przechodziło się Teę po zamrożonym Ophionie, który płynął dokładnie przez sam środek obszaru wiecznej nocy.

Kiedy się zatrzymała, śnieg sięgał jej już do kolan, a ona wciąż była naga. Otwarcie plecaka potrwało kilka chwil. Wywróciła ubranie i buty na lewą stronę, która była zupełnie biała, po czym zamaskowała plecak i włosy białymi szarfami.

Biegła, ale zmęczenie dało jej się w końcu we znaki. Musiała się przeliczyć z siłami, bo zbyt szybko ogarnęła ją senność. Przyjęła to do wiadomości i zaczęła się rozglądać za jakąś bezpieczną kryjówką.

Miała spartańskie wymagania. Wykopała jamę w śnieżnej zaspie, wpełzła do środka i

zasypała wejście. Tuż przed zaśnięciem przypomniała sobie, że nie dalej jak pięćdziesiąt kilometrów przed nią znajduje się miejsce, w którym pewna Robin z Kongregacji też

zagrzebała się w śniegu - zmęczona, przestraszona i niepomna grożącego jej

niebezpieczeństwa - aby się obudzić z zapaleniem płuc. Robin omal nie zginęła w Tei.

Cirocco zasnęła bez obaw. Obudziła się trzy godziny później, otrzepała ze śniegu i znowu zaczęła biec.

Sześćset kilometrów dalej, pokonawszy prawie całą drogę do Metis, znowu poczuła, że morzy ją sen.

Byli tacy na Gai, którzy by w to nie uwierzyli, ale Cirocco Jones - o której mówiono, że potrafi zregenerować odciętą nogę, zmieniać się w węża, sępa, pumę i rekina, że pokonała w zapasach kilka tytania i umie przejść nie zauważona przez jasno oświetlone pomieszczenie -

ta właśnie Jones miała swoje ograniczenia. Wszystkie opowieści były pełne przesady. Co prawda, rzeczywiście знаła się na czarach, potrafiła wmówić ludziom, że jej nie widzą, i naprawdę kiedy utraciła przed siedemdziesięciu laty stopę, wyhodowała ją na nowo, ale wątpiła, czy udałoby jej się to z całą nogą. I nie potrafiła nigdy nie spać, tak jak tytania.

Potwornie doskwierał jej brak takiej umiejętności. Po co stawać się taką bezbronną, leżeć i spokojnie czekać, aż coś podpełźnie i zamorduje...

Znajdowała się na południe od Metis, na terenie leżącym poniżej poziomu morza

Posejdon, za bagnem zwanym Stero-pes, najwyżej położonym obszarem w Metis. Tutaj

ziemia była sawanną: płaska, porośnięta trawą, naznaczona drzewami powyginanymi przez wiatr. W Afryce na tych drzewach siedziałyby wielkie koty - tak to sobie mniej więcej wyobrażała Cirocco, choć niewiele wiedziała o Afryce. Na Gai drzewa były jasnoczerwone i bezlistne. Ich grube pnie przypominały rysunki układu krążenia, w którym arterie i żyły rozgałęziają się na coraz to cieńsze naczynia włosowate.

Cirocco miała zamiar zasnąć jak kot na jednym z tych drzew.

Ponownie się rozebrała, po czym owinęła swój plecak czerwoną szarfą. Przy pomocy

noża zrobiła głębokie nacięcia w pniu drzewa. Popłynął czerwony sok. Wtarła go w skdrę, przemieniając się tym razem w purpurową kobietę. Kiedy już była całkowicie pomalowana, wspięła się na drzewo i dotarła do poziomego konaru zwisającego trzydzieści metrów nad ziemią. Zaczepiła stopy o gałąź, przewiesiła kolana na drugą stronę, zrobiła poduszkę ze złożonych dłoni i wtuliła w nią głowę. Po chwili spała.

Zwolniła dopiero w Dione.

Dione oznaczała bezpieczeństwo - przed Gają, nie mówiąc już o ludziach.

Dotarła po górach do południowego krańca długiego jeziora zwanego Iris, potem,

wędrując przez las, okrążyła jezioro Eris, aż w końcu doszła do Briareusu, jednej z najdłuższych rzek Gai.

Przy zakręcie rzeki, ponad sto kilometrów na południe od gór Moros, Zatoki

Peppermint i Bellinzony, napotkała dom na drzewie, którego mogłaby pozazdrościć rodzina Szwajcarskich Robinsonów.

Był zbudowany na drzewie tego samego gatunku, jak to, które stanowiło podstawę

Titantown w Hyperionie. Mimo że sto razy mniejsze, drzewo górowało nad tą częścią lasu, jak katedra góruje nad małym europejskim miasteczkiem. Główna część domu miała trzy kondygnacje, zbudowane częściowo z czerwonej cegły, a częściowo z kamienia. W oknach były podnoszone okiennice i kolorowe zasłony. Inne części domostwa rozmieszczono na różnych poziomach gałęzi, każdą skonstruowano w innej stylistyce. Były tam słomiane ule z daszkami, ozdobny balkon, coś, co przypominało cebulowa-tą kopułę Kremla. Wszystko to łączyły mosty sznurowe lub szerokie kładki z poręczami, wsparte o konary. Drzewo

wyrastało z nagiej skały otoczonej z trzech stron przez rwące wody potoku, a z czwartej przez głęboki staw. W odległości pięćdziesięciu metrów na strumieniu piętrzył się

dziesięciometrowy wodospad.

Ciocco wspięła się po głównym moście, który zakolysał się lekko pod jej ciężarem.

Widywała niegdyś, jak dziesiątki tytanii wprawiały go w znacznie silniejsze drgania.

Zatrzymała się na szerokim, ocienionym ganku z widokiem na staw, aby zgodnie ze

swoim zwyczajem zdjąć buty i postawić je przed frontowymi drzwiami. Drzwi nie były zamknięte na zamek. Weszła do środka, pewna - choć nie umiałaby powiedzieć na jakiej podstawie - że nikogo nie ma w domu.

W przedsionku było chłodno i ciemno. Od strony okien dochodził kojący szum

spadającej wody. Ciocco uspokoiła się. Ściągnęła koszulę, którą miejscami musiała odrywać razem ze skdrą. Kiedy zdjęła spodnie i postawiła je na podłodze, wyglądały tak, jakby wewnątrz wciąż były jej nogi. Przestała już czuć własny zapach, ale pomyślała, że musi przeraźliwie cuchnąć, skoro jej spodnie są takie sztywne.

Powinnam wziąć kąpiel - pomyślała. Z tą myślą rzuciła się na niską kanapę i

natychmiast zasnęła.

Usiadła i przetarła oczy. Ziewnęła tak szeroko, że aż trzasnęła jej szczeka, po czym wciągnęła nosem powietrze. Poczwała zapach bekonu.



U jej stóp leżało ubranie, wyprane i porządnie złożone. Obok niego stała filiżanka parującej kawy, a przy niej ogromna żółta orchidea. Orchidea wachała kawę. Podniosła się...

To była wiewiórka pustelniczka, dwunogi ssak z długim, grubym ogonem, który pożyczął sobie puste muszle gajańskich ślimaków i przerabiał je na ruchome domy. Orchidea była częścią muszli.

Wsunęła się do środka i zatrzasnęła drzwi, gdy Cirocco sięgnęła po kawę.

Kobieta wstała i przeszła przez salon muzyczny, w którym znajdowały się setki instrumentów, zawieszonych na ścianach lub na specjalnych stojakach, a potem przez pomieszczenie do hodowli voxów, całe obrzeżone klatkami. Po drodze wypła kawę.

Następnym pomieszczeniem była kuchnia. Mężczyzna, który stał przed piecem i smażył bekon, mierzył dobre dwa metry wzrostu. Nie miał na sobie ubrania, ale być może był jedynym człowiekiem na Gai, który naprawdę go nie potrzebował. Nie zauważało się, że jest nagi.

Cirocco postawiła pustą filiżankę na stole i objęła go od tyłu. Nie mogła dosięgnąć jego szyi, więc pocałowała go w szerokie plecy.

—

Cześć, Chris - powiedziała.

—

Dzień dobry, Kapitanie. Śniadanie będzie gotowe za minutę. Obudziłaś się już?

—

Przed chwilą.

—

Chcesz najpierw wziąć prysznic czy zjeść?

—

Jeść, prysznic potem.

Skinął głową, po czym podszedł do okna.

- Podejdź tu. Chcę ci coś pokazać.

Podeszła do niego, starając się zachować czujność. Wychyliła się za okno.

—  
Co takiego? Widzę tylko wodę.

—  
Zgadza się. - Podniósł ją do góry i wyrzucił za okno. Zrobiła kilka koziołków i wpadła z głośnym pluśnięciem. Szukał wzrokiem jej głowy. Kiedy wynurzyła się, głośno parskając, zawołał: - Do zobaczenia za pięć minut.

Staął z powrotem przy kuchni i ciągle się śmiejąc, wrzucił dziesięć zielonkawych jaj na tłuszcz wytopiony z bekonu.

## SEANS PIERWSZY

Potrzebna nam opowieść,

która zaczyna się od trzęsienia ziemi

i dalej rozkręca się aż do punktu kulminacyjnego.

Sam Goldwyn

Jeden

Wkrótce po przybyciu Cirocco do domu na drzewie siedmioosobowa grupa - trzy tytanie i czworo ludzi - wspięła się na ostatnie wzgórze i dotarła do zakrętu rzeki Briareus.

Zobaczyli wielką skałę, wielkie drzewo i zbudowany na nim dom Chrisa.

W tym samym czasie, gdy grupa pokonywała dwieście kilometrów z Bellinzony do Briareusu, Cirocco obiegła prawie połowę obwodu Gai.

Mogli poruszać się szybciej, ale jedna z uczestniczek wędrówki nie zechciała jechać na tytaniu, a cała grupa wolała zwolnić, niż zostawić ją w tyle. Parę osób z pozostałej szóstki zauważyło, jak mało ta siódma zdawała się to doceniać.

Po krótkiej przerwie, podczas której tytanie śpiewały pieśni pochwalne na cześć wspaniałego widoku i komponowały melodie opiewające wątek przybywania, grupa skierowała się mało wyraźnym szlakiem w stronę rzeki.

Conal znowu się zakochał.

Nie wyzbył się swego uczucia do Cirocco. Kochał ją i zawsze miał ją kochać. To jednak był inny rodzaj miłości.

A ta kobieta nie chciała być jego kochanką, bo nienawidziła go serdecznie. No ale przecież miłość to miłość, a nadzieja nic nie kosztuje. Zresztą ona nienawidziła wszystkich.

Nie wierzył jednak, że ktokolwiek potrafiłby wiecznie kogoś nienawidzić. Może kiedy jej przejdzie, to zobaczy, jakim świetnym facetem jest Conal Ray.

Conal nawet nie zastanawiał się nad tym zbyt głęboko, kiedy rozpoczęli ostatni etap podróży do Briareusu, choć ta sprawa bezustannie krążyła mu po głowie. Pogrążony w przyjemnym letargu, leżał na szerokich plecach Rocky'ego. Całą poprzednią część wyprawy przespał. Podczas pracy dla Cirocco, która potrafiła trzymać się na nogach przez cały hektoobrót bez snu i wydawała się nigdy nie być tym zmęczona, nabrał nawyku łapania każdej chwili snu. Był wyznawcą filozofii żołnierzy piechoty: zadowolenie z życia to długie wylegiwanie się w suchym łóżku i pełen brzuch.

Budził się tylko wtedy, gdy kobiety wdawały się w swoje piskliwe, wrzaskliwe spory.

Z początku bał się, że dojdzie do rękoczynów, w wyniku których jedna z pewnością by zginęła. Zawsze jednak w porę się hamowały. Stwierdził w końcu, że to się nigdy nie zmieni, i z przyjemnością obserwował te pojedynki na wrzask, bowiem same w sobie stanowiły wspaniałe widowisko. Jakie te kobiety znały przekleństwa! Poszerzał więc swój zasób słów i był coraz bardziej zakochany.

Conal przewrócił się na bok i pogrążył w głębszym śnie. Mimo że droga była stroma i kamienista, jechało się po niej tak gładko, jak wózkiem szpitalnym po linoleum. Twierdzono, że tytanie stanowią bodaj najwygodniejszy środek transportu, jaki kiedykolwiek wynaleziono.

Tytaniom nie bardzo było w smak, że uważano je za środek transportu, ale nie

obrażały się o to. Po prostu nosiły tylko tych, których chciały nieść. Bardzo niewielu ludzi odbyło przejażdżkę na tytaniu.

Syntetyzator (Trio Lidyjskie z Podwójnym Krzyżykiem) Rock'ńRoll nie miał nic

przeciwko noszeniu Conala. Od dnia operacji Cirocco Jones, przed prawie pięcioma

myriaobrotami, Rocky i Conal stali się bliskimi przyjaciółmi. Tytanie i ludzie potrafili czasami połączyć się w związkach uczuciowych. Rocky wiedział, że Chris i Valiha kochają się od dwudziestu lat i że Cirocco Jones oraz Piszczalka są sporadycznie kochankami, a także babką i wnukiem - choć nie był to taki prosty związek, bo żadne drzewo genaologiczne tytanii nie jest proste. Słyszał także o wielkiej miłości Gaby Plauget do Psalteriuma (Trio Lidyjskie z Krzyżykiem) Fanfary.

Rocky nigdy nie kochał się fizycznie z Conalem, ani nawet tego nie proponował,

wiedząc, że Conal byłby zaszokowany, gdyby usłyszał, że Rocky ma na to ochotę. A poza tym ludzie traktują miłość trochę inaczej. Chris Major dowiedział się o tym od Valihy i poczuł się dotknięty. Ale była to też miłość, jaka łączy tytanie. To było coś innego. To było coś, co wiedziała każda tytania. Zupełnie nagle, bez racjonalnego powodu, wszyscy

dowiadawali się, że ten czy ów jest czyimś tam człowiekiem, choć woleli nie ujmować tego w słowach. Rocky wiedział, że Conal jest jego człowiekiem, na dobre i złe.

Był ciekaw, czy Conal uważa go za “swoją” tytanie.

Za Conalem i Rockym jechały Robin i Valiha.

Robin była wyczerpana emocjonalnie. Nie miała specjalnej ochoty spotkać Chrisa po tylu latach.

On został na Gai, ona wróciła... ale nie wróciła do domu. Nie miała już domu.

Osiągnęła najwyższe stanowisko, jakie można było mieć w Kongregacji. Przez jakiś czas była Czarną Madonną, głową Rady. Zdobywała wszystkie zaszczyty, jakimi mogło ją obdarzyć jej społeczeństwo, będąc o wiele młodszą niż ktokolwiek przed nią.

Przez te wszystkie dwadzieścia trudnych lat, aż do teraz, była potwornie nieszczęśliwa. Zastanawiała się, jak przeżył je Chris.

- Valiha, wiesz może, czy...

Tytania odwróciła głowę. Robin nie cierpiała takich widoków: kręgosłupy tytanii były przerażająco giętkie.

- Tak? O co chodzi?

Robin zapomniała, o co chciała zapytać. Pokręciła głową i Valiha ponownie skupiła

uwagę na drodze. Wyglądała dokładnie tak samo, jak Robin ją zapamiętała. Ile lat miała wtedy? Pięć? To znaczy, że teraz ma dwadzieścia pięć. Tytanie nie zmieniają się w żaden widoczny sposób od osiągnięcia dojrzałości w trzecim roku życia aż do pięćdziesiątki, kiedy oznaki starzenia zaczynają być już wyraźne.

Tyle rzeczy zapomniała. Na przykład o beczasowości Gai. Wędrowali bardzo długo,

ale nie miała pojęcia, jak długo. Dwukrotnie rozbijali obóz i była tak zmęczona, że już od lat tak dobrze nie spała. Wystarczająco długo, by zdołał jej się zagoić rozbity nos i okaleczone ramię.

Długo, tak długo, jak to tylko może być w gajańskim czasie.

Ile to było dla Chrisa?

Valiha (Solo Eolskie) Madrygał martwiła się o Robin.

Niby jeszcze tak niedawno, nim młoda czarownica wsiadła na statek odlatujący z

powrotem do Kongregacji, Valiha, Robin, Serpent i Chris wybrali się na piknik. Czarodziejki nie było z nimi, ale czuli jej obecność, tak jak i kilku innych, niewidzialnych osób: Psalterium, Oboju i Gaby.

Potem Robin ich opuściła.

Miała teraz trzydzieści dziewięć ziemskich lat, a wyglądała na czterdzieści dziewięć.

Przywiozła z sobą to nieznośne, cudownie szalone dziecko, które cały czas płonęło. Dziecko było bardziej robinowate niż sama Robin. I był jeszcze ten... embrion.

Valiha знаła się na ludzkich niemowlętach, widziała ich tysiące. Nigdy jednak nie wyzbyła się wrażenia, że coś z nimi jest nie tak.

Odchyliła rąbek koca i spojrzała na nie. Niemowlę było tak małe, że mieściło się bez trudu na jej dłoni. Odwzajemniło jej spojrzenie bladobłękitnymi oczyma i uśmiechnęło się szeroko. Miało tylko kilka zębów. Pomachało w jej stronę maleńką rączką.

- Mama! - powiedziało, po czym zagaworzyło radośnie.

Zasadniczo tylko tyle potrafiło powiedzieć. Dopiero uczyło się chodzić i mówić. Za parę lat opanuje inne umiejętności. Był to etap, którego tytanie nie przechodziły. Omijały wiek niemowlęcy i większą część tego, co ludzie uważają za dzieciństwo. W parę godzin po swoich urodzinach potrafiły chodzić, a mówić zaczynały niewiele później.

Było jeszcze coś, czego ludzie musieli się uczyć, a czego to niemowlę nawet jeszcze uczyć się nie zaczęło. Tytanie nigdy się tego nie uczyły, ale ich z kolei nigdy nie trzeba było nosić, więc dla nich nie stanowiło to problemu. Valiha obróciła się i podała niemowlę jego matce.

Znowu zmoczyło pieluszkę.

To jest on, Valiha. Błagam cię. Znowu zmoczył pieluszkę. - Robin wzięła od niej dziecko.

Przepraszam. W tej chwili jego płęć wydaje się być sprawą drugorzędną.

Robin zaśmiała się kwaśno.

- Szkoda, że nie masz racji, bo niestety tylko to jest w nim ważne na tym wszechświecie.

Valiha nie miała ochoty tego zgłębiać. Odwróciła się i ponownie pogрузyła w myślach o Chrisie. Miło go będzie znowu zobaczyć. Minął już prawie myriaobrót.

Serpent (Trio Miksolidyjskie z Podwójnym Bemolem) Madrygał wielokrotnie widywał Chrisa podczas minionego my-riaobrotu. Spędził z nim wiele czasu.

Uważał się za niezwykle szczęśliwego. Mimo że Chris nie należał do tria, które zrodziło Serpenta, przez pierwsze cztery lata zachowywał się tak, jakby był jego ojcem.

Serpent miał ojca tytanie - przedniego i tylnego ojca w jednej osobie - i dwie matki: Valihę, która była zadnią matką, oraz przednią matkę, która już nie żyła. Jednak żadne z jego rodziców nie przypominało Chrisa. Wiedział, że ludzie inaczej pojmują obowiązki

rodzicielskie. Wystarczyło mu tylko spojrzeć na rozradowanego przygłupa w ramionach Robin, aby pojąć, dlaczego tak musi być. Prawdę mówiąc, choć dzieciństwo tytania trwało krótko, również było zupełnie inne niż dorosłość. Jednakże w miarę dorastania tytanie poważniały - zdaniem Serpenta stawały się uroczyście. Zbyt uroczyście. Przystawały lubić zabawy.

Z ludźmi też się tak działo, ale bez takiej przesady. Żaden tytanijski ojciec nie uczyłby go grać w baseball. Tytanie lubiły się ścigać, ale nie znały innych sportów. Chris i Serpent napotkali wiele trudności przy organizowaniu lig w takich dyscyplinach jak baseball, piłka nożna (Chris z początku nazywał to grą w polo, po czym odrzucił pałki i pozwolił młodym zwyczajnie kopać piłkę), tenis, hokej czy krykieta, ale w końcu im się to udało. Odkryli, że młode tytanie, odpowiednio wcześniej przyzwyczajone do gier zespołowych, jako dorosłe grają potem równie chętnie. Serpent był najlepszym podającym w Gromowładcach z Tonacji E, mistrzowskiej drużynie krykieta Ligi Hyperiońskiej.

Istniało wiele powodów, dla których Serpent chciał pogadać z Chrisem. Przede

wszystkim dowiedział się o mistrzostwach świata. Na Ziemi zorganizowano je pomimo

wojny cztery lata wcześniej. Mecze rozgrywano w różnych miejscach, rozsianych po całym globie, aby nie stanowiły kuszącego celu. Niemniej jednak trzy mecze zakończyły się przed czasem, bo stadion, gracze i kibice zamienili się w popiół. Ostatecznie mistrzostwa wygrała Wschodnia Syberia.

Jednakże tego roku, roku mistrzostw, nie było możliwości, by je zorganizować. Nie

istniał już ani jeden stadion i w związku z tym należało przenieść mistrzostwa na Gaję.

Serpent zamierzał zostać ich organizatorem.

Ta myśl tak go podnieciła, że aż przyśpieszył kroku. Niestety był zmuszony przypomnieć sobie po raz setny, że swym ogonem wskazuje komuś drogę. Zwolnił i obejrzał się przez ramię. Wlokła się, choć mogła biec.

Przecież proponował jej, że ją przewiezie, nieprawdaż?

Parsknął z niesmakiem. Sama jest sobie winna, jeśli ma obolałe nogi.

Novie dokuczały nie tylko obolałe nogi. Podobnie jak jej matka nigdy nie była uosobieniem cierpliwości. Lada chwila mdgła eksplodować.

Zaledwie rok wcześniej poznała smak życia, wszystkie przejawy świata. Kongregacja dryfowała w La Grange Dwa, trwała, niezawodna i realna. Potem Rada postanowiła ją przesunąć. Zbyt wiele O'Neilów zostało trafionych pociskami. Nikt nie był w stanie przewidzieć, co zrobią maniacy na Ziemi. Poczyniono więc przygotowania i uruchomiono potężne silniki. Czarownice z Kongregacji postanowiły, że polecą do Alpha Centauri.

Jeszcze na początku roku Robin była Czarną Madonną. Teraz była nikim. O mały włos uniknęła egzekucji, a sposób i jej ucieczki nie pozostawił możliwości powrotu. Ponadto ten ostateczny upadek pociągnął za sobą również Novę. Była banitą, podczas gdy cała jej kultura pędziła teraz do gwiazd.

No i oczywiście był jeszcze on.

Że też tak to się właśnie da streścić - pomyślała. - Istota tak potworna, że aż wymaga opanowania nowego kompletu zaimków. On. Jemu. Jego. Słowa te raniły jej uszy jak jakiś groteskowy śmiech.

Mało tego. Teraz jeszcze na dodatek to okropne miejsce.

Zaraz po wylądowaniu na Gai razem z Robin musiały walczyć o życie. Zabiły prawie setkę ludzi. Rozmiary tej rzezi zupełnie ją zdruzgotały. Nigdy dotąd nikogo nie zabiła.

Wiedziała, jak to się robi, ale stwierdziła, że teoria i praktyka to dwie oddzielne rzeczy.

Mdliło ją przez wiele dni. Nie było godziny, w której by nie przypomniiała sobie stosu ciał ociekających krwią, albo wilczych stad dzieci odzierających trupy z ubrań.

Robin liczyła, że Nova potraktuje te potworne zwierzaki jak ludzi. Że się z nimi zaprzyjaźni, Wielka Matko, uchowaj!

Wszyscy liczyli, że będzie rozmawiała z tym obrzydliwym Conalem, z tym

podstępny, śmierdzący, włochaty, niezdarny workiem mięśni o głowie wielkości

łebka od szpilki, którego najświetniejszą godziną byłaby jego aborcja we wczesnym stadium rozwoju. A teraz szli na spotkanie z jeszcze jednym mężczyzną. Najwyraźniej afera w Bellinzonie im nie wystarczyła i nawet matka uważała, że trzeba przejść całą dżunglę, żeby go znaleźć.

Wszystko na Gai było okropne. Panował paskudny upał. Nova codziennie wylewała z

siebie wiadra potu. A do tego jeszcze dobijała ją wspinaczka. Jej ciało było tutaj zbyt lekkie i stale się potykała, oszukana przez wyuczony odruch.

Było cholernie ciemno.

Powietrze cuchnęło zgnilizną, dymem i dziczą.

To wszystko było takie ogromne. Kongregacja zmieściłaby się w obręczy Gai z taką

łatwością, jak gwóźdź w oponie ciężarówki.

I absolutnie nic się nie zmieniało. Nikt nigdy nie zamykał okien przed nadejściem

nocy i nie otwierał ich na powitanie przyzwoitego dnia. Tutejsze przemijanie czasu miało zupełnie inny przebieg. Tęskniła za tamtymi miłymi półgodzinami, za wygodnym cyklem dni i tygodni. Bez nich zupełnie traciła rozeznanie.

Miała ochotę zasnąć, by po przebudzeniu stwierdzić, że to był tylko sen. Poszłaby na spotkanie Rady i razem z Robin nieźle by się z tego uśmieły. Pamiętasz to miejsce, do którego trafiłaś, gdy byłaś dzieckiem, mam? Cóż, śniło mi się, że tam byliśmy i że ty miałaś dziecko. Chłopca, dasz wiarę?

Ale to nie był sen.

Usiadła na drodze. Żółta tytania imieniem Serpent, która wyglądała dokładnie tak

samo jak jej matka, ale którą należało uważać za samca, zatrzymała się i coś do niej zawołała.

Zignorowana, odczekała chwilę, po czym ruszyła dalej. Novie to odpowiadało. Stąd było już widać dom na drzewie. Wejdzie tam dopiero, gdy poczuje, że jest gotowa. Albo po prostu będzie tu siedziała tak długo, aż umrze.

Najmniejszy członek grupy był najszcześliwszy.

W swoim krótkim życiu trzykrotnie otarł się o śmierć, ale nic sobie z tego nie robił.

Jego pierwszą potencjalną morderczynią była własna matka. Robin zastanawiała się nad tym długo i głęboko, kiedy zobaczyła, co cudem wydała ze swego umęczonego łona na ten



udręczony świat.

Ostatnio omal nie został zabity przez porywacza dzieci. Jego wspomnienia były mętne. To wszystko działo się tak szybko. Pamiętał człowieka, który uśmiechał się do niego.

Polubił go.

Otaczało go jeszcze mnóstwo innych nowych ludzi. To mu się podobało. To nowe miejsce też mu się podobało. Tu się łatwiej chodziło. Nie przewracał się tak często. Niektórzy z tych nowych ludzi byli bardzo duzi i mieli mnóstwo nóg. Byli ubrani w takie podniecające barwy, takie jaskrawe i żywe, że aż śmiał się z zachwytu na ich widok. Nauczył się nowego słowa: Ta-nia.

Niosła go właśnie jasnożółta Ta-nia. Podobała mu się ta jazda. Tylko dwie rzeczy zakłócały to właściwie doskonałe popołudnie. Miał mokry tyłek i był ciekaw, kiedy wreszcie dostanie kolację.

Już miał przypomnieć o tych dwóch rzeczach, kiedy Ta-nia podała go matce. Matka położyła go na grzbiecie Ta-nii i gdy zmieniała mu pieluszkę, wpatrywał się w powiewające nad nim długie i puszyste różowe włosy. Kiedy Ta-nia odwróciła głowę, zupełnie się zachwyił. A matka się śmiała! Nie robiła tego ostatnimi czasy zbyt często. Adam był wniebowzięty.

Robin rozpięła koszulę, uniosła go i wtedy znalazł pierś.

Teraz świat był już całkiem doskonały.

Cała grupa dotarła do wiszącego mostu i przeszła po nim gęsiego. Adam już spał.

Robin była bardzo śpiąca. Nova była co najmniej śpiąca, ale nadal wlokła się w tyle za pozostałymi.

Minęli zwieńczoną łukiem bramę z wymalowaną na niej nazwą domu Chrisa: Tuxedo Junction. Robin była ciekawa, co ona oznacza.

Pandemonium znowu ruszyło w drogę.

Gaja szła lasami północnego Hyperionu i rozmyślała o ostatnich wydarzeniach. Nie była szczęśliwa, a kiedy Gaja była nieszczęśliwa, jej świta zawsze o tym wiedziała. Jednemu słoniowi nie udało się w porę zejść jej z drogi. Kopnęła go, nie zakłócając rytmu marszu. Słoń pokoziołkował w górę i wylądował w odległości stu metrów, rozerwany na dwie połowy.

Obmyśliwała program następnego obozowiska. Po dłuższym namyśle wybrała

“Siedmiu samurajów” Kurosawy. Potem przypomniała sobie o tamtych dwojgu czekających w Tuxedo Junction. Chris i Cirocco. Cóż, był jeszcze ten film z 1994 roku, z dziewiątką w tytule, nieprawdaż? Jej archiwista z pewnością go dla niej wyszpera.

Dostała go i roześmiała się w głos. Drugim filmem będzie “Osiem i pół” Felliniego.

Dwa

Chris zgrabnym ruchem zamieszał smażone jajka na miedzianej patelni i wyłożył je na gliniany talerz. Patelnia miała prawie metr średnicy. Wszystkie jego naczynia były takie ogromne. Zazwyczaj gościł tytanie, które prawie tak samo uwielbiały jeść jak gotować.

Był miernym kucharzem, ale Cirocco to nie przeszkadzało. Machnęła widelcem na

znak podziękowania, kiedy odebrał pierwszy talerz i postawił przed nią drugą porcję jajecznicy. Siedziała na wysokim stołku przed równie wysokim stołem, ze stopami

zaczepionymi o podpórki, i pochłaniała jedzenie z szeroko rozpostartymi łokciami i pochyloną nisko głową. Mokre włosy miała związane, żeby jej nie wpadały do talerza.

Chris przystawił sobie stołek i usiadł naprzeciwko niej. Kiedy Cirocco rzuciła się łapczywie na czternaste jajko, Chris dopiero zaczynał jeść te dwa, które przygotował dla siebie, i obserwował ją z drugiej strony stołu.

Była blada. Bardzo chuda. Mógł policzyć jej żebra, a piersi nieomal zanikły.

- Jak ci się udała wyprawa? - spytał.

Skinęła głową, potem sięgnęła po filiżankę z kawą, żeby popić ostatni kęs jajecznicy.

To zajęcie wymagało dwóch rąk. Kubek przeznaczony był dla tytani.

—

Bez problemów - powiedziała i otarła usta wierzchem ręki. W jej spojrzeniu

odmalowało się zdziwienie, a potem wstyd. Podniosła serwetkę, żeby obetrzeć dłoń i usta. -

Przepraszam - powiedziała i zachichotała nerwowo.

—

Jeśli o mnie chodzi, twoje zachowanie przy stole to twoja sprawa - powiedział. -

To jest przecież także twój dom.

—

Tak, ale nie ma powodu, żeby się zachowywać jak świnia. Tak mi niesamowicie smakowało. Wreszcie prawdziwe jedzenie.

Wiedział, co miała na myśli. Często głodowała. Uśmiechnął się jednak, słysząc jej opinię o tym jedzeniu. “Bekon” był mięsem śmieszka, który miał w sobie świńskie geny i został stworzony na drodze wyjątkowo dziwnego systemu krzyżowania, który Lutera Burbanka zawiódłby z pewnością do domu wariatów. “Jajka” pochodziły z krzaków, które licznie porastały Dione. Jeżeli pozwolono im dojrzeć na gałęzi, wylęgał się z nich wielonogi gad, który wydalał nasiona jaj wraz z ekskrementami. Owoce smakowały bardzo podobnie jak prawdziwe jaja.

Kawa, o dziwo, była prawdziwą kawą, hybrydą zaadaptowaną do słabego światła Gai.

Wraz z rozpadem związków handlowych między Ziemią i Gają sadzenie kawy na płaskowyżach stało się równie opłacalne jak uprawa kokainy, tradycyjnego gajańskiego towaru eksportowego. Cały rynek był zavalony koką, ale kawę trudno było kupić.

—  
Kong nie żyje - powiedziała, upiwszy kolejny łyk.

—  
Naprawdę? Kto go zabił?

—  
A nie wiesz?

Po chwili zastanowienia Chrisowi przyszedł do głowy tylko jeden kandydat.

—  
Powiesz mi?

—  
Jeśli wrzucisz jeszcze trochę bekonu na tę patelnię. - Uśmiechnęła się do niego szeroko. Chris westchnął i wstał.

Kiedy bekon zaczął skwierczeć, opowiedziała mu, co widziała w Fojbe. Mówiła i jednocześnie kończyła trzecią porcję. Wstała i opłukała talerz, potem stanęła obok niego, pokroiła ogromny bochen chleba na kawałki i poukładała je na tacy, żeby zrobić z nich tosty.

- Zdaje się, że on umrze dopiero wtedy, gdy mu się potnie mózg na kawałki.

Nieprawdaż? - Przykucnęła i wsunęła tacę na dolną półkę piekarnika, pod palnikiem, gdzie promieniujące ciepło miało je powoli podgrzać.

- Chyba tak - skrzywił się Chris.

Wyprostowała się i rozpuściwszy włosy, roztrząsnęła je i rozczesła palcami. Chris zauważył, że są nieomal zupełnie siwe. Sięgały jej do pasa. Był ciekaw, czy ona je kiedykolwiek obetnie. Przed operacją mózgu, przed pięcioma laty, rzadko kiedy zapuszczała je poniżej ramion. Potem, gdy ogolono jej głowę, wydawało się, że polubiła długie włosy.

- Czy powinienem wiedzieć coś jeszcze? - spytał.

- Znowu rozmawiałam z Gaby.

Chris nic nie powiedział, tylko dalej przewracał paski bekonu. Cirocco zaczęła przetrząsać zawartość szafki.

- Co powiedziała?

Cirocco znalazła zgrzebło jakiejś tytanii i zaczęła nim czesać włosy. Przez dłuższy czas nic nie mówiła, po czym westchnęła.

- Widziałam ją dwukrotnie. Raz jakieś trzy hektoobroty przed moją wyprawą do góry

Konga. Potem w Tetydzie, niewiele później. Za pierwszym razem powiedziała mi, że Robin wraca na Gaję. Nie mówiła dlaczego. Są z nią jej dzieci.

Chris nic nie mówił. Jeszcze niedawno coś by powiedział, ale ostatnio zastanawiał się nad wieloma rzeczami. Takimi na przykład jak definicja słowa "racjonalny", znaczeniem magii, albo tym co różni szybkich od zmarłych. Dotąd uważał się za racjonalistę. Był

cywilizowany. Nie wierzył w czary. Mimo że od dwudziestu lat mieszkał w miejscu będącym własnością "Boga", z którym rozmawiał, i choć kochał "Demona", który kiedyś był

"Czarodziejką", nie traktował tych słów zgodnie z ich definicjami. Gaja tylko nieudolnie naśladowała Boga. Cirocco była niezwykła, ale nie władała magicznymi mocami, ani

dobrymi, ani złymi.

Wziąwszy pod uwagę wszystko, czego był świadkiem lub o czym słyszał, czemu miałby się przejmować jakimś bzdurnym zmartwychwstaniem?

A jednak poczuł spory niepokój. Gaby umarła w jego ramionach. Nigdy nie zapomniał

jej straszliwie poparzonego ciała. Zupełnie się wściekł, kiedy Cirocco powiedziała mu po raz pierwszy, że ją widziała. Później był delikatny, bojąc się, że jego przyjaciółka się starzeje. To jednak było wyjaśnieniem zbyt prostym. Nawet jeśli należało odrzucić racjonalne metody myślenia, to wartość zachowywał jeszcze pragmatyzm, a Chris uważał siebie również za pragmatyka. Jeśli coś działa, to znaczy, że istnieje. A rozmowy Cirocco z Gaby stanowiły znakomite przepowiednie przyszłości.

—

Kiedy ona tu będzie? - spytał.

—

Na Gai? Ona już tu jest. Prawdę mówiąc, powinna właśnie zbliżyć się do Junction.

—

To ona zjawi się tutaj?

Conal je prowadzi. Jest z nimi też kilka tytani. O co chodzi? Nie chcesz ich tu?

- Nie w tym rzecz. Wspaniale ją będzie znowu zobaczyć.

Nigdy nie myślałem, że do tego dojdzie. - Rozejrzał się po kuchni. - Zastanawiałem się tylko, czy mam wystarczająco dużo zapasów dla gości. Może powinienem się przebiec do Hua i sprawdzić, czy mają...

Cirocco zaśmiała się i objęła go ramionami. Spojrzał jej w oczy i dostrzegł w nich figlarny błysk.

—

Nie rób z siebie takiej gospodyni, Chris - powiedziała i pocałowała go. - Tytanie są w tym lepsze i na dodatek to lubią.

—

W porządku. Co chcesz robić? - Objął ją, przesunął dłonie na pośladki i uniósł bez trudu.

—

Najpierw zajmijmy się bekonem i tostami, zanim się spalą. Chyba jednak nie jestem aż taka głodna, jak mi się wydawało.

—

Nie?

—  
Nie tego. Obiegłam całe to śmierdzące koło i nie spotkałam nikogo, na kim można byłoby zawiesić wzrok oprócz hutników. - Wsunęła rękę między ich ciała, przesunęła w dół jego brzucha i zacisnęła ją. - Nagle twoja pospolita twarz wydała mi się niesamowicie pociągająca.

—  
To nie moja twarz, staruszko.

—  
Nie szkodzi - powiedziała i znowu ścisnęła.

Pod koniec trzynastego dziesięciolecia nuda stała się głównym przmiotem obaw

Cirocco. Wiek ją oszczędził, nie otępiając jej władz umysłowych i fizycznych. Była jednak w stanie wyobrazić sobie, że gdy któregoś dnia pójdzie z kimś do łóżka, odwieczne rytuały coitalne wywołają w niej uczucie przesyty. Właśnie tego dnia będzie gotowa umrzeć.

Jednak jak dotąd wszystko było w porządku.

Znajdowali się w bocianim gnieździe, mansardzie górującej nad całym Tuxedo

Junction. W każdej z sześciu ścian były okna. Jedna z drabin sięgała do trzeciego piętra, a druga do dzwonnicy, w której mieścił się kurant Chrisa. Wzdłuż jednej ściany biegło kilkanaście lin zwisających przez otwory w podłodze i suficie.

—  
Juhuu! - krzyknęła Girocco i wyciągnęła rękę w stronę lin. Wybrała jedną i pociągnęła. Największy mosiężny dzwon wydał z siebie radosny łoskot.

—  
To dobre, co? - powiedział Chris i runął wprost na nią.

—  
Zadzwiczę wam po trzykroć - powiedziała i uderzyła w dzwon jeszcze dwa razy.

Potem oplotła męczyznę rękoma i nogami i ścisnęła z całej siły.

Życie na Gai miało swoje złe i dobre strony. Niektóre z nich, na przykład nie

zmieniające się światło, Cirocco przestała już prawie zauważać i ledwie pamiętała, na czym polega przejście dnia w noc. Jedną z dobrych rzeczy, których zazwyczaj nie zauważała, była niska siła grawitacji. Odczuwała ją natomiast podczas aktu miłosnego. Nawet tak wielki mężczyzna jak Chris nie ważył wiele. Zamiast przygniatać ją swym ciężarem, jego ciepłe ciało tylko kołysało. Mogli tak leżeć godzinami, jeśli im się chciało, on zupełnie zrelaksowany, ona nie zagrożona uduszeniem. Uwielbiała to. Kiedy mężczyzna już był w niej, za nic w świecie nie chciała go wypuścić.

Chris uniósł się lekko i spojrzał na nią. Jego skóra błyszczała od potu i to jej się też podobało.

—  
Czy ona coś powiedziała o... - Nie wiedział, jak dokończyć zdanie, ale wcale nie musiał. Cirocco wiedziała, o co mu chodzi.

—  
Nic. Ani słowa. Ale wiem, że to się stanie i to niebawem.

—  
Skąd wiesz? Wzruszyła ramionami.

—  
Nie wiem. Nazwij to intuicją trzydziestolatki.

—  
Minęło już wiele czasu, odkąd skończyłaś trzydzieści lat.

—  
O czym ty mówisz? Udało mi się to już cztery razy. Mam cztery razy po trzydzieści lat plus dziesięć.

—  
To znaczy, że masz cztery razy tyle seksu, co trzydziestolatka.

—  
To jasne jak słońce. Ja...

Obydwoje usłyszeli to jednocześnie. Gdzieś niedaleko rozległa się pieśń tytani. Chris pocałował Cirocco i podszedł do okna, z którego było widać most. Cirocco obróciła się na bok i spojrzała na Chrisa. Była zadowolona z tego, co zobaczyła, ale ciekawiło ją też, co pomyśli Robin.

Od pasa w dół Chris był najbardziej owłosionym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek

widziała. Wyglądał, jakby nosił spodnie z niedźwiedziej skóry. Te włosy, podobnie jak włosy na głowie, były jasnobrązowe i na całej dolnej części ciała osiągnęły długość co najmniej dziesięciu cali. Miękkie i cienkie, najmiłsza chyba skóra, wokół której można było owinać nogi.

Chris przemieniał się w tytanie. Proces ten już trwał od pięciu myriaobrotów. Na

klatce piersiowej i ramionach nie miał żadnych włosów. Broda przestała mu rosnąć dawno temu i teraz jego twarz była tak gładka jak u małego chłopca. W dobrym świetle mógłby uchodzić za dwudziestolatka. Oprócz tego było w nim jeszcze parę rzeczy, które z pewnością mogły zadziwić Robin... Na przykład ogon. Jego mięsista część miała zaledwie sześć cali długości, ale potrafił nim tak machnąć, że długie włosy wirowały wokół niego jak u rozbrykanego konia. Chris był po drobnomieszczańsku dumny ze swego ogona, a posługiwał

się nim nie gorzej niż pies. W podnieceniu merdał nim tam i z powrotem, jak teraz na widok grupy nadchodzącej właśnie przez most w ich stronę. Odwrócił się z uśmiechem.

—  
To oni - powiedział, a jego długie uszy wyprostowały się, wystając ponad linię

czaszki. Umysł Cirocco pozęgłował wstecz o całe sto dwadzieścia pięć lat, do kreskówki, która już wtedy była stara: o chłopcach grających w kulki i przemieniających się w osłów.

Mały drewniany chłopczyk i jej matka trzymająca ją za rękę w ciemności... ale nie potrafiła przypomnieć sobie tytułu.

—  
Wyjdę im naprzeciw - powiedział i zaczął schodzić po drabinie. Zatrzymał się. -

Idziesz ze mną?

—  
Za chwilę. - Odprowadziła go wzrokiem, po czym usiadła na ogromnym sienniku, którego zawsze używali jako łóżka. Odgarnęła gęste pasmo siwych włosów z twarzy, przeciągnęła się i wyjrzała przez okno sąsiadujące z tym, przez które wyglądał Chris.

—  
Była tam Gaby. Siedziała na konarze drzewa na tym samym poziomie co dzwonnica, w odległości niecałych pięćdziesięciu stóp.



—  
Dobrze było? - spytała Gaby.

—  
Tak. - Cirocco nie zawstydziała się ani nie oburzyła, uświadomiwszy sobie, że Gaby mogła tam siedzieć już od dłuższego czasu.

—  
Musisz uważać na niego. Grozi mu wielkie niebezpieczeństwo.

—  
Co mogę zrobić?

—  
Jest kilka rzeczy, których nie wiem. - Posmutniała na chwilę. - Dwie rzeczy -

powiedziała. - Po pierwsze, jest ojcem obydwójga. Może to wie, bo Robin jest już tego całkiem pewna.

—  
Chris?

—  
Tak. Sama to zauważysz. W przypadku Novy. I chłopca też.

—  
Chłopca? Jakiego chłopca?

—  
Dwoje - mówiła dalej Gaby. - Tylko nie uduś tej dziewczyny. Rozwścieczy cię, ale panuj nad sobą. Warto nad nią popracować.

—  
Gaby, ja... - Cirocco nagle zapało dech, gdy Gaby zsunęła się z gałęzi i zanurkowała do stawu. Mignęła jej w przelocie, z ramionami wycelowanymi w dół,

wyprężonymi stopami w górze, po czym cała jej sylwetka znikła w zielonej kipieli.

Długo nasłuchiwała, ale nie usłyszała plusku.

Trzy

Tytanie przygotowały ucztę. Słyszając ich szczęśliwe śpiewy, Robin uznała, że nie

zauważyły napięcia, jakie dręczyło ludzi. Myliła się. Tytanie wiedziały więcej o tym, co się dzieje, niż sama Robin, ale wiedziały również, że nie mają na to żadnego wpływu. Dlatego zastosowały taktykę, która sprawdzała się od ponad stulecia. Pozostawiały ludzkie sprawy ludziom.

Robin zapomniała już, jaka dobra jest tytanijska kuchnia. Krótco po powrocie do

Kongregacji, tuż przed urodzeniem Novy, przekroczyła swoją normalną wagę o dwadzieścia kilogramów. Bezlitosna dieta pomogła jej to zrzucić i utrzymywała się w takim stanie od dwunastu lat.

W którymś momencie jedzenie przestało ją interesować i od pięciu lat utrzymanie

szczupłej sylwetki nie stanowiło problemu. W tych latach musiała wręcz przypominać sobie, że powinna coś zjeść. Teraz, gdy rzucała się na stosy jedzenia na talerzach podanych przez tytanie, zastanawiała się, czy nie powinna znowu zacząć uważać.

Biesiada była osobliwie smętna, choć ożywiona. Chris, Ci-rocco i Conal często się

uśmiechali, ale niewiele mówili. Nova naturalnie zabrała swój talerz do najbardziej oddalonego kąta pokoju. Jadła żarłocznie jak zwierzę, nawet na moment nie spuszczałając oka z Cirocco.

—

Nova - zawołała do niej Robin. - Usiądź z nami przy stole.

—

Wolę jeść tutaj, matko.

—

Nova.

Dziewczyna niechętnie podniosła się i rzuciła chmurne spojrzenie, ale przysła. Robin zastanawiała się, jak długo to jeszcze potrwa. Cnota posłuszeństwa była silnie przestrzegana przez dzieci z Kongregacji, w której rodziny zbudowane były według zupełnie innego modelu niż tradycyjny. Nova była winna okazywać Robin całkowite posłuszeństwo do ukończenia dwudziestu lat, a potem wiele szacunku. Na razie miała dopiero osiemnaście lat. Za rok lub dwa... na Gai nie miało to znaczenia.

Dostrzegało się w tym jednak niewielkie zalety. Obydwie nie kłóciły się od czasu

przybycia do Tuxedo Junction. Robin była za to wdzięczna, bo kłótnie rozdzierały jej serce.

Podczas kłótni dobrze jest wiedzieć bez żadnej wątpliwości, że ma się rację, a ona dawno już wyzbyła się takiej pewności.

Od chwili przybycia Nova powiedziała zaledwie kilkanaście słów. Siedziała w

milczeniu, popatrując na swoje dłonie albo na Cirocco. Robin powędrowała za wzrokiem córki w stronę Czarodziejki - przepraszam, poprawiła się w duchu, Kapitana - śpiewającej jakiś niezrozumiały tytanijski utwór dla Serpenta, po czym spojrzała ponownie na Novę.

Oszczędź nas, Wielka Matko.

- Najadłaś się już, Robin?

Wzburzona i zaskoczona Robin ocknęła się i próbowała się uśmiechnąć do Cirocco.

Zanurzyła łyżkę w miseczce z jedzeniem dla dziecka przygotowanym przez tytanie i włożyła ją do ust Adama.

—

Ja? O tak, najzupełniej. Z nim jednak to potrwa dłużej.

—

Czy mogę z tobą porozmawiać? Na osobności?

Niczego bardziej Robin nie pragnęła, ale nagle przestraszyła się. Otarła usta Adamowi i wykonała nieczytelny gest dłonią.

- Jasne, jak tylko...

Cirocco jednak zdążyła już obejść stół i podnieść dziecko. Podała je Chrisowi,

któremu zdawało się to odpowiadać.

—

Chodź. Chris się nim dobrze zaopiekuje, prawda stary?

—

Jasne, Kapitanie.

Cirocco pociągnęła Robin za łokieć, delikatnie, lecz stanowczo. Mała czarownica

poddała się. Idąc w ślad za Cirocco przez kuchnię, wyszła na jedno z przejść z poręczami, zbudowane na poziomej gałęzi, i trafiła do położonego nieco wyżej, oddzielnego budynku do połowy ukrytego wśród konarów. Był zbudowany z drewna i miał pięć ścian. Drzwi były tak niskie, że Cirocco musiała pochylić głowę. Robin natomiast była niższa od framugi drzwi aż o cal.

—

Dziwne miejsce.

—

Bo Chris jest dziwakiem. - Cirocco zapaliła lampkę oliwną i ustawiła ją na stole zajmującym środek pokoju.

—

Opowiedz mi coś więcej. Valiha uprzedziła mnie, że się zmienił, ale ja nigdy... -

Robin zawiesiła głos, bo wreszcie dotrzegła wystrój pawilonu.

Wszystkie ściany były obite miedzią. W metalu wryto setki rysunków, których treść była częściowo znajoma Robin, a częściowo obca. Większość jednak zdawała jej

przypominać dawno pogrzebaną przeszłość.

- Co to jest? - wyszeptała.

Cirocco wskazała największy z rytów. Robin podeszła bliżej i zobaczyła stylizowaną sylwetkę kobiety, kanciastą i prymitywną jak hieroglif. Była naga, brzemienna i miała troje oczu. Całe jej ciało, począwszy od jednej z kostek do przeciwległego ramienia, oplatał wąż z odchylonym łbem i zapatrzony w jej twarz. Kobieta również patrzyła na węża, nieruchomymi, szeroko rozwartymi oczyma.

Czy to mam być ja? - Mimowolnie dotknęła ręką czoła. Tam znajdowało się jej

wytatuowane trzecie Oko. Zasłużyła na nie ponad dwadzieścia lat wcześniej i bez niego nie byłaby w stanie wrócić na Gaję.

Miała również tatuaż przedstawiający węża, który wił się wokół jej całego ciała, od nogi aż do piersi.

- Co to jest?

W pokoju stały dwa drewniane krzesła z prostymi oparciami. Cirocco postawiła jedno z nich na samym środku i usiadła.

—  
Prawdopodobnie powinnaś o to zapytać Chrisa. Moim zdaniem to jest pomnik.

Lubił cię. Wybudował to, bo się nie spodziewał, że cię jeszcze zobaczy.

—  
Ale to... takie dziwaczne.

—  
Jak już mówiłam, taki jest Chris.

—  
Co się z nim dzieje? - spytała Robin.

—  
Fizycznie? Przeistacza się w to, co Gaja obiecała mu dawno temu.

—  
To obrzydliwe.

Cirocco roześmiała się. Robin ponownie się zaczerwieniła, po czym pojęła, że Cirocco nie śmieje się z niej, tylko z jakiejś własnej myśli.

- Nieprawda - powiedziała. - To tylko zaskakujące.

Zobaczyłaś to wszystko w jednej chwili. Ja tę przemianę oglądałam dzień po dniu i wydawało się, że jest zupełnie naturalna i właściwa. A jeśli chodzi o zaskoczenie... ty go zaszokowałaś bardziej niż on ciebie.

Robin musiała odwrócić głowę. Wiedziała, jak wygląda.

- To się nazywa wiek - powiedziała z goryczą. Najstraszniejsze było to, że wyglądała starzej od Cirocco.

—  
Nie. Postarzałaś się, ale nie to jest szokujące. Na swój własny sposób zmieniałaś się równie radykalnie jak Chris. Jakiś straszny lęk naznaczył ci duszę.

—  
Nie sędzę. Porażka i niełaska tak. Nie lęk.

—  
Lęk - powtórzyła bezlitośnie Cirocco. - Wielka Matka cię opuściła. Twoja ostoja

zniknęła. Przestałaś płonąć i tylko się unosisz, a twoje stopy nie są w stanie dotknąć łona ziemi. Nie znasz takiego miejsca, na którym mogłabyś stanąć, żadnego Pępka.

—  
Skąd ty to wszystko wiesz? - wrzasnęła Robin.

—  
Wiem to, co widzę.

—  
Tak, ale te słowa, te... te sekretne słowa... - Niektóre z nich pochodziły z rytuałów Kongregacji stosowanych podczas ceremonii i egzorcyzmów, o których Robin z całą

pewnością nigdy nie wspominała Czarodziejce. Inne pochodziły z najgłębszych zakamarków jej duszy.

—  
Znalazłam kilka wskazówek. Teraz natomiast chciałabym wiedzieć, po co tu jesteś.

Po co się tu zjawiałaś? Na co liczysz?

Robin otarła łzy i przystawiła sobie krzesło bliżej Cirocco. Usiadła i wreszcie była w stanie spojrzeć na starszą kobietę. Opowiedziała jej swoją historię.

Robin przybyła na Gaję przed laty, tak jak wielu innych, aby zostać uzdrowiona.

Gaja była bogiem, który nigdy niczego nie rozdawał za darmo. Robin powiedziano, że musi się wykazać, zrobić coś bohaterskiego, zanim uzdrowienie będzie możliwe. Nie miała na to specjalnej ochoty. W końcu z jej chorobą jakoś dawało się żyć. Zresztą miała własne metody: kiedy jej dłoń zaczęła drżeć, sygnalizując atak epilepsji, po prostu obciąła sobie mały palec.

Idąc jednak za radą Gaby Plauget, Robin wybrała się na wyprawę do wnętrza koła w

towarzystwie Gaby, Cirocco, tytanii Psalterium i Obój oraz Chrisa Majora, który również pragnął swego uzdrowienia.

Gaby i Cirocco miały w tym swój ukryty cel. Szukały sprzymierzeńca wśród jedenastu regionalnych mózgów Gai. Gaby szukała znacznie staranniej niż Cirocco, bowiem

Czarodziejka była notoryczną alkoholiczką, którą trzeba było zmuszać Ho wszelkiego działania. Niektóre z regionalnych mózgow były sojusznikami Gai, a inne wrogami. Podział

zaznaczył się podczas Rebelii Oceanicznej, gdy ludzie na Ziemi żyli jeszcze w jaskiniach.

Plan Gaby nie był niczym innym jak zamiarem obalenia i zastąpienia samej Gai.

Pragnęła zwerbować nowego boga. Misja kosztowała ją życie, a prawdopodobnie znacznie więcej. Cirocco utraciła stanowisko Czarodziejki. Należało jeszcze się przekonać, czy tytanie przeżyją jako rasa.

Jedynymi, którzy jak się wydawało, skorzystali na tej nieudanej walce, byli: Robin, Chris i hutnicy. Robin i Chris zostali uleczeni. Hutnikom, z niewiadomych powodów, pozwolono dokonać poszerzenia ich wpływów poza małą wysepkę w Fojbe i obecnie

wyzwali tytanie do walki o dominację nad wielkim kołem.

Robin wróciła do domu z zamiarem długiego i szczęśliwego życia.

- Przez jakiś czas było wspaniale - powiedziała i uśmiechnęła się na samo

wspomnienie. - Chris miał rację.

W wyhodowaniu nowego palca było dużo labry. Polecam to jako metodę na zaskakiwanie przyjaciół.

Wiedziała, że Gaby i Cirocco gardzą labrą jako żeńską formą macho. Myliły się, ale to nie miało znaczenia. Fakt, że to Gaja sprezentowała jej nowy palec w miejsce odciętego, wciąż ją dręczył, a w końcu wyjąłowił i ją, i jej zwycięstwo.

Było to równie pozbawione znaczenia jak trzecie Oko, które miało oznaczać

nieomyślność. Ci, którzy posiadali Oko, byli w rzeczywistości awanturnikami, niezdolnymi do niczego złego, obłudnymi jak każdy Papież.

—  
Wyjechałam z Kongregacji już jako postać na pół mityczna - ciągnęła Robin. -

Wróciłam jako... Nie znam na to słowa. Kongregacja nigdy nie widziała kogoś takiego jak ja.

—  
Supergwiazda - odpowiedziała Cirocco.

—  
Co to takiego?

—  
Archaizm. To ktoś, czyja sława przekracza wszelkie rozsądne granice. Wszyscy  
dość szybko zaczynają wierzyć w tę sławę.

—  
Robin zastanowiła się nad tym.

—  
Było w tym coś takiego. Tak. Szłam do góry tak szybko, jak chciałam. Mogłam iść  
szybciej, ale... nie byłam pewna, czy powinnam.

—  
Słyszałaś jakiś głos - zasugerowała Cirocco.

—  
Tak. To był mój własny głos. Zdaje się, że mogłam ogłosić się Wielką Matką.

Wiedziałam jednak, że nią nie jestem. Wiedziałam nawet, że nie jestem najlepsza.

—  
Nie oceniaj się tak surowo. Byłaś cholernie dobra, o ile pamiętam.

—  
Cholernie szybka. Cholernie silna. Byłam cholernie złą i zatwardziałą suką. Ale

tutaj, gdzie się to liczyło tylko dla mnie - tu uderzyła się w pierś - wiedziałam, czym jestem  
naprawdę. Postanowiłam wycofać się z publicznego życia. Są takie miejsca, do których można się  
wycofać... na przykład zakony. Czy nie to właśnie robią zakonnice?

—  
Chyba tak.

—  
Miałam zamiar spędzić cały rok na medytacjach. Potem chciałam urodzić

dziewczynkę i poświęcić się jej wychowaniu. Ale nie zdążyłam, bo dowiedziałam się, że jestem w  
ciąży.



Milczała przez chwilę, przypominając sobie to wszystko. Zagryzła dolną wargę, po czym spojrzała na Cirocco.

—  
To stało się ponad rok po moim powrocie z Gai, rozumiesz. Na Ziemi jakoś bym uszła uwadze. Ale w Kongregacji musiałyśmy sztucznie...

—  
Pamiętam. Wiem, o czym mdwisz.

—  
Tak, ale zrozum, kobiety w centrach porodowych wiedzą, kto to zrobił. Kiedy

zaczęłam nabrzmiewać... - Westchnęła i potrząsnęła głową. - To okropne, ale gdyby to się przydarzyło jakiejś innej, zostałaby spalona. Nie paliliśmy nikogo za wiarę chrześcijańską od... och, pięćdziesięciu lat. Wydawało się, że są tylko dwa wytłumaczenia. Albo miałam cielesne stosunki z chrześcijańskim demonem, albo... że to było Gynorum Sanctum ze związku kobiety ze świętą Matką, doskonałe i niepokalane.

—  
Ukryła twarz w dłoniach.

—  
Naprawdę to kupiły? - spytała Cirocco.

—  
Och, i tak, i nie. Jest taka konserwatywna frakcja, która uważa, że wszystkie nauki są literalnie prawdziwe. To w każdym razie przypieczętowało mój los. Nie twierdzę, że się do tego nie przyczyniłam. Przez jakiś czas chyba sama wierzyłam, że przyszła do mnie Wielka Matka. Ale za każdym razem, gdy patrzyłam na twarz Novy, coś mi mówiło, że to był ktoś inny.

Cirocco znużonym ruchem pokręciła głową. Tyle można było uniknąć, gdyby nie była wtedy taka zajęta, gdy Robin szykowała się do wyjazdu.

—  
Przestań - przykazała sobie. - Byłaś zajęta przez jakiś czas, to jasne, ale potem byłaś pijana przez prawie cały kiloobrót.

—  
Czy domyślałaś się, skąd jest to dziecko?

—  
Przez dłuższy czas nie. Jak powiedziałam, było znacznie łatwiej brać to tak, jak jest. Dopiero później zastanowiłam się nad tym świadomie.

—  
Mogłam cię uprzedzić, że Gaja może ci dać taki pożegnalny prezent. To samo zrobiła mnie, Gaby i August zaraz po naszym wylądowaniu tutaj. Wszystkie byłyśmy w ciąży. Miałyśmy skrobanki. - Urwała i spojrzała ponownie na Robin. - Czy... miałaś jakieś przeczucia... kim może być ojciec dziecka?

Robin roześmiała się.

—  
Idź i popatrz na nią. Czy to nie jest oczywiste?

—  
Nova ma twoje usta.

—  
Racja. I oczy Chrisa.

Chris szukał w piwnicy projektora.

Użycie słowa "piwnica" w odniesieniu do domu na drzewie, gdzie wszystkie piętra znajdują się nad ziemią, jest być może semantycznym błędem, ale Chris naprawdę posiadał piwnicę. Zapadowe drzwi w podłodze głównego budynku prowadziły do jamy wydrążonej w pniu wielkiego drzewa. W pomieszczeniu tym mieściło się wszystko to, czego Chrisowi nigdy nie udało się spożytkować. Tych rzeczy były całe góry.

Conal stał na drabinie i trzymał wysoko lampę, a Chris przerzucał różne przedmioty z jednej sterty na drugą, z odrazą przeglądając tę zbieraninę.

—  
Nie dość, że jesteś architektem z przymusu - zauważył - to jeszcze nabawiłeś się ostrej śmieciomani.

—

To chyba przypadek śmiertelny - zgodził się Chris.

- Ale przecież to samo można powiedzieć o Luwrze.

—  
Co to takiego?

—  
Teraz już nic. Wyleciał w powietrze wiele lat temu. To było muzeum. Na Gai nie ma żadnych muzeów. - Wyprostował się i otarł z twarzy pot zmieszany z kurzem. - To brudna robota, ale ktoś ją musi zrobić.

—  
Tytanie mają muzeum.

—  
Nie da się zaprzeczyć. Ale najstarszy eksponat nie jest wiele starszy od Cirocco.

Same tytanie istnieją przecież całkiem od niedawna. Nie ma żadnych ludzkich muzeów na Gai. Jeśli na Ziemi pozostały jakiegokolwiek, to też już długo nie postoją. Czemu więc nie zacząć tutaj?

Conal spojrzał jeszcze raz ze z wątpieniem na stertę śmieci.

—  
Przyznaj się, Chris. Po prostu nie umiesz niczego wyrzucić.

—  
Istotnie, zgrzeszyłem. - Zagłębił się w stosie osobliwości i wyciągnął starego

—  
kodaka brownie. - Człowiek naprawdę nigdy nie wie, kiedy będzie czegoś potrzebował.

—  
Tak, ale skąd ty to wszystko bierzesz?

Chris popchnął Conala w górę drabiny, poszedł w ślad za nim i zamknął klapę. Potem ruszyli razem przez labirynt drzwi i pokojów, aż wreszcie dotarli do pomieszczenia, które Chris przeznaczył na swój warsztat. Było to właściwie kilka pokojów, w których Chris był w stanie robić wszystko, począwszy od wydmuchiwania szkła, a skończywszy na naprawianiu komputerów.

Ustawił projektor na stole i zaczął rozbierać go na części.

- Zbierałem różne rzeczy, gdzie popadnie - wyjaśnił.

- Tak się to zaczęło. Teraz wszystkie tytanie, które przychodzą do mnie, przynoszą mi prezenty. Dużo handlują. Nie masz pojęcia, co one potrafią znaleźć. Niewiele rzeczy dociera tu ostatnio z Ziemi, ale kiedyś trafiało tu dosłownie wszystko.

Przed wojną osadnicy zabierali z sobą prawie cały dobytek.

Zdjął boczną płytę i zajrzał do środka, zdmuchując kłęby kurzu. Wsadził palec do wnętrza mechanizmu i zakręcił kołem. Wykręciwszy podłużną żarówkę z projektora, cisnął ją w stronę Conala.

Sprawdź ją, dobrze? Chyba już się do niczego nie nadaje. Prawdopodobnie będę musiał wydmuchać nową.

Conal obrócił się w stronę warsztatu elektrycznego. Umocował żarówkę, potem wziął dwa zaizolowane druty z nagimi końcówkami, dotknął jedną mosiężnej izolacji, a drugą tępej metalowej końcówki. Przycisnął przełącznik i włókno rozjarzyło się jaskrawo.

Chris przeniósł projektor i ustawił go obok żarówki.

—  
Jednak działa? To nam zaoszczędzi trochę czasu. - Wkręcił żarówkę z powrotem

na miejsce, po czym przyłączył kilka urządzeń na warsztacie i wreszcie zetknął z sobą dwa druty, aby włączyć silnik projektora. Zaszumiał, powietrze zapachniało ozonem, ale nic poza tym się nie wydarzyło. Chris mruknął coś i poprzekładał kilka transformatorów. Dalej nic.

Podniósł wzrok i zobaczył Cirocco oraz Robin, wchodzące do warsztatu. Nieco w tyle za nimi wlokła się Nova.

—  
Cirocco - powiedział Chris. - Mogę poszukać nowego silnika do tego urządzenia i

sprawić, żeby choć chwilę działał. Albo... - Wskazał ręką na nią, a potem na projektor. - Czy myślisz, że możesz go uzdrowić?

Obdarzyła go dziwnym spojrzeniem, wzruszyła ramionami i podeszła do warsztatu.

Spojrzała na projektor, położyła na nim dłonie i zmarszczyła brwi. Rozległ się suchy trzask, któremu towarzyszył snop isker. Robin głośno wciągnęła powietrze, ale Cirocco ledwie mrugnęła. Coś krótko zaszczekało, a potem umilkło. Cirocco pochyliła się nad projektorem, nie zważając na iskry,

które jak niebieskie drabinki pojawiły się między jej palcami. Conal dostrzegł przelotną marzycielską mgiełkę w jej oczach, po chwili wyprostowała się i włożyła kciuk do ust.

- Ten sukinsyn mnie oparzył - mruknęła i zaczęła ssać palec.

Chris uniósł brew, po czym włączył projektor do sieci. Maszyna zawahała się, po czym zaczęła pracować tak gładko, jak tylko pozwalał na to jej wiek.

Nikt się nie odezwał. Conal poustawiał krzesła, a Chris włożył film Cirocco do projektora. Nie miał drugiej rolki, ale to nie miało znaczenia, zakładał bowiem, że nikt już tego nie będzie po raz drugi oglądał.

Cirocco i Robin przypięty do przeciwległej ściany płachtę papieru.

—

Czy nie powinniśmy zaprosić tytanii? - spytała Robin.

—

Ruchome obrazy wzbudzają w nich niepokój - odparła Cirocco.

—

Nie wiemy dokładnie, dlaczego tak jest - dodał Chris, odpowiadając na pytające

spojrzenie Robin. - Ich mózgi wydają się nie być do tego przystosowane. Dostają mdłości, jakby cierpiały na chorobę morską.

Uruchomił projektor.

Po chwili od strony drzwi rozległ się odgłos wymiotowania. Conal odwrócił się i

zobaczył Novę uciekającą przed obrazami, które pojawiły się na ekranie. Zastanowił się, czy za nią nie pobiec, ale wiedział, że to byłoby głupota. Odwrócił się z powrotem w stronę ekranu.

Gaja właśnie odgryzła głowę drugiemu człowiekowi. Był ubrany w pomarańczową togę. Pierwszy miał na sobie tradycyjny kapłański kołnierz i czarną szatę.

To była rozgrzewka przed meczem z Kongiem. W tle niektórych ujęć można było

dostrzec wielką małpę unoszącą się nieruchomo w powietrzu. Boleks, który sfilmował to wszystko, był bardziej zainteresowany sceną pożerania świątobliwych mężów. Każde ujęcie było wykonane bez najmniejszego drżenia i starannie wykadrowane.

Rozpoczęła się walka. Gaja i Kong schwycili się za barki. Kong przeleciał ponad

głową Gai i wylądował na grzbiecie. Wydawał się ogłuszony, kiedy Gaja zwała się na niego i przyparła go do ziemi. Po chwili wielka bestia zrzuciła z siebie Gaję i ruszyła do ataku. Po krótkiej walce Kong znowu leżał. Gaja krążyła chwilę w powietrzu, po czym runęła na niego.

Tym razem wydawało się, że nie tylko na nim leży, ale robi coś ponadto. Conal z

początku nie potrafił się zorientować co. Wpatrywał się w ekran z zaschłymi ustami, zafascymowany i zawstydzony. W końcu musiał odwrócić wzrok. Patrzył na Chrisa, Cirocco, Robin... na wszystko, tylko nie na ekran.

Przysięgłabym, że on nie miał organów płciowych - powiedziała w pewnym momencie Cirocco.

Miał je dobrze ukryte - powiedział Chris. - Musiała je z niego wywlec.

- Wielka Matko, uchwaj nas - wyszeptała Robin.

Conal spojrział znowu na ekran. Dotąd uważał, że samica nie jest w stanie zmusić samca do seksu. Może zresztą nie doszłoby do tego, gdyby Kong nie był tak poważnie ranny. Gaja siedziała na nim okrakiem i kapła się w strumieniach krwi tryskających z otworu w jego piersi.

- Wyłączcie to - powiedział błagalnie Conal. Cirocco obdarzyła go przelotnym,

kamiennym spojrzeniem i potrząsnęła głową. Mógł wyjść albo patrzeć. Z trudem oderwał wzrok.

Gaja zachwiała się jak pijana. Wpadła na kamienną ścianę jaskini i osunęła się na bok.

Ekran poczerniał na moment, po czym na nowo rozblysnął. Gaja leżała na boku, wciąż naga.

Krew na jej twarzy i rękach zaczynała schnąć. Przekręciła się na plecy. Jęknęła. Jej brzuch wydymał się rytmicznie.

—

Ona rodzi - powiedział Chris.

—

Tak - warknęła Cirocco. - Ciekawe tylko co?

Końcówka filmu przewinęła się przez mechanizm migawkowy i zsunęła na podłogę.

Biały ekran zamrugał i oświetlał przez chwilę trzy poblądłe twarze, dopóki Chris litościwie nie

wyłączył projektora.

To był wielbłąd i był już martwy.

Wielbłąd urodził się żywy i z woli Gai dołączył do towarzystwa, z którym wędrowała od góry Konga do obecnego terenu Pandemonium. Nie potrafiła wpaść na żaden pomysł, jak go wykorzystać.

Nie planowała, że to będzie wielbłąd. W ogóle niewiele planowała ostatnimi czasy.

Podobał jej się chaos. Był o wiele zabawniejszy niż kierowanie tym pieprzonym światem.

Gaja rodziła różne rzeczy po prostu dlatego, że taka wydawała się być funkcja

przynależna bogom. Dziwiła się natomiast, tak jak wszyscy, tym, co z tego wychodziło. Jej umysł podzielił się na wiele niezależnych części, jedne bardziej szalone od drugich, ale wszystkie porządnie zwariowane.

Zapamiętać: Wyświetlić jak najszybciej Trzy twarze Ewy.

Ta część, która sterowała odpowiednikiem macicy, nie mówiła reszcie, co ma zamiar

zrobić. Gaja była zadowolona z takiego porządku rzeczy. Po trzech milionach lat przydało się kilka niespodzianek. Raz na jeden kilooobrót własne ciało ofiarowywało jej coś nowego. W

ubiegłym roku urodziła cały miot smoków, czterometrowego tygrysa i stworzenie, które w połowie było Modelem-T, a w połowie ośmiornicą. Większość z nich nie żyła długo, bowiem brakowało im takich organów jak serce lub nos. Resztę stanowiły hybrydy. Podświadomość Gai nie kłopotowała się artystycznymi szczegółami.

Jednakże wielbłąd był całkiem niezły. Okazały dromader, skromny jak departament

opieki społecznej i martwy, bo już wymyśliła, co z nim zrobić. Miała zamiar przeciągnąć go przez ucho igielne.

Zrozumiała, że musi to być duża igła. Dołączono do niej wielki lej i maszynę do

mielenia wielbłądów.

Gaja zbudowała rusztowanie nad lejem i wlała do niego pierwszą beczkę

wielbłądziego pure. Obserwowało ją sto obiektywów.

Trzy obroty później, zmęczona i głodna, zarządziła przerwę. Mniej więcej połowa

wielbłąda została już przelana, a reszta wymagała dalszej zmuśnej pracy. Ponadto, żeby miara w stopach dobrze wyszła na ujęciach leja, należało go najpierw wyczyścić.

Usiadła na swoim krześle, żeby obejrzeć podwójny seans przewidziany na ten dzień, czyli "Lawrence'a z Arabii" i... nie mogła sobie przypomnieć. Wierciła się i kręciła niecierpliwie w fotelu.

Kiedy Cirocco ruszy wreszcie do akcji?

Gaja czekała na Główne Wydarzenie.

Cztery

Robin, obudź się.

Robin natychmiast oprzytomniała. Zobaczyła pochylającą się nad nią Cirocco.

—

Nic się nie stało. Nie bdj się.

Nie boję się. - Przetarła oczy. - Która godzina...? Cirocco uśmiechnęła się, widząc, jak Robin przypomina sobie, gdzie jest.

- Spałaś jakieś siedem godzin. Wystarczy ci już?

—

Jasne. - Cirocco wciąż mówiła szeptem, więc Robin również nie podnosiła głosu. -

Ale... do czego wystarczy?

—

Chcę, żebyś poszła ze mną.

Gdy matka się ubierała, Nova nie otworzyła oczu i nie zrobiła ani jednego ruchu.

Kiedy Robin wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi, Nova usiadła i podczołgała się do progu. Uchyliła drzwi na ułamek cala i zobaczyła Cirocco i Robin rozmawiające z sobą cicho na korytarzu. Obydwie zniknęły z pola jej widzenia. Usłyszała, jak schodzą po schodach na parter.

Obserwowała je w głównym pokoju znad poręczy pierwszego piętra, po czym

usłyszała odgłos otwierania i zamykania frontowych drzwi. Pobieгла do pokoju, który dzieliła z matką i Adamem. Zajrzała do jego kołyski i ze zdziwieniem skonstatowała, że zniknął.

Wiedziała, że Robin nie wzięłaby z sobą tego małego potwora, więc założyła, że musiała to zrobić Cirocco.



Wystarczyło się wychylić mocno z okna, żeby zobaczyć drugi koniec wiszącego

mostu. Wystawiła głowę i natychmiast ją cofnęła. Obydwie kobiety szły przez most. Cirocco niosła dziecko.

Ubrała się, zeszła na dół i już trzymała dłoń na klamce, gdy coś kazało jej się zastanowić.

To się nie uda.

Nova zdawała sobie doskonale sprawę, jakie są jej możliwości. Na własnym terenie

potrafiłaby śledzić Cirocco. Jednak tutaj Cirocco była od niej lepsza. Wydawało się, że wyczuwa cudzy wzrok przez skórę, każdą muskającą ją myśl. Śledzenie takiej kobiety w nieznanym dzungli miało się z celem. Ale, o Wielka Matko, jakże pragnęła z nią być.

Robin z początku nie zdawała sobie sprawy, że idą ścieżką. Wprawdzie czasem widać

było jej fragmenty, ale na ogół ginęła w bujnej roślinności. Musiały pochylać głowy pod niskimi gałęziami i wspinać się na powalone pnie. Nie gubiły jednak szlaku. Robin

przeszukiwała swą skąpą wiedzę na temat zachowań dzikich zwierząt, zastanawiając się, czy to są podchody, po czym uświadomiła sobie, że cała ta wiedza dałaby się zastosować na Ziemi, ale na pewno nie na Gai. Kto wiedział, co powoduje zachowaniami gajańskich

zwierząt?

—

Czy ty mi ufasz, Robin?

—

Czy ci ufam? Wydaje mi się, że tak. A bo co?

—

Niech ci się nic nie wydaje. Przemyśl to.

Robin intensywnie zastanawiała się nad tym, podążając w ślad za kobietą, którą wciąż uważała za Czarodziejkę. Czuli się niezgrabna, słaba i bardzo stara. Idąca przed nią Cirocco była szczupła, zwinna i wydawało się, że wręcz wyrasta z tej ziemi, po której stąpa.

Ufać jej? Robin przychodziły do głowy różne za i przeciw. Czarodziejka była

alkoholiczką, gdy Robin ją poznała. Czy ta choroba jest w ogóle uleczalna? Czy nie istnieje

możliwość, że w razie jakichś niepowodzeń ona z powrotem sięgnie po butelkę?

Robin spojrzała raz jeszcze. Nie, Cirocco tego nie zrobi. Nie wiedziała, dlaczego jest tego tak pewna, ale tak było. W tej kobiecie zaszła jakaś fundamentalna przemiana.

—  
Wierzę, że dotrzymujesz danego słowa. Wierzę, że jeśli powiesz, że coś zrobisz, to mogę na to liczyć.

—  
Tak się zazwyczaj dzieje, o ile tylko jestem żywa.

—  
Wierzę, że robisz tylko to, co uważasz za słuszne.

—  
Słuszne dla kogo? Dla mnie czy dla każdego? To nie zawsze to samo.

—  
Tyle Robin też wiedziała, toteż zastanowiła się głębiej.

- Dla każdego. Myślę, że uprzedziłabyś mnie, gdybyś musiała zrobić coś, co twoim zdaniem jest najlepsze, ale czym mogłabyś wyrządzić mi krzywdę.

- Zrobiłabym to.

Szły przez jakiś czas w milczeniu, po czym Cirocco zrobiła półobrót i gestem

nakazała Robin, by szła obok niej. Od tego miejsca ścieżka była już wystarczająco szeroka, by mogły po niej iść dwie osoby obok siebie. Ujęła Robin za rękę i w ten sposób szły dalej.

—  
Czy wierzysz mi na tyle, by dochować tajemnicy?

—  
Jasne.

—  
Nie wyraziłam tego właściwie. Są pewne rzeczy, które muszę zachować w

tajemnicy przed tobą. Nie mogę ci powiedzieć dlaczego. Część tego wynika ze starej, złotej zasady tak zwanej "wspólnoty wywiadowczej". Nie można powiedzieć tego, czego się nie wie.

—  
Mówisz poważnie, prawda?

—  
Nie bawię się w gierki słowne, mała. Tu toczy się taka sama wojna jak na Ziemi.

W jakiś sposób ta jest tak samo ohydna.

—  
Tak, wierzę ci, że masz ku temu powody. Przynajmniej dopóki nie dowiem się czegoś więcej.

—  
Tyle wystarczy. - Zatrzymała się i obróciła Robin, by stanąć z nią twarzą w twarz. -

Rozluźnij się i spójrz mi w oczy, Robin. Chcę, żebyś się zupełnie rozluźniła. Każdy miesiąc jest odprężony, a tobie chce się spać.

Robin poddawała się już kiedyś hipnozie, ale nigdy z taką łatwością. Cirocco ani nie mówiła długo, ani nie używała żadnych przedmiotów. Spojrzała po prostu w oczy Robin i jej źrenice zrobiły się takie wielkie jak morze Fojbe. Mruczała coś cicho i dotykała dłońmi jej twarzy. Robin odprężyła się.

—  
Zamknij oczy - powiedziała Cirocco i Robin jej usłuchała. - Będziesz spała, ale

niezbyt głęboko. Będziesz czuła dotyk i różne zapachy, będziesz też doskonale słyszała, ale niczego nie zobaczysz. Rozumiesz?

—  
Tak.

—  
Robin poczuła, że coś ją unosi. To było przyjemne uczucie. Usłyszała szelest wiatru wśród drzew. Poczowała coś, jakby zapach przejrzałych truskawek. Zdawało jej się, że podskakuje wraz z biegnącą po ścieżce Cirocco. Potem zaczęła się obracać. Trwało to dłuższy czas, aż w końcu straciła poczucie orientacji.

Nie dbała o to. Czowała przede wszystkim silne ramiona Cirocco obejmujące jej plecy i nogi, czowała twarde mięśnie brzucha opierające się o jej pośladki, czowała wyraźny, nieco słodkawy zapach, który wydzielala Czarodziejka. Jej umysł zaczął wytwarzać przyjemne wizje. Dawno już nie miała kochanki.

Było jej dobrze. Lepiej nie było od czasu... od czasu tamtych odległych dni, kiedy wraz z siedmioma towarzyszami żeglowała Ophionem ku nieznanemu przeznaczeniu. To było niesamowite, dać się tak oderwać od ziemi przez jakieś siły - albo Czarodziejki - bez udziału woli.

—  
Nova nie spała, kiedy po ciebie przyszłam - powiedziała Cirocco.

—  
Naprawdę?

—  
Nie. Zeszła za nami po schodach. Potem obserwowała nas z okna. Myślałam, że będzie nas śledzić, ale nie zrobiła tego.

—  
Nie jest głupia.

- Zorientowałam się już. Ona jest... trudna.

Robin zaśmiała się.

—  
Gdybyś została zdegradowana z Córki Dziewicy do roli wygnańca i uchodźcy, też byś była trudna.

—  
Dlaczego tu przyjechała? Wydaje się ciębie nienawidzić.

—  
Jakaś jej część chyba tak. Odniosłam tak ogromną porażkę, mój upadek był tak

wielki... tak, jakbym jej też to zrobiła. - Robin urwała, zastanawiając się, dlaczego gdy mdwi to wszystko, nie czuje bdlu, po czym przypomniała sobie, że została poddana hipnozie.

Podobało się jej to. Wyznanie było konieczne.

—  
Przyjechała, bo jest posłuszna? To chyba nie w jej stylu.

—  
Nie znasz Kongregacji. To była konieczność... i strach. Nie sądzę, żeby moim

ukochanym siostrą się powiodło. Myśle że one tam zamarzną. Ale zanim ta kwestia została postawiona, odebrano mi głos. Nova też uważa, że im się nie uda. Więc czuje, że nie ma większego wyboru. To było dla nas trudne. Przez dziewięćdziesiąt dni po odkryciu Adama nie istniałyśmy. Uratowało mi życie wyłącznie moje Trzecie Oko. Dlaczego również ona musiała odejść? To było twoje dziecko.

Ach, to nie miało znaczenia. Widzisz, ona była dziwolągiem. Odkryła istnienie

Adama, kiedy miał sześć miesięcy. Usiłowała go zabić. Przeszkodziłam jej w tym. Potem obydwie go ukryłyśmy, ale wiedziałyśmy, że to nie może trwać długo. I wszystko się w końcu wydało. Musiałam użyć całego mojego byłego prestiżu, gdy przysięgałam, że on jest dziewczynką. Żadna tego nie sprawdziła, ale wszystkie wiedziały.

—  
Co masz na myśli, mówiąc, że Nova była dziwolągiem?

—  
Była jedynym dzieckiem w Kongregacji, które miało brata. Wielką grzesznicą,

winną przez to, że jest związana ze mną. - Westchnęła. - Czyż ludzie nie są cudowni?

—  
Wszędzie są mniej więcej tacy sami.

Ciocco milczała przez jakiś czas, a Robin przyszła do głowy dziwna myśl. Gdzie jest Adam? Kiedy wyruszały z domu, Ciocco go niosła. Teraz niosła ją, więc miała obie ręce zajęte.

Nie zmartwiła się tym. Naprawdę ufała Ciocco.

—  
Poza tym była podejrzanie wysoka. To nie miało znaczenia, kiedy byłyśmy na

szczytach. Później przebąkiwano coś o czynach, o których lepiej nie mówić. No i jeszcze miłość.

—  
Miłość?

—  
Ona mnie kocha. Ostatnimi czasy nie bardzo to pokazuje, ale naprawdę mnie kocha.

—  
Zauważyłam.

—  
Ciebie też kocha. W całkiem inny sposób.

—  
To też zauważyłam.

Ciocco postawiła ją wreszcie na ziemi. Zmysły Robin były cudownie wyostrzone.

Czuła miękką, wilgotną ziemię pod bosymi stopami. (Co się stało z jej butami? Nieważne). W powietrzu unosiła się jakaś aromatyczna woń. Poczowała, że po plecach ścieka jej strużka potu.

Stała w ciemności i czekała. Głos Ciocco dochodził gdzieś z naprzeciwka.

- Możesz teraz usiąść i otworzyć oczy, Robin.

Robin zrobiła to. Zobaczyła klęczącą przed sobą Ciocco. Jej oczy, jak ciemne kałuże, fascynowały swoją głębią. Spojrzała w lewo i zobaczyła Chrisa, który również klęczał i trzymał w ramionach Adama owiniętego w różowy kocyk. Uśmiechnął się do niej, a Ciocco dotknęła jej podbródka czubkiem palca i uniosła jej głowę.

—  
Nie patrz na niego. Patrz na mnie.

—  
W porządku.

—  
Chcę, żebyś zanurzyła się trochę głębiej. Możesz mieć oczy otwarte, jeśli chcesz,

ale nie zwracaj uwagi na to, co zobaczysz. Jediną ważną rzeczą jest brzmienie mojego głosu.

—

W porządku.

—

Jak głęboko jesteś?

Robin zastanowiła się szczerze.

—

Jakieś trzy stopy.

—

Dodaj jeszcze jedną stopę.

Robin zrobiła to. Miała otwarte oczy. Tak naprawdę widziała tylko wirujące kłęby

pary. Cirocco nie klęczała już przed nią, ale nie była w stanie stwierdzić, co jest w tym miejscu. Czowała lekki nacisk na czubek głowy. To była dłoń Cirocco.

- Dlaczego pozwoliłaś Adamowi przeżyć, Robin?

Usłyszała dochodzący z oddali własny głos. Przez chwilę oglądała całą ich trójkę z lotu ptaka: wielkiego, do połowy owłosionego mężczyznę, silną kobietę, maleńkie, bezradne, biedne...

Ta myśl natychmiast uległa zakłóceniu.

—

Miałam sen.

—

O czym był ten sen?

—

O Adamie. - Uśmiechnięty. Różowy. Delikatne, maleńkie paluszki u nóg. Zapach

jej własnego mleka i jego mokrej pieluszki. - O Gaby. - Czarna i zniszczona. Szorstka skóra.

Zniszczone oko. Słodkawy zapach.

—  
Śniłaś o Gaby?

—  
Siedziała obok mnie. Pomagała mi przy porodzie. Podniosła go do go'ry, całego we krwi i okropnego. Potem pocałowała mnie, a ja się rozplakałam. - We śnie?

- Tak. - Robin zmarszczyła brwi. - Nie. Wyglądała lepiej - Nie była spalona.

We śnie?

- Nie. Tak... Nie pamiętam, jak się obudziłam. Pamiętam - że po tym śnie zasnęłam.

Adam ssał moją pierś.

Co powiedziała Gaby?

Powiedziała, że muszę poszukać w sercu pragnienia, by go zatrzymać. Mówiła, że

cały świat zostanie zniszczony. Ziemia, Konwent... może również Gaja. Powiedziała, że on jest ważny. Że muszę go tu sprowadzić i że to Chris jest jego ojcem. Stwierdziłam, że dwa niepokalane poczęcia to za wiele. Powiedziała, że to Gaja to zrobiła przy użyciu czarów, aby... zatrzymać część Chrisa we mnie. Nazwała to maleńkimi kapsułkami czasu. Potem odeszła.

—  
Zniknęła? Robin zdziwiła się.

—  
Nie, wyszła drzwiami.

Ciocco milczała przez jakiś czas, ale Robin to nie przeszkadzało. Czekwała na kolejne pytania. Nacisk dłoni na jej głowie zelżał, ale po chwili powrócił. Tym razem nie była to dłoń, lecz pięść. Dotykała ją lekko, lecz Robin poczuła, że potrafi nieomal swoją czaszką odczytać zarysy jej krawędzi i zgięć.

- Wypuść mnie, ty stara cipo.

Robin nigdy nie słyszała, by ktokolwiek odważył się przemawiać tak do Ciocco. Głos mdwił jeszcze chwilę w taki sposób. Robin poczuła, że pięść się naprężyła, a cichy głos zapiszczał.

- Doniosę na ciebie do pieprzonego Towarzystwa Ochrony Zwierząt, ty torbo na rzygi.

Wypieprzę cię przez te twoje wielkie, włochate uszyska, a mam syfa, mam takie rzeczy, ktorych jeszcze nawet nie nazwano, zrobię...



Znowu uścisk, po którym rozległ się przenikliwy wrzask.

- Rozkazuję ci mówić - powiedziała Cirocco. Robin milczała. W jakiś sposób wyczuła, że rozkaz nie jest skierowany do niej.

—  
Gaja będzie sikała naftą i srała napalmem, kiedy się dowie...

—  
Gadaj!

—  
Znam swoje prawa, do cholery, żądam widzenia z AAA-AADWOKATEM!

—  
Żądam...

—  
Gadaj!

—  
Aaaaaaaach! Aaach! No dobra, dobra, będę gadać!

—  
Czy na tym dziecku ciąży ręka Gai? Odpowiadaj, rozkazuję ci.

—  
Nie mogę, nie mogę, nie widzę... widzę... może, chyba...

—  
Gadaj!

—  
Nie, nie, nie! Gaja dotknęła ją dawno temu. Gaja wie, że ona tu jest. Gaja zaplanowała rodzinę dziecka, ale nie dotykała ich. Gaja nie trzyma ręki na tym dziecku.

I nagle Cirocco też przestała to robić. Robin usiadła, zamrugała, mając wrażenie, że z jej głowy zdjęto jakiś straszliwy ciężar.

- Możesz już wstać, Robin. Powoli, spokojnie. Wszystko w porządku.

Robin wstała. Czowała się odświeżona, zrobiła głęboki wdech, znowu zamrugła i

obróciła się dookoła. Cirocco chowała właśnie do plecaka jakiś słoje. W jednej ręce trzymała znajomy przedmiot: starego kolta automatycznego kalibru 45. Podała go Robin, która obróciła go w rękę. Bezpiecznik nie był odwiedziony. Odłożyła go i podniosła wzrok.

—  
To moja broń.

—  
Zabrałem ci ją, zanim Cirocco cię obudziła - wyjaśnił Chris.

—  
Co to było? - Robin wskazała gestem plecak.

—  
Mój demon. - Jej oczy przewiercały Robin na wylot. - Czy potrafisz dochować tajemnicy?

Robin wytrzymała spojrzenie i w końcu skinęła głową.

- Jeśli tak chcesz.

Cirocco pokiwała głową i odrobinę się odprężyła.

- Mogę ci tylko powiedzieć, że to było coś, co trzeba było zrobić. Kiedyś stosowałam inną metodę, ale nie była tak niezawodna i łatwa. - Przez chwilę w jej oczach widać było ból.

Odwróciła wzrok, potem znowu spojrzała na Robin. - Zapytaj o to kiedyś Conala. Poczekaj, aż się napije trochę wina. Myślałaś, że jestem szpiegiem Gai?

Musiałam tak zakładać. Czy mogłaś być pewna, że nim nie jesteś?

Robin już miała z oburzeniem oświadczyć, że mogła, ale powstrzymała się. Pomyślała o maleńkich kapsułkach czasu, o niepokalanym poczęciu. Gaja dotknęła jej dawno temu. Gaja zaplanowała jej rodzinę.

Ona może zrobić dosłownie wszystko, prawda?

—

Ona chciałaby, żebyś w to wierzyła. Ale tak to mniej więcej jest. Nie masz pojęcia, jakie to potrafi być straszne.

—  
Czy zabiłabyś mnie?

—  
Tak.

Robin pomyślała, że powinno ją to rozgniewać, ale tak się nie stało. Czuła się dziwnie wypoczęta. Gdyby się okazało, że Gaja założyła jakąś podstępną pułapkę w jej ciele, to wolałaby raczej nie żyć.

—  
Co z Novą? - spytała nagle.

—  
Też już uległaś paranoi - powiedziała Cirocco, kiwając głową. - Ale czeka cię

długa droga, aby mi dorównać. Zbadałam Novę wiele godzin temu. Uważałam, że lepiej będzie... zważywszy na to, jaki ma temperament, jak nie będzie tego pamiętała. Kazałam jej o tym zapomnieć.

—  
A Adam?

—  
Niewinny jak niemowlę - powiedział Chris i uśmiechnął się do niej. Odwzajemniła

uśmiech, przypominając sobie nagle, jak bardzo go przed laty lubiła. Była nawet skłonna wybaczyć mu te włosy, przynajmniej w tej chwili. Rozejrzała się po swym otoczeniu i zmarszczyła brwi.

—  
Co to za miejsce? - spytała.

—  
Fontanna młodości - powiedziała Cirocco.

Na Gai było dwanaście fontann. Fontanna w Okeanosie uległa zniszczeniu podczas

Rebelii. Fontanna w Tei była skryta głęboko pod lodem, a te w Mnemosyne i Tetydzie zostały zasypane przez piasek. Z pozostałych ośmiu siedem zamknięto nagle, w ciągu jednego dnia przed

dwudziestu laty, tego dnia, podczas którego nastąpiła śmierć pierwszego wcielenia Gai, a z Nieba lunął deszcz katedr.

Jednakże Gaja nie kontrolowała Dione, bo centralny mózg Dione był martwy. Nie

była w stanie oddziaływać na tę krainę ani dobrem, ani złem. Mogła wysłać wojska i sprawić, że Bellinzona stała się żywym piekłem, ale nie miała dostępu do głębszych funkcji ukrytych pod powierzchnią.

Natomiast Dione miała się zadziwiająco dobrze. Cirocco podejrzewała, że mogły w

tym maczać palce gremliny. Z jakichś powodów rośliny nadal rosły, woda płynęła, powietrze cyrkulowało.

A fontanna wrzała.

Właśnie fontanna była głównym powodem, którym Chris się kierował przy wyborze

miejsca na Tuxedo Junction. Potrzebował jej równie mocno, jak Cirocco. Wydawało się, że to dobry pomysł być tak blisko niej, aby nie spuszczać z niej oka.

—

Skąd mam wiedzieć, że nic mi się nie stanie? - spytała Robin.

—

Nie musisz tego robić - powiedziała Cirocco.

—

Wiem, powiedziałaś mi to, ale... skąd to wiesz? Może to podstęp. Może ręka Gai

spoczywa na tobie.

—

Jeśli tak jest, to już przepadłaś - zauważyła Cirocco. - Przecież powiedziałaś, że mi wierzysz. Albo się wierzy, albo nie.

—

Wierzę. Emocjonalnie.

—

To działa tylko w taki sposób. Logika nie ma z tym nic wspólnego. Nie istnieje

logiczny sposób na udowodnienie, że Gaja mnie nie kontroluje.

---

Wiem. Przepraszam. Jestem po prostu zdenerwowana.

---

To się uspokój i zwyczajnie rozbierz.

Ciocco odwróciła się, wyczuwając, że Robin denerwuje się nawet koniecznością

zdjęcia ubrania. Zastanawiała się, czy nie odesłać Chrisa i pozwolić mu wrócić dopiero później, by mógł odbyć kurację sam. Potem odwróciła się i zobaczyła Robin występującą ze swoich majtek i wiedziała, że tu nie chodzi o Chrisa. Miała nadzieję, że jej twarz nie zdradziła niczego, ale w gardle poczuła piekący, dławiący smak nagłego napływu litości.

Robin wyglądała niezwykle żałośnie, kiedy tak stała naga. Wyglądała żałośnie i w ubraniu, ale dla tego, kto ją widział w czasach chwały, był to widok rozdzierający serce.

Wszystkie jej tatuaże mocno wyblakły. Ciocco widziała już Oko i Pentagram na jej

głowie, a także fragment węża na ramieniu. Gdy Robin miała dziewiętnaście lat, rysunki były wielobarwne i jaskrawe. Teraz stały się zamazane, tworzyły je plamki mętnej czerwieni lub błotnistej zieleni na ciemnoszarym tle. Czwarty tatuaż - wąż owijający się wokół nogi -

wyglądał tak jak pozostałe. Piąty przestał w ogóle istnieć.

Zdaniem Ciocco świat sztuki niewiele stracił, ale i tak była to masakra. Robin

dowiedziała się bardzo wcześnie, że wszystkie jej dzieci odziedziczą tę samą chorobę, z której ona usiłowała się wyleczyć, przybywając na Gaję. W przypływie młodzieńczej brawury zrobiła sobie ten ohydny wzdr na brzuchu. Przedstawiał dziwnego potwora

rozdzierającego jej skórę, próbującego wydostać się z jej łona na świat zewnętrzny przy pomocy zębów i pazurów.

---

Nova była taka koszmarnie wielka - powiedziała żałośnie Robin, pocierając bliznę,

która jeszcze bardziej szpeciła jej tatuaż. - Musiałam mieć calpurniańskie cięcie. - Stała ze zwieszonymi ramionami, udając, że tylko przypadkiem zaciska ręce na podbrzuszu. Jej skóra miała ziemisty kolor, a włosy zmatowiały. Twarz pokrywały blizny i nawet zęby nie

prezentowały się najlepiej. Robin zaniedbywała się już od bardzo dawna. Starzenie się było jedną

sprawą, tu chodziło jednak o coś innego.

—  
Nie przejmuj się - powiedziała Cirocco. - Zaraz to wszystko naprawimy.

Weszła do wody i wyciągnęła rękę w jej stronę.

Gorąco przekraczało wszelkie wyobrażenia Robin. Jednakże choć czuła ukrop, jej skóra nie uległa oparzeniom.

Brnęli przez fontannę bez trudu. Woda sięgała im najpierw do kostek, potem do kolan, potem zatrzymali się, a po chwili zanurzyli się po uda. Chris siedł przy jednym boku, Cirocco przy drugim. Obydwoje trzymali ją za ręce.

Woda - o ile to była woda - miała słodki zapach, a barwę i konsystencję miodu. Nie, uświadomiła sobie, nie tak. Nie kleiła się. Przypominała raczej nektar.

Zanurzyła się po pas i westchnęła. Płyn wlał jej się do środka. Czuła go, niczym

delikatny olejek, kiedy przepelniał jej wnętrzności i vaginę. Wydawało się, że powinno temu towarzyszyć uczucie obrzydzenia, ale tak wcale nie było. Wrażenie było wspaniałe.

Wspanialsze niż cokolwiek, czego dotychczas zaznała. Zadrzała i pozwoliła, by kolana ugięły się pod nią. Podtrzymała ją Cirocco. Potem woda zalała jej piersi.

Zgodnie z nakazem Czarodziejki wtuliła się miękko w jej ramiona. Zamknęła oczy, poczuła, jak czyjaś dłoń zaciska jej nozdrza, i znalazła się pod wodą.

Miała wrażenie, że śni. Nie czuła żadnego pragnienia, aby się wynurzyć na zewnątrz.

Narastała w niej potrzeba zaczerpnięcia oddechu, ale gdy nie mogła już wytrzymać, poczuła na swoich wargach usta Cirocco i wciągnęła do płuc oddech Czarodziejki. Wydychała go powoli.

Robiła to długo. Robin nie liczyła czasu, ale wiedziała, że trwa to długo. Potem jej płuca się opróżniły i znowu poczuła potrzebę zaczerpnięcia oddechu. Cirocco powiedziała jej, co ma robić, ale nadal była trochę przestraszona. Czy naprawdę można ufać Czarodziejce aż do takiego stopnia?

Cóż, dlaczego nie? Poczuła, że dłonie puszczej ją nos. Gorący nektar zaczął się

wlewać do środka. Otworzyła usta. Do góry poleciały bańki powietrza, a do środka wlała się woda.

Kiedy jej płuca się zapełniły, poczuła lekkie ukłucia i próbowała wykasłać resztkę powietrza. Wyrwała się, ale trzymano ją mocno. Potem na powrót się uspokoiła.

Ciocco trzymała ją w wodzie przez pół obrotu, a potem wyniosła jej ciało na brzeg i ułożyła je obok Adama, który wciąż spał. Chris wyciągnął ręcznik i Ciocco zaczęła ją wycierać. Z ust Robin kapał złoty płyn. Gdy Ciocco poklepała ją po plecach, zaczęła na nowo oddychać po wypluciu ostatnich kilku kropli z gardła. Jej skóra była brązowa i tak gorąca, że prawie nie dawało się jej dotknąć.

- Wejdz pierwsza - powiedział Chris, zabierając ręcznik - Ja się nią zajmę.

Ciocco skinęła głową i weszła do stawu. Po chwili płynęła tuż pod powierzchnią i

wynurzyła się dopiero po upływie połowy obrotu. Jej długie włosy, mokre i przylepione do ramion, były kruczoczarne.

Chris został w wodzie najdłużej. Kiedy wypłynął, był wyższy prawie o cal, a rysy jego twarzy lekko się zmieniły.

Ciocco na powrót wprowadziła Robin w stan lekkiego transu i Chris wziął na ręce ją i Adama. Obejrzał się przez ramię na Ciocco, a potem ruszył w drogę, aby zanieść Robin do Tuxedo Junction i tam przedstawić jej swoją propozycję.

Pięć

Luter przekradał się przez doki Bellinzony, równie opustoszałe jak zapyłone ulice z

“W samo południe” z Gary Cooperem. Niewykluczone, że miał właśnie takie skojarzenia, bowiem niedawno widział ten film w Pandemonium.

Nie przypominał Gary Coopera, lecz raczej Frankensteina po trzydniowej bójce i

wypadku samochodowym. Lewa strona jego twarzy przestała właściwie istnieć, pozostały tylko obnażone kości szczęki, połamane zęby i pusty oczodół. Z nieregularnego otworu w czaszce wyzierała zielonkawa tkanka mózgowa, wyglądająca tak, jakby kiedyś wyciekła, a potem ją niedbale wciśnięto z powrotem. Drugie oko, płonące słusznym gniewem, wyglądało jak czarna dziura w czerwonym morzu. Jego kark otaczały szwy - nie blizny, lecz autentyczne grube szwy znaczące jego skórę. Gdyby je zdjęto, odpadłaby mu głowa.

Całe jego ciało oprócz dłoni skrywała brudna, czarna sutanna. Na dłoniach miał

stygmaty, z których płynęła krew i ropa. Jedna z nóg była krótsza od drugiej. Nie była to deformacja, lecz zwykły, mechaniczny problem: noga ta należała kiedyś do pewnej

zakonnicy. Nie chodził przez to wolniej.

Nie musiał się ukrywać i nawet nie próbował. W najlepszych czasach nie było łatwo

jemu i jego towarzystwu. Zapach Lutra nie był rozkoszą dla nozdrzy, ale aromat jego apostołów mógł powalić wieprza z odległości pięćdziesięciu kroków. Nawet ludzie, z ich atroficznym zmysłem węchu, zazwyczaj wyczuwali Lutra dużo wcześniej, zanim im się

ukazał. Czasami przy dolnych wiatrach udawało mu się gdzieś zakraść, ale ostatnimi czasy Bellinzończycy najwyraźniej rozwinęli w sobie szósty zmysł, który ostrzegał ich przed kapłanami.

Dwunastu Apostołów człapało w ślad za nim. W porównaniu z nimi Luter był pięknocią.

Byli to zwykli zombie, natomiast Luter był niegdyś pastorem Arthurem Lundquistem z Amerykańskiego Zjednoczonego Kościoła Luterańskiego w Urbanie, Illinois. Urbana została zniszczona wiele lat temu i podobnie stało się z większą częścią ciała pastora Lundquista. Strzępy i kawałki, z których teraz się składał, należały kiedyś do innych ludzi -

Gaja montowała swoich kapłanów z tego, co miała pod ręką. Jednakże od czasu do czasu po jego zmętniałym mózgu błąkały się wspomnienia domu, żony i dwójki dzieci. Odczuwał je jak torturę i tym gorliwiej wypełniał boskie dzieło. Ponadto przez jego mózg przelatywały też spore ilości powietrza, co było wynikiem rany postrzałowej, której zawdzięczał również charakterystyczny uśmiech i sposób mówienia. To go także torturowało.

Podszedł do skraju strefy śmierci, która prowadziła do dzielnicy Wolnych Kobiet.

Jego oko zbadało znajdujące się przed nim fortyfikacje. Nie zobaczył nikogo, ale wiedział, że one tam są i obserwują go. Stał wyzywająco, z dłońmi wspartymi o biodra. Gardził nimi.

—

Wrogowie Boga! - wrzasnął, a przynajmniej usiłował wrzasnąć. Z powodu braku

lewego policzka miał trudności z wydawaniem wszelkich dźwięków wymagających użycia warg. Zamiast Boga wyszło mu coś jakby "Oga".

—

Jestę Luter! Jestę tu z folecenia Oga!

—

W powietrzu rozległ się świst strzały lecącej płaskim torem, która trafiła go w pierś i przebiła ją prawie zupełnie na wylot. Luter nawet nie raczył jej ułamać, nie zdjął też rąk z bioder.

Na most wybiegła jakaś Wolna Kobieta z pochodnią w dłoni. Rzuciła ją w olej, który porozlewano dookoła na pierwszą pogłoskę o tym, że do Bellinzony zbliża się banda Lutra.

Między Lutrem i dzielnicą stanęła ściana ognia, która z miejsca zaczęła pochłaniać most.

Kobieta natychmiast się ukryła.



- Ewne dziecko zostało rzyniesione do tego jejsca wiele... kilka orotów tełu. Ug

otrzeuje tego dziecka. Ug wynagrodzi tę, która owie, gdzie jest to dziecko. Odejdźcie tu, odejdźcie, a zaznacie Ożej łaski!

Nikt nie wybiegł naprzód, aby zaznać Bożej łaski. Luter spodziewał się tego, ale i tak się rozgniewał. Zaczął wyć. Krzyczał sprośności w stronę płonącego mostu, obracał się w miejscu i tupał swoją dłuższą nogą w deski przystani. Wkrótce z jego oka popłynęła krew, a z otworu w twarzy mieszanina śliny i czarnej flegmy. Na sutannie, na wysokości bioder, pojawiła się ciemna plama. Ogarnęła go Moc, a Moc budowała. Padł na kolana, wyciągnął

ramiona ku niebu i zaczął śpiewać.

Jały jak śnieg jest załek naszego Oga!

Jęcz i zwycięska tarcza, Rozłaja wojska arłarzyńskich łogan, Sławiedliwych łaską  
słodką ołarcza!

Pozbawiony słuchu kapłan wykrzyczał ten hymn zwrotka po zwrotce chrapliwym,

świszczącym basem, wyjąc w miejscach, w których zapomniał słów. Zresztą nie liczyły się tu słowa, lecz Moc, czuł bowiem, że znowu go przepełniła, jak to już bywało po jego

zmartwychwstaniu. Wyciągnął ręce, przypomniawszy sobie czasy, kiedy prawił niedzielne kazania. Już wtedy umiał ciskać gromy ze swej kazalnicy, lecz dzisiaj przeszedł samego siebie. Bóg byłby z niego dumny. Wzruszył nawet otaczające go, do połowy zjedzone przez robaki zombie. Chyba próbowały śpiewać, bo coś tam skowytały, a jęzory zwisające z potwornych paszczy kołysały się w takt drgawek, które ogarnęły ich ciała.

I wtedy naprzeciwko nich wyszła samotna Wolna Kobieta. Stanęła i cisnęła na bok

swą broń. Jej uśmiech wyglądał jak szczelina, za którą czai się chaos, oczy były jasne i puste niczym półksiężycy.

Wolne Kobiety zaczęły krzyczeć w chwili, gdy Luter zaintonował swój bełkotliwy

hymn, i teraz zdwoiły wysiłki. Nie krzyczały ze strachu - choć w głębi duszy wszystkie były przerażone - ale dlatego, że tak im nakazywała taktyka: odebrać mu Moc. Był to wrywający się z wielu gardeł, zadziwiający trel, naśladujący odgłos wydawany przez kobiety arabskie na znak zwycięstwa albo żałoby. Wiele z nich zatkało sobie uszy watą lub woskiem, niczym załoga Odyseusza, aby nie ogłuchnąć. Luter śmiał się z nich. Wiedział, że robią błąd. Z

zatkanymi uszami pogrążały się jeszcze bardziej, ponieważ nie słyszały swego wspólnego okrzyku, głosu solidarności, który był jedyną prawdziwą obroną przed Lu-terem i jemu podobnymi.

Ruszyła przed siebie. W ślad za nią poleciała strzała, ale dłoń, która ją wypuściła, drżała zbyt

mocno, by trafić do celu. Następna również chybiła. Dopiero trzecia utknęła w plecach. Zadygotała, ale szła dalej.

Wolne Kobiety nie strzelały z pogardy, czy dlatego, że uważały ją za zdrajczynię.

Wiedziały aż nadto dobrze, że Moc Lutra potrafi zamącić w kobiecych umysłach. Strzelały do niej, bo śmierć była jedyną litościwą możliwością.

On zwalczy oce złe

Ołroni jełu ufnych

Nie asz nad niego równych!

Weszła w płomienie. Trafiły ją jeszcze dwie strzały. Padła na czworaki, a jej włosy stanęły w płomieniach niczym sucha hubka. Mimo to pełzła dalej i coraz bardziej czerniała.

Usiłowała się podnieść, ogłuszona i oślepią, ale załamała się pod nią płonąca deska.

Poleciała do tyłu i sturlała się z pomostu do wody.

Luter przestał śpiewać i wstał. Patrzył z uśmiechem, jak kilka Wolnych Kobiet wyszło ze swych kryjówek i pobiegło przed siebie, osłaniając twarze, by nie czuć żaru buchającego z płomieni i nie widzieć jego okropnej postaci. Parę z nich pokazało mu rogi, co go jeszcze bardziej rozbawiło. Czy one naprawdę myślały, że wystawianie palców je ochroni?

Pochwyciły ciało swojej siostry przy pomocy liny i wyciągnęły je na pomost. Jeszcze żyła, ale to było mało ważne. Gdyby umarła, poszłyby po nią z jeszcze większą determinacją.

Teraz mogła umrzeć i mieć szansę pozostać na zawsze martwa.

—

Ug was okarze! - krzyknął Luter, po czym odwrócił się w stronę swojego oddziału.

- Andrzej! Jan! Tadeusz! Fil... Judasz! - Pięcioro zombie wystąpiło naprzód, łącznie z Filipem, którego świadomość była tak zamulona, że nie był w stanie stwierdzić, czy jego również wołano. Zniecierpliwiony Luter gestem ręki nakazał mu się cofnąć. Zawsze gdy chciał, by coś zrobiono, brał tę czwórkę, a fakt, że wybierał właśnie ich, wynikał z bardzo prostego powodu. Imiona pozostałej ósemki zawierały "b", "m" lub "p". Imion dwóch

trzech swoich uczniów Luter zupełnie nie potrafił wymówić.

—

Uderzcie na te niewierne - rozkazał. - Ukarajcie te grzesznice! Niechaj w ogniu

jekielnym się słażą te, co Oga nie znają i ewangelii nie są owolne! Ierszy do Tesalończyków!

Jeden! Osiem do dziewięciu! Idźcie, uczniowie.

Luter obserwował ich, jak wmaszerowali w płomienie. Byli spisani na straty, ale

najpierw mieli narobić jakichś szkód. Zupełnie lekceważyli przesywające ich strzały, tak samo, jak lekceważyli fakt, że się palą. Dla nich to nie miało znaczenia, bo i tak byli martwi.

Były pastor Lundquist kazał im zawrócić. Nigdy nie czuł bólu, ani żadnego

zwątpienia, ale czasami ulegał jakiemuś nieokreślonemu uczuciu, pod wpływem którego szukał czegoś po omacku niczym człowiek, którego oślepieno, ogłuszono i pozbawiono wszystkich kończyn. Z drugiej strony zirytował go widok Judasza, który spokojnie wchodził

w ogień na spotkanie zagłady. Był to najprawdopodobniej już dwudziesty utracony przez niego Judasz. Coś zawsze nakazywało mu wybierać na Judasza największego, najsilniejszego, najmniej uległego rozkładowi rekruta. Nie wiedział, dlaczego tak jest.

I coś jeszcze. Choć bardzo się starał, nie potrafił sobie za żadne skarby świata

przypomnieć, kto to jest Tesalończyk.

Siłą przyzwyczajenia Luter wyszedł z miasta na ścieżkę prowadzącą do starego

cmentarza. Nie spodziewał się, że znajdzie cokolwiek.

Miał szczęście.

Stało tam sześć stosów pogrzebowych gotowych do podpalenia, a także świeżo

rozkopana ziemia. Nadejście Lutra najwyraźniej przestraszyło grabarzy i nie zdążyli spalić trupów. Czy to możliwe, aby kogoś właśnie pogrzebano?

W Bellinzonie zawsze istniała zgoda w stosunku do dwóch rzeczy: śmierci i

szaleństwa. Szaleńców zostawiano w spokoju, o ile nie byli niebezpieczni. Martwych natomiast bezzwłocznie grzebano. W obliczu śmierci zawierano przymierze i był to jedyny przykład duchowej wspólnoty, jaka kiedykolwiek ujawniała się w Bellinzonie. Wszyscy współpracowali z sobą, aby przenieść zmarłych na cmentarz, gdzie grzebano ich zgodnie z obyczajami przejętymi od Hindusów znad Gangesu.

W przeszłości nie zawsze tak bywało. W miasteczku, w którym dziewięćdziesiąt

procent mieszkańców nie posiadało krewnych, ignorowano ciała. Mogły gnić całymi dniami, dopóki komuś nie obrzydły do takiego stopnia, że skopywał je do wody, aby w niej zatoneły.

Później jednak ciała wypływały na powierzchnię i obijały się o brzegi łodzi albo straszyły z ciemnych zakamarków. Dlatego Członkowie Straży Obywatelskiej i Wolne Kobiety opracowali szczegóły obrządku grzebania w ziemi.

Grzebanie w ziemi nie zdało się na wiele. Zmarli wykopywali się z grobów. Jedyne pewnym rozwiązaniem okazała się kremacja.

- Nie zdążyli słać - zagadał Luter. - Rzynieście ciała - nakazał swym pozostałym apostołom.

Bartłomiej i Szymon Piotr zaryli się w ziemię i wydobyli na powierzchnię

poćwiartowane ciało. Ktoś uważał, że jest w stanie przechytrzyć system, ale Luter znał się na tym lepiej. Nawet tu nie można się było sprzeciwić władzy potężnego Boga.

Trupy były dość świeże, z wyjątkiem jednego, który nie żył już od dwóch dni.

Owinięto go w białą tkaninę: musiał to być bogaty człowiek, zważywszy na ceny materiałów w Bellinzonie. Reszta była naga. Luter rozciął całun na twarzy bogacza i od razu wiedział, że to jest Judasz Iskariota.

Pracował przy nim z umiarkowanym zapałem. W porównaniu ze świętym hymnem, jakim zaatakował Wolne Kobiety, wskrzeszenie było zajęciem rutynowym, takim samym jak rozdawanie wafli. Kiedy już doprowadził się do właściwego stanu, ukląkł i pocałował wszystkie chłodne wargi. Musiał poczekać, aż Piotr zmontuje szczątki ostatniego.

Po kilku minutach zaczęli otwierać oczy. Apostołowie pomagali im wstać, a Luter

spoglądał na nich okiem starszego sierżanta. Stwierdził, że ciemnoskóra kobieta może być Tadeuszem, a z Chinki będzie dobry Jan. Wyznaczał imiona, nie zważając na płeć. Po kilku tygodniach i tak trudno ją będzie określić.

Siedmioro nowych zombie było słabych i wiotkich. Potrzebowali od dziesięciu do dwudziestu obrotów, żeby nabrać sił. Ten poćwiartowany potrzebował nawet więcej czasu.

Luter każe ich zanieść do lasu i pozostawi z nimi dwóch, których na razie nie potrzebował, żeby ich przyprowadzili do Pandemonium. Luter zawsze podróżował tylko z Dwunastoma.

Nad brzegiem rzeki Luter ukląkł, aby odmówić modlitwę.

Dobro, zło - niewiele już się dla niego różniły. Luter potrafił odczuwać nienawiść, wściekłość i ekstazę religijną, mocno przypominającą zarówno nienawiść, jak i wściekłość.

Najbliżej dochodził do uczucia dobra, w takim sensie, w jakim rozumiał je Arthur Lundquist, kiedy się jednoczył z Bogiem. Kiedy się modlił.

Nie robił tego często. Bóg był bardzo zapracowaną Kobieta i nie lubił, kiedy go zamęczano trywialnymi sprawami. Już sam brak Jego reakcji był wystarczająco dokuczliwy.

Kiedy dawał mu reprimendę, zagrzebywał się w ziemi jak owad. Dzisiaj jednak usłyszał i odpowiedział. Luter wiedział już, gdzie jest dziecko. Wstał, zebrał swój oddział i dał mu rozkaz wymarszu.

Miał tylko nadzieję, że ten łajdacki pomiot, Kali, nie dotrze do Tuxedo Junction przed nim.

Sześć

Cirocco zmęczyła się kąpielą w fontannie. Kiedyś bywało inaczej. Kiedy miała mniej lat, wzbierało w niej potem tyle energii, że aż czuła ból. Nie musiała nic jeść przez dwa lub trzy dni. Chris twierdził, że na niego ta kąpiel wciąż miała taki wpływ. Miał tylko czterdzieści dziewięć lat. Tak samo powinno być w przypadku Robin. Girocco natomiast, od jakichś pięćdziesięciu lat, musiała odleżeć po odmłodzeniu kilka godzin.

Nie kładła się jednak obok fontanny. Taka obowiązywała tu zasada. Do Dione mogli przybyć wrogowie. Mogli przyjść do fontanny, wiedząc, że Girocco musi ją odwiedzać co każde trzy kiloobroty.

Dlatego poszła nad znajome jej odosobnione jezioro, znajdujące się w odległości około pięciu mil od Tuxedo Junction. Była tam plaża z czarnym piaskiem, sypkim jak mąka i rozgrzanym od podziemnego gajańskiego ciepła.

Wyciągnęła się na piasku, oparła głowę o plecak i zapadła w drzemkę.

Nova zauważyła ich, kiedy szli przez most. Przez chwilę nie wiedziała, kto idzie obok wielkiego, owłosionego mężczyzny, ale szybko wyzbyła się wątpliwości. Robin miała na sobie wyłącznie szorty i widać było wszystkie tatuaże, które wyróżniały jej ciało. Węże wyglądały prawie jak żywe. Robin jarzyła się jaskrawymi barwami, które Nova знаła jedynie z fotografii jej matki, zrobionej w czasach, kiedy była młodą kobietą. Teraz te kolory jeszcze bardziej pojaśniały. Plamki złota zdawały się połyskiwać, natomiast czerwienie, fiolety, zielenie i żółcie iskrzyły się jak kamienie szlachetne. Przypominała małe, brązowe jajko Halloween.

Brązowe?

Nova spojrzała jeszcze raz. Z całą pewnością Robin udało się opalić. Z tą mleczną opalenizną to była niezła sztuczka. Tym lepsza, że powstała w ciągu dwóch godzin i nie wywołała oparzelin.

Spojrzała na drugi koniec mostu, ale Cirocco nie nadchodziła. Westchnęła i zeszła na dół, aby wyjść im na spotkanie.

Z bliska zmiany były jeszcze bardziej szokujące. Robin pozbyła się co najmniej pięciu lat. Nova już wcześniej pojęła, że Cirocco jest naprawdę potężną czarownicą, ale to wykraczało poza jej wszelkie domysły. W jakiś sposób poczuła rozdrażnienie, że nie jest dumna na widok swej rozradowanej i młodej matki. Ona po prostu nie miała prawa być taka szczęśliwa, kiedy Nova była taka nieszczęśliwa.

Podano posiłek, a Cirocco nadal się nie pokazywała.

Robin i Chris poszli gdzieś razem. Nova odprowadziła ich wzrokiem, po czym

pobiegła na górę do swojego pokoju. Po chwili wyszła z niego i udała się do kuchni. Zastała tam tylko Serpenta, który mieszał w wielkiej misie jakąś substancję, która pachniała jak krem do ciastek.

Podeszła do ogromnej półki z przyprawami wiszącej na ścianie. Stały na niej setki

słoików z dmuchanego szkła zawierających liście, proszki, kryształki oraz jakieś przedmioty, których zdaniem Novy lepiej było nie nazywać. Wiele pochodziło z Gai. Problem polegał na tym, że choć spodziewała się znaleźć w tych naczyniach wiele przypraw z Ziemi, wszystkie były oznakowane pismem tytanii, wrytym w szkło.

Po wyciągnięciu kilku zatyczek i powąchaniu zawartości paru, na oko obiecujących,

naczyń, udało jej się znaleźć korzeń aristolochii, a po kolejnych próbach i błędach coś, co pachniało jak sproszkowany wyciąg z kubeby. Miało odpowiednią barwę i smakowało

właściwie. Dalej jednak czekał ją ciężki orzech do zgryzienia.

- Może mógłbym pomóc.

Aż podskoczyła ze zdziwienia, co - zważywszy na tak niską siłę grawitacji -

ostatecznie nie było czymś niezwykłym. Tak mocno starała się ignorować obecność tytanii, aż wreszcie naprawdę zapomniała, że ona tam jest.

—

Wątpię - odparła. Z jakiegoś powodu czuła zażenowanie, kiedy te nieziemskie

zwierzęta coś do niej mówiły. Udawały, że są ludźmi, i wychodziło im to tak nędznie.

—

A może jednak spróbujesz - zaproponował Serpent.

—  
—  
Byłam ciekawa, czy... czy macie tu kardamon.

—  
Duży czy mały?

—  
Co?

—  
Stosujemy dwie odmiany: większą...

—  
Tak, tak, wiem. Tę małą.

—  
Wolisz suszoną korę czy pokruszone ziarno?

—  
Ziarno, ziarno! - Nova żałowała, że w ogóle dała się wciągnąć do rozmowy.

Serpent podał jej jednak sldj, więc wysypała odrobinę zawartości na papier i zakręciła go.

Potem pomógł jej odszukać cynamon. Widziała, że był ciekaw, co też ona będzie gotowała, i najwyraźniej wcale tego nie pochwalał, cokolwiek to miało być.

—  
Coś jeszcze?

- Mhm... czy macie benjamin?

Serpent zacisnął usta.

- Tego musiałybyś poszukać w gabinecie lekarskim. - Było jasne, że jego zdanie o jej przepisie kulinarnym jest jeszcze bardziej krytyczne. - Będzie opatrzony nalepką w języku angielskim jako "benzoes". - Urwał i wydawało się, że chce zadać jakieś pytanie, ale Cirocco ostrzegła go, że z tą kobietą ma się obchodzić jak z jajkiem. - Jeśli to ważne - powiedział - to w roztworze nie ma już cyjanku potasu, ale może zawierać trochę alkoholu.

Nova już miała powiedzieć, że chodzi jej o żywicę, a nie o kryształki, ale

zrezygnowała. Wypadła z kuchni i wbiegła na górę do izby chorych, którą znalazła już wcześniej, i splądrowała ją w poszukiwaniu pozostałych składników.

Wróciwszy do swojego pokoju, zamknęła drzwi, zasunęła zasłony, zapaliła świecę i

zdejęła ubranie. Usiadłszy po turec-ku na podłodze, wsypała porcje swoich zdobyczy do małego metalowego naczynia, które miało posłużyć jako tygiel, dodała odrobinę wody i zamieszała to palcem. Szpilką nakłuła swój kciuk i wpuściła kilka kropli krwi do

aromatycznej mieszanki, która już zaczynała bulgotać na płomieniu świecy. Kiedy wszystkie składniki się połączyły, wyrwała sobie trzy włosy łonowe, osmalila je w płomieniu świecy i dodała do tygla.

Wódka, którą zwędziła z kredensu w salonie, sprawiła, że mieszanka zaczęła się

wkrótce palić niebieskim płomieniem. Nie przerywała podgrzewania, dopóki nie uzyskała kilku uncji szarawego proszku. Powąchała go i skrzywiła się. Cdz, nie potrzebuje go wiele.

Przez chwilę niepokoił ją benjamin, a poza tym przepis wymagał dodania likieru grzybowego zamiast wddki. To jednak miała być magia sympatetyczna, a nie dosłowne czary, więc wszystko powinno wystarczyć.

Zaczęła sobie dalej wrywać” włosy. Wrywała je dopóty, dopóki nie poczuła bólu, a potem zebrała je i związała w maleńki, złoty pędzelek. Naciągnęła koszulę i spodnie, a potem ostrożnie wyjrzała za drzwi. Upewniwszy się, że nikt jej nie obserwuje, przebiegła przez korytarz do pokoju Cirocco.

Tam przy pomocy pędzelka naniosiła maleńkie ilości proszku na wsporniki łóżka i pod poduszkę. Pod łóżkiem narysowała pięciokąt, na którego środku położyła jeden włos. Potem cofnęła się do drzwi, pozostawiając za sobą nieskończenie małe plamki proszku położone w odstępach trzech stóp.

Wyszła przez korytarz, wciąż maczając pędzelek w tygielku i pozostawiając małe

plamki proszku aż do swoich drzwi.

Kiedy zamknęła je za sobą, musiała na moment oprzeć się o ścianę. Serce jej waliło, a policzki pałały. Zdarła z siebie ubranie i wskoczyła do łóżka. Pędzelkiem zrobiła znak między piersiami, po czym wepchnęła go sobie między nogi, mruczając przy tym inwokację. Potem postawiła naczynie obok ściany, gdzie Robin nie mogła go zobaczyć. Naciągnęła kołdrę po szyję i zrobiła długi, drżący wdech.

Uspokój się, serce. Twoja ukochana przyjdzie.

Potem wskoczyła z łóżka i rzuciła się do zdumiewająco wielkiej toaletki z

pofalowanym lustrem. Zaczęła grzebać w swoich kosmetykach, nie zważając na to, że



niektórych z nich już więcej nie zdobędzie. Umalowała twarz niezwykle starannie, spryskała się najlepszymi perfumami i wskoczyła z powrotem do łóżka.

A jeśli perfumy zabiją zapach eliksiru? A jeśli Cirocco nie zauważy szminki? Sama

przecież szminki nie używała. W ogóle się nie malowała, a była najpiękniejszą kobietą, jaką Nova kiedykolwiek widziała.

Szlochając pobiegła korytarzem do łazienki. Dokładnie obmyła twarz, a potem

zwymiotowała w toalecie. Posprzątała po sobie, wyczyściła zęby i pobiegła z powrotem do łóżka.

To na pewno jest miłość, bo co jeszcze potrafi tak boleć?

Płakała, jęczała, darła prześcieradło na strzępy, a Cirocco wciąż nie nadchodziła.

W końcu zmęczona płaczem usnęła.

Siedem

Cirocco otworzyła oczy we śnie.

Leżała na plecach na drobnym czarnym piasku. Głowę miała opartą o plecak. Piasek

był zupełnie suchy, tak samo jak jej ciało. Rozpostarła ramiona, wbijając palce w piasek, naprężyła stopy i czuła, jak piasek przesypuje się pod jej piętami. Zaczęła poruszać ramionami i biodrami, powoli, zmysłowymi kręgami, od których w piasku powstał zarys jej ciała głębokości kilku centymetrów. Powoli wypuściła powietrze z płuc i odprężyła się całkowicie.

Czuła każdy swój mięsień i każdą kość. Jej skóra była napięta, każde zakończenie

nerwu czekało, aby poczuć znowu tę dziwną rzecz.

Poczuła to po beczasowym okresie snu. Drobną dłoń pocierała jej lewą nogę, od

czubka stopy do kolana i z powrotem. Czuła to całkiem wyraźnie. Cztery palce, kciuk, wierzch dłoni. Nie przyciskała mocno, nie masowała, ale nie przypominało to muskania piórkiem. Obserwowała to bez uczucia paniki, tak jak we śnie. Widziała natychmiastowe zmiany w fakturze swej skóry, w tych miejscach, których właśnie dotykała ją dłoń.

Jej sutki stwardniały. Zamknęła oczy (pod powiekami miała zupełnie czarno),

przycisnęła głowę do plecaka, uniosła ramiona i wygięła plecy w łuk. Jedną dłoń przesunęła się w górę jej uda, a druga objęła jej pierś, delikatnie obrysowała koniuszkami palców jej zarys i otarła kciukiem zmarszczony sutek. Cirocco westchnęła i ułożyła się wygodniej na uległym piasku.

Ponownie otworzyła oczy. We śnie.

Dookoła było ciemniej. W krainie, gdzie światło było niezmiennie, zmierzch wydawał się jakby przesuwac ponad cichym jeziorem. Cirocco jęknęła. Jej nogi były ciężkie i przekrwione; rozsunęła je, ofiarując siebie ciemniejszemu niebu. Jej biodra wydawały się wyrastać z gruntu, uniosła je do góry najbardziej prymitywnym gestem, po czym na powrót się odprężyła.

Na piasku pomiędzy jej nogami pojawiły się dwa małe ślady stóp. Potem odcisk kolan. Piasek poruszył się, przyjmując kształt nóg, i gdy zjawa uklękła i przysunęła się, przybrał kształt biodra. Jej biodra obejmowały teraz dwie lekkie dłonie, błędzące w górę i w dół.

Cirocco ponownie zamknęła oczy i natychmiast zaczęła widzieć lepiej. Pod powiekami pulsowały widmowe obrazy jeziora, przeciwległego brzegu i nieba. Wsparła się na łokciach i odchyliła głowę w tył. Przez cienką skórę powiek widziała drzewa zlewające się z linią nieba. Niebo miało kolor krwi. Zgięła nogi, podniosła kolana i rozłożyła je.

Westchnęła, gdy poczuła badające ją dłonie. Nie otwierając oczu, uniosła głowę. Kiedy spojrzała prosto przed siebie, nie widziała nic, prócz pulsowania własnego tętna, połyskujących i amorficznych efemeryd jej własnych siatkówek. Kiedy jednak

spojrzała w bok - pamiętając, by nie otwierać oczu - pomiędzy jej rozłożonymi nogami ukazała się postać. Była to wizja kubi-styczna, istniejąca z wszystkich stron jednocześnie, wielowarstwowa i obdarzona głębiami, których jej peryferyjna senna wizja nie mogła osiągnąć. Było to coś złożonego z kolorowego dymu powiązanego z sobą promieniami

księżycowymi. Cirocco wiedziała, kto to jest, i nie bała się.

We śnie otworzyła oczy, zobaczyła prawie doskonałą ciemność.

Zobaczyła też klęczący cień. Poczła ręce przesuwające się po jej udach i oplatające brzuch, zobaczyła twarz swej przezroczywej kochanki przesuwającą się w dół, poczuła otarcie długich włosów, i łaskotanie ciepłego oddechu, poczuła czuły pocałunek, potem pocałunek bardziej natarczywy, otwarcie pożądlivych ust i wniknięcie języka, poczuła prześlizgujące się dłonie, które schwyciły jej pośladki i uniosły ją z ustępliwego piasku.

Przez chwilę była jak zahipnotyzowana. Odrzuciła głowę do tyłu, otwarła usta, ale nie była w stanie wydobyć z siebie ani jednego dźwięku. Kiedy wreszcie udało jej się załkać i wypuścić oddech, ten oddech stał się jękiem, który przedłużył się do wyszeptanego słowa.

-...Gaby...

Było zupełnie ciemno. Cirocco wyciągnęła ręce i gładziła gęste włosy, kark Gaby, jej ramiona. Ścisnęła nogami mniejszą od siebie kobietę, a Gaby całowała brzuch, piersi i szyję Cirocco. Cirocco poczuła znajome ciężkie piersi przesuwające się po jej ciele, kładący się na niej cudowny ciężar. Jej

dłonie chciwie badały nieprawdopodobną twardość ciała Gaby.

Usłyszała jej oddech tuż obok ucha, wyczuła szczególny zapach, o którym wiedziała, że należy tylko do Gaby. Załkała.

We śnie Cirocco znowu zamknęła oczy.

Zobaczyła łzy w oczach Gaby i uśmiech na jej wargach. Pocałowały się. Czarniejsze niż wszelka czerń włosy Gaby zakryły ich twarze.

Otworzyła oczy. Robiło się jaśniej. Gaby wciąż leżała na niej. Wydawały z siebie

nieartykułowane dźwięki, a ponad nimi przekradał się mętny zmierzch. Cirocco zobaczyła ukochaną twarz. Pocałowała ją. Gaby zaśmiała się cicho. Potem położyła obydwie dłonie na piasku i podźwignęła się na kolana, przygniatając Cirocco. Podniosła jedną rękę i wstała, ciągnąc za sobą Cirocco. Ziemia przylgnęła do niej, niczym muchy do lepu. Musiała ciągnąć mocniej, żeby ją oderwać. Kiedy wreszcie wstała, Gaby odwróciła ją i pokazała palcem w dół. Cirocco zobaczyła własne ciało ułożone nieruchomo na piasku.

—

Czy ja umarłam? - spytała. Ale to pytanie nie wydawało się ważne.

—

Nie, najukochańsza. Nie jestem aniołem śmierci. Chodź ze mną. - Gaby objęła

Cirocco ramieniem i ruszyły w górę plaży.

—

Rozmawiały ze sobą, we śnie. Nie używały zdań. Słowo rzucane co jakiś czas

wystarczało. Stare rany i stare radości zostały przypomniane, ukazane żółtemu niebu Japetosa, wykrzyczane, wyśmiane i na powrót starannie schowane. Rozmawiały o rzeczach, które wydarzyły się cały wiek wcześniej, ale unikały wszystkiego, co stało się przez ostatnie dwadzieścia lat. Dla starych przyjaciółek te dwie dekady nie istniały.

W końcu nadszedł czas odejścia Gaby. Cirocco zauważyła, że stopy Gaby nie

dotykają już piasku. Próbowwała jej to powiedzieć, ale mniejsza kobieta wciąż unosiła się ponad piaskiem ku niebu i tak jak to się dzieje w snach, wszystkie ruchy Cirocco były spowolnione i zbyt mało skuteczne, aby mogła temu zapobiec. To był smutny moment.

Cirocco płakała chwilę po zniknięciu Gaby, stojąc tam, w na nowo rozświetlonym świetle.

Czas się obudzić - pomyślała.

Kiedy nadal nic się nie działo, rozejrzała się po plaży. Do miejsca, w którym stała, zmęczona i przygnębiona, prowadził podwójny szlak stóp.

Zamknęła oczy i uderzyła się w twarz. Otworzyła je i nie stwierdziła żadnej zmiany.

Zawróciła więc i powędrowała skrajem wody.

Idąc obserwowała swoje bose stopy. Robiły nowe ślady obok starych śladów

wiodących w przeciwnym kierunku. Gdzie Nie Było Śladów Łasiczki, pomyślała, i nie mogła sobie przypomnieć, skąd to jest. Starzejesz się, Ciocco.

Jej ciało znajdowało się w niewielkiej odległości od wody, tam, gdzie piasek był

suchy i wystarczająco sypki, by móc nim napełniać klepsydry. Leżało wyciągnięte z głową opartą o plecak, z rękoma splecionymi na brzuchu, z nogami wyprostowanymi i

skrzyżowanymi w kostkach. Uklękła obok niego. Oddychało powoli i równo.

Odwróciła wzrok od ciała i spojrzała na... na samą siebie. Na ciało, w którym żyła.

Było jej całkowicie znajome. Dotknęła siebie, zatarła dłonie, podniosła jedną z rąk do góry i usiłowała oglądać wszystko poprzez nią, ale bezskutecznie. Uszczypnęła się w udo i patrzyła, jak skóra się czerwieni.

Po chwili wyciągnęła rękę i dotknęła przedramienia ciała.

Ciało było inne, nie było nią. Codzienna dychotomia, choć niepokojąco odmienna. A

jeśli to ciało usiądzie i zechce porozmawiać?

Najwyższy czas, żeby się obudzić - stwierdziła.

Albo zasnąć.

Sięgnęła do wnętrza swego ciała i umysłu po doświadczenia życia, które trwało

już cały wiek, i gdzieś w tyle głowy usłyszała pobrzękiwanie jakiegoś nie dającego się wyrazić słowami pojęcia. Nie było sensu nad tym dumać. Na Gai był to czasem jedyny sposób na radzenie sobie z życiem. Tu działy się różne rzeczy. Nie wszystko dawało się wyjaśnić.

Poddała się władzy instynktu. Nie myśląc zamknęła oczy i runęła do przodu, robiąc w trakcie padania obrót. Przez chwilę czuła dotyk skóry tamtej, pojedyncze, choć nie nieprzyjemne uczucie spełnienia - coś jak uczucie brzemienności - i poturlała się przez piasek. Otworzyła oczy i usiadła. Samotna.

Ślady na piasku wciąż tam były. Dwa rzędy odchodziły, jeden zawracał.

Przysunęła ręce i kolana do twardszego i bardziej mokrego piasku na skraju wody.

Wybrała jeden z mniejszych śladów - ten z wysokim podbiciem i widocznymi odciskami pięciu palców wbitych w piasek - i lekko przebiegła palcami po zagłębieniach. Podeszła do następnego śladu i pochyliła się tak nisko, że nieomal dotknęła go nosem. Wyczuła bardzo wyraźnie zapach Gaby. Ślady większych stóp nie pachniały wcale. Jej własne ślady nigdy nie pachniały. Zmysł zapachu Cirocco, choć nieludzko wyostrzony, nie potrafił wyróżnić jej tropu na tle wiecznie obecnego własnego zapachu.

Zastanawiała się nad tym dłużej, ale nagle poczuła coś innego, coś odległego, ale nie budzącego wątpliwości. Schwyciła plecak i pobiegła jak najszybciej w stronę Tuxedo Junction.

Osiem

Robin gadała prawie przez cały obrót.

Chris spodziewał się tego i nie wyrażał sprzeciwu. Małą czarownicę unosiła fala

odmłodzenia. Przemiana była po części chemiczna, a po części wywołana mistycznymi

związkami, które wciąż falowały w jej krwioobiegu i wnikały do każdej komórki, aby ją przekształcić. Zmieniła się także psychika, co było całkowicie zrozumiałe. Robin wyglądała na młodszą o pięć lat, a czuła się lepiej niż kiedykolwiek podczas ostatniego dziesięciolecia.

Wyglądało to jak efekt działania amfetaminy albo objawy psychozy maniakalno-depresyjnej.

Szczyty dorównywały Himalajom i nieomal przekraczały ludzką wytrzymałość, a niżej były ostre, ale też litościwie krótkie. Chris dobrze to wszystko pamiętał z własnych doświadczeń.

Dla niego to już przestało być takie wyczerpujące. Po wyjściu z fontanny było mu tak dobrze jak zawsze, ale tym razem nie trwało to długo. Po kilku obrotach dobre samopoczucie zastąpił ból. Poczuł, że zaczyna się gdzieś w okolicy kręgosłupa i po bokach czaszki. Nie zważał na to, ból był ceną, jaką płacił za odmładzanie.

Robin wylała z siebie prawie całą historię swego życia; nie mogąc się uspokoić,

nerwowo chodziła w kółko po penta-gonalnym pokoju ozdobionym jej wizerunkami

wyrytymi w miedzi. Chris siedział spokojnie przy stole zajmującym środek pokoju,

przysłuchując w odpowiednich miejscach, odpowiadając zdawkowo, kiedy mu się wydawało, że tego wymaga uprzejmość, i wpatrując się w stojącą przed nim świecę.

Wreszcie się uspokoiła. Usiadła na wysokim stołku naprzeciwko niego i wsparła

łokcie na stole, patrząc na świecę oczyma jaśniejszymi od płomienia. Zaczęła wreszcie nieco wolniej oddychać, a potem przeniosła wzrok ze świecy na Chrisa.

Wydawało się, jakby zauważyła go dopiero teraz. Po kilku nieudanych próbach wreszcie wydobyła z siebie jakieś słowo.

- Przepraszam - powiedziała.

—

Nie masz za co. Widok kogoś tak poruszonego jest bardzo krzepiący. A ponieważ na ogół mało mówisz, oszczędziłaś mi tym wiele pytań.

—

Wielka Matko, to musiał być jakiś bełkot, prawda? Po prostu nie mogłam przestać, musiałam ci powiedzieć...

—

Wiem, wiem.

—

Chris, to takie... cudowne! - Spojrzała na swoje ramię, na jarzący się tatuaż. Po raz setny potarła z niedowierzaniem skórę, a na jej twarzy pojawił się cień strachu, że malowidło mogłoby się zetrzeć.

Chris wziął do ręki grubą świecę, w zamyśleniu obrócił ją w palcach i patrzył na ściekający воск.

- Tak, to jest cudowne - przyznał. - To jest jedno z niewielu miejsc, do których Gaja nie ma dostępu. Zawsze, kiedy tam idę, myślę o tym, że kiedyś musiało tu być niesamowicie pięknie.

Pochyliła głowę i wpatrywała się w niego. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

- Okay - powiedziała. - Prosiłeś, żebym tu przyszła, bo chciałeś o czymś

porozmawiać. Powiedziałeś, że masz jakąś propozycję. Chcesz mi powiedzieć o tym teraz?

Ponownie spojrzał chmurnie na świecę. Wiedział, że Robin ceni sobie bezpośredniość i że straci cierpliwość, jeśli wyczuje, że on dalej się ociąga. Nie potrafił jednak się zdobyć na odwagę.

—

Jakie są twoje plany, Robin?

—

To znaczy?

- Gdzie masz zamiar się zatrzymać? Co będziesz robić?

Wydawała się zaskoczona, a potem raz jeszcze rozejrzała się szybko po szalonym wnętrzu.

—

Raczej się nad tym nie zastanawiałam. Ten facet, Co-nal, mówił, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli zostaniemy tu przez jakiś czas, więc...

—

To żaden problem, Robin. To miejsce należy do wszystkich moich przyjaciół. Będę zachwycony, jeśli będziesz się czuła tu jak u siebie. Zawsze.

Spojrzała na niego z wdzięcznością, ale w jej oczach czaił się cień podejrzania.

- Doceniam to Chris. Dobrze będzie się tu zatrzymać przez jakiś czas i zastanowić nad możliwościami.

Westchnął i spojrzał jej w oczy.

—

Mam zamiar zapytać cię o to teraz. Mam nadzieję, że to przemyślisz, zanim dasz mi odpowiedź. I mam nadzieję, że będziesz szczerą.

—

W porządku. Wal.

—

Chcę Adama.

Jej twarz zastygła. Przez dłuższy czas ani drgnęła.

—

Co teraz czujesz? - spytał Chris.

—  
Gniew - powiedziała beznamiętnym głosem.

—  
A przedtem? Przed gniewem?

—  
Radość - powiedziała i wstała.

Podeszła do swojego miedzianego wizerunku zdobiącego przeciwległą ścianę i powoli przesunęła po nim dłoń. Odwróciła się, by spojrzeć na niego.

—  
Czy myślisz, że jestem złą matką?

—  
Nie widziałem cię od dwudziestu lat. Nie wiem. Ale widzę Novę i wiem, że dla niej jesteś dobrą matką.

—  
Czy uważasz, że jestem dobrą matką dla Adama?

- Myślę, że starasz się nią być i że to cię niszczy.

Podeszła do stołu, odsunęła krzesło i usiadła na nim tyłem.

Położyła dłonie na stole i spojrzała na Chrisa.

—  
Jesteś dobry, ale nie jesteś doskonały, Chris. Mówiłam ci, że omal go nie zabiłam, kiedy się urodził. Może trudno ci to będzie pojąć. Gdybym go zabiła... Nie czułabym się jak morderczyni. Tak należało postąpić. Pozwalając mu żyć, zrujnowałam samą siebie

politycznie, społecznie... prawie do końca, we wszystkim. Proszę, uwierz mi, że te sprawy nie wpłynęły na moją decyzję.

—  
Wierzę ci. Nigdy nie liczyłaś się zbyt wiele ze zdaniem innych ludzi.



Uśmiechnęła się do niego szeroko i przez chwilę wyglądała jak dziewiętnastoletnia dziewczyna.

- Dzięki za to. Przez jakiś czas bardzo się liczyłam z ich zdaniem. Nie poznałbyś mnie. Ale kiedy on opuścił moje ciało i zaczął żyć samodzielnie, dobrze się sobie przyjrzałam. Nadal to robię.

—  
Czy ty go kochasz?

—  
Nie. Ale bardzo przywiązałam się do niego. I jestem gotowa umrzeć w jego obronie. Moje uczucia wobec niego są... Chris, ambiwalentne to nie jest właściwe słowo.

Może go rzeczywiście kocham. - Westchnęła powtórnie. - Ale Adam mnie nie niszczy.

Zawarłam z nim pokój, a zresztą dzielimy ten sam los. Na pewno będę dla niego dobrą matką.

—  
Nigdy w to nie wątpiłem.

Zmarszczyła brew i przejechała dłonią po włosach.

—  
W takim razie nic nie rozumiem.

—  
Robin, nigdy nie miałem zamiaru go ratować, bo nigdy mi nie przyszło do głowy, że on tego potrzebuje. - Jego twarz pociemniała na chwilę. - Przyznaję jednak, że martwię się o Novę.

—  
Ona sama omal go nie zabiła.

—  
To mnie nie dziwi. Bardzo przypomina ciebie, kiedy byłeś w jej wieku.

—  
Byłam gorsza. Różnica między mną i nią polega na tym, że ja potrafiłabym go zabić, a ona nie. Nie zrobiła tego, bo tak naprawdę wcale nie chciała. Wybrała moment, kiedy mogłam ją powstrzymać. Odreagowywała swój ból i dopilnowała, żebym ją mogła powstrzymać.

—  
Czy myślisz, że teraz nic mu już nie grozi z jej strony?

—  
Całkowicie. Dała swoje słowo. A czy pamiętasz, jak ważna była dla mnie przysięga? Cóż, ja w porównaniu z nią rzucałam słowa na wiatr. - Sięgnęła po świecę stojącą na środku stołu i odstawiła ją na bok. - Może mi w takim razie powiesz, dlaczego go chcesz?

—  
Bo jestem jego ojcem. - Zrobił głęboki wdech. - Wiem niewiele. Nie wiem, jakie są rodziny w Kongregacji. Nie wiem, jak to jest, gdy otaczają cię same kobiety. Czy pobieracie się? Czy dzieci mają dwoje rodziców?

Robin zastanawiała się przez chwilę, a potem skrzywiła się.

- Rozmawiałam o tym dawno temu z Gaby i ona mi opowiedziała o obyczajach

heteroseksualnych. Stwierdziłam w końcu, że te obydwa style życia nie różnią się tak bardzo od siebie. Mniej więcej trzydzieści czy czterdzieści procent z nas łączy się w pary i to się sprawdza. Większość pozostałych usiłuje podejmować jakieś życiowe zobowiązania, ale takie związki rozpadają się po paru latach. Mniej więcej dziesięć procent rozdziela całkowicie życie seksualne od rodzinnego, ma stałych kochanków, jednego lub kilku, i na tym

poprzestaje.

—  
Samotni rodzice - powiedział Chris. - Liczba rozwodów tam, gdzie dorastałem,

wynosiła mniej więcej siedemdziesiąt pięć procent. Ale ja mówię o wychowaniu, o moich uczuciach względem tego... co jest dobre, a co złe. I to mi mówi, że ojciec ma obowiązki wobec swoich dzieci.

—

A co z Novą? Ona też jest twoja.

—

Obawiałem się, że o to zapytasz. Ona nie jest już dzieckiem. Ale nadal jest częścią mnie i w razie czego zawsze jej pomogę.

Robin zaśmiała się.

—

Nie powinieneś tak mocno zaciskać zębów - powiedziała. - Gdy to widzę, zastanawiam się, czy naprawdę tego chcesz.

—

To nie będzie łatwe, przyznaję.

—

Nie przejmuj się. Ona ma bardzo złożoną osobowość, ale trudno się w niej doszukać cechy: "Daję się lubić". Ale odłóżmy na moment sprawę tego tak zwanego dobra Novy... Wciąż jeszcze mi nie powiedziałaś, dlaczego chcesz Adama. Tylko dlatego, że jesteś jego ojcem?

Chris rozłożył ręce, położył je na stole i przyjrzał im się - były wielkie, stwardniałe od pracy i bezkształtne.

- Nie wiem, czy mogę. - Uświadomił sobie, że jest bliski płaczu. - Dręcę się... mam...

wątpliwości. - Ujął głowę w dłonie, jego uszy, do połowy ukryte wśród włosów, były długie i spiczaste. - Ja się zmieniam. Prosiłem o to i chcę tego... tak mi się wydaje. Trochę za późno, żeby się wycofać.

Ja i Valiha... o Boże, teraz nie mogę. Jeszcze nie mogę ci o tym powiedzieć.

Ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się. Wydawało się, że nie ma sposobu, aby ona go zrozumiała.

Nie wiedział, jak długo płakał. Kiedy podniósł wzrok, ona nadal przypatrywała mu się z ciekawością. Uśmiechała się łagodnie, co miało dodać mu otuchy. Otarł oczy.

—

Czuję się oszukany. Miałem Serpenta i bardzo go kochałem. Kocham tytanie.

Któregoś dnia będę jedną z nich.

—  
Kiedy?

—  
To jest właśnie jedna z przyczyn moich wątpliwości. Ten proces jest tajemnicą.

Trwa już bardzo długo i zaczyna być bolesny. Zdaje się, że teraz mógłbym się zatrzymać i na zawsze utknąć w stanie przejściowym między człowiekiem i tytanią. Widzisz, Robin... tytanie nie są ludźmi. Są lepsze i gorsze, podobne i różne, ale nie są ludźmi. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent mnie pragnie być jedną z nich, więc... więc nie potrafię już tak krzywdzić, jak kiedyś potrafiłem. Dlatego rozumiem Valihę, może dlatego potrafię jej wyjaśnić, dlaczego robiłem niektóre rzeczy. Ale ten pozostały jeden procent śmiertelnie się boi utraty człowieczeństwa.

—  
Więc jesteś rozdarty.

—  
Chyba na to wychodzi.

—  
A on ma być ogniwem, które połączy cię z ludźmi.

—  
Tak. I jestem jego ojcem, niezależnie od tego, jak do tego doszło.

Robin wstała i raz jeszcze podeszła do ściany. Chris wziął świecę i poszedł za nią.

Trzymał ją wysoko, a Robin delikatnie dotykała wyklepanej miedzi.

—  
Podoba mi się to - powiedziała.

—  
Dziękuję.

—  
Z początku nie mogłam na to patrzeć, ale teraz podoba mi się coraz bardziej. -

Delikatnie obwiodła zarys miedzianej Robin, przesuwając palcem wzdłuż linii brzemiennego

brzucha. Odwróciła się do niego.

—

Dlaczego na tym jestem w ciąży?

—

Nie wiem. To nie była świadoma koncepcja.

—

Więc przestałeś... - Położyła dłonie na własnym brzuchu, na miejscu, gdzie

przedtem był tamten obrzydliwy tatuaż, potworne, wyzywające i rozpaczliwe graffiti nabazgro-lone na jej ciele ręką dumnego dziecka. Fontanna go zabrała. Tak jakby nigdy nie istniał.

—

No to go weź - powiedziała.

Przez chwilę Chris nie wierzył własnym uszom.

- Dziękuję - powiedział.

—

Nie spodziewałeś się, że mnie przekonasz?

—

To prawda. Dlaczego zmieniłaś decyzję? Jeden z kącików jej ust zdradził rozbawienie.

- Sporo o mnie zapomniałeś. Zmieniłam zamiar w pół sekundy po tym, jak mnie poprosiłeś. Potem musiałam wysłuchać twoich argumentów, żeby się przekonać, czy przypadkiem nie szukam łatwego rozwiązania.

Chris był tak wniebowzięty, że podniósł ją do góry, z dziecinną łatwością, pocałował, a ona śmiała się i udawała, że się mu wyrywa.

Wciąż się śmiali, kiedy dobiegł ich krzyk. Ominął starannie tę część umysłu Chrisa, która kryła świadomość, i dotarł do czegoś tak pierwotnego, że wywołał natychmiastowy odruch. Chris podbiegł do drzwi dużo wcześniej, zanim pojawił się ten krzyk.

## Dziewięć

Rocky i Valiha znajdowali się w odległości dwóch kilometrów od Tuxedo Junction, w

jednej z nielicznych w tej okolicy płaskich i otwartych przestrzeni. Ciągnęli pług niczym zwierzęta pociągowe, którymi z całą pewnością nie były. To porównanie nie sprawiłoby im jednak przykrości. Tytanijski farmer szedł po prostu przed pługiem, a nie za nim.

Tytanie były absolutnie uczciwe i sprawiedliwe, jeśli chodziło o zawieranie umów.

Zawsze płaciły długi. Nie przyjmowały pożywienia albo schronienia, jeśli nie mogły zrobić czegoś w zamian. Wiedziały również, jak połączyć regulację spłaty długu z uzyskaniem należnej korzyści własnej. Rocky i Valiha lubili, odwiedzać Junction, lubili przebywać z Chrisem w jego wymyślnym gnieździe i lubili dobrze zjeść. Bywały takie rośliny, które nie rosły najlepiej w gajańskiej dżungli, bo potrzebowały światła i płaskiego terenu, a ponadto nie znosiły współzawodnictwa. Stąd ta orka. Chris nie był w stanie wykonywać jej sam, a kiedy już mu zaorano pole, mógł więcej zasiać i podawać na swój stół lepsze rzeczy. Wszystko znakomicie się zgadzało.

Zaorali już około dwóch akrów. Rocky lubił zapach świeżo spulchnionej gleby.

Przyjemnie było się zmęczyć, wbijać kopyta w ziemię, słyszeć trzeszczenie uprzęży, patrzeć na gęste brązowe błoto parujące od podgajańskiego ciepła. Przyjemnie było ocierać się o biodra Valihy. Zawsze uwielbiał żółty kolor, a Madrygały są bardziej żółte niż cokolwiek.

Znali się dość krótko. Słyszał o niej co prawda od urodzenia, o tym jak wyruszyła na straszną wyprawę z Kapitanem, wyprawę słynną z opowieści i pieśni. Od wielu myriaobrotów znał jej syna, Serpenta. Ale dopiero od kilku kiloobrotów znał Valihę jako przyjaciółkę.

Podczas ostatniego kiloobrotu zakochał się w niej, czym sam siebie zaskoczył. Tytanie potrafiły być równie kapryśne jak pewna inna rasa inteligentnych stworzeń, a Rocky nie przepadał za Eolskimi Solami. Zazwyczaj ich wręcz nie lubił. Wiedział, że to nielogiczne, bo były tylko ofiarami egotyzmu ich samotnego rodzica Solo, który wpadł na pomysł urodzenia genetycznej kopii samego siebie bez pomocy innej tytanii. Dziecko było równie niewinne jak każde inne dziecko... a jednak, skoro było kopią, odziedziczyło naturalnie egotyzm swej matki.

Valiha urodziła się jako Eolskie Solo.

Doszli do końca bruzdy. Obydwoje byli przyjemnie spoceni i trochę zmęczeni. Valiha sięgnęła do sprzączek przy swojej uprzęży, więc Rocky zrobił to samo. Postawili pług w cieniu. Valiha zrobiła kilka kroków do przodu, potem zawróciła z wysoko zadartym ogonem i stanęła przed Rockym, lecz nie patrzyła na niego. Pochyliła się i włożyła mu rękę między nogi, aby ścisnąć wybrzuszenie, które kryło środkowego penisa.

- Jestem napalona - zaśpiewała. - Masz ochotę się pieprzyć?

- Znakomity pomysł - odśpiewał i stanął z tyłu za nią.

Tak naprawdę to wyrazili w swojej pieśni znacznie więcej, ale pieśni tytanii nigdy nie dawały się dosłownie przełożyć na angielski. Czteronutowa fraza była wykonana w ziemskiej tonacji, więc “pieprzyć się” albo “napalona” stanowiły dobre ekwiwalenty. Jednakże określała także sposób, w jaki Valiha się poruszała, a ponadto zawierała propozycję, aby Rocky wspiął się na nią, a nie odwrotnie. Odpowiedź Rocky’ego wyrażała coś więcej niż zwykłą zgodę. W jakiś sposób cała ta rozmowa i następujące po niej ruchy były tak sformalizowane jak musztra.

Rozstawiła tylne nogi i opuściła lekko zad. On wspiął się delikatnie na jej grzbiet swymi przednimi kończynami, ścisnął ją i wszedł do środka. Objął jej tors od tyłu, a ona przytrzymała jego przednie nogi. Gdy odwróciła głowę, zaczęli się całować i wyginać radośnie i namiętnie przez dobre dwie minuty, dopóki nie osiągnęli wewnętrznego orgazmu, który - z istotnych neurologicznych przyczyn - u tytanii był zawsze jednoczesny. Odpoczywał

przez chwilę w tej pozycji, mocno przyciskając piersi do jej prężnego grzbietu, a potem zszedł z niej.

Spytała, czy ona może zrobić mu taką samą przysługę, ale on odmówił. Nie dlatego,

że nie chciał, aby go dosiadano, lecz dlatego, że myślał poważnie o intymnych sprawach.

Stanął naprzeciwko niej tak blisko, że ich twarze dzieliła odległość zaledwie kilku cali, a potem zatańczył dla niej, unosząc wysoko przednie kończyny. Ona uśmiechnęła się, położyła rękę na jego ramieniu i lekko obróciła głowę, aby go pocałować, po czym zauważyła jego przednią erekcję. Wydawała się zaskoczona, ale nie wycofała się.

—

Panie, ledwie cię znam - zaśpiewała w formalnej tonacji.

—

To było tak niedawno - zgodził się. - Lecz czasami taka miłość jak moja rodzi się

tak szybko jak u tych, co chodzą na dwóch nogach. Jeśli się zgadzasz, o pani, proponuję ci zawarcie związku.

—

Zaśpiewaj to więc.

—

Trio. Ja jako zadnia matka. Nie wiem, czy już o tym napomykałem, ale nigdy nie

byłem zadnią matką.

—

Jesteś jeszcze młody.

—

To prawda.

—

Miksolidyjskie?

—

—

Lidyjskie. Serpent będzie zadnim ojcem. Spuściła wzrok i zamyśliła się.

—

Z krzyżykiem? - zaśpiewała.

—

Tak.

Podany przez niego sposób nosił nazwę Tria Miksolidyjskie-go z Krzyżykiem,

jednego z najbardziej powszechnych Dwudziestu Dziewięciu Sposobów. On i Valiha mieli odbyć z sobą przedni stosunek płciowy, aby wytworzyć w połowie zapłodnione jajo: Rocky miał być przednim ojcem, Valiha przednią matką. Jajo miało zostać uaktywnione przez Cirocco Jones, potem zaszczipione w łonie Rocky'ego i przyśpieszone przez Serpen-ta: Rocky zostałby zadnią matką, a Serpent zadnim ojcem.

Widział, jak Valiha wszystko sumuje. Tytanie miały wrodzony instynkt genetyczny,

do którego ludzie zupełnie nie przykładali wagi. Wiedział, że ona nie dostrzega żadnej złej strony w jego propozycji, choć przez fakt, że Valiha była zadnią matką Serpenta, ludziom mogłoby się to wydawać kazirodstwem. Jednakże kazirodstwo stanowiło dla tytanii problem genetyczny jedynie w szczególnych i ograniczonych przypadkach, moralnie zaś nie stanowiło żadnego problemu.

—

To dobre połączenie - zaśpiewała wreszcie. - Wymaga trochę namysłu.

—

Jak zechcesz, pani.

—



To nie chodzi o ciebie, o panie - zaczęła, a potem przeszła na mniej formalną

tonację. - Do cholery, Rocky, ja też zaczynam cię kochać i jesteś wspaniałym facetem, ale niepokoi mnie czas.

—  
Wiem, Valiho. Źle się dzieje na świecie.

—  
Nie wiem, czy powinniśmy rodzić dzieci w takim świecie.

—  
Czy w czasach twojej zadnej matki nie toczyliśmy wojny z aniołami?

—  
Skinęła głową i otarła łzę. Zmusiła się do uśmiechu.

—  
Wiem o tym. I wiem też, że Serpentowi bardzo się to spodoba. Czy już z nim rozmawiałeś?

—  
Żadna dusza jeszcze o tym nie wie.

—  
Zatem błagam cię, zatrzymaj to w swym sercu, dopóki świat nie obróci się kolejny tysiąc razy. Potem otrzymasz moją odpowiedź.

—  
Pocałowali się i usłyszeli Serpenta, który wypadł z lasu w pełnym galopie. Kopyta zadudniły po zaoranym polu, a jego podkowy wznieciły tumany pyłu.

- A ja myślałem, że obydwójce zajmujecie się orką! - zaśpiewał. - Miałem takie

poczucie winy, że zostałem w domu i zająłem się pieczeniem ciasta, a jedynym moim

obowiązkiem była opieka nad tym gniewnym ludzkim dzieckiem, podczas gdy wy harujecie jak zwykli najemnicy rolni. Pośpieszyłem więc, żeby was znaleźć...

Nagle stanął jak wryty i znieruchomiał na dwie długie sekundy. Potem wierzgnął  
zadnimi kończynami, obrócił się i pomknął w tę samą stronę, z której przybył.

—  
Zombie! - krzyknął po angielsku, ale do tego czasu Rocky i Valiha też już je  
wyczuły i zaczęły uciekać jak przed wielką pogonią.

—  
Ratujesz dziecko i co z tego masz? - pytał siebie samego Conal. Zerknął na Adama.

Po podbródku dziecka ściekała kropelka śliny. - Potrzebna ci niańka, ot co.

Ziewnął i usadowił się wygodniej na kanapie. Znajdował się w narożnym pokoju na  
parterze głównego domu Junction, tego z dużą ilością okien i dobrym widokiem na

wodospad. Nova była gdzieś na górze i robiła coś, od czego w powietrzu unosił się jakiś dziwny  
zapach, a ona sama wymiotowała. Przedtem biegała po całym domu, zachowując się przy tym jak  
szpieg. Od godziny jednak nie wydała żadnego dźwięku.

- Jest za dobra, by opiekować się swoim braciszkiem - powiedział do Adama.

Niemowlę zrobiło uroczystą minę, a potem rzuciło w niego jajem którejś tytanii.

Conalowi właściwie to nie przeszkadzało. Miał wiele satysfakcji z tego, że jest tak maltretowany.

Dzieciak był w porządku. Nie płakał dużo. Naprawdę mądry i naprawdę silny.

Prawdopodobnie w przyszłym roku będzie już mógł podnosić ciężary, zaraz jak tylko stanie na  
własnych nogach. Miał odpowiednie kości. I w jakiś sposób Conal był dumny, że Robin powierzyła  
dziecko właśnie jemu.

Posadził je na podłodze wśród zabawek, które gdzieś wyszukał. Adam siedział tam

uszcześliwony, rozrzucał je dookoła, potem do nich podpełzał. Jego ulubioną zabawką był

stojak ze starymi jajami tytanii. Były okrągłe, wielkości mniej więcej piłki do golfa i różnokolorowe.  
Nie mieściły mu się w buzi i nie dawały się stłuc. Stale jednak wpadały pod meble, więc Conal  
zbudował wokół Adama palisadę z poduszek, szerokości czterech metrów.

Adamowi jak dotąd nie udało się porzucić wszystkich. Stąpał wśród nich sztywno, nagi, rzadko  
się przewracając i natychmiast się podnosząc.

Conal zauważył, że dzieciak nagle się uspokoja i zaczyna siusiać na podłogę.

Roześmiał się, a Adam odwrócił się niezgrabnie i też zaczął się śmiać.

—  
Ma! - zapiszczało dziecko. - Ta-Nia! Ma!

—  
Siu-siu - odpowiedział mu Conal i wstał. - Musisz się tego nauczyć, mały.

Powiedz: “Chcę siusiu”. - Adam roześmiał się jeszcze głośniejsze i pokiwał głową.

Conal przyniósł z łazienki ścierkę i wytarł kałużę. To było męczące, ale czego można się spodziewać? A zresztą to było o wiele lepsze niż zmienianie pieluszek.

Usiadł i zaczął, nie po raz pierwszy, myśleć o Novie. Najprawdopodobniej spała na górze. Cholerna sprawa z tą Novą. Cholerna sprawa. Co z tym zrobić? Jak zacząć?

Trudno mu było wpaść na jakiś dobry pomysł. Z początku myślał, że ona nienawidzi

wszystkie żywe istoty jednakowo. Później zaczął wierzyć, że on zajmuje jakieś specjalne miejsce w jej sercu, tuż za grzechotnikami, pederastami i krętkami bladymi. Z pewnością trudno było coś zacząć z takiej pozycji, ale determinacja zawsze była silnym atutem Conala.

W odróżnieniu, niestety, od wyobraźni. Albo subtelności. Cirocco powiedziała mu

kiedyś, że jego bezpośredniość jest godna podziwu, ale potrzeba trochę czasu, żeby się do niej przyzwyczaić.

Tak więc, gdy jego myśli kierowały się ku Novie, krążyły stale wokół tego samego

niekorzystnego wzorca. Wiedział, że to śmieszne, wiedział, że najpierw musi się stać coś radykalnego, żeby kiedykolwiek raczyła spojrzeć na niego inaczej niż jak na obrzydliwego potwora, a jednak stale powracał do tych samych fantazji. Zaczynało się od tego, że wstanie z krzesła i pójdzie na górę. Zapuka do jej drzwi.

Wejdz - powie ona. On otworzy drzwi i uśmiechnie się zwycięsko.

Chciałem tylko sprawdzić, czy ci czegoś nie trzeba, Nova - powie.

Wtedy - szczegółów tej części nie był już pewien - usiądzie obok niej na łóżku i

pochyli się, aby ją pocałować. Ona rozchyli wargi...

Nova krzyknęła.

To był potworny, przerażający krzyk, wyrywający się z głębi jej gardła. Conal zatopił

się w swych marzeniach tak głęboko, że najpierw zażenowany usiłował wymyślić jakieś przeprosiny, a dopiero potem zastygła w nim krew, kiedy zrozumiał, że to się dzieje w rzeczywistości.

Jego stopy dotknęły pierwszego stopnia, dziewiątego stopnia i ostatniego stopnia i już pędził przez korytarz prosto do jej drzwi.

Dziesięć

Nova budziła się powoli, nie wiedząc, co ją wyrwało ze snu. Leżała i czekała, czy nie usłyszy tego dźwięku ponownie, zastanawiając się, dlaczego myślała, że za drzwiami stoi Cirocco i czeka, by wejść.

Powtórzyło się. Odgłos skrobania. Tylko że to nie było skrobanie, lecz walenie pięściami. I nie do drzwi, lecz do okna.

Wstała, ziewnęła, podeszła na palcach do okna i wychyliła się na zewnątrz. Spojrzała w dół.

To, co zobaczyła, miało na długo utkwić w jej pamięci.

Po zewnętrznej ścianie domu wspinało się jakieś stworzenie. Zobaczyła jego ramiona, zbudowane z kości oplecionych węzami, i czubek głowy, pokrytej popękany pergaminem i pasmami długich włosów. Jednak najbardziej przerażające były ręce. Widziała nagie kości palców, kawałki gnijącego mięsa i paszcze. Każdy palec kończył się małym ślepym węzem z szeroką paszczą i ostrymi jak igły zębami, a kiedy ta dłoń dotykała pionowej ściany, węże wbijały się w drewno z donośnym chrzęstem. Stwór szedł szybko do góry, ręka za ręką. Nova zaczęła po omacku szukać swej broni, uświadamiając sobie poniewczasie, że nie ma na sobie nic, kiedy stwór spojrział w górę. W miejscu twarzy była tylko obnażona czaszka. W

oczodołach roiły się robaki.

Nova nie dawała się łatwo wystraszyć. Nawet nie krzyknęła na widok tej potwornej

twarzy. Kiedy jednak odwróciła się, by sięgnąć po broń, stanęła twarzą w twarz z drugim takim samym stworem, zwieszającym się z góry za oknem, w odległości dwóch stóp od jej twarzy. Ponad jego brwiami widać było tylko porożlupywaną kość i masę kotłujących się robaków. Wrzasnęła, kiedy to coś wyciągnęło ku niej rękę.

Schwyciło ją za nadgarstek. Szarpnęła się, wciąż krzycząc, ale węże wbiły się w jej ciało. Po chwili jednak jakoś zdołała się uwolnić.

Nie pamiętała, jak przebiegła przez pokój. Czas albo upływał niezwykle wolno, albo co chwilę przystawał. Nagle zorientowała się, że trzyma w dłoni pistolet. Ręka drżała, niezdarnie szukając bezpiecznika. Obróciła się i uniosła broń do góry. Ten drugi stwór był już w pokoju i szedł prosto na nią, więc pociągnęła za spust, ale nic nie usłyszała, bo broń wyslizgnęła się z jej zakrwawionej dłoni, a stwór nadal szedł prosto na nią. Przeturlała się przez łóżko i wpadła w przestrzeń dzielącą ją od ściany; w tej samej chwili usłyszała trzask rozlupywanych drzwi. Broń musiała leżeć gdzieś na

podłozie. Zwalczyła w sobie odruch, by wyrzucić z łóżka, usłyszała mięsiste mlaśnięcie, kiedy coś uderzyło w coś innego, a potem huk, który rozległ się po całym domu, kiedy to coś runęło na podłogę. Znalazła broń, unieruchomiła ją zdrową dłonią i wyciągnęła ręce ponad łóżkiem.

Conal minął się ze śmiercią o jedną dziesiątą sekundy. Nerwowy impuls już

przebiegał przez palec Novy położony na spuście, kiedy uświadomiła sobie, że to on mocuje się z jednym z tamtych stworzeń, i udało jej się w porę unieść ręce. Pierwszy, napędzany odrzutem raketowym pocisk utkwiał w ścianie, w odległości stopy od sufitu.

Nie było sposobu na oddanie bezpiecznego strzału do stworzenia, które walczyło z

Conalem, ale w ramie okna pojawił się drugi potwór, więc wpakowała w niego dwa pociski, jeden w głowę i drugi w pierś, i zatrzymała się na sekundę, aby zobaczyć, co tamten o tym myśli.

Głowa eksplodowała, zamieniła się w proszek i zniknęła. Pierś chciała się rozlecieć, ale srebrzyste węże, które oplatały ciało stwora, jakoś utrzymały ją w całości.

I to coś nadal szło.

To już trwa zdecydowanie za długo - pomyślała. - Jeszcze się przestraszysz.

Tamten pierwszy powalił Conala. Nova wpakowała w niego trzy kule, z niewiele

lepszym rezultatem niż poprzednio. Stworzenie poleciało bezwładnie na ścianę, ciśnięte siłą wybuchu, a jego lewa ręka oderwała się od ramienia. Jednoręki stwór wstał jednak i ruszył w stronę Conala.

Ręka zrobiła to samo. Drapiąc palcami, pchała się gwałtownymi ruchami do przodu.

Nova przełknęła kwaśny smak wymiotów i wpakowała ostatnie trzy pociski w tego,

który wisiał za oknem. W tego bez głowy. Zachwiał się, uderzył o parapet i poleciał do tyłu.

Usłyszała, że te następne, które już były na murze, cofają się, a potem dobiegł ją głośny plusk wody.

Wtedy właśnie zaatakował ją drugi zombie.

Conal wyglądał na ogłuszonego. Stał na nogach, ale potrząsał głową. A tymczasem

potwór odbił się swą połamaną nogą i skoczył na nią, rozsiewając dookoła odłamki kości, kawałki galaretowatego ciała, umykające żuki i małe zębate gryzonie.

Rzuciła w niego pistoletem, żałując, że to nie jest potężny kolt jej matki, zamiast tej nowoczesnej lekkiej broni. W policzku zombie powstał otwór i na zewnątrz wylały się robaki.

Schwyciła łóżko i podniosła je. Zombie obszedł je bokiem.

Padła już prawie na podłogę, nie mając się czego schwytać.

Rzuciła lampę, wazon, szafkę nocną, a stwór był i tak coraz bliżej. Conal powoli szedł

za nią, ale tamten już stał przed nią, gotów ją zaraz dopaść, skuloną w kącie. Po omacku szukała jakiejś broni. Czegokolwiek. Znalazła coś i rzuciła.

I stwór zwalił się bezwładnie na podłogę, dokładnie w tym samym momencie, gdy w drzwiach pojawił się Chris.

Zobaczyła, że Chris kopie padające ciało, widziała, jak się na nie rzuca... i nagle się zatrzymuje. Zmarszczył brwi. Nova nie rozumiała, co się stało, po czym uświadomiła sobie, że on nie wie, dlaczego stwór się nie broni. Kopnął go raz jeszcze z całej siły. Zombie zaczął

się rozpadać. Srebrne węże, które go scalały, które zdawały się go ożywiać, były bezwładne i martwe.

Chris przykląkł przed nią. Widziała go jakby przez mgłę. Obejrzał jej rękę i chyba uznał, że rany nie są groźne dla zdrowia, bowiem był wyraźnie zadowolony. Potem położył

swe wielkie dłonie na jej ramionach i spojrzał w oczy.

- Nic ci nie jest?

Ledwie skinęła głową. Usłyszała, że mówi coś do Conala, coś o Adamie, i usłyszała, że wybiega.

Wydawało się, że w pokoju nie ma nic prócz martwego stwora. Nie mogła oderwać od

niego wzroku. Leżał w odległości zaledwie trzech stóp. Nieświadome tego, co robią, jej stopy zaczęły go kopać. Plecy osuwały się w dół ściany, a stopy wciąż kopały, dopóki nie natrafiły na coś miękkiego. To coś miękkiego wcale nie było dobre, twarde ściany i podłoga były o wiele lepsze.

Pisnęła. Był to zduszony, cichy okrzyk przerażenia, którego natychmiast pożałowała. Wiedziała już, że trafiła na Conala. Otarła się ramieniem o twardą tkaninę jego płaszcza, ale to było dobre. Wszystko, co ciepłe, było dobre. Tamten stwór był straszliwie zimny i ona też była teraz straszliwie zimna.

Siedziała drżąca, a Conal narzucił jej płaszcz na ramiona. Słyszała okrzyki

dochodzące z innych pokoi, odgłosy walki i wiedziała, że powinna im pomagać. Siedziała jednak spokojnie, a Conal podarł swoją koszulę, owinał jej zakrwawione przedramię i dłoń.

W trakcie, gdy to robił, słyszała łomotanie podków tytanii i odgłosy przypominające okrzyki wojenne.

Gdy próbował wstać, okazało się, że sama odruchowo się uczepiła zdrową dłonią jego ramienia. Zatrzymał się, czekając, aż ona wstanie, i wyprowadził ją z pokoju. Ani razu nie oderwała oczu od

stwora leżącego na podłodze.

Martwy zombie to coś zupełnie absurdalnego.

Martwy? A niech go diabli wezmą - pomyślał Chris. Jasne że był martwy, był martwy od samego początku, ale przedtem nigdy ich to nie zatrzymywało.

Miał ochotę kopnąć to paskudztwo z całej siły, żeby potem jego szczątki trzeba było zdrapywać ze ściany, ale nie miał na to czasu. Nie miał też czasu zastanawiać się nad tym, co go zabiło. Nawet nie miał czasu, by badać Novę, ale jednak to zrobił.

Conal ciągle był ogłuszony. Na głowie miał krwawiącą ranę i guza wielkości jajka.

—  
Gdzie jest Adam? Conal. Słyszysz mnie?

—  
...dole - wymamrotał. - Na dole. Pośpiesz się, Chris... zombie.

Na korytarzu leżał jeszcze jeden martwy - albo nieruchomy - zombie. Przyszedł tu od strony pokoju Cirocco. Chris zbiegł na dół, minął pokój muzyczny i wpadł w ramiona następnego zombie.

Zaczął z nim walczyć. Ten nie uległ aż tak głębokiemu rozpadowi, jak tamten w pokoju Novy, sądząc po jego wyglądzie, musiał umrzeć zaledwie tydzień lub dwa wcześniej.

Chris uniósł zombie i cisnął go na bok, mając nadzieję, że zyska tym na czasie. Z tymi stworzeniami można było sobie radzić tylko przy pomocy broni o ząbkowanych brzegach.

Pomagało również wybijanie jednostajnego rytmu, jaki uzyskuje drwal rąbiący drzewo, oraz posiadanie silnego żołądka Conana Barbarzyńcy. Zadawanie im ciosów lub mocowanie się z nimi było najlepszym sposobem na to, aby dać się zabić. Potrafiły w nieskończoność przyjmować ciosy i nawet poćwiartowane były się dalej. Należało natomiast odciąć jak najwięcej śmiertelnych węży, które nadawały zombie obrzydliwe podobieństwo do żywych.

Były niesłychanie silne. Jeśli udało im się podejść wystarczająco blisko, węże śmierci rozdzierały ciało atakowanego.

Zombie poleciał na ścianę, a Chris już szukał jakiejś siekiery albo noża. Niczego

takiego raczej nie było w zasięgu ręki. Podniósł krzesło, z zamiarem osłaniania się nim w trakcie przedzierania się do kuchni, kiedy zauważył drugiego stwora. Właśnie się podnosił.

Ta zombie - choć brzmiało to idiotyczne, trzeba było użyć zaimka żeńskoosobowego,

ponieważ miała nadęte i przegniłe piersi - zwała się na podłogę, miażdżąc przy tym delikatny stary puzon ze srebra.

Tym razem Chris także się nie zatrzymał, by się dziwić czy kwestionować swoje

szczęście. Nie miał zamiaru walczyć, zombie po prostu zagrażał mu drogę. Wpadł do pokoju muzycznego, przebiegł do kuchni, gdzie pochwycił największy topór rzeźniczy, i w porę przebiegł cały dom, by zobaczyć Robin przewieszoną przez parapet z ugiętymi nogami i ramionami wyciągniętymi do przodu.

Krzyknął w jej stronę, ale wypadła na zewnątrz.

Robin omal nie zabiła Chrisa w wejściu do Miedzianego Pokoju - potem prawie się z

nim zderzyła, co byłoby bolesne, bo w tej chwili miał tak dużą siłę rozpędu, że drzwi nie stanowiły dla niego przeszkody; potrafiłby nawet przebić się przez ścianę. Uskoczyła w porę, żeby go przepuścić, sama przeskoczyła próg i biegła najszybciej, jak potrafiła, gapiąc się z otwartymi ustami w widowisko z udziałem Chrisa Majora, który właśnie rozwinął swą

największą szybkość. Nie patrzyła długo. Równie dobrze mógł frunąć.

Wielka Matko, to było ogromne drzewo.

Trwało to długo, ale wreszcie dopadła do tylnych drzwi i biegła przez kolejne pokoje, wołając Chrisa, Novę, Conala... kogokolwiek. Cały czas nie przestawała biec. W którymś miejscu dostrzegła kątem oka coś potwornego, co skradało się przez pusty pokój, ale nie zatrzymała się. Nic jej nie mogło powstrzymać, dopóki nie znajdzie Novy i nie dowie się, dlaczego tak krzyczała. Znała dobrze swą córkę i wiedziała, że byle mysz nie skłoni jej do takiego wrzasku.

Coś jednak kazało jej się zatrzymać. Rzutem oka ogarnęła pokój, w którym na

podłodze leżał stos poduszek i zabawek. Usłyszała płacz Adama i zobaczyła stworzenie o ludzkim kształcie - było z nim coś mocno nie tak, ale w tak szybkim tempie nie mogła tego wychwycić wzrokiem - wyskakujące przez okno z Adamem w rękach.

Zatrzymywanie się w grawitacji wynoszącej jedną czwartą ziemskiej jest czymś, co

wymaga praktyki. Robin jeszcze tego nie opanowała, więc musiała najpierw zderzyć się ze ścianą, odepchnąć od niej rękoma, a potem zatoczyć po pokoju. Wreszcie stanęła,

uchwyciwszy się klamki. Dobiegła do okna, wyjrzała na zewnątrz i zobaczyła odpływające stworzenie, wiosłujące jedną ręką. Drugie ramię trzymało Adama ponad powierzchnią wody.

Zdjęła buty, stanęła w oknie i skoczyła.

Później twierdziła, że wcale nie zapomniała, że nie potrafi pływać. Już raz wepchnięto ją pod wodę. Jakimś cudem wtedy udało jej się dopłynąć do brzegu. Liczyła, że tym razem znowu się uda. Niestety



myliła się.

Uderzyła o powierzchnię wody z ogłuszającym pluskiem, a potem mozolnie zaczęła płynąć ku światłu.

Z trudem wydobyła głowę ponad powierzchnię i nabrała powietrza do płuc, po czym usiłowała płynąć. Im bardziej się starała, tym gorzej to wychodziło. Jej głowa stale tonęła i nie potrafiła zrobić nic lepszego, jak trzymać nos w górze - jakby dzięki ambicji, której stale kłam zadawała rozpaczliwa młócka ramion. Prąd znosił ją w tym samym kierunku, w którym płynął cel jej pościgu, ale to nic nie dawało, bo porywacz też płynął razem z prądem i z każdą chwilą był coraz dalej. Wpłynęli teraz do wirującej wody, tu i tam wystawały skały, wszędzie było głęboko, jednakowo zimno i szybko zdała sobie sprawę, że umrze w tej rzece. Coraz rzadziej i krócej wystawiała głowę ponad powierzchnię i coraz częściej nabierała więcej wody niż powietrza.

Wtedy wokół jej szyi owinęło się czyjeś ramię, pociągnęło ją do góry i przewróciło na plecy. Wyrywała się przez chwilę, ale ramię ścisnęło ją tak mocno, że prawie się dusiła.

Wykrztusiła wodę i uspokoiła się. Chris holował ją w stronę brzegu.

Wyciągnął ją na skałę wystającą ze środka strumienia. Uchwyciła się jej i prąd przestał ją znosić.

—  
Siedź tu! - rozkazał jej.

—  
Dogoń go, Chris! - krzyknęła ochryple. Chris już odpłynął.

Podciągnęła się wyżej i spojrzała nad powierzchnią skały. Porywacz miał przewagę jakichś stu stóp nad Chrisem i ta przewaga stale rosła. Jednakże woda na dalszym odcinku była niezwykle wzburzona.

Ogarnął ją rodzaj obezwładniającego letargu. Była wyczerpana po tak bliskim zetknięciu ze śmiercią i jedyne, co potrafiła robić, to wisieć kurczowo na tej skale i patrzeć na rozwój wydarzeń. Wydawało się, że nie mają z nią żadnego związku. Wręcz ciekawiło ją, czy złodziej przedostanie się przez wiry i nie wypuści przy tym Adama, ale nie umiała powiązać jego losu z nią samą. Z jej gardła nadal wyrywał się krzyk, ale nie miało to żadnego znaczenia.

Słyszała tykanie przebiegające przez most z hałasem, który przypominał odgłos

lawiny. Odwróciła się i zobaczyła Ser-penta, który wskazywał Chrisa, zobaczyła Rocky'ego, który przeskoczył przez poręcz i wpadł do wody, przednimi kończynami do przodu, i uderzył

w powierzchnię wody z taką siłą, że na wysokość pięćdziesięciu stóp podniosła się fontanna.

Jego głowa wybiła się na powierzchnię i już płynął co sił, podczas gdy Serpent i Valiha przebiegli przez frontowe drzwi Tuxedo Junction, nie pamiętając, że najpierw powinni je otworzyć.

Potem w krzakach rozległ się trzask i Robin odwróciła się w porę, by dostrzec

biegnącą brzegiem rzeki Cirocco. Minęła skałę Robin, minęła Chrisa, dotarła do dogodnego miejsca i skoczyła do wody. Jej ciało pokonało prawie płaską trajektorię o długości nieomal czterdziestu stóp, zanim znalazło się w wodzie.

I nie utopiła się. Wygięła plecy w łuk i niczym odrzutowiec machnęła rękoma w tył.

Jej podbródek wystawał wysoko ponad wodą, podczas tego gdy, jak płaski kamień,

dwukrotnie odbijała się od powierzchni i za każdym razem jej ciało pokonywało kolejne drogocenne pięć stóp, nim wreszcie ogarnęła je woda. Znajdowała się wtedy już w odległości trzydziestu stóp od swego celu i płynęła co sił.

Robin chwiała się na kolanach, zaciskając pięści i zęby, ponagłając w myślach

Cirocco. Nieświadomie rejestrowała odgłosy, jakie wydawali Valiha i Serpent, gdy wskoczyli gdzieś za nią do wody, ale ani razu nie oderwała wzroku od kobiety, którą zawsze miała uważać za Czarodziejkę. Wydawało się, że Cirocco rozerwie sukinsyna na strzępy, kiedy już go dopadnie, i niczego bardziej na świecie Robin nie pragnęła zobaczyć.

Usłyszała za sobą krzyk. Z nieba runął z zapierającą dech w piersiach prędkością

wielki cień, dostrzegła tylko krępa sylwetkę anioła z dwudziestostopowymi skrzydłami rozpostartymi na pełną szerokość, które czubkami zamiatały wodę.

Złożył skrzydła w ułamku sekundy, ale w jego locie uwidoczniło się jakby wahanie.

Potem pochwycił Adama, bez żadnego wysiłku, z gracją orła atakującego tęczowego pstrąga, i pomknął do góry. Na wysokości dwustu stóp załopotał swymi wielkimi skrzydłami i po chwili zniknął na wschodzie.

Jedenaście

Po drodze do Tuxedo Junction Luter miał Wizję. Wiedział, że to nie wyjdzie mu na

dobrze. Sądził, że Gaja może go prowokować tą informacją. A kiedy dotarł do wysokiego wzgórza, z którego roztaczał się widok na jezioro, drzewo i dom na drzewie, był już pewien, że zdąży tylko popatrzeć na zakończenie.

Wizja wciąż była w nim. Nie korzystała z jego jedynej gałki ocznej, drzewa, ściany i odległości nie stanowiły dla niej przeszkody. Widział w domu żołnierzy Kali, dziecko bawiące się samotnie w swoim pokoju. Obserwował poganina, będącego w połowie tytania, który biegł po schodach, dostrzegł nadbiegającą Cirocco Jones, widział, jak dwoje ludzi i trzy tytanie wskoczyli do wody.

Przez krótką chwilę, kiedy Demon zanurkował do wody, ośmielał się mieć nadzieję.

Nienawidził Jones, ale wiedział, że nikt z bandy Kali jej nie dorównuje - tak samo zresztą, jak żaden z jego uczniów. Nic bardziej nie ucieszyłoby Lutra niż widok Demona rozrywającego na strzępy śluzowaty pomiot Kali. Wówczas dziecko mogłoby należeć do niego...

Patrzył z niedowierzaniem na anioła, który runął z nieba.

- Aniołowie! - zaskrzeczał. - Aniołowie? Boże, Boże, czemuś mnie opuścił?

Uczniowie zaszurali nerwowo za jego plecami, pragnąc już ruszać. Z powodu braku

własnych umysłów dostrajali się w jakiś sposób do jego emocji. Przejęli jego gwałtowną frustrację, nienawiść do Demona i Kali... i jego szybki, jadowity strach z powodu

wypowiedzianego właśnie bluźnierstwa.

Luter nosił przy pasie specjalny Krzyż, wykonany ze spiżu, o ostrych jak brzytwa

krawędziach. Wyciągnął go i zaczął nim ciąć swoje nogi. Czuł własne ręce tnące je głęboko, gloryfikujące umartwianie ciała.

Usłyszał ponad sobą gulgoczący odgłos.

Kiedy podniósł wzrok, zobaczył Kali, która schodziła ze swej grędy na drzewie. Na jej nieprawdopodobnym brzuchu zaszczekała lornetka. W ślad za nią mknął zwinny jak małpa, nagi, ośmioletni chłopiec, jej niewolnik i jednocześnie strażnik. Na szyi miał złotą obrozę ze złotym łańcuchem, długości czterech stóp, który łączył go z boginią.

Kali składała się ze złota i zgnilizny. Łańcuch niewolnika wykonano z

czternastokaratowego złota, ale złoto dziesiątków pierścieni, które nosiła na palcach u rąk i stóp, było czyste, miękkie i cienkie. Miała na sobie biustonosz z prawdziwego mosiądzu, spiczasty jak gotycka katedra, który podtrzymywał jej mamucie piersi barwy ochry. Jej nogi i cztery ręce otaczała setka ozdobnych pasów i pierścieni, wszystkie były za ciasne, toteż ciało przelewało się pomiędzy nimi. W talii była przepasana złotym pasem o średnicy dziesięciu cali, a wyżej jej ciało puchło w steatopygicznej obfitości. Określenie "figura klepsydrowa"

mogło zostać wymyślone wyłącznie dla niej.

Jej paznokcie były długie na sześć cali i wykonane z brązu.

Jej twarz... mówienie o twarzy Kali nie było zbyt precyzyjne, bowiem miała trzy

głowy. Niemniej jednak prawa i lewa były zwyczajnie doczepione. Szyję każdej z nich oplatała pętla dusiciela. Gdy któraś z głów gniła i odpadała, Kali zastępowała ją inną z zapasów dostępnych na Gai. W momencie, gdy zeskoczyła z drzewa i podeszła w stronę Lutra - groteskowo kołysząc biodrami, jak ladacznica w kostnicy - jedna z jej głów była już dość dojrzała, a druga stanowiła nowy nabytek. Starsza należała niegdyś do białej kobiety.

Teraz była doszczętnie przeżarta gangreną, zaczerwieniona, miała nabiegłe krwią, wytrzeszczone gałki oczne i czarny wywalony język. Zwisała do tyłu na strzępku mięsa.

Druga głowa należała do czarnego mężczyzny, jej kolor zmienił się od samego aktu uduszenia. Ta kołysała się pijackim ruchem w rytm kroków Kali.

Środkowa głowa należała w poprzednim życiu - w takim samym sensie, w jakim Luter był kiedyś wielebnym Arthurem Lundąuistem - do kapłanki o imieniu Maya Chandraphrabha. Z Mai pozostała tylko głowa. Za życia miała chłopięcę, niezgrabne i sterylne ciało.

Ta, która teraz nazywała siebie Kali, nigdy nie czuła ani odrobiny żalu, nigdy nie doświadczała nawet krótkotrwałej udręki, jaka czasami nękała tego, który był teraz Lutrem.

Szczyła się swą jadowitą płodnością. Jej łono było tak płodne jak meduza - wraz z każdym kiloobrotom wydawała z siebie nowe wrzaskliwe potworności, ku jeszcze większej chwale Gai.

Nosiła pas zrobiony z ludzkich czaszek.

Twarz Kali była martwa. Jej oczy potrafiły się ruszać, ale nie umiała mrugać, uśmiechać się, marszczyć czy zamykać ust. Jej szczęka była obwisła, a z ust wystawał język.

To gulgotanie, które usłyszał Luter, to był śmiech Kali.

Kali była wcieleniem ohydy.

Na widok Lutra znowu zagulgotała i palcami obydwu rąk wykreśliła w powietrzu skomplikowane wzory.

- Ona mówi: Gdzie ty, do diabła, byłeś, Luter? - zaskrzeczał chłopiec.

Chłopiec był spadkobiercą dużej fortuny. Był o rok starszy niż Wojna. Gdy on i jego rodzina wyszli ze swej kryjówki w meksykańskich górach, zabrała ich jedna z gajańskich misji miłosierdzia. Jego matka była głucha, dzięki czemu posiadał umiejętność przydatną teraz dla Kali. Kiedyś był

inteligentnym, zdrowym i sprytnym sześciolatkiem. Obecnie jego ciało wyglądało tak, jakby narysował je autor karykatur politycznych, celowo uwypuklając niektóre szczegóły i opatrując napisem: Światowy Głód. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z rąk Kali. W ciągu dwóch ostatnich lat postarzał się o jakieś osiem.

- Gaja dała mi prawo do zabrania tego dziecka - zagrzemiał Luter.

Kali zagulgotała jeszcze głośniej i zatrzepotała palcami.

- Ona mdwi: Gaja nie dała ci żadnego prawa, żebyś se je wziął. Trzeba było przyjść wcześniej - wypaplał chłopiec.

- Ona mdwi, że ty się spóźniłeś. Ona mdwi, że ty jesteś prodesent... - Kali uderzyła chłopca w posiniaczoną twarz.

—

...ona mdwi, że ty jesteś prod... Został uderzony ponownie.

—

...protesent... Jeszcze raz.

—

... pro... tes... tent... ona mdwi, że ty jesteś protestanckim matkojebcą, jag... jag...

jagnieranckim obrzyganym, spe-drylonym chrześcijaninem. Ona mdwi, że jesteś taki obleśny, że nie powinieneś żyć. Ona mdwi, że masz iść i obciągnąć druta papieżowi.

—

Ladacznicza Fafilońska! Nierzędnicza z Gomory!

—

Ona mdwi wyraźnie. Ona mdwi, że weźmie się za ciebie i całą twoją zasraną

bandę. Ona mdwi, że jeśli nie złożyłeś ślubów sebiss...

Kali znowu go uderzyła.

-...sebila... sela... cellba... celili-li-li-li... celibin... celibat.

Chłopiec westchnął z przyjemnością i ulgą, kiedy wreszcie wymówił to poprawnie, i

Kali przestała go bić.

—  
Celibat, celibat, celibat - mrucał pod nosem. Następnym razem na pewno powie to  
dobrze.

—  
Fafizm! - syknął Luter, mając na myśli papizm. Arthur Lundquist, ktdrego słaby

duch informował go o działaniach tego stworzenia, którym się teraz stał, nie odróżniłby papizmu od  
zupełnych odpustów, będąc trzykrotnie reformowanym Luteraninem i duchowym sojusznikiem  
większości katolickich sekt. Gaję jednak bawiło, że wszyscy jej kapłani byli fundamentalistami, a  
miała dobrą pamięć, i tak Luter dał się ponieść złości.

—  
Fafizm! - powtórzył, a jego apostołowie zafufali współczująco jego śladem. -

Fafizm! Co ci daje frawo do tego dziecka?

—  
—  
Ona mówi, Gaja jej kazała. Ona mdwi, że ona robi o wiele lepszą robotę niż ty i  
twoi popaprańcy.

—  
Ale anioły. Ja... - Luter urwał, wściekły, i bezsilny, bo prawie dopuścił się  
kolejnego bluźnierstwa.

Dlaczego Gaja dała jej aniołdw? Luter nie miał aniołów. Nigdy nie miał żadnych  
aniołdw, nigdy nawet nie mdgł powiedzieć, że dostanie jakieś anioły.

- To się nie uda - spróbował. - Twój anioł nie dotrze do Fandeloniuh.

Chłopiec popatrzył znowu na dłonie Kali.

- Ona mdwi, że się uda. Ona mdwi, że ma kupę aniołdw.

Ona mówi, że ma tyle, że może polegać na tym małym skurwielu przez całą drogę do  
Pandemonium. Ona mówi, że może byś chciał trochę soku z jej wielkiej, soczystej...

Luter zaskrzeczał i uderzył chłopca. Chłopiec przyjął to tak, jak przyjmował wszystko w ciągu ostatnich dwóch lat, nawet na moment nie odrywając wzroku od rąk Kali, ani na moment nie przestając ciskać soczystych przekleństw. Nauczył się, że niczyje traktowanie nie mogło się równać z tym, co go spotykało ze strony Kali.

Mylił się. Luter zamierzył się na niego krzyżem i chłopiec umarł w jednej chwili.

Potem zaatakował Kali, a apostołowie poszli jego śladem. Nie stawiała oporu, gdy rzucili się na nią wszyscy jednocześnie. Leżała na grzbiecie i bulgotała z zadowoleniem, a jej śmiech jeszcze bardziej rozwścieczał Lutra...

Do momentu, w którym zauważył, że wszyscy jego apostołowie nie żyją.

Dwanaście

Zebrali się w pokoju, z którego porwano Adama.

Conal obserwował ich, jak wchodzili, jedno po drugim. Nadal potwornie bolała go głowa, ale to był drobiazg w porównaniu z przepelniającym go uczuciem strachu.

Trzy tytanie były mokre, ale nie dbały o to. Cirocco była mokra i też zdawała się tego nie zauważać. Chris wycierał się ręcznikiem. Wyglądał na wyczerpanego i nieobecnego.

Conal nie zdawał sobie sprawy, przez jakie piekło przechodzi Chris, ale jego twarz mówiła wystarczająco dużo.

Robin była mokra i drżała. Chris podał jej ręcznik, kiedy sam skończył się wycierać.

Nova...

Nadal była ubrana w kurtkę Conala. Przytrzymała ją na ramionach jedną ręką,

drząc równie silnie, jak jej matka. I chociaż miała na sobie tę kurtkę, nie starała się osłonić zbyt dokładnie. Kurtka i tak sięgała jej zaledwie do pasa, więc nie przydawała się na wiele, a po za tym Nova podawała jedną z rąk Rocky'emu, który ją opatrywał; zupełnie nie

przejmowała się, że widać jej jedną pierś.

Nova zdawała się zupełnie nie wstydzić nagości. Conal przywykł do takich widoków

przy Cirocco i widywał je wielokrotnie w Bellinzonie. Jednak w przypadku nowo przybyłych było to dla niego zawsze niezwykle.

Przypomniawszy sobie, jak ją tulił do siebie w sypialni. Była to chwila, której nie miał zamiaru zapomnieć. Teraz też nie potrafił oderwać od niej wzroku.

—  
To będzie bardzo bolało - powiedział Rocky.

—  
Lekarze nie mówią takich rzeczy - zauważyła Nova. - Obiecują raczej, że nie będzie bolało.

—  
Nie jestem lekarzem. Jestem uzdrowicielem i mówię, że to będzie bardzo bolało.

Rocky polał rany Novy płynem antyseptycznym i zaczął je oczyszczać. Jej twarz zastygła, potem zrobiła się bardzo brzydka, ale z gardła dziewczyny nie wyrwał się nawet jęk.

Conal pomyślał, że jest głupia. Jemu też kiedyś opatrywano rany po zombie. Rocky musiał grzebać w nich bardzo głęboko, aby się upewnić, że usunął wszystkie cząsteczki rozkładu. Już sam oddech zombie wystarczał, by wylądować na tydzień w łóżku. Dać się tak pokaleczyć jak Nova...

Musiał odwrócić wzrok. Nigdy nie miał zbyt silnego żołądka.

Nieruchoma jak głaz Cirocco czekała, aż wszyscy się zbiorą. Kiedy już przyszli, nie marnowała czasu.

- Kto był w pokoju z Adamem, kiedy go porwano? - zapytała.

Conalowi zamarło serce.

Zauważył, że Chris się rozgląda, marszcząc brwi i próbując wszystko poukładać.

- Ja i Robin byliśmy w pokoju czarownic - powiedział.

Kiedy tu przyszedłem...

—  
Zadaję proste pytanie - przerwała mu Cirocco. - Chcę tylko wiedzieć, kto tam był.

Musimy od czegoś zacząć.

—  
Nikogo tam nie było - powiedział Conal i z trudem przełknął ślinę.



Ciocco odwróciła się, by spojrzeć na niego.

- A skąd to wiesz?

- Bo kiedy usłyszałem krzyk, pobiegłem na górę...

Ciocco nie odrywała od niego wzroku. Nie była w nastroju do marnowania czasu, więc jej spojrzenie nie mogło trwać dłużej niż dwie sekundy, ale każda z tych sekund zdawała się trwać dłużej niż dwadzieścia lat.

—

Powiedziałam ci, że masz go pilnować za wszelką cenę - powiedziała

beznamiętnym tonem. Na chwilę otworzyły się drzwiczki, za którymi płonęły dwa bliźniacze piece hutnicze. Potem odwróciła wzrok i Conal mógł na powrót oddychać.

—

To nie fair, Ciocco. Co niby miał zrobić Conal, kiedy usłyszał krzyk Novy?

Zlekceważyć go? Nie było sposobu... - powiedział Chris.

Wówczas Ciocco spojrzała na Chrisa, a ten natychmiast raptownie zamilkł.

- Nie marnuj mojego czasu, Chris. Możemy podyskutować o sprawiedliwości kiedy indziej.

Racja, pomyślał Conal. Nikt ci nie powiedział, że tu będzie sprawiedliwie. Próbujesz zrozumieć najstarszą, najgorszą, najbardziej owładniętą paranoją istotę ludzką w układzie słonecznym... i usiłujesz doszukać się tego, co zostało w niej z człowieka.

—

Ciocco, a co z Novą? - spytała Robin. - Chris nie mógł...

—

Zamknij się, Robin.

—

Kapitanie - zaczął Rocky.

—

- Zamknij się, Rocky.

Kilkoro ludzi, łącznie z Novą, zaczęło mdwić jednocześnie.

- Zamknijcie się.

Cirocco właściwie nie podnosiła głosu, ale robiła z nim coś takiego, że nikt nie potrafił się z nią sprzeczać. I nie czekała, aż umilkną. Cisza zapadła, a ona już mówiła.

- Wiem, jak szybko potrafi latać anioł - powiedziała.

- Nie widziałam tamtego zbyt dobrze, by móc określić, z jakiego klanu się wywodzi. Jest dwadzieścia pięć gatunków aniołów i wszystkie nienawidzą siebie nawzajem, więc można by zdobyć pomoc od innego gatunku. Nie są w stanie zalecieć zbyt daleko. Możemy założyć, że ten kieruje się do Pandemonium, więc...

- Dlaczego więc nie dać mu polecieć? - mruknęła Nova.

Cirocco zrobiła dwa szybkie kroki i uderzyła Novę w twarz tak silnie, że dziewczyna upadła na podłogę. Usiadła z zakrwawionymi ustami, a Girocco wymierzyła w nią palec.

- Dziecko, dokładnie wiem, czego się po tobie spodziewać.

To jest moje pierwsze i ostatnie ostrzeżenie. Dorośniesz jak najprędzej i przyłączysz się do ludzkiej rasy albo zabiję cię przypadkiem, choć za nic nie chciałabym tego robić, bo Robin jest moją przyjaciółką. Będziemy teraz rozmawiać o tym, jak uratować życie pewnemu człowiekowi, który przypadkiem jest twoim bratem, a ty będziesz się odzywać tylko wtedy, kiedy się ciebie o to poprosi.

Cirocco znowu nie podniosła głosu. Zresztą właściwie nie było takiej potrzeby. Nova leżała na boku, oszołomiona, a nastrój panujący w jej duszy dalece przekraczał zwykłe upokorzenie. Kiedy upadała, kurtka Conala zsunęła się z jej ciała. Kilka minut wcześniej Conal byłby tym mocno zainteresowany, ale teraz mógł ją tylko oszczędzić i nie patrzeć, kiedy Rocky pomagał jej wstać. Girocco potrzebowała go, Nova zaś stała się tylko jeszcze jednym osiłkiem i to na dodatek głupim.

- Za tym stoi Gaja. Gaby ostrzegła mnie, że to dziecko jest ważne. Nie wiem, dlaczego Gaja chce je mieć. Prawdopodobnie, żeby mnie sprowokować do walki, co usiłuje zrobić od lat. Ale Gaja jeszcze go nie ma. Jest w Hyperionie, czyli najdalej stąd, jak tylko można. Jest coś, co muszę wiedzieć. Chris, czy kiedy wszedłeś do pokoju Novy, zombie już nie żył?

—

Zgadza się.

—

A ten na korytarzu...

—

Kiedy wchodziłem, nie było go tam, a kiedy wyszedłem, leżał już na podłodze.

—

Czy któreś z was go zabiło? - Cirocco omiotła ich wzrokiem i wszyscy dali do zrozumienia, że to nie oni.

—

Ten w pokoju muzycznym. Opowiedz mi o nim.

—

Już się szykowałem do walki, ale on zwyczajnie upadł.

—

Ale ten z Adamem uciekł. - Odwróciła się w stronę Novy. - Coś ty zrobiła temu pierwszemu?

—

Strzeliłam do niego - wyszeptała Nova. - Strzeliłam... trzy razy.

—

To nie mogło go zabić. Co zrobiłaś potem?

—

Rzuciłam w niego pistoletem. Cirocco czekała.

—

Rzuciłam łóżkiem. Potem innymi rzeczami.

Nova wzruszyła ramionami, wyczerpawszy listę. Wydawała się być pogrążona w szoku.

—

Wazonem, lampą, ty... - Nagle cała krew odpłynęła z jej twarzy.

—

Czym? - zaatakowała ją Cirocco.

—

Cz-cz-czymś, co zrobiłam.

—

Nie będę cię już biła, Nova, ale powiesz mi, co zrobiłaś. Szept Novy był nieomal niesłyszalny.

—

...eliksir miłości...

- Pożyczyła kilka składników z kuchni - dopowiedział Serpent.

Cirocco odwróciła się od nich i przez kilka sekund milczała. Nikt się nie ruszał.

Odwróciła się wreszcie.

- Chris - powiedziała, wskazując na niego. - Radia.

Trzy. Przynieś je tutaj, a potem przyjdź po mnie do jaskini.

Chris wybiegł bez słowa.

- Valiha. Weź jedno radio i pędź jak najszybciej do Bellinzony. Wyślij ogólne

wezwanie do wszystkich tytani, które wciąż ufają swojej Czarodziejce. Chcę żywych zombie, tyłu, ilu jesteś w stanie zebrać. Nie ryzykuj życiem podczas ich łapania i utrzymuj ze mną łączność radiową.

—

Tak jest, Kapitanie.

—

Rocky, zostaniesz tutaj. Może będę miała następne instrukcje, kiedy się dowiemy, jak chcą dostarczyć Adama do Pandemonium.

—

Tak jest, Kapitanie.

—  
Serpent. Jak tylko weźmiesz swoje radio, udasz się na zachód, oszczędzając siły.

Nie jesteś w stanie prześcignąć anioła, ale będziemy próbowali kierować tobą z powietrza.

Zabierz broń.

—  
Tak jest, Kapitanie.

—  
Conal, ty pojedziesz ze mną. Robin, Nova, możecie jechać ze mną albo zostać tutaj, jak chcecie.

Już miała wyjść z pokoju, kiedy niechcący kopnęła jajo tytanii, którym bawił się

Adam. Zamarła, po czym podeszła powoli do ściany, pod którą leżało, pochyliła się i podniosła je do góry.

Cirocco przystawiła jajko do światła, przyjrzała mu się i po raz pierwszy, odkąd ktokolwiek pamiętał, Czarodziejka wyglądała na zaszokowaną. Jajko było przezroczyste.

Upuściła je i przez chwilę stała ze zwieszonymi ramionami.

- Rocky - powiedziała. - Pozbieraj wszystkie te jajka. Upewnij się, że wybierałeś wszystkie. Zniszcz wszystkie meble, porozdzieraj poduszki, ale nie przeocz żadnego. Chris poda mi ich liczbę przez radio, kiedy już stąd odejdziemy.

Kiedy już będziesz pewien, że znalazłeś wszystkie, zniszcz je.

Wymagało to wielkiego wysiłku, ale Cirocco udało się przestać myśleć o jajkach tytanii i powrócić do bieżących problemów.

Zarówno Robin jak i Nova postanowiły przyłączyć się do niej. Nie próbowała im tego wyperswadować ani też nie kwestionowała ich motywów. Poszły w ślad za nią przez dżunglę i wspięły się na wzgórze. Stąd wiodła droga do jaskini.

To zabawne, jak szybko sobie wszystko przypomniała. Nawyk rozkazywania. Na

samym początku uważała, że jest to coś, do czego nie ma wrodzonego talentu, i że w jej epoce jest już bardzo niewiele kobiecych wzorców godnych naśladowania, i dlatego

pracowała mozolnie, aby się nauczyć, jak to się robi. Rozmawiała z tysiącami starszych ludzi, z kapitanami marynarki, którzy dowodzili statkami jeszcze w czasie Pierwszej Wojny Nuklearnej. Potem poznała kapitanów statków kosmicznych i całą nową tradycję, nowe sposoby postępowania... tak bardzo jednak podobne. Ludzie wciąż byli ludźmi. Może nieco chętniej pozwalali kobiecie dowodzić niż to było w 1944, ale problemy z zapewnieniem automatycznego posłuszeństwa i zasłużeniem sobie na szacunek, który wykształciłby silną, zjednoczoną i lojalną załogę, były mniej więcej takie same jak przedtem.

Były tysiące rzeczy, których można się było nauczyć, miliardy sposobów zdobywania tej nieprawdopodobnej pozycji, dzięki której mężczyźni i kobiety chcieli słuchać twoich rozkazów. NASA sponsorowała kursy zarządzania i Cirocco ukończyła je wszystkie. Czytała też autobiografie wielkich przywódców.

Była skrycie przekonana, że nie ma żadnego talentu do dowodzenia. Wszystko to było grą pozorów, ale jeśli się w nią grało przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, nigdy nie znajdował się nikt mądrzejszy.

Straciła swoją pierwszą załogę. Potem już nigdy nie potrafiła zorganizować ocalałych w funkcjonujący zespół. Wszyscy rozeszli się własnymi drogami - wszyscy prócz Gaby i Billa - i przez wiele lat żyła z głębokim uczuciem porażki.

W NASA zapanowało poruszenie, kiedy tylko dwoje ludzi z siedmioosobowej załogi

“Ringmastera” zdołano przekonać do powrotu na Ziemię, i irytacja, kiedy się dowiedziano, że wśród pięciorga dezertersów jest Kapitan. Jednakże NASA była cywilizowaną organizacją i po wywiązaniu się z należnych jej obowiązków, to znaczy głośząc wszem i wobec, że

kierownictwo wie, co się stało i dlaczego, poczuła się usprawiedliwiona w rezygnacji z nadzorowania miejscem, które przedtem sama wybrała.

Pomimo najlepszych chęci NASA nie mogła jej oddać pod sąd wojenny, nawet in

absentia. Zorganizowała natomiast sąd cywilny, co pociągnęło za sobą powołanie kilkunastu komisji i organów śledczych.

Miała prawie całe stulecie na przemyślenie wszystkiego. Przez ten czas dużo się

zastanawiała nad dowodzeniem. Doszła do wniosku, że istnieją różne typy przywódców.

Niektórzy są dobrzy, a niektórzy źli. Prawdopodobnie miała rację, że są tacy przywódcy, którzy nigdy nie mają tych wątpliwości, jakich ona doświadczyła, którzy są absolutnie pewni siebie i wszystkiego, co robią. To egomaniacy, mono-maniacy, megalomani - Attylla, Aleksander, Karol Wielki, Mussolini, Patton, Sułow - ludzie ulegli obsesjom, zaślepieni, często psychotycy i paranoicy. Potrafili nawet być dobrymi przywódcami, ale Cirocco uważała, że ogólnie rzecz biorąc, świat staje się gorszy, kiedy oni odciskają na nim swoje piętno.

Od dziesięcioleci Cirocco została zwolniona z tego rodzaju odpowiedzialności. Była urzeczona tym, że nikt nie jest już od niej uzależniony i że sama nie zależy od nikogo. Jej jedynym obowiązkiem przez ostatnie dwadzieścia lat było utrzymanie się przy życiu, nieomal za wszelką cenę. Być może teraz wszystko to miało się zmienić.

Kiedy jednak powstała taka potrzeba, z satysfakcją odkryła, jak szybko jest w stanie przestawić się na inny tryb.

Chris dogonił ich, kiedy już docierali do jaskini.

Jaskinia była położona wysoko, miała szerokie i głębokie wnętrza: znakomite miejsce do przechowywania części arsenału Cirocco. Wydawało się, że stoi otworem dla każdego, że nic jej nie strzeże, a tak naprawdę byli przy niej ustawieni strażnicy, ukryci tak dobrze, że intruz mógł wejść na któregoś z nich i wcale go nie zauważyć. Cirocco wyszukała te stworzenia w Rei, gdzie kiedyś strzegły starożytnego idola, i nauczyła się, jak

przeprogramować ich mało skomplikowane mózgi, aby zaspokajały jej potrzeby. Strażnicy ignorowali tytanie. Natomiast każdy człowiek, który usiłowałby wejść do jaskini podczas nieobecności Chrisa lub Cirocco, pożegnałby się z życiem.

Wewnątrz znajdowały się samoloty. Kiedyś było ich sześć, ale trzy z nich

przeznaczono na części, dzięki którym mogły funkcjonować pozostałe. Dwadzieścia lat wcześniej, kiedy Cirocco je kupiła i nakazała przysłać na Gaję, były supernowoczesne.

Podczas minionych trzydziestu lat prezentowany przez nie poziom techniki zasadniczo nie zmienił się, także podczas wojny. Były to niewiarygodnie doskonałe samoloty, które do niezgrabnych dinozaurów, na jakich Cirocco uczyła się pilotażu, miały się tak, jak maszyna Braci Wright do odrzutowca, choć dla niedoświadczonego obserwatora różnice te nie były aż tak oczywiste. Cirocco ruszyła przodem.

—  
Kiedy ostatni raz je wyprowadzałeś, Chris? - spytała.

—  
Jakiś kiloobrot temu, Kapitanie. Zgodnie z twoim harmonogramem. W Dwójce i

Czwórce nie znalazłem żadnych usterek, ale Ósemka wymaga pewnych napraw.

—  
Nieważne. Nie będziemy jej potrzebować. Robin, Nova, czy któraś z was umie

latać?

—  
Latać samolotem? - spytała Robin. - Niestety, Kapitanie.

—  
Nie musicie tak przesadzać z tym Kapitanem.

—  
U siebie... w domu, latałam..

—  
Mów głośniej, dziecko. Już ci więcej nie zrobię krzywdy, obiecuję.

—  
Trochę latałam - powiedziała prawie szeptem Nova. - Mieliśmy szybowce,  
wylatywaliśmy po osi i...

—  
Słyszałam o tym - powiedziała Cirocco. Zastanawiała się nad tym, cały czas  
obchodząc Ważkę Dwa, która była mniejsza od pozostałych samolotów i już ustawiona na wyrzutni. -  
To lepsze niż nic. Conal, ty polecisz tą Ważką, a Nova będzie ci towarzyszyć. W

wolnych chwilach zapoznaj ją z zasadami obsługi. Wsiądź teraz do środka, rozgrzej ją i skontroluj  
wszystko. Chris, zmontuj wyposażenie ratunkowe dla pięciu osób. Komplet podstawowy, zapas  
żywności, ręczna broń, strzelby, ubrania. I wszystko, co uznasz za przydatne, a co nie waży zbyt  
wiele.

—  
Kamizelki kuloodporne? - spytał Chris.

Cirocco zatrzymała się, już miała coś powiedzieć, ale potem posłuchała głosu  
rozsądku.

- Tak. Nova może założyć jedną z moich. Znajdź jak najmniejszą dla Robin i...

- Rozumiem - powiedział. Obserwował ją zmrużonymi oczyma. - A co z działami?

Załadować?



Cirocco spojrzała na Ważkę, do której przezroczystych skrzydeł były przymocowane karabiny maszynowe ciężkiego kalibru.

- Tak. Ja się za to wezmę. Robin, pomóż mu.

Wzięła dwa magazynki i załadowała je, słysząc, jak Conal przeprowadza kontrolę radiową z tytaniumi. Zamknęła z trzaskiem pokrywy, a tymczasem Chris i Robin układali sprzęt w przestrzeni za siedzeniami.

- Usunąć się z drogi! - zawołał Conal. Wystrzelił próbną serię z każdego działa. W jaskini zrobiło się dość głośno.

Cirocco przeciągnęła wąż po podłożu jaskini, przymocowała go do kadłuba samolotu, a potem patrzyła, jak wielki, składany zbiornik wypełnia się paliwem.

—  
Wsiadaj - powiedziała do Novy.

—  
Gdzie mam stanąć?

—  
Obojętnie. Ten pojazd jest o wiele mocniejszy, niż się wydaje. - Rozumiała obawy

Novy. Kiedy Cirocco po raz pierwszy zobaczyła Ważki, pomyślała, że zrobiła jakiś potworny błąd. Miało się wrażenie, że zostały wykonane z celofanu i wieszaków do ubrań. Nova wsiadła do środka i Cirocco zatrzasnęła za nią drzwi. Patrzyła, jak Conal pokazuje jej, jak zapiąć pasy.

—  
Z drogi! - krzyknął ponownie Conal, ledwie słyszalny z zamkniętej kabiny.

Silnik zaskoczył. Był doskonale widoczny w przezroczystym kadłubie: miał mniej

więcej metr długości i osiem cali średnicy. Laikowi mógł się wydać równie prosty i nieskomplikowany jak palnik Bunsena. Częściowo była to prawda, ale zwodnicza. W silniku nie było prawie wcale metalu, ponieważ był zbudowany z ceramiki, zwojów węglowych i plastiku. Jego turbina obracała się z prędkością, której nie można byłoby uzyskać bez zero g i przy temperaturach, od których wszystko, czego używano w czasach, gdy Cirocco była młoda, natychmiast by wyparowało.

Samolot wypłuł z siebie obłoczek dymu i silnik zmienił nagle barwę z czerwonej,

przez pomarańczową, do ognistej żółtej. Conal nacisnął przycisk zwalniający wyrzutnię i Ważka została wystrzelona w powietrze. Po dwustu metrach zawróciła i skierowała się prosto ku niebu.

—  
Pomóżcie mi - powiedziała Cirocco. Robin i Chris chwycili w odpowiednim

miejscu drugi czubek skrzydła oraz ogon Ważki Cztery. Unieśli ją bez trudu i przenieśli na wyrzutnię. Chris tankował, a Robin pakowała sprzęt. Cirocco usiadła w fotelu pilota w celu dokonania kontroli. Czwórka była nie uzbrojona. Cirocco niepokoiła się tym przez chwilę, po czym przestała o tym myśleć. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jaki mogą mieć pożytek z uzbrojenia Dwójki, ale postępowała zgodnie z zasadą, że jeśli już coś się ma, to głupotą byłoby tego nie wykorzystać.

—  
Conal, słyszysz mnie?

—  
Głośno i wyraźnie, Kapitanie.

—  
Gdzie jesteś?

—  
Odlatuję na wschód od Junction, Kapitanie.

—  
Nazywaj mnie Cirocco i zachowaj obecny kurs przy wysokości pięciu tysięcy, dopóki nie otrzymasz kolejnego komunikatu.

—  
Okay, Cirocco.

—  
Valiha, Rocky, Serpent, słyszycie mnie?

Wszyscy potwierdzili, a Cirocco kazała Novie podać Rocky'emu przez radio przepis i składniki jej eliksiru miłosnego. Kiedy samolot został napełniony paliwem i załadowany, Chris wspiął się na dwa tylne siedzenia, a Robin usiadła obok Cirocco, która uruchomiła silniki.

Kiedy siła ciągu była już prawidłowa, odwróciła się do Robin.

- Oprzyj głowę o oparcie - powiedziała. - Ta maszyna trochę szarpie.

I wyruszyli.

Trzynaście

Cirocco nauczyła Conala latać wkrótce po jego przybyciu na Gaję. Był bardzo dobrym lotnikiem, ponadto sprawiało mu to wielką przyjemność.

Latanie na Ważce nie było wcale takie trudne. W zwykłych lotach między dwoma

miejskami były w stanie odlatywać, nawigować i lądować samodzielnie. Nie potrzebowały pasów startowych i nie musiano ich wspomagać z ziemi, chyba że potrzebowały okresowego tankowania. Każdy, kto kiedykolwiek latał piper cubem, już po kilku minutach czuł się swojsko w Ważce, mimo że brak przyrządów mógł go zaniepokoić. Ważka miała w pewnym sensie tylko jeden przyrząd: ekran komputerowy. Pojedyncza klawiatura po prawej stronie pilota wskazywała wszelkie potrzebne informacje, czyli obraz mózgu samolotu, co sekundę przeprowadzając kontrolę danych pięćdziesiąt tysięcy razy, dzięki czemu pilot wiedział o każdej sytuacji krytycznej i mógł zapanować nad sytuacją. Ważka była ponadto wyposażona w radar naziemny i powietrzny, a także wszelkie niezbędne urządzenia radiowe. Girocco zamieniła kompas na trackery bezwładnościowe.

Natomiast pedały sterowania kierunkowego i drążek były takie same, jakich na Ziemi używano przez ponad półtora stulecia. Conal wykorzystał czas oczekiwania na Girocco, aby pokazać Nowie, jak się nimi posługiwać. Wysłuchała go uważnie i kiedy przekazał jej stery, wykonała wszystkie czynności prawidłowo.

Kiedy Czwórka wystartowała, aby ich dogonić, Conal poczekał na nią, potem zrównał

się z większym samolotem, by wreszcie odbić w prawo i pozostać nieco z tyłu.

- Plan jest następujący - powiedziała Girocco. - Radar działa na odległość trzydziestu kilometrów we wszystkich kierunkach. Anioł robi siedemdziesiąt kilometrów na godzinę i może utrzymywać taką prędkość przez jakieś dwie godziny. Leci już od niecałej godziny.

Zakładamy, że kieruje się do Pandemonium, które obecnie znajduje się w południowym Hyperionie. Musimy się wznieść na wysokość dwudziestu, to znaczy dwa zero, kilometrów i odbić od siebie na odległość pięćdziesięciu kilometrów w tym samym kierunku. Przez następne trzydzieści minut będziemy lecieć z prędkością jeden dwa zero kilometrów na godzinę i liczyć na to, że dzięki temu pozostaniemy na obszarze jego lotu. Potem zwolnimy do sześćdziesięciu i postaramy się go namierzyć radarem. Jeśli to nie pomoże, wówczas wystartujemy do przodu z dużą prędkością i będziemy lecieć dopóty, dopóki się nie

upewnimy, że go wyprzedziliśmy, i wówczas przeprowadzimy poszukiwania po przekątnej jego domniemanego toru lotu, aż go nie znajdziemy albo któreś z nas nie wymyśli czegoś lepszego. Jakies uwagi?

Conal skomentował to na swój skomplikowany, ale metodyczny sposób. Cirocco nie przerywała mu. Zdawał sobie sprawę, że oprócz Chrisa - z którym już to omówiła - wiedział o Gai więcej niż ktokolwiek inny.

---

A jeśli będzie leciał wyżej? - powiedział na końcu Conal. - Czy poszukiwania nie powinny być nie tylko poziome, ale i pionowe?

---

Zakładam, że będzie leciał dość nisko.

Conal przemyślał również tę kwestię i nie był pewien, czy to jest dobre założenie.

Anioły może nie lubią obijać się o zakrzywione sklepienie obręczy, ale - zmuszone - potrafią to robić. Cirocco najwyraźniej liczyła, że tego anioła zmieni jakiś inny, ponieważ żadne z tych stworzeń nie byłoby w stanie przenieść Adama z Dione do Hyperionu. Prawdopodobnie sądziła też, że następni tragarze ukryją się gdzieś na zewnętrznym pierścieniu Gai.

Jednakże Gaja nie była normalnym miejscem do latania. Można się było wspiąć na pełne sto pięćdziesiąt kilometrów, zanim dotarło się do sklepienia. A jeśli się leciało przez szprychę, można się było wznieść jeszcze wyżej. Jeśli anioł leciał na wysokości

sześćdziesięciu kilometrów, wówczas mogli przelecieć pod nim i wcale go nie zauważyć.

---

Jesteśmy w połowie drogi do Hyperionu - zauważył Conal. - Równie dobrze mógł polecieć w górę szprychy, pokonać piastę i znowu polecieć w dół.

---

Masz absolutną rację, Conal - odpowiedziała Cirocco. - Na razie jednak zakładam, że leci po obręczy. Jeśli go nie znajdziemy przez następne dwa lub trzy obroty, możemy przeanalizować to wszystko powtórnie.

---

Ty tu dowodzisz - powiedział Conal.

---

Tak, ale donoś mi o wszystkich swoich pomysłach. A poza tym za kilka chwil

mam zamiar dokonać małego oszustwa.

Conal widział po minie Novy, że dziewczyna nie ma pojęcia, o czym mówi Kapitan.

Conal domyślał się tego, ale trzymał język za zębami.

—

Prognoza pogody - powiedział komputer. - Wchodzicie w obszar, na którym spore

zakłócenia... - Conal nacisnął przycisk kasowania i komputer się zamknął.

—

O co tu chodzi? - spytała Nova. Conal spojrział na nią przelotnie. Wydawało się, że dziewczyna czuje się lepiej. Na pewno czuje się lepiej, pomyślał, skoro chce z nim rozmawiać. Nie uśmiechała mu się dłuższa podróż w niewielkiej przestrzeni z kimś, kto go nienawidzi.

—

Mózg ma w głowie model Gai - wyjaśnił, wywołując na ekranie boczny rzut

świata-koła. - Ten samolot i pozostałe znają ten model i wynotowują miejsca, gdzie występuje wysokie prawdopodobieństwo burz w oparciu o uprzednie doświadczenia. Zazwyczaj są z tym kłopoty.

—

To chyba się rzeczywiście przydaje.

—

Nie za bardzo. Spójrz. - Powiększył fragment obręczy koła, w którym leżała Dione,

pokazując górną część szprychy. Na dole obrazu zamigotały dwa niebieskie punkty

oznakowane liczbami 2 i 4. - To my - powiedział, wskazując dwójkę. - Lecimy w stronę Japetosa i zbliżamy się do strefy zmierzchu, co oznacza, że od ziemi leci ku nam cieplejsze powietrze. Kiedy powietrze podnosi się na Gai, miesza się z masami powietrza, które przemieszczają się wolniej, ponieważ są bliżej piasty. Potem się kotłują jak fale na morzu. W

wyniku tego w strefie przejściowej występuje mnóstwo szybkich prądów powietrza idących ku dołowi.

Spojrzał na nią, by sprawdzić, czy zrozumiała. Wyjaśnianie tego zabrało mu trochę

czasu, bo wciąż myślał w ziemskich kategoriach. Porównywalnym efektem na Ziemi była rotacja masy powietrza spowodowana przez północno-południowe prądy i uzależniona od faktu, że powietrze na równiku poruszało się szybciej wraz z obrotami planety niż powietrze na północy czy południu. Jeśli ten efekt stawał się wyjątkowo intensywny, tworzył się huragan.

---

Jasne - powiedziała. - Efekt coriolisa. U nas zawsze bierze się go pod uwagę podczas szybowania.

---

Tutaj nie jest taki straszny. Gaja jest znacznie większa od Kongregacji. Nie muszę o tym myśleć, kiedy lecę samolotem, ale komputer bierze to pod uwagę przy nawigowaniu. -

Wskazał ponownie ekran. - Chodzi o to, że na Gai pogoda jest dość regularna. Złą pogodę wywołują szprychy. Gaja wsysa dużo powietrza, przepuszcza je z jednej piasty do drugiej i potem pozwala mu wypaść na obszar nocy. Wszystko to przebiega zgodnie ze schematem.

Właśnie to mówi mi komputer: wchodzę w linię graniczną między dniem i nocą, czyli że wychodzę spod szprychy, a to oznacza, że możemy się spodziewać wstrząsów. I właśnie to -

wskazał monstrualny wlot górującej nad nimi Szprychy Dione - łatwo tu zauważyć.

Nie odezwała się, ale rozglądała się na boki, przyglądając się zarysowi szprychy i zakrzywionemu sklepieniu, które wyginało się w łuk nad Japetosem, porównując je z

modelem na ekranie. Conal wiedział, że potrzeba dłuższego czasu, żeby się przyzwyczaić do wymyślnej geometrii Gai. Stanie na rozpędzonej obręczy i podziwianie widoku okiem

mrówki było czymś zupełnie innym niż studiowanie mapy.

---

Rozumiem teraz, na czym polega szukanie anioła - powiedziała wreszcie. - Ale

dlaczego on nie poleciał tak wysoko, żebyśmy nie mogli go znaleźć? Tą drogą byłby też szybciej.

---

Wszystkie powietrzne odległości na Gai są krótsze od naziemnych - powiedział. -

A gdybyś chciała przenieść się z Dione do Rei wokół całego koła, najkrótsza droga

wypadłaby w górę szprychy, przez piastę i potem w dół szprychy Rei. Tak jest łatwiej, bo robisz się wtedy lżejsza. A kiedy już jesteś w piastce, to już potem cały czas masz z góry.

—  
Dlaczego Cirocco uważa, że on tak nie zrobi?

—  
Z kilku powodów. W poszczególnych szprychach żyją różne gatunki aniołów. Nie

lubią się nawzajem i są zazdrosne o swoje terytoria. Niezależnie od tego, z którego ten jest gatunku, musiałyby przelecieć przez nieprzyjazne terytorium, gdyby się przedzierał przez dwie szprychy. Mogłyby go zabić, miałyby też mnóstwo problemów ze zdobyciem pożywienia.

Lepiej mu się żeruje na obręczy. Jego zmiennikom też będzie łatwiej ukryć się na obręczy, gdzie inne gatunki nie mają prawa do zakładania gniazd.

- Dlaczego zakładacie, że on poleci do Hyperionu?

Conal wzruszył ramionami.

- Musiałabyś o to zapytać Kapitana. Ona wie różne dziwne rzeczy, o których nie zawsze mi mówi. Poza tym ten anioł, który pochwyił Adama, był dla niej cholerną niespodzianką, tyle ci mogę powiedzieć.

Znajdowali się na zachodnim krańcu Japetosa, kiedy Ci-rocco dała rozkaz, że mają ograniczyć prędkość. Samolot Co-nala znajdował się daleko na północy, niewidoczny dla oka, ale na mapie wykreślonej przez komputer pokonany przez niego dystans stale się powiększał.

Kiedy użyli trójwymiarowego obrazu, Robin z trudem ukryła rozczarowanie.

W tym modelu graficznym obręcz Gai wyglądała jak łagodnie zakrzywiona rura.

Granice obszaru, po którym potencjalnie mógł poruszać się anioł, utworzyły półkulę, w której centrum znajdowało się Tuxedo Junction. Zakres poszukiwań dokonywanych przez samoloty stanowił przedłużoną tubę o szerokości stu i wysokości pięćdziesięciu kilometrów. To wydawało się niewiele w porównaniu z obszarem, w którym anioł mógł się znajdować. Ponad nimi było tyle przestrzeni, a za nimi jeszcze więcej.

—  
Nie jest aż tak źle, jak wygląda - powiedziała Ciroc-co. - Mam zamiar zatrzymać

się tu na moment i mam nadzieję, że anioł się gdzieś tu pokaże. Jeśli go jednak nie zobaczymy w ciągu godziny, zwiększę prędkość i zaczniemy krzyżować tory naszych

maszyn. W ten sposób ogarniemy prawie całą przestrzeń powietrzną.

—  
A jeśli leci w stronę Metis?

—  
To wykluczone. Ale jeśli w ciągu czterech czy pięciu godzin nadal nie będziemy nic wiedzieli, poślę w tamtym kierunku Conalą.

—  
—  
A szprycha? - spytał Chris.

—  
To byłby taki koszmar logistyczny, że go wykluczyłam. Robin wpatrywała się w rozległe połacie lasu pod nimi.

—  
A jeśli on po prostu... usiądzie tam, wśród krzaków?

- Jeśli tak zrobi, to już niewiele nam zostanie do zrobienia.

Pożałowała, że zadała to pytanie.

- Ale - kontynuowała Cirocco - on tego nie zrobi.

Robin zamierzała zapytać Cirocco, skąd jest tego taka pewna, i stwierdziła, że brak jej odwagi. Bardzo pragnęła, by Czarodziejka była czegokolwiek pewna. Obecność kogoś, kto zdawał się wiedzieć, co robić, odrobinę pomagała.

- Podaj mi mój plecak, Chris. Pora na brzydką zabawę.

Plecak miał na sobie niewątpliwe piętno tytanijnego wyrobu i wyglądał jak stary

przyjaciel. Robin patrzyła, jak Cirocco ustawia go na przezroczystej podłodze pod swoimi stopami, otwiera i wyciąga mały szklany słoik z metalową zakrętką. Na jego dnie leżało coś białego i długiego. Stworzenie podniosło łeb i zamrugnęło.

- Cóż to jest, na dziewięć miliardów perwersji chrześcijaństwa? - spytała Robin.



Cirocco spojrzała na nią przepaszajaco.

- To jest coś, o czym ci nie powiedziałam przy fontannie, ale sprawy potoczyły się już tak daleko, że nie możemy mieć przed sobą tajemnic. To fragment umysłu Gai. Rocky wyjął

to z mojej głowy jakieś pięć lat temu. Jednym słowem, jest to mój własny, prywatny demon.

Robin spojrzała na demona. Stworzenie zaczęło się rozwijać.

Przypominało węża obdarzonego dwoma łapami. Żeby utrzymać pozycję pionową,

stało chwiejnie na tych łapach i podpierało się ogonem. Łapy przypominały właściwie ręce zakończone pazurzystymi dłońmi. Jego kark miał cal długości, a ogon około trzech cali i był

opatrzone grubą końcówką. Pod dwojgiem okrągłych, jaszczurczych oczu znajdowały się pełne zadziwiającego wyrazu usta.

Robin pochyliła się i przyjrzała stworzeniu, które wydawało się krzyczeć. Prawie

mogła rozróżnić słowa. Czy ono potrafi mówić po angielsku?

- Czy ono się jakoś nazywa?

Cirocco chrząknęła i Robin spojrzała na nią.

- Właściwie - powiedziała, krzywiąc usta - gdybyś mu się przyjrzała, to byś zobaczyła, że to samiec.

Robin spojrzała ponownie. Wielka Matko, ratuj, to rzeczywiście był samiec.

- Twierdzi, że nie ma imienia - powiedziała Cirocco.

- Kiedy chcę go nazwać jakoś inaczej niż "ty obrzydliwy worze śluzu", mówię na niego Kapuś. - Cirocco energicznie potarła palcem górną wargę i chrząknęła, objawiając wszelkie oznaki zdenerwowania, które Robin uważała za obce jej naturze. Każdy dzień przynosi jakieś niespodzianki, pomyślała Robin. - Widzisz - mówiła dalej Cirocco - ...mhm, sądząc po pozycji, w jakiej się znajdował, kiedy Rocky go znalazł, mhm... można stwierdzić, że on jakby pieprzył mój umysł od jakichś dziewięćdziesięciu lat.

Nie istniał żaden istotny powód, dla którego Gaja musiała uczynić to stworzenie

właśnie samcem, bo i tak miało przeżyć całe życie w głowie Cirocco. Dlatego jego płęć była po prostu złośliwym żartem, a także najbardziej wyjątkowym i obrzydliwym upokorzeniem, jakiego Cirocco mogła kiedykolwiek zaznać.

Cirocco odkręciła pokrywkę słoja i ustawiła go na płaskiej powierzchni tuż nad

ekranem komputera - w miejscu, które nazywała deską rozdzielczą. Kapuś podskoczył do góry,

wystawił łeb ponad krawędź słoja, rozejrzał się dookoła ospale i ziewnął. Podrapał się za uchem jak pies, a potem wtulił głowę w ramiona, przez co wyglądał jak mikroskopijny sęp.

- Napiłbym się czegoś - oświadczył. Robin przypomniała sobie ten głos. - Mówię do ciebie, ty cipo - powiedział.

Cirocco pstryknęła go palcem w głowę. Demon runął z całej siły na przednią szybę i ze skowytom osunął się na deskę. Girocco roztarła jego głowę kciukiem. Robin usłyszała donośny chrzęst. Wielka Matko - pomyślała - ona go zabiła.

Przepraszam - powiedziała Girocco - to jedyny sposób, żeby się z nim dogadać.

Mnie przepraszasz? - pisnęła Robin. - Obedrzyj to żywcem ze skóry i daj robakom na pożarcie. Byłam po prostu zdziwiona, że trzymałaś go pięć lat i dopiero teraz zabiłaś.

- Nic mu nie jest. Nawet nie wiem, czy on się daje zabić.

Podniosła kciuk i Kapuś wstał. Jego głowa była zniekształcona, a z jednego oka kapiała krew.

Robin zauważyła, że głowa wraca do normalnego kształtu, jakby była wykonana z jakiegoś dziwnego plastyku.

- Kogo w tej śmierdzącej norze muszę pogonić, żeby mi dał coś do picia? -

Podskoczył do góry i ponownie usadowił się na krawędzi słoja.

Cirocco znowu sięgnęła do swojego plecaka i wyciągnęła metalową manierkę w

skórzanym pokrowcu. Zdjęła zakrętkę, wyjęła lejek, wbiła go w szyjkę butelki i wytoczyła odrobinę przezroczystego płynu. Kapuś niecierpliwie przeskakiwał z jednej nogi na drugą, potrząsał głową i rozdziawiał usta. Girocco przyłożyła mu do warg lejek i wpuściła do nich jedną kroplę. Przełknął łapczywie i znowu rozdziawił usta.

Na razie tyle - powiedziała Girocco. - Jak się postarasz, dostaniesz więcej.

Co to jest? - spytała Robin. Kapuś przewrócił oczami w jej kierunku.

To spirytus. Kapuś lubi proste alkohole. - Westchnęła. - On jest alkoholikiem,

Robin. Żywi się głównie tym, poza tym codziennie dostaje odrobinę krwi.

Kapuś wskazał Robin ruchem głowy.

- Co to za laska?

Cirocco znowu trzepnęła go po głowie. Kapuś jęknął, a potem szybko umilkł.

—  
Może... - zaczęła Robin, a potem zastanowiła się.

—  
No mów - powiedziała Cirocco.

—  
Mhm... może to właśnie on był przyczyną twojego... problemu.

—  
Nie musisz niczego owijać w bawełnę, Robin. Może to właśnie on robił ze mnie

pijaczkę, czy tak? - Westchnęła i potrząsnęła głową. - Długo się nad tym zastanawiałam. Ale to byłaby tylko próba zwalania na kogoś własnej słabości. Prawdę mówiąc, to ja jestem przyczyną jego problemu. Siedział w mózgu alkoholika tak długo, że się uzależnił. -

Wyprostowała ramiona i pochyliła odrobinę do przodu, patrząc na demona.

—  
No, Kapuś - powiedziała. - Zabawimy się teraz.

—  
Nie znoszę zabaw.

—  
Tę polubisz. Gaja zrobiła coś straszego. Zachichotał.

—  
Wiedziałem, że wydarzy się coś dobrego.

—  
Ale nie pomyślałaś o tym, żeby mnie przestrzec, co? Cóż, może następnym razem

to zrobisz. A stało się mianowicie to, ty jadowity, wredny syfie, że ktoś porwał dziecko. To, że stoi za tym Gaja, jest tak pewne, jak to, że muchy babrają się w gównie, a ty mi powiesz, gdzie jest dziecko.

—  
A może tak pocałujesz mnie w dupę?

Robin przestraszyła się, gdy między nich wdarł się Chris i schwycił w garść małe brzydactwo. Widoczna była tylko jego głowa i toczące dookoła bezradne oczy.

—  
Daj mi go, Kapitanie - powiedział Chris. Mówił niskim głosem. - Myślałem o nim przez ostatnią godzinę i być może wpadłem na parę pomysłów, o których ty jeszcze nie myślałaś.

—  
Chwila, chwila! - wrzasnął Kapuś. - Wiesz, że lepiej pracuję, kiedy mi nie robicie krzywdy, wiesz to, wiesz to!

—  
Zatrzymaj się, Chris - powiedziała Cirocco. Maleńkie oczka powędrowały od

Chrisa do Cirocco i zawróciły. Kapuś czknął głośno, a potem przemówił przymilnym tonem:

—  
Co mnie obchodzi, co Gaja narozrabiała? - powiedział. - Za kilka drinków mógłbym wam pomóc.

—  
Proponuję cztery krople.

—  
Bądź sprawiedliwa - zapiszczał. - I rozsądna. Nie możesz zaprzeczyć, że pracuję najlepiej, kiedy mam trochę wlane.

Ciocco udało, że się zastanawia.

—  
W porządku. Nie pozwoliłeś mi jednak opowiedzieć sobie o grze. Odłóż go, Chris.

- Chris posłuchał jej i Ciocco zapaliła zapalną. Ruszyła w stronę demona i przytrzymała ją w odległości stopy.

—  
Dam ci teraz dwie krople. Potem mi powiesz, gdzie jest dziecko, i polecimy tam.

Jeśli dolecimy w to miejsce i okaże się, że miałeś rację, dam ci jeszcze trzy krople. Jeśli się pomylisz, owinę taką zapalną wokół twojego grzbietu i zapalę ją. Spalają się w ciągu dwudziestu sekund. Potem spróbujesz znowu. Jeśli się znowu pomylisz, dostaniesz kolejną zapalną. Mam około...  
- zjrzała do plecaka - ...około pięćdziesięciu zapalek. Możemy więc bawić się w tę zabawę bardzo, bardzo długo. Albo skończymy ją bardzo szybko.

—  
Szybko, szybko, szyszyszyszybko! - zakwilił Kapuś, podskakując w miejscu.

—  
Okay. Otwieraj paszczę.

Ciocco dała mu dwie krople, które wyraźnie go uspokoiły. I także, o dziwo, zabarwiły. Z początku jego skóra miała odcień raczej chorobliwej, żółtawej bieli. Teraz zaczął różowieć.

Zeskoczył ze skraju słoja i zaczął się przechadzać po desce rozdzielczej. Robin obserwowała go zafascynowana.

Demon chodził tak kilka minut, aż wreszcie zaczął się chwiać, kiedy drinki uderzyły mu do głowy. Coraz częściej jednak spoglądał w stronę jednej części nieba. Wskrabał się na przednią szybę i przycisnął do niej swą odrażającą twarz, jakby chciał widzieć lepiej. W

końcu czknął i wskazał kierunek nogą.

- On jest tammm - powiedział i upadł.

Czternaście

—

Conal, skreć w lewo o dwadzieścia stopni i wznies się na wysokość czterdziestu kilometrów. Zwiększ prędkość do dwa zero zero kilometrów na godzinę.

—  
Dwadzieścia stopni w lewo, czterdzieści, dwieście. W porządku, Kapitanie.

Natychmiast wykonał obrót, zwiększył prędkość i sprawdził, czy samolot wykonuje należycie pozostałe czynności. Jak w zegarku, pomyślał z satysfakcją. Skrzydła samolotu, dotychczas rozwinięte do trzech czwartych swojej powierzchni, kurczyły się i lekko odginały w tył.

—  
Jak sądzisz, dlaczego ona postanowiła to zrobić? - spytała Nova.

—  
Nie wiem - powiedział Conal. Prawdę powiedziawszy, domyślał się, ale

wyjaśnienia byłyby zbyt skomplikowane, a poza tym został poinstruowany, że ma nikomu nic nie mówić o Kapusiu, chyba że na specjalne upoważnienie Ci-rocco.

—  
Ja jej zupełnie nie rozumiem - wyznała Nova.

—  
Nie ty pierwsza.

—  
Conal, czy macie na sobie kamizelki?

—  
Nie, Cirocco. A powinniśmy?

—  
Chyba tak. My właśnie zakładamy swoje. Nie istnieje żaden szczególny powód z wyjątkiem standardowego.

Po co to trzymać, jeśli się tego nie używa, Kapitanie?

—

Dokładnie.

—

Założymy je. - Odwrócił się do Nowy. - Możesz je wyciągnąć? Te niebieskie kombinezony.

Nova chwilę się męczyła, zanim udało jej się rozwinąć pakunek. Był to lekki, nieco sztywny strój z otworami na ręce i nogi. Włókna węglowe przetykane przez twarde plastik nie przepuszczały żadnej kuli z broni ręcznej i dawały jakąś ochronę przeciwko cięższej broni i odłamkom pocisków.

—

A jeśli coś cię trafi w głowę? - spytała Nova.

—

W razie konieczności założymy hełmy, leginy i rękawy. Pomóc ci?

—

Poradzę sobie. - Podniosła się z siedzenia i zsunęła majtki do kostek. Samolot szarpnął w prawo, więc zaniepokojona wyrzała na zewnątrz. - Co się stało? Co się dzieje?

—

Nic - odparł Conal i zakasłał nerwowo. - Aha, myślałem, że założysz to na majtki.

—

A czy to ważne? - Ściągnęła bluzkę przez głowę. Tym razem samolot podskoczył tylko trochę.

—

Nie, to nie jest ważne - zgodził się i rozwinął zasłonkę, ukrytą dotąd na małej półce ponad ich głowami.

Usłyszał przeciągłe, cierpiętnicze westchnienie. Potem No-va szarpnęła za skraj zasłony, żeby ją z powrotem zwinąć.

Zerknął na nią ukradkiem i spostrzegł, że zakrywa swoje ciało zwiniętym ubraniem.

W jej oczach płonął ogień.

- Czy mogę z tobą chwilę porozmawiać? Czy tak jest dobrze? Czy zachowuję się przyzwoicie?

Przełknął głośno ślinę.

- To... Nova, to nie wystarczy.

Przeciągnęła palcami po włosach, po czym, wyraźnie przygnębiona, szarpnęła je gwałtownie.

—

Okay. Matka mi o tym mdwiła, ale ja nic nie rozumiałam, więc może ty będziesz mi umiał wyjaśnić. To nie o to chodzi, że nie lubisz na mnie patrzeć, prawda?

—

Nie, zupełnie nie o to chodzi.

—

I tego właśnie nie rozumiem. Przez ciebie czuję się brzydka.

—

Przepraszam. - O Jezu, jak tu zacząć, jak to wytłumaczyć? Nie był nawet pewien,

czy sam sobie potrafi to wyjaśnić, a co dopiero jej. - Cholera, zdenerwowałem się, bo cię pragnę, a nie mogę cię mieć. Twój widok mnie podnieca, okay?

—

Okay! Okay! Wielka Matko, naprawdę nie rozumiem, czemu się tak przejmujesz,

że się podniecasz, ale pomogę ci. Zakryję te miejsca, które Robin kazała mi zakryć. Chociaż myślałam, że właśnie to robię. Powiedz mi zatem, panie mężczyzno, co ja muszę zakryć?

—

Jeśli chodzi o mnie, to możesz wyrzucić wszystkie swoje pieprzone rzeczy za okno



- powiedział Conal przez zaciśnięte zęby. - To twoja sprawa, nie moja.

—

Nie chciałam cię wkurzyć. Nie chcę, byś tracił swoje wątpliwe panowanie nad sobą. Matko, ratuj mnie. - Gwałtownym ruchem ściągnęła zasłonę, a potem, po kilku sekundach, podwinęła ją od dołu na tyle, by móc spod niej wyrzeć.

—

Jest jeszcze jedna sprawa. Nie miałam szansy się wysikać przed odlotem. Czy muszę czekać, aż wylądujemy?

Conal otworzył skrytkę w dachu i podał jej dziwaczny kubek, a ze szczeliny w jego boku wyciągnął przewód próżniowy.

—

Przytykasz przewód tutaj, a potem... przykładasz go do...

—

Potrafię się domyślić! Pewnie przy tym też sobie życzysz prywatności.

—

- Gdybyś mogła.

Jej odpowiedź zabrzmiała raczej jak warknięcie niż słowo i znowu pociągnęła zasłonę.

Conal leciał dalej, gotując się cały ze złości i usiłując ignorować dźwięki, które go dobiegały z drugiej strony.

Siedem lat wcześniej najzwyczajniej by się wściekł. Zupełnie nie wiadomo, co by wtedy zrobił - taki miał temperament! Od tego czasu wiele się nauczył. Wciąż jeszcze miał temperament, ale stale go kontrolował.

Zrobił szereg z trudem wyuczonych ćwiczeń, dzięki którym się uspokoił. Potem jak zwykle było mu głupio, że tak się dał wyprowadzić z równowagi. Nova postępowała zgodnie ze swoją logiką i według jej oceny to on zachowywał się idiotycznie.

Do diabła - pomyślał. - Wedle mojej teź. Żałował, że w ogóle wdał się w tę kłótnię.

Miała rację. Jej nagość nie była żadną prowokacją wobec niego.

Żałował, że nie powiedział tego równie precyzyjnie, jak o tym myślał. Wiedział

jednak z szeregu gorzkich doświadczeń, że słowa nigdy nie załatwiają wszystkiego do końca.

Kiedy z powrotem odsunęła zasłonę, miała majtki założone na wierzch kombinezonu.

Złożyła koszulę i wepchnęła ją na tył. Usiadła sztywno i patrzyła wyłącznie przed siebie.

Bardzo się starał, żeby się nie roześmiać, choć miał wielką ochotę. Czuł się o wiele lepiej. Teraz to ona się zachowała głupio. Nie wiedziała, jak poskromić swój gniew, i dzięki temu z przyjemnością poczuł, że jest od niej lepszy. Była jeszcze taka młoda.

Uroczyście ściągnął zasłonę w dół, wyciągnął szybko swój kombinezon i nałożył go na ubranie.

- Obserwuj radar, bo ja muszę się zająć tymi rzeczami - powiedział i odsunął z

powrotem zasłonę. Skinęła głową, a on odwrócił się i zabezpieczył siatkę na luźnych pakunkach leżących w tyle. Kiedy ponownie się odwrócił, na pustym niebie nadal nie było niczego widać. Lecieli dalej w milczeniu.

Przez następną godzinę Cirocco otrzymała dwa sygnały z radaru. Z początku wszyscy

bardzo się podniecili, choć ich przestrzegła, że nie ma co się cieszyć zawczasu. I szybko zauważyli, że to tylko samotny miękkołot. Cirocco zmieniła kierunek. Miękkołoty

nienawidziły wszystkiego, co miało cokolwiek wspólnego z ogniem, a od czasu, gdy

sprowadziła odrzutowce, ich stosunki znacznie ochłodziły się. Co było niesprawiedliwe, bo zrobiła to, by niszczyć rakiety, tak niebezpieczne dla tych stworzeń lżejszych od powietrza.

Trudno jednak się sprzeczać z miękkołotem.

Druga kreska na ekranie radaru okazała się samotnym aniołem. Nastroje na chwilę się podniosły, dopóki nie ustalono bez żadnej wątpliwości, że ma inny kolor skrzydeł. Cirocco wyłączyła silnik i sunęła obok niego przez kilka chwil. Pochodził ze Stada Diońskich Supra.

Był chyba autentycznie zaszokowany wiadomością, że jakiś anioł pracuje dla Pandemonium, i przysięgał, że jego stado, sekcja i oddział pozostały lojalne wobec Czarodziejki.

Przyczepiła więc Kapusiowi zapałkę i tym go cudownie zainspirowała. Po kolejnej

kropki alkoholu był znowu w stanie mówić i powiedział, że anioł leci teraz niżej niż oni i nieco w tyle. Podała Conalowi przez radio nowy kierunek.

—  
Czy mogę o coś spytać? - powiedziała Nova.

—  
Wal śmiało.

Dużo czasu zabrało jej wydobyć z siebie tego zdania. Teraz, gdy już to powiedziała, trudno jej było brnąć dalej.

Musiała znaleźć jakiś sens w tym szalonym świecie, bo utknęła tu na resztę swego

życia, wśród tytanii i mężczyzn. Wciąż jeszcze czuła dotknięcie dłoni Cirocco na policzku.

Kochała Cirocco, a Cirocco ją uderzyła i te dwie rzeczy należało jakoś z sobą pogodzić; musi postępować tak, żeby Cirocco nigdy już nie znalazła powodu, aby ją uderzyć. Aby tak się stało, musiała jednak zrozumieć kilka rzeczy.

- Co twoim zdaniem Cirocco Jones miała na myśli, mówiąc, że powinnam się

przyłączyć do ludzkiej rasy? - Po zadaniu tego pytania nieco się uspokoiła. Uświadomiła sobie bowiem, że jego odpowiedź nie będzie się liczyć. Przede wszystkim głupim pomysłem było pytanie właśnie jego. Może matka będzie jej mogła to wyjaśnić, kiedy znajdą trochę czasu na osobności.

On jednak ją zadziwił.

—  
Też się nad tym zastanawiałem - powiedział. - Myślę, że ona po prostu nie miała

czasu, żeby ci wyjaśnić, o co jej chodziło, więc powiedziała cokolwiek, żeby zwrócić twoją uwagę.

—  
Więc ty też nie wiesz, o co jej chodziło?

—  
Och nie, tego nie powiedziałem. Wiem, o co jej chodziło. - Zmarszczył czoło i

uśmiechnął się do niej krzywo. - Tylko nie wiem, czy będę umiał ci to wytłumaczyć.

A możesz spróbować?

Patrzył na nią długo. Jego spojrzenie ją zaniepokoiło.

—  
A niby dlaczego? - spytał wreszcie. Westchnęła i odwróciła się.

—  
Nie wiem - odparła. Wzruszył ramionami.

- Sam sobie zadawałem to pytanie. Dlaczego miałbym ci cokolwiek wyjaśniać, skoro za każdym razem, gdy uśmiecham się do ciebie przyjaźnie, ty patrzysz na mnie jak na wesz?

Czy ty myślisz, że ja nie mam uczuć?

To było pytanie, nad którym Nova nie miała ochoty się zastanawiać. Ale przecież za brak myślenia o takich sprawach oberwała już raz po twarzy.

—  
Jeszcze chwilę temu ty nie myślałeś o moich uczuciach.

—  
Przyznaję, że mnie poniosło - powiedział. - Chcesz wiedzieć, co mam zamiar z tym

zrobić? - Spojrzał na nią ponownie i uśmiechnął się szeroko. - Mam zamiar powiedzieć, że przepraszam, że proszę o wybaczenie i że się poprawię. Jak ci się to podoba za tego kopniaka w tyłek?

Usiłowała spojrzeć mu w oczy, ale w końcu musiała odwrócić wzrok.

—  
Jest mi głupio - przyznała. - Ale nie wiem dlaczego.

—  
Ale ja wiem. Powiedzieć ci?

—  
Tak.

A powiesz “proszę”?

Co za denerwujący facet. Jednak tylko głęboko, przeciągle i cierpiętniczo westchnęła, skrzyżowała ramiona na piersi i spojrzała na niego spode łba.

—  
Proszę.

—  
Jezu, ale cię musiało zboleć.

—  
—  
Wcale nie. To tylko słowo.

—  
Naprawdę cię zabolalo i to nie jest tylko słowo. Zabolalo z tego samego powodu, dla którego nie podobały ci się moje przeprosiny. Już dwukrotnie musiałaś na mnie spojrzeć jak na ludzką istotę.

Myślała o tym kilka minut, ale Conal się nie odzywał.

—  
Twierdzisz, że właśnie o to chodziło Cirocco? Że muszę się stać heteroseksualna i uprawiać miłość z mężczyznami?

—  
To nie jest ani tak drastyczne, ani tak proste. - Przetarł twarz dłonią i powoli pokręcił głową. - Posłuchaj, ja nie jestem facetem od tego. Żałuję jak diabli, że nie ma tutaj Cirocco. Dlaczego nie poczekaasz, aż będziesz mogła o tym pogadać z nią?

—  
Nie - powiedziała. Jej ciekawość rozbudzała się coraz silniej. - Chciałabym to usłyszeć od ciebie.

Zupełnie nie wiem dlaczego - mruknął, a potem wziął głęboki wdech. - Słuchaj. Ty

wszędzie widzisz linie podziału. Tu jesteśmy my, a tam są oni. Ta pierwsza grupa jest zresztą chyba dosyć mała. Okay, potrafię to zrozumieć, bo też tak czuję. Nie lubię wszystkich ludzi. I wiem, że Cirocco też nie jest największą wielbicielką ludzkiej rasy. A zresztą nie chodziło jej tylko o ludzi, bo tytanie nie są ludźmi, tylko należą do tego, do czego ona chce, żebyś ty też się przyłączyła. Chwytasz to wszystko?

—

Nie wiem. Ale mów dalej.

—

Cholera. Dorośnij! - zagrzmiał. - Ona tak właśnie powiedziała. Przestań wydawać

osady o ludziach na podstawie ich wyglądu. - Urwał i ze smutkiem pokręcił głową. - Nova, mógłbym tak pieprzyć pół godziny, jak w audycji CBS-u, o tym, że powinnaś kochać brytoli, Normanów, makaroniarzy, żółtków i czarnuchów, i biednych, i małe futerkowe zwierzątka, i grzechotniki. Kiedy byłem młodszy, też nienawidziłem wszystkich tych ludzi. Teraz zaś zachowałem swoją nienawiść dla tych, co niewolą ludzi i handlują dziećmi... i im podobnych.

Każda osoba, którą spotykam, musi zostać sprawdzona, bo to jest niebezpieczny świat, który się nie zna na żartach, i masz rację ze swoją podejrzliwością wobec nowych twarzy. Ale jeśli ktoś okazuje się nie być łotrem, to wówczas należy go traktować jak samego siebie, jak w tej starej złotej zasadzie: Przyjaciół mojego przyjaciela jest moim przyjacielem, chyba że okaże się kimś innym. Nie obchodzi mnie, czy jest czarny, brązowy, żółty czy biały, czy to mężczyzna czy kobieta, młody czy stary, czy ma dwie, czy cztery albo szesnaście nóg. Ja sam jestem dobrym przyjacielem. Jestem lojalny jak wszyscy diabli i sam po sobie zmywam naczynia.

—

Ja też jestem lojalna! - zaprotestowała.

—

Jasne. Wobec każdego, kto jest po twojej stronie linii. Co oznacza wyłącznie

dwunożne kobiety. Valiha nie może się tam znaleźć, bo wygląda jak zwierzę, a ja nie mogę, bo mam fiuta. - Wskazał przez przednią szybę na puste niebo. - Twój biedny mały brat też nie może być twoim przyjacielem, bo nie uważasz go za człowieka. Nova, gdy tak się na ciebie patrzy, na tę dobrą część ciebie, wiem, że byłoby wspaniale mieć obok siebie taką osobę, jak ty. Ale ja nie wiem, jak przekroczyć linię.

Westchnął i oparł się wygodniej. Nova patrzyła na niego zafascynowana, niewiele z

tego rozumiejąc, na przykład tego zdania o brytolach i czarnuchach. Nie miała zielonego pojęcia, kim

oni wszyscy są. I dlaczego on mieszał do tego wszystkiego kolor skóry? Co to miało wspólnego z czymkolwiek?

- To co twoim zdaniem mam z tym zrobić? Czy powinniśmy się z sobą kochać?

Wzniósł ręce ku niebu.

- Zraniłaś mnie. Naprawdę. Czy twoim zdaniem mówiłem to wszystko tylko po to, żeby ci się dobrać do majtek?

- Przepraszam. Ale i tak nie wiem, co złego powiedziałam.

Wyglądał na zmęczonego.

- Chyba rzeczywiście nie wiesz, prawda? W porządku.

Czy potrafisz przyjąć szczerą i się nie zezłościć? Naprawdę chciałbym uprawiać z tobą seks. Ale zostałem przez ciebie obrażony, bo kiedy dorastałem, chłopacy mówili cokolwiek, żeby zaciągnąć dziewczynę do łóżka, a teraz jestem tak obleśnie szlachetny, że aż mnie mdli, więc mnie zabolalo, że pomyślałaś, że tylko o to mi chodzi. Ale ty to mówiłaś serio, prawda?

—

Tak. Zrobię to, jeśli tak trzeba.

—

W życiu nie słyzałem czegoś bardziej uprzejmego.

—

Znowu cię obraziłam? Przepraszam. Uśmiechnął się szeroko.

- Coraz lepiej ci idzie, doceniam to. Przynajmniej się starasz. Słuchaj, Nova, powinnaś o tym porozmawiać ze swoją matką. Ona wie, jak to robić. Ale jeśli chcesz znać moje zdanie, powinnaś zrobić to, co ja zrobiłem, kiedy Cirocco zaczęła zmieniać moje poglądy. Kiedy znalazłem się tu po raz pierwszy, byłem kawałem śmierdzącego świętoszka. Teraz nie jestem doskonały, ale jestem lepszy. Na początku, kiedy myślałem “żabojad” albo “brytol”, to zmieniałem to na “kanadyjczyk”. Kiedy myślałem “czarny”, to zmieniałem to na “biały”.

Kiedy więc usłyszysz “człowiek”, zmień to na “kobieta”. Kiedy spojrzysz na kogoś i pomyślisz “tytania”, zmień to na “siostra”. Kiedy zaś pomyślisz o Adamie, to udawaj, że to twoja młodsza siostra. Wyobraź sobie, co mogłabyś poczuć.

Pomyślała nad tym i była zdumiona swoim gniewem. Minął jej szybko - to było w

końcu tylko udawanie - ale interesująco było pomyśleć, jakby wyglądał świat, gdyby to wszystko było prawdą.

- Czy mogę sprawdzić moje odczucia? - spytał. Skinęła głową. - Uważasz mnie za...

fizycznie odstręczającego, prawda?

Kolejna zdumiewająca rzecz. Poczowała, że się rumieni.

- Nie chciałabym cię obrazić...

- Wolę szczerść.

Potrząsnęła niezręcznie głową.

- Masz za dużo włosów. Twój podbródek jest taki szorstki.

Całowanie się z tobą byłoby pewnie bolesne. Twoje ręce i nogi są... niewłaściwe. Czy te rzeczy... pociągają kobiety z Ziemi?

Ponownie uśmiechnął się szeroko.

—

Zazwyczaj.

—

A ty uważasz mnie za... atrakcyjną? - zapytała.

- Bardziej. Jesteś oszałamiająca. Jesteś jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie

kiedykolwiek widziałem.

Nova pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Jaki to śmieszny świat - powiedziała.

—

Niby dlaczego? Czy lesbijki inaczej pojmują piękno?

—

Nie wiem. W Kongregacji byłam idiotycznie wysoka. Nikt mnie nie uważał za

piękną. - Ponownie na niego spojrzała. - Czy to prawda, że mężczyźni nie uważają



nadmiernego wzrostu za nieatrakcyjny?

—  
Nie w Artillery Lake - zachichotał Conal. - Przysięgam na Boga, że po Cirocco

Jones jesteś moim numerem drugim.

—  
Teraz ty jesteś śmieszny - parsknęła. Zamierzała powiedzieć coś więcej, ale odezwał się sygnał radarowy i Cirocco podała im nowy kierunek.

Piętnaście

Byli zaszokowani, kiedy odkryli, że stworzenie, które porwało Adama, wcale nie jest aniołem. A w każdym razie jeśli to miał być anioł, to zombie musiałyby być człowiekiem.

Cirocco zakłęła cicho, kiedy przyjrzała mu się przez lornetkę. Chris dotychczas nie odrywał oczu od tego punktu na niebie. Kiedy jednak Cirocco podała mu szkła, musiał się zmusić, aby przyjrzeć mu się dokładniej.

Najgorsze obawy nie potwierdziły się. Obejrzawszy Adama, stwierdził, że chłopczyk nie został pogryziony przez węże śmierci. Wtulony w obrzydliwe ramiona, ze zwieszoną głową i ciemnymi włosami rozwianymi na wietrze, Adam właśnie sobie drzemał.

Chris musiał opuścić lornetkę i uspokoić drżące dłonie. Spojrzał na nich znowu, aby potwierdzić to, co serce już wiedziało: dziecko żyło. Chris dwukrotnie zauważył, jak Adam otwiera i zamyka buzię, jakby coś przeżuwał, i widział falowanie jego klatki piersiowej.

Potem zmusił się wreszcie, by spojrzeć na zombie-anioła.

Musiał być bardzo stary, bo nie pozostało na nim ani kawałka skóry. Był to tylko szkielet, pióra i sieć węży śmierci, które go scalały.

Robin zaczynała się pieklić, więc oddał jej lornetkę. Cirocco odetchnęła głośno.

- Okay. To dlatego nie mogliśmy go z początku znaleźć.

Potrafi latać szybciej niż żywy anioł. Zbliżamy się już do Kronosa.

Chris miał ochotę krzyczeć. Miał ochotę wykrzyczeć tysiąc głupich pytań, biegać w kółko, wyc do księżyca. Powstrzymał się jednak. Zachować spokój, zachować spokój.

Znaleźć wyjście awaryjne. Działać w uporządkowany sposób. Nie tracić opanowania, w razie omdlenia włożyć głowę między nogi... i myśleć. Myśleć!

---

Jakieś pomysły? - spytała Cirocco. Chris zasłuchał się w grobową ciszę panującą zarówno we wnętrzu samolotu, jak i w radiu. - W porządku - powiedziała Cirocco. -

Priorytety. Numer jeden, nie zrobimy nic, co mogłoby mu zagrażać. Conal, zejdziemy nieco niżej, żeby przypadkiem nie zamącić prądów powietrza. Co myślisz o dwustu metrach?

---

Mnie to pasuje, Cirocco - dobiegł ich głos Conala.

---

Jakieś pomysły? - spytała ponownie.

---

A j-j-jeśli on go, mhm, upuści? - wykrztusił Chris.

---

To nie pomysł, tylko sytuacja. - Zmarszczyła czoło i zastanawiała się chwilę. -

Okay, opuszczam się o jakiś kilometr i pozostanę nieco w tyle za nim. Conal, ty zostań tam, gdzie jesteś. Jeśli zobaczysz, że dziecko spada, to chcę o tym usłyszeć w jedną dziesiątą sekundy później. Wskoczę i złapię je.

Spadochrony! - pomyślał Chris. Coś było z nim nie tak, powinien był już dawno o tym pomyśleć. Odwrócił się i przeszukał cały stos sprzętu. Tylko to nie może być Cirocco, to szaleństwo, to musi być...

- Niestety, Cirocco - powiedział Conal.

Cirocco przez chwilę miała zdziwioną minę.

---

Co, do diabła, masz na myśli, mówiąc: "Niestety, Cirocco"?

---

Tak nie może być - powiedział Conal. - Po pierwsze, kapitan nie zostawia swojego

statku. Zdaje się, że o tym zapomniałaś. A nawet gdybyś mogła, to i tak ty musisz go prowadzić.

—  
—  
Chris potrafi go prowadzić!

—  
Jeszcze raz niestety, Cirocco. Powiedział mi, że zrobił się za duży.

Wielkie dzięki, pomyślał Chris.

—  
On ma rację, Cirocco - powiedział szybko. Przypinał już swój spadochron, zwój materiału wielkości ciasno złożonej parasolki, do pierścieni przy kombinezonie.

—  
To szaleństwo - powiedziała Cirocco. - Odsuniesz po prostu ten nędzny fotel i...

Spojrzał jej prosto w oczy.

—  
Zapomniałem, jak się lata - powiedział. Choć nadal wpatrywała się w niego, nie tracił opanowania. W końcu westchnęła i skinęła głową.

—  
W porządku. Teraz...

—  
Ja to powinnam zrobić - powiedziała Robin.

—  
Do cholery! Kto jest...

—  
Ćwiczyłam trochę skakanie - powiedziała Robin, podnosząc lekko głos. - A Chris

nie. Mam większe szanse, że dolecę do niego.

—

To ja jestem za niego odpowiedzialny - powiedział Chris i spojrzał znacząco na Robin.

- Ja jestem lepiej wyszkolona - odparła Robin.

Cirocco patrzyła to na jedno, to na drugie z ogniem w oczach.

—

Czy ktoś jeszcze ma zamiar dorzucić swój wdowi grosz? - spytała.

—

Ja to zrobię - dobiegł ich głos Novy. - Ćwiczyłam skoki na spadochronach dwadzieścia razy więcej niż Robin. Dwa lata temu zdobyłam mistrzostwo Kongregacji.

—

A idźcie wszyscy do diabła - mruknęła Cirocco, po czym podniosła głos. - W

porządku, dość tego. Wszyscy się tylko przechwalamy i nic jeszcze nie zrobiliśmy. Conal, ty zostaniesz tam, gdzie jesteś.

—

Wedle rozkazu, Kapitanie.

—

Robin, Chris, jeśli dostaniemy wiadomość, skaczecie obydwójce.

Obydwójce założyli spadochrony i omówili procedurę otwierania samolotu oraz

samego skoku. Robin kilkakrotnie wypróbowała zasuwę w drzwiach i otworzyła ją, żeby sprawdzić, czy jest w stanie zrobić to szybko.

- W porządku - powiedziała Cirocco. - Są jeszcze jakieś inne pomysły?

- Myślałem o zmianie, Cirocco - powiedział Conal.

- No i co wymyśliłeś?

- Cóż, dużo wcześniej zobaczymy tego drugiego, jak będzie tu nadlatywał. Czy nie powinniśmy go zestrzelić?

Nikt się nie odezwał, ponieważ wszyscy usiłowali wyciągnąć jakieś wnioski. Chris uznał, że to dobry pomysł.

- Nie - powiedziała wreszcie Cirocco. - W każdym razie jeszcze nie teraz. Po

pierwsze, nie sądzę, że oni to zrobią przy pomocy tylko jednego zmiennika. Myślę, że będzie ich czterech lub pięciu. Powinniśmy więc obserwować tego pierwszego, żeby wiedzieć, jak to się ma odbywać i być gotowi, żeby go w razie czego złapać. Jeśli ten pierwszy przeleci poza punkt stanowiący połowę drogi i dopiero wtedy pojawi się zmiennik, przemyślimy to na nowo.

- Nie rozumiem - powiedziała Robin. - Jeśli zestrzelimy zmiennika, to ten się zmęczy i będzie musiał wylądować. Wtedy będziemy mogli bez trudu go schwytać.

Cirocco przytaknęła.

- To wydaje się logiczne, nieprawdaż? Ale mogę się założyć, że Gaja już o tym pomyślała i tkwi w tym jakiś haczyk.

Zobaczymy, co to jest, przy pierwszej zmianie.

Chris zgodził się, choć oczekiwanie było dla niego torturą.

- Poddaję to tylko pod dyskusję - powiedział Conal. - Ale czy jednak nie możemy spróbować go przechwycić? Gdyby był jakiś sposób, bym mógł podlecieć do niego bliżej...

Cóż, jeszcze nie opracowałem szczegółów. - Chyba nie, Conal - powiedziała Cirocco. -

Dlaczego Adam jest bezpieczniejszy w ramionach tego stwora niż spadający w powietrzu z Chrisem i Robin gotowymi, by go złapać? I jak myślisz, dlaczego będzie bezpieczny, jeśli te sukinsyny doniosą go do Gai? Chris z trudem przełknął ślinę. Przechowywał te myśli gdzieś na dnie umysłu, ale nie były tam szczęśliwe. Teraz rozpełzły się po całym jego móżdgu i namawiały go do krzyku.

Cirocco wyglądała na bardzo zmęczoną.

- Myślę, że u Gai będzie całkowicie bezpieczny - powiedziała przygnębionym głosem.

- Przynajmniej fizycznie. Jestem pewna, że ona chce go żywego. - Zmarszczyła brwi. - Raczej pewna. Poczekaj chwilę, sprawdzę.

Uderzyła pięścią śpiącego Kapusia. Stworzenie zapiszczało i zerwało się na nogi.

—  
Tylko nie zapalki! Tylko nie zapalki! - urwał, oszołomiony. - Moja głowa! -

Przewrócił się, rąbnął podbródkiem w deskę rozdzielczą i ukrył głowę między nogami.

Ciocco odciągnęła je, jedna po drugiej.

—  
Uspokój się, Kapuś - powiedziała. - Odpowiesz na kilka pytań i już ci więcej nie zrobię krzywdy. I dam ci jeszcze trzy krople.

Do przodu gwałtownie wyskoczyło jedno oko na cienkiej szypułce.

—  
Nie zrobisz krzywdy Kapusieńkowi? - zaskomlał.

—  
Nic a nic.

—  
Dasz gul-gul?

Ciocco wyciągnęła butelkę i wpuściła kroplę do paszczy demona.

—  
Będiesz teraz odpowiadał na pytania?

—  
Strzelaj, gdy będziesz gotowa, cipciuniu.

—  
Znaleźliśmy to dziecko, którego szukaliśmy.

—  
To miło. Odwaliłaś niezłą robotę, nie?

—

Nie. On leci do Gai, prawda? Kapuś skinął głową.

---

Gaja kocha tego gówniarza. Gaja będzie dla niego naprawdę dobra. Gwiezdny

więzień. Nic nie jest za dobre dla kochaniutkiego Adasia. Ci śmierdzący kapłani puszczała farbę o tym od tygodni, kiedy rozeszła się wieść, że ten smark już tu jedzie.

---

Nie rozumiem, jak... - zaczęła Robin, ale Cirocco przerwała jej gestem ręki. Chris ledwie usłyszał jej szept, gdy nachyliła się do ucha Robin.

---

Można się dużo dowiedzieć, kiedy przestaje się pilnować.

Wydawało się, że demon na powrót zasnął. Gdy Cirocco zamachała mu przed oczami lejkiem, podniósł głowę i powiódł wzrokiem za przyrządem.

- Więcej, Kapuś.

Małeńki demon zaczął szlochać.

---

Więcej, więcej, więcej, wiecznie coś więcej... czego oni chcą ode mnie? Czemu nie mogę mieć spokoju? Stale cię obserwują, ani trochę spokoju... a powiadam ci, jestem niewinny! Zostałem wrobiony! Ja się o to nie prosiłem, ja...

---

Dokąd mam przesłać twojego Oskara, Kapuś?

---

Mój agent zajmuje się tym wszystkim - powiedział, przytomniejąc w jednej chwili.

---

Śmierdzący kapłani puszczała farbę... - podpowiedziała mu Cirocco.

---

...od wielu tygodni! Ktokolwiek go znajdzie, będzie nową Czarodziejką, mówi

Gaja. Czarodziejka, Czarodziejka, cudowną Czarodziejka!

—

A dziecko?

—

Ono będzie Królem! Królem Koła! Gwarantuję, że ona się dobrze zajmie małym brzdącem! Da mu wszystko, co najlepsze.

—

To ona nie chce jego śmierci?

—

Nie ma mowy, Jose! Ani jeden włos nie może spaść z głowy tego maleńkiego

kochaneczka, powiedziała, bo pożałujesz, że żyjesz, bo wtedy cię będzie trzymać żywcem przez cały rok i potem porąbie na kawałeczki! Ona ma już zbudowany dla niego pałac, cały ze złota i drogocenych kamieni i czystej platyny, a dookoła niego biegają niańki, pokojówki, co będą mu czesały włosy, myły mu siusiaka i smarowały masłem jego stopy.

- A dlaczego ona to wszystko robi? - spytała Robin.

Kapuś czknął i spojrzał na nią błędnym wzrokiem. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów i uśmiechnął się kącikiem ust.

- Ale fajne cycki. A chcesz wiedzieć, gdzie ja jestem wytatuowany?

Ciocco przytknęła go w głowę. Demon czknął.

- A jak jest z tym węzem? Widzę jego ogon, ale gdzie on ma głowę?

Ciocco ponownie go pstryknęła. Zamrugał, potrząsnął głową i zaczął śpiewać.

- Hej, mały wężyku, gdzie jesteś, w koszyku? Idziesz z miłą panienką, co ma ładne futerko...

Tym razem przytknęła go Robin i to dosyć mocno.

- Tylko bez takich - rozpieklił się Kapuś, krążąc nerwowo po desce rozdzielczej. -

Godzę się wysłuchiwać tych pierdołdw od ciebie, ty stara ruco, ale nie od niej. Już nic nie powiem, ani słówka, tylko tyle mam do powiedzenia.



Będę milczał jak grób.

Cirocco uniosła go do góry i wsadziła mu zapalną do gardła, łepkiem w górę. Z

paszczy demona wystawała teraz tylko odrobina drewnianka i główka zapalnej. Wybałuszył

oczy, kiedy podniosła go i potarła zapalną o deskę. Potem trzymała go wyprostowanego, przytrzymując jego kończyny przy bokach, i pozwoliła mu patrzeć, jak zapalną się dopala.

—

Zdaje się, że te zapalnej spalą ci się praktycznie do samego ogona - powiedziała

spokojnie. - Zastanawiam się tylko, czy nam wszystkim uda się to zobaczyć? Czy będziesz się świecił jak latarnia? O co chodzi? Mów trochę głośniej, nie słyszę cię. - Czekala, a Kapuś daremnie usiłował się wyswobodzić. - Przepraszam, Kapuś, nie rozumiem ani jednego słowa.

Co znowu? Aha, już rozumiem. - Pośliniła końce palców i oderwała główkę zapalnej, która zasyczała i zgasła. Wyciągnęła z niego zapalną i stwór przewrócił się, charcząc.

—

Kłopot z tobą polega na tym - powiedział - że ty się nie znasz na żartach. Mój

Boże, ale ty jesteś ohydna, Cirocco Jones.

—

Przyjmuję to jako zawodowy komplement. No dalej, ona zadała ci pytanie. I ty

będziesz się do niej zwracał per "pani Robin", z odpowiednim szacunkiem, a swoje brudne myśli zachowasz dla siebie.

—

Okay, okay. - Spojrzał ospałym okiem na Robin. - Czy może pani powtórzyć swoje pytanie, pani Robin?

—

Pytałam, dlaczego Gaja to wszystko robi? Dlaczego zadaje sobie tyle trudu, żeby wykraść Adama?

—

To żaden trud, pani Robin. Proszę zrozumieć, ona jest zawsze górą. Jeśli porwie

dziecko i Cirocco nie przyjdzie mu z pomocą, to będzie dobrze. Ale ona tak myśli, że jeśli weźmie dziecko, to Cirocco na pewno przyjdzie. - Odwrócił głowę i zerknął na Cirocco. - A Cirocco wie, dlaczego ma przyjść. Cirocco podniosła go i wepchnęła z powrotem do słoja.

Chris słyszał, jak demon głośno protestuje - głównie z powodu obiecanego alkoholu - kiedy zakręcała mocno zakrętkę. Przez jakiś czas nikt nic nie mówił. Wyraz twarzy Cirocco wykluczał niepotrzebne rozmowy. W końcu odprężyła się odrobinę i spojrzała najpierw na Robin' a potem na Chrisa.

—  
Chcielibyście wiedzieć, o czym on mówił. Nie wiem, czy powinnam wam

powiedzieć, ale zrobię to. Będę go ściagała przy pomocy wszystkiego, co mam, nieważne, co to jest. Jeśli Gaja go dostanie, nie spocznę, dopóki go nie odbijemy.

—  
Nie wiem, o czym mówisz - wyznała Robin - ale nigdy nie myślałam inaczej.

—  
A ja wiem - powiedział Chris - i ani razu nie pomyślałem, że to czyni jakąś różnicę.

—  
Dziękuję wam obojgu. Robin, mam powody inne niż przyjaźń, aby zrobić

wszystko, co w mojej mocy, by on nie wpadł w ręce Gai, a jeśli już tak się stanie, to żeby go jej odebrać. - Wystukała jakieś cyfry na swojej klawiaturze. - Rocky, ile jajek znalazłeś w tamtym pokoju?

—  
Piętnaście, Kapitanie - dobiegł ich głos przez radio. Cirocco odwróciła się do

Chrisa.

—  
Czy to ci się podoba?

—  
Nie. Jestem pewien, że na stojaku było ich szesnaście. Stojak był pełen.

—  
Conal - powiedziała Cirocco - co możesz mi powiedzieć o stojaku z jajkami tytanii, którymi pozwoliłeś się bawić Adamowi?

—  
To był zwykły stojak, Kapitanie. Dwa rzędy, po osiem jajek. Był cały zapełniony. -

Cirocco ponownie zastukała w klawiaturę.

—  
Rocky, wydaje się...

—  
Widziałem stojak, Kapitanie - powiedział Rocky. - Było w nim szesnaście jajek.

Szukałem dokładnie zgodnie z twoimi rozkazami.

—  
Więc pomóż mi, Rocky, jeśli...

—  
Kapitanie, pozwól, że ci przerwę, zanim powiesz coś, czym mogłabyś mnie

obrazić. Leży tu przede mną piętnaście jajek. Niszczyłem je, nie czekając, aż znajdę wszystkie. Dokładnie mówiąc, przepoławiałem je, więc po powrocie będziesz je mogła policzyć. Spodziewałem się tej wstydlivej sytuacji, jaka, zdaje się, powstała. Może jeszcze znajdę brakujące jajko, ale mogło też i tak być, że jedno z nich miał przy sobie Adam w chwili, gdy go porwano. Jeśli jednak nie zostanie odnalezione, a ja w najbliższym czasie zajdę w ciążę, uznasz mnie wówczas za podejrzanego, czy tak?

—  
Przepraszam, Rocky - powiedziała Cirocco. - Niejednokrotnie miałam możliwość się przekonać, do czego może się posunąć zrozpaczona tytania, jeśli...

—  
Nie obraziłem się, Kapitanie.

O Jezu. - Głos Conala był pełen przerażenia. - Nie pomyślałem o tym, Cirocco.

---

O czym wy mówicie? - spytała Robin.

---

Chodzi o Adama - powiedziała Cirocco. - Nagle stał się ważny nie tylko dla nas, ludzi.

---

Jest w stanie zapładniać jaja tytanii - wyjaśnił Chris. - Te, które pogryzł, zrobiły się przezroczyste, to znaczy uaktywnione.

---

Tak - powiedziała Cirocco. - On może zrobić coś, co tylko ja mogłam robić przez prawie całe stulecie. Dlatego musimy go odzyskać. Nie możemy dopuścić, żeby dostała go Gaja, bo wówczas tytanie staną się jej niewolnikami. A jeśli uda nam się go uwolnić... -

Spojrzała w górę, przez przednią szybę, na pustkę przestrzeni, a na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. -...wówczas będę mogła umrzeć.

---

Uspokój się, uspokój - powiedział Conal. - Ona nie miała tego na myśli.

---

A co innego? - dopytywała się Nova.

---

Nie powiedziała, że chce się zabić, prawda? - Dał jej chwilę czasu na przemyślenie. Prawda była taka, że słowa Cirocco poruszyły również jego, ale szybko pojął, co się za nimi kryje.

---

To w takim razie co chciała powiedzieć? Wyjaśnij mi.

---

Najpierw musisz zrozumieć, co jej zrobiła Gaja - powiedział Conal. - To stało się

dawno temu, kiedy Cirocco wylądowała tutaj z resztą załogi. Gaja zaproponowała jej posadę Czarodziejki. Zgodziła się. Gaja jednak nie wspomniała że wprowadziła zmiany w rasie.

Usunęła wrodzoną nienawiść do aniołów i położyła kres odwiecznej wojnie. Zmieniła je również, by... Wiesz, jak rozmnażają się tytanie?

—

Tak mniej więcej.

—

Okay. Najpierw odbywają stosunek płciowy od przodu. Samica wytwarza częściowo zapłodnione jajo. Widziałas ich kilka w pokoju Adama. Potem trzeba je wprowadzić do zadniej pochwy i ponownie zapłodnić zadnim penisem.

Nova zacisnęła wargi, ale skinęła głową.

- Nie wspomniałem jeszcze o roli Cirocco. Jajo nigdy nie zostanie w pełni zapłodnione, jeśli nie zostanie uaktywnione śliną Cirocco. Gaja tak to zaplanowała.

Organizowały wielkie święta, podczas których Cirocco wybierała tę tytanie, która miała mieć dziecko. Kontrola populacji. Cirocco tak się zmęczyła byciem bogiem, że popadła w alkoholizm. Wciąż jednak należy to do jej obowiązków, nawet teraz, kiedy tropią ją agenci Gai.

Conal wzruszył się na widok współczucia w oczach Novy.

—

Musi jej być strasznie ciężko - powiedziała Nova.

—

Nadzwyczaj. Trudno wręcz to sobie wyobrazić. Gaja nigdy nie dała do

zrozumienia, że Cirocco zostanie kiedykolwiek zwolniona z tego obowiązku. To znaczy, że jeśli Cirocco umrze, wówczas umrą też wszystkie tytanie. Jej przeżycie jest ważniejsze niż cokolwiek innego. Dlatego właśnie musiała robić rzeczy, z których nie była dumna. Na przykład musiała mnie... - Powstrzymał się w porę i przełknął gorycz, którą nagle poczuł w ustach. Było kilka rzeczy, których Nova nie powinna była wiedzieć. - Podczas ostatnich siedmiu lat były takie dwa przypadki, kiedy musiała pozwolić, by zaprzyjaźniona z nią tytania ryzykowała własnym życiem za cenę ratowania

Czarodziejki. Jedna z nich... Cirocco uważa, że ją zdradziła. Któregoś dnia, być może, będzie musiała mnie zdradzić, żeby móc sama przeżyć. Wiem o tym i zgadzam się na to. Trudno tak żyć. Wychodzisz z wszystkiego obronną ręką, ale nie możesz być z tego dumna, bo wiesz, jakie koszty zostały poniesione.

Niewiele tu miejsca pozostaje na honor. Cirocco niby wyśmiewa się z pojęcia honoru, ale wiem, że jest on dla niej niezwykle ważny, tyle że nie według cudzej definicji, ale jej własnej.

Nova przypatrywała mu się w zupełnie odmienny sposób, przez co poczuł się nieswojo. Z trudem zdobył się na powiedzenie tego wszystkiego. Długo i mozolnie namyślał się nad każdym słowem.

---

Próbuję powiedzieć - mówił dalej Conal bez wiary we własne słowa - że Cirocco chciałyby pozbyć się tego obciążenia. Wolałyby znowu przejmować się wyłącznie sobą. I choć wciąż byłaby kimś, kogo niezwykle trudno zabić, to jednak jej śmierć byłaby... jej śmiercią. Tym, co przytrafia się nam wszystkim.

---

Tak - powiedziała Nova, nadal z tym dziwnym spojrzeniem. - Teraz rozumiem.

Szesnaście

Robin obserwowała przez lornetkę pierwszą zmianę. Trzymała dłoń na zasuwie w drzwiach, gotowa skoczyć w każdej chwili.

Przez pół godziny obserwowali na ekranach drugiego anioła nadlatującego z mroku

Kronosa. Przez ostatnie kilka minut widzieli, jak wchłania go zalegająca nad nimi ciemność.

Pomimo maksymalnego powiększenia Robin z trudem rozróżniała obydwie kształty, słuchając jednocześnie opisu sytuacji dokonanego przez Conala.

- Drugi anioł znajduje się w odległości pięćdziesięciu metrów. Podlatuje teraz do góry... jest coraz bliżej. Pierwszy zawraca. Podaje dziecko... okay, drugi już je trzyma.

Trzyma je tak samo, jak ten pierwszy. Adam się obudził. Jest... mhm, rozplakał się.

Robin przełknęła ślinę. Usłyszała, że Chris coś mówi, ale nie odwróciła się.

---

Pierwszy już zawraca. On... O Jezu!

---

Co? - krzyknęła natychmiast Cirocco. - Melduj, Conal!

---

On, tego... pierwszy anioł właśnie się rozpadł. To znaczy eksplodował. Właśnie przelecieliśmy przez spadające pióra. Teraz spadają kości i węże śmierci... Już ich nie widzę.

Jeśli jesteście w miejscu, z którego widzicie Adama, powinniście za minutę zobaczyć przelatujące pióra.

Wszyscy czekali. Robin obserwowała rozprzestrzeniający się obłok szczątków, które dopiero co były aniołem. Po chwili mogła opuścić lornetkę i oglądać to gołym okiem.

Usłyszała donośny łoskot przypominający grad. Wokół ich lewego skrzydła owinał się na moment wąż śmierci, ale zaraz potem pęd powietrza zmiotł go w pustkę.

---

A więc to taka sztuczka - powiedziała Cirocco. - Anioły wcale nie będą lądować.

Jeśli zastrzelimy następnego zmiennika, wówczas ten, który niesie Adama, będzie leciał tak długo, aż nie umrze.

---

Ale przecież on wcale nie żył... - zaczął Chris.

---

Nie bądź głupi, Chris. Zombie żyje tak samo jak ja czy ty. To grupowy organizm obdarzony mentalnością mrowiska, które atakuje trupa i potem w nim żyje. Węże śmierci powoli wyjadają martwe mięso i wszystko, co w nim znajdują. Nie ma w tym nic nadprzyrodzonego.

---

Więc nie przypuszczasz, że ten... właśnie postanowił umrzeć? Bo przecież wszystkie węże śmierci rozeszły się w jednym momencie. Czy to jest prawdopodobne?

Robin obserwowała Cirocco, która musiała się chwilę zastanowić.

—  
Nie rozumiesz, co to jest zombie. Przede wszystkim one nie mają instynktu

przetrwania, tak jak żywe istoty czy mrowiska. Nie czują bólu. Nie wierzę, że są inteligentne, ale potrafią wykonywać rozkazy. Ktokolwiek nimi kieruje, prawdopodobnie określił im cel ich misji, polegający na porwaniu dziecka przy użyciu jakiejś szczególnej taktyki. Jak wiemy, udało się.

—  
Wszystko musiało pewnie wymagać skomplikowanych obliczeń - zauważyła

Robin.

—  
Cirocco skinęła głową.

- Chyba masz rację. Ktokolwiek to zorganizował: Luter, Brigham, Marybaker czy

Moon, obliczył po prostu, jak daleko anioł śmierci może dolecieć, zanim się rozleci. Ten mógł prawdopodobnie przelecieć jeszcze kilka kilometrów, ale już by nie zdołał dotrzeć do ziemi. Umarł więc, kiedy skończyła się jego misja. Co oznacza, że gdybyśmy zastrzelili jego zmiennika, Adam spadałby w stronę Kronosa, a wy dwoje musielibyście dołożyć wszystkich starań, żeby go złapać.

Cirocco zerknęła na Chrisa, który chrząknął na znak, że chce coś powiedzieć.

—  
Zdaje się, że równie dobrze możemy spróbować właśnie teraz.

—  
Zgadzam się - powiedział Conal.

—  
Cirocco - kontynuował Chris - jakie twoim zdaniem są nasze szanse? Jeśli Adam będzie spadał, czy ja i Robin jesteśmy w stanie go złapać?

Cirocco potrząsnęła głową.

—  
Co ja mogę powiedzieć, Chris? Zastanawiam się nad tym od wielu godzin. To jest



zależne od zbyt wielu czynników. Prawdę powiedziawszy, uważam, że szanse są spore. Jest was dwoje i mielibyście możliwość wyboru momentu skoku. Moglibyście też kontrolować spadanie, o ile nie będzie panikować... powinniście go złapać. Robin twierdzi, że już to robiła, więc może ma większe szanse. Ja twierdę, że szanse wynoszą ponad dziewięćdziesiąt pięć procent.

---

Moje byłyby większe - wtrąciła Nova. - Ja to powinnam zrobić.

---

Nie możesz być w dwóch miejscach jednocześnie - odparła Cirocco. - Moja

decyzja w tej sprawie jest ostateczna. - Odwróciła się w stronę Chrisa. - Stawiam sprawę jasno. Wasze szanse na złapanie go są wielkie. Gdyby to była zagrywka w pokerze, powiedziałabym: ruszajcie. Ale istnieje możliwość, że się wam nie powiedzie.

---

Wiem, wiem. - Chris ukrył twarz w swych wielkich dłoniach i milczał przez

chwilę. Kiedy opuścił ręce, jego oczy były zaczerwienione. - A co ty byś zrobiła, Kapitanie?

Cirocco oparła się w fotelu i zamknęła oczy.

---

Chris... nie potrafię podjąć tej decyzji. Nie umiem nawet rozstrzygnąć, czy chcę go odzyskać, bo jest człowiekiem, któremu zagraża niebezpieczeństwo, czy dlatego, że jest moim zbawieniem. Czuję się jak spec do spraw porywanych dzieci. Potrafię przewidzieć kilka rzeczy, które mogą się wydarzyć, ale wybdr należy do rodziców. - Patrzyła to na Chrisa, to na Robin. - Postąpię tak, jak zdecydujecie.

---

Co chcesz, żebym zrobiła? - spytała Robin.

---

Ja? Ja chcę go odbić. Zaraz. I to tak bardzo, że aż mnie mdli. Wiesz jednak, co mną powoduje.

---

Wierzcie albo nie - powiedział Conal - ale zgadzam się z Cirocco. Nie chcę, by

Gaja dostała go w swoje łapy.

---

Ja się nie zgadzam. - To był głos Novy. - Przepraszam cię, matko. Jest w tym za

wiele ryzyka, nawet gdybym to ja miała skakać. Jestem pewna na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że bym go złapała. Ale jeden procent ryzyka to za wiele.

—  
A o co właściwie chodzi Gai? - zapytał Chris.

—  
Gai? - Cirocco zmarszczyła brwi. - Możesz mi nie wierzyć, ale w tej sprawie czuję się znacznie spokojniejsza. To, co mówi Kapuś, to święta prawda. Ona mu nic nie robi.

Kiedy już będzie u niej, przestanie mu grozić jakiejkolwiek fizyczne niebezpieczeństwo. Na pewno go dobrze potraktuje.

—  
Martwię się o szkody psychiczne - powiedział Chris.

—  
Przykro mi to mówić, ale wszystko, co możemy zrobić, to zdecydować, na jakie przejścia psychiczne go skazemy. Czy ma spaść, czy też mieć ukochaną babunię, która ma pięćdziesiąt stóp wzrostu.

—  
To będzie dla niego bolesne. Ona przejmie nad nim kontrolę.

—  
Taki naturalnie jest jej plan. Tyle że my jej nie doceniamy. Już ona go tak wychowa, żeby ją kochał. Ale z tego też powodu będzie dobrze traktowany.

Wszyscy umilkli na jakiś czas i wreszcie Chris westchnął.

- Pewnie nigdy nie będę musiał podejmować równie trudnej decyzji. Sądzę jednak, że powinniśmy spróbować go przejąć teraz.

—  
Zgadzam się - powiedziała cicho Robin. Odwróciła się i ujęła Chrisa za rękę.

—  
Okay - podsumowała Cirocco. - Znajdujemy się w połowie drogi ponad Kronosem.

Po upływie niecałego obrotu będziemy mieli dostatecznie dużo światła, żeby wszystko się udało. Z chęcią wysłuchałabym jeszcze jakichś następnych pomysłów.

W obydwu samolotach przedzierających się przez srebrzystą noc Kronosa zapanowało dłuższe milczenie. Wszyscy wiedzieli, jak wiele jest ryzyka w całej tej sprawie.

W którymś momencie obrotu, który zdawał się trwać całą wieczność, z Tuxedo Junction odezwał się Rocky. Cirocco z ulgą przyjęła przerwanie tej nieznośnej beczynności.

—  
Kapitanie - powiedział Rocky. - Znalazłem szesnaste jajko. Wyturlało się z pokoju na korytarz. Już zostało zniszczone.

—  
To dobrze, Rocky.

—  
Mam jeszcze informację, której dotychczas nie podawałem, bo nie chciałem cię odciągać od głównego problemu.

—  
Prawdopodobnie teraz jest pora, abyś mi ją przekazał.

—  
Bardzo dobrze. Po drodze do Bellinzony Valiha znalazła dwunastu nieżywych zombie, którzy leżeli na szczycie wzgórza w odległości mniej więcej półtora kilometra od Junction. Nie znalazła żadnych śladów walki.

—  
Czy to wzgórze leży po zawietrznej stronie Junction?

—

Tak. Zakładam, że zabił ich eliksir miłości Novy.

—  
To chyba sensowny wniosek.

—  
Valiha uważa, że na tym wzgórzu było dwóch kapłanów. Jej zdaniem byli to Luter

i Kali. Zapach za bardzo się zestarzał, aby można było mieć pewność. W dodatku było wśród nich martwe ludzkie dziecko, chłopiec w wieku od pięciu do piętnastu lat. Zabrałem jego ciało, ale nie potrafię powiedzieć o nim nic więcej. Może ty będziesz mogła.

—  
Czy on zmienił się w zombie?

—  
Nie. Chyba nie.

—  
Może i nie, ale nie wolno nam ryzykować. Spalcie go. Coś jeszcze?

—  
—  
Valiha rozmawiała ze mną jakiś czas temu. Prosiła, żebyś się z nią skontaktowała, jak będziesz miała czas.

—  
Okay, zrobię to. - Cirocco przełączyła kanały. - Serpent, słyszysz mnie?

—  
Słyszę cię, Kapitanie.

—  
Gdzie jesteś, przyjacielu?

Jestem prawie w samym środku Japetosa, Cirocco. - Wszyscy słyszeli zmęczenie w głosie Serpenta.

—  
Masz niesamowicie dobry czas, Serpent, ale obawiam się, że to się na nic nie zda.

Pokonaliśmy już prawie połowę drogi nad Kronosem i jesteśmy pewni, że anioł leci do Hyperionu. Chyba już nie musisz biec dalej.

—  
Wolałbym biec dalej, chyba że masz dla mnie jakieś ciekawsze zadanie. I tak niedługo będę się musiał zatrzymać, żeby odpocząć i coś zjeść.

—  
Nie przemęczaj się za bardzo. Chyba i tak nie możesz zrobić zbyt wiele.

—  
Więc będę biegł dopdy, dopóki wy nie zawrócicie.

—  
W porządku. - Cirocco raz jeszcze nacisnęła przyciski. - Valiha, jesteś tam?

—  
Jestem na przedmieściach Bellinzony, Cirocco - powiedziała Valiha.

—  
Co chciałaś wiedzieć?

—  
Nakazałaś mi łapać żywych zombie - powiedziała. - Włączyłam do tej misji

Piszczalkę, Mbirę, Klawikord, Si-strum i Lirę. Ludzie mówią, że Luter był tu niedawno, ale nie wiedzą nic o żadnej innej bandzie zombie w okolicy. Możemy szukać tych, które błąkają się samopas, ale nasze nosy nam mówią, że takich tu nigdzie nie ma. Obywatele tego zacnego miasta stali się tak ostrożni, że bardzo niewiele nowych zombie powstaje z grobów. Chciałam wiedzieć, Kapitanie, czy ci zombie muszą być już martwi?

Cirocco zastanawiała się nad tym przez chwilę.

—  
Valiha, jesteś nie tylko bezlitosna, ale i praktyczna.

—  
Kapitanie, myślałam o tych, którzy już zostali skazani za swoje przestępstwa, a także o tych, którzy przez niedopatrzenie nadal chodzą na wolności. Czy chcesz, bym odczytała im ich prawa i zorganizowała sprawiedliwe procesy sądowe?

—  
- Podążaj drogą, którą uważasz za słuszną - zaśpiewała Cirocco.

Valiha wyłączyła radio i schowała je do sakwy. Wyśpiewała kilka nut do swoich pięciorga towarzyszy i potruchtali szerokim mołem, które ciągnęło się wzdłuż Grand Canal.

Kiedy dotarli do skrzyżowania z kanałem zwanym Bagno Moralne, zatrzymali się i rozejrzeli dookoła. To tutaj bellinzończycy realizowali największe interesy w handlu niewolnikami.

Wkrótce na bulwarze Edwarda Tellera pojawił się rozklekotany karawan.

W środku znajdowało się dwudziestu niewolników zakutych w żelazne kajdany:

szesnaście kobiet i czterech mężczyzn. Wielu z nich było jeszcze dziećmi. Strzegło ich dziesięciu umięśnionych ludzi w prymitywnych zbrojach, a całą procesję wyprzedzał mistrz niewolnictwa w lektyce niesionej przez parę bliźniąt. Lektyka była rzucającym się w oczy zbytkiem w niskiej grawitacji Gai, zupełnie bezużytecznym, a za to kojarzącym się z teatrami pływającym po wodzie. Oddział straży mógł się natomiast okazać zbyt nieliczny, nawet jeśli ta karawana została zorganizowana przez bandytów. Jednakże mistrz niewolnictwa liczył na wszechobecnych członków mafii, której oddawał swoje usługi.

Tytanie stanęły w szeregu na skraju mola. Strażnicy i mistrz niewolnictwa spojrzeli na nie nerwowo.

- Czy oni są na sprzedaż? - spytała go Valiha.

Mężczyzna był najwyraźniej zdziwiony tym pytaniem.

Wszyscy wiedzieli, że tytanie nie kupują niewolników. Zdrowy rozsądek nakazywał

handlarzom trzymać się od nich z daleka, nie wchodzić z nimi w konflikty, a przede wszystkim traktować je jak niebezpieczne zwierzęta, którymi w istocie były. Dlatego też mężczyzna wstał i wykonał perfekcyjny ukłon. Jego angielski nie był najlepszy, ale dawał się zrozumieć.

- Wszyscy są na sprzedaż, a jakże. Chcecie kupić?

- Przypadkiem chcemy - powiedziała Valiha. Schwyciła go za szyję i silnie ścisnęła.

Dawno, dawno temu, pomyślała, ten człowiek miał matkę. Był jej ukochanym syneczkiem.

Na chwilę zrobiło jej się przykro, kiedy usłyszała trzask kręgosłupa. Ciekawe, dlaczego stał się taki? - pomyślała.

Tylko na tyle zasłużył sobie z jej strony.

Kiedy podniosła wzrok, wszyscy strażnicy byli martwi. Dokonało się to tak szybko, że wielu ludzi na zatłoczonym bulwarze nawet nie zauważyło, że coś w ogóle zaszło. W jednej chwili była tam karawana niewolników i zaraz w następnej już tylko niewolnicy i tytanie układające trupy w równym rzędzie. Paru ludzi pośpiesznie się oddaliło. Inni, zauważywszy, że tytanie nie zachowują się agresywnie, chwilę obserwowali je czujnie, a potem rozeszli się do swoich spraw. Nikt nie krzyknął. Nikt nie zapłakał.

Pozdejmowały ubrania z trupów i razem z bronią utworzyły z nich stos na ulicy, a

potem zdjęły niewolnikom łańcuchy. Potrzebowały trochę czasu, żeby ich przekonać, że są naprawdę wolni. Valiha i jej grupa nie dopuszczali ulicznych nędzarzy wystarczająco długo, by uwolnieni niewolnicy mogli sobie zabrać swoją część łupu. Klawikord zaproponowała, że zaprowadzi do Dzielnicy Wolnych Kobiet te kobiety, które sobie tego zażyczą.

—  
Większość z nich dostanie się ponownie do niewoli za niespełna dziesięć obrotów -  
zaśpiewał Piszczalka.

—  
Wiem o tym - zaśpiewała w odpowiedzi Valiha. - Jednakże nie przybyliśmy tu, by  
oczyszczać cały świat. Tylko tę część i tylko w tej chwili. - Sięgnęła do swojej sakwy, aby wyjąć z  
niej radio.

—  
Rocky, słyszysz mnie? - powiedziała po angielsku. Pieśni tytanii często ulegały  
zniekształceniom, kiedy przechodziły przez te nieporęczne ludzkie urządzenia.

—  
Słyszę, Valiha.

—  
Idą w waszą stronę cztery tytanie. Będą budować zagrody dla tych stworzeń.

Mamy ich jedenaście. Czy Kapitan dała ci jakieś instrukcje, jak mają być przechowywane?

—  
Dała. Ponieważ nie wiemy, czy eliksir Novy nie utracił jeszcze mocy działania, mamy je trzymać w jakiejś odległości od domu. Wybraliśmy już miejsce.

- Przybędziemy do was niebawem.

Opuścili miasto bez żadnych kłopotów.

Valiha zatrzymała się obok cmentarza i nabrała kilka bu-szli piachu do skórzanej

sakwy. Prawdopodobnie nie musiała tego robić - trupy, których nie poddano kremacji, na ogół przemieniały się w zombie - ale gleba Bellinzony była pełna zarodników węży śmierci.

W szybkim tempie ruszyły do Junction. Tam poukładały ciała na ziemi, plecami i

brzuchami do siebie, po czym przysypały je ziemią. Kiedy zombie zaczęły się niemrawo ruszać, pozamykały je w świeżo zbudowanych klatkach.

Po skończonej pracy Valiha z satysfakcją obserwowała monstra człapiące w kółko w klatkach i objijające się bez celu o ich ściany.

Sprawdzenie, co jest je w stanie zabić, mogło się okazać jeszcze bardziej interesujące.

Siedemnaście

—  
Nie podoba mi się to - powiedział Conal po raz trzeci.

—  
Nie umiem pilotować samolotu - oświadczyła Nova. Szarpnęła linkę bezpieczeństwa przy swoim spadochronie i spojrzała na niego.

—  
Nadal mi się to nie podoba - burknął. - Nie wiem, czy ty zdajesz sobie sprawę z



tego, jakie niebezpieczeństwo grozi Adamowi.

—

Chyba na to zasłużyłam - powiedziała Nova, z całej siły starając się nie tracić

panowania nad sobą. - Gram jednak w twoją grę. Wyskakuję, żeby uratować swoją małą siostrzyczkę.

Patrzył na nią długo, a potem skinął głową.

—

Patrz na nogi - ostrzegł ją ponownie. - Na rany Chrystusa, nie pozwól, żeby ta

maszyna przecięła cię na połowę.

—

Będę się pilnowała, ale nie na rany Chrystusa. - Otworzyła drzwi, zamknęła je za

sobą i stanęła na skrzydle.

—

Ostrożnie, odwracając się tak, aby porywacz nie mógł jej widzieć, odpięła linę i

pryczepiła ją do pętli na swojej koszuli. Nova miała zamiar skoczyć, jeśli anioł śmierci upuści jej bra... siostrzyczkę.

Wielka Matko, usłysz swoją cdrkę i obdarz ją pomyślnością.

Spojrzała w dół i z zadowoleniem zauważyła, że nie czuje strachu, a tylko niepokdj.

Denerwowała się nie samym spadaniem, lecz tym, że może spaść w nieodpowiedniej chwili.

Czekała, a w tym czasie Conal zbliżył samolot do celu. Zatoczył wokół niego tak

ciasne koło, że Nova prawie mogła go dotknąć. Silnie zacisnęła nóż w dłoni.

Anioł śmierci zwrócił w jej stronę swoją twarz trupiej czaszki, złożył jedno skrzydło i poszybował prosto ku ziemi.

Nova słyszała, że Conal krzyczy coś przez radio. Przyłożyła bliżej głowę i sama też zaczęła krzyczeć.

- Ścigaj go, do cholery! Leć za nim w dół! Przybliź samolot na tyle, żebym mogła

rozpruć tego świętoszkowatego kutasa!

Conal wykonał rozkaz, ale nie tak szybko, jak chciała No-va. Mimo tego jednak

musiała się przytrzymywać oburącz. Siła odśrodkowa - tłumaczyła sobie. - Czujesz się lżejsza, choć twoja masa jest taka sama.

Samolot pikował, cały czas zwalniając obroty silnika, wciąż jednak nabierał prędkości. Znowu znaleźli się tuż za aniołem śmierci...

...który odwrócił się od nich, wzgardliwie machnąwszy wystrzępionym ogonem.

Conal przeleciał obok, przyhamował, zrobił skręt w lewo...

...i Nova stwierdziła, że wisi wczepiona w skrzydło czubkami palców, ponieważ jej stopy ześlizgnęły się z przezroczystej powierzchni.

Conal wykonał wymyślną beczkę, podczas której jej ciało na moment przestało w ogóle ważyć, więc wdrapała się wyżej, żeby ściągnąć buty. Poczwała, że ciężar powraca, a gdy spojrzała w górę, zorientowała się, że zaraz znowu dogonią anioła.

Tym razem, kiedy Conal wykonywał swoje szaleńcze manewry, trzymała się tylko jedną ręką. Zrównał się z aniołem i znowu przyhamował, więc wspięła się, ciężko dysząc.

—  
To na nic - powiedział Conal. - Omal się z nim nie zderzyłem.

—  
Wiem - powiedziała, wsiadając z powrotem do kabiny.

Conal trzymał luźny koniec liny bezpieczeństwa i był wyraźnie wściekły. Już miał coś powiedzieć, kiedy z radia dobiegł ich głos Cirocco.

- On nadal spada, Conal. Może byś tak wyrównał i przyłączył się do nas?

Zawrócił i wypatrzył samolot Cirocco ścigający anioła, który opadał teraz w znacznie wolniejszym tempie. Poleciał w ślad za nimi w dół.

Anioł śmierci długo leciał w dół. Przestał spadać, gdy od ziemi dzieliła go wysokość tylko jednego kilometra.

—  
Przynajmniej warto było próbować - powiedziała Cirocco niezbyt pewnym tonem.

- Do końca życia by to nas gryzło, gdybyśmy nie spróbowali.

—  
Czyli że to już koniec? - spytała Robin.

—  
Całkiem możliwe - powiedziała Cirocco. - Moi drodzy, ten stwór zmniejszył nasze szanse na złapanie Adama o dziesięć procent.

—  
Więcej - powiedziała Nova.

—  
Okay, więcej. A co gorsza, jeśli upuści Adama, to będzie to nasza wina, że zleciał tak nisko.

- Musieliśmy spróbować - powiedział Chris.

Zamyśliwszy się Cirocco pokiwała głową.

- Ludzie, właśnie przesłano nam wiadomość. Gaja nie zrobi krzywdy Adamowi. Ale chętnie pozwoli nam go zabić, gdybyśmy byli zbyt sprytni. Dlatego musimy zwiększyć dystans o jakiś kilometr i liczyć na to, że ten sukinyś wzięci trochę wyżej.

Zrobili to i niebawem anioł śmierci wzbiał się na wysokość dwóch kilometrów i na niej już pozostał. Potem z jaskrawo-żółtych piasków Mnemosyne wystartował w górę kolejny anioł i przejął Adama. Patrzyli, jak drugi potwór rozpada się tak samo jak pierwszy, podczas gdy trzeci podejmuje niezmordowany lot przed siebie.

.- Cirocco, mamy kłopot z paliwem - powiedział Conal.

Patrzyła na dane liczbowe z jego komputera, które wypełniły jej ekran. Potem oparła się wygodniej i przemyślała to, trzykrotnie, dopóki nie poczuła pewności, że wybrała właściwy kierunek działania.

—  
Dam ci teraz trochę mojego paliwa - powiedziała Co-nalowi. - Zostawię sobie tyle,

ile mi wystarczy na dotarcie do bazy w północnej ścianie. Pozostawię tam Czwórkę i wrócę w czymś większym i bardziej zasobnym.

—  
Zrozumiałem.

Conal zrównał poziom lotu z maszyną Cirocco, podleciał pod nią, przestawił swój samolot na automatycznego pilota, a sam wypełził na zewnątrz, aby schwycić przewód paliwowy zwisający z większego samolotu. Podłączył go i obserwował napełnianie się zbiornika.

—  
Leć niżej za nami, tak jak uzgodniliśmy - powiedziała Conalowi Cirocco. - To już niedaleko.

—  
Nie przejmuj się nami, Kapitanie - padła odpowiedź. Opuściła skrzydła i skierowała się na północ.

To, co nastąpiło potem, było równie zadziwiające jak przemiana moskita w jastrzębia.

Samoloty to seria kompromisów. Projektant musi zdecydować, które cechy są najważniejsze, i na tej właśnie podstawie opracowuje swe dzieło, wiedząc, które z parametrów na tym ucierpią. Powolny samolot latający na dużych wysokościach potrzebuje dużej powierzchni skrzydeł, aby móc się unosić w rzadkim powietrzu. Bardzo szybki samolot nie potrzebuje dużych skrzydeł, ale musi wytrzymać ciepło atmosfery. W każdym przypadku istnieją problemy z wytrzymałością konstrukcji. Najszybsze samoloty latają zazwyczaj na krótki zasięg, ponieważ zużywają nadmierną ilość paliwa.

Seria Ważek była najbardziej udaną próbą ziemskich inżynierów stworzenia samolotów, które dobrze wykonywały wszystkie te rzeczy. Zostały zaprojektowane na warunki ziemskie. Środowisko Gai było inne, ale większość różnic działała na korzyść Ważek.

Zespoły silnikowe były małe, lekkie i w prawie stu procentach paliwooszczędne.

Kadłuby były bardzo silne, lekkie, odporne na ciepło i potrafiły zmieniać geometrię lotu.

Na Ziemi Ważka traciła siłę nośną przy prędkości dziesięciu kilometrów na godzinę.

Na obręczy Gai, gdzie ciśnienie powietrza wynosiło dwie atmosfery, Ważka potrafiła utrzymywać się w powietrzu przy prędkości spacerowej. Na Ziemi potrafiła osiągać

wysokość siedemdziesięciu tysięcy stóp; na Gai ta możliwość była marnowana, jako że nawet w piąście ciśnienie wynosiło jedną atmosferę. Można w niej było wykonywać akrobacje powietrzne, z obrotami, jakich żaden pilot nie byłby w stanie znieść bez chwilowej utraty wzroku. Była ultralekka, odporna na idiotów, wydajna, oszczędna, paliwo-oszczędna, wysokościowa, dalekosiężna...

...i odrzutowa.

Cirocco kilkakrotnie przekraczała barierę dźwięku na Gai, choć robienie tego nie

bardzo miało sens. Na obręczy prędkość dźwięku wynosiła od tysiąca trzystu do tysiąca czterystu kilometrów na godzinę, w zależności od temperatury. Przy tej prędkości najdłuższa możliwa wyprawa mogła trwać godzinę i kwadrans.

Kiedy Cirocco ruszyła w stronę południowej Mnemosy-ne, Ważka znajdowała się w

odległości około dwustu kilometrów od swego celu. Silniki zawyły, skrzydła odgięły się w tył, a następnie schowały w kadłubie, który zwęził się, i po trzech minutach, leciała już z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę. Kilka minut później musiała zacząć hamować.

Celem była jaskinia znajdująca się na wysokości mili w ścianie stromego klifu

północnego płaskowyzu.

Kiedy wypowiedziała wojnę rakietom, kupiła taką ilość broni, że można nią było

uzbroić bananową republikę średniej wielkości. Już sama broń wiele ją kosztowała, a koszty przewozu na Gaję jeszcze potroiły całą sumę, ale nie liczyła się z tym. Na Ziemi miała mnóstwo pieniędzy, zarobionych głównie dlatego, że żyła tak nieziemsko długo, a zresztą traktowała je jak zwykły papier - mniej niż papier, bo papier nadaje się przynajmniej do rozpalenia ognia. Cieszyła się, że chociaż teraz te śmieci do czegoś się przydadzą..

Zniszczenie wszystkich rakiet nie trwało długo. Wystarczyłyby do tego same Ważki,

ale kupiła znacznie więcej sprzętu. Większa część wciąż jeszcze tu była.

Pozwoliła mózgowi samolotu pilotować go na dystansie ostatnich stu metrów, po

czym przejęła stery i wleciała do jaskini, kierując strumień wylotu w taki sposób, by maszyna ustawiła się w pozycji pionowej. Gdy już wysiedli, nakazała Chrisowi i Robin wynieść cały osobisty sprzęt. Potem wybrała inny samolot.

Jaskinia była bardzo wielka. Mieściła w sobie trzydzieści samolotów.

Wybrała Modliszkę Pięćdziesiąt, która pochodziła z tej samej generacji co Ważka, tyle że przeznaczona została do czegoś innego niż tylko transport. Została tak nazwana, ponieważ mogła przenosić albo pięćdziesięciu ludzi i niewielką ilość broni, albo dwudziestu pięciu ludzi i bardzo dużo broni, względnie dziesięciu ludzi i pociski w ilości wystarczającej do zestrzelenia szwadronu

samolotów starszej generacji czy zrównania z ziemią niewielkiego miasta.

Ponieważ Chris zajmował tyle miejsca, ile potrzebowało dwóch ludzi, załoga Cirocco miała liczyć cztery osoby. Dlatego też swój ładunek zaplanowała stosownie do tego.

Wszyscy troje spędzili następne pół godziny na przymocowywaniu do skrzydeł pocisków, ładowaniu działek i pakowaniu bomb. Lasery potrafiły same zadbać o siebie.

Stworzenie uczone do pionowej powierzchni centralnego kabla Mnemosyne nie było rakieta, w takim samym sensie w jakim aligator nie jest iguaną.

Zostało skonstruowane na podobieństwo 707. Miało odchylone do tyłu skrzydła, na których podwieszono cztery silniki strumieniowe.

Gaja, która wymarzyła je sobie przed trzema myriaobrotami i potem jak zwykle

przypatrywała się, jak jej marzenie budzi się do życia, nazwała je, a także jego braci i siostry, Luftmorderem. Nazwa ta została czytelnie wypisana po angielsku na jego wąskim kadłubie, który gulgotał z ukontentowaniem pełnym ładunkiem nafty. Sam napis był biały, reszta miała kolor zakrzepłej krwi.

Nie było wielu mu podobnych. Na całej Gai tylko dziesięć. Wszystkie zwisały z kabli na podobieństwo końskich okularów.

Wiodło jak dotąd nudne życie, ale było cierpliwe. Nigdy nie poddało swoich skrzydeł jakiejś próbie. Jednak jego dzień miał nadejść. Czekał nań z upragnieniem.

Luftmorder nie był szczególnie inteligentnym stworzeniem, ale nie należało nazywać go głupim. Znał swój wyraźnie określony cel i był całkiem sprytny w dążeniu do jego osiągnięcia. Wisiał już od trzech myriaobrotów, żywiąc się naftą skapującą z kabla. Mógłby tak wisieć w nieskończoność, ale nie sądził, że będzie musiał. Wyczuwał podniecenie Gai.

Wkrótce miały nadejść rozkazy.

U jego kadłuba z kolei wisiały uczone dziesiątki stworzeń zwanych grzechotnikami i czerwonoookami, które awanturowały się przy zimnych sutkach wyrastających rzędami pod jego skrzydłami. Czysto teoretycznie czerwonoooki były większe, zaś grzechotniki szybsze, ale oba gatunki były zupełnie głupie - niezbędne utrapienie. Każdemu z nich ofiarowano w życiu tylko jedną szansę, ponieważ były jednorazowe. Każde stworzenie stanowiło organiczny twór zbudowany na bazie szkieletu ze stałego paliwa. Ich mózgi były sprzężone z rdzeniami zawierającymi ładunek wybuchowy. Widziały w widmie podczerwieni i uwielbiały jasne barwy, tak jak ćmy kochają płomień.

Luftmorder nie był rakieta, choć wiązało go z nią pewne pokrewieństwo. Natomiast dziewięć innych aeromorfów doczepionych do kabla w jego pobliżu znacznie bardziej przypominało rakiety, podobnie jak charty i doberman w jakimś sensie przypominają pekińczyki. Luftmorder był niekwestionowanym flugelfuhrerem eskadry. Skupiwszy swój podczerwony wzrok, obserwował dwa samoloty, które plątały się gdzieś pod nim. Widział, jak na pewien czas się szczepiły, widział, jak większy z nich w pewnym momencie skręcił i szybko odleciał na północ. Rakiety chciały ruszać, ale nakazał im spokój. Kiedy samolot znalazł się już daleko, a potem wylądował przy źródle nafty, którego istnienie wyczuł dzięki swym gajańskim instyktom, wysłał pięciu swych podkomendnych, jednego po drugim, i obserwował, jak opadają ku jasnym piaskom.

Osiemnaście

---

Któregoś dnia będziesz musiała im się przyjrzeć z bliska - powiedział Conal, gdy zauważył, że Nova patrzy na centralny południowy kabel Mnemosyne. - Wątpię, czy widziałaś już kiedyś coś takiego.

---

Stąd wydaje się taki cienki - zauważyła Nova. - Jak nitka.

---

Ta nitka ma około pięciu kilometrów szerokości. Jest zrobiona z setek włókien.

Żyją na nich rośliny i zwierzęta, które nigdy nie schodzą na ziemię.

---

Moja matka powiedziała, że Cirocco Jones wspięła się kiedyś na jeden z nich. -

Wygiąwszy szyję, wypatrzyła punkt, w którym kabel łączył się z łukowatym sklepieniem Mnemosyne. - Nie rozumiem, jak jej się to udało.

---

Zrobiła to razem z Gaby. I to nie był żaden z tych kabli. Te są zupełnie proste.

Cirocco wspięła się na jeden z tych wygiętych, taki jak te przed nami. Widzisz, jak się wyginają w górę i pną w stronę szprychy Okeanosa? Stąd nie można zajrzeć do środka szprychy. Cirocco

twierdzi, że to właśnie one spinają Gaję.

—

Dlaczego cały ten teren pod nami jest martwy?

—

Z powodu czerwia. Jest taki duży, że mógłby dłubać w zębach Mount Everestem.

—

Czy myślisz...? - Urwała i potężnie ziewnęła. -..Czy myślisz, że uda nam się go zobaczyć?

—

A może tak byś się przespała?

—

Nic mi nie będzie.

—

Akurat. Powinnaś się przespać. W razie konieczności obudzę cię, a jeśli nie będzie się działo nic ważnego, wdwczas zmienisz mnie za kilka obrotów.

—

Ile to jest obrót?

—

Niecała godzina.

—

No dobra, prześpię się trochę. Dzięki. - Usiadła wygodniej.

—

Jak twoja ręka? Może ci poprawić bandażę?

—

W porządku. Uderzyłam się w nią, kiedy wisiałam na skrzydle. - Obdarzyła go



sennym, przyjaznym uśmiechem, po czym jakby się zawstydziła. Conal stłumił uśmiech.

Najwyraźniej zachodziła w niej zmiana na lepsze. Już musiała sobie przypominać, że powinna być gburowata. Może niebawem całkiem o tym zapomni. A wtedy być może już

niedaleko do pełni szczęścia...

Zamknęła oczy, nie minęło dziesięć sekund i już spała. Conal zazdrościł jej. Jemu

zazwyczaj zabierało to całą minutę.

Podczas gdy spała, spoglądał na nią z lekkim zażenowaniem. Jej twarz złagodniała i wyglądała jeszcze młodziej.

Miała dziewczęcą buzię, z rumieńcami i wystającą dolną wargą. W zadartym nosie i

wydatnej szczęce Conal dostrzegał rysy jej matki. Kiedy miała zamknięte oczy, trudno było się doszukać jej niepokojącego podobieństwa do Chrisa.

Głos rozsądku nakazał mu odwrócić wzrok w momencie, gdy zabłądził wzrokiem na

krągłe piersi, kształtne biodra i długie nogi. Pomimo dziecinniej twarzy miała kobiece ciało.

- Uwaga - powiedział komputer. - Zauważono wrogi samolot na...

Conal wcisnął klawisz przerywający komunikat i zerknął na Nowę. Zatrzepotała

powiekami, wydała z siebie mało elegancki odgłos i zagłębiła się wygodniej w poduszkach.

Kolejne utrapienie. Ten cholerny komputer miał dobrą pamięć. Wprowadzono do

niego dane dotyczące powietrznej wojny Cirocco z raketami, więc teraz usiłował ostrzec Conala przed istnieniem bazy, która była pusta od osiemnastu lat. Rakiety lubiły się zbierać przy centralnych kablach. Wisiały tak latami, nosami w dół, i czekały na swoją okazję.

Musiały tak wisieć, ponieważ ich silniki mogły zostać zainicjowane tylko w ruchu. W istocie same były tylko prymitywnymi silnikami strumieniowymi, niczym więcej jak zwykłymi, choć nadzwyczaj wyrafinowanymi pochodniami, które pobrzękiwały cicho na tle warkotu Ważki.

Cieszył się, że wszystkie są martwe.

A jednak czy nie byłoby zabawniej, gdyby...

Zerknął na centralny kabel i dostrzegł maleńką plamkę opadającą w stronę piasków.

Zamrugał, przetarł oczy i spojrzał znowu, ale tym razem nie zobaczył już nic. Długo jeszcze przypatrywał się kablowi, po czym pokręcił głową. Łatwo było zapomnieć, jaki jest wielki.

Co się spodziewał zobaczyć? Uwieszone na nim rakiety?

Ale z drugiej strony co to, do cholery, było?

Pogmerał przy radarze, ale jego ekran był ciemny. Spojrzał w górę na anioła, który niósł Adama. Wszystko w porządku.

Odruchowo podwyższył poziom zasilania i wzbił się gwałtownie na wysokość sześciu kilometrów.

I wtedy rozległ się pisk radaru.

- Alarm - oznajmił komputer. - Zbliżają się cztery, poprawka, pięć nie zidentyfikowanych samolotów. Poprawka, trzy nie zidentyfikowane, poprawka, cztery...

Conal zlekceważył głos, który tylko rozpraszał jego uwagę. Odczyt radarowy zwykle mówił mu znacznie więcej.

Ale nie tym razem. Na ekranie zobaczył wyraźnie dwie błyszczące kreski, zbliżające się gwałtownie w jego stronę. Po chwili były już trzy, a zaraz potem dołączyła czwarta.

RADAROWY SYSTEM PRZECIWDZIAŁANIA WŁĄCZONY - pojawił się napis na ekranie komputera.

Mógł uznać, że są to Ważki albo powracająca Modliszka Cirocco. Przypuszczał, że potrafiłaby kierować trzema samolotami przy pomocy autopilota, ale po co jej aż trzy? I dlaczego mu o niczym nie powiedziała? Poza tym rakiety nie potrafiły zakłócać działania radaru.

—

Trzymaj się, Conal - mruknął do siebie. Przede wszystkim nigdy nie widział rakiety. Nigdy z żadną nie walczył. A wiara, że na Gai nic się nie zmienia, była najprostszą drogą do śmierci.

—

Obudź się - powiedział i potrząsnął Novę za ramię. Oprzytomniała bardzo szybko.

—

- Cirocco, widzę kilka nie zidentyfikowanych punktów na ekranie. Co najmniej cztery, a być może pięć. Nie odpowiadają na wezwania transponderdw. Zbliżają się do mnie z prędkością około...

pięciuset kilometrów na godzinę i używają antyradaru. Wzbiłem się na wysokość sześciu kilometrów, na wypadek... na wypadek gdyby podjęły wrogie działania.

Ja... - urwał i wierzchem dłoni otarł pot z czoła. - Do diabła, Cirocco, co ja mam robić?

Nasłuchiwali oboje, ale nie usłyszeli nic prócz trzasku zakłóceń atmosferycznych.

Nova badała wzrokiem niebo, ale wątpił, czy cokolwiek wypatrzy. Potem, niech jej będą dzięki, odwróciła się szybko i zaczęła wygrzebywać ze stosu innych rzeczy kombinezony kuloodporne.

—  
Cirocco, słyszysz mnie? - Ponownie cisza. Prawdopodobnie wysiadła z samolotu,

kompletowała uzbrojenie i przeprowadzała kontrolę. Może go właśnie usłyszała i idzie już do radia.

—  
Cirocco, mam zamiar odciągnąć ich od Adama, a potem ich zestrzełę.

Pozostawiam ten kanał otwarty. - Nova podała mu hełm i leginy. Założył hełm i machnął

ręką. - Zapomnij o tym, nie mamy czasu. Zapnij sprzączki i trzymaj się. - W momencie, gdy zaciągnęła pasek na brzuchu, Conal pociągnął drążek i otworzył przepustnicę. Mały samolot poderwał się naprzód po łuku przypominającym trajektorię rakiety.

Nova rozglądała się we wszystkie strony.

—  
Ci z radaru są pod nami - oznajmił Conal. - Trzymają się blisko ziemi, więc teraz są za nami i nie sądzę...

—  
O tutaj - zauważyła Nova i wskazała palcem na lewo przed nimi.

To coś leciało prosto na nich, pikując jak jastrząb. Z każdą sekundą stawało się coraz większe.

Conal pchnął orczyk w prawo i zamknął przepustnicę, samolot położył się w ostry

skręt. Rakietę przeleciała obok nich z przenikliwym piskiem. Conal dostrzegł połykającą powietrze paszczę rekina i skrzydła w kształcie łuku, opadające w dół i mocno wygięte do tyłu. Na moment wlecieli w gorący podmuch wydobywający się z tylnej dyszy, po czym Conal zawrócił i położył samolot na skrzydło, aby lepiej widzieć.

Dlaczego nie strzelałeś? - spytała Nova.

—

Zapomniałem, że mam działka - wyznał. - Widzisz tamte w dole?

—

Tak. Ta pierwsza kręci się w kółko, pozostałe cztery...

—

Mam je. - Cała czwórka leciała w górę zwartym szykiem. To przypomniało

Conalowi pewien chłodny zimowy dzień. Miał wtedy dziesięć lat i oglądał pokaz “Śnieżnych ptaków”, kanadyjskiej drużyny latania precyzyjnego. Maszyny dolatywały do siebie, stykały się czubkami skrzydeł i natychmiast zawracały. Potem wzbijały się do góry, tak jak te, a w najwyższym punkcie toru lotu...

... rakiety rozproszyły się, a czarne smugi strumieni wylotowych podzieliły niebo na cztery części.

Conal miał je teraz wszystkie na radarze. Obraz był wyraźny, komputer, z początku

oglupiony, uczył się nowych namiarów podawanych przez radar, uświadomił sobie, jak to cholernie dobrze, że ma radar. Zdumiewające, jak szybko te diabły zniknęły z pola widzenia.

Przepęłniło go poczucie bezradności. Oboje obserwowali, jak świetlne plamki na

radarze obracają się i skręcają bez żadnego wyraźnego planu. Conal czuł, że powinien przygotować się na jakiś manewr, ponieważ nie było już wątpliwości, że były to rakiety. Nie miał zielonego pojęcia o walce w powietrzu.

Wytarł spocone dłonie o spodnie i zaczął się zastanawiać.

Co on wiedział o rakietach?

- Są wielkie, niezgrabne, dość wolne i nie wyposażone do walki w powietrzu - słyszał

w pamięci głos Cirocco.

Opowiadała raczej niewiele o tych stworach. - Ich główna taktyka polega na taranowaniu.

Musiałam bardzo uważać, bo ich najwyraźniej nie obchodzi własne życie. Jedna kiedyś mnie trafiła i tylko cudem wyszłam z tego cało.

Wszystko się doskonale zgadzało. Ta, która właśnie omal ich nie staranowała, była

rzeczywiście duża - prawdopodobnie trzy razy dłuższa od małej Ważki. Ale niezgrabna i wolna?

Ponownie spojrzął na poskręcane linie pozostawione na niebie. Uważał, że Ważka jest od nich szybsza i z pewnością bardziej zwrotna, ale rakiety wcale nie wyglądały aż na takie niezgrabne.

---

Jedna leci za nami - powiedziała Nova.

---

Widzę ją. - Myślał o kilku rzeczach jednocześnie, starając się wpaść na jakiś pomysł. Bitwy powietrzne widywał tylko na filmach. Tam samoloty nadlatywały od słońca, ale to raczej nie mogło się udać na Gai. Wsiadały na ogon i ze-strzeliwały. Rakiety jednak nie miały działek, a więc sytuacja była tu zupełnie inna.

Poczuł się odrobinę lepiej. Zwolnił trochę, pozwalając, by jego prześladowca podleciał nieco bliżej, po czym wykonał serię gwałtownych zwrotów, cały czas nie spuszczać wzroku z pozostałej czwórki. Lecząca za nim rakietą powtarzała jego manewry, ale znacznie wolniej i niezbyt dokładnie. Pewność siebie Conala rosła. Okay, trzeba teraz...

Wprowadził myśl w czyn: z całej siły pociągnął drążek do siebie i wzbił się świecą w górę, czując, jak pięć g wbija go w siedzenie. Wykonał szeroką pętlę, rakietą zrobiła to samo, została w tyle i trochę zwolniła. Conal wykonał skręt w prawo przy ośmiu g, a potem zanurkował, raptownie skręcił... i rakietą była już prawie pod nim, więc zwolnił, rozłożył

skrzydła i poczuł wstrząs, gdy wbiły się w powietrze. Natychmiast zwiększyła się siła nośna, robił jednak, co mógł, by utrzymać dziób skierowany w dół...

Stworzenie znalazło się w zasięgu jego wzroku, krzyknął mimo woli, kiedy usłyszał

terkot dział. Nie przestawał krzyżeć, obserwując szaleńcze skręty rakiety. Potem nastąpił

rozbłysk pomarańczowego ognia, a Conal musiał wzbić się w górę i nieco zwolnić, bo inaczej wpadłby jej na ogon. Przeleciał przez słup czarnego dymu i zobaczył pod sobą raketę. Z

oberwanym jednym skrzydłem spadała spiralnym torem na ziemię znajdującą się dziesięć kilometrów niżej.

---

Ale kino! - wrzasnął. Nova podskakiwała w siedzeniu, wydając z siebie jakieś

dziwaczne okrzyki, ale widząc jej roziskrzony wzrok, zrozumiał, że to radość. Jej oczy lśniły niesamowicie. Conal czuł, jak przepelnia go miłość.

—  
Conal, Conal, słyszysz mnie?

—  
—  
Jestem tu, Cirocco.

—  
Startujemy za dwie minuty. Jaka jest twoja sytuacja?

—  
Właśnie rozwaliłem jedną rakietę, Kapitanie. - Nie był w stanie ukryć dumy. -

Zostały jeszcze cztery. - Zerknął na Novę, która wybrała właśnie ten moment, żeby spojrzeć na niego. Trwało to zaledwie sekundę, ale jej figlarny uśmiech mówił: jesteś w porządku”. Na Boga, pomyślał, czy tak nie jest? Nigdy dotąd nie byli z sobą tak blisko. Po chwili znowu patrzyła na niebo.

—  
Nie będziemy przyglądać się krajobrazom po drodze - obiecała Cirocco.

—  
Myślę, że nic się nam nie stanie, Kapitanie.

—  
Trzy nas teraz gonią - zauważyła Nova.

—  
Widzę je. - Miał je na ekranie radaru i przed oczyma. Zastanawiał się, co knują oraz gdzie się podziała czwarta.

—  
Zapytam Kapusia, czy on coś o tym wie - obiecała Cirocco. Conal nie zdążył

odpowiedzieć. Znowu zwolnił, zrobił szeroką pętlę i już miał strzelić do jednej z rakiet w ścigającym go szyku, ale zrezygnował, gdy zdał sobie sprawę, że musi ostrożnie gospodarować amunicją.

Tak więc wciągnął je w radosną gonitwę po niebie, aż w końcu musiały zmienić szyk, rozproszyć się i ponownie zorganizować formację, podczas gdy on w tym czasie nabral

wysokości, wciąż martwiąc się tą czwartą. Nie widział jej na ekranie. Nagle zrozumiał.

—  
Jedna prawdopodobnie leci w waszą stronę, Kapitanie - powiedział. - Pewnie spróbuje zaskoczyć was, kiedy będziecie startowali.

—  
Będę uważała, dzięki.

Po raz kolejny zebrały się z tyłu za nim. Zaplanował swoje posunięcia tak, by

zestrzelić jedną lub dwie, dopóki nie przybędzie Cirocco. Ścigały go teraz nierównym szeregiem. Zamknął przepustnicę, zwolnił i zobaczył, że ostatnia w szyku również nagle zwalnia. Nie podobało mu się to. Potem Ważką szarpnęło gwałtownie w lewo, tak że drążek omal nie wypadł mu z ręki. Wyrzwał przez okno i zobaczył, że w skrzydle, tuż przy działku, zije nieregularny otwór. Po chwili pojawiły się jeszcze dwie następne dziury, a ponad jego głową coś zaszurało po twardej materii dachu. Spojrzał na głębokie wyżłobienie, po czym z całej siły pociągnął drążek.

- Strzelają do nas! - krzyknęła Nova.

Przez następne dwadzieścia sekund nie zdawał sobie dokładnie sprawy z tego, co robi.

Ziemia była wszędzie, w jednej chwili z boku, nad głową, po czym zawirowała w dół. Udało się. Jedna rakietka znalazła się na moment w polu widzenia, więc strzelił, ale nie trafił. Gdy się obejrzał, cała trójka znajdowała się daleko w tyle, ale ponownie formowała szereg.

Może by po prostu im uciec? Sądził, że nie są w stanie osiągnąć jego największej prędkości. Lepiej nie ryzykować, a poza tym...

Niepokoił się jednak uszkodzonym skrzydłem. Ważki były niezwykle wytrzymałe, ale istniały przecież jakieś granice.

Wzruszył ramionami i z całej siły nacisnął zawór przepustnicy.

- Przed tobą!

Musiała mieć nieprawdopodobnie dobry wzrok. Nie zauważył w porę tej rakietki - nie

widział jej, dopóki nieomal nie zasłoniła mu pola widzenia, ziejąc w ich stronę jezorami ognia z

rozdziawionej paszczy. Pociągnął drążek w dół i zanurkowali pod czwartą bombę, unikając staranowania zaledwie o metr. Usłyszał wybuch i odważył się obejrzeć za siebie. To była zła taktyka. Rakieta nie trafiła go, a za to zderzyła się czołowo z trzecią w lecącym za nim rzędzie. To, co spadało w stronę Mnemosyne, nawet nie przypominało maszyny latającej.

---

Conal - dobiegł go zaniepokojony głos Cirocco. - Kapuś twierdzi, że mogą być uzbrojone. Nie wiem, czy można mu wierzyć.

---

Dzięki! - krzyknął i zanurkował, gdy tylko usłyszał stukot gradu kul. Skierował się w stronę ziemi i wykonawszy obrót, runął w dół. Potem coś uderzyło o kadłub i przez chwilę wydawało się, że rykoszetuje po całym wnętrzu. Kabina wypełniła się gryzącym dymem.

Nova krzyknęła i zaczęła tupać.

---

To żyje, to żyje! - wrzeszczała, ale nie miał czasu spojrzeć. Nadal wykonywał obroty i raz jeszcze bomby rozprószyły się z tyłu za nim. Kiedy uznał, że wreszcie może, spojrzął w prawo. Nova z wyrazem obrzydzenia na twarzy deptała po czymś czarnym, co wiło się, podskakiwało i dymiło. Miało paszczę i stale usiłowało ją gryźć po nogach. W pewnym momencie rzuciła na to nie używany legin i mocno przygniotła.

Rozległ się trzask przypominający wybuch petardy i noga Novy podskoczyła tak gwałtownie, że kolano uderzyło ją w brodę. Przenikliwy szum, który słyszał od czasu, gdy zostali trafieni, zmienił częstotliwość i zobaczył, jak czteroca-lowy otwór w podłodze wsysa szczątki legina.

Nie miał czasu, aby się tym przejąć. Nieomal leżąc na desce rozdzielczej, zwolnił i sunął teraz nad pustynią z prędkością nieomal siedmiuset kilometrów na godzinę, nie więcej niż pięćdziesiąt metrów nad powierzchnią wydm. Lewe skrzydło wręcz wrzeszczało z bólu.

I wciąż nie miał czasu, aby spokojnie pomyśleć, bo znowu ich ściagały, ani na moment nie przestając strzelać.

- O do diabła - zawołał. - Już mnie to wkurza. - I to była prawda: był wściekły i

powoli tracił panowanie nad sobą. Nie myśląc więc wiele, zwolnił i nie przestając robić uników, powoli wznosił się w górę, dopóki nie stwierdził, że ma wystarczająco dużo miejsca.



Wtedy zamknął przepustnicę i pchnął dźwignię do przodu najmocniej, jak tylko potrafił.

Przez chwilę nie wazyli nic, a potem siła g zaczęła ich ciągnąć, coraz to mocniej, wręcz wyrywając z pasów bezpieczeństwa. Lecieli prosto w stronę ziemi, znajdującej się już bardzo blisko. Pięć g, sześć, siedem. Przy dziesięciu twarze im poczerwieniały, dookoła z bolesną powolnością obróciła się ziemia. Skrzydło głośno zaprotestowało; Conal zastanowił

się, czy przypadkiem nie złożył go za bardzo. Wykonał pętlę odwróconą, najciaśniej, jak tylko mógł. Liczył tylko na to, że rakiety pozostały z tyłu i że wkrótce zobaczy przed sobą skrawek nieba.

W otworze w podłodze widział coraz więcej błękitu. Niejasno zdał sobie sprawę, że

chyba słyszy huk. Zdobył się na uśmiech, ale jego myśli płynęły powoli. Jeśli wykonał to poprawnie, to rakiety właśnie uderzały o ziemię.

Leciał tuż przy ziemi, do góry nogami. Piasek był tak blisko, że gdyby podniósł rękę, mógłby go dotknąć.

Delikatnie uniósł Ważkę wyżej, aż uzyskał tyle miejsca, by móc wykonać beczkę.

Zerknął na Novę, była zielona na twarzy. Czułby się pewnie tak samo, gdyby tylko miał na to czas. Skrzydło zaczęło drgać. Wzbił się powoli na wysokość jednego kilometra, trzykrotnie zwalniając, za każdym razem, gdy słyszał łopotanie skrzydła. Miał wrażenie, że jedzie samochodem po wyboistej drodze. Zerknął znowu na skrzydło, zauważył, że trzyma się już tylko na jednej podpórce, i wtedy wyłączył silnik. W zupełnej ciszy pełzli przez powietrze.

- Skacz! - krzyknął i patrzył, jak otwiera drzwi. Zapomniała zwolnić blokadę, więc zrobił to za nią, potem wypchnął ją, popatrzył, jak wyskakuje na zewnątrz, po czym sam skoczył z drugiej strony i zaczął spadać.

Policzył do dziesięciu - przy siedmiu zaczął szcząkać zębami, bo właśnie sobie

przypomniał, że nigdy dotąd nie skakał na spadochronie - i pociągnął za linkę. Spadochron rozwinął się, szarpnął jego ciało i Conal odetchnął głęboko. Rozejrzał się dookoła, dostrzegł

bliźniacze słupy ognia w miejscu, gdzie rozbili się jego prześladowcy, a po chwili wypatrzył

jaskrawopomarańczowy kwiat spadochronu Novy.

Spisał się idealnie: pięć na pięć.

Na wieść o tym Gaja spurpurowiała.

—  
On naraził moje dziecko na niebezpieczeństwo! - zawyła i zaczęła skakać po, już i

tak mocno stratowanym, gruncie Pandemonium. Wszyscy pośpiesznie uciekali jej z drogi.

Niektórym się nawet udało.

—  
Komu, jak mu się wydaje, on służy? - grzmiała. - Żadnego ryzyka, nie wolno ryzykować życiem tego dziecka! Czy nie wyrażałam się dość jasno w tej sprawie?

Rozległy się potwierdzające okrzyki. Zewsząd zbiegły się pragnące to filmować boleksy, włączając na siebie niczym żuki w słoju.

Gdy podniosła rękę, wszystko ucichło z wyjątkiem szumu kamer. Zaciśnęła dłoń w pięść wielkości furgonetki i z nieba runęła błyskawica, tworząc wokół niej purpurową aureolę.

Z twarzą wykrzywioną z wściekłości odrzuciła ramię do tyłu niczym oszczepnik i cisnęła w stronę Mnemosyne coś, co mogło być karzącym gromem.

Zbiorniki paliwowe zawieszonego wysoko na centralnym kablu Luftmordera

ekspłodowały. Grzechotniki i czerwonoooki zaczęły płonąć i choć starały się gwałtownie uciekać, ekspłodowały jeden po drugim, gdy ogień docierał do ich zapasów paliwa. Spłonęły również cztery rakiety. Całemu wydarzeniu towarzyszył nieopisany hałas i rozległa łuna mocno przypominająca tradycyjny japoński pokaz sztucznych ogni zwany Bukietem

Chryzantem. Na Gai pozostało już tylko dziewięć bojowych grup Luftmorderów.

Robin, Chris i Cirocco zauważyli ten spektakl. Cirocco ominęła go ostrożnie, ale

kiedy z kabla nic nie wystartowało, aby ich ścigać, złożyła skrzydła prawie przy samym kadłubie i skierowała się w stronę miejsca, z którego unosiły się kłęby czarnego dymu.

Wywoływała bezustannie Conalą, ale nie było żadnej odpowiedzi.

Dotarłszy do dwóch kolumn dymu, zwolniła i zaczęła kołować. Wszyscy troje

obawiali się, że jeden z ofiarnych stosów oznacza groby Conalą i Novy.

Po niebie przeleciała rakietą. Rozległ się wybuch. Trzy minuty później Cirocco

łagodnie wylądowała. Nie wyłączyła silników, dopóki Robin i Chris nie wyskoczyli na zewnątrz i nie pobiegli w stronę dwóch postaci.

Conal miał skręconą w kostce nogę. Cirocco uważała, że na miękkim piasku jest to

niemożliwe, ale przypomniała sobie, że jakoś nigdy nie wyszkoliła go w skokach spadochronowych, mimo iż miała przecież taki zamiar.

Opasywał teraz ramieniem kark Novy, a ona obejmowała go w pasie, dzięki czemu

pomimo jednej czwartej g udawało im się jakoś wędrować normalnym tempem marszu. Nova była wyższa od Conala o cztery cale, a on uśmiechał się głupawo. Cirocco była ciekawa, czy ta kostka rzeczywiście tak mocno go boli.

—  
Mamy trochę czasu, Cirocco? - spytał.

—  
To zależy. Jak tam w górze? - Pomyślała o Adamie i wiedziała, że będą musieli

mocno uważać, na wypadek gdyby rakiety miały zaatakować ich znowu. Na myśl o rakietach jej wzrok nerwowo powędrował ku niebu. W tym momencie stanowili piekielnie dobry cel.

—  
W kadłubie jest coś, co chyba powinniśmy obejrzeć. To tam.

—  
Ja to przyniosę - powiedziała Nova i puściła go. Zachwiał się, stracił równowagę i usiadł na piasku. Obserwowali Novę biegnącą w stronę wraku Ważki.

—  
Strzelali do nas - wyjaśnił Conal. - Kapuś mówił prawdę.

Opowiedział im o ataku i o tym, jak zestrzelił jedną rakietę, dwie zmusił do kolizji i spowodował, że pozostałe dwie się rozbiły. Cirocco opisała mu eksplozję, którą on i Nova widzieli z oddali.

- Nie mam zielonego pojęcia, co ją spowodowało - powiedziała Cirocco. - Ale

nastąpiła w miejscu, gdzie kiedyś była baza rakiet. I nie był to tylko zbiornik z paliwem. Tam było mnóstwo ładunków wybuchowych, a możliwe, że nawet stałe paliwo rakietowe.

Nova wróciła zadyszana i pokazała szczątki stworzenia, które usiłowało ją pogryźć.

Przypominało trochę wybuchające cygaro. Składało się z czterocalowej, giętkiej i

pustej tuby. Jeden koniec był spalony, a drugi poszarpany i powykręcany. Nova wskazała go palcem.

—  
Tu była głowa - powiedziała. - Musiała być twarda, bo zadźwięczała, kiedy upadło na podłogę. Szarpało się jak...

—  
Jak ryba na dnie łodzi - podpowiedział Conal.

—  
To coś nie miało oczu, tylko paszczę i usiłowało mnie pogryźć. Nadepnęłam na nie i wtedy eksplodowało.

Ciocco wzięła tubę z rąk Novy. Ostrożnie powąchała upalony koniec.

- To rodzaj pocisku raketowego - wyjaśniła wreszcie.

- Wybucha, kiedy trafia w jakiś cel. Jego łeb musiał być piekielnie twardy, skoro przebił się przez kadłub Wazki. Zauważcie też, że skoro potrafi się wyginać, to znaczy, że może do pewnego stopnia sam kierować sobą podczas lotu. - Skrzywiła się, po czym spojrzała na Novę. - Mówisz, że to ci wybuchło pod stopą?

.- Było częściowo nakryte kombinezonem kuloodpornym.

- A więc ładunek nie mógł być silny, bo inaczej urwałby ci stopę. - Westchnęła i

cisnęła pocisk na ziemię. - Ale wyrwał dziurę w podłodze. Przyjaciele, rakiety mogą przenosić całe mnóstwo takich małych paskudztw. Nie podoba mi się to ani trochę.

Nie potrafiła wymyślić nic innego, jak tylko zapakować wszystkich do Modliszki.

Conal musiał jej opisać rodzaj zakłóceń, jakim uległ jego radar, a także kształt zestrzelonej przez niego rakiety. Ciocco uznała, że większość zmian wprowadzono do konstrukcji właśnie po to, by spowodować zakłócenia w działaniu radaru - kompleks cech znany jako

“stealth”.

Wystartowali i poleciecieli znowu na wschód. Wkrótce odszukali anioła i podążali za

nim w odległości dwóch kilometrów. Ciocco nie spuszczała jednego oka z radaru, a drugiego z nieba.

Dziewiętnaście

Podczas długiego lotu nad Okeanosem Gaja siedziała nieruchomo jak kamień na

swoim monstrualnie wielkim krześle, spoglądając w zamyśleniu na skutny lodem zachód.

Wszyscy mieszkańcy Pandemonium chodzili na palcach. Nigdy dotąd tak się nie

zachowywała. Z Gają był zawsze nieziemski ubaw, nawet mimo jej zwyczaju deptania po wszystkich. Wywoływała ataki śmiechu, gdy przyjmowała kaznodziejów podczas wielkich ceremonii, chwaliła tych biednych durniów tak, że aż im puchły głowy, twierdząc, że zaprosiła ich do Pandemonium - ich, osobiście, i nikogo innego, ponieważ nikt inny nie potrafi tak patrzeć na wszystko, nikt inny nie rozumie prawdziwej wiary równie dobrze, jak oni, mogący być ozdobą każdego-bal-u - i pytała ich, czy oni naprawdę zechcą ją bez żadnego kitu dopuścić do Prawdy Absolutnej i w ogóle podzielić się z nią swymi błyskotliwymi teoriami teologicznymi. Potem, kiedy już byli dobrze podrajcowani, patrzyła na nich, jak zawodowy pokerzysta patrzy na asy wysypujące się z rękawa jakiegoś niedojdy, grzmiała:

“błuz-nierstwo!” i odgryzała im głowy.

Następnie wypluwała taką głowę do Matrycy Wskrzeszania i kilkanaście obrotów

później z drugiego końca wyłaniał się jakiś kwilący twór, któremu mówiła: “Ty jesteś Rasputin” albo “Ty jesteś Luter”, po czym uroczyście intonowała Ewangelię, w którą ten miał

wierzyć, i wysyłała go w świat.

Kapłani żyli nieco dłużej niż zombie, które były obdarzone półzyciem trwającym

około jednego kiloobrotu. Jednakże nawet kapłani osiągnęli pewien punkt, w którym

umartwienia niszczyły ich ciała tak bardzo, że potrafili już tylko leżeć i wic się, co było zabawne jedynie na krótką metę, więc Gaja wyprodukowała mnóstwo Lutrów i mnóstwo

Rasputinów.

Wszyscy to uwielbiali.

Jednakże podczas ostatniego etapu przybycia Króla Gaja stała się jednym wielkim,

cholernie przerażającym efektem specjalnym wysokości pięćdziesięciu stóp.

Spowodował to naturalnie Okeanos. Okeanos był Wrogiem. Prawie w tej samej lidze

co Cirocco Jones. Po prostu nie mogła się czuć dobrze, kiedy Król był przenoszony nad hiperborejskimi okolicami Okeanosa.

Prawdę powiedziawszy, mało kto w Pandemonium czuł się dobrze w takiej bliskości

Okeanosa. Okeanos był stworzeniem, które powinno znajdować się jak najdalej Krzywizny Jej Wysokości, a nie sterczeć sztywno tuż obok, niczym gigantyczna fala lodowców. Wielu

najwierniejszych pochlebców chodziło ze zwieszonymi ramionami. Można było zbić fortunę na koncesji na gęsią skórę.

Lecz właśnie wtedy ze strefy zmięzchu, ponad Nutą G - obszarem najbardziej

wysuniętym na południowy zachód spośród ośmiu regionów Hyperionu i oddalonym o

zaledwie trzysta kilometrów od Nuty D Minor, gdzie obozowało Pandemonium - skrzydła wyniosły Króla. Być może zrobiła coś z tarczami słońca zawieszonymi w próżni, stale uginającymi swoje promienie ponad tłustym i oleistym Hyperionem, a może sprawiło to tylko poczucie niezmierniej ulgi, jakie przepełniło Gaję. W każdym razie, gdy piętnastometrowa bogini/gwiazdka wydała z siebie oddech ulgi, to, bracie, poczułeś to aż po palce u nóg... a sam dzień, ten nie kończący się i niezmienny dzień, stał się nagle jaśniejszy.

Nagle zaczęto tu i tam wydawać rozkazy. Jeden wpadał na drugiego, prześcigając się, kto najszybciej wykona rytualny pocałunek w tyłek.

—  
Wina! - zagrzmiała Gaja. - Niechaj ta kraina spłynie winem! - I już wywleczono

dwudziestu przestraszonych winiarzy, odkorkowano ich i naprędce utuczono niczym

strasburskie gęsi, dopóki do tysiący butelek nie polało się chablis.

—  
Jedzenia! - zadudniła. - Otwórzcie potężne rogi i pozwólcie, by wypłynęła z nich

moja obfitość! - Stopiono więc tonę masła i wrzucono całe wiadra twardych ziaren do obracających się czeluści trzydziestu maszyn do prażenia, wielkich jak betoniarki - które pierwotnie rzeczywiście były betoniarkami - i rozpalono pod nimi ogień, aż w końcu we wszystkie strony zaczęły tryskać gorące, żółte fontanny, zaśmiecające ziemię. Natychmiast pożerały je legiony producentów, którzy porwani szałem pochłaniania prażonej kukurydzy zapominali nawet o swoim upodobaniu do świeżych filmów. Wkrótce na setkach grillów zaskwierczało dziesięć tysięcy kiełbasek, a z zaskorupiałych piersi woźniców popłynęła mleczna czekolada.

—  
Filmu! - ryknęła Gaja. - Niech to będzie święto godne Króla, najbardziej

oszałamiające celuloidowe święto wszechczasów! Puszczajcie na trzech ekranach

jednocześnie, żadnych darmowych wstępów i podnieście ceny biletów!

Potem zaczęła wykrzykiwać tytuły. Król królów. Najwspanialsza historia, jaką

kiedykolwiek opowiedziano. Jezus Chrystus Superstar. Jezu. Jezu II. Jezu III i TV.

Nazareńczyk.

Ewangelia według świętego Mateusza. Żywot Briana. Ben-Hur. Ben-Hur II. Betlejem!

Historia Kalwarii. Muzułmańscy, żydowscy i mormońscy kapłani zaczęli coś szemrać, ale ich ciche głosy prędko zagłuszył wybuch ogdlniej radości.

Kto by się skarżył? Nadchodził Krdl. Było wino, jedzenie i filmy, a Gaja była szczęśliwa. Czego jeszcze mogło chcieć Pandemonium?

A jednak było coś takiego.

Na jakieś dziesięć minut przed przybyciem Krdla, kiedy impreza już się rozkręcała, Gaja podźwignęła się, zrobiła cztery niepewne kroki, wystawiła w gdrę palec i uśmiechnęła się szeroko do cineramy.

—  
To ona! - zaskrzeczała Gaja głosem, który roztrzaskał oczy dziesięciu boleksdw i

jednego arri, a także sprawił, że wszyscy znajdujący się w promieniu dziesięciu kilometrów poczuli, jak ciarki pełzną im po plecach, oczywiście mowa tylko o tych, po których plecach cokolwiek miałyby ochotę pełzać.

—  
Nadchodzi! Nadchodzi! Nadchodzi! - Podskoki Gai wywoływały drgania o sile co

najmniej siedmiu czy ośmiu stopni w skali Richtera. Zawaliła się cała kantyna i upadło jedno drzewo klieg. - To Cirocco Jones. Po dwudziestu latach wreszcie zmusiłam ją do walki.

Wszyscy więc wyteżyli wzrok i niebawem dostrzegli przysadzisty, zabawny

przezroczysty samolocik, który zaczął kołować w odległości kilometra ponad ich głowami.

- Stań na ziemi! - krzyknęła urągliwie Gaja. - Stań tu i walcz, ty meduzo bez jaj! Stań i zjedz swoją wątrobę, ty śmierdzący zdrajco, ty morderco... ty małej wiary! Chodź tu do mnie.

Samolot wciąż tylko kołował.

Gaja zrobiła głęboki wdech i zawyła.

- On się nauczy mnie kochać, Cirocco!

Nadal nic. Ludzie zaczęli się zastanawiać, czy Gaja przypadkiem nie popełniła błędu.

Gaja opowiadała im od lat o Cirocco Jones. Z pewnością nie mogła to być tak bezbarwna osoba.

Gaja zaczęła biegać po Pandemonium, podnosząc i ciskając wszystkim, co jej wpadło

w rękę: kamieniem, słońcem, maszyną do prażenia kukurydzy, Brighamem i jego pięcioma Rabusiami. Samolot bez trudu umykał przed tym wszystkim.

Potem zamachał skrzydłami, złożył jedno z nich i zanurkował. Gdy wyrównał na

poziomie jakichś stu metrów, oszalała Gaja rozdarła się na całe gardło. Niby trudno uwierzyć, ale dla stada ludzi, ktdrzy od lat oglądali średnio cztery filmy wojenne na tydzień, ta scena była w denerwujący sposób znajoma. Przypominała odrobinę naloty, ktdrych dokonywał F-86

w "Mostach na Toko-ri", lub japońskiego Zero, ktdry spadał w kierunku szerokiego pokładu krążownika "Arizona" w "Tora! Tora! Tora!". A także setki innych obrazdów wojennych, na ktdrych samolot nadlatuje błyskawicznie i zaczyna strzelać, tyle że w tych filmach oglądało się akcję głównie z powietrza, gdzie wszystko rozkwitało przed widzem we wspaniałym technikolorze, a nie z ziemi, gdzie po kilku sekundach trudno było dać wiarę czemukolwiek.

Cały rząd świętyń wyleciał w powietrze nieomal równocześnie. Powietrze zalał

hipersoniczny strumień ognia, zdalnie sterowane pociski raketowe wlatywały prosto przez frontowe drzwi i... łup, nie zostawało nic prócz odłamków i płomiennego grzyba. Samolot rzucał bomby, ale zamiast "bum-bum, bum-bum, bum-bum" i maleńkich fontann pyłu w

równych rzędach wypadały jakieś koszmary, które obracały się, zawracały i ścigały wszystko, co się rusza, a gdy wreszcie w coś trafiły, wybuchały jak ręczne granaty.

Potem Cirocco wykonała nawrót w tempie iście wyścigowym i zaczęła celować

wyłącznie w pylony. Wyciągała pewnie dwanaście g, a leciała tak nisko, że gdyby tam było pole, to nie tylko zakurzyłaby sobie tę piekielną maszynę, ale pewnie zaorałaby je czubkiem skrzydła. I oto znowu nadlatywała, z jeszcze większą prędkością, wciąż bombardując, odpalając coraz to więcej głowic i za każdym razem cofając się coraz dalej, aby każdy mógł

widzieć, jak nadchodzi jej sturm und drang. W pewnym momencie zwolniła, zaczęła się wznosić niemal pionowo, a potem wypuściła kolejno trzy spore bomby, pierwszą, drugą i trzecią, które w ślad za nią poleciały w górę tak wysoko, że stały się prawie niewidoczne, zawisły na chwilę i zaczęły spadać. Nie było sposobu, żeby mogła nimi kierować. To niemożliwe, twierdzono, tego po prostu nie można zrobić, ale oto przebiły się przez dachy studiów dźwiękowych, najpierw pierwsza, potem druga, i wreszcie trzecia. Raz, dwa, trzy i wszystkie studia przeszły do historii.

Naturalnie ludzie i humanoidzi byli przerażeni całą tą akcją, ale fotofaunę ogarnęła ekstaza. Co za ujęcia! Pod statywami kamer helikopterów wywiązały się zamieszki z

udziałem pięciu czy sześciu panafleksów, które czepiały się płóz i wykręcały, aby zrobić dobre ujęcia. Większość z nich uzyskała wspaniałe zbliżenia głowic z punktu widzenia celu, robiąc w ten



sposób zdjęcia, jakich nigdy dotąd nie było. Szkoda tylko, że nic z tego nie obrobionego materiału nie przetrwało i nie trafiło do projektorów.

Do tego czasu Pandemonium spowijał dym tak gęsty, że trudno było przewidzieć, z

której strony nadleci teraz Cirocco. Nasłuchiwali odgłosów jej protestujących silników, słyszeli je coraz wyraźniej. Potem znowu na nich wpadła. Z brzucha samolotu połał się płynny ogień. Skręcił się w powietrzu... i, jakimś cudem, spadł w odległości stu metrów od całej sceny, otaczając rzeźnię Pandemonium półkolem. Później ocalali zgodzili się, że niemożliwe, by był to zwykły błąd. Jones była zbyt diabelsko dokładna. Właśnie im

udowodniła, że taka jest, i dała im co nieco do myślenia na przyszłość. Większość z nich miała odtąd spędzać wiele czasu na rozmyślaniach o napalmie.

Przez cały ten czas Gaja stała. Niewzruszona jak dąb. Jeżyła swe ogromne brwi i

obserwowała, jak wielki owad niszczy całe jej otoczenie. Przy czwartym nalocie zaczęła się śmiać. Było to jeszcze straszniejsze niż odgłos bomb czy huk płomieni.

Jones dokonała piątego nalotu i Gaja na moment umilkła, bowiem eksplodowały

archiwa. Dwadzieścia tysięcy puszek z filmami zamieniło się w dymiące szczątki. Dziesięć tysięcy białych kruków, wiele z nich już nie do odzyskania. Przy pomocy jednej bomby Jones wymazała dwa stulecia historii filmu.

- Nie bój się - krzyknęła Gaja. - Mam kopie większości z nich. - Ci, którzy ocalili, skuleni pod gruzem i słyszący, że Jones właśnie szykuje następny nalot, niejasno uświadomili sobie, że Gaja ich w ten sposób uspokaja. Uważała, że odczuwają stratę równie silnie jak ona, podczas gdy tak naprawdę to wszyscy oni przehandlowaliby każdy cal dowolnego filmu, jaki kiedykolwiek nakręcono, aby się tylko móc wydostać z tego koszmaru. Gaja natomiast znowu się zaśmiała.

Samolot nadlatywał po raz kolejny. Niektórzy przeczuwali, że to będzie ostatni nalot, a paru ciekawskich zdobyło się nawet na odwagę, by wytknąć głowy z ukrycia i popatrzeć.

Jones leciała płaskim równym torem. Strzelała parami głowic i wszystkie sunęły

wprost na Gaję, a w ostatnim momencie skręcały, chybiając o kilka cali. Przelatywało ich coraz więcej, aby eksplodować w odległości stu metrów za nią. Zaczęło to przypominać cyrkowe rzucanie nożem, ponieważ pociski przelatywały obok jej kostek, ramion, uszu i kolan. Samolot wciąż nadlatywał, a Gaja wciąż się śmiała.

Nagle jej piersi eksplodowały szeregiem otworów. Zaśmiała się jeszcze głośniejsze.

Wydawało się, że Jones ma w swym samolocie dziesięć ciężkich dział i że teraz strzela z nich wszystkich jednocześnie. Gaja chwiała się, krwawiła, była cała poraniona, od stóp po ogromną głowę.

I wszyscy widzieli, że nic jej nie jest.

Samolot zwolnił, wzniósł się... i wznosił się nadal. Na wysokości około trzech kilometrów, kiedy był już tylko małą plamką, zaczął znowu kołować.

I tak nie zrobię mu krzywdy, Cirocco! - krzyknęła Gaja. Potem spojrzała na siebie, zmarszczyła brwi i odwróciła się, by zobaczyć operatora wiszącego na oparciu jej podziurawionego przez kule krzesła.

Lepiej zabierzmy się za drugą część - powiedziała do niego. - I zbierz moich charakteryzatorów. Mamy kupę roboty.

Operator nie ruszał się, więc Gaja zmarszczyła czoło, przechyliła krzesło i przekonała się, że został pozbawiony połowy ciała.

Wkroczyła więc w sam środek płomieni i zaczęła wykrzykiwać rozkazy.

- Cóż - powiedziała w końcu Cirocco mocno przygnębionym głosem. - Wydawało się, że to dobry pomysł.

Nie czuli tej dzikiej radości, jaka owładnęła Conalą i Novę podczas walki z raketami.

Cirocco wypytała ich z grubsza, czy powinna to zrobić, i oni z grubsza zgodzili się, że powinna. Zabrała się więc do tego z zimną pasją i dokładnością, która sprawiła, że wszyscy, łącznie z samą Cirocco, byli odrobinę wstrząśnięci. Dopiero podczas ostatniego nalotu, kiedy strzelała do monstrem, które nazywało siebie Gają, poczuła w sobie wrzącą nienawiść.

Pokusa, by dać z siebie wszystko, by zalać tego stwora całą siłą ogniową i mieć mimo wszystko nadzieję, że rozpadnie się na kawałki, była ogromna. Nie wiedziała, czy inni rozumieją, dlaczego ostatecznie zdecydowała się na demonstrację siły i drobne uszkodzenia.

Gai nie można było zabić w ten sposób. Mogła usiąść na bombie atomowej,

wyparować i wykiełkować na nowo z umarłej gleby. Ale Gaja nie była nieśmiertelna. Była już słaba, stara, z każdym dniem coraz bardziej szalona. Nie mogła żyć długo... jeszcze tylko jakieś sto tysięcy lat.

I zadaniem Cirocco było ją zabić.

Wszyscy oglądali z góry płonąca ruinę Pandemonium. Nienaruszona pozostała tylko

jedna budowla. Nie było wątpliwości, że jest to ten "pałac", o którym mówił Kapuś, zbudowany ze złota i platyny. Zostanie w nim umieszczony Adam, prawdopodobnie w

kołysce ze szczerego złota, a do zabawy dostanie diamenty wielkości gęsich jaj.

—

Dlaczego jej nie sprzątnęłaś?

—

Ty wciąż nie rozumiesz - powiedziała Cirocco. - Gdybym zniszczyła pałac albo zabiła Gaję, anioł śmierci leciałby po prostu dalej, zbyt nisko, abyśmy mogli złapać Adama. Leciałby tak długo, dopóki by się nie rozpadł na kawałki i Adam by zginął.

—

Nie rozumiem - wyznał Conal. - Ona powiedziała, żebyś stanęła na ziemi i walczyła. No i walczyłaś z nią. Czego ona się spodziewa? Czy ona chce, żebyś wylądowała i stanęła do walki wręcz?

—

Conal, stary przyjacielu... nie wiem. Może ona chce właśnie tego. Mam wrażenie, że ona chce...

—

—

Czego? - ponaglił ją Conal.

—

Żebym zaatakowała ją z mieczem w ręku.

—

Nie chwytam tego - powiedział Conal. - To znaczy - o Boże, to czyste wariactwo.

Chyba dlatego, że nie umiem znaleźć właściwych słów. To nie chodzi dokładnie o fair play, ale ona chce... czegoś w tym stylu. Nie przez cały czas i nie w normalny sposób, ale na podstawie tego, co mi o niej powiedziałaś, myślę, że ona chce nawet czegoś więcej. Po prostu nie sądzę, że nie dałaby ci żadnej szansy.

Cirocco westchnęła.

- Ja też nie. A Gaby twierdzi... - Urwała szybko, gdy zauważyła, że Robin przypatruje jej się dziwnym wzrokiem.

- W każdym razie Gaja mi nie powie, czego chce, z wyjątkiem tego: "stań i walcz". Ja mam się sama domyślić.

Znowu zrobiło się cicho i wszyscy spojrzeli na pobożowisko. Umierali tam ludzie i

niewinne zwierzęta. Ludzie służyli złu, o ile sami nie byli tym złem, i Cirocco nie żałowała, że ich zabiła. Jednakże nie czerpała z tego faktu żadnej przyjemności i nie czuła się dumna z samej siebie.

—  
Chyba się zaraz porzygam - powiedziała Nova.

—  
Przepraszam cię, dziecko - powiedziała Cirocco. - Toaleta jest na samym końcu.

—  
Nie przepraszaj mnie - krzyknęła Nova bliska płaczu. - Chciałam, żebyś ich zabiła, co do jednego. Uwielbiałam cię, kiedy ich zabijałaś. Ja po prostu... mam słaby żołądek, to wszystko. - Załkała i spojrzała błagalnie na Cirocco.

- I nie nazywaj mnie dzieckiem - wyszeptała i uciekła na tył samolotu.

Nastąpiło krótkie, nieprzyjemne milczenie, które przerwał Chris.

—  
Jeśli chcecie znać moje zdanie - powiedział - to w zasadzie wolałbym, żebyś tego nie zrobiła. - Wstał i wyszedł za Novą.

—  
Cóż, a ja cieszę się, że to zrobiłaś - powiedziała zapalczywie Robin. - Żałuję tylko, że nie strzelałaś dłużej do Gai. Wielka Matko, co za obrzydliwe stworzenie.

Cirocco ledwie ją słyszała. Dręczyło ją coś, z czym nie bardzo umiała sobie poradzić.

Chris zazwyczaj nie krytykował jej działań. Miał oczywiście do tego pełne prawo, ale nigdy z niego nie korzystał.

Potem doszła do przekonania, że on właściwie wcale jej nie krytykował...

Chris - zaczęła i obróciła się. - Co chciałeś...

—  
Sytuacja stanie się pewnie jeszcze bardziej skomplikowana - powiedział. Machnął ręką w ich stronę i przepaszająco wzruszył ramionami. - Ktoś musi się nim zająć - powiedział i otworzył drzwi.

—  
Nie! - krzyknęła Cirocco i rzuciła się w ślad za nim. Nie zdążyła. Był już na zewnątrz, a drzwi natychmiast się zatrzasnęły. Mogła tylko przerażona i zafascynowana patrzeć, jak jego spadochron się otwiera i spływa w stronę Pandemonium.

Chris i Adam wylądowali na ziemi jeden po drugim, w odstępach jednej minuty.

## SEANS DRUGI

Zawsze byłem niezależny,  
nawet jeśli miałem partnerów.

Sam Goldwyn

Jeden

Zombie siedzieli w oddzielnych zagrodach, stojących w rzędzie w dwudziestometrowych odstępach. Cirocco nie miała ochoty o to pytać, ale wiedziała, że musi.

—  
Czy oni... byli już martwi?

—  
Nie, Kapitanie - odparła Valiha.

—  
A co zrobili?

Poczuła się trochę lepiej, usłyszawszy wyjaśnienia Valihy. Niewolnictwo, w takiej czy innej formie, było pradawnym złem, od którego rasa ludzka nie potrafiła się uwolnić.

Zabolało ją jednak, gdy Valiha zaznaczyła, że poznali swoje prawa i że mieli

sprawiedliwe procesy. To bolało, bo takie rzeczy nie istniały na Gai, a bez jakiegokolwiek prawa zwierzęta zwane ludźmi zdawały się być zdolne do wszystkiego - łącznie z zabiciem przypadkowych jedenastu ludzi. Cirocco nie była aż tak głupia, by ich opłakiwać. Była jednak bardzo zmęczona zabijaniem i wydawaniem rozkazów zabijania ludzi. Czuła, że to może się stać zbyt łatwe. Nie miała ochoty bawić się w Boga.

Pragnęła tylko, by ją zostawiono w spokoju. Pragnęła odpowiadać wyłącznie za samą

siebie. Tęskniła za całkowitą prywatnością, za choćby dwudziestoma latami przeżyтыми tylko na własny rachunek, podczas których mogłaby obnażyć swą pokancerowaną duszę i

spróbować oczyścić ją z grzechów. Nie lubiła już zapachu istoty zwanej Cirocco Jones.

Pokusa, by wyskoczyć z samolotu za Chrisem, co oczywiście skończyłoby się

niechybną śmiercią, była przemożna. Nova, Robin i Conal ledwie byli w stanie ją

powstrzymać.

Nadal nie wiedziała, czy kusiło ją wtedy samobójstwo czy też była tak przeżarta

wściekłością, że czuła się zdolna do walki wręcz z Gają. Wściekłość i rozpacz mieszały się w niej w jednakowych proporcjach. Tak przyjemnie byłoby odpocząć.

Teraz jednak czekała ją kolejna bitwa.

Być może ostatnia.

Zombie obijały się bez celu po klatkach. Musiała w sobie zwalczyć uczucie mdłości, ale Valiha i tak wszystko dostrzegła.

—

Nie powinnaś się czuć odpowiedzialna - zaśpiewała tytania. - Ty tego nie zrobiłaś.

—

Wiem.

—

To nie jest twój świat. Nie jest też nasz, ale nie czujemy skrępowań przy usuwaniu z niego takich zwierząt.

- Wiem, Valiha. Nie mówmy już o tym - odśpiewała.

Bez wątplenia ci ludzie zasługiwali na śmierć. Jednakże Cirocco była instynktownie, wbrew logice, przekonana, że nikt na nią nie zasługuje. Dopóki Gaja nie wymyśliła zombie, uważała, że rakiety są najgorsze z jej wszystkich wynalazków. Teraz rakiety zaczęły nagle

przypominać rozkoszne kocięta.

---

O czym wy rozmawiacie? - spytała Nova. Cirocco spojrzała na nią. Dziewczyna

pozieleniała na twarzy, ale trzymała się nieźle. Cirocco nie winiła jej za to. W obecności zombich trudno było zachować zimną krew.

---

Tylko dyskutowaliśmy na temat... kary śmierci. Nie przejmuj się tym. Nie musisz

tu wcale być.

---

Chcę zobaczyć, jak umierają.

Cirocco i tym razem nie była zdziwiona. Nova udowodniła, że potrafi walczyć, ale nie powodowała nią żądza krwi. Cirocco się to podobało. Jednakże zombie byli czymś całkiem innym. Nie znała motywów Novy, choć podejrzewała, że miało to coś wspólnego ze

stworzeniem, które nie chciało umrzeć, tylko maszerowało wprost na nią. Zdaniem Cirocco zabicie zombie było czynem iście humanitarnym.

- Zabierzmy się już za to - powiedziała. - Wprowadźcie pierwszego do komory.

Rocky i Piszczalka przywiązali linę do klatki i pociągnęli ją po prymitywnej drodze do znajdującej się w odległości kilometra budowli przypominającej garaż. Budynek miał kilka okien, kłapę w dachu i naturalnie był odpowiednio szczelny. Kiedy klatka znalazła się w środku, drzwi zostały dokładnie zamknięte. Piszczalka sprawdził wiatr i obwieścił, że mieści się w granicach normy.

Problem polegał na wykryciu, co zabiło zombie z tak zaskakującą skutecznością.

Wydawało się nieprawdopodobne, by były do tego potrzebne wszystkie składniki eliksiru miłosnego Novy.

Rodziło się wiele pytań. Cirocco miała nadzieję, że na niektóre nigdy nie znajdą

odpowiedzi, choć wiedziała z gorzkiego doświadczenia, że często rzeczy, które na pierwszy rzut oka wydawały się wspaniałe, okazywały się głupimi kawałami Gai.

Do składników eliksiru należała krew. Czy musiała to być krew jakiegoś szczególnego rodzaju? Potrzebne były też włosy łonowe. Czy włosy Novy odegrały tu jakąś specyficzną rolę? Czy wystarczą jasne włosy albo jakiegokolwiek inne?

Mogło być jeszcze gorzej. Gaja planowała niektóre rzeczy z wyprzedzeniem. Nova została zaplanowana. Była córką Chrisa i Robin, ale nie została poczęta w normalny sposób.

Gaja była zdolna do jeszcze bardziej przemyślnych podstępów. Mogło się okazać, że do całego numeru nadają się wyłącznie krew i włosy łonowe Novy.

Na razie postanowiła nic jej o tym nie mówić.

Pierwsza część była łatwa. Cirocco wspięła się po drabinie, otworzyła klapę w dachu i wlała do środka odmierzoną dawkę benzoiny, którą Nova nazywała "benjamine". Zeszła na dół, gdzie wszyscy już stali przy oknach.

Zombie nie zareagował.

- Okay - powiedziała Cirocco. - Zamknijmy dopływ powietrza i potem spróbujemy z kubeczką.

Dwa

Conal stał w wodzie sięgającej mu do piersi i obserwował Robin, która miotała się

obok ze znacznie większym entuzjazmem niż wdziękiem. Uśmiechnął się szeroko. Boże, co za gorliwość. Gdyby tylko trochę się uspokoiła, zrelaksowała, zapomniała o biciu rekordów i po prostu pozwoliła, by jej silne, choć drobne ciało poddało się...

Lekcje rozpoczęły się wkrótce po powrocie do Junction. Robin oświadczyła, że nigdy więcej nie da się zrobić na szaro tylko dlatego, że nie potrafi pływać. Na nauczyciela wybrano Conala.

Całkiem nieźle sobie z tym radził. Sam był ledwie niezłym pływakiem, a już na

pewno żadnym nauczycielem, ale potrafił stać w wodzie i pokazywać jej, jak ma się ruszać, a także chwytać ją, kiedy zaczynała tonąć. To najwyraźniej wystarczało.

Przeniósł wzrok na dalszy odcinek rzeki, gdzie woda była głęboka i wartka i spojrzał

na Novę, która pływała zwinnie jak foka. Żałował, że nie jest to choć trochę jego zasługą, ale niestety nie ulegało wątpliwości, że należała do ludzi, którzy są urodzonymi pływakami.

Zabawne, że odkryła to dopiero w wieku osiemnastu lat. Już pływała dwa razy lepiej niż on.

Wyraźnie jednak nie potrafiła tego przekazać swojej matce. Conal zauważył, że Robin znowu



grzęźnie, więc w kilku ruchach natychmiast znalazł się przy niej. Płynęła na grzbiecie i ciężko dyszała.

—  
Nic mi nie jest - powiedziała. - Przynajmniej dopłynęłam aż do tego miejsca.

—  
Robisz postępy.

—  
Nie kłam, Conal. Nigdy nie będę w tym dobra.

—  
Pomógł jej płynąć i razem stanęli na płyciźnie. Nova przemknęła obok nich,

wygramoliła się na wąską plażę i stanęła mokra, smukła i połyskliwa, otrząsając wodę z krótkich jasnych włosów. Pochyliła się, by podnieść ręcznik, i energicznie wytarła nim głowę.

- Spotkamy się przed domem - powiedziała i ruszyła w dół plaży.

Conal przeniósł wzrok na Robin i zorientował się, że cały czas mu się przyglądała.

—  
Nieźle ciało, prawda? - powiedziała cicho.

—  
Ja patrzyłem na...

—  
Nie wstydz się. Jestem co prawda jej matką, ale doceniam ładną laskę, kiedy ją widzę.

—  
To zabawne - przyznał Conal - ale wcale nie patrzyłem na nią jak na dziewczynę.

To znaczy nie seksualnie. Pływam z wami obiema prawie codziennie, więc przyzwyczailem się do jej widoku. Ona jest tak niewiarygodnie zdrowa. Wygląda, jakby promieniała energią.

Robin przyjrzała mu się sceptycznie, więc odegrał rolę, jakiej się po nim spodziewała, to znaczy zawstydzonego, i potrząsnął głową, jakby go przyłapano na kłamstwie. Ale tak naprawdę wcale nie skłamał. Mógł przebywać w towarzystwie nagiej Novy przez cały dzień i nigdy nie pomyśleć o niej

jako o obiekcie seksualnym. Jedne marzenia się spełniają, a inne są nierealne i Nova miała po kres czasów być przedmiotem tych drugich. To straszne, ale tak naprawdę było. Tak więc teraz oboje starali się wzajemnie szanować, zbyt nieśmiało, by mogło się to przerodzić w prawdziwą przyjaźń. Widocznie taka sytuacja im odpowiadała.

Nadal jednak nie przestawał podziwiać jej oszałamiającej urody. Świat nie może być aż tak zły, skoro żyją na nim takie istoty.

Dlatego zdziwiło go, gdy w samym środku tak wzniosłych uczuć, nagle i nieoczekiwanie, dotarło do niego, że Robin też jest kobietą.

Cóż, to była jej wina. Nie należało o tym mówić.

Dobrnęli do brzegu i wytarli się puszystymi, białymi ręcznikami. Conal bezustannie zerkał na nią ukradkiem. Siedziała na wielkiej, gładkiej skale i z kocią precyzją starannie wycierała sobie stopy.

Nie wyglądała na czterdzieści lat, lecz tak, jakby dopiero dobiegała trzydziestki. Wiek to jednak śmieszna rzecz. Można skończyć dwadzieścia osiem lat i być bladym, kłocowatym flejtuchem. Albo pięćdziesiąt pięć lat i mieć sprężyste, płaski brzuch, zdrowy wygląd i zmarszczki od śmiechu wokół oczu.

Albo na przykład te włosy. Wygalała je nienaturalnie wysoko wokół jednego ucha, tego, które było otoczone dziwnym pentagonalnym tatuażem. Z początku można się było nieźle tego przerazić, ale po jakimś czasie dostrzegało się, że to do niej w jakiś sposób pasuje.

Albo te węże. Węże, które owijały się wokół jednej nogi i ręki i zwijały w jedną grubą pętlę pod piersiami zapatrzone na siebie, mogły nieźle odstraszyć niejednego faceta. Kiedy jednak widywało sięje częściej, stawały się po prostu nieodłącznym elementem ciała Robin.

Co więcej, same w sobie stanowiły piękną rzecz.

—

Czy już spisałaś testament? - spytał, wycierając energicznie włosy.

—

Testament? Aha, w razie śmierci. Tutaj raczej do niczego by się nie przydał.

Żadnych sabatów albo sądów, czy co oni tam mają na Ziemi.

—

Chyba nie. Ale kiedy umrzesz, one powinny zostać jakoś zachowane.

Uśmiechnęła się do niego szeroko.

—  
Chodzi ci o te węże, tak? Można mnie spokojnie obedrzeć ze skóry i wygarbować, kiedy już będzie po wszystkim. - Stała naprzeciwko niego. - Dotknij ich, Conal.

—  
Co ty...

—  
Po prostu je dotknij. Proszę. - Ujął jej wyciągniętą rękę.

Niepewnie, zastanawiając się, czy ona nie żartuje sobie z niego, dotknął palcem końca ogona węża. Był owinięty trzykrotnie wokół jej kciuka, więc obwiodł go czubkiem palca. Na wierzchu dłoni robił się nieco grubszy, a na przedramieniu znowu owijał się trzy razy.

Delikatnie dotknął go na całej długości. Potem trzykrotnie wokół jej ramienia. Kiedy się odwróciła, przesunął dłoń po jej ramieniu, a potem między łopatkami i wówczas uniosła nagą rękę - tę nie wytatuowaną - obróciła się pod jego dłonią i znowu patrzyła na niego, a on przeciągnął czubkami palców po jej piersi, potem między obiema piersiami, a potem

rozprostował dłoń i objął nią pierś. Spojrzała na jego rękę. Oddychała głęboko i miarowo.

- Teraz drugi - powiedziała.

Przykląkł więc na jedno kolano i dotknął jej stopy. Ogon węża zaczynał się od małego palca. Na wierzchu stopy wyginał się w sploty o kształcie litery S, potem owijał się wokół

kostki i dwukrotnie oplatał łydkę. Obwiodł go powoli palcem, czując silne, sprężyste mięśnie pod idealnie gładką skórą. Zauważył, że jej drugą nogę porastają niezwykle delikatne włosy.

Na udzie wąż robił się grubszy. Dotykał go dokładnie, opasując ręką jej ciało, gdy wąż zniknął z zasięgu wzroku. Potem znowu się odwróciła i wtedy przesunął dłoń ponad biodrem, potem przez pośladek i raz jeszcze w górę pleców. Uniosła ramię, a on opasał ją ręką i objął

od tyłu jej drugą pierś. Trzymał ją tak przez chwilę, a potem opuścił rękę.

Odwróciła się i uśmiechnęła do niego ze smutkiem. Potem splotła palce z jego

palcami i ruszyli przytuleni w górę plaży. Przez dłuższy czas z niewiadomego powodu wołał

nic nie mówić. Takie milczenie jednak nie mogło trwać wiecznie.

—  
Dlaczego? - spytał.

—  
Sama zadaję sobie to pytanie. Jestem ciekawa, czy znalazłeś lepszą odpowiedź niż ja.

—  
Czy to... czy to było coś związanego z seksem? - Co-nał, pomyślał w duchu, jesteś uosobieniem subtelności. Dziewczęta, walcie z wszystkimi problemami do Conała. Wlezie w nie swoimi kopytami w kowbojskich buciorach.

—  
Może. Może to nie jest takie proste. Myślę, że po prostu chciałam, żeby ktoś mnie dotknął. Na pewno. Dotykałeś mnie podczas lekcji pływania i choć to nie było to samo... zdenerwowałam się, że to takie przyjemne.

Conał zastanowił się nad tym.

- Podrapię cię po plecach. Umieję to robić.

Uśmiechnęła się do niego. Jej oczy pojaśniały od łez, ale wcale nie wyglądała na kogoś, kto ma się zaraz rozplakać. To było dziwne.

- Zrobiłbyś to? Sprawiłoby mi to dużą przyjemność.

Znowu nastąpiła chwila milczenia. Conał spostrzegł schody wiodące do Junction i zrobiło mu się przykro, że już do nich doszli. Miał ochotę pobyć na plaży dłużej. Z przyjemnością trzymał ją za rękę.

—  
Przez większość życia byłam nieszczęśliwa - powiedziała cicho. Spojrzał na nią.

Wpatrywała się w swoje białe stopy.

—  
Od dwóch lat nie miałam kochanki. Kiedy byłam młoda, miałam co tydzień nową kochankę tak jak inne dziewczyny. Ale żadna z nich nie mogła ze mną zbyt długo wytrzymać.

Po powrocie z Gai bardzo pragnęłam znaleźć taką kobietę, z którą mogłabym przeżyć całe życie. Spotkałam takie trzy i z jedną byłam cały rok. Stwierdziłam jednak, że nie nadaję się do trwałych związków. Przez ostatnie pięć lat od czasu do czasu miałam jakąś kochankę, nie dlatego, że seks jest taki przyjemny, prawdę mówiąc wydaje mi się raczej obrzydliwy, ale dlatego że to było takie okropne nie uprawiać seksu. W końcu się poddałam i zaczęłam się bez niego obywać.

—  
To brzmi... strasznie - powiedział Conal.

Stali u stóp schodów. Conal zaczął iść w górę, ale Robin zatrzymała się, nadal trzymając go za rękę. Zawrócił.

- Strasznie? - Wolną dłonią otarła łzę, która spłynęła jej po policzku. - Nie tęsknię aż tak bardzo za seksem.

Pragnę tylko, żeby mnie dotykano. Przytulano. Żeby ktoś mnie trzymał w ramionach. Odkąd Adam zniknął... nie ma mnie kto dotykać.

Patrzyła uparcie na niego, a on odczuwał jeszcze większe zdenerwowanie niż podczas pierwszego miesiąca podnoszenia ciężarów. Conal nigdy nie tracił rezonu w obecności kobiet, ale Robin i jej córka były inne, pewnie nie bez wpływu na to pozostawał fakt, że obie były lesbijkami.

Ścisnęła jego dłoń tak mocno, że pomyślał: "Do diabła", objął ją ramionami i lekko przekrzywił głowę, aby ją pocałować. Rozchyliła wargi, a potem cofnęła głowę, więc chciał

ją puścić, ale wówczas już go obejmowała, więc położył dłonie na jej plecach w nadziei, że jest to pocałunek ojca i córki, ale ona zaczęła powoli się ocierać o niego biodrami i przyciskać suche usta do jego szyi. Ostatecznie zostało to wykonane z takim wdziękiem, jakby dwoje dziesięciolatków wyplacało sobie fanty przy grze w butelkę, ale po wprowadzeniu

niezbędnych poprawek stali przciśnięci do siebie dokładnie od kolan po ramiona i Conal czuł

jej łzy kapiące mu na pierś. Nadal obejmowała go z całych sił, a on ukrył twarz w jej włosach, błędząc dłońmi po łagodnych liniach jej pleców.

Kilkakrotnie próbował się delikatnie odsunąć, ale ona go nie puszczała. Po jakiejś chwili przestał i dał się ponieść szaleńczym pomysłom. Już tylko to się liczyło, reszta znajdowała się gdzieś daleko i to powiększyło tylko jego konsternację i zażenowanie.

W końcu otarła oczy i odsunęła się o kilka cali, wciąż lekko opierając dłonie na jego biodrach.

—  
Mhm... Robin, nie wiem, ile ty wiesz...

—  
Dostatecznie dużo - powiedziała, spoglądając w dół między ich ciała. - Nie musisz

mnie przeproszać za niego. Wiem, że ten twój przyjaciel żyje własnym życiem i że wystarczy go dotknąć, aby się podniecił. I że będzie reagował, choćbyś ty sam chciał czegoś zupełnie innego.

—  
Ach... prawdę powiedziawszy, to obydwaj zazwyczaj całkiem nieźle się zgadzamy.

Roześmiała się i znowu go uściskała, potem spojrzała mu uroczyście w oczy.

—  
Wiesz oczywiście, że nic by z tego nie wyszło.

—  
Tak, wiem o tym.

—  
Zbyt się od siebie różnimy. Jestem za stara.

—  
Nie jesteś za stara.

—  
Uwierz mi, że jestem. Może nie trzeba było mnie dotykać. To może być dla ciebie trudne.

—  
Może rzeczywiście nie trzeba było.

Spojrzała na niego w zamyśleniu, a potem ruszyła w górę schodów. Zatrzymała się,

zneruchomiała na chwilę, po czym zawróciła, by stanąć na pierwszym stopniu. Była mu teraz równa wzrostem. Położyła dłonie na jego policzkach i pocałowała go. Jej język na moment dotknął jego warg, po czym odsunęła się i powoli opuściła ręce.

- Będę w swoim pokoju przez jakąś godzinę - powiedziała. - Jeśli jesteś rozsądny,

prawdopodobnie zostaniesz tutaj. - Odwróciła się, a on zapatrzył się na węże, które poruszały się na

jej nagich plecach, kiedy wspinała się po schodach, i patrzył tak, dopóki nie zniknęła mu z oczu. Odwrócił się i usiadł na stopniach.

Szalał przez następne dziesięć minut, bez przerwy wstając i na powrót siadając.

Choćby nie wiadomo co się działo, nie mógł wejść do domu w takim stanie. Musiał wreszcie pomyśleć racjonalnie.

Cała sytuacja wymagała, by ochłonął. Ona miała całkowitą rację. To się nie mogło udać. A jeden raz byłby głupotą, sama to powiedziała. Jej by nie wystarczył, a dla niego byłoby to aż nadto. Eksperyment z góry skazany na niepowodzenie.

Znowu spojrzał w górę schodów. Zdążył jeszcze zobaczyć jej zgrabny tyłek.

- Cóż - westchnął - dawno już nikt mnie nie oskarżał o rozsądek. - Spojrzał w dół na swoje podbrzusze. - Od razu to wiedziałeś, co?

Trzy

Valiha siedziała na szczycie wzgórza, z którego roztaczał się widok na Tuxedo

Junction, tuż obok plamy wypalanej ziemi. Z popiołów wybijały już pędy roślin, przerastając białe kości. Wkrótce trudno będzie znaleźć to miejsce.

Leżało tam kilka ludzkich czaszek. Jedna była znacznie mniejsza od pozostałych.

Jej ręce były zajęte pracą. Obrabiały szeroką, zmurszałą deskę przy pomocy zestawu narzędzi rzeźbiarskich. Prawie już ukończyła swoje dzieło, ale ledwie to zauważała. Błądzący gdzieś daleko umysł nie kierował pracą rąk. Tytanie sypiały tylko w dzieciństwie, a potem tylko od czasu do czasu pogrążały się w stanie ograniczonej świadomości na okres dwóch lub trzech obrotów. Był to dla nich czas snu, czas, w którym umysł błąkał się gdzieś po bezdrożach przeszłości, wędrując do miejsc, do których wcale nie chciał zawitać.

Wspominała czasy bliskości z Chrisem. Ponownie posmakowała jego gwałtowności,

obcej żądzy tak głęboko wyrytej w jego duszy, że nie pozwalała jej dzielić ciała z innymi, których kochała, okropnego, przeciągającego się w czasie pożegnania, kiedy zmienił się z cudownego szaleńca w szaleńca z robakami w mdzgu, powolnego odzyskiwania zaufania

oraz świadomości, że już nigdy nie będzie tak, jak było. Raz jeszcze dotknęła swej głębokiej miłości do niego, nie zmienionej i niezmiennej.

Pomyślała o Bellinzonie. Ludzie sterylizowali swą ojczyzną planetę. Używali do tego broni, której nie potrafiła ogarnąć umysłem, broni, która mogła zamienić Hyperion w połyskliwe szkło. Przyszła jej do głowy myśl, na którą nigdy by sobie nie pozwoliła, gdy była rozbudzona. Gdyby miała taką broń, użyłaby jej do sterylizacji Bellinzony. Zginęłoby wielu wartościowych ludzi i to byłoby

haniebne. Jednakże dobro takiego czynu przeważałoby całe zło. Koło było jej domem. Ci goście byli rakiem, który toczył serce koła. Spotkała naturalnie również wielu dobrych ludzi. Wydawało się jednak, że wystarczyło zgromadzić

wystarczająco dużą liczbę ludzi w jednym miejscu, by zło przeważało.

Przemyślała to raz jeszcze i przyszło jej do głowy, że ludzie na Ziemi z pewnością myślą tak samo: “Tego nie należy robić, ale dobro kiedyś zwycięży zło. To smutne, że giną niewinni...”

Valiha z niechęcią porzuciła wszelkie myśli o sterylizacji Bellinzony. Będzie musiała kontynuować to, co razem z innymi tytaniem robiły już od wielu kiloobroów, przyczyniając się do stopniowego zwalczania raka, komórka za komórką.

Z tą myślą Valiha ocknęła się z tego niby-snu i zauważyła, że jej dzieło jest już ukończone. Podniosła je ku światłu i przyjrzała mu się krytycznie.

Nie po raz pierwszy robiła te przedmioty. Nie znała ich nazwy. Tytanie nigdy nie grzebały swych zmarłych. Wrzucały ich po prostu do Ophionu i powierzały jego wodom. Nie stawiały również nagrobków.

Tytanie nie znały innego boga prócz Gai. Nie kochały jej, ale przekonanie o jej istnieniu nie było aktem wiary. Gaja była równie rzeczywista jak syfilis.

Tytanie nie spodziewały się życia po śmierci. Gaja powiedziała im, że nie ma czegoś takiego, i nie miały powodu, by jej nie wierzyć. Dlatego nie znały żadnych rytuałów pogrzebowych.

Valiha wiedziała jednak, że w przypadku ludzi jest inaczej. Obserwowała rytuały pogrzebowe w Bellinzonie. Zawsze pragmatyczna, nie była w stanie stwierdzić, czy są bezwartościowe. A teraz miała trzynaście nie zidentyfikowanych ciał, o których nie sposób było powiedzieć, jakie żeńskie kultury - spośród obecnych w tej wieży Babel - wyznawały. Co miała w tej sytuacji uczynić tak skrupulatna istota?

Jej odpowiedzią było rzeźbienie. Każda rzeźba była inna, rodzaj wolnego skojarzenia z ludzkimi totemami nie do końca zrozumiałymi dla Valihy. Na jednym był krzyż i korona cierniowa. Na innych sierp i młot, półksiężyc, gwiazda Dawida i mandala. Była także myszka Mickey, ekran telewizyjny pokazujący oko CBS, swastyka, ludzka ręka, piramida, dzwon i słowo SONY. Na górze znajdował się najbardziej mistyczny z symboli, wyrysowany na

“Ringmasterze” symbol NASA.

Uważała, że tak jest dobrze. Telewizyjne oko znajdowało się w samym środku piramidy. Przypomniał jej się jeszcze inny symbol, który mógł tu pasować: podwójnie przekreślona



litera S.

Wzruszyła ramionami, wstała i umieściła ostry koniec tabliczki w ziemi. Wbiła ją

mocno kopytem lewej przedniej nogi, potem ułożyła wieniec z czaszek, a na koniec spojrzała ku niebu. Niepotrzebnie - w górze wciąż była Gaja, a do Gai nie warto było się modlić.

Rozejrzała się więc po swym ukochanym świecie.

- Kimkolwiek lub czymkolwiek jesteś - zaśpiewała - zechciej przytulić te zbłąkane

ludzkie dusze do swej piersi. Nic o nich nie wiem z wyjątkiem tego, że jeden miał niewiele lat. Pozostali byli przez jakiś czas zombie na służbie u Lutra, potwora, który przestał już być człowiekiem. Nieważne, co robili za życia, bo z pewnością zaczęli je jako niewinne istoty, tak jak my wszyscy, więc nie bądź dla nich zbyt surowy. To twoja wina, że uczyniłeś ich ludźmi. To był głupi żart. Jeśli tam gdzieś jesteś, powinieneś się wstydzić za siebie.

Nie spodziewała się odpowiedzi i nie uzyskała jej.

Ponownie przyklęła, pozbierała narzędzia ciesielskie i schowała je do sakwy.

Kopytem odgarnęła trociny i raz jeszcze ogarnęła wzrokiem pełną spokoju scenę.

Ponownie zastanowiła się, po co właściwie to zrobiła.

Już miała ruszyć w stronę Junction, kiedy zauważyła, że ścieżką wędruje Rocky, więc zaczęła na niego. Przypomniała sobie, że podczas snu podjęła decyzję odnośnie do jego propozycji.

Stał obok niej i nic nie mówiąc, przyglądał się jej dziełu. Stał w uroczystym

milczeniu przez jakiś czas, tak jak to zaobserwował u ludzi na cmentarzach, po czym spojrzał na Valihę.

- Minęło tysiąc obrotów - zaśpiewał.

Jeden kilobrot - pomyślała Valiha. Adam i Chris są więźniami Pandemonium od czterdziestu dwóch ziemskich dni.

- Podjęłam decyzję - zaśpiewała. - Doszłam do wniosku, że to nie jest dobry czas, by powoływać na ten świat nowe życie.

Spuścił wzrok i zaraz go podniósł z nowym błyskiem nadziei. Uśmiechnęła się do niego, a on pocałował ją w usta.

---

Nigdy nie będzie dobrego czasu, więc zrobienie tego i tak wydaje się być gestem,

który ma dla mnie urok. A zrobienie tego właśnie teraz, bez aprobaty Gai, ma dla mnie urok jeszcze większy. Oby żył długo i ciekawie.

—  
Ludzie - zaśpiewał Rocky - czasami używają tych słów jako zaklęcia.

—  
Wiem. Mówią też: “połamania nóg”, życząc w ten sposób szczęścia. Ja nie wierzę w zaklęcia, ani w szczęście, i nie potrafię sobie wyobrazić krótkiego albo nudnego życia.

—  
Ludzie są szaleni, to powszechnie znany fakt.

- Nie mów mi o ludziach. Mów do mnie swoim ciałem.

Wtuliła się w jego ramiona, przywarli do siebie i zaczęli się całować. Przeszkodziło im szczękanie narzędzi w sakwie Valihy. Zaśmiali się, odłożyła sakwę na bok i znowu się pocałowali.

Była to pierwsza faza przedniego aktu. Choć nie był tak sformalizowany jak zadni, również i z nim wiązał się pewien rytuał. Dla rozgrzewki wspięli się na siebie i powtórzyli to jeszcze trzy czy cztery razy, zanim przeszli do poważniejszej gry miłosnej.

Czekało ich pięć interesujących obrotów.

Cztery

Ciocco siedziała w gęstym lesie, dwadzieścia kilometrów od Junction. Pięć obrotów wcześniej rozpałała niewielkie ognisko. Wciąż jeszcze jasno płonęło. Kłody drzewa jakoś nie chciały się zmienić w popiół.

Cud.

Jeden kiloobrót. Tysiąc godzin, odkąd porwano Adama.

- Czego się nauczyłaś?

Podniosła wzrok i za roztańczonymi płomykami zobaczyła twarz Gaby. Uspokoila się i rozluźniła napięte mięśnie ramion.

- Umiemy już wyrabiać trujący gaz do zabijania zombie - powiedziała. - Ale tego

nauczyliśmy się dawno temu.

Okazało się, że każda krew się nadaje, nawet krew tytanii. Włosy jednak musiały być wyrwane z łona, i to z ludzkiego. Na szczęście jednak nie musiało ich być wiele. Jeden włos wystarczał do wytworzenia jednego funta substancji. Poza tym pominięcie choć jednego składnika odwaru Novy psuło wszystko.

Tytanie właśnie wyrabiały ogromne ilości trucizny.

- Czego jeszcze się nauczyłaś?

Ciocco zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Moi przyjaciele obserwują Pandemonium. Z bezpiecznej odległości. Powiedzieli mi

o ostatniej przeprowadzce, na podnóże południowego płaskowyżu. Nova i Robin nauczyły się pływać. Uczą Conalą nie znanych mu sposobów walki. Ja uczę je latać.

Westchnęła i przetarła czoło dłonią.

- Wiem, że Chris i Adam żyją i że nie dzieje im się nic złego. Wiem, że Robin ma

dziwne myśli na temat Conalą. Wiem, że Nova nadal żywi do mnie te same uczucia,

ponieważ usiłowała iść za mną do tego miejsca. Niewątpliwie jednak lepiej sobie z nimi radzi. Wiem także, że zaczęło do niej docierać, że warto się przyjaźnić z tytanium.

Zasadniczo zaakceptowała też Conalą. I wiem, że chce mi się pić bardziej niż przez ostatnie dwadzieścia lat.

Gaby wyciągnęła ku niej rękę przez płomień. Jej dłoń wydawała się płonąć. Ciocco wydała okrzyk zdumienia i uchyliła się gwałtownie. Spojrzała na ledwie widoczną twarz Gaby i dostrzegła w niej zdziwienie.

- Och - powiedziała Gaby i cofnęła rękę. - To chyba musiało ci się wydać potworne.

Nie zauważyłam ognia.

Nie zauważyła ognia - pomyślała Ciocco i jej umysł wykreował pewien obraz. Obraz, którego nie oglądała własnymi oczami, ale który od dwóch dziesięcioleci stale ją

prześladował we snach: Gaby z połową twarzy i większością ciała poczerniałą i popękaną.

—  
Nie zauważyłaś ognia - mruknęła Ciocco, kręcąc głową.

—  
Nie zadawaj zbyt wielu pytań - ostrzegła ją Gaby.

—  
Nie mogę się powstrzymać, Gaby. To mi nie pasuje do niczego, w co wierzę.

Przypominasz... tajemniczego ducha z bajki. Mówisz zagadkami. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego duchy w tych opowieściach nie mogą mówić niczego prosto z mostu. Po co te wszystkie straszne ostrzeżenia, niedomówienia i wskazówki na temat rzeczy, które są tak potwornie ważne?

—  
Cirocco, moja jedyna miłości... Nikt nie pragnie ci pomóc bardziej niż ja. Gdybym

tylko mogła, powiedziałabym ci wszystko, co wiem, od A do Z, jakby to było sprawozdanie dla NASA. Ale nie mogę tego zrobić. Istnieje pewien ważny powód, dla którego nie mogę... i nie mogę ci także powiedzieć, jaki to powód.

- A nie możesz dać mi tego do zrozumienia?

Wzrok Gaby zrobił się nagle zamglony.

—  
Pytaj szybko.

—  
Mhm... czy Gaja cię obserwuje?

—  
Nie. Ona mnie szuka.

Chryste - pomyślała Girocco. - Wszystko albo nic, ale nie narzekaj.

—  
Czy ona wie, że... przyszedł do mnie?

—  
Nie. Śpiesz się, nie mogę już dłużej tego robić.

Czy istnieje jakiś sposób, żeby...

---

Pokonać ją? Tak. Odrzuć oczywiste odpowiedzi. Musisz...

Urwała i zaczęła znikać. Zaciśnęła jednak mocno oczy, przycisnęła pięści do skroni i jej obraz na powrót wzmacnił się. Cirocco czuła, jak jeżą się jej włosy na głowie.

- Lepiej nie zadawaj już pytań. Albo nie tak dużo. Odkąd ma Adama, jemu głównie poświęca swoją uwagę.

Gaby przetarła oczy kłykciami, zamrugowała, po czym wsparła się na rękach i

wyprostowała nogi. Dopiero wtedy Cirocco zauważyła, że ogień zgasł i to dość dawno temu, bo został tylko zimny popiół. Gaby przesunęła piętami po popiele.

- Gdyby nie jej szaleństwo, Gaja byłaby nie do pokonania.

Nic nie mogłabyś zrobić. Ale ponieważ jest szalona, ryzykuje.

Ponieważ jest szalona, traktuje rzeczywistość jako grę. Ona działa zgodnie z zasadami, które wzięła ze starych filmów, telewizji, bajek i mitów. Najważniejsze, byś sobie uświadomiła, że ona wcale nie jest tym dobrym facetem. Zdaje sobie z tego sprawę i woli, żeby tak było. Czy to ci coś mówi?

Cirocco była pewna, że powinno, ale słuchała z takim napięciem, że to pytanie ją

zaskoczyło. Zmarszczyła czoło, zagryzła wargi i miała nadzieję, że jej słowa nie zabrzmiały głupio.

---

...dobrzy zawsze zwyciężają - powiedziała.

---

Dokładnie. Co nie oznacza, że zwyciężysz, bo jeszcze nie zostało ustalone zgodnie

z jej zasadami, że to wy jesteście ci dobrzy. Jeśli przegracie, to miną co najmniej dwa dziesięciolecia, zanim znajdzie się ktoś inny, kto podejmie wyzwanie.

---

Mówisz o Adamie? - spytała Cirocco.

---

Tak. Jest następnym potencjalnym bohaterem. Gaja trzyma go w odwodzie,

czyhając na twoje potknięcie. Jednakże jego zadanie będzie potwornie trudne. Ona zamierza go zmusić, by ją pokochał. Najpierw będzie musiał zwalczyć to uczucie, zanim zacznie walczyć z Gają. Dlatego pozwoliła żyć Chrisowi. Będzie funkcjonował jako świadomość Adama. Ale Gaja zabije go, gdy Adam skończy sześć albo siedem lat. To jest również część gry.

Milczały przez chwilę, w trakcie której Cirocco trawiła to wszystko. Czowała w sobie głęboką chęć, by zaprotestować, ale zwalczyła ją. Przypomniała sobie słowa Conala:

“Spodziewałaś się walki fair?”

- Jak dotąd podążasz w tym kierunku. Obdarzono cię mocami, których, zdaje się, nie raczysz zauważać. Z łatwością akceptujesz siłę fizyczną, ale inne są ważniejsze. - Gaby zaczęła wymieniać na palcach. - Masz znacznie więcej sojuszników niż Gaja. To są ci z góry i ci z dołu. Niektórzy przyjdą ci z pomocą, kiedy będziesz się tego najmniej spodziewała. Masz szpiega we wrogim obozie. Wykorzystaj Kapusia i ufaj temu, co on mówi. Dysponujesz rodzajem anioła stróża. - Gaby uśmiechnęła się szeroko i wskazała kciukiem we własną pierś.

- To ja. Zrobię wszystko, żebyś odniosła zwycięstwo. Powiem ci wszystko, co mogę... ale nie spodziewaj się, że będę cię ostrzegała w porę. Polegaj na mnie tak, jakbym działała głęboko w tle. Uważaj mnie za kreta.

Gaby poczekała, aż Cirocco wszystko to wchłonie.

- Pamiętaj, lepiej poczekać i być całkowicie czegoś pewną, niż działać pochopnie. To wszystko. Gdybyś teraz zechciała mnie... dotknąć... - Gaby zakasłała i odwróciła wzrok, a Cirocco zauważyła, że jest bliska łez. Zaczęła się podnosić. - Nie, nie, zostań tam. Nie chodzi mi o seks. Po prostu utrzymam z tobą dłuższy kontakt, jeśli się dotkniemy. Przysuń się tylko trochę.

Cirocco przysunęła się, aż jej bosc stopy zetknęły się w popiołach ze stopami Gaby.

Gaby siedziała z podbródkiem wspartym na kolanach. Schwyciły się za ręce i Gaby opowiedziała Cirocco pewną historię.

Pięć

Robin obserwowała Conala, jak wstał, otworzył drzwi i wyszedł.

Dość szybko - pomyślała, ale przecież nie prosiła o nic więcej. Wykorzystali się nawzajem do własnych celów. Mógł jednak powiedzieć choć “do widzenia”.

Po chwili wrócił, niosąc z sobą starą kurtkę, którą nosił w Bellinzonie, kiedy go

poznały. Od czasu porwania Adama zakładał ją coraz rzadziej. Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął długie, grube cygaro, jedno z takich, jakie kiedyś palił bezustannie, a teraz tylko sporadycznie. Jakby się dobrze zastanowił, to odkąd go po raz pierwszy zobaczyły, zaszło w nim wiele zmian.

- Czy mogę też dostać jedno? - spytała Robin.

Conal zacisnął zęby na swoim cygarze i spojrzał na nią z ukosa. Wyjął jednak drugie z kieszeni i rzucił je w jej stronę.

—  
Nie będzie ci smakowało - powiedział, usiadł na łóżku i ułożył się na jednej z gigantycznych poduszek wspartych o zagłówek.

—  
Ładnie pachną - powiedziała Robin. - Zawsze podobał mi się ten zapach.

—  
Wąchanie to jedno, a palenie to drugie. - Odgryzł końcówkę swojego cygara, więc ona zrobiła to samo, po czym długo je podpalał zapałką. Powietrze wypełniło się błękitnawym, aromatycznym dymem. - Przede wszystkim się nie zaciągaj - powiedział i przyłożył zapałkę do jej cygara.

Włożyła cygaro do ust odgryzionym końcem i po kilku sekundach zaczęła kaszleć.

Zabrał jej cygaro i klepał po plecach tak długo, aż mogła znowu oddychać, po czym zgasił je w popielnicze.

—  
Obrzydliwe, co? - spytał.

—  
Może mogłabym się zaciągnąć twoim.

—  
Wszystko, co zechcesz, Robin. Ty dyktujesz warunki.

—  
Czyżby?

Odwrócił się i spojrzał na nią. Ze zdziwieniem zauważyła, że jest zdenerwowany i pełen poczucia winy.

- Posłuchaj, przykro mi, że nie zrobiłem tego lepiej. Starłem się, jak mogłem, ale po pewnym czasie nie umiem osiągnąć już nic więcej, tylko...

---

O czym ty mówisz? Byłeś świetny. Zmrużył oczy.

---

Ale nie miałaś orgazmu.

---

Conal, Conal... - Odwróciła się, objęła ramieniem jego pierś, położyła nogę na jego lędźwiach i namiętnie wtuliła głowę w zagłębienie jego karku. Przemówiła mu wprost do ucha.

---

Wcale się go nie spodziewałam. Przypomnij sobie. Było po mnie widać, że jest mi dobrze?

---

Tak - przyznał.

---

To znaczy, że zrobiłeś to dobrze. Nie spodziewałam się, że będę miała orgazm.

Szczerze mówiąc, wciąż nie wiem, jak można go osiągnąć w taki sposób. Moje ciało jest zupełnie do tego nieprzystosowane. Taki akt chyba nie może zadowolić kobiety.

---

Może - powiedział. - Uwierz mi na słowo. Musisz się tylko do tego przyzwyczaić, to wszystko. A ja muszę się nauczyć...

Zawiesił głos i spojrzeli sobie w oczy. Wzruszył ramionami z rezygnacją i opadł na poduszki. Robin zrobiła to samo.

To był gorący dzień. Ich ciała połyskiwały od potu. Robin czuła się wspaniale.

Przepelniało ją jakieś nieokreślone ciepło; miała wrażenie, że jej ciało śpiewa. Dawno już się tak nie czuła. Podłożyła ręce pod głowę i przyjrzała się sobie, a potem spojrzała na niego.

Dotknęła nagą stopą jego nogi i porównała ich stopy. Takie inne, a przecież tak samo zbudowane.



Podobnie było z nogami. Potem lędźwia, też zupełnie inne. Jej zwarte, kształtne, jego... przerośnięte, szerokie, zewnętrznie miękkie, pełne zadowolenia, wyczerpania i połyskujące od jej wilgoci.

Nigdy nie uważała go za brzydkiego, nawet w wzwodzie. Wydawał się taki bezbronny

- i był taki rzeczywiście, o czym się przekonała już dawno temu, podczas niefortunnego epizodu z Chrisem.

Usiłowała wyobrazić sobie siebie samą na jego miejscu.

Jak to jest patrzeć na siebie i widzieć coś takiego? Poczwała tylko strach, jaki - jej zdaniem - on zawsze musiał odczuwać. Miała wrażenie, że zawsze musiałyby się kulić, wiecznie być czujna w razie ataku, żałośnie wystawiona na pokaz. Taka nagość nigdy nie miała jej dręczyć. Dziękowała Wielkiej Matce, że z jej błogosławieństwa urodziła się kobietą.

—  
Wiesz, co mi się podoba? - spytała nagle.

—  
Co?

—  
Że twój penis jest taki mały. Kiedy to robiłam z Chrisem, nie było mi zbyt dobrze, bo on ma znacznie większego niż ty, a za pierwszym razem...

Zauważyła, że Conal się trzęsie, więc spojrzała na niego. Miał wykrzywioną twarz i najwyraźniej trudności z oddychaniem. Po chwili rzucił nieśmiałe spojrzenie, usiłował coś powiedzieć i wreszcie wybuchnął śmiechem.

Był to ten rodzaj śmiechu, który bardzo trudno opanować. Do pewnego stopnia był

zaraźliwy, bo przez jakiś czas Robin śmiała się razem z nim, ale dość szybko opanowało ją owo szczególne uczucie niepewności, które powstaje, kiedy nie rozumiemy żartu i nie jesteśmy pewni, czy przypadkiem nie żartują właśnie z nas. Wreszcie przestał, ale zamiast tego dostał czkawki.

—  
Czy powiedziałam coś nie tak? - spytała lodowatym tonem.

—  
Robin, mogę ci tylko podziękować. Przyjmuję komplement w tym samym duchu, w jakim został mi ofiarowany.

- Obawiam się, że to nie wystarczy, Conal.

Westchnął.

- Tak, chyba rzeczywiście nie wystarczy. Zdaje się, że będę musiał ci to wyjaśnić. -

Spojrzał na sufit. - Och, Wielka Matko, dodaj mi sił.

Było to tak nieoczekiwane, że Robin się roześmiała.

—  
Dlaczego to powiedziałeś?

—  
Nie wiem. Zdaje się, że słyszałem to wystarczającą ilość razy z ust Novy, która

ciągle tak mówiła, gdy się potykała o jakąś barierę kulturową. I miałem wrażenie, że tylko Ona może to pojąć.

—  
Robin czekała cierpliwie, kiedy ocierał oczy i wstrzymywał oddech, usiłując pozbyć się czkawkki.

- Musisz wiedzieć, że to idiotyzm, Robin. To jedna z takich rzeczy, z których nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać.

Parę lat temu obrażono mnie. Chwalić Boga, wyrosłem od tego czasu.

Wyjaśnił jej wszystko i okazało się, że miał rację - to był idiotyzm. Z pewnością nie była ekspertem w tej kwestii, ale wiedziała, że jest to dla mężczyzny coś istotnego.

Zastanawiała się, czy to się jakoś wiąże z ich bezbronnością, skoro uważali, że posiadanie dużego penisa może w czymś pomóc. Powiedział jednak, że logika nie ma z tym nic

wspólnego. Był ciekaw, czy w społeczności Kongregacji spotyka się podobne problemy.

Jednak żadne nie przyszły jej do głowy. Wyjaśnił więc, że na Ziemi wielkość piersi często jest dla kobiet ważna.

—  
W Kongregacji tak nie jest - powiedziała Robin. - Przykro mi, ale...

Nie, nie, nie. Powiedziałem ci, że wiem, że to był szczerzy komplement. Po prostu rozkleiłem się... Rozumiesz.

Wydało jej się, że rozumie, i posmutniała.

- To tylko kolejny przykład, że między nami nic nie będzie, Conal.

Sposepniał, spojrział na nią i z niechęcią skinął głową.

- Chyba masz rację.

Przytuliła go i poczuła się znacznie lepiej, gdy odwzajemnił uścisk.

—

Chcę ci podziękować za... za dobre samopoczucie - powiedziała.

—

Cała przyjemność po mojej stronie, madame. Przykro mi to mówić.

Roześmiała się, ale widziała, że jest mu naprawdę przykro, bo nie doprowadził jej do orgazmu.

—

Chcę, żebyś wiedział, że naprawdę cię lubię, Conal.

—

Ja też cię lubię, Robin.

Położył się na plecach. Palił cygaro, a Robin obserwowała niebieskie obłoczki dymu unoszące się w stronę sufitu. Leniwie uniosła naga stopę i nakryła nią jego nogę. Poruszył się tak, by mogła go dotykać, i znowu bawili się palcami u ndg, śmiejąc się przy tym cicho, ale po chwili znowu umilkli.

W końcu Conal wyrzucił cygaro za okno, wsparł się na łokciu i pochylił się, aby pocałować jej sutek. Uśmiechnął się szeroko.

—

No jak tam? Gotowa to powtórzyć?

—

Myślałam, że już nigdy tego nie powiesz.

Sześć

Nova długo nie mogła ścierpieć pobytu na Gai. Punkt zwrotny nastąpił całkiem niedawno i bawiła się teraz znacznie lepiej niż podczas Czarnego Sabatu.

To się rozpoczęło od pływania. Pływanie stanowiło rozkosz zmysłową, o jakiej nigdy nie marzyła..Było lepsze niż wszystkie sporty razem wzięte.

Byłoby okropne przeżyć życie i nigdy nie zaznać pływania.

Potem do tego doszło latanie. W Kongregacji latała na szybowcach, ale to nie było to samo. Siła i nieskończona zwinność Wążek była cudowna. Opanowała je szybko, ale

podejrzewała, że nigdy nie będzie w tym tak dobra jak Conal.

No i jeszcze jazda na tytaniach.

Z początku uważała, że jest to tak nudne jak jazda windą. Kiedy się siedziało na ich grzbiecie, trudno było poczuć jakikolwiek ruch, bo poruszały się tak miękko. A gdy cwałowały, trudno było to nazwać prawdziwą szybkością.

Odkryła jednak, że najważniejsze to znaleźć właściwą tytanie.

Dosiadła właśnie szerokiego grzbietu Wirginał (Kwartet Miksolidyjski) Mazurek,

dwuletniej samicy, i zaczęły się ścigać z wiatrem. To było tak niezwykle proste. Dotychczas odnosiła całkiem błędne wrażenie, że tytanie są zawsze dorosłe, ponieważ wszystkie były tego samego wzrostu. Przeżyła szok, gdy się dowiedziała, że Wirginał ma tylko dwa lata, i z przyjemnością się przekonała, że jest w niej jeszcze sporo beztroski. Ponieważ Cirocco zniknęła niezwykle często od czasu porwania Adama, Nova spędzała każdą wolną chwilę -

kiedy nie pływała albo nie uczyła się latać - na grzbiecie Wirginał. Wspólnie zwiedziły prawie całe tereny Dione na południe od Ophionu.

Podążały skrajem lasu, gdzie drzewa rosły rzadziej, a teren wznosił się łagodnie w stronę górujących nad okolicą wałów południowego płaskowyżu. Nova ubrała się w swój strój do konnej jazdy, który Conal nazywał strojem Robin Hooda. Został uszyty z błyszczącej zielonej skóry i zakrywał ją całkowicie, tak że tylko twarz pozostawała odkryta. Oprócz niego miała jeszcze na sobie brązowe, wysokie buty i rękawice z tego samego materiału, a także zielony kapelusz z białym piórem.

Wirginał przeskoczyła przez przewrócone drzewo i Nova na moment przestała czuć

własny ciężar, przyciśnięta piętami do boków tytanii i uczipiona dłońmi jej wygiętych do tyłu ramion. Wirginał zbiegała w dół zbocza i Nova stanęła chwiejnie na podskakującym

grzbiecie, wyglądając zza ramienia tytanii, gdy opuszczały się po stromym brzegu rzeki prowadzącym

do jednej z czterech odnóg Briareusu. To było rozkoszne uczucie:

kontrolowany zeskok, podczas którego Wirginał tylko z rzadka dotykała kopytami ziemi, w towarzystwie lawiny drobnych kamyków, sypkiej ziemi i głazów podskakujących wokół nich, niezdolnych jednak ich dogonić. Włosy Novy rozwiewał ostry, zimny wiatr.

Na samym dole Wirginał zwolniła, gdy jej kopyta wpadły z trzaskiem do wody. Oblał

je zimny prysznic, a potem słysząc było tylko powolny stukot jej kopyt na kamienistym brzegu.

- Dosyć, złociutka - wydyszała tytania. Nova poklepała ją po ramieniu i zeskoczyła na suchy grunt. Za nic by się do tego nie przyznała, ale sama też łaknęła odpoczynku. Jazda na grzbiecie tytanii była równie wyczerpująca jak bieg.

Bez pomocy Wirginał nie dałaby rady tak jechać. Kilkanaście razy na każdą milę

czuła, jak się ześlizguje z siodła jej nagiego grzbietu, na który wrzucała ją z powrotem silna ręka, albo czuła, że ten grzbiet wysuwa się spod niej, i dopiero łokieć pomagał jej jakoś odzyskać rdwnowagę. Tytanie tak umiejętnie wyczuwały stan swoich pasażerów, że

graniczyło to prawie z nadprzyrodzonymi mocami. Nova podejrzewała, że Wirginał mogłaby biec galopem z parunastoma szklankami pełnymi wina ustawionymi na jej grzbiecie i nie uronić ani jednej kropli.

Padła na szeroki, płaski głaz, przewróciła się na plecy i zapatrzyła na żółte niebo.

Mimo wszystko nie było to aż takie złe miejsce. Oczywiście, tuż obok, po lewej

stronie nieba, znajdowała się niezgłębiona otchłań szprychy Dione, ale trudno ją było obejrzeć dokładniej, ponieważ wszystko przesłaniała mgła. Nowie to się podobało.

Spojrzała na tytanie, ktora rozpuściła włosy i uklękła w lodowatym strumieniu.

Pochyliła głowę nad wodą, a potem spryskała tors, wywołując przy tym istną fontannę kryształowej wody. Miała połyskliwe brązowe włosy ponad metrowej długości, przetykane szmaragdową zielenią. Gdy opadły z głośnym trzaskiem na jej grzbiet, Wirginał potrząsnęła energicznie głową, po czym kaskada wody spłynęła po jej bokach. Z ust unosiły się jej kłęby pary. Nova stwierdziła, że tytania jest piękna.

Wirginał należała do owłosionych tytanii. Całe jej ciało z wyjątkiem dłoni i twarzy porastały włosy podobne do końskich. Tylko na czaszce rosły długie, takie same jak u ludzi.

Włosy układały się jej jak u zebry w zielono-brązowe pasy. Jej twarz też była brązowa. Gdy stawała nieruchomo na skraju lasu, była prawie niewidzialna.

Nova знаła przyrodę gldwnie z filmdw i z niewielkiego zoo, ktdre mieściło się w

Kongregacji. Widziała filmy o ludziach jeżdżących konno, łącznie z kilkoma opowieściami o dziewczynach, które za nimi szalały. W zoo mieli też pięć koni. Na Nowie nigdy nie zrobiły większego wrażenia, ale teraz uważała, że było tak dlatego, że nikomu nie pozwalano na nich jeździć.

Ta myśl ją zaniepokoiła. Coraz bardziej przekonywała się, że powinna traktować

tytanie jak istoty ludzkie... czy też ludzi, jak to ujmował Conal. Trudno to było pogodzić z wyobrażeniem tępego zwierzaka. Podejrzewała jednak, że gdyby się urodziła na Ziemi, byłaby namiętą amazonką. I kiedy tak przypatrywała się Wirginał chłodzącej się w rzece, nieuchronnie przypomniawszy sobie tamte filmy przyrodnicze. Tytania parskała jak koń, gdy biegła pod wiatr, a jej nozdrza rozdymały się wtedy szeroko. Nova zafascynowana patrzyła, kiedy Wirginał robiła tę niesamowitą sztuczkę, specjalność tytania. Wciągnęła wodę nosem -

co najmniej dwa lub trzy galony - a potem odwróciła się, by opryskać nią boki.

Rozległy się trzy ciche melodyjki i Nova zauważyła, że Wirginał sięga do swej sakwy

- kolejnej, niesamowitej rzeczy - i wyciąga z niej coś, co okazało się radiowym ziarnem.

Tytania zaśpiewała do niego krótko, a potem słuchała. Nova usłyszała, że ktoś jej coś odśpiewuje. Wirginał wybiegła z wody i otrząsnęła się jak pies.

—  
Czy to była Cirocco? - spytała Nova.

—  
Tak. Chciała wiedzieć, gdzie jesteśmy.

—  
Czy coś się stało?

—  
Nie powiedziała. Chce wiedzieć, czy zechcesz jej towarzyszyć w krótkiej wyprawie.

—  
Towarzyszyć... A dokąd ona się wybiera?

- Nie powiedziała.

Nova zerwała się na nogi.

—  
Nieważne. Wielka Matko! Powiedz jej, że tak! Powiedz jej, że będę tam...  
—

Ona zabierze cię stąd - powiedziała Wirginał i zaśpiewała coś do odbiornika.

Cirocco przybyła po kilku minutach na niemal niewidzialnej Ważce Jeden. Niewielki

samolot był szybki i ruchliwy jak koliber. Girocco wylądowała na płaskim skrawku terenu długości dziesięciu metrów, w taki sposób, że dziób samolotu prawie otarł się o głaz wielkości sporego budynku. Wysiadła, podniosła samolot i zanim Nova i Wirginał do niej podeszły, zdążyła go obrócić.

- Witaj, zadnia córko Munyekery - Girocco formalnie powitała Wirginał, po czym

spojrzała na Novę, uśmiechnęła się kącikiem ust i dotknęła dwoma palcami brwi. - Jak leci, Nova?

- Witaj, Kapitanie - zaśpiewała Wirginał. Był to jedyny fragment pieśni tytanii, ktđry Nova potrafiła rozpoznać.

Nic nie powiedziała. Jak zawsze na widok Girocco zbyt mocno zaschło jej w ustach, by mogła coś powiedzieć.

Czarodziejka - pomyślała Nova. Nie podobał jej się ten Kapitan. Określenie

“Czarodziejka” pasowało do niej znacznie lepiej.

Girocco było do twarzy w ubraniu. Nova miała niewiele okazji widzieć ją ubraną.

Tego dnia ubrała się w czarne spodnie i bluzkę oraz czarny kapelusz z szerokim rondem. Była grubsza niż wtedy, gdy Nova widziała ją po raz pierwszy. Ubranie w jakiś sposób to podkreślało. Nawet tego Girocco nie robiła tak, jak każda przeciętna kobieta. Ciało przybyło jej wszędzie, ale szczególnie na piersiach. Było to wyraźnie związane z jej tajemniczymi wyprawami do lasu. Już trzykrotnie zniknęły razem z Robin i za każdym razem wracały młodsze, zdrowsze i, w przypadku Girocco, cięższe. Dzięki temu była jeszcze piękniejsza.

- Czeka mnie pewna wyprawa - powiedziała Girocco, jakby trochę zakłopotana. -

Naprawdę nie musisz lecieć ze mną, mogłabym to zrobić sama. Ale ponieważ nie jest to bardzo niebezpieczne, pomyślałam, że może by cię to zainteresowało.

Nova miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Możesz mnie prosić nawet o to, bym się

przeszła po stłuczonym szkle, ukochana. Poproś, bym wydarła sobie serce i dała ci je. Poproś, bym popłynęła dookoła świata, ścigała się z tytanią, stanęła do zapasów z zombie. Poproś mnie o którąkolwiek z tych rzeczy, a zrobię ją z dziką rozkoszą albo umrę, starając się ją wykonać, dla

ciebie. A ty mnie tylko pytasz, czy mam ochotę pojechać gdzieś z tobą... -

pomyślała.

Starając się, żeby to zabrzmiało jak najzwyczajniej, wzruszyła ramionami i

powiedziała:

—

Pewnie, Cirocco.

—

Dobrze - odparła Cirocco i otworzyła drzwi samolotu. Nova zauważyła, że z jego

wnętrza wszystko zostało wyjęte, łącznie z siedzeniami. - Będę miała spory ładunek do zabrania, a chciałam wziąć jak najmniejszy samolot. To chyba nic straszego, że właściwie będziesz musiała mi siedzieć na kolanach.

Jakoś to wytrzymam - pomyślała Nova.

W samolocie nie było nic oprócz leżących w tyle, ciasno zwiniętych lotni. Cirocco

podała jedną z nich Novie i obydwie nałożyły je na siebie.

—

Będzie trzeba trochę poskakać - wyjaśniła Cirocco i wsunęła się do kabiny pilota.

Usadowiła się z trudem, a potem Nova wcisnęła się za nią. Przez chwilę niezręcznie manewrowały łokciami, po czym znalazły sobie w miarę wygodne pozycje.

—

Myślisz, że będziesz w stanie pomóc nam się stąd wydostać? - spytała Cirocco.

—

Chyba tak.

—

Pamiętaj, że jesteśmy dość ciężkie.

Nova od razu zaprogramowała komputer. Czy nie byłoby wspaniale, gdyby im się coś

nie powiodło, a ona musiała zastąpić Cirocco i mogła uratować je obydwie? Czym prędzej pozbyła



się tej myśli.

Zamknęła dokładnie drzwi, obejrzała się i zobaczyła Wir-ginał stojącą w bezpiecznej odległości. Pomachała jej na pożegnanie, a tytania odmachwała w odpowiedzi.

- Droga wolna! - krzyknęła, czując się trochę głupio.

Jednakże w awiacji wszyscy zawsze powinni przestrzegać zasad, co w upokarzający sposób zaznaczył podczas ich pierwszej lekcji Conal, a Cirocco poparła zimnym spojrzeniem.

Przestawiła się na ten sposób myślenia, potem zrobiła głęboki wdech i otworzyła przepustnicę. Samolot skoczył do przodu, dojechał do skraju płaskiego terenu... i zaczął

łagodnie opadać. Nova zaczęła majstrować przy przyciskach kontrolnych, włączyła silnik i omal nie uległa załama-niu nerwowemu, ponieważ przez bardzo długie dziesięć se-kund zdawało się, że samolot ma zamiar się rozbić o korony drzew.

Gdy w końcu przeleciały ponad nimi, Nova zerknęła ukradkiem na Cirocco.

Czarodziejka nawet nie patrzyła na drzewa. Spoglądała w górę przez przezroczysty dach, jakby czegoś szukając. Nova była z siebie dumna. Cirocco nie wątpiła, że ona potrafi to zrobić. Po chwili dobry nastrój nieco przygasł. Bardzo by się jej przydało jakieś aprobujące

“dobra robota”. Potem uświadomiła sobie, że komplement zawierał się już w samym zaufaniu.

—

Wznies się na wysokość trzydziestu kilometrów i kieruj się na północny wschód - powiedziała Cirocco.

—

Jakiś konkretny kierunek?

—

Nie mogę być dokładniejsza, ponieważ nie wiem, gdzie on jest.

—

On?

—

Gwizdek. Jest gdzieś nad zachodnim Japetosem.

Miękkolot! Nova poczuła, jak ogarnia ją podniecenie, a potem zdumienie. Wiedziała przecież, że miękkoloty nie lubią dopuszczać do siebie odrzutowców.

—  
Czy to ważne, jak szybko będę się wznosić?

—  
Na jak najszybszych obrotach, mamy mnóstwo paliwa. Możesz ruszać od razu.

Nova obliczyła współczynnik szybkiego wznoszenia, wykonując wszystko ręcznie, zamiast zdać się całkowicie na pracę komputera, ponieważ chciała umieć robić to na wypadek jakiejś awarii. Cirocco obserwowała ją w milczeniu.

—  
Czy one zawsze latają tak wysoko? - spytała Nova, kiedy osiągnęły pożądaną wysokość. Cirocco spoglądała w dół.

—  
Bardzo rzadko. Chcę być pewna, że lecimy ponad nim. Wyjrzyj może od swojej strony i sprawdź, czy go nie widzisz? To nie powinno być zbyt trudne. Jest niewiele większy od Pensylwanii.

To była oczywiście przesada, ale Nova jednak się rozczarowała, gdy go wreszcie znalazły. Widziała już kiedyś z daleka kilka miękkolotów - w Dione nigdy nie podlatywały zbyt blisko ziemi - ale Gwizdek wcale nie wyglądał na aż tak wielkiego.

Dopiero potem zobaczyła liczby na ekranie radaru i zorientowała się, że nie dzieli ich odległość dwóch czy trzech kilometrów, lecz dwudziestu pięciu.

- Wyłącz radar - zarządziła Cirocco. - Rani mu uszy.

Nova wykonała rozkaz, a potem, widząc, że Cirocco sprawdza plecak, pas i oprzyrządowanie swojej lotni, zrobiła dokładnie to samo, co ona.

Plan jest taki: ty zaprogramujesz tę klatkę, żeby sama wróciła do jaskini obok

Junction. Pamiętaj, że możemy się zbliżyć do Gwizdka na co najwyżej dwadzieścia

kilometrów. Najlepiej od razu niech zleci na jakieś dwieście do trzystu metrów. - Spojrzała na Novę.  
- Nie zapytasz dlaczego?

—  
Myślałam, że nie powinnam.

—  
Wyluzuj się, mała. To nie jest musztra. Chcę, żeby leciał tak nisko, bo się  
spodziewam następnych rakiet. Jeszcze się nie pojawiły, ale zrobią to w najbliższym czasie.  
Samolot nie będzie się mdgł bronić, a naprawdę nie chcę go stracić.

—  
To brzmi sensownie. - Zerknęła nerwowo na niebo. Do tej chwili nie myślała w  
ogóle o rakietach. Wciąż pamiętała wspaniałą akcję Conala podczas ataku i wiedziała, że wtedy  
uratował jej życie. Wątpiła, czy sama potrafi równie dobrze pokierować samolotem.

Włączyła więc program autopilota, a Cirocco czekała na nią cierpliwie. Pogubiła się dość szybko.  
Pokręciła głową i wymazała jakiś nieprawdopodobny wynik.

—  
Nie wiem, czy potrafię sobie z tym poradzić - przyznała. - Przepraszam.

—  
Nie musisz przeproszać. Zobacz, co robisz źle. - Jej palce zamigotały na  
klawiszach, zatrzymując się tylko na chwilę, aby się upewnić, że Nova wszystko widzi i rozumie.  
- Najważniejsze to umieć się przyznać, że jeszcze nie wszystko się potrafi.

Nova spojrzała na nią i zobaczyła, że Cirocco się uśmiecha.

- Gdzie byśmy teraz były - powiedziała Cirocco - gdybyś nie wiedziała, że start może być taki  
niebezpieczny?

- Przez ułamek sekundy jej uśmiech stał się jeszcze szerszy, a potem znowu spojrzała na komputer. A  
Nova wiedziała, że Czarodziejka jak zwykle przejrzała ją wtedy na wylot.

Przysięgłaby, że nie zwróciła uwagi na start i że nie zauważyła jej zdenerwowania.

- Okay - powiedziała Cirocco, zatrzymując program.

- Ty wyskakujesz pierwsza. Rozwiń skrzydła, jak tylko znajdziesz się pod samolotem, a potem leć w ślad za mną.

Jeśli zobaczysz jakąś raketę, przetnij linki i spadaj tak długo, jak się odważysz. W plecaku jest zapasowe skrzydło. Masz jakieś pytania?

Nova miała ich kilkanaście, ale zadała tylko jedno.

—  
Myślisz, że napotkamy rakiety?

—  
Nie. Ale nie możemy tego wykluczyć.

Otworzyły drzwi i Nova wyskoczyła na zewnątrz. Zorientowała się w swoim

położeniu i pociągnęła za linkę. Usłyszała znajome trzepotanie tkaniny, szuranie lin i poczuła ostre szarpnięcie. Spojrzała w gdrę...

Przez jedną potworną sekundę myślała, że lotnia oderwała się od uprzęży.

Spodziewała się zobaczyć kolorowe, tradycyjne płótno. Zamiast tego zobaczyła coś utkanego jakby z pajęczyn i powietrza, co było prawie że niewidzialne.

Cóż, całkiem sensownie. Bardzo trudno je było wypatrzeć.

Dostrzegła Cirocco po prawej stronie; obie dłonie miała osłonięte tkaniną i prędko traciła wysokość. Szarpnąwszy kilkakrotnie za swoje linki, Nova doleciała do niej. Leć w ślad za mną, tak powiedziała Czarodziejka. Gdzie tylko zechcesz - pomyślała Nova.

Przez kilka minut Nova przyglądała się czystemu niebu, wypatrując zdradzieckich

smug kondensacyjnych pozostawionych przez rakiety. Dwukrotnie wypatrzyła porzuconą Ważkę. Po raz pierwszy przestraszyła się jej, za drugim razem była tylko znudzona.

Spokojnie leciała śladem Cirocco owego najczystszejego dnia, jaki można było sobie wymarzyć do latania na szybowcach.

Potem Cirocco zaczęła gwałtownie wirować i kołysać się na wszystkie strony,

zaplątana w swoje linki. Nova nie przejmowała się tym z początku, ale gdy to się przeciągało, zaczęła się zastanawiać, co się dzieje. Jeszcze się nie denerwowała, dopdki nie zauważyła, że Cirocco gwałtownie spada. Z najwyższym trudem udało jej się polecieć w ślad za nią i gdy tylko to

zrobiła, Cirocco zaczęła lecieć w gdrę i leciała tak wciąż, leciała... aż prawie zniknęła. Trudno jest wykonać pętlę na lotni. Czarodziejce też nie najlepiej się udała. Nova jednak wciąż nie wiedziała, na czym polegał problem, dopdki nie usłyszała śmiechu.

- Myślałam, że polecisz za mną - krzyknęła Cirocco i znowu się zaśmiała. - Podobno byłaś mistrzynią Kongregacji, czy kimś takim.

Ach to tak?

Nova zawisała na swoich linkach i doleciała tak blisko Cirocco, że nieomal usłyszała zdziwienie w jej głośnym oddechu. Potem zaczęła spadać, coraz to szybciej, kołysząc się z boku na bok i stopniowo budując siłę odśrodkową, aż w końcu szarpnęła z całej siły, poderwała się w gdrę, zatoczyła krąg i zawisała na chwilę nieruchomo, do góry nogami, a skrzydło ugięło się pod ciężarem jej ciała. Zrobiła przewrót, po mistrzowsku unikając zaplątania się w luźne linki, przyhamowała gwałtownie wśród przenikliwego trzasku skrzydła łopoczącego w pędzie powietrza i zakończyła całą figurę pełnym wdzięku ślizgiem, jak robiła to zawsze podczas zawodów. Widziała w wyobraźni szereg dziesiątek błyskających na

sędziowskich tablicach.

Cirocco doleciała do niej na taką odległość, by ich skrzydła nie zderzyły się z sobą.

Nie potrafiła jej zbyt długo piorunować wzrokiem, więc znowu wybuchnęła śmiechem.

—

Oddaję palmę pierwszeństwa lepszej - powiedziała Cirocco. - Nieźle mnie przestraszyłaś, młoda damo.

—

To ty mnie przestraszyłaś - zaprotestowała Nova.

—

Tak, chyba masz rację. Pewnie nie powinnam była tego robić.

—

Nieważne.

- Nova, wiem, że można mnie uważać za nieczułą i odrażającą starą wiedźmę.

Ostatnimi czasy nie bardzo mam czas na zabawy. Jestem sześć razy starsza od ciebie i wiem, że znasz już tragiczną historię mojego życia... ale wiesz co?

gdyby tak zsumować wszystko, co było w nim dobre i złe, to stwierdzam, że bawiłam się znakomicie. Ostatnie trzy-dzieści lat było bardzo trudne, a będzie jeszcze gorzej. Ale inne życie by mi nie odpowiadało. Okropnie jest tylko wtedy...

o, na przykład teraz. Mam ochotę się powydurniać, a tego, zdaje się, mi nie wypada.

To mnie smuci.

Ostatnie trzydzieści lat - pomyślała Nova.

To było długie szybowanie. Zabawiały się jeszcze innymi sztuczkami, choć nie tak niebezpiecznymi jak pętle. I cały ten czas Gwizdek robił się pod nimi coraz to większy.

Prawie cały wiek wcześniej, kiedy Cirocco i jej załoga zobaczyli go po raz pierwszy, Gwizdek mierzył od nosa po ogon zaledwie jeden kilometr. "Hindenburg", największa

maszyna latająca kiedykolwiek zbudowana na Ziemi, miał nieco mniej niż ćwierć wielkości Gwizdka.

Od tego czasu znacznie się rozrósł.

Miał teraz dwa kilometry długości. Rozrósł się proporcjonalnie w pozostałych wymiarach i był teraz osiem razy większy niż wtedy. Składał się z pdł miliarda stóp sześciennych wodoru.

- Nikt nie wie, dlaczego on tak urósł - powiedziała Cirocco, kiedy obydwie gotowały się do wylądowania na jego szerokim grzbiecie. - Miękkoloty zazwyczaj nie rosną tak szybko.

Wiem, że on ma sześćdziesiąt tysięcy lat. Jego rówieśnicy wydają się rosnać tylko o kilka cali rocznie.

Stary Zwiadowca, który jest przynajmniej dwadzieścia tysięcy lat starszy od Gwizdka, ma tylko pdłtora kilometra długości.

Nova wysłuchiwała dalszych informacji, ale Gwizdka właściwie nie dawało się opisać

żadnymi słowami. Trzeba go było zobaczyć, żeby w niego uwierzyć. Myślała, że lądowanie na grzbiecie miękkolota może być ryzykowne. Okazało się, że podobne trudności musi przeżywać moskit lądujący na grzbiecie słonia.

Dotknęła go stopami, przebiegła kilka kroków, od razu sprawnie ściągając płachtę, i już miała się zabrać za jej składanie, kiedy Cirocco dotknęła jej ramienia.

—

Odetnij je - powiedziała. - Wylądujemy na ziemi w inny sposób.

—

Nie mam noża - odparła Nova.

Cirocco zrobiła zdziwioną minę, a potem pokręciła głową.

- Chyba się starzeję - powiedziała, lustrując przy tym Novę od stóp do głów. Nova nie umiała się domyślić, o co jej chodzi. Girocco przecięła linki Novy nożem o białym ostrzu.

Przyjrząwszy mu się bliżej, Nova zorientowała się, że jest to po prostu naostrzona kość, ozdobiona przez tytanie skomplikowanym ornamentem.

—

Masz coś na sobie pod tym ubraniem? - spytała Ci-rocco.

—

Tylko bawełniane szorty - odparła Nova.

—

Szukam metalu. Zabieranie go do miękkołota jest nie tylko nieuprzejme, ale i bardzo niebezpieczne. Wszystkiego, co może wywołać iskrę.

Sznurowadła butów Novy miały metalowe końcówki, ale Girocco przyjrzała im się i stwierdziła, że nie są groźne. Nowie kamień spadł z serca - był to podarunek od Wirginał.

Potem Girocco uklękła i zaczęła obmacywać twardą skórę miękkołota. Nova zrobiła to samo. Wiedziała, że powinna zadawać pytania, ale chociaż podczas spadania miała okazję widzieć rozmiłowaną w zabawie Czarodziejkę, jej dominującą reakcją wobec Girocco był strach, a odpowiedzią posłuszeństwo.

Rozejrzała się dookoła. Powierzchnia miękkołota przypominała płaski, posrebrzany półmisek. Wiedziała, że zakrzywia się ku dołowi, ale mogła w każdym kierunku odbyć daleki spacer, zanim zaczęłoby to stanowić problem.

Wreszcie Girocco znalazła miejsce, którego szukała. Przycisnęła czubek kościanego

noża do skóry miękkołota i wyłobiła w niej niewielki otwór. Nova zobaczyła, jak przyciska dłoń do nacięcia. Usłyszała krótki syk. Girocco była najwyraźniej zadowolona i, ku zdziwieniu Novy, wycięła w skórze miękkołota duże X. Wepchnęła płaty naciętej skóry do wnętrza otworu i obydwie

zajrzały do środka.

W środku widać było czern. Wszystkie ściany wąskiego komina wydymały się do wewnątrz, oplecione czymś, co przypominało sieć rybacką. Nova pojęła, że to są zbiorniki gazu. Cirocco znalazła odgraniczającą je przestrzeń.

—  
A gdybyś nakłuła taki zbiornik? - spytała Nova.

—  
Gwizdek ma ponad tysiąc zbiorników z gazem. Można przebić trzysta zbiorników jednocześnie i nadal nic by mu się nie stało. Zresztą, gdybym nakłuła jakiś zbiornik, zblizniłby się po dziesięciu sekundach. - Spuściła nogi do otworu, znalazła oparcie dla stóp i uśmiechnęła się szeroko do Novy.

—  
—  
Wejdiesz za mną, co?

—  
On nie będzie miał nic przeciwko temu?

—  
Ten otwór zamknie, się po pięciu minutach. On nawet tego nie zauważy, obiecuję.

Nova miała wątpliwości, ale to nie miało wpływu na chęć pójścia w ślady Cirocco.

Zeszła do środka, gdy tylko głowa Czarodziejki zniknęła w otworze, poślizgnęła się, a potem uchwyciła się jakiegoś elementu w otaczającej ją sieci.

- Odgarnij płaty z powrotem do góry - zawołała Cirocco z dołu. - Dzięki temu rana szybciej się zblizni.

Nova zrobiła, jak jej kazano, i we wnętrzu miękkołota zrobiło się ciemniej.

- Teraz po prostu schodź w dół. Będziesz widziała różne rzeczy, ale nie przejmuj się nimi. Nic ci się tutaj nie stanie.

Schodziły bardzo długo. Z początku były pogrążone w absolutnej ciemności, ale po



jakimś czasie wzrok Novy przyzwyczyła się i zaczęła co nieco rozróżniać.

Łatwiej było przytrzymać się palcami, ale to było męczące. Od czasu do czasu jej stopy napotykały zgrubienie, na którym mogła przysiąść, ale na ogół wszędzie była tylko cienka siatka. Ratowała ją wyłącznie niska siła grawitacji.

Po dziesięciu minutach w dole zapłonęło jakieś światło. Zatrzymała się i zobaczyła, że Cirocco wyciąga z plecaka małą kulę wydzielającą pomarańczową łunę. Wręczyła ją Novie, a drugą taką samą przymocowała sobie do nadgarstka. Był to rodzaj bioluminescencji, dzięki której można było nieźle widzieć.

Z początku było lepiej. Widziała wreszcie, gdzie może stawiać stopy i ręce. Potem, o dziwo, poczuła atak klaustrofobii. Miewała takie koszmary senne, w których ściany zamykały się wokół niej, z tym że tutaj to było realne. Te ściany naprawdę się wydymały.

Potem zastanowiła się nad tym, co właściwie robi. To, czego się chwyciła, to nie były liny, ani sieci, lecz żywe mięśnie monstrualnie wielkiego zwierzęcia. Czuła, jak się ruszają, gdy się ich przytrzymywała. Dzięki Wielkiej Matce i jej małym demonom, że były suche, ale i tak dostała gęszej skórki.

Szły bocznymi przejściami. Większość nie była grubsza od obwodu jej ramienia, ale

zdarzały się tak szerokie, że mogły się nimi swobodnie przecisnąć. W jednym z takich większych w oddali dostrzegła połyskujące oczy.

- Cherubiny - rozpoznała je od razu Cirocco. - Są spokrewnione z aniołami tak jak my z małpami. Gnieźdzą się w większych miękkołotach.

Napotykały też innych mieszkańców tego podniebnego le-wiatana. Spod stóp Novy

umykały małe stworzenia podobne do myszy, a w pewnym momencie Cirocco

przystanąła, kiedy z jej drogi czmyhnęło coś większego. Novie nie udało się zobaczyć, co to było za stworzenie, ale bynajmniej tego nie żałowała.

—

Jesteś pewna, że nie przeszkadzamy mu swoją obecnością? - spytała w którymś momencie.

—

Nie martw się - powiedziała Cirocco. - Gdyby nas tu nie chciał, już byśmy o tym

wiedziały. Po prostu zamknąłby to przejście i zalał je wodorem. Nie bój się tak, Nova.

Miękkoloty mają swoją własną wewnętrzną ekologię. Istnieje ze sto gatunków zwierząt, które nie mogą żyć nigdzie indziej. A poza tym miękkoloty często zabierają pasażerów.

Doszły wreszcie do szerszego przejścia. Miało około dwudziestu metrów w przekroju i zdawało się rozciągać w nieskończoność we wszystkich kierunkach.

- Central Park - powiedziała Cirocco. Istotnie, ze ścian wyrastały tam rośliny, podobne do drzew, blade i szkieletowate. Kurczyły się pod wpływem światła. Cirocco ruszyła do przodu. - No chodź. Jeszcze tylko mila.

To była dziwna mila. Znajdowały się na szczycie zbiornika z gazem, a siatka pod ich stopami była tutaj znacznie grubsza i prawie sztywna. Gdy szły, kołysała się pod nimi.

Przypominało to przechodzenie po oceanie z poduszek.

Po dłuższym czasie korytarz rozszerzył się, a na jego końcu rozbłysło światło. Weszły do przestronnego, owalnego pomieszczenia. Podłoga opadała ukośnie w stronę przezroczystej membrany poprzetykanej cienkimi kablami, które wybrzuszały się od wewnętrznego

ciśnienia. Podobnie jak w całym wnętrzu miękkolota panował tam chłód.

- Klub B-24 - powiedziała Cirocco i zaczęła przeszukiwać stopy kolorowej tkaniny.

Nova ruszyła do przodu i nagle odkryła, że stoi przed ogromnym oknem. Pojęła, że znajduje się na samym dole nosa stworzenia. Taki widok mdgł oglądać bombardier starego samolotu wojkowego, a był to widok wspaniały. Daleko w dole pełzła w powolnym i statecznym rytmie powierzchnia ziemi, i tak od sześćdziesięciu tysięcy lat.

Brodząc stopą w stosie szmat, natrafiła na coś twardego. Spojrzała w dół i wstrzymała oddech. Była to ludzka stopa: brązowa, powykręcana, stanowiąca przedłużenie chudej łydki.

Palce stopy zaczęły się ruszać. Podniosła wzrok i zobaczyła twarz bardzo starego człowieka, kompletnie łysego, zbrzo-wiałego jak mahoń i demonstrującego zdrowe białe zęby w uśmiechu zadowolenia.

- Nazywam się Calvin, kochanie - oświadczył starzec.

- A ty jesteś najpiękniejszym z wszystkich stworzeń, jakie widziałem od dłuższego czasu.

Nie miała okazji przyjrzeć się dokładnie Calvinowi. Cały czas krążył w pobliżu, ale był tak opatulony w zwoje tkanin, że widoczna była tylko jego głowa.

- W tym życiu jedynym problemem - powiedział w którymś momencie - ...jedynym

prawdziwym problemem jest nie zamarznąć. Stary Gwizdek lubi latać tam, gdzie jest zimno.

Jak się powodzi August, Rocky?

Ciocco wyjaśniła mu, że August umarła bardzo dawno temu. Nova obserwowała go i

nie była pewna, czy starzec to rozumiał. Potem zaczął wypytywać o innych, również już zmarłych. Za każdym razem ze smutkiem kręcił głową. Raz tylko Ciocco wyraźnie się zdenerwowała, kiedy spytał ją o Gaby.

—  
Ona... ma się dobrze, Calvin. Dobrze jej się powodzi.

—  
To naprawdę miło.

To było wariactwem, bo Nova wiedziała wszystko o Gaby.

Uświadomiła sobie wreszcie, że Calvin jest prawie tak samo stary jak Ciocco.

Wyglądał na swój wiek, lecz jednocześnie był zwawy, wyraźnie szczęśliwy i na moment nie tracił czujności. Jediną oznaką podeszłego wieku było tylko to wypytywanie o zmarłych.

Tłukł się po wnętrzu zimnej jaskini, grzebiąc w słomianych koszach i wyjmując z nich po kolei drewniane miski, kościane noże i deskę do krojenia. Ciocco usiadła obok Novy i zaczęła do niej mówić przyciszonym głosem.

—  
On nie jest szaleńcem, Nova. Nie wiem, czy on pojmuje śmierć. I nie wiem, czy

jest w ogóle świadomy upływu czasu. Żyje tu od dziewięćdziesięciu pięciu lat i jest najszczęśliwszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałam.

—  
Proszę bardzo! - zaskrzeczał Calvin, wskazując na duży drewniany pojemnik.

Ustawił go na płaskiej powierzchni, tuż obok misek z sałatą i surowymi warzywami oraz ogromnego garnca jakiejś substancji, którą nazwał miodem.

—  
Już dojrzeła - powiedział i spojrzał na Novę. - Lepiej okryj się czymś,

dziewczyno. Nie możesz zmarznąć.

Nova już zziębła, ale patrzyła na stosy szmat z podejrzliwością. Zauważyła też, że spod jednego stosu

wypełzają ślepe i bezwłose myszki. Tkanina jednak nie cuchnęła brudem.

---

To miękkość wydziela to z siebie - powiedziała Cirocco, owijając się płachtami. -

To dobre ubranie na chłody. No dalej, to jest czyste. Wszystko tutaj jest czyste.

---

Tak to już jest w miękkości - zachichotał Calvin. Drewnianą łyżką nalewał im do

misek gęstą, papkowatą zupę. - Spróbuj tego... Powiedziałaś, że masz na imię Nova? Ładne imię, podoba mi się. Pasuje do ciebie. Jest niezwykle i promienne, a w tobie jest tyle blasku.

To gazpacho, w którym jestem specjalistą. Ugotowane z najlepszych składników, jakie rosną na Gai. - Znowu zachichotał i podał Novie miskę. - Kiedyś zwykłem raz w roku wychodzić stąd na gorący posiłek. Potem zauważyłem, że minął niezły kawał czasu, odkąd to zrobiłem po raz ostatni, i stwierdziłem, że wcale za tym nie tęsknię.

---

Myślę, że wyszedłeś stąd tylko dwa razy, stary durniu - powiedziała Cirocco.

Calvina nieźle to rozbawiło.

---

Przestań, Rocky. To nieprawda, co? - Zamyślił się na chwilę, zaczął coś liczyć na palcach, ale szybko się pogubił. Nova powstrzymywała śmiech, bo bała się, że go tym obrazi.

Był całkiem miły, choć nieco dezorientowany.

---

No, nie bój się tego, kotku - powiedział do niej.

Ale potraktuj to z szacunkiem. Ja tam się nie bawię w podgrzewanie jedzenia, ale nie przeszkadza mi, jeśli jest gorące, o ile rozumiesz, co mam na myśli.

Nova niestety nie rozumiała. Powąchawszy zupę, stwierdziła, że zapach jej

odpowiada, więc zjadła pełną łyżkę. Zupa została przyrządzona z pomidorów i selera, i była smaczna, aromatyczna i chłodna. Zjadła jeszcze jedną łyżkę... i wtedy poczuła uderzenie pierwszej. Połknęła, nabrała tchu i poczuła, jak płyn pali kanały nosowe i płonie gdzieś za gałkami ocznymi. Prędko schwyciła szklankę z miodem i napiła się dużym haustem. Udało jej się to przełknąć bez

trudu. Miało smak miodu.

To gazpacho nawet było dobre, jeśli się je jadło ostrożnie. Wszyscy troje siedzieli obok siebie i był to przyjemny posiłek, choć nieco hałaśliwy. Surowe warzywa wymagały chrupania, więc wydawało się, że przy prowizorycznym stole siedzą trzy króliki. Nova spodziewała się, że zatuszni za mięsem, ale Calvin znakomicie sobie radził z tą

wegetariańską, zimną kuchnią.

A najwspanialszy był miód. Nie tylko splukiwał bardziej ostre potrawy, ale sprawił, że rozgrzała się, rozluźniła i zaczęła widzieć wszystko jakby za mgłą.

—  
Czas się obudzić, Nova.

—  
C-co? - Poderwała się błyskawicznie. Bolała ją głowa i z trudem skupiła wzrok na

Ciocco. - Która godzina?

—  
Spałaś kilka godzin. - Ciocco uśmiechnęła się do niej. - Moja droga, chyba się trochę zalałaś.

—  
Naprawdę? - Już miała powiedzieć Ciocco, że to pierwszy raz w jej życiu, ale

uświadomiła sobie, że zabrzmiałoby to dziecinnie, więc roześmiała się. Potem poczuła, że zaraz będzie wymiotować, ale po chwili jej przeszło. - Dobrze, to co teraz robimy?

—  
No właśnie - powiedziała Ciocco. - Najpierw pomożemy ci wytrzeźwieć, a potem wrócimy do Junction. Jestem gotowa ruszać.

Siedem

Tytanie pracowały osiem obrotów przy przygotowaniach do tej uczy. Upiekły całego

śmieszka, a gotowane węgorze oraz inne ryby ponadzięwały i pokryły przemyślnie

aromatyczną galaretą. Sałatka z owoców została ułożona w postaci bożonarodzeniowej choinki,

ozdobionej setkami odmian ga-jańskich jagód, melonów, jabłek i cytryn

udekorowanych liśćmi zielonego cukru i połyskującej setkami świetlistych kulek. Oprócz tego na stole leżało jeszcze dziesięć pasztetów, siedem rodzajów chleba, stały trzy wazy z zupą, chwiejne pagody z żeber śmieszka, pomysłowe ciasta z kruszonką o grubości baniek mydlanych... W głowie się kręciło na sam widok. Cirocco nie widziała takiej wystawności od dwudziestu lat, od czasu Purpurowego Karnawału.

Tego jedzenia mogło wystarczyć dla setki ludzi lub dwudziestu tytani. A miało je zjeść tylko dwadzieścia istot.

Cirocco skubnęła trochę tego, trochę tamtego, po czym oparła się wygodnie, wolno przeżuując i obserwując swoich towarzyszy. Żałowała, że nie była bardziej głodna.

Wszystko było niezwykle smaczne.

Wiedziała, że jako kobieta ma wielkie szczęście. Dawno, dawno temu, nigdy nie musiała się przejmować swoją wagą. Mogła zjeść tyle, ile chciała, i nigdy nie przybywało jej ani grama. Od czasu, gdy została Czarodziejką, jej waga spadała do czterdziestu kilogramów - po sześćdziesięciodniowym poście - albo rosła do siedemdziesięciu pięciu. Generalnie było to wynikiem świadomego wyboru. Jej ciało nie miało ustalonego poziomu przemiany materii.

Teraz właśnie doszła do górnej granicy. Dotychczas nigdy jeszcze nie odwiedzała

fontanny młodości aż trzy razy w ciągu niecałego kiloobrotu. Całe jej ciało pokrywała teraz warstwa tłuszczu, a jej piersi, pośladki i biodra nabrały lubieżnych kształtów. Uśmiechnęła się, gdy sobie przypomniała, że wysoka, niezgrabna i płaska jak deska piętnastoletnia Cirocco Jones gotowa była zabić za takie piersi. Trzydziestoletnia Cirocco uważała je za mało istotne, choć konieczne utrapienie. Mogły okazać się przydatne w czekających ją ciężkich chwilach.

W ostateczności stanowiły rezerwę tłuszczu.

Conal był jeszcze bardziej szarmancki, niż zazwyczaj.

Siedział po jej lewej ręce i znakomicie się bawił. Robin zajmowała miejsce obok

niego. Stale sobie usługiwali. Ponieważ nikt nie był w stanie spróbować wszystkiego, wydawało się sensowne wyszukiwanie szczególnych smakołyków, ale Cirocco podejrzewała, że w przypadku tej pary chodziło tu o coś więcej. Stwierdziła, że gdyby ten posiłek składał się z przeterminowanych wojskowych racji, to i tak chichotaliby przy nim jak nastolatki.

Powinno mnie to szokować - pomyślała Cirocco.

Czuła, że to się źle skończy, że nie powinno się było wcale zaczynać. Potem zbesztła samą siebie. To było wygodne stanowisko. Jeśli ktoś patrzył na życie w taki sposób, wówczas z żalu po tym, czego nie zrobił lub nie spróbował, wykuwał nie kończący się łańcuch, który poszczekiwał przez wszystkie późniejsze lata. W milczeniu oddała honory ich odwadze i życzyła im szczęścia.

Tylko że ta para idiotów uważała, że nikt nie wie o ich sekretnym romansie. Być może nie wiedziały o tym jakieś tytanie w odległym Hyperionie, ale tu, w Dione, wiedzieli wszyscy. Cirocco zauważyła, jak Valiha, Rocky i Serpent - trójca, o której nikt z pozostałych ludzi nic nie wiedział - patrzą na nich z lubością. Piszczalka wiedział, ale jak zawsze zatrzymywał swój osąd dla siebie. Wirginał wiedziała, ale pomimo jej rosnącej bliskości z Novą nigdy by o tym nie wspomniała, głównie dlatego, iż młoda tytania zdawała sobie sprawę, że brak jej wiedzy na temat ludzkich stosunków, a nigdy by nie odważyła się zapytać o to Novę.

Pozostawał jeszcze dziewiąty członek całej grupy, Nova. Cirocco stwierdziła, że

dziewczyna robi się coraz miłsza dla otoczenia, ale nadal była zbyt skoncentrowana na sobie, aby zauważyć, że jej matka robi coś potajemnie. Była rozkosznie nieświadoma grzechu Robin.

Albowiem był to grzech. Cirocco zastanawiała się, czy Robin już to dostrzegła i jak sobie z nim poradzi, kiedy spadnie na nią brzemię winy. Miała nadzieję, że będzie mogła jej wtedy służyć pomocą. Bardzo kochała małą czarownicę.

Rozejrzała się po wszystkich siedzących przy stole. Kochała ich wszystkich. Przez

chwilę czuła, że do jej oczu napływają łzy, ale jakoś je powstrzymała. To nie była odpowiednia pora na płacz. Zmusiła się do uśmiechu i uprzejmie pochwaliła ciasto, którym ją poczęstowano. Serpent pojaśniał z zadowolenia. Widziała jednak, że Piszczalka ją obserwuje.

Zdziwiła się, gdy pod koniec uczy, której towarzyszył akompaniament ukradkowych

czknień i pełne zadowolenia poklepywanie się po brzuchach, Piszczalka chrząknął i odczekał, aż wszyscy umilkli.

—  
Kapitanie - powiedział po angielsku. - Cieszyliśmy się, że się nie sprzeciwiałś,

abyśmy przygotowały tę ucztę. Wiesz dobrze, że robimy coś takiego tylko w chwilach, które są dla nas niezwykle ważne.

—  
“Cieszyliśmy się”, Piszczalka? - spytała Cirocco. Z niepokojem uświadomiła

sobie, że nie wie, o czym on mówi. Spojrzała na pozostałe tytanie, które wpatrywały się uroczyście w puste talerze. Wirginał zerknęła w stronę przeciwległego końca stołu, przy którym podczas każdego posiłku stało puste nakrycie, odkąd Chris skoczył do Pandemonium.

—  
W czyim imieniu przemawiasz, przyjacielu?

—  
Przemawiam w imieniu wszystkich zgromadzonych tu tytani, a także setek tych, które nie mogły przybyć. Wybrano mnie, bym wygłosił to... - Cirocco znowu była zdumiona, ponieważ Piszczalka zdawał się szukać słowa. Potem pojęła, że to coś innego.

—  
Czy “smutek” jest tym słowem, którego chcesz użyć?

—  
Mniej więcej - powiedział Piszczalka, kręcąc głową. Patrzył na nią błagalnie. Na moment stał się obcą istotą, pierwszą tytanią, jaką widziała w życiu - bo w rzeczy samej był w prostej linii potomkiem tej pierwszej. Można go było przez pomyłkę wziąć za prawdziwie oszałamiającą piękność. Spięte masy błyszczących czarnych włosów, szerokie kości policzkowe, długie rzęsy, szerokie usta i policzki gładkie jak u dziecka.

Wróciła do chwili obecnej, do rzeczywistości, która zdawała się jej wymykać.

—  
Mów więc - powiedziała.

—  
To proste - powiedział. - Chcemy wiedzieć, co masz zamiar zrobić, aby odzyskać dziecko.

—  
A co wy zrobicie?

—  
Przeprowadzono badania. Sprawdzono fortyfikacje Pandemonium. Dzięki rekonesansowi miękkolota mamy mapę fortecy. W Titantown trwają prace nad planami.

—



Jakimi planami?

—

Totalnego ataku. Oblężenia. Jest kilka opcji.

—

Czy coś już zrealizowano?

—

Nie, Kapitanie. - Westchnął i znowu na nią spojrzał. - Dziecko musi zostać uratowane. Wybacz mi, jeśli możesz, ale muszę to powiedzieć. Ty jesteś naszą przeszłością. On jest naszą przyszłością. Nie możemy dopuścić, by Gaja go miała.

Ciocco pozwoliła, by zapadła cisza, i obiegała wzrokiem wszystkie twarze. Żadna z tytanii na nią nie patrzyła. Robin, Conal i Nova prędko odwrócili wzrok, kiedy ich oczy się spotkały.

—

Conal - powiedziała wreszcie. - Czy masz jakiś plan?

—

Chciałem go z tobą omówić - powiedział przeproszającym tonem. - Myślałem o dokonaniu najazdu. Tylko my dwoje, po prostu wpadamy i wypadamy. Nie sądzę, by frontalny atak się powiódł.

Ciocco znowu rozejrzała się po wszystkich.

—

Czy są jeszcze jakieś inne pomysły? Omówmy je wspólnie.

—

Można by ją wywabić - powiedziała Nova.

—

To znaczy?

Wykorzystać kogoś jako przynętę. Zmusić, by wyszła na zewnątrz i walczyła.

Zastawić na nią pułapkę. Wykopać wielki dół albo coś takiego... nie wiem. Jeszcze nie opracowałam szczegółów. Może jakiś atak z zasadzki.

Patrzyła na Novę z rosnącym szacunkiem. Był to poroniony pomysł, ale w jakiś sposób lepszy od pozostałych.

- To mamy cztery pomysły - powiedziała Cirocco. - Czy są jeszcze jakieś?

Tytanie nie podały już żadnego więcej. Cirocco była szczerze zdziwiona, że pośród setek możliwości znalazły aż dwie. Tytanie potrafiły robić wiele rzeczy, ale nie znały się na taktyce. Ich umysły zdawały się nie być stworzone do tego rodzaju pracy. Wstała.

- W porządku. Piszczalka, nie musisz mnie przeproszać.

Zaniedbałam swoje obowiązki, nie mówiąc nikomu, co dotąd zrobiłam. To naturalne, że ty i wszystkie tytanie bardzo pragniecie go odzyskać, a nie zauważyliście, bym podjęła

jakikolwiek działania. A zrobiłam sporo, tylko że o niczym wam nie mówiłam. To prawda, że on jest waszą przyszłością, i z tego powodu jestem mu wdzięczna, a jednocześnie bardzo mi go żal. Podczas ostatniego kilobrotu praktycznie nie myślałam o niczym innym, jak tylko o nim. Miałam zamiar opowiedzieć wam dzisiaj o moich planach, ale mnie uprzedziliście.

Najważniejsza jest Gaja. Nikt z was jej nie rozumie.

Przedstawiliście mi cztery scenariusze. Cztery filmy. - Podniosła do góry dłoń, aby wyliczyć je na palcach. - Piszczalka, wspominałeś o totalnym ataku. Nazwijmy go filmem o drugiej wojnie światowej. Następne było oblężenie, czyli rzymski epos. Conal, ty podałeś pomysł na film o wielkim skoku. Pomysł Novy przypomina western. Ja wymyśliłam jeszcze inne

metody. Na przykład film o potworach, który jak sądzę, spodobałby się Gai.

Spróbowałibyśmy ją spalić albo upiec przy pomocy elektryczności. Mamy też do wyboru film o tematyce więziennej, w którym dajemy się schwytać i potem uciekamy z więzienia.

Możemy też dokonać ataku z powietrza, to byłby chyba film o Wietnamie. Musicie jednak pamiętać, że ona o tym wszystkim pomyślała i że istnieje jeszcze kilka innych możliwości.

Uważam, że musimy wziąć z nich wszystkich kilka zapożyczeń, ale zrezygnować z konkretnych gatunków filmowych.

Patrzyła kolejno na wszystkie twarze i nie była zdziwiona, widząc zaskoczenie.

Słyszając tę gadaninę o filmach, prawdopodobnie myśleli, że postradała zmysły.

- Nie zwariowałam - powiedziała cicho. - Staram się tylko myśleć tak, jak ona myśli.

Gaja ma obsesję na punkcie filmów, które nakręcono między 1930 a 1990. Sama wybrała dla siebie image gwiazdy, która zmarła w 1961 roku. Ona chce przeżywać filmy na żywo i ma swój system gwiazd. Większość tych, których wybrała na gwiazdy jej gwałdnego eposu, siedzi właśnie tutaj. Posunęła się niemal do granic możliwości, żeby ściągnąć niektórych z was tutaj.

Ona w pewnym sensie wykreowała niektórych z was, tak jak mogołowie dawnych studiów filmowych kreowali kiedyś swoje gwiazdy. Mnie obsadziła w głównej roli. Całe

przedsięwzięcie jest ogromne, bierze w nim udział wiele ważnych postaci i około miliarda statystów. Ale ona popełnia błędy. Jednym z nich była Gaby. Gaby miała żyć aż do dzisiaj, jako moja wierna dublerka. Innym był Chris. Miał być moim głównym partnerem. Między mną a Chrisem miała się rozegrać love story, ale na przeszkodzie stanęła Valiha. Ich miłość nie została zaplanowana. Jednakże Gaja jest inteligentnym reżyserem. Zawsze ma

przygotowany wątek awaryjny, zawsze ma do dyspozycji zapasowe studio. Wydział

scenariuszy zawsze może wymyślić jakieś zmiany, dzięki czemu wszystko toczy się dalej, a główny wątek nadal się rozwija. Conal, ty jesteś tego dobrym przykładem.

Conal słuchał dotąd jak zahipnotyzowany, teraz poderwał się zaskoczony.

—

Jesteś potomkiem Eugene Springfielda z pierwotnej obsady, którego Gaja

postanowiła uczynić czarnym charakterem. To z pewnością będzie istotne dla nadchodzących wydarzeń. Mam silne przeczucie, że manipulowano tobą, aby cię zmusić, byś tu przybył.

Kapuś to potwierdza.

—

To niemożliwe - zaprotestował Conal. - Przybyłem tu, żeby cię zabić i... - Urwał i poczerwieniał. Cirocco wiedziała, że rzadko zabierał głos na zebraniach.

—

Wyglądało na to, że robisz to z własnej woli, Conal - powiedziała łagodnie. - I tak zresztą było. Ona nie wniknęła w twój umysł, gdy jeszcze mieszkałeś w Kanadzie. Była natomiast właścicielką wydawnictwa, które wypuściło ten nedorzeczny komiks. Dzięki temu mogła wypaczyć całą tę opowieść i upewnić się, że znasz swoje pochodzenie, a

prawdopodobnie również nakłonić do uprawiania kulturystyki. Reszta potoczyła się sama.

—  
—  
Robin, ty już co nieco wiesz o tym, jak tobą manipulowano.

—  
Jasne, że wiem - powiedziała z goryczą Robin.

—  
Mówię ci to z przykrością... cholera, teraz będzie najgorsze i nikomu się to nie spodoba. Położyła łapę na twoim życiu, zanim jeszcze się urodziłaś. Czy twoje kobiety wciąż mówią o Wyjcu?

Robin wyraźnie się zaniepokoiła, ale skinęła głową.

- Właśnie przez niego znaleźliśmy się w kosmosie. To był ogromny meteoryt.

Kongregacja pierwotnie znajdowała się w Australii. Uderzył i zabił połowę z nas. Ale jednocześnie pozostawił na naszych terenach mnóstwo złota i uranu, które można było bez trudu wydobywać. Dzięki temu stałyśmy się wystarczająco bogate, by móc wybudować nową Kongregację na orbicie...

Jej oczy zrobiły się okrągłe z przerażenia.

—  
Wyjec uderzył w Australię w 2036 roku - powiedziała Cirocco. - Ja byłam tutaj już od jedenastu lat. Nie ma wątpliwości, że to Gaja go wysłała.

—  
To czyste szaleństwo - powiedziała Nova.

—  
Oczywiście. Ale innego typu niż myślisz, jeśli uważasz, że to się tak właśnie odbyło.

—  
Przecież Gaja była obserwowana...

—  
...i co każde dziesięć obrotów uwalniała jaja. Statek strażniczy śledził je i obliczał, czy trafią w Ziemię. Nikt nigdy nie dostrzegł w nich żadnego zagrożenia, a było ich zbyt wiele, aby wszystkie obserwować.

—  
To były niesamowicie dobre strzały - powiedział Piszczalka niepewnym głosem.

—  
Gaja jest niesamowicie dobra w tym, co robi. Już wcześniej raz trafiła w Ziemię w 1908, wstrzelała się, jeżeli można tak powiedzieć. Tamten wylądował na Syberii. Ten, który trafił w Australię, został wysłany dziewięć lat wcześniej i pojawił się z zupełnie innej strony, jako długookresowy aste-roid. Pod koniec lotu oczywiście nim sterowano, a ponieważ wszelka materia organiczna uległa spaleniowi podczas przejścia przez atmosferę, nie zostały żadne ślady jego pochodzenia.

—  
Robin kręciła głową, nie zaprzeczając, ale jakby nie mogąc w to wszystko uwierzyć.

- Dlaczego to zrobiła?

Ciocco skrzywiła się.

- “Dlaczego?”, to trudne pytanie w przypadku Gai. Kiedy pisałam książkę o Gai, jeden z krytyków nieźle się nabiedził z moją analizą. Nie potrafił się zgodzić, że tak potężna istota miałaby robić takie małe numery. Jeśli jednak istnieje jakiś powód, to jest nim pragnienie zabawienia się. Przypuszczam, że słyszała o waszym ugrupowaniu. Pomyślała, że byłby to dobry kawał spuścić fortunę na wasze głowy w formie obiektu pędzącego z prędkością 25

tysięcy mil na godzinę. I wciąż interesowała ją Kongregacja. Do jednej z kilku

marionetkowych korporacji należało laboratorium, od którego Kongregacja kupowała spermę.

Hodowała was wszystkie jako twarde i drobne... ale czasami dorzucała kilka złych genów, by prędzej czy później któraś z was się tu pojawiła, chcąc zdobyć lekarstwo. Była z ciebie bardzo zadowolona, Robin.

Dzięki tobie mocno się uśmieła. Może nie zarykiwała się aż tak, jak podczas obserwowania mnie, ale i tak bawiła się znakomicie.

Robin skryła twarz w dłoniach. Nova dotknęła jej ramienia, ale Robin potrząsnęła

głową i wyprostowała się. W jej oczach lśniła wściekłość.

- Nova - ciągnęła Cirocco - ty już wiesz, jaką to zabawę urządziła sobie Gaja z ciebie i z Adama. Razem z Robin doświadczyłyście na własnej skórze, na czym polega odwrócenie ról w scenariuszu "z-króla-żebrak".

Spojrzała na tytanie.

- Wszystkie wiecie, jak was wykorzystano. Każda z was żyje tylko dzięki podjętej

przeze mnie decyzji. Wszystkie wasze matki i ojcowie musieli przychodzić do mnie i błagać o coś, co powinno być ich prawem. Zostałyście tak stłamszone, że musiał minąć cały kiloobrot, abyście nabrały odwagi, by łagodnie mnie skrytykować... a ja tak przywykłam do takiego traktowania, że aż mnie to zaszokowało. Uważam, że cała wasza rasa jest zniewolona.

Podejrzewam, że potraficie być w niemal wszystkich aspektach życia znacznie lepsze od ludzi, ale dopóki nie pokonamy Gai, nigdy nie będziecie miały na to szansy.

Znowu patrzyła kolejno po wszystkich twarzach, zatrzymując się przy każdej. Na

wszystkich malował się ból, złość i... determinacja.

- Ona jest taka... niezawodna - powiedziała Wirginał.

Gdy na przykład postanowiła ściągnąć tu Chrisa, Conala i Robin, to tak się stało.

Zaplanowała narodziny Novy i Adama. Zrealizowała wszystkie swoje plany.

Cirocco pokręciła głową.

—

To tylko tak wygląda. Już wspomniałam o kilku rzeczach, które jej nie wyszły.

Możecie być pewni, że było jeszcze kilka innych, nieudanych planów, o których nic nie wiemy po prostu dlatego, że żaden z nich nie został zrealizowany. Przez około sto lat decydowała... Pomyślcie o tym, jako o angażu do filmu prowadzonym na całej Ziemi.

Organizowała ambasady, robiła rzeczy tak bezpośrednie, jak uderzenie asteroidu w planetę, i tak podstępne, jak wynajęcie pisarza, dzięki któremu Gene wydawał się bohaterem w

komiksie Conala. Niektóre z tych przedsięwzięć się nie udały i ci ludzie nigdy tu nie dotarli.

Teraz jednak skompletowała wreszcie obsadę. Niewykluczone, że spotkamy więcej takich osób, ale wątpię w to. Zabrzmi to okropnie, ale nie mamy jak do nich dotrzeć. Wszystkich innych ludzi tutaj Gaja uważa albo za dublerów, albo aktorów epizodycznych. Większość ważniejszych postaci znajduje się w tym pokoju. Nasza dziewiątka. Oprócz nas są jeszcze Chris i Adam. Gwizdek i

Calvin. Kapuś. I... dwie, może trzy inne osoby, o których opowiem wam później.

—

Kapuś? - spytała Robin z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

—

Tak. On też jest ważny. Z kolei po przeciwnej stronie znajduje się Gaja i całe moce Pandemonium. Tam też da się wyróżnić kilka ważnych postaci. Sądzę, że jedną z nich jest Luter, a drugą Kali. Nic nie wiem o pozostałych, Ale na pewno dojdzie do ostatecznego pokazu... a kamery będą wciąż kręcić.

—

Czego się po nas spodziewasz, Kapitanie? - spytał Conal.

—

- Przede wszystkim... - Ujęła Conala i Valihę za ręce.

- Chcę, abyśmy złożyli przysięgę na nasze życie, los i honor.

Mam zamiar uratować Adama i zabić Gaję.

—

Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego - powiedział Conal i zaraz się zawstydził.

Cirocco ścisnęła jego dłoń, kiedy zobaczyła, że ujął Robin za rękę.

—

A co z Chrisem? Czy jego nie masz zamiaru uratować?

- spytała Valiha.

- Chris jest częścią przysięgi. Jego życie, tak jak i nasze, znajduje się w

niebezpieczeństwie. Uratujemy go, jeśli będzie można, ale jeśli będzie musiał umrzeć, to umrze tak, jak my wszyscy.

Wszyscy wzięli się za ręce, z wyjątkiem Novy i Serpenta, koło których stało puste

krzesło Chrisa. Cirocco popatrzyła na wszystkich po kolei, wążąc ich silne i słabe punkty.

Nikt nie odwrócił wzroku. To była wspaniała grupa. Ich zadanie było prawie że niemożliwe do wykonania, ale nie umiała sobie wyobrazić, by ktokolwiek inny miał stanąć u jej boku.

- Są jeszcze dwie rzeczy, o których muszę wam powiedzieć, a potem możemy się zabrać za sporządzenie planu.

Widziałam Chrisa i przez chwilę z nim rozmawiałam. Ani jemu, ani Adamowi nie dzieje się żadna krzywda.

Czekała, aż szmery ucichną.

- Aktualnie nie mogę wam powiedzieć nic więcej. Może później. Oprócz tego jest

jeszcze coś, co do tej pory odkładałam. Nie ma to naprawdę wielkiego wpływu na to, co musimy zrobić, ale powinniście wiedzieć. Jestem prawie pewna, że to Gaja rozpoczęła Wojnę. Nawet jeśli nie osobiście, to robiła wszystko, aby ją podtrzymać przez siedem lat.

Jak się spodziewała, zapadła cisza. Był to naturalnie szok, ale kiedy popatrzyła po twarzach wszystkich zgromadzonych, jej ocena sytuacji znalazła potwierdzenie: wielu z nich od dawna to podejrzewało. Piszczalka smutno kiwał głową. Robin spoważniała. Wirginał

najwyraźniej zbierało się na wymioty.

—  
Czterdzieści miliardów ludzi - powiedziała Wirginał.

—  
Coś koło tego.

—  
Zamordowanych - dodał Serpent.

—  
Tak. W taki czy inny sposób. - Cirocco spochmurniała. - Trudno jednak rzucać całą

winę na nią, choć tak bardzo jej nienawidzę. Rasa ludzka nigdy się nie nauczyła, jak żyć z bombą. I tak doszłoby do wojny, prędzej czy później.

- Czy to ona spuściła pierwszą bombę? - spytał Conal.

Tę na Australię?

—  
Nie. Nie odważyłaby się. Mój... informator uważa natomiast, że prawdopodobnie



zaaranżowała cały ten wypadek. Dawno temu widziałam pokaz karmienia rekinów. Właśnie coś takiego zrobiła Gaja. Zobaczyła ogromny zbiornik pełen milionów wygłodniałych

rekinów. Wpuściła więc do wody odrobinę krwi i wtedy wymordowały się nawzajem. Były do tego gotowe, Gaja je tylko sprowokowała. Później, kiedy wycofano stąd statek strażniczy i wydawało się, że Wojna ulegnie zawieszeniu, spuściła jedną ze swych bomb we właściwym miejscu i walka rozpoczęła się na nowo. Tak więc bezpośrednio wymordowała tylko kilka miliardów.

—  
Nie mówisz chyba teraz o jajkach - powiedziała Robin. - Prawdziwe bomby atomowe? Nie wiedziałam, że Gaja nimi dysponuje.

—  
A niby dlaczego nie? Miała cały wiek na ich zdobycie, a zawsze znajdą się tacy, którzy je zechcą sprzedać. Zresztą wcale nie musiała ich kupować. Potrafi produkować własne. Od początku zwyciężenie Gai było możliwe. Jedna duża bomba termonuklearna mogłaby zniszczyć ten świat. Karty nigdy nie powiedziały, że będzie na coś takiego czekała ze spokojem. Dlatego też wojna leżała w jej interesie. Walczący dotarli już do takiego punktu, w którym nie mogą mieć nadziei, że kiedykolwiek ją trafią choć takie próby były czynione.

Poleciało w tę stronę kilkadziesiąt głowic. Żadna jednak nie doleciała dalej niż do orbity Marsa. Ona radzi sobie z nimi bez trudu.

Usiadła z powrotem na krześle i czekała na pytania. Jednak przez dłuższy czas nikt nic nie mówił. W końcu wzrok podniosła Nova.

—  
Jak się tego wszystkiego dowiedziałaś, Cirocco?

—  
Dobre pytanie, mała. - Cirocco powoli tarła górną wargę i przypatrywała się Novie zmrużonymi oczami tak długo, że dziewczyna zmieszala się i odwróciła głowę.

—  
—  
Na razie nie mogę ci tego powiedzieć. Musicie mi po prostu uwierzyć na słowo.

—  
Ależ ja nie miałam zamiaru...

—  
Masz wszelkie prawo się dziwić. Ja mogę was tylko prosić, abyście pamiętali o swojej przysiędze i na razie przyjęli wszystko na wiarę. Obiecuję, że będziecie wiedzieć wszystko, zanim was poproszę, abyście poświęcili swoje życie na pierwszej linii.

I ja też tego chcę, Gaby - pomyślała. Najbardziej się bała, że ostatecznie Gaby ukaże się tylko jej.

—  
Czy możesz nam opowiedzieć o swoich planach? - spytał Piszczalka.

—  
To mogę. Z wszelkimi szczegółami. Proponuję napełnić dzbany, odstawić krzesła, a dla tych, którzy jeszcze mają jakiś wolne miejsce w żołądku, przynieść sera i krakersów. To, co wymyśliłam, jest równie szalone jak wszystko, co się do tej pory wydarzyło, i będę o tym mówiła bardzo długo.

Trwało to rzeczywiście długo. Po upływie pięciu obrotów wciąż jeszcze omawiali ten czy inny punkt, ale zasadniczy zrab planu przyjęli wszyscy.

Do tego czasu Nova zapadła już w drzemkę na krześle. Cirocco zazdrościła jej. Ona sama nie spodziewała się, że podczas najbliższego kiloobrotu zazna choć odrobiny snu.

Osiem

Cirocco wstała od stołu i weszła główną klatką schodową wielkiego domu na rzadko wykorzystywane drugie piętro. Znajdował się tam pokój, który dał jej kiedyś Chris. Nie wiedziała, dlaczego nazwał go "Pokojem Cirocco". W tamtych czasach robił dziwne rzeczy, takie jak na przykład wybudowanie miedzianej świątyni Robin.

W pokoju drewniane podłogi były nagie, ściany białe, a jedyne okno przesłaniała czarna roleta. Całe umeblowanie składało się wyłącznie z prostego żelaznego łóżka pomalowa-nego na biało. Leżał na nim gruby, nieregularnie wybrzuszony materac wypchany pierzem i zawsze zasłany wykro-chmaloną pościelą. Łóżko było tak wysokie, że pod materacem widziało się sprężyny, a pod nimi podłogę. Jediną kolorową plamę w pokoju stanowiła

mosiężna klamka w drzwiach.

Pokdy absolutnie nie nadawał się do tego, żeby coś w nim ukryć. Stanowił cudowne miejsce dla medytacji. Przy zasuniętej roletcie nic nie zakłócało panującego w nim spokoju.

Światło wpadające przez okno przypominało jej wczesny poranek po całonocnych sesjach w college'u, kiedy o świcie wracała do swego pokoju, tak samo przyjemnie zmęczona, z tym samym wirum pomysłów wciąż jeszcze krążących jej po głowie.

Naturalnie nie był to poranek, lecz beczasowe popołudnie.

Ciocco przyzwyczała się już do niego.

Tęskniła za niewielkimi rzeczami. Czasami miała ochotę zobaczyć znowu gwiazdy.

Zwłaszcza te spadające gwiazdy, na widok których należy wyrazić życzenie.

Usiadła na skraju łóżka. Jakie masz życzenie, Ciocco? Nie ma spadających gwiazd, ale życzenie i tak możesz wyrazić, przecież nikt nie patrzy. Cóż, miło byłoby podzielić się tym z kimś innym.

Poczuła, że jest niewdzięczna. Miała najlepszych przyjaciół na świecie. Zawsze miała szczęście do przyjaciół. Zawsze ktoś dzielił z nią jej kłopoty.

Tęskniła jednak za pewnym szczególnym rodzajem wspólnoty. Tyle razy myślała, że to możliwe, że to jest właśnie ten człowiek. Czy właśnie to nazywa się miłością? Może nie starczyło jej wiedzy. Żyła wystarczająco długo, by nie starczyło jej palców na przeliczenie wszystkich jej prawie-miłości. Ta pierwsza, kiedy miała czternaście lat. Tamten chłopak w college'u... Jak on miał na imię?

Wspominając przeszłość, zastanawiała się, czy to przypadkiem nie była jej ostatnia szansa. W życiu Kapitana i kandydatki na dowódcę nie było na to miejsca. Mnóstwo

kochanków w fizycznym sensie, ale zakochanie się pokrzyżowałoby jej plany. W życiu Czarodziejki... zawsze coś stało na drodze.

Miała nawet chęć pójść na ustępstwo. Skoro nie objawił się żaden pan Jedyny, to

dłaczego nie pani Jedyna? Była tak blisko z Gaby. Mogłoby im się udać. I wszystkie kochane tytanie. Rodziła dzieci dwa razy, raz metodą tytanii, jako zadnia matka. Raz w ludzki sposób, hodując syna we własnym ciele. Nie myślała o nim zbyt długo. Wrócił na Ziemię i nigdy nie napisał listu. Już nie żył.

W porządku - pomyślała Cirocco - koniec życzeń. Gwiazdy, których i tak nie widzisz, nie spełniają przysłowiowych trzech życzeń, ale pójdziemy na ustępstwo i podarujemy sobie dwa życzenia na rzecz tylko jednego.

Uświadomiła sobie, że przydałby się jej choćby kochanek.

To byłoby takie łatwe.

Otarła łzę z policzka. Tam na dole jest pięć tytani. Każda z nich z chęcią zostałaaby jej kochanką - nawet przednią kochanką, co nie było dla nich łatwe. Minęło jednak wiele dziesiątek lat, odkąd kochała się z tytanią. To niesprawiedliwe. Wystarczy tylko postawić się w ich położeniu i zadać proste pytanie. Czy mogą odmówić?

Conal...

Uklękła na podłodze i usiadła. Twarz miała mokrą od łez.

Conal zawsze czekał na każde jej wezwanie. A ona nigdy, przenigdy, nie wzięłaby go do łóżka. Wystarczyło tylko, że przypomniawszy sobie, co mu zrobiła, i od razu ją mdliło. Żaden człowiek nie miałby w sobie tyle godności, co on, gdyby go tak poniżono. Zostać jego kochanką po czymś takim byłoby groteską, jakiej nie umiała sobie nawet wyobrazić.

Robin... była tak słodka, że Cirocco ledwie w to wierzyła. A jakie z niej było twarde, niebezpieczne i wściekłe babsko te dwadzieścia lat temu! Każdy człowiek przy zdrowych zmysłach powiedziałby, że trzeba ją było utopić zaraz po urodzeniu. Chyba właśnie dlatego Cirocco tak ją polubiła. Jednakże Robin nie potrafiła jej do siebie przyciągnąć, nawet nie w tym stopniu, co Gaby. I bardzo dobrze. Robin czekało wystarczająco dużo kłopotów z Conalem, żeby zwałać jej jeszcze na głowę podstarzałą Czarodziejkę.

Ułożyła dłonie na chłodnych i błyszczących deskach podłogi i pochyliła się tak, że policzkiem dotknęła ich gładkiej powierzchni. Zalane łzami oczy odmawiały posłuszeństwa.

Wciągnęła powietrze, potarła nos i oczy, a potem tępo powiodła wzrokiem po podłodze aż do pręgi światła pod drzwiami. Nie zauważyła ani jednej plamki kurzu. Wszystko pachniało ostrą, cytrynową wonią pasty do podłogi. Rozluźniła napięte mięśnie, ramionami wstrząsnął

dreszcz.

Nova...

O Boże, nie chciała być kochanką Novy. Chciała być Novą. Mieć osiemnaście lat, być świeżą, dorodną, niewinną i zakochaną. Zakochaną w zmęczonej starej babie. To musiało się zakończyć nieszczęściem. Ale jakimż to... słodkim nieszczęściem wydawało się być młodym i mieć serce złamane po raz pierwszy w życiu.

Rozszlochała się, nie potrafiąc już dłużej powstrzymać łez.

Myślała o Novie, rosłej i nerwowej, prującej niebieską wodę zwinnie jak foka,

huśtającej się na linkach spadochronu i szybującej potem niczym anioł bez skrzydeł. Widziała Novę objadającą się podczas uczy wydanej przez tytanie, jej roześmiane i roziskrzzone oczy.

Myślała o tym, jak samotnie w swoim pokoju warzyła eliksir, który miał jej pomóc w miłości.

Ciocco poddała się łzom. Leżała płasko na chłodnej podłodze i opłakiwała to, co było, co jest i co jeszcze miało się stać.

Umysł podpowiadał, że najlepiej zabrać się za to od razu.

Później może już nie być okazji.

Conalowi wydawało się, że jego rozmowa z Robin trwa już wiele godzin. Zeszli z tematu planu Ciocco - który jemu wciąż wydawał się odrobinę nierealny - na inne sprawy.

Ostatnimi czasy rozmawianie z nią wydawało się o wiele łatwiejsze.

Zauważył, że Robin robi się śpiąca, i zrozumiał, że on sam też jest zmęczony. Nova wciąż spała zwinięta w kłębek w fotelu. Natomiast wszystkie tytanie zniknęły. Nie zauważył, jak wychodziły. Potrafiły co prawda poruszać się bardzo cicho, ale i tak mocno się dziwił.

Była ich cała piątka i on nie zauważył, jak wychodzą?

Robin uśmiechnęła się do niego.

—  
Gdzież to podziewały się nasze myśli? - spytała i ziewnęła. Pochyliła się i pocałowała go w policzek. - Idę do łóżka.

—  
Ja też. Do zobaczenia.

Siedział jeszcze jakąś chwilę po odejściu Robin, pośród pozostałości uczy. Potem wstał i ruszył w stronę schodów.

Na środku następnego pokoju niczym pomnik stała Wir-ginał. Strzygła uszami i z mezwyczajnym natężeniem wpatrywała się w jakieś miejsce na suficie. Conal już miał coś powiedzieć, ale Wirginał zauważyła go, uśmiechnęła się przelotnie i wyszła. Wzruszył

ramionami i poszedł na górę.

Tam znalazł Valihę i Piszczalę, równie znieruchomiałych. Też strzygli uszami.

Wyglądali, jakby ich coś bolało.

Nie zauważyli go, dopóki nie przeszedł obok, po czym obdarzyli go tylko przelotnym spojrzeniem, nie mówiąc ani słowa pozdrowienia, i wolno ruszyli w stronę schodów, po których właśnie wszedł.

Nic nie rozumiał.

Wzruszył ramionami i wszedł do swojego pokoju. Po namyśle otworzył drzwi i

wytknął głowę na zewnątrz. Obydwoje znowu nasłuchiwali. Na schodach stał Rocky, on także słuchał i również patrzył w górę.

Conal spojrzał na sufit, którym tak interesowały się tytanie. Nic na nim nie dostrzegł.

Czy coś się działo na drugim piętrze? Przecież tam wszystkie pokoje były puste. Nic nie słyszał.

Potem Rocky zaczął coś cicho śpiewać. Dość szybko przyłączyli się do niego:

Piszczalka, Valiha, a potem Serpent razem z Wirginał. Śpiewali szeptem i Conal jak zwykle nie rozumiał ani słowa.

Ziewnął i zamknął za sobą drzwi.

Dziewięć

Przez pięć myriaobrotów, podczas których Pandemonium wiodło swój tułaczy żywot,

w Hyperionie powstawała jego stała siedziba.

Głównymi budowniczymi byli hutnicy. Najpierw zniwelowali teren, który otaczał

południowo-centralny pionowy kabel. Potem zbudowali drogę wiodącą do rozległych lasów południowo-zachodniej Rei. Przerzucili mosty nad wodami leniwej Euterpe i gwałtownej Terpsychory. Ogołocili dwieście kilometrów kwadratowych lesistych wzgórz, a drewno zwieźli do Pandemonium, gdzie pięć tysięcy ekip cieśli obrobiło je, porznęło, wysuszyło, pocięło, poukładało w sagi, dopasowało, zbiło gwoździami, oszlifowało, a na koniec nadało im ozdobny kształt. Z kopalni, hut, kuźni i odlewni Fojbe przeprowadzona została linia kolejowa docierająca do Gór Asterii i dalej, po moście zbudowanym na potężnym Ophionie, do strefy zmroku w Zachodniej Rei. Odtąd po metalowych wstęgach bezustannie krążyły nie kończące się pociągi towarowe przewożące metalowe kości Pandemonium. Natomiast na

zachodzie spiętrzone rzekę Kaliope. Jezioro, które powstało pod tamą, miało dwadzieścia mil długości, a jego wody przepływały z łomotem przez turbiny i generatory, aby wytwarzać prąd, który

zasilał transformatory, a później linie wysokiego napięcia zawieszono na słupach stojących pośród dawnych pastwisk tytanii.

Podczas ostatniego myriaobrotu, kiedy budowa miała się ku końcowi, Gaja kierowała

coraz to nowych uchodźców z Bellinzony do Pandemonium, gdzie wykorzystywano ich jako siłę roboczą. Liczba robotników dochodziła niekiedy do siedemdziesięciu tysięcy. Praca była ciężka, ale jedzenie znośne. Robotników, którzy się skarżyli albo umierali, zamieniano w zombie, tak więc przerwy w pracy nigdy nie stanowiły problemu.

Miało to być arcydzieło Gai.

Kiedy porwano Adama, prace przy budowie były już prawie ukończone. Gaja

obejrzała rozmiary zniszczeń w swym objazdowym kinie i dała rozkaz do przeprowadzki, mimo że prace miały trwać jeszcze przez jeden kiloobrót.

Południowo-centralny kabel miał pięć kilometrów przekroju i sto kilometrów

wysokości do miejsca, w którym przebijał sklepienie Hyperionu i znikał w świetle dnia.

Pięćset kilometrów powyżej tego punktu łączył się z gajańską piastą, gdzie stawał się jednym z wielu pasm w monstrialnej pleciance koszyka, który tworzył kotwicę stale przytrzymującą obręcz Gai. Głęboko pod obręczą do kości Gai przymocowana była sieć kabli, których zadaniem było hamować siłę odśrodkową i nie dopuszczać, by Gaja rozleciała się na kawałki.

Robiły to od trzech milionów lat i zaczynały już wykazywać oznaki zużycia.

Każdy kabel składał się z stu czterdziestu czterech włókien, a każde włókno miało przekrój około dwustu metrów. Włókna te naprężały się przez całe eony. Gai takie określenie nie podobało się, uważała je bowiem za prostackie, ale proces ten nazywano milenijnym obwisaniem. W wyniku tego procesu bazą pionowych kabli nie była już pięciokilometrowa kolumna, lecz wąska szyszka złożona z nie splecionych włókien o szerokości około siedmiu kilometrów. Między włóknami powstawały luki; można było przejść przez kable na wylot, przedzierając się przez monstrialnie wielki las włókien. Wnętrze kabla wyglądało jak ciemne miasto zbudowane z okrągłych, milczących drapaczy chmur pozbawionych dachów i okien.

Niektóre włókna nie tylko obwisły, ale i popękały. Na Gai było sto osiem kabli

złożonych z piętnastu tysięcy pięciuset pięćdziesięciu dwóch włókien. Pęknięcia dostrzeżono tylko w dwustu, ponieważ widoczna była jedynie zewnętrzna warstwa. Każdy kabel Gai miał

widoczną ranę, przy czym górna część włókna odwijala się niczym rozdwojona końcówka, a dolna część leżała na ziemi, rozciągając się na długości od jednego kilometra do

siedemdziesięciu, w zależności od tego, jak wysoko powstało pęknięcie.

Wyjątek stanowił południowo-centralny Hyperion. Podczas gdy pozostałe kable miały

po dwa, trzy albo nawet pięć widocznych pęknięć, ten, który wznosił się z samego środka Nowego Pandemonium, trwał wciąż w idealnym stanie, wznosząc się dumnie na tle jednolitej i zapierającej dech w piersiach perspektywy.

Gaja w roztargnieniu poklepała włókno kabla, obok którego właśnie stała, spojrzała ostatni raz w górę i ruszyła w stronę serca swego dominium. Tylko ona wiedziała o

przerwanych włóknach, tych, które nigdy nie ujrzały światła dziennego. Było ich czterysta.

Sześćset usterek przy piętnastu tysiącach stanowiło około czterech procent. Pomyślała, że to całkiem nieźle jak na trzy miliony lat. Zniosłaby nawet dwadzieścia procent, choć nie bez trudu. W tym momencie musiałyby zwolnić swoje obroty. Naturalnie istniały jeszcze inne niebezpieczeństwa. Najśłabszy kabel znajdował się w Centralnym Okeanosie. Gdyby pękło jeszcze kilka włókien, wówczas - z powodu nadmiernego naprężenia - cały kabel uległby zniszczeniu. Okeanos wydałby się i powstałoby tam głębokie morze, bowiem na zawsze wlałyby się do niego Ophion, a takie zachwianie równowagi spowodowałoby z kolei drganie, które dla odmiany osłabiłoby pozostałe włókna...

Nie należało jednak zaprzętać sobie tym głowy. Od tysięcy lat motto Gai brzmiało:

“Niech jutro samo zadba o siebie”.

Dotarła do wciąż jeszcze rozgrzebanych terenów Nowego Pandemonium i przez

chwilę przypatrywała się cieślom i hutnikom, którzy pracowali przy budowie studia

dźwiękowego wielkością zaćmiwającego wszystkie, jakie kiedykolwiek powstały na Ziemi.

Potem dokonała lustracji całego Studia.

Nowe Pandemonium znajdowało się we wnętrzu dwuki-lometrowego pierścienia

otaczającego siedmiokilometrowy kabel. Cały teren liczył sobie około dwudziestu pięciu kilometrów kwadratowych - prawie dziesięć mil kwadratowych.

Studio było otoczone murem długości trzydziestu kilometrów i wysokości trzydziestu metrów. Takie przynajmniej były zamierzenia. Większa część muru została już wybudowana, ale niektóre jego odcinki osiągnęły dotychczas wysokość zaledwie dwóch lub trzech metrów.

Mur budowano z bazaltowej skały wydobywanej w kamieniołomach południowego

płaskowyżu, oddalonych o czterdzieści kilometrów i przywożonych do Pandemonium drugą linią kolejową hutników. Budowano go na podobieństwo Muru Chińskiego, lecz ten był

wyższy i szerszy, a nadto ozdobiony linią kolejki jednoszynowej, która biegła wzdłuż jego wewnętrznej strony.



Na zewnątrz muru znajdowała się fosa pełna rekinów.

W murze znajdowało się dwanaście bram, rozstawionych jak godziny na zegarowej tarczy. Do tych bram, zakończonych łukami i wysokich na dwadzieścia metrów, aby Gaja nie musiała pod nimi schylać głowy, dochodziło się po solidnych groblach zakończonych mostami zwodzonymi. Po obu stronach bram, już po wewnętrznej stronie muru, pobudowano świątynie, a każdą kierował jakiś kapłan i jego zastępy. Gaja bardzo starannie obmyśliła położenie każdej ze świątyń. Wierzyła bowiem, że pewne napięcie pośród jej uczniów przyczyni się do lepszego zdyscyplinowania, a ponadto może wywołać szereg interesujących i niespodziewanych wydarzeń. Większość tych wydarzeń miała zazwyczaj krwawy przebieg.

I tak, bramy "Universal" stojącej tam, gdzie zegar pokazuje godzinę dwunastą, i najbardziej wysuniętej na północ z bram Pandemonium strzegł od lewej strony Brigham i jego Chłopcy, a od prawej Joe Smith i Gadiantońscy Rabusie. Brigham i Joe nienawidzili się serdecznie, jak przystało na przywódców rywalizujących z sobą sekt istniejących w obrębie tego samego wyznania.

W odległości mili, tam, gdzie zega zwykler wskazuje godzinę pierwszą, znajdowała się brama "Goldwyn". Ogromna, niczym nie ozdobiona kaplica Lutra, w której tłoczyło się jego dwunastu uczniów oraz niezliczeni pastorzy, stała naprzeciwko Watykanu Papieżycy Joanny, rojącego się od kardynałów, arcybiskupów, biskupów, posągów, krwawiących serc, dziewic, różańców i innych temu podobnych rozkoszy papi-zmu. Luter gotował się wewnątrz, gdy raz na hektoobrót organizowano turnieje bingo, i pluł za każdym razem, kiedy mijał budkę, w której z wielkim powodzeniem czerpano zyski z uprawiania nierządu.

Tam, gdzie zegar określa godzinę drugą, znajdowała się brama "Paramount", przy której wiecznie knuli wzajemne intrygi Kali wraz z Thugami oraz Krishna i jego Pomarańczowi.

W miejscu, gdzie dostrzec można na zegarze godzinę trzecią, pobudowano bramę "Radio RKO". Tam działali Błogosławiony Foster i Ojciec Brown, jadowite wcielenia odpowiadających im fikcyjnych bohaterów.

W miejscu godziny czwartej znajdowała się brama "Columbia", przy której Marybaker miała swoją czytelnię, a Elron swoje E-mitory i engramy.

Obok bramy "First National" stały dwa meczety, z których wieczną jihad dowodzili

Ajatollah i Erazm X.

Przy bramie "Fox" panował względny spokój, bowiem Gau-tama i Siddhartha rzadko

kiedy uciekali się do przemocy, a jeśli już, to kierowali ją głównie przeciwko samym sobie.

Główną dywersję przy tej bramie uprawiał pewien natrętny kapłan zwany Ghandim, który stale usiłował się wepchnąć do którejś ze świątyń.

I tak to się wszystko toczyło wokół ogromnego zegara Pandemonium. Brama

"Warner" stanowiła arenę dla wyznawców Shinto i Sony w ich nieustającej bitwie między nowym i starym. W bramie "MGM" stale chrypnięto od wiecznych rewolucji Billy Sundaya i Aimee Semple McPhersona. "Keystone" strzegli Konfucjusz i Tse-tung, "Disney" Guru Mary i święty Mikołaj, a "United Artists" święty Torquemada i święty Walentyn.

Byli jeszcze inni wyzwoleni kapłani, których świątynie znajdowały się daleko od

bram. Dokładnie tak, jak zaplanowała Gaja, pod mury Studia podkładał się rozjuszony do białej gorączki Mumbo Jumbo z Konga, by rzucać sarkastyczne uwagi na temat

dyskryminacji. Wicca, Mensa, Trocki i I.C. pomrukiwali coś o kładzeniu nadmiernego nacisku na tradycję, a Mahdi i wielu innych uskarżali się na prochrze-ścijańskie tendencje widoczne w systemie mitycznym całego Nowego Pandemonium.

Nikt z nich jednak nie wygłaszał tych skarg w obliczu samej Gai. I wszyscy odczuwali głębokie i szczere przywiązanie do Dzieciątka.

Bramy były z sobą połączone ulicami brukowanymi złotem.

Tak przynajmniej wyglądały pierwotne założenia, jednakże na Gai nie było złóż złota, a nie było możliwości wytworzyć ilości, która starczyłaby na tyle ulic. Tak więc kostkami z czystego złota wybrukowano jedynie pięćdziesięciometrowe odcinki na jedenastu ulicach, pozłacanymi kostkami odcinki jednego kilometra, resztę natomiast ceglami pomalowanymi złotą farbą, która już zaczynała się łuszczyć.

Tylko ulica Universal była na całej długości wybrukowana złotem. To na jej

przeciwległym końcu stała Tara, Taj Mahal/ dom-na-plantacji/pałac, w którym mieszkał

Adam, Dzieciątko.

Prawdziwa żółta droga - myślała Gaja, krocząc po dwu-dziesięciokaratowej autostradzie.

Po jej lewej i prawej stronie znajdowały się studia dźwiękowe, baraki, kantyny,

rekwizytornie, przebieralnie, magazyny, garaże, biura kierownictwa produkcji, wydziały produkcji, montażownie, sale projekcyjne, siedziby związków i zagrody do wylęgu fotofauny największego studia, jakie kiedykolwiek powstało. A jest to - pomyślała z niezmierną satysfakcją Gaja - zaledwie jedno z dwunastu. Poza tym głównym trzonem studia były jeszcze skupiska ulic - Manhattan 1930, Manhattan 1980, Paryż, Teheran, Tokio, Cla-vius, Westwood, Londyn, Dodge City 1870 - a oprócz nich jeszcze tylne place, na których mieściły się stada bydła, owiec, bawołów, słoni, menażerie tropikalnych ptaków i małp, łodzi rzecznych, statków wojennych, Indian, generatorów mgły, ciągnące się do następnych kompleksów studyjnych: Goldwyn i United Artists.

Zatrzymała się i zeszła na bok, aby przepuścić ciężarówkę wyładowaną kokainą.

Kierowcą był zombie. Stworzenie za kierownicą prawdopodobnie nawet się nie zorientowało, że słup, który właśnie minęło, był Bogiem - ciężarówka sięgała zaledwie do kostki Gai.

Skręcił w stronę magazynu kokainy, który obecnie był już prawie zupełnie wypełniony. Gaja zmarszczyła brwi. Hutnicy znali się na wielu rzeczach, ale nigdy nie pojęli idei silnika spalinowego. Znacznie bardziej lubili parę.

Dotarła do bramy "Universal". Krata była podniesiona, a most opuszczony. Po jednej stronie drogi stał Brigham, a po drugiej Joe Smith. Obydwaj piorunowali się wrogimi spojrzeniami. Jednakże obydwaj kapłani, a także ich mormoni i Normanie przerwali swoją morderczą waśń, kiedy stanęła nad nimi Gaja.

Gaja przyjrzała się całej scenie, ignorując szum panafle-ksów. Mimo że Studio nie zostało jeszcze ukończone, dzisiejsza ceremonia miała stanowić odbiór części, które były dla niej najważniejsze. Konsekwowano już jedenaście spośród dwunastu bram. Tego dnia odbywał się ostateczny rytuał zamykający całe koło. Wkrótce miała się zacząć poważna produkcja filmów.

Nieszczęsny facet, który przyznał się, że jest pisarzem, stał zakuty w złote łańcuchy.

Gaja zajęła swoje krzesło, które zatrzeszczało pod nią alarmująco, i wykonała kilka gwałtownych ruchów, mogących przyprawić o zatrzymanie akcji serca. Tron zapadł się kiedyś...

- Zaczynaj - mruknęła.

Brigham poderzwał pisarzowi gardło. Zwłoki zostały wciągnięte na ramię mikrofonowe, a krew rozsmarowano na wielkiej, obrotowej kuli umieszczonej nad bramą "Uniyersal".

Chris obserwował całą tę ceremonię z wysokiego okna Tary. Z tej odległości niemożliwością było stwierdzić, co się właściwie dzieje.

Miał natomiast pewność co do jednej rzeczy: cokolwiek tam się działo, było

mordercze, obsceniczne, obłąkańcze, a pogarda dla czyjegoś życia...

Odwrócił się i zszedł na dół.

Spodziewał się wielu rzeczy, kiedy wyskakiwał z samolotu. Żadna z nich nie należała do przyjemności.

To, co się z nim stało, nie było przyjemne... ale w niczym nie przypominało tego, czego się spodziewał.

Z początku wędrował bez przeszkód po chaosie Pandemonium, unikając wielkich ognisk, wbrew rozsądkowi żywiąc nadzieję, że znajdzie gdzieś Adama i razem z nim ucieknie. Tak się jednak nie stało. Został pochwycony przez ludzi, zombie i jakieś stworzenia, które wyraźnie nie należały do żadnej z tych dwóch grup. Zabił kilku, po czym został powalony, związany i ogłuszony.

Potem nastąpił okres niepewności. Trzymano go w dużej, Pozbawionej okien skrzyni, żywiono regularnie, dano wiadro, aby miał się gdzie wypróżnić... i mnóstwo czasu na przyzwyczajanie się do myśli, że taki już będzie jego los przez resztę życia.

Po jakimś czasie wypuszczono go na wolność w samym środku tego ogromnego, niewiarygodnego, ruchliwego i szaleńczego domu wariatów zwanego Nowym Pandemonium, pokazano mu jego pokoje w Tarze i przyprowadzono na audiencję do Adama. Wszyscy

nazywali go Dzieciątkiem, wyraźnie wymawiając wielką literą na początku. Nic mu się nie stało i wydawał się kwitnąć. Chris nie był pewien, czy Adam go poznał, ale dziecko chętnie się z nim bawiło. Adam miał zabawki warte bająnskie sumy. Wspaniałe, rozwijające umysł

zabawki, wykonane z najlepszych materiałów i absolutnie bezpieczne, pozbawione ostrych krawędzi i nie nadające się do połknięcia. Miał również dwie niańki, setkę służących i Chris wkrótce pojął... czym jest on sam. Miał się stać częścią wyposażenia Tary.

Niebawem odwiedziła go Gaja. Chris niechętnie sobie to przypominał. Uważał się za

faceta równie odważnego jak ona, ale siedzenie u stóp tego monstrum i wysłuchiwanie go omal nie odebrało mu resztek odwagi. Zdominowała go tak, jak człowiek potrafi zdominować pudła.

- Siadaj - powiedziała i on posłuchał. Miał wrażenie, że siedzi u stóp Sfinksa. - Twoja przyjaciółka Cirocco zachowała się bardzo niegrzecznie - oświadczyła Gaja. - Jeszcze nie zakończyłam

inwentury, ale zdaje się, że całkowicie zniszczyła trzysta albo czterysta filmów.

Mówię tylko o tylu, bo były to filmy, które miałam w pojedynczych kopiach. Żadne inne prawdopodobnie nie istnieją już nawet na Ziemi. Co o tym myślisz?

Odpowiedź kosztowała go znacznie więcej odwagi niż się mógł spodziewać.

Myślę, że filmy nic nie znaczą w porównaniu z życiem, ludzkim albo...

Ludzkim, powiadasz? - powiedziała Gaja z bladym uśmiechem.

Nie tylko. Chciałem powiedzieć życiem ludzkim i tyta-nii...

A co z hutnikami? Są inteligentni, chyba w to nie wątpisz. A co z wielorybami i

delfinami? A co z psami, kotami, krowami, świniami i kurczętami? Czy życie naprawdę jest tak święte? Chris nie znalazł właściwej odpowiedzi.

Oczywiście, drażnię się z tobą, bo jak dotąd nie znalazłam jakiejś szczególnej

wartości w życiu, istot inteligentnych ani żadnych innych. Ono istnieje, ale głupotą jest myśleć, że ma prawo istnieć. Ostatecznie sposób, w jaki się umiera, nie ma większego znaczenia. Nie oczekuję, że się ze mną zgodzisz.

To prawda, nie zgodzę się.

Znakomicie. Rozbieżność sądów jest tym, co tworzy życie takim, jakie ono jest, to

znaczy interesującym. Ja sama uważam sztukę za jedyną rzecz, która naprawdę robi wrażenie.

Sztuka może żyć wiecznie. Nie bez racji będzie tu zapytać, czy nadal pozostaje sztuką, jeśli nie widzi jej żadne oko, nie słyszy żadne ucho, ale jest to jedno z tych pytań, na które nie ma odpowiedzi, nieprawdaż? Książka, obraz albo utwór muzyczny powinny żyć wiecznie. Życie natomiast powinno chybotać się między wyznaczonymi mu porami jedzenia i srania, dopóki nie zabraknie mu pary. Jest

naprawdę obrzydliwe. Tak się składa, że lubię filmy. I uważam, że Cirocco popełniła wielki grzech, niszcząc te czterysta filmów. A ty jak myślisz?

—  
Ja? Ja osobiście zniszczyłbym wszystkie bez wyjątku obrazy, filmy, płyty albo książki, gdyby miało to uratować choćby jednego człowieka czy tytanie.

Gaja zmarszczyła groźnie brwi.

—  
Być może obydwójce zajmujemy ekstremalne stanowiska.

—  
Ty na pewno.

—  
U siebie, w Tuxedo Junction, masz rodzaj muzeum.

—  
To zbytek, za którym nigdy bym nie tęsknił. Nie zaprzeczam, że warto ratować przeszłość, i smutno jest patrzeć, jak sztuka, nawet zła sztuka, znika ze świata na zawsze.

Niszczenie sztuki jest czymś złym i nie pochwalam tego, ale Cirocco nie zrobiłaby tego, gdyby nie uważała, że to służy ratowaniu życia. Nie sądzę więc, że zgrzeszyła.

—  
Gaja myślała nad tym przez chwilę, po czym uśmiechnęła się do niego. Wstała tak gwałtownie, że Chris się przestraszył.

- Dobrze - powiedziała. - W takim razie nasze pozycje są już jasne. Ty jesteś po jednej stronie, ja po przeciwnej. Interesującym będzie się dowiedzieć, co myśli o tym Adam.

—  
O czym ty mówisz? Zaśmiała się.

—  
Czy kiedykolwiek słyszałeś o Jiminy Cricket?

Wówczas jeszcze nie słyszał. Później jednak zobaczył ten film i teraz już pojmował, jaka jest jego rola. Prawdę powiedziawszy, widział ten film cztery razy. Należał do ulubionych filmów Adama.

Dość szybko stało się jasne, jak będzie wyglądał rozkład ich dnia.

Chris został w Tarze. Mógł spędzać cały czas z Adamem, z wyjątkiem okresu jednego obrotu po przebudzeniu się Adama. Ten czas Adam spędzał samotnie przed telewizorem.

W każdym pokoju w Tarze znajdował się telewizor. W niektórych były trzy lub cztery i nie można ich było wyłączyć. Wszystkie pokazywały ten sam program, więc jeśli Adam wędrował z jednego pokoju do drugiego, ciągłość nie była przerywana.

Na razie jednak nie miało to znaczenia. Chłopiec zazwyczaj potrafił skupić uwagę nie dłużej niż przez jedną minutę, chyba że program był wyjątkowo interesujący i wtedy przesiadywał przy nim pięć albo dziesięć minut, śmiejąc się z czegoś, co tylko on wydawał

się rozumieć. W czasie, w którym Chris nie mógł się do niego zbliżyć i spróbować oderwać go od odbiornika, czasami bawił się zabawkami, a czasami prawie przez cały obrót wgapiał

się w ekran. Często przy tym zasypiał.

Na Chrisie telewizja nie wywierała wrażenia. Prawdę powiedziawszy, uważał ją wyłącznie za stałe, hałaśliwe utrapienie.

Zauważył w końcu, że to wszystko jest częścią jakiegoś programu edukacyjnego. To,

co Adamowi podobało się najbardziej, mierzono w ch/m, to znaczy w liczbie chichotów na minutę, i potem pokazywano znacznie częściej. Trudno było wyrażać sprzeciw wobec

większości tych programów. Były to głównie kreskówki Walta Disneya i Warner Brothers, mnóstwo japońskiej animacji komputerowej z lat dziewięćdziesiątych i końca stulecia, a także trochę starych programów telewizyjnych. Czasami wkradał się w to jakiś western oraz filmy kung fu, które Adamowi podobały się chyba tylko ze względu na swoją hałaśliwość.

Chrisa natomiast naprawdę rozbawiła dopiero projekcja pierwszego, mało znanego

filmu wytwórni 20th Century Fox. Był zatytułowany "Bilet do Tomahawk" i Gaja grała w nim epizodyczną rolę. Chris obejrzał go sobie w czasie, gdy Adam spał - kiedy nie zajmował

się Adamem, niewiele miał do roboty w tym luksusowym więzieniu. Był to głupawy, krótki western. W tłumie postaci wypatrzył właśnie Gaję.

Naturalnie nie była to Gaja, lecz bardzo podobna do niej aktorka. Chris przeczytał

uważnie końcowe napisy, aby znaleźć nazwisko jakiejś dawno zmarłej kobiety, ale bez powodzenia.

Niebawem ponownie wypatrzył Gaję w filmie pod tytułem “Wszystko o Ewie”. Tutaj grała większą rolę i udało mu się stwierdzić, że ta aktorka nazywała się Marilyn Monroe. Był ciekaw, czy była sławna.

Wkrótce dowiedział się, że była, ponieważ jej filmy zaczęły się regularnie pokazywać w telewizji Tary. Adam raczej tego nie zauważył. “Wszystko o Ewie” zdobyło zero na śmiecho-metrze, Adam ledwie spojrział na ten film. Z “Asfaltową dżunglą” nie poszło lepiej.

“Mężczyźni wolą blondynki” też nie miał powodzenia.

Potem Chris zaczął oglądać filmy dokumentalne o życiu i śmierci Marilyn Monroe.

Była ich zdumiewająca liczba. Większość opowiadała o cechach, których Chris zwyczajnie nie potrafił dostrzec. Choć w dwudziestym wieku, kiedy zostały nakręcone te dokumenty, mogły wywoływać niesamowite wrażenie, obecnie niewiele z nich miało dla Chrisa

jakąkolwiek wymowę.

Jednakże któregoś razu sytuacja się zmieniła. Podczas pokazu jednego z nudnych

dokumentów Adam podniósł głowę znad swoich zabawek, uśmiechnął się, wskazał ekran i powiedział:

- Gaj. - Przenidsł wzrok na Chrisa, znowu pokazał ekran i powtórzył: - Gja.

Chris zaczął się niepokoić.

Gaja ani razu nie pojawiła się w Tarze.

To znaczy nigdy nie weszła do środka, mimo że całe domostwo zostało wybudowane

z uwzględnieniem jej monstrualnych rozmiarów. Wszystkie drzwi były wystarczająco

wysokie i szerokie, by mogła przez nie przejść, a schody i piętro wzmocnione, aby ją udźwignąć.

Składała im natomiast wizyty. Stawała w oddali i Adama wynoszono na balkon na

piętrze. Chris rozumiał tę logikę. Coś tak ogromnego mogło wystraszyć dziecko. Gaja miała zamiar przyzwyczajać do siebie Adama stopniowo, podchodząc za każdym razem coraz

bliżej.

Zawsze przynosiła z sobą coś interesującego. Raz były to sztuczne ognie, które

trzymała w ręku i ciskała w górę. Nie były hałaśliwe, ale za to były piękne. Innym razem było to stado trenowanych słoni. Kazała im skakać przez obręcze i spacerować po linie. Zarzucała sobie



jedno takie wielkie, niezgrabne bydlę na ramię, potem kładła je na dłoni i unosiła wysoko do góry. Na Chrisie robiło to wielkie wrażenie, a Adam cały czas się śmiał. Gaja umiejętnie naśladowała dziecięcą mowę, wołała Adama po imieniu, mówiła mu, że go kocha, i wypowiadała swoje imię tak często, jak to tylko było możliwe. Zawsze przynosiła jakiś wspaniały prezent.

—  
Gaj, gaj, gaj - pokrzykiwał Adam.

—  
Gaj-a - odpowiadała mu Gaja.

Adam skończył właśnie piętnaście miesięcy. Jego zasób słów stale się powiększał.

Wkrótce umiał już wymówić słowo Gaja.

Marylin Monroe nakręciła około trzydziestu filmów. Chris obejrzał każdy z nich

przynajmniej raz do czasu uroczystego otwarcia bramy "Universal". Rozmyślał o tym, gdy schodził z drugiego piętra. Adam coraz częściej przerywał zabawę, aby wskazać telewizor, roześmiać się i wymówić imię swej monstrualnej babuni.

Już miał zejść na parter, kiedy zaskoczyły go głośne, szybko następujące po sobie grzmoty. Po chwili zorientował się, że to odgłos przekraczania bariery dźwięku.

Zawrócił i wbiegł na balkon pierwszego piętra.

Zobaczył na niebie dwie Ważki średniej wielkości. Właśnie zwalniały i zaczynały

zawracać po swym niespodziewanym przelocie nad Nowym Pandemonium. Chris nagle zdał

sobie sprawę, że krzyczy i biega w kółko. Samoloty leciały zbyt wysoko, by mógł stwierdzić, kto lub ile ludzi nimi leci.

Cirocco - pomyślał. - Mój Boże, Cirocco, ty nie byłabyś aż taka głupia. Chyba nie sądzisz, że zbombardowanie tego miejsca ma jakikolwiek sens...

Obserwował z otwartymi ustami, jak dwa samoloty, lecące teraz dość wolno,

wykonują serię skomplikowanych skrętów i obrotów. Wyglądało, że się do czegoś szykują.

Serce prawie przestało mu bić, kiedy obydwie zaczęły dymić. Co im się mogło stać?

Jeden szybkim manewrem zawrócił i pomknął przed siebie, natomiast drugi wykonał

długi, powolny zakręt. Potem przestały dymić. Ponownie stały się ledwie widocznymi komarami, które zawróciły i na moment znieruchomiały.

I wtedy pojął, że wypisały litery PO.

Wzbiły się teraz wyżej i zakręciły, znowu dymiąc. Tym razem zrobiły dwie równoległe linie, wykonały ostry skręt i zaczęły opadać do samego szczytu linii. DD. PODD.

Co to jest, do diabła?

Samoloty wykonały jeszcze kilka precyzyjnych, zgrabnych ruchów, dopisując jeszcze jedną literę.

PODDA.

—

Chris - szepnął ktoś. Omal nie wyskoczył ze skóry. Odwrócił się i ledwie powstrzymał okrzyk, kiedy zobaczył Cirocco stojącą tak blisko niego, że mógł jej dotknąć.

—

Cirocco - wyszeptał i znalazł się w jej ramionach, co nie było zbyt adekwatnym określeniem, bo przecież był od niej o wiele wyższy. Wszystko z całą siłą ciągnęło go do niej, trudno było powstrzymać się od łez.

Pociągnęła go w cienie zalegające pod budynkiem.

- Nie zwracaj na to uwagi - powiedziała cicho, wskazując podbródkiem niebo. -

Zabawa w dywersję... z taką właśnie pointą. Gai się to na pewno spodoba, od początku do samego końca.

—

Co ty...

—

Mam mało czasu - przerwała mu Cirocco. - Niełatwo się tu dostać. Możesz mnie przez chwilę posłuchać?

Chris przełknął tysiące pytań, które chciał zadać, i skinął głową.

—  
Chcę... - Cirocco urwała i na moment odwróciła wzrok. Chris miał czas, by

zauważyć dwie rzeczy: była bliska łez i miała na sobie jakiś fantastyczny kostium. Wcześniej nie miał czasu ogarnąć tego wszystkiego.

—  
Jak się miewa Adam? - spytała.

—  
Bardzo dobrze.

—  
Opowiedz mi, co się wydarzyło.

Zrobił to tak szybko i skrótowo, jak tylko potrafił. Od czasu do czasu potakiwała, dwa razy skrzywiła się, a raz wyglądała, jakby zaraz miała zwymiotować. W końcu jednak skinęła głową.

—  
Tego mniej więcej Gaby kazała mi się spodziewać - powiedziała. - A nie mów mi, że Gaby się myli.

—  
Nie miałem zamiaru. Nie boję się już duchów.

—  
Dobrze. Rozumiesz więc, co musisz zrobić?

—  
Dość dobrze. Tylko... nie wiem, czy wykonam to właściwie. Ona jest znacznie bardziej subtelna niż mi się wydawało.

—  
Potrafisz to zrobić - powiedziała z absolutnym przekonaniem. - Zrobimy, co tylko

będzie można, żeby was stąd wydostać. Tak, jak ci powiedziałam ostatnim razem, jego duszy na razie nie zagraża niebezpieczeństwo i jeszcze przez jakiś czas nie będzie. Ale, Chris... to potrwa długo.

Zdajesz sobie z tego sprawę?

—

Chyba tak. Mhm... czy możesz powiedzieć, jak długo?

—

Nie krócej niż rok. Może dwa.

Zrobił, co mógł, by ukryć swoje przerażenie, ale wiedział, że ona je dostrzegła. Nic nie powiedziała. Zrobił głęboki wdech i spróbował się uśmiechnąć.

- Jeśli uważasz, że tak jest najlepiej.

- Chris, tak wcale nie jest najlepiej. To po prostu jedyne wyjście. Nie mogę ci powiedzieć za dużo. Gdyby Gaja domyśliła się, co wiesz, mogłaby was rozdzielić.

Rozumiem. Ale... - Otarł czoło, a potem spojrzał jej prosto w oczy. - Cirocco,

dlaczego nie porwać go po prostu teraz? Wziąć go i nogi za pas?

- Chris, mój stary i drogi przyjacielu, gdybym mogła, zrobiłabym to. Ale wo'wczas ty pozostałbyś na łasce i niełasce Gai - a ja prawdopodobnie umarłabym ze wstydu, gdy tylko umieściłabym go w bezpiecznym miejscu. Ale zrobiłabym to.

Wiesz, że uratowałabym was, gdybym...

- Skoro nie możesz, nie wyrażam sprzeciwu.

Uściskała go, pocałowała w brodę, która znajdowała się tak wysoko, że ledwie mogła jej dosięgnąć. Chris czuł się odrętwiały, ale obejmował ją z przyjemnością.

—

Gaja jest... Chris, nie wiem, jak to wyjaśnić. Ale jej wola jest skupiona na Adamie.

Kiedy tu byłam ostatnio, pozwoliłam, żeby mnie zobaczył. Ona wie, że tu byłam, i tym razem było mi znacznie trudniej się tu dostać. Więcej już nie dam rady was odwiedzać. Gdybym wzięła Adama i uciekła, złapałaby nas oboje. Jestem o tym przekonana. Czy jesteś w stanie się z tym wszystkim pogodzić?

—

Chyba będę musiał.

—

Tylko o to proszę. Twoim zadaniem jest zachowanie dobrych stosunków z Gają,

choćby nie wiem jakie to było katastrofalne w skutkach. I pilnuj się przy niej. Możesz ją niechcący polubić. Nie, nie mów mi, że to niemożliwe. Też ją kiedyś polubiłam. Bądź po prostu sobą, kochaj Adama i... do diabła, Chris, ufaj mi.

—  
Ufam ci, Cirocco.

W jej oczach widać było udrękę. Pocałowała go raz jeszcze i pozostawiła samego.

Odeszła w dziwny sposób. Wróciła w cień, do miejsca, z którego nie mogła odejść niepostrzeżenie... i zniknęła.

Dziesięć

- Czarownica z Południa, Czarownica z Południa, tu Czarownica z Północy. Dolna poprzeczka była dość nierówna, bracie.

Conal wykonał skręt z przyspieszeniem czterech g i dopiero wtedy przemówił do mikrofonu.

- Nie wtrącaj się do cudzej roboty, mała - odparł. - Miałaś same łatwe litery. -

Pociągnął drążek do tyłu, szybko ogarnął wzrokiem już wyrysowane wielkie, płaskie litery i ponownie nacisnął przycisk uwalniający dym. Obserwował uważnie powstającą kreskę, potem wyłączył dymienie i skręcił ostro w prawo.

Ćwiczyli to od tygodnia, zaczynając od prób, podczas których Cirocco przeklinała ich jak szewc, ale ich napisy stopniowo stawały się coraz czytelniejsze. Obecnie Conal uważał, że mógłby to robić nawet przez sen.

Było to oczywiste szaleństwo, ale nie bardziej wariackie niż inne rzeczy, które do tej pory robili. Wydawało się, że ich życie przeniosło się na całkiem nową, nieznaną

płaszczyznę. Sam czyn już nie zawsze wystarczał. Ważny był również sposób, w jaki był

dokonany. Pewne rzeczy trzeba było zrobić ze zdecydowaniem, inne z udziałem czegoś, co się nazywało ostentacją. Pisanie po niebie mogło zostać wykonane perfekcyjnie, bez żadnych ćwiczeń, przez zwykłe wprowadzenie programów tych manewrów do autopilota. Cirocco

jednak nie wyraziła na to zgody.

Conal nie narzekał. Lubił pisanie wyzwania na czystym ga-jańskim niebie.

—  
Czarownica z Północy - zawołał. - Czy według ciebie to jest D?

—  
To najlepsze D na niebie - odcięła się Nova.

—  
Przestańcie, dzieci - zawołała Robin, krążąca wysoko ponad nimi, w miejscu, z którego mogła ich wygodnie obserwować. - Zejdźcie w dół do drugiej linii.

Ciocco zeszła ze złotej drogi tuż przed miejscem, w którym stawała się rzeczywistość szczerozłota, i wślizgnęła się między dwa wysokie budynki. Znalazła ustronne pomieszczenie i szybko się przebrała.

Kiedy przechodziła przez bramę "Columbia", była ubrana w kostium indiańskiej

księżniczki i udało jej się przedstawić jako statystka zgłaszająca się do pracy w końskiej operze właśnie nakręcanej na tym planie. Z kolei dostanie się do Tary wymagało już tylko zwykłej bezczelności. Mogła zrobić tylko jedno. Nie wiedziała, jak jej się to udało, i starała się nie zakłócić tej łatwości myśleniem, ale postanowiła, że po prostu zrobi z siebie miernotę.

Ludzie spoglądali na nią i zaraz odwracali wzrok. Nie warto było na nią patrzeć. Działo to wystarczająco dobrze, by zdołała dojść do Chrisa. Przy wychodzeniu już nie było to potrzebne, bo wszyscy wgapiali się w napisy na niebie.

Jednakże wyjść musiała inaczej i wymagało to innego typu bezczelności.

Ubrała się w strój podobny do tego, który miała na sobie podczas pierwszego

spotkania z Conalem: czarne spodnie, wysokie buty, koszulę i kapelusz. Na to wszystko narzuciła czarną pelerynę, do buta wcisnęła mały pistolet automatyczny, a za pas wsadziła duży rewolwer.

- Może powinnam się jeszcze ozdobić sporym neonem - mruknęła do siebie. - Nie rzucalby się w oczy bardziej niż ten strój.

Stała przez chwilę, regulując oddech. Pod wpływem odruchu - tego rodzaju odruchu, któremu nauczyła się ufać - rozpięła trzy górne guziki koszuli i obnażyła jedną pierś.

Uważała, że dzięki temu odwróci uwagę od swej łatwo rozpoznawalnej twarzy. Po chwili ruszyła pewnym krokiem w stronę strażnika pilnującego bramy "MGM".

Musiała trącić go łokciem. Wpatrywał się w powietrzny pokaz.

—  
Co P-O-D-D-A... - zaczął.

—  
Czemu oni trzymają analfabetę przy tej bramie? - rzuciła kąśliwie Cirocco.

Mężczyzna wyprostował się i obronnym gestem zasłonił pierś swoją tabliczką. Wyciągnęła w jego stronę pustą dłoń ubraną w czarną rękawiczkę.

—  
Jestem pierwszym zastępcą kierownika zaopatrzenia - oświadczyła. - To moja karta

identyfikacyjna. Gaja kazała mi natychmiast zniszczyć to coś tam na niebie. - Schowała nieistniejącą kartę do kieszeni na piersi. Oczy mężczyzny śledziły tę dłoń aż do kieszeni, po czym utknęły w tym miejscu. Zapatrzył się na przedział między jej piersiami i kiwał głową. -

Nie słyszę. Co mówicie?

—  
Mhm... proszę przejść!

—  
A co z bezpieczeństwem? Czy nie powinniście zapisywać wszystkich, którzy

wchodzą i wychodzą przez tę bramę? Wszystkie ogary z piekła mogłyby tędy przejść, a wy jeszcze rzucilibyście im sucharów. Nie macie zamiaru zapytać, jak się nazywam?

—  
Mhm... j-j-j-jak się n-n-nazywacie... sir?

—  
Guinness. - Zajrzała mężczyźnie przez ramię, kiedy zapisywał to na tabliczce. -

Tylko zapiszcie poprawnie. G-U-I-N-N-E-S-S. Alec Guinness. Gaja będzie to chciała wiedzieć.

Cirocco odwróciła się na pięcie, wymaszerowała poza bramę i przeszła przez most,

nie oglądając się ani na lewo, ani na prawo.

Mężczyzna odzyskał pełną świadomość dopiero po piętnastu minutach. W tym czasie

Cirocco zdążyła już pokonać sto mil.

Gaja domyśliła się wszystkiego już po pierwszym PO.

Stała przy bramie “Uniwersał”, ogromnymi stopami zakrywając większą ilość złota, niż kiedykolwiek znajdowała się w Fort Knox. Wsparła dłonie na biodrach i uśmiechała się.

PODD

PODDA

Zaczęła się śmiać. Do tego czasu ci, którzy tak jak ona widzieli bardzo dużo filmów -

w wielu przypadkach więcej niż mogli spamiętać - również to pojęli. Dla większości z nich upłynęło kilka nerwowych minut. Ich oczy stale wędrowały od Gai do napisu na niebie.

Potem Gaja się roześmiała i był to sygnał do wybuchu powszechnej wesołości. Ludzie zarykiwali się za każdym razem, gdy pojawiała się nowa litera, a każda litera zdwajała śmiech Gai.

Zanim cały napis został ukończony, pierwsze P było już prawie nieczytelne. To jednak nie popsuło jej zabawy. PODDAJ SIĘ GAJA.

- Musimy się zobaczyć z Czarnoksiężnikiem! - krzyknęła Gaja. - On będzie wiedział, co robić!

Śmiech zabrzmiał jeszcze głośniej.

Czas na festiwal - pomyślała Gaja. - Jones pewnie popadła w całkowitą rozpacz, skoro robi takie głupstwa. Czy ona nie wie, że to Zła Czarownica z Zachodu pisała po niebie? Czy przymiotnik “zła” nic dla niej nie znaczy? W tej walce obowiązywały pewne zasady, a symbole były niezwykle ważne.

Nie śmiała się już tak gromko, a tylko czasem chichotała. Litery już się rozpraszały, opadając jako rzadka mgła. Do dwóch samolotów przyłączył się trzeci, o którego obecności Gaja cały czas wiedziała. Najprawdopodobniej leciała nim sama Girocco, unosząc się bezpiecznie poza zasięgiem wzroku i obserwując swych sługusów wykonujących brudną i niebezpieczną robotę. Ten pokaz nawet nie był tego wart - pomyślała.

O dziwo, ta myśl ją przygnębiła.

Wzruszyła ramionami. Trzy samoloty leciały teraz niżej, eszelonem, zataczając

ogromny krąg nad Nowym Pandemonium. Nadal wypuszczały z siebie dym.



Festiwal filmów fantastycznych - pomyślała. - Jakich tytułów ostatnio nie pokazywano? Cóż, pomyślmy, był już...

Przerwała te rozmyślenia i podejrzliwie spojrzała w górę.

- Nie! - wrzasnęła i zaczęła biec. - Nie, ty suko! Nie przewidziałam tego w budżecie!

Nastąpiła na martwego zombie, poślizgnęła się i omal nie upadła. Potem zauważyła następnego zombie, który też padał.

Po dwóch minutach wszystkie zombie w Pandemonium były martwe.

—

Ali you need is love - powiedziała Robin, potem to zagwizdała, a w końcu zaśpiewała.

—

Co to takiego? - spytał ją przez radio Conal.

—

—

To taka piosenka, którą śpiewamy my, czarownice. - Zagwizdała to jeszcze raz, robiąc ostatnie okrążenie ponad dziwaczną sceną rozgrywającą się na ziemi.

—

Mamo - powiedziała Nova z rozdrażnieniem w głosie.

—

Moja droga, czas, żebyś przestała się wstydzić pochodzenia naszej trutki na zombie. Nie mam racji?

—

Tak, mamo. - Usłyszała szczęknięcie radia Novy.

—

Na mój sygnał skręć w lewo - powiedział Conal. - Pod nami będzie brama

“MGM”. To ta z kamiennym lwem.

—  
Okay - powiedziała Robin, wciąż nucąc. Raz jeszcze spojrzała na Nowe

Pandemonium.

Cirocco opisała im to miejsce, więc znali dokładnie jego rozkład, zanim jeszcze tam przybyli. Jednakże oglądanie go było całkiem inną sprawą. Podczas całego tego szaleńczego pokazu Robin, która krążyła wysoko w górze, była jednym kłębkim nerwdw. Jej potężny radar i ciężki sprzęt bojowy wyczekiwały pojawienia się rakiet, a po umyśle przewalało się jednocześnie kilkanaście planów awaryjnych, które bezlitośnie wtoczyła tam generał Jones.

Uśmiechnęła się szeroko, a potem roześmiała. Wszystko to mocno przemawiało do jej poczucia humoru.

- Jak myślicie, co powie Gaja? - spytała pozostałych.

- Zastanawiam się, czy już wie, że zwaliliśmy na nią trzy tony eliksiru miłosnego?

- Czy to Robin z Kongregacji? - spytał czyjś głos.

Nastąpiła chwila ciszy, którą zakłócało jedynie przenikliwe wycie silników.

—  
Robin, czemu się wtryniasz w moje fale powietrzne?

—  
O Jezu - wydyszał Conal. - Czy to...

—  
Czarownico z Południa, pamiętaj o nakazach obowiązujących w łączności. Myślę, że powinniśmy...

—  
Wiem, że to Conal, moja najdroższa - powiedziała Gaja. - I wiem, że drugim

samolotem leci twoja ukochana córka, Nova. Nie rozumiem natomiast tej gadaniny o eliksirze miłosnym.

Robin leciała przed siebie, nic nie mówiąc. Dłonie miała mokre od potu.

- Znakomicie - westchnęła Gaja. - Widzę, że macie zamiar być nieznośni. Nie musicie jednak wykonywać Planu X-98, czy jak go tam nazwaliście. Nie wysyłam nikogo za wami.

Żadne rakiety nie zakłócą wam lotu powrotnego do Dione. - Znowu nastąpiła przerwa. -

Ciekawi mnie tylko jedna sprawa. Dlaczego Cirocco Jones nie wzięła udziału w tej

eskapadzie? Może zabrakło jej odwagi? Ona rzeczywiście potrafi się wysługiwać innymi w swoich własnych bitwach. Zauważyliście? Jak wam się podobał jej dramatyczny powrót do Junction, kiedy moi przyjaciele ratowali twojego ukochanego syna z tego okropnego miejsca, do którego go zabrałaś? Mielicie mnóstwo czasu, żeby sobie obejrzeć jej heroiczne wysiłki...

które, smutno to mówić, polegały wyłącznie na zapasach z biednymi zombie. Ciekawa

jestem, gdzie ona wtedy była? Czy spytaliście ją o to?

Robin spojrzała w prawo i w lewo, dała ręką znaki Novie i Conalowi, aby nic nie

mówili, i zobaczyła, że oboje kiwają głowami.

—

Jak dotąd jest to dość nudna rozmowa - ciągnęła Gaja. - Chciałam się tylko

dowiedzieć, jak ci leci. Długo się nie widziałyśmy. Kiedy zobaczyłam, że się tu zbliżasz, miałam nadzieję, że może do mnie wpadniesz.

—

Raczej nie miałam czasu - odparła Robin.

—

No, to już znacznie lepiej. Naprawdę trzeba się było postarać i znaleźć trochę czasu. Chris wypytuje się o ciebie.

Robin musiała zagryźć dolną wargę. Nie warto było się odzywać, poza tym to wszystko przestawało ją już bawić.

—

Powiedz mi - powiedziała Gaja po chwili namysłu. - Czy słyszałaś coś o

Konwencjach Genewskich dotyczących działań wojennych?

—  
Nie za bardzo - odparła Robin.

—  
Czy wiedziałaś, że używanie trujących gazów uważa się za niemoralne? Pytam, bo

jestem pewna, że Cirocco wpakowała ci do głowy kupę bzdur na temat złych i dobrych facetów. Jakby tacy istnieli. Ale nawet gdyby to była prawda, sama zadaj sobie to pytanie.

Czy dobrzy faceci łamią międzynarodowe zasady dotyczące wojny?

Robin na chwilę zmarszczyła czoło, pokręciła głową i zastanowiła się, czy słuchanie Gai nie jest przypadkiem niebezpieczne. Czy ona może rzucić jakieś czary przez radio i spowodować, by cała ich trójka zrobiła coś głupiego? Cirocco nic na ten temat nie mówiła.

—  
Jesteś starym, głupim babskiem, Gaja - powiedziała.

—  
Gadanie...

—  
...żadne ostrze nie zrobi najmniejszej rysy na twojej obrzydliwej skórze. Ale słowa ranią cię do żywego. Wiem to od Cirocco. Jeśli zaś chodzi o gaz bojowy, to czy sprawdziłaś, co z ludźmi? Czy przyjrzałaś się słoniom, wielbłądom i koniom?

—  
Raczej nic im nie jest - przyznała niepewnie Gaja.

—  
Tobie też nic nie jest. Nie bierz tego do siebie, Gaja, ty stara suko. Znaleźliśmy sposób na eliminowanie zarazy, którą kiedyś nazywaliśmy węzami śmierci. Robimy to w ramach służby publicznej. Pandemonium po prostu znalazło się przypadkiem w planie

rozpylania. Mam nadzieję, że nie zakłóciliśmy ci za bardzo spokoju?

- Nie zak... Nazywaliście je? A teraz jak je nazywacie?

Ha! A jednak masz jakiś czuły punkt, ty potworze.

- Nazywamy je tasiemcami Gai. Mam nadzieję, że masz dużą toaletę.

Robin usłyszała śmiech Novy. I to wreszcie do reszty rozjuszyło Gaję. Na początek rozległ się nieartykułowany wrzask. Robin musiała zmniejszyć głośność. Wrzask słyhać było zdumiewająco długo, a potem nastąpił strumień obelg, straszliwych pogroźek i urywanego chrypienia. Kiedy nastąpiła krótka przerwa, odezwała się Nova.

—  
To naprawdę niezłe - powiedziała. - Jak to wszystko się skończy, może zatrudnimy ją w jakimś dodatkowym pokazie karnawałowym.

—  
Nie - zaprotestował Conal. - Nikt za to nie zapłaci. Wszyscy już widzieli w życiu i tak za dużo gówna.

Nastąpiła krótka cisza.

- Młody człowieku - powiedziała lodowatym tonem Gaja - któregoś dnia sprawię, że pożałujesz, że się urodziłeś.

Nova, to było co najmniej nieuprzejme. Chyba jednak potrafię to zrozumieć. Pewnie musi ci być ciężko. Powiedz mi, co czujesz, kiedy ten koszmarny facet pieprzy twoją matkę?

Cisza, ktora teraz zapadła, była zupełnie innej natury. Robin czuła, jak kurczy jej się żołądek.

Mamo, co...

Nova, zachowaj ciszę radiową. I pamiętaj, co ci powiedziałam o propagandzie. Gaja, rozmowa skończona.

Czuła jednak, że to nie będzie koniec tej sprawy. Propaganda jest znakomitym określeniem, ale wiedziała, że już dłużej nie będzie w stanie okłamywać Novy.

Gaja odłożyła swoje radio i przyglądała się znikającym na zachodzie samolotom.

Czuła przepelniającą ją gorycz.

Mimo że części jej umysłu odpowiedzialne za logikę i emocje nie funkcjonowały tak

jak kiedyś - z czym dawno już się pogodziła - umiejętność rachowania nie uległa degeneracji.

Wiedziała, ilu zombie utraciła. Jakies czterdzieści procent siły roboczej Pandemonium stanowiły żywe trupy - obecnie już po raz drugi umarłe. To już wyglądało nieciekawie, bo jeden zombie był

wart pięciu, a może sześciu ludzi. Były silniejsze i nie potrzebowały snu ani nawet przerw na odpoczynek. Karmiło się je takimi odpadami, że świnia by się udławiła na sam widok. Chociaż nie potrafiły obsługiwać czegoś tak skomplikowanego jak na przykład magnetofon, były znakomitymi hydraulikami, elektrykami, malarzami, cieślami... Znały się na wszystkich rzemiosłach niezbędnych do nakręcenia filmu. Jeśli się o nie odpowiednio dbało, miały trwałość sześciu czy siedmiu kiloobrotów. Były ekonomiczne, nawet gdy umierały: zombie, ktory czuł, że nadchodzi jego ostateczna śmierć, wykopywał sobie grób i kładł się do niego.

Problemy, problemy...

Ekipy cieśli, które wykorzystywała w festiwalu objazdowym, okazały się za mało wszechstronne do wymagań Nowego Pandemonium. Niektóre ze wzniesionych przez nie budynków już się zapadały. Mogła spróbować stworzyć nową, mistrzowską odmianę cieśli...

przekonała się jednak z niepokojem, że jej umiejętności manipulowania genami uległy degeneracji. Mogła mieć tylko nadzieję, że zamiast kolejnych wielbłądów czy smoków następnym razem urodzi coś bardziej korzystnego i trwałego, ale wiedziała, że nie może na to liczyć.

Takie ryzyko wiązało się ze śmiertelnością. A Gaja była śmiertelna. Nie oznaczało to, że za sto tysięcy lat ogromne koło znane jako Gaja miało zwiędnąć i obumrzeć, lecz los ten miał spotkać jej ogromny klon-Monroe, w którego zdecydowała się włożyć tyle swej siły witalnej.

Westchnęła, a potem rozpromieniła się. Dobre kino powstawało dzięki

przeciwnościom losu, a nie nieprzerwanej serii sukcesów. Pogada z wydziałem scenariuszy, włączy ten nowy splot wydarzeń do obszernej opowieści o jej życiu kręconej od dwudziestu lat. Nic nie zapowiadało, że wkrótce miałyby się pojawić ostatnie szpule taśmy.

W tym czasie musi się znaleźć jakieś rozwiązanie.

Raz jeszcze pomyślała o tytaniach. W Hyperionie panował bałagan z ich powodu.

- Tytanie! - krzyknęła Gaja, strasząc wszystkich, którzy się znajdowali w promieniu pół kilometra.

Tytanie okazały się jej najbardziej buntowniczymi tworamami. Kiedyś wydawały się

dobrym pomysłem. Nadal miło było na nie popatrzeć. Zrobiła je na początku dwudziestego wieku jako rodzaj szkicu człowieka. Okazało się, że zrobiła coś lepszego niż zamierzała. Stale okazywały się lepsze od pierwotnych założeń.

Kiedy siła robocza zaczęła stanowić problem podczas wczesnego etapu budowy

Studia, pomyślała naturalnie o wykorzystaniu tytanii. Wysłała hutników, aby znaleźli najemników, ale wrócili z pustymi rękoma. To pokrzyżowało wszystkie plany. Czy one nie wiedziały, że ona jest Bogiem?

Trudno je było chwycić żywcem, ale w końcu kilka dało się pojmać.

Ale nawet nie kiwnęły palcem. Tortury nie pomagały. Wszystkie były gotowe

popęłnić samobójstwo. A Gaja orientowała się skądinąd, że przed budową Studia żadna tytania nigdy nie popełniła samobójstwa. Za bardzo kochały życie.

Spytała o to jednego jeńca.

- Wolę umrzeć niż dać się zniewolić - odpowiedział.

Gaja dziwiła się tym szlachetnym pobudkom, bowiem nie ona je wszczepiła tytaniom. Do cholery, ludzie Ignęli do niewolnictwa jak muchy do miodu. Czemu z tytaniumu było inaczej?

W porządku, w porządku, Gaja miała łeb nie od parady. Skoro nie chciały pracować

za życia, to ona je zmusi, by oracowały po śmierci. Zombie tytanii powinno radzić sobie z robotą setki ludzi.

Nic jednak z tego nie wyszło. Ciała martwych tytanii, które zmieniły się w zombie, były słabsze od oryginałów, źle skoordynowane i zwykły padać na samym środku drogi niczym za bardzo objuczony koń. Przeprowadziła badania laboratoryjne i przekonała się, że mają wadliwą budowę szkieletu. Zgodnie z kryteriami taksonomicznymi tytanie nie były kręgowcami. Miały chrząstkowy kręgosłup, o wiele bardziej giętki i silny niż dość kruche kości, które formowały szkielet u ludzi i aniołów. Problem polegał na tym, że w trakcie śmierci chrząstki gniły i były konsumowane przez węże śmierci. Tak więc tytanie oszukiwały ją nawet zza grobu.

Gaja uważałaby ten świat za gówniany, gdyby nie pamiętała, że to ona sama go stworzyła.

Czy mógł wybrać lepszą porę posłaniec spod bramy "MGM", który wręczył Gai tabliczkę i ukląkł przed nią dygocząc, bo znał jej zwykłą reakcję na złe wieści?

Tym razem reakcja była powściągliwa. Gaja spojrzała na nazwisko na tabliczce, westchnęła i cisnęła ją niedbale w stronę dachów trzech studiów dźwiękowych.

Zafilmowano ją. Dwa razy tego dnia Cirocco Jones wykorzystywała przeciwko niej jej ulubione mitologie.

- Zostałam zaoszowana i zagwiezdnowojniona - mruknęła.

Potrzebowała odpoczynku. A może tak nowy festiwal? - zastanowiła się. Filmy o

filmach. Zabrzmiało to interesująco. Rozejrzała się w poszukiwaniu swojego archiwisty i zobaczyła, że krył się za rogiem budynku. Przywołała go gestem ręki.

- Idę do Sali Projekcyjnej numer jeden - powiedziała.

- Przynies na początek "Dzień za noc" Truffauta.

Nagryzmolił tytuł w notesie.

- "Autorów" - mruknęła. - Wybierz też kilka filmów Hitchcocka. Obojętnie które.

"Kaskadera"... Jak się nazywał ten o zawaleniu studia?

—

"Światła, kamera, aukcja!" - powiedział archiwista.

—

O właśnie. Będę gotowa za dziesięć minut.

Gaja powlokła się złotą drogą, bardziej przygnębiona niż kiedykolwiek w ciągu

stuleci. Jones zrobiła tego dnia niezłą robotę.

Jej myśli częściowo krążyły wokół problemu robotników. Będzie po prostu musiała

ściągnąć więcej uchodźców z Bellinzony. To straszne, ale odtąd będzie zmuszona

praktycznie wręcz pieścić się ze swoimi robotnikami, ponieważ umarli mieli zostawać umarłymi. Cholerna sprawa.

Zastanawiała się też, czy w ogóle kogoś znajdzie w Bellin-zonie. Loty miłosierdzia na Ziemię wciąż się odbywały, ale statki wracały z mnóstwem pustych foteli.

Prawie żałowała, że rozpoczęła tę Wojnę.

Jedenaście

Pochodzenie miasta Bellinzona było takie, jak wielu innych rzeczy w całym kole: było okryte tajemnicą.

Pierwsi podróżnicy z Ziemi, którzy trafili do Dione, donieśli o istnieniu wielkiego, pustego miasta wybudowanego z drewna. Stało na mocnych palach wbitych głęboko w skały znajdujące się pod powierzchnią wody i miało świeżo wytyczone ulice, które wiły się po skalistych wzgórzach z obu stron Zatoki Peppermint. Od południa ograniczały je stosunkowo płaskie tereny wznoszące się w stronę przełęczy, która prowadziła do pobliskiego lasu. W



lesie wprawdzie żyły drapieżne stworzenia, ale nie były aż tak niebezpieczne jak r tęć, choroby zakaźne oraz trujące i mięsożerne rośliny. Mimo to miasto nie wyglądało jak miejsce, w którym ktokolwiek miałby ochotę zamieszkać.

Ciocco Jones była tam na długo przed osadnikami. Po prostu nigdy nie chciało jej się opowiedzieć komukolwiek o mieście duchów, które pojawiło się mniej więcej w

pięćdziesiątym roku sprawowania przez nią urzędu Czarodziejki. Była zaskoczona jak wszyscy inni. Miasto wydawało się beużyteczne.

Wyraźnie jednak było przeznaczone dla ludzi. Stały w nim zarówno małe jak i duże

budynki. Drzwi były na ogół wysokie, ale tytanie musiały pochylać głowy przy wchodzeniu.

Po wybuchu Wojny, kiedy zaczęła napływać fala uchodźców, Ciocco przez krótki

czas łudziła się, że jest to po prostu azyl, który Gaja nakazała wybudować, wiedząc, że wojna prędzej czy później ogarnie całą Ziemię. Jednakże wpływy Gai w Dione były minimalne, a raczej nie posiadała czegoś takiego jak humanitarne odruchy. Ktoś jednak wybudował

podwaliny Bellinzony, i to całkiem udatnie. Wkład Gai polegał wyłącznie na zaludnieniu miasta.

Ciocco podejrzewała, że była to robota gremlinów, choć nie miała na to żadnych

dowodów. W architekturze nie dostrzegało się “gremlinowego stylu”. Wybudowane tam

budowle były tak zróżnicowane jak Szklany Zamek i Góra Faraona. Często żałowała, że nie może się z gremlinami skontaktować i zadać kilku pytań. Jednakże nawet tytanie nigdy nie widziały na oczy żadnego z tych stworzeń.

Ludzie rozbudowali centrum miasta w chaotyczny i tandetny sposób. Nowe przystanie

zazwyczaj spoczywały na pontonach i oczywiście bezładnie tłoczyły się przy nich flotylle łodzi. Jednakże pomimo zaniedbania i niewłaściwego użytkowania niektóre z większych budynków w Bellinzonie naprawdę robiły wrażenie.

Ciocco musiała zorganizować armię, by móc stanąć do walki z Gają. Bellinzona była jedynym miejscem, które mogło dostarczyć wystarczająco wielu ludzi, ale motłoch nie nadawał się do jej celów. Potrzebowała dyscypliny i aby ją uzyskać, musiała ucywilizować to miasto, oczyścić je, co znaczyło - całkowicie podporządkować.

Wybrała dla siebie ozdobny, wielki jak magazyn budynek na Bagnie Moralnym.

Właściciel budynku - były mieszkaniec Chicago nazwiskiem Maleski - nazwał go Pętłą.

Ciocco dowiedziała się całkiem sporo na temat Maleskiego, który był przywódcą jednego z czterech czy pięciu głównych gangów Bellinzony. Było w tym jakieś piętno nierealności, ale stwierdziła, że

jest to właśnie jedna z tych dziwnych rzeczy. Miała zamiar zmierzyć się z prawdziwym, żywym gangsterem z Chicago.

Kiedy Cirocco i pięć ubranych na czarno tytani wchodziło do budynku, prawie

wszyscy mieszkańcy właśnie tłoczyli się w jego drugim krańcu i wyglądali przez okna na niebo. Nie był to przypadek. Cirocco stanęła na środku wielkiego pokoju, oświetlona migoczącymi pochodniami, i czekała, aż ją ktoś zauważy.

Nie trwało to długo. Zaskoczenie zmieniło się w konsternację. Nikt się nie spodziewał, że ktokolwiek wejdzie ot tak sobie do Pętli, która była mocno strzeżona od zewnątrz. Maleski jeszcze tego nie wiedział, ale wszyscy jego strażnicy już nie żyli.

Zgromadzeni w pokoju dobyli mieczy i rozproszyli się wzdłuż ścian. Niektórzy

chwycili za pochodnie. Dziewięcio-osobowa grupa utworzyła żywą tarczę wokół Maleskiego.

Przez chwilę nikt się nie ruszał.

—  
Słyszałem o tobie - powiedział wreszcie Maleski. - To ty jesteś Cirocco Jones?

—  
Burmistrz Jones - powiedziała Cirocco.

—  
Burmistrz Jones - powtórzył Maleski. Wystąpił naprzód z otaczającej go grupy.

Jego wzrok powędrował w stronę pistoletu zatkniętego za pas czarnych spodni, ale nie widać w nim było niepokoju. - To coś nowego. Kilku twoich ludzi kiedyś się poprztykało z moimi chłopcami. Czego chcesz?

—  
Niczego. Przejmuję ten budynek. Ogłaszam dziesięć-ciogodzinną amnestię. Przyda

wam się każda minuta, więc lepiej natychmiast się stąd wynieście. Wszyscy jesteście wolni.

Macie pięć minut na zabranie tego, co zdołacie udźwignąć.

Przez chwilę wydawali się zbyt oszołomieni, żeby cokolwiek powiedzieć. Maleski zmarszczył brwi, a potem roześmiał się.

- Co ty pieprzysz? Ten budynek jest własnością prywatną.

Tym razem roześmiała się Cirocco.

- Czy wiesz, na jakiej planecie żyjesz, ty durniu? Piszczalka, strzel temu facetowi w kolano.

Broń zmaterializowała się w ręku Piszczalki w momencie, gdy Cirocco powiedziała

“strzel”, a zanim powiedziała kolano”, kula już wylatywała z drugiej strony nogi Maleski’go.

Maleski upadł na podłogę, co stało się początkiem dość hałaśliwego zamieszania. Nikt z tych, którzy je przeżyli, nie ograł później zrelacjonować przebiegu wypadków. Kilku bandytów wystąpiło naprzód, lecz w samych środkach ich czoł pojawiły się okrągłe otwory i padli martwi na podłogę. Reszta, około dwudziestu ludzi, stała bardzo, bardzo spokojnie, z wyjątkiem Maleskiego, który wył, miotał się i rozkazywał swym ludziom zabijać tych cholernych sukinsynów. Jednakże wszystkie tytanie trzymały w obu rękach broń, a większość ludzi doskonale widziała ich szerokie lufy. Maleski w końcu przestał przeklinać i

znieruchomiał, ciężko rżąc.

Okay - udało mu się w końcu wychrypieć. - Okay, wygrałaś. Wynosimy się. -

Przewrócił się z trudem na drugi bok.

Był naprawdę dobry w swoim fachu. W rękawie miał ukryty nóż. Kiedy się

przewracał, wyciągnął go stamtąd i cisnął z precyzją nabytą podczas wieloletniej praktyki.

Ostrze błysnęło w powietrzu... a Cirocco wyciągnęła rękę i schwyciła je w locie. Chwyciła je ze spokojem w odległości zaledwie sześciu cali od swojego gardła, gdzie miało się zatopić.

Maleski wpatrywał się zbaraniały, jak je chwyciła i brała za rękojeść. Nie ruszył się nawet wtedy, gdy ostrze błysnęło ponownie. W końcu zareagował wrzaskiem, bo wbiło się po rękojeść w rozdarte mięso, które kiedyś było jego kolaniem. Mężczyzna, który stał po lewej stronie Maleskiego, zwał się jak nieżywy na podłogę.

- Rocky - powiedziała Cirocco - załóż mu na udzie opaskę, a potem wyrzuć z domu.

Pozostali, rzućcie broń tam, gdzie stoicie, i odejdźcie od niej powoli. Całą broń. Potem rozbierajcie się. Macie zanosić wszystkie pary spodni do drzwi i podawać je tej żółtej tytanie.

Jeśli znajdzie w nich broń, złamie wam kark. Jeśli nie, możecie się ubierać i wychodzić.

Zostały wam jeszcze cztery minuty.

Cała operacja nie potrwała nawet jednej minuty. Wszyscy gorączkowo pchali się do wyjścia, nikt nawet nie próbował oszukiwać.

- Opowiedzcie waszym kumplom, co się tu stało - krzyknęła za nimi. W tym czasie

zaczęli przybywać jej towarzysze.

Jej obstawa składała się z ludzi i tytanii. Tytanie cechował spokój i sprawność

działania. Większość ludzi była nerwowa, jako że zaciągnięto ich zaledwie kilka godzin wcześniej. Należały do nich Wolne Kobiety, członkowie Straży Obywatelskiej, a także przedstawiciele innych wspólnot.

Ustawiono biurko i Cirocco usiadła za nim, gdy tylko podłączono światła. Musiała

odreagować zarówno walkę, jak i to, co zrobiła Maleskiemu, a także niedoszące nieszczęście.

Czuła, że sztuczka z nożem mogła jej się udać sześć razy na dziesięć, ale tym razem było wyjątkowo nieciekawie. Następnym razem nie może dopuścić, by nóż doleciał tak blisko.

Jej zdenerwowanie było podyktowane głównie tremą. Najwyraźniej było to coś, z

czego nie potrafiła wyrosnąć. Cierpiała na nią od dzieciństwa.

Dwaj mężczyźni ze Straży Obywatelskiej, którzy przed Wojną pracowali w łączności,

rozciągnęli kable, ustawili trójnik i małą kamerę. Kiedy zapłonęły światła, Cirocco zamrugła. Przed nią stał mikrofon.

—  
Cały ten sprzęt ma chyba ze sto lat - mruknął jeden z techników.

—  
Spraw, żeby pracował chociaż przez najbliższą godzinę - poprosiła Cirocco.

Najwyraźniej jednak jej nie słuchał, zajęty studiowaniem jej twarzy z kilku możliwych ujęć.

Kiedy niezobowiązująco wyciągnął rękę w stronę jej czoła, cofnęła się przestraszona.

—  
Naprawdę powinna pani coś z tym zrobić - powiedział. - Strasznie się świeci.

—  
Co mam zrobić?

Makijaż.

—  
Czy to naprawdę konieczne?

—  
Pani Jones, mówiła pani, że potrzebuje doradcy do spraw środków masowego przekazu. Mówię pani właśnie, jak bym to zrobił, gdybyśmy nagrywali program.

Ciocco westchnęła i skinęła głową. Jedna z tytani miała odrobinę pudru, który wyraźnie zadowolił mężczyznę. Posmarował jej twarz jakimś tłustym świństwem.

- Obraz jest dość dobry - obwieścił drugi. - Ale nie wiem, jak długo ta rura będzie pracować.

- No to zabierzmy się za to od razu - Dowiedział reżyser. Podniósł mikrofon i

przemówił do niego. - Obywatele Bellinzony - powiedział. Odpowiedział mu tylko głuchy pogłos. Drugi mężczyzna pomajstrował przy jakichś pokrętłach i pierwszy przemówił

ponownie. Tym razem głos zabrzmiał czysto. Ciocco słyszała echo słów odbijające się od okolicznych wzgórz.

Obywatele Bellinzony - powtórzył reżyser. - Usłyszycie teraz ważne obwieszczenie

Ciocco Jones, nowego burmistrza Bellinzony.

Jakaś Wolna Kobieta stała przy oknie i patrzyła w górę.

- Tam widać obraz! - krzyknęła.

Ciocco chrząknęła nerwowo, stłumiła promienny uśmiech, odruch, którego z

pewnością nabawiła się podczas konferencji prasowych NASA milion lat wcześniej, i

przemówiła:

- Obywatele Bellinzony. Nazywam się Ciocco Jones.

Wielu z was słyszało o mnie: należę do pierwszych ludzi, którzy przybyli na Gaję, i przez jakiś czas piastowałam stanowisko Czarodziejki wyznaczone mi przez Gaję. Dwadzieścia lat temu zostałam wyrzucona z tej posady. Ważne, abyście pojęli, że chociaż Gaja mnie

wyrzuciła, tytanie nigdy tego nie przyjęły do wiadomości. Wszystkie są gotowe na każdy mój rozkaz. Nigdy nie wykorzystywałam tego faktu.

Robię to teraz i skutki tego zmieniają wasze życie. W tej chwili jesteście wszyscy, tak jak powiedziałam, “obywatelami Bellinzony”. Zastanawiacie się pewnie, co to oznacza.

Zasadniczo oznacza to tyle, że wszyscy jesteście podporządkowani moim rozkazom. Mam dalsze plany dotyczące wprowadzenia demokracji, ale na razie lepiej róbcie to, co wam powiem. W waszym mieście przebywa obecnie kilka tysięcy tytani. Każda z nich zapoznała się już z nowymi zasadami. Uważajcie je za policjantów. Niedocenianie ich siły albo szybkości będzie poważnym błędem.

Ponieważ będziecie postępować zgodnie z zasadami, podam niektóre z nich teraz. Im więcej z was będzie je przestrzegać, tym lepiej wszystko pójdzie.

Morderstwa nie będą tolerowane.

Niewolnictwo jest zabronione. Wszyscy ludzie będący obecnie niewolnikami, zostają niniejszym uwolnieni. Wszyscy ludzie, którzy uważają, że posiadają jakichś niewolników, niech lepiej ich natychmiast uwolnią. Dotyczy to wszelkich praktyk, które zwyczajowo pozbawiają jakiegokolwiek człowieka jego wolności. Jeśli ktoś ma wątpliwości, jest na przykład muzułmaninem i uważa, że jego żona jest jego własnością, niech lepiej zapyta o to jakąś tytanie. Obowiązuje w tym względzie dziesięciogodzinna amnestia.

Sprzedaż ludzkiego mięsa zostaje niniejszym wstrzymana. Każdy człowiek handlujący z hutnikami zostanie zastrzelony na miejscu.

Nie istnieje własność prywatna. Możecie nadal spać tam, gdzie spaliście, ale nie sądźcie, że posiadacie coś więcej oprócz rzeczy, które macie na sobie.

W okresie przynajmniej czterech dekaobrotów nie wolno brać do rąk żadnej ostrej broni. W czasie obowiązywania amnestii macie oddawać taką broń tytaniom. Funkcje policyjne przekażę najszybciej, jak to będzie możliwe, ludziom. W tym czasie posiadanie miecza lub noża będzie uważane za przestępstwo, karane śmiercią. Zdaję sobie sprawę z trudności, na jakie skazuję tych, którzy używają noży do innych celów, ale podkreślam: każdy, kto zachowa swój nóż, zostanie rozstrzelany.

Na razie... mam wam niewiele dobrego do zaoferowania. Sądzę, że na dłuższą metę większość z was doceni to, co robię dzisiaj. Jedyne wyzyskiwacze, handlarze żywym towarem i mordercy nigdy nie odzyskają swych obecnych pozycji. Reszta z was skorzysta z bezpieczeństwa i zalet zorganizowanego ludzkiego społeczeństwa.

Żądam, by w ciągu najbliższych dziesięciu godzin w budynku znanym jako Pętla

stawiały się niżej wymienione osoby. Wszyscy, którzy się nie stawiają, zostaną rozstrzelani po upływie tego czasu.

Ciocco odczytała z pomocą Conala skompilowaną listę zawierającą dwadzieścia pięć nazwisk najbardziej wpływowych przywódców mafii, tajnych stowarzyszeń i gangów.

powtórzyła to oświadczenie po francusku i potem jeszcze raz swoim kulawym

rosyjskim. Następnie oddała mikrofon członkini Wolnych Kobiet, która odczytała je po chińsku. W kolejce czekało jeszcze kilkunastu tłumaczy znalezionych wśród ludzi i tytani.

Ciocco miała nadzieję, że przesłanie dotrze do każdego nowego obywatela Bellinzony.

Gdy wreszcie została sama, poczuła się zupełnie wypompowana. Pracowała bez

wytchnienia nad tym przemówieniem, ale nie potrafiła sprawić, żeby brzmiało dobrze.

Wydawało jej się, że powinno zawierać jakieś dźwięczne deklaracje. Życie, wolność i może jeszcze powszechne szczęście. Jednakże po dłuższym namyśle stwierdziła, że w nic nie wierzy równie mocno, jak w duże P symbolizujące "Prawo". Czy jakikolwiek śmiertelnik mógł sobie rościć Prawo do Życia?

Tak więc znalazła oparcie w pragmatyzmie. Służył jej całkiem nieźle podczas jej

długiego i pragmatycznego życia. Tak to właśnie jest, wy biedni, głupi naiwniacy. Wejdźcie mi tylko w drogę, to was zdepczę - pomyślała.

Mimo że miała jak najlepsze motywy, czuła pewien niesmak - a zresztą wcale nie była ich taka pewna.

Życia w Bellinzonie z pewnością nie można było nazwać nudnym. Wszędzie czaiła się

gwałtowna śmierć i uderzała bez ostrzeżenia. Dla tych, którzy mieli najlepsze powiązania, było to życie co najwyżej wygodne, a na pewno nerwowe. Nikt nigdy nie wiedział, czy przegrana jego szefa nie oznacza kresu starannych przygotowań do łatwego życia. Jednakże to i tak było lepsze niż należenie do bezimiennej masy. Dla niej Bellinzona stanowiła swoiste piekło. Nie tylko stale groziło niebezpieczeństwo stania się niewolnikiem, ale większość nie miała nic do roboty.

Oczywiście zawsze trzeba było dbać o przetrwanie. To dawało ludziom zajęcie. Nie

przypominało to jednak pracy na posadzie. Nie przypominało to również uprawiania

własnego albo nawet cudzego poletka. Każdy sąsiad był obowiązany do posłuszeństwa

względem jakiegoś Szefa, Shoguna, Dziedzica, Capo... jakiejś lokalnej Grubej Ryby. W

przypadku kobiet, wyjąwszy te, którym udało się przyłączyć do Wolnych Kobiet, wyglądało to jeszcze gorzej. Gwałtownie szerzyło się niewolnictwo kobiet, bardziej powszechne niż w przypadku mężczyzn, których wykorzystywano do niewolniczej pracy. Było to staromodne niewolnictwo seksualne. Kobiety kupowano i sprzedawano dziesięć razy częściej niż mężczyzn.

A kiedy czyjaś przydatność dobiegała końca, czekała go rzeźnia.

Zasadniczo ludzi dość rzadko zabijano w celach spożywczych. Bywały takie przypadki, ale dzięki mannie i szefom istniała w tym względzie spora kontrola. Niemniej jednak z powodu powszechnego braku mięsa wiele ciał przeznaczonych na komunalny stos pogrzebowy wędrowało na hak, pod nóż i do rondla.

Wielkim problemem była nuda. To ona prowokowała przestępstwa - bezsensowne i przypadkowe - tak jakby w Bellinzonie trzeba było szukać dodatkowych motywów zbrodni.

Stwierdzenie, że sytuacja w Bellinzonie dojrzała do zmian, było chyba dobrze uprawomocnione. Konieczne były zmiany generalne.

Kiedy więc miękkołot przeleciał ponad miastem, wszystko nagle zamarło.

Bellinzończycy widywali już z daleka miękkołoty. Wiedzieli, że są duże, ale mało kto zdawał sobie sprawę, że są również inteligentne. Większość zauważyła natomiast, że miękkołoty nigdy nie zbliżają się do miasta z powodu płonących w nich ognisk.

Gwizdek najwyraźniej się nimi nie przejmował. Leniwie dopłynął do miasta, tak jakby to robił codziennie, i rozpostarł swój ogromny cień od Moralnego Bagna aż do Końcowych Nabrzeży. Był prawie tak duży jak cała Zatoka Peppermint. Potem zawisł nieruchomo. Był to największy obiekt, jaki mieszkańcy miasta dotychczas widzieli. Jego monstrualne zadnie płetwy poruszały się ospale, utrzymując go ponad centrum.

Już samo to wystarczyło, aby zatrzymać wszelki ruch uliczny. A co dopiero, gdy w jego boku pojawiła się twarz i zaczęła wygłaszać jakieś zdumiewające rzeczy.

Dwanaście

Dwadzieścia obrotów po przejściu władzy Cirocco żałowała, że nie zostawiła

Bellinzony w spokoju. Spodziewała się sporów, ale to nie zmieniało faktu, że spory ją nudziły. Wzdychała i słuchała. W tym momencie najlepiej byłoby, gdyby ci którzy jak miała nadzieję, zechcą zostać jej sojusznikami, zaakceptowali prosty fakt, wtedy nie musiałyby robić takich demonstracji jak ta, która okazała się tak skuteczna w przypadku Maleskiego.



Tak jak się spodziewała, potrzebne były kolejne demonstracje siły. Z dwudziestu

pięciu, których wymieniła, osiemnastu już nie żyło. Siedmiu stawilo się bez broni, aby złożyć hołd nowemu Szefowi. Wiedziała diablo dobrze, że nie może powierzyć żadnemu z nich nawet zwykłego spinacza do papieru, ale najlepiej było pozwolić, by się zatopili we własnej chciwości, zabawili w konspirację, a następnie wieszać ich po prawidłowym procesie.

Śledztwo zawsze mogło wykazać czyjąś niewinność.

Tak więc, w pewnym sensie, źli faceci nie stanowili problemu. Jak zwykle to dobrzy faceci powodowali stały ból głowy.

—  
Nie możemy i nie oddamy naszej enklawy - powiedziała Trini. - Nie zagładałaś tu

często, Cirocco. Nie wiesz, co tu się działo. Nie możesz pojąć, jak było i nadal jest źle kobiecie, która próbuje żyć w Bellinzonie. Niektóre z naszych kobiet były zmuszone do...

Och, Cirocco, płakałabyś! Gwałt jest przy tym niczym. Musimy pozostać oddzielone.

—  
A my nie oddamy naszej broni - oświadczył Stuart. Stuart był przedstawicielem

Straży Obywatelskiej, który przybył w odpowiedzi na wezwanie Cirocco, tak jak Trini przybyła tu jako starsza Wolnych Kobiet. - Mówiłaś o prawie i porządku. Od siedmiu lat my byliśmy jedynym ugrupowaniem, które usiłowało bronić wszystkich przyzwoitych ludzi na Gai. - I tu spojrział spoode łba na Trini, która odwzajemniła się równie ponurym spojrzeniem. -

Zawsze chcieliśmy i nadal chcemy bronić nawet tych, którzy nie należą do naszej organizacji, pod warunkiem, że mamy dostateczną ilość ludzi i broni. Nie twierdzimy, że dzięki nam ulice stały się bezpieczne. Jednakże naszym celem zawsze była uczciwość.

Cirocco patrzyła to na jedno, to na drugie. o dziwo, obojgu wystarczyły dwie minuty na podsumowanie swoich stanowisk. Najprawdopodobniej żadne z nich już nie pamiętało, że przez dziesięć godzin kłócili się i obrzucali wyzwiskami, nie mówiąc przy tym o wiele więcej niż teraz.

W każdym razie przymknęli się na chwilę i spoglądali z niepokojem na Cirocco.

- Obydwoje mi się podobacie - powiedziała cicho Cirocco. - Byłoby mi przykro, gdybym musiała kazać zabić któreś z was.

Żadne z nich ani drgnęło, ale ich oczy zrobiły się martwe.

- Stuart, ty i ja wiemy, że moja polityka odnośnie do broni nie może obowiązywać

zbyt długo. Mam dzięki niej jednak trochę czasu i zamierzam z niego jak najlepiej skorzystać.

Kontroluję cały arsenał Bellinzony. Jest tu wszędzie mnóstwo broni. Mam zamiar zagarnąć ją w całości, nawet gdyby to wymagało przeczesania wszystkich domów. Wytwarzanie

prawdziwej broni jest niemożliwe przy obecnym poziomie technicznym Bellinzony i tak będzie jeszcze przez jakiś czas. Wy jednak możecie i będziecie wyrabiać noże, miecze, łuki, strzały, maczugi... i tak dalej.

Mam zamiar wykorzystać ten krótki czas, kiedy wszyscy zostali rozbrojeni, aby... aby ludzie mogli wreszcie swobodnie odetchnąć. Będzie to wymagało kolejnych egzekucji w ciągu następnych kilku dni, ale to tytanie będą zabijały ludzi. Jeśli jakiś człowiek zabije drugiego człowieka, egzekucja odbędzie się szybko i publicznie. Chcę, żeby ludzie to zobaczyli. Moim celem jest założenie wspólnoty społecznej, a zaczynam praktycznie od zera.

Mam przewagę w postaci znaczniejszej siły i wiedzy, a poza tym większość tych ludzi pochodzi ze społeczeństw, które przed wojną przestrzegały prawa. Wkrótce sobie przypomną, jak to działa.

—

Próbujesz stworzyć tu raj, czy co? - zakpił Stuart.

—

Ależ skąd. Mam niewiele złudzeń, co do najbliższej przyszłości. Będzie brutalna i niesprawiedliwa. Ale już jest lepiej niż przed dwudziestoma obrotami.

—

Dwadzieścia obrotów wcześniej czułam się bezpieczniejsza - oświadczyła Trini.

—

To dlatego, że mieszkałaś w twierdzy skrytej za wysokimi murami. Nie dziwię ci

się, na twoim miejscu zrobiłabym to samo. Ale muszę zburzyć te mury. I nie mogę pozwolić, żeby wło'czyli się tu strażnicy z mieczami, dopo'ki nie dowiem się o nich czegoś więcej. -

Zwróciła się znowu do Trini. - Mam wam do zaoferowania kilka rzeczy. Po rozbrojeniu zamierzam wyznaczyć jakiś okres czasu, prawdopodobnie około jednego myriaobrotu, w trakcie którego jedynie policji wolno będzie nosić miecze i pałki. I tylko kobietom będzie wolno nosić noże.

—

To niesprawiedliwe! - krzyknął Stuart.

—  
Masz cholerną rację, to niesprawiedliwe - ciągnęła Cirocco. - To również

niesprawiedliwe, że tyle kobiet, które tu przybywały po wojnie, jakieś włochate draby ogłuszały i wlokły na publiczne aukcje.

Trini wyglądała na zainteresowaną, ale wciąż miała wątpliwości.

—  
Niektóre kobiety zginą - zauważyła. - Większość z nich nie wie, jak się posługiwać nożem.

—  
Niektóre zginęły wczoraj, ponieważ go nie miały - odparła Cirocco.

Trini nadal miała wątpliwości. Cirocco zwróciła się do Stuarta.

- Jeśli chodzi o twoich Strażników... Będziemy potrzebowali ludzi do utworzenia policji po tym wstępnym okresie.

Mam zamiar preferować Strażników. - Uzbrojonych w kije? - spytał.

—  
Zdaje się, że nie doceniasz pałki.

—  
A więc moi ludzie będą podchodzić do różnych gości i przeszukiwać ich, tak? A co się stanie, jak taki gość wyciągnie nóż?

—  
To będzie zależało od umiejętności waszych ludzi. Gość równie dobrze może od nich oberwać.

Dała im czas na zastanowienie. Poczowała wielką pokusę powiedzieć prosto z mostu: nie macie wyboru. Ale oni to wiedzieli. Lepiej, żeby im się to spodobało, przynajmniej częściowo.

—  
To znaczy, że będą prawa i sądy? - spytał Stuart.

—  
Na razie nie. Już zrobiłam szkic praw dotyczących niewolnictwa i morderstwa. Na razie będą stosowane w przypadku popełnianych przestępstw, przy czym tytanie będą pełniły rolę sędziów. Wkrótce opracujemy kodeksy i formalne zasady aresztowania i rozprawy sądowej.

—  
Lepiej bym się poczuła, gdyby już teraz istniały jakieś prawa i sądy - zauważyła

Trini.

Ciocco spojrzała na nią przelotnie. Nie wspomniała, że istnieje jeszcze bardziej

brutalna możliwość, nad którą się zastanawiała od jakiegoś czasu i jeszcze jej całkowicie nie wyeliminowała. Nazywała to Rozwiązaniem Conala. Tytanie mogłyby wydawać wyroki i

Ciocco ufałaby im całkowicie. Jeśli twierdziły, że tego czy innego człowieka należy zabić, to wiedziała, że na pewno mają rację. Nie ulegało wątpliwości, że to wszystko przyspieszyłoby i ułatwiło sprawy.

Nie wiedziała nawet, czy tak nie byłoby lepiej. Ciocco wierzyła w dobro i zło, ale słuszność lub jej brak były czymś zupełnie innym. Trini tęskniła za sankcjami prawnymi, ponieważ wychowała się wśród nich. W przypadku Ciocco było tak samo i dlatego wierzyła, że są one absolutnie niezbędne, jeśli ludzie mieli żyć razem. Nie wielbiła ich jednak tak bardzo. Nie miała wątpliwości, że wrodzony talent tytanii do wyczuwania zła w ludziach jest lepszy niż wyrok wydany przez sąd złożony z dwunastu przedstawicieli gatunku homo

sapiens.

Nie była jednak pewna tego rozwiązania. Dlatego zdecydowała się na bardziej

zmudną drogę.

- W końcu będziemy mieli prawa i sądy - powiedziała Ciocco. - Prawdopodobnie za

jakiś czas doczekamy się też adwokatów. Ale wszystko zależy od was.

Trini i Stuart popatrzyli na siebie.

—  
To znaczy od nas dwojga? - spytał Stuart. - Czy od wszystkich obywateli?  
—

Od was dwojga też to zależy. Jeśli wasza współpraca ze niną potrwa przez jakiś czas, wówczas będziecie się doskonale nadawali na przejęcie rządu, kiedy stąd odejdę.

—  
Odejdiesz? - spytała Trini. - Kiedy to nastąpi?

—  
Najszybciej, jak się da. Nie robię tego wszystkiego z wyboru. Robię to, bo jestem jedynym człowiekiem, który może to zrobić, a także... z powodów, które na razie nie powinny was interesować. Nigdy nie czułam w sobie powołania do rządzenia. Sądzę, że to niezłe urwanie głowy.

Stuart coraz bardziej zatapiał się we własnych myślach. Cirocco pomyślała, że jej pierwotna ocena tego człowieka okazała się właściwa. Był żądny władzy. Ciekawiło ją, jak wysoką funkcję sprawował przed wojną. Nie miała wątpliwości, że pracował w jakimś rządzie, choć go o to nie pytała.

Trini miała ten sam odruch, choć przejawił się nieco inaczej. Cirocco знаła ją od dwudziestu lat. Dopiero podczas ostatnich siedmiu ujawniły się skrywane perwersje Trini.

Zważywszy wszystko razem, radziła sobie z nimi całkiem niezłe. To ona założyła ruch Wolnych Kobiet i teraz funkcjonowała wśród nich jako spiritus movens. Zasadniczo była też dobrym człowiekiem. Cirocco nie potrzebowała żadnej tytanii, aby to stwierdzić.

Podobnie było ze Stuartem. Jednak Cirocco tak naprawdę nie lubiła żadnego z nich.

Czuła, że chęć przewodzenia dużymi grupami ludzi wcale nie musi być czymś dobrym, ale wiedziała, że tacy ludzie muszą istnieć. W razie potrzeby potrafiła dać sobie z nimi radę.

—  
Jaki rodzaj rządu przewidujesz? - spytał ostrożnie Stuart. - Zniosłaś własność prywatną. Jesteś komunistką?

—  
Tymczasowo jestem absolutnym dyktatorem. Robię rzeczy, które moim zdaniem muszą być zrobione, zgodnie z planem, jaki starannie opracowałam. Zniosłam własność prywatną, ponieważ Bellinzona jest obiektem zastanym. Najbardziej wpływowi ludzie

mieszkają w największych budynkach. Najbiedniejsi nie mają nawet ubrań. Tak się stało, ponieważ kiedy tu przybyli, nie działało żadne prawo. Rozwiązanie, do jakiego doszłam, to, po pierwsze, zniesienie niewolnictwa i, po drugie, odebranie wszelkich nieproporcjonalnie wielkich bogactw, do jakich doszli najbardziej bezlitośni obywatele tylko dzięki temu, że są sukinsynami. To jest jeden z elementów tego urwania głowy, o którym wspominałam. Na razie to ja jestem właścicielką miasta Bellinzona. Ale nie chcę ani nie potrzebuję go. Mam zamiar zwrócić ludziom budynki, pomieszczenia i łodzie... ale chcę zrobić to sprawiedliwie.

Wielu z nich ciężko pracowało. Zbudowali na przykład łodzie. A ja je wszystkie ukradłam.

Jedną z rzeczy, w jakiej wy dwoje, mam nadzieję, mi pomożecie, będzie zorganizowanie jakiejś instytucji do zbadania roszczeń wobec własności osobistej, posiadłości i mieszkań.

Tak więc istotnie jestem na razie jakby komunistką. Sądzę jednak, że to się zmieni.

—  
Dlaczego tym wszystkim nie miałyby się zająć państwo? - spytała Trini.

—  
To znowu zależy od was. Odradzam coś takiego. Myślę, że staniecie się bardziej popularni i będzie wam się swobodniej spało, jeśli będziecie bardziej sprawiedliwi niż państwo. Ale może jest to tylko moje uprzedzenie. Przyznaję, że mam pociąg do własności prywatnej i demokracji. Tak się wychowałam. Wiem jednak, że istnieją też inne teorie.

Obserwowała znowu Stuarda i Trini, przyglądających się sobie badawczo. Ta para kiedyś będzie wiele znaczyć - stwierdziła.

—  
Na razie - kontynuowała - czekam na odpowiedź. Czy możecie pracować ze mną, wiedząc, że moje decyzje są ostateczne?

—  
Skoro są ostateczne, to po co nas potrzebujesz?

—  
Potrzebuję waszej rady w ich podejmowaniu. Krytyki, jeśli uznacie, że decyzja była zła. Nie myślcie jednak, że macie jakiś głos.

—  
Czy mamy w ogóle jakiś wybór? - spytała Trini.

—  
Tak. Nie zabiję was. Jeśli odmówicie, odeślę was do domu i ściągnę tu inną Wolną

Kobietę i będę to robiła tak długo, aż znajdę taką, która będzie ze mną pracowała na rzecz włączenia Wolnych Kobiet z powrotem do społeczeństwa. Wiesz dobrze, że ktoś to w końcu zrobi.

—  
Tak, wiem o tym. Równie dobrze mogę to być ja. Stuart podniósł wzrok.

—  
Ja? Pewnie. Zacznę od razu, mówiąc ci, że nakazanie tytaniom zabijania ludzi, to był poważny błąd. To się przyczyni do powstania uprzedzeń rasowych.

- To szansa, z której chętnie skorzystam. Tytanie mogą bronić się same. Jeśli

ktokolwiek jest tu zagrożony, to jest nim rasa ludzka, a nie tytanie. Jeśli niczego nie uda się ostatecznie załatwić, będą bez oporów zabijały was wszystkich, mężczyzn, kobiety i dzieci.

Stuart wyglądał na zaskoczonego, a potem się zamyślił. Cirocco nie była zdziwiona.

Nawet siedem lat życia w Bel-linzone nie podważyło jego antropocentrycznego przekonania, że ludzie zapanują ostatecznie nad innymi gatunkami, tak jak tego dokonali na Ziemi. Teraz właśnie docierało do niego, że może się stać inaczej. Nie był tym zachwycony.

Miało wydarzyć się jeszcze mnóstwo innych rzeczy, które mu się nie spodobają.

Trzynaście

Rocky nie lubił obowiązków policyjnych. Nie on jeden zresztą - żadna z tytanii ich nie lubiła. Kapitan jednak zapewniła je wszystkie jak najuroczyściej, że to jedyny sposób na odzyskanie Dzieciątka, więc posłusznie przeprowadzał obchód.

To były interesujące czasy.

Pierwszego dnia uczestniczył w obławie na kwaterę Szefa, po której zostało trzystu zabitych, wliczając w to jedną tytanie, której strzała przebiła głowę. Sam Rocky został

raniony strzałą w lewą część zadu, niezbyt poważnie, ale za to boleśnie. Nadal oszczędzał tę nogę.

Nie była to najpoważniejsza z obław. Jeden z Szefów bronił się przez prawie sto

obrotów. Tytanie oblegały budynek i wzniosły dookoła niego ogniska, aby żar zmusił go do jego opuszczenia. Ostatecznie oddziały Szefa wystawiły ludzką głowę za drzwi i poddały się.

W tej akcji zginęły trzy tytanie.

W sumie Rocky wiedział o śmierci kilkunastu tytanii. Ofiary w ludziach liczyły się w tysiącach, ale większość z nich zginęła podczas pierwszych czterdziestu obrotów, a potem podczas krótkiego zrywu, gdy policja rozpoczęła akcję rozbijania. Do tej pory wszystkie gangi zostały rozbite. Ludzie przyglądali się Rocky'emu podejrzliwie i ze strachem, ale na razie nikt nie ośmielił się podnieść na niego ręki.

Tak więc kroczył w swoim normalnym tempie i szukał kłopotów, choć miał nadzieję, że żadnego nie znajdzie. Schowany do pochwy miecz obijał się o jego lewą przednią nogę.

Od czasu do czasu mijał człowieka należącego do tego typu ludzi, których Cirocco nazywała szaleńcami, ale Rocky uważał, że po prostu oni mają robaki w głowie. Wszyscy wiedzieli, że ludzie są szaleni, ale na ogół była to wspaniała cecha. Istniała jednak wśród nich pewna całkiem odmienna mniejszość. Rocky znał takie angielskie słowo "psychopata", ale nie wyczuwał w nim żadnej niezwykłości. Wiedział, że tych, do których to określenie pasowało, powinien zabijać na miejscu, ponieważ w ich przypadku pytanie dotyczyło nie tego, czy powinni być zabici, tylko kiedy.

Kapitan jednak powiedziała, że nie należy nikogo zabijać, jeśli nie zostanie przyłapany na "gorącym uczynku", jak się wyraziła, czyli przy popełnianiu zbrodni morderstwa.

Właściwie to nawet był z tego zadowolony. Dostyc się napatrzył na zabijanie. Niech ludzie sami zabijają własne pomyłki.

Rocky wolał myśleć o bardziej przyjemnych rzeczach. Uśmiechnął się, zaskakując tym jakąś kobietę, która - po krótkim wahaniu - odwzajemniła uśmiech. Rocky skłonił się w jej stronę swym śmiesznym kapeluszem, po czym podrapał się pod koszulą. Ubrania

potwornie go męczyły. Czasami nawet Kapitan miała humory, pomimo swojego szaleństwa.

Założyć mundury, powiedziała, więc Rocky się ubrał, ale cały czas musiał się drapać.

Usłyszał w myślach niewyraźne, rozmyte myśli Tambury i znowu się uśmiechnął.

Tambura była jego embrionalną córką. Valiha przechowywała przez jakiś czas częściowo zapłodnione jajo, czekając na odpowiednią porę, by mogła się nim zająć



Czarodziejka.

Ciocco udzieliła jej zgody i na jeden dekaobrót przed inwazją na Bellinzone Serpent przyspieszył jajo w łonie Rocky'go. I tam zagnieździło się w swym trzecim dekaobrocie życia. Aktualnie Tambura była zaledwie mikroskopijną smuzką dzielących się komórek, z mózgiem wielkości orzecha laskowego - mózgiem, który był niegdyś jajem Valihy. W

strukturze krystalicznego jaja znajdowały się molekularne kratki zorganizowane zupełnie inaczej niż struktury ludzkiego mózgu. Umiejętność śpiewania była już zaprogramowana, a poza tym umysł Tambury zawierał wiele rzeczy, których Valiha nauczyła się w swoim życiu, łącznie z językiem angielskim. Były tam też wspomnienia z życia Valihy, a także wszystkich jej zadnich matek sięgając aż do przedniej matki Akordu Madrygał, Violone. Przedni i zadni ojcowie odgrywali pośledniejszą rolę wśród tych wspomnień, które były jedyną formą nieśmiertelności znaną tytaniom.

Rocky starał się nie być szowinistą, ale odnosił wrażenie, że jest to system bardziej litościwy od szaleńczej natury ludzkiej genetyki. Droga ludzkiego rozwoju była istnym horrorem: najpierw brak zdolności adaptacyjnych, potem chłodna bezlitosność przypadku i obłąkanie, nie kończąca się produkcja tworów, którym świat nie dawał najmniejszej szansy na przetrwanie, mimo iż wcale na to nie zasłużyły. W najlepszych czasach człowiek stanowił

serię kompromisów między genami recesywnymi i dominującymi. I wydawało się, że jedyne racjonalne odruchy w ich infantylnych mózgach pochodziły od drapieżnych zwierząt, które mieszkaly na drzewach, zanim jeszcze Gaja zaczęła się obracać.

Dla Rocky'ego wszystko to wyjaśniało raka, jakim była Bellinzona.

Tytanie dostawały surowe, gruntowne i praktyczne wykształcenie od swych przednich

matek, gdy jeszcze były jajami w ich łonach, długo przed nabyciem świadomości. Maszy-nopodobne struktury w rozwijającym się jaju odfiltrowywały z przedniego nasienia

informacje i cechy, które mogły się okazać użyteczne, przeprowadzały testy symulacyjne, odrzucały to, co nie działało, i potem twardniały w postaci potencjału. Jajo nie przyjmowało DNA na łapucapu, mieszając złe z dobrym, lecz rozdzierało je na kawałki, oceniało i wykorzystywało przydatne części.

Embrion tytanii brał wszystkie praktyczne i historyczne elementy od przedniej matki, natomiast całą resztę od matki zadniej. Rocky zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest w tym przypadku niesprawiedliwy - jako że sam był w ciąży - ale wydawało mu się, że te części są najważniejsze.

Tambura była żywa, świadoma i cały czas porozumiewała się z Rockym. Nie było to

porozumienie słowne, choć znała znaczenia słów, ani też muzyczne, mimo iż spędzała wiele czasu na wyśpiewywaniu dziwacznych pieśni w łonie Rocky'ego. Podczas gdy jej zewnętrzny mózg rósł na podobieństwo ludzkiego, dzięki cybernetycznemu jaju w rdzeniu Rocky

zapełniał rozwijające się warstwy swoją miłością, pieśnią... i duszą.

Z wielu powodów cięża dla tytania była najlepszą częścią życia.

Rocky przerwał kontakt ze swoją córką, kiedy wywęszył akt przemocy. Wyczuwał zmiany w powietrzu. Ostatnimi czasy zdarzało mu się to bardzo często.

Spojrzał przed siebie i wypatrzył jej źródło. Poczuł zmęczenie i zastanowił się, w jaki sposób gliniarze-ludzie wykonywali kiedyś swoje obowiązki. Sytuacje wprawdzie dawały się przewidzieć, ale jednak każda z nich była niebezpiecznie odmienna.

Wyjął ze swej sakwy pistolet i sprawdził magazynek. Była to broń całkowicie inna od tej, którą niechętnie posługiwał się tamtego dnia przed tyloma obrotami, kiedy przybył do Bellinzony, aby wspomagać swego Kapitana. Była to broń dwudziestego drugiego wieku, która została zaprojektowana i wykonana na zamówienie, przystosowana do gajańskich warunków. Zasadniczo nie różniła się od tradycyjnego modelu, tyle że skonstruowano ją z innego materiału. Pistolet Rocky'ego nie zawierał ani jednej metalowej części. Wyglądał jak długa i wąska kartonowa rurka z rękojeścią. Ze środka węglowo-ceramicznej lufy wystawały krótkie wypustki, które w chwili gdy z pistoletu padał strzał, jarzyły się jaskrawa czerwienią.

Rękojeść - zbyt mała, by pasować do dłoni Rocky'ego - mieściła czterdzieści małych rakietek powlekanych ołowiem, pocisk był uwalniany z lufy w ślimaczym tempie, po czym nabierał gwałtownego przyspieszenia, przekraczając barierę dźwięku w odległości metra od wylotu lufy.

Była to niesamowita broń, lecz Rocky jej nienawidził. Począwszy od uczucia, jakie

nim powodowała, gdy ją trzymał w sakwie, a skończywszy na potwornych efektach jej

dokładności, była to zła rzecz od początku do końca. Miał nadzieję, że nadejdzie kiedyś taki dzień, gdy takie przedmioty znikną z całej Gai.

Na razie jednak zbliżał się do rozkrzyczanych ludzi.

Jakiś mężczyzna chwycił kobietę za ramię i włókł ją za sobą, podczas gdy ta obrzucała go obelgami. On zaś odwzajemniał wszystkie zniewagi. W ślad za tą parą szło zapłakane dziecko. Wokół nich zebrała się grupka gapiów, ale nikt nie interweniował. Rocky widywał

już podobne sytuacje.

Kiedy był już blisko, mężczyzna - który najwyraźniej nie zauważył Rocky'ego -

zatrzymał się wreszcie i uderzył kobietę pięścią. Uderzył ją po raz drugi i trzeci... a potem obydwójce zauważyli, że stoi obok nich tytania z bronią wycelowaną w ich stronę.

—  
Puść ją natychmiast - powiedział Rocky.

—  
Słuchaj, nie chciałem...

Rocky uderzył go lekko w głowę, w miejsce, w którym - jak go nauczono -

powodowało to później najślabsze skutki uboczne, i mężczyzna zwałił się na ziemię. Kobieta, czego Rocky niejasno się spodziewał, uklękła szybko przy leżącym, przytuliła do piersi jego głowę i zaczęła płakać.

—  
Nie zabieraj go! - zaszlochała. - To była moja wina.

—  
Wstań - rozkazał jej Rocky. Kiedy nie usłuchała, podźwignął ją. Nie miała na sobie niczego, w czym mogłaby ukryć broń. Sięgnął do swej torby przy siodle i wyciągnął krótki stalowy nóż, nazwany już przez Bellinzończyków "zdzierakiem".

—  
Radzę ci nosić to zawsze przy sobie - powiedział.

—  
Nie chcę. Nie potrzebuję noża.

—  
Twoja sprawa. - Rocky cofnął się trochę. - Dzisiaj nic ci się nie stało. Podczas

następnego hektoobrotu staniesz się ofiarą przemocy, jeśli nie będziesz uzbrojona. Karą będzie jeden kiloobrót w obozie pracy za zbrodnię główną. Sprawdź na tablicach ogłoszeń, jeśli chcesz poznać szczegóły, ponieważ niewiedza nie będzie uznawana za wytłumaczenie.

—  
Jeśli nie umiesz czytać, tłumacz...

Zaczęła go niezręcznie okładać pięściami. Spodziewał się tego. Chciał mieć świadków i chciał, żeby go uderzyła, głównie dlatego, że nie podobał mu się pomysł pozostawiania z nią zapłakanego dziecka. Pozwolił jej zadać kilka ciosów, a potem ją ogłuszył.

—  
Napad na oficera policji - poinformował otaczających ich ludzi i nikt nie wyraził

sprzeciwu. Dziecko zaczęło płakać jeszcze głośniejsze. Rocky uważał, że ma około ośmiu lat, ale mógł

się mylić. Tytanie nie najlepiej sobie radziły z oceną wieku ludzkich dzieci.

—

Czy ta kobieta jest twoją matką? - spytał dziecko, które było zbyt przerażone, by usłyszeć pytanie. Rocky znowu spojrział w stronę tłumu.

—

Czy ktoś wie, czy to jest matka tego dziecka? Jakiś mężczyzna wystąpił naprzód.

Tak, to jej dzieciak, a przynajmniej ona tak mówi. Całkiem możliwe, że była jego

naturalną matką. Rocky podejrzewał to, bo nie wyglądała na kobietę, która zaadoptowałaaby którąś z niezliczonych sierot Bellinzony.

- Czy jest ktoś w tej społeczności, kto zechce przyjąć za niego odpowiedzialność? - To kpina, a nie społeczność, pomyślał Rocky. A jednak taka była zalecana procedura i Cirocco utrzymywała, że te podstawowe społeczności będą się rozwijać. - Jeśli nie, zabieram go do społecznej ochronki, gdzie dostanie opiekę, dopóki jego matka nie wróci z obozu pracy.

O dziwo, do przodu wystąpił jakiś człowiek.

—

Ja go wezmę - oświadczył.

—

Sir - zaczął Rocky. - Pańskie obowiązki w tej sytuacji...

—

Znam je. Czytam uważnie te cholerne tablice ogłoszeń. Wy się zajmijcie tą parą, a ja dopatrzę, by dzieciak miał gdzie spać.

—

W słowach mężczyzny dało się wyczuć gniew, a nawet bunt. Ludzie sami zajmą się

sobą, taka była implikacja. Jednakże towarzyszyła temu również skąpa pochwała. Rocky'emu pasowało i jedno, i drugie. Miał prawo podejmować natychmiastowe decyzje odnośnie do takich spraw i stwierdził, że chłopcu będzie dobrze pod opieką tego mężczyzny.

Związał więc więźniów, zarzucił ich sobie na grzbiet i ruszył w stronę więzienia. Po drodze do jego umysłu ponownie wtargnęła Tambura.

- Mamo, co boli? - Pytanie Tambury było znacznie prostsze i jednocześnie bardziej

złożone niż angielskie tłumaczenie. Matka, na przykład, była wielkim uproszczeniem tytanijskiego rzeczownika użytego przez Tamburę. Samo pytanie zaś zostało wyrażone w formie fali emocji.

Wydarzenia. Stosunki interpersonalne i intergatunkowe. Życie.

Matko, czy muszę się narodzić?

Będziesz kochać życie, moje dziecko. Prawie zawsze.

Czternaście

Od czasu przejścia władzy w Bellinzone Nova była cza-rownicą-mającą-trzy-dziury-

i-tylko-dwie-łaty. W jej skafandrze kosmicznym widniało pięć otworów, z których tylko dwa były uszczelnione.

Wydawało się, że Cirocco wcale nie sypia. Nova również prawie doprowadziła się do

takiego stanu. Minęła prawie połowa kiloobrotu od czasu inwazji. Z początku nie miała wiele do roboty z wyjątkiem prowadzenia rejestru zmarłych i rannych. Gdy jednak zaczęto

stosować prawo i wprowadzono spis ludności, jej zakres pracy znacznie się powiększył.

Liczono nie tylko ludzi, lecz również mieszkania i zastanawiano się nad zinwentaryzowaniem wszystkich dawnych posiadłości prywatnych.

Nova kierowała pracą komputerów. Nie da się przeprowadzić rewolucji bez

komputerów - myślała.

Otrzymała tytuł Głównego Biurokraty. Nawet nie wiedziała, co on oznaczał, z

wyjątkiem tego, że zabraniał jej pokazywania się na ulicy z mieczem. Była z tego

zadowolona. Obecnie brała udział w walkach tylko wtedy, gdy już zupełnie nie mogła tego uniknąć.

Pod tym względem ona i Conal mieli wiele wspólnego. Myśl o Conalu zirytowała ją

na moment. Oderwała wzrok od ekranu komputerowego i zaaplikowała sobie kilka ćwiczeń uspokajających.

Po ich powrocie z Pandemonium wybuchła kłótnia. Nova chciała koniecznie wiedzieć,

czy twierdzenia Gai były tylko zwykłą propagandą. Robin niechętnie wyznała jej prawdę.

Nova poinformowała ją, że od tego czasu przestaje się uważać za jej córkę.

Westchnęła i odgarnęła włosy opadające jej na oczy.

Podczas niezliczonych zebrań w Junction jeszcze przed inwazją Cirocco odkryła, że

Novę ciągnie do komputerów. Wyciągnięto więc z lamusa przestarzałe maszyny Chrisa, odkurzone je, podłączono do prądu i przygotowano na wielki dzień. Od tego czasu Nova spędzała niewiele czasu z dala od klawiatur.

Był to, jak przyznawała, interesujący sposób na śledzenie przebiegu rewolucji.

To ona pierwsza zauważyła spadek w liczbie egzekucji wykonywanych w trybie przyspieszonym. Prędzej niż inni wiedziała, że zmniejsza się liczba przyjęć do obozów pracy.

To Nova dostarczyła Czarodziejce pierwszy szacunkowy spis ludności Bellinzony.

Okazało się, że w Bellinzonie mieszka około pół miliona ludzi, który to fakt zadziwił

wszystkich prócz Conala. Maszyny Novy potrafiły wymienić ich wszystkich stosownie do potrzeb, począwszy od narodowości, a skończywszy na wieku, płci, językach, wzroście, wadze i kolorze oczu. Był to niesamowity spis. W jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości miał

posłużyć za podstawę systemu identyfikacyjnego. Nova kierowała stuosobowym personelem, który stale uzupełniał główne dane nowymi informacjami. Wyniki przekazywała Ci-rocco i Radzie Zarządzającej.

Rada wciąż rządziła bardziej symbolicznie niż realnie. Nikt nie miał wątpliwości, że Cirocco jest wciąż dyktatorem.

System ekonomiczny Bellinzony zafascynował Novę, kiedy rozeznała się w nim

lepiej. Był pewien zasadniczy czynnik, który przysparzał Cirocco wiecznych zmartwień.

Nova określiła go Czynnikiem Manny.

Mimo że Gaja nie kontrolowała Dione, panowała nad wiszącą nad nią szprychą. Kiedy

postanowiła kierować uchodźców wojennych z Ziemi do nowego miasta Bellinzona, chciała najwyraźniej zachować wszelką kontrolę nad nimi. Dlatego wynalazła mannę. Jak sama nazwa wskazywała, było to pożywienie, które spadało z nieba. Rosła na miliardach roślin w ciemnościach szprychy Dione i co kilka hektoobrotów lała się na powierzchnię Dione niczym nadmiar przepełnionego rogu obfitości. Manna spadała w postaci kul wielkości orzecha kokosowego doczepionych do maleńkich spadochronów. Mimo tych spadochronów lepiej

było się schować, kiedy padał deszcz manny.

Podobnie jak orzechy kokosowe bryły manny miały twarde skorupy. Nie pękały pod

wpływem uderzenia, ale łatwo dawały się rozłupać. W środku znajdowała się jedna z setki odmian smakowych pożywnego mięsa. Dostarczało ono wszelkich witamin i minerałów,

jakich potrzebuje człowiek, aby pozostać zdrowym. Manna była tak dobra, że spora

większość ludności, która pożywiała się wyłącznie nią, była zdrowsza od tych, którzy uzupełniali swoją dietę kosztownymi i egzotycznymi mięsami oraz jarzynami Dione. Grubi tracili dzięki niej nadwagę. Anemicy zdrowieli po kilku kiloobrotach pożywiania się manną.

Manna leczyła również próchnicę zębów, poprawiała nieświeży oddech, zmniejszała krwotoki menstruacyjne i powstrzymywała łysienie. Naturalnie, oznaką statusu w Bellinzonie była całkowita abstynencja w jej spożywaniu.

Mannę można było przechowywać przez dwa kiloobroty. Wszyscy z wyjątkiem

najmniej przezornych robili jej zapasy, które wystarczały aż do następnych opadów. Garstka tych, którzy tego nie umieli albo nie chcieli robić, zasilila szeregi niewolników, kiedy stawali się głodni.

Oczywiście Gaja daje i Gaja odbiera. Pogoda w Dione była paskudna. Nigdy nie było

zbyt zimno, ale wystarczająco często panowały w niej chłody, by masy bezdomnych drżały przez cały okres popołudniowego snu. I często padało. Tak więc dach nad głową był czymś wartościowym, czymś, co wielu ludzi za wszelką cenę starało się zdobyć. Nie było to łatwe, bo szefowie zagarniali każdy cal, który mogli kontrolować, i wyznaczali bająnskie sumy za prawo do spania pod dachem.

Jednakże oprócz poszukiwania schronienia i robienia zapasów manny co każdy

kiloobrot niewiele trzeba było robić, aby przetrwać w Bellinzonie. Cirocco nazywała ją absolutnym państwem opiekuńczym.

Wiedziała też, że wkrótce po przejęciu przez nią władzy manna przestanie spadać z

nieba. Pytanie brzmiało: kiedy to nastąpi?

Tak więc pierwszym i najważniejszym zadaniem jej administracji stało się

wyżywienie ludności. Był to cel nadrzędny wobec wszystkich innych - nawet prawa i

porządku, należało go osiągnąć za wszelką cenę, bo nie może być nic gorszego niż głodujące miasto.

Cirocco przeraziła się efektami spisu ludności dokonanego przez Novę. Dotychczas

spodziewała się, że będzie musiała wykarmić tylko dwieście czy trzysta tysięcy ludzi.

Niemniej jednak... Moros roił się od jadalnych ryb. Płaskowyzę otaczające Zatokę

Peppermint były żyzne, a plony na Gai zbierało się szybko. Ale żeby cokolwiek zdziałać, konieczny

był pobór do pracy i niektóre z praw opracowano właśnie w tym celu. Aby

urzeczywistnić swe plany, Cirocco musiała zapełnić więzienia, bo raczej nie łudziła się wizją legionów ochotników, które pomaszerują karczować dżunglę i uprawiać pola. Akty przemocy były karane natychmiastową egzekucją: jedna gęba do wyżywienia mniej. Inne przestępstwa przynosiły zaskoczonym obywatelom długi wyrok w obozie pracy. Cirocco była gotowa na każde szaleństwo. Nazwałaby publiczne kichanie przestępstwem, gdyby dzięki temu mogła zapełnić obozy. Na szczęście obywatele Bellin-zony wyświadczyli jej tę grzeczność i na potęgę gwałcili całkowicie słuszny kodeks prawny, co gwarantowało przyszłe dostawy żywności.

Kiedy więc manna przestała spadać, Bellinzona była na to przygotowana.

Piętnaście

Nie bardzo wiedząc, jak do tego doszło, Valiha i Virginał zostały rybaczkami, choć wcześniej żadna z nich nigdy nie zarzucała sieci.

Ludzie, którzy znali się trochę na statkach, przejęli, na mocy dekretów Burmistrza, wszystkie bellinzońskie łodzie, które były w stanie działać coś więcej niż tylko kołysać kotwicą. Podczas ostatniego dekaobrotu flota zaczęła wypływać na morze, a dowodziły nią właśnie Valiha i Virginał.

Ich głównym zadaniem było ostrzeżenie przed łodziami podwodnymi.

Przemysł rybacki mógł się rozwinąć w Belinzonie już o wiele wcześniej, gdyby nie

fakt, że łodzie, które zapuszczały się dalej niż dziesięć kilometrów od wód miejskich, były natychmiast pożerane. Łodzie podwodne miały ogromny apetyt i nie były wybredne.

Kapitan zawarła z nimi rodzaj paktu. Sprawdził się tak dobrze, że nie tylko statki nie były pożerane, ale flota rybacka umawiała się teraz na spotkania z flotyllami łodzi podwodnych i penetrowała morze pełne żywych ławic ryb ostatnio pochłoniętych przez przepastne paszcze podwodnych i potem przez nie zwimiotowanych.

Łodzie podwodne miały swoją pieśń. Valiha i Virginał śpiewały ją, choć jej

znajomość nie była im wrodzona, a wówczas lewiatany wypływały z głębin, aby dzielić się swymi połowami z wygłodniałym miastem.

Można to było uznać za cud.

To właśnie teraz robiły. Valiha stała na dziobie jednej z największych łodzi

bellinzońskiej floty i śpiewała pieśń łodzi podwodnych, podczas gdy w pobliżu tuż pod powierzchnią wody pławilo się ogromne cielsko. W stronę mniejszych statków tryskały wielkie fontanny wody, a oszołomione i zaskoczone ryby na próżno miotły się wśród wzburzonych fal, uciekając przed szczękami łodzi podwodnych tylko po to, by zaraz dać się złapać w sieci.



Widok był niesamowity. Ostatnimi czasy rybacy zaczęli śpiewać własną wersję pieśni łodzi podwodnych, kiedy ciągnęli swoje sieci. Valiha przysłuchiwała się im krytycznie.

Wiedziała, że melodii tej brakuje niuansów pieśni w wykonaniu tytania, ale tak jak w przypadku większości ludzkiej muzyki miała w sobie atrakcyjną dla ucha prostą witalność.

Być może któregoś dnia łodzie podwodne zareagują również na ludzką pieśń. Valiha bardzo na to liczyła, bo nie miała zamiaru przez resztę życia dowodzić flotą.

Na początku były to niespokojne wody. Dzięki zaangażowaniu oddanej morskiej

fauny, dużych zastępów ludzkiej policji i garstki tytania wysłano na morze statek pełen zbuntowanych więźniów. Pierwsze wyprawy przyniosły w efekcie niewiele prócz pęcherzy i obolałych grzbietów. Jednakże ludzka policja była bardzo gorliwa - zdaniem Valihy może nawet za bardzo - i wkrótce wszyscy pracowali tak ciężko, jak to tylko było możliwe. Potem zaczął się rodzić duch wspólnoty. Z początku szło niezwykle powoli. Ostatnio jednak, kiedy Valiha przysłuchiwała się rozmowom na rojnych targach rybnych, wyszło na jaw, że ludzie ci uważają się już za społeczność i to - co ciekawe - lepszą od szczerów lądowych. Policja nie była już tak potrzebna do utrzymywania porządku. Kiedy flota stawiała żagle, ludzie chętnie ciągnęli liny, a na widok ryb słychać było wiwaty. Śpiewano pieśni pożegnania i pieśni powrotu, jak również inspirowane przez tytanie szanty łodzi podwodnych.

Valiha wiedziała, że jest to zjawisko pozytywne. Ostatni deszcz manny opóźnił się o wiele dni, a kiedy już spadł, manna była zbyt zjełczała, by można ją było zjeść.

Bellinzona przeszła na własne utrzymanie.

Szesnaście

To Gaja - powiedział Adam.

- To prawda - potwierdził Chris, najpromienniejszym, jak tylko potrafił. Adam porzucił swoje zabawki i zasiadł przed ekranem telewizyjnym.

Chris dość już się zamartwiał, gdy w starych filmach z Marylin Monroe pojawiała się Gaja. Razem z Adamem oglądali je po kilkanaście razy. Chłopiec był nimi niezłe znudzony.

Jednakże po upływie kilobrotu od tamtego powietrznego pokazu, który tak bardzo zdenerwował Gaję, zdarzyło się coś nowego. Gaja pojawiła się w kreskówce.

Powinien był się tego spodziewać. Pomysł był tak oczywisty, że sam się narzucał.

Chris był jednak odcięty od telewizji przez ponad dwadzieścia lat i całkowicie zapomniał, jakimi możliwościami ona dysponuje.

Najpierw była kreskówka z Betty Boop, w której zastosowano zwykłe zastąpienie

obrazu. Tam, gdzie pierwotnie ukazywała się Betty Boop, występowała Gaja jako

stylizowana, lecz niezbyt trudna do wychwycenia wrysowana Marylin Monroe. Podkład

dźwiękowy nie został zmieniony. Skoro potrafiły to robić komputery na Ziemi, logiczne było, że potrafiła to także Gaja.

Później zaczęła się pojawiać w filmach, o których Chris wiedział, że należą do

ulubionych filmów Adama. Była to bardziej misterna robota, z pełną wymianą całego ciała, uwydatnieniem twarzy i głosem Monroe/Gai. Nie można było wykryć fałszerstwa

stworzonego przez nieuchwytną magię kina i efekty specjalne do n-tej potęgi.

Niezwykle wrażenie robiła Marylin Monroe grająca we “Wścieklej pięści”. Wyglądała

niesamowicie, kiedy zastępowała Bruce’a Lee przy każdym zwodzie jego ciała, każdym groźnym spojrzeniu i skoku. Wszyscy chińscy aktorzy mówili dubbingowanym angielskim, ale Gaja/Lee miała zsynchronizowane ruchy warg. A ponieważ Lee w swoich filmach grał

głównie bez koszuli, więc Gaja robiła to samo. Ponadto było tam wiele scen miłosnych...

Potem nie można już było przewidzieć, czym kolejnym Gaja ich zaskoczy. Chris

obejrzał ją jako Królową Śnieżkę, Char-lie Chaplina, Cary Granta i Indianę Jonesa. Pojawiła się też w starych serialach RKO, które nadawała w rytmie jednego odcinka dziennie.

Telewizja Pandemonium stawała się coraz bardziej okrutna. Nawet komedie zbaczały ostro w stronę ślapsticku.

Chris niewiele mógł na to poradzić. Przewidywanie czegokolwiek niczego nie

ułatwiała. Gaja nadal odbywała swe regularne wizyty. Za każdym razem podchodziła coraz bliżej, ale wciąż stawała daleko. Nie było szansy, że przestraszy chłopca.

Chris mógł tylko kochać to dziecko. Traktował to niezwykle poważnie. Wiedział, że

Adam odwzajemnia jego miłość. Jednakże zdawał sobie też sprawę, że miłość dziecka bywa zmienna. Któregoś dnia dojdzie do odsłonięcia kart. Wtedy wszystko stanie się jasne. Trudno jednak było przewidzieć wynik.

—

Cześć, Gaja - powiedział Adam i pomachał w stronę ekranu.

—

Cześć, Adasiu, mój kochany chłopczyku - powiedziała Gaja.

Chris podniósł wzrok. Gaja na ekranie zatrzymała się i odwróciła od rozgrywającej się za jej plecami akcji. Patrzyła na Adama i uśmiechała się.

Adam wciąż nie rozumiał. Zaśmiał się i znowu powiedział “cześć”.

- Jak ci leci, Adam? - powiedziała Gaja. W tle odbywała się scena walki. Gaja uchyliła się, kiedy w jej stronę poleciało krzesło. - Bach! Omal mnie nie trafił!

Adam roześmiał się jeszcze głośniej.

—

Tłafił! - krzyknął. - Tłafił!

—

Oni nie są w stanie mnie trafić! - przechwalała się Gaja i zrećnie się odwróciła, by zadać potężny cios osiłkowi w czarnym kapeluszu. Ciosy padły zgodnie z kombinacją jeden-dwa-trzy i mężczyzna zwałił się na podłogę. Gaja otrzepała dłonie i znowu wyszczerzyła zęby w stronę Adama.

—

.- Podobało ci się, Adam? - spytała.

- Podobało, podobało! -. śmiał się Adam.

Niech mnie ktoś uratuje - pomyślał oszołomiony Chris.

Siedemnaście

Serpent pędził hałaśliwie przez boisko, wzniecając kopytami tumany torfu. Przednimi nogami toczył zwinnie czarno-białą piłkę. Kopnął ją bokiem kopyta i Mandolina stanęła dęba, aby wykonać główkę w stronę Zampogny, która nie potrafiła jednak przejąć piłki i patrzyła bezradnie, jak Kekese z drużyny Krzyżyków podaje ją Klawesynowi, który z kolei kopnął ją w stronę bramki Bemoli. Serpent nie spuszczał wzroku ze środka pola, kiedy Tjelempang odebrała piłkę i podała ją do Pianina, który zdołał ją przejąć w biegu. Potem odebrał ją na powrót Serpent - rozpędzony jak wichur cztery-ronożny Pele - i pobiegł prosto na bramkarza Krzyżyków, który w rozpaczliwej próbie przewidzenia jego ruchów skoczył w lewo, potem w prawo, znowu w lewo - i niestety znalazł się w złym miejscu, kiedy Serpent podbił piłkę kolanem, nadstawił głowę... i zrezygnował z główki. Bramkarz rzucił się w stronę lewej strony bramki...

...i patrzył bezradnie, jak Serpent obraca się wokół własnej osi i kopie piłkę tylną nogą. Wleciała z hukiem w sam środek siatki.

Prowadzenie Bemoli, cztery do trzech.

Potem wynik został jeszcze poprawiony, gdy do końca meczu brakowało zaledwie

jednego centyobrotu. Mandolina zdobyła swoją pierwszą bramkę, dzięki czemu zwycięstwo było murowane. Serpent zebrał się z pozostałymi, aby pogratulować Mandolinie, która była wciąż nowicjuszem w tym wspaniałym sporcie, jakim jest piłka nożna. Ani razu nie przyszło mu na myśl, że to on, Serpent, zdobył swoją bramkę przewagę. Ponadto zdobył jeszcze dwie poprzednie. Bez wątpienia był najlepszym piłkarzem na Gai.

Jak zwykle po zażartym meczu zziajane jak charty po wyścigach i ociekające potem

tytanie zaczęły radośnie wierzgać. Serpent stopniowo wychwytywał jednak jakiś obcy dźwięk. Na moment się przestraszył. Ten odgłos przypominał mu tamten okropny dzień zamieszek.

Po chwili jednak odkrył, że na liniach bocznych zebrała się grupa pokrzykujących i klaszczących więźniów. Zwykli się tu gromadzić od niedawna i obserwować tytanie. Ta grupa była większa niż zazwyczaj. Serpent uświadomił sobie, że właściwie przybywało ich z dnia na dzień. Czasami po skończonym meczu niektórzy z więźniów wchodzili na boisko, żeby też pokopać piłkę.

Serpent złapał piłkę i wykopał ją daleko w pole. Spadła w sam środek grupy złożonej z samych mężczyzn. Patrzył, jak podają ją między sobą, czekając na odejście tytania.

Był ciekaw, czy chcieliby utworzyć własną drużynę. Ruszył w stronę bocznych linii i obserwował, jak biegają ospale po torfie. Miał wrażenie, że po jednej stronie gra ich dwudziestu albo trzydziestu. Zupełnie im nie przeszkadzało, że cały teren boiska jest pełen wybojów.

Serpent oddalił się zamyślony. Dołączył do innych tytania na wzgórzu położonym po

zachodniej stronie doliny, podwinął nogi, wyjął z sakwy oprawny w skórę szkicownik oraz węgiel drzewny i z ulgą pograżył się w stanie, który wprawdzie nie przypominał tego, co ludzie nazywali snem, ale nie był też stanem pełnego rozbudzenia.

Przyglądał się rozciągającej się przed nim perspektywie. Daleko po jego prawej

stronie, na północy, znajdowała się zatoka Peppermint, a tuż za nią wznosiły się góry Moros.

W najbliższy ich kraniec była wciśnięta Bellinzona, jak zwykle opatulona kocem z mgły.

Widział też Gwizdka, który wisiał na bezpiecznej wysokości trzech kilometrów ponad miastem pełnym groźnych dla niego ognisk.

Przed Serpentem rozciągało się wiele kilometrów ziemi wydartej dżungli.

Nie przypominała ona ziemskiej dżungli, gdzie gleba jest zadziwiająco sypka i niezbyt żyzna po wykarczowaniu drzew. Tereny gajańskie kształtowały inne warunki. Rośliny

uprawne wypuszczały długie korzenie i rosły dzięki pożywnemu mleku Gai oraz jej

podziemnemu ciepłu. Rośliny te mało fotosyntezywały w mętnym świetle Dione, tak więc pola przybierały najrozmaitsze barwy, tworząc jakby jedną ogromną pstrokatą kołdrę.

Wszystkie pola były kwadratowe - z wyjątkiem tych położonych najbliżej rzeki, w których wycięto tarasy, a następnie zalano, by można na nich było hodować ryżopodobne rośliny.

Między tymi kwadratami biegły ścieżki, po których ludzie ciągnęli w stronę rzecznych doków ręczne wózki z zebranymi plonami, a stamtąd barki zabierały je do miasta. Tu i ówdzie pomiędzy polami stały równe rzędy namiotów, w których mieszkali robotnicy.

Cirocco upierała się, by ich nazywać więźniami. Serpent uważał, że bardziej pasuje do nich określenie niewolnicy, ale Girocco twierdziła, że występuje tu pewna różnica, i on wierzył, że tak jest rzeczywiście. Niewolnictwo było pojęciem obcym dla tytanii, więc zakładał, że tylko człowiek jest w stanie połapać się w tej gradacji.

Ponadto istniała tu jeszcze sprawa hierarchii, kolejnego pojęcia, z którym tytanie miały mnóstwo kłopotów. One same miały swoich starszych i mogły być posłuszne

Kapitanowi, ale każda bardziej złożona struktura wprawiała je w zakłopotanie. Obozami pracy na przykład kierował Strażnik, były członek Straży Obywatelskiej, którego Serpent bardzo nie lubił, choć nie był to zły człowiek. Odpowiadał przed Radą działającą w mieście, a szczególnie przed Komitetem do Spraw Więźniów. Radą kierowała Girocco Jones oraz jej doradcy: Robin, Nóva i Conal.

Strażnik z kolei miał pod sobą dwudziestu Szefów Obozu, którzy dla odmiany

wydawali rozkazy parunastu Nadzorcom, z których każdy kierował kilkoma grupami

pracowniczymi wyłaniającymi z siebie najlepiej sprawującego się więźnia.

Zerknął na swój szkicownik. Popatrywał na niego co jakiś czas, kiedy tak siedział, ale jego oczy nie przekazywały żadnych wiadomości do mózgu. Zobaczył, że odtworzył po

prostu rozgrywającą się przed nim scenę. Przyjrzał się jej krytycznie. Pomiął ludzi idących drogą, a linie symbolizujące namioty najbliższego obozu były nierówne. Zmarszczył brwi.

Nie tego poszukiwał jego umysł. Wydarł kartkę, zmiął ją i cisnął na ziemię. Potem

znowu spojrzał na obóz.

Namioty były uszyte z zielonego płótna. W każdym mieszkało dziesięciu ludzi. Na

czas snu dzielono ich ze względu na płeć, ale nie zmuszano ich do abstynencji seksualnej.

Nadzorców i Szefów mianował Strażnik, ale wyboru tego tytanie nie sprawdzały. Serpent wiedział, że praktycznie okazało się to błędem. Niektórzy Nadzorcy i Szefowie byli gorsi od więźniów. Ci, których przyłapano na popełnianiu aktów brutalności, ocknęli się nagle w więziennych przepaskach

na biodrach. Ostatnimi czasy jednak ludzie ci dbali, aby popełniać swe zbrodnie potajemnie. Tytanie nie mogły być wszechobecne.

To było niepraktyczne, nieskuteczne... ale Kapitan stwierdziła, że to musi się w ten sposób odbywać.

Z początku Serpent bardzo się tym gryzł. Później dostrzegł podstęp. Tak właśnie

postępowali ludzie, mimo iż było to potworne. Nie potrafili wykrywać kłamstw albo zła tak jak tytanie, więc szli na kompromisy, które zazwyczaj nazywali "sprawiedliwością" albo, jeszcze dokładniej, "prawem". Serpent wiedział doskonale, że prawda to pojęcie względne, czasami niemożliwe do ustalenia, ale ludzie byli na nie prawie całkowicie ślepi. Podstęp - a ten był niezwykle subtelny - polegał na tym, że gdyby ludzie zaczęli polegać na Prawdzie i Złu tak, jak je postrzegały tytanie, zdobyliby wszystkie korzyści zdrowego społeczeństwa, ale za to tytanie zostałyby wkrótce przez nich zniewolone.

Rozwiązanie Cirocco było znacznie bardziej sensowne. Wykorzystywała tytanie na

tyle, na ile musiała. Z początku w znacznym zakresie, bo tytanie pracowały jako policjanci, sędziowie, i kaci. Celem było uwrażliwienie społeczeństwa i uświadomienie mu, że czynienie zła jest karalne.

Raz jeszcze zerknął na swój szkicownik. Był tam teraz rysunek przedstawiający trzy więźniarki. Stojąca w środku była stara i zmęczona, jej ręce były powykrzywiane od pracy.

Stała bez ruchu w swej brudnej przepasce na biodrach. Jej twarz, głęboko pobrużdżona, była niezwykle piękna. Młodsza i - wedle ludzkich kryteriów - najpiękniejsza z całej grupy miała twarz potwora. Serpent pamiętał ją. Było w niej wiele zła. Któregoś dnia zawiśnie.

Przyjrząwszy się jej bliżej, Serpent zauważył, że narysował na jej twarzy szubienicę. Wydarł kartkę, zmiął ją i spojrzał ponownie w stronę obozu.

W samym środku wspólnoty stała szubienica. Podczas pier-wszych dni podboju

używano jej często, teraz znacznie rzadziej. Wybuchło jedno wielkie powstanie, ale od jego czasu strażę tytanii zostały zredukowane. Obecnie trudno im było nawet sformować sześć drużyn piłki nożnej.

Mimo że życie więźnia wiązało się z ciężką pracą, było lepsze niż wszystko, czego

więźniowie zaznali w Bellinzonie. W dawnych czasach pożywienie nie stanowiło problemu.

Odkąd manna przestała już spadać z nieba, nowi więźniowie opowiadali o głodzie i

niepewności. Powstawał system ekonomiczny, rysowały się podziały społeczne. Było

mnóstwo pracy, ale wynagrodzenie zatrudnionych wystarczało tylko na własne wyżywienia, i to nie

najlepsze. W porównaniu z pracą na farmach wiele posad wiązało się z większą harówką i ryzykiem. Były też takie dni, kiedy rybacy powracali z pustymi rękoma, a do obozów nie przybywały żadne barki, więc wszyscy chodzili głodni.

Jedzenie więzienne było najlepsze i najobfitsze - Strażnikowi rozkazano, by tego

dopilnował. W więzieniu było bezpiecznie. Większość więźniów nie chciała przysparzać sobie kłopotów. Dlatego tytanie patrolowały jedynie pas ziemi niczyjej dzielący obozy od miasta. Rzadko łapały kogokolwiek i odczytywanie list obecności ujawniało niewiele przypadków ucieczek.

Serpent ponownie spojrzał na swój szkicownik. Na środku obozu wisiało trzech

mężczyzn. Serpent pamiętał, że dwóch z nich było złych, a trzeci zrobił tylko coś głupiego.

Próbował zabić Nadzorcę na oczach tytanii. Nadzorca z pewnością na to zasługiwał - Serpent pamiętał, że powieszono go kilka hektoobrotów później - ale Prawo było Prawem. Serpent darowałby mu życie. Ludzki sędzia miał inne zdanie.

Ze złością wydarł kartkę i wyrzucił ją. Jego myśli powróciły do czegoś, co w głębi duszy wiedział i o czym z całej siły chciał zapomnieć. To było złe miejsce, miejsce cierpienia, miejsce ludzi, w którym tytanie nie powinny były przebywać. Tytanie potrafiły się należycie zachować. Ludzie spędzali całe życie na nie kończących się zmaganiach ze swoją

zwierzęcością. Całkiem możliwe, że wszystkie te prawa, więzienia i szubienice były jedynym rozwiązaniem, jakie mogli znaleźć dla tego paradoksu. Tytanie jednak mdliło branie w tym udziału.

Zapatrzył się w mrok szprychy Dione i zaczął śpiewać pieśń smutku i tęsknoty za

domem na Wielkim Drzewie. Dołączyli do niego inni, zajmujący się jakimiś prostymi czynnościami. Śpiewali bardzo długo.

Mieli tyle rzeczy do naprawienia. Nie spodziewał się, że zmieni świat. Nie spodziewał

się, że zmieni ludzką naturę, nie chciałby tego robić, nawet gdyby mógł. Oni mieli własny los.

Jego cel był skromny. Chciał tylko odrobinę ulepszyć ten świat, bo przecież sam też w nim żył. Wydawało się, że może żądać tak niewiele.

Spojrzał na swój szkicownik. Narysował uśmiechniętego człowieka, ubranego w buty,

szorty i koszulę w paski. Człowiek zamasztyłymi ruchami kopał piłkę.

Osiemnaście

Robin usiadła po prawej stronie większego krzesła, które stało na szczycie ogromnego stołu Rady w Wielkiej Sali Pętli. Otworzyła swoją przemyślnie wykonaną skórzaną aktówkę -

podarunek od Valihy i Yirginał - wyjęła plik papierów i rzuciła je na wypolerowany blat.

Następnie rozejrzała się nerwowo dookoła, wyjęła okulary w drucianej oprawce i nałożyła je na nos.

Nadal czuła się śmiesznie, kiedy je nosiła. W domu cierpiała na chroniczne kłopoty ze wzrokiem, które z łatwością można było leczyć. Tutaj, bez możliwości odwiedzania

Fontanny, jej wzrok się stale pogarszał. I, Wielka Matko, nie było w tymś nic dziwnego, bo po całych dniach wczytywała się w nieskończoną ilość raportów.

Wiedziała, że powinna to uznać za fakt normalny, ale jakoś nie potrafiła. Była

Burmistrzem Bellinzony pod każdym względem z wyjątkiem tego ostatecznego,

najważniejszego. Podejrzewała, że gdyby urodziła się jako chrześcijanka, byłaby teraz Papieżem.

Tamtego dnia, przed sześcioma kiloobrotami, Cirocco podchodziła do tego

wszystkiego z dużym rozsądkiem. Była rozsądna... do pewnego stopnia. Potem stała się nieubłagana.

- Masz doświadczenie w kierowaniu dużą grupą ludzi - powiedziała Cirocco. - Ja nie.

Z powodów, które poznasz później, chcę zachować ostateczną władzę w Bellinzonie. Będę jednak polegała na tobie i twoim zdaniu odnośnie do wielu rzeczy. I wiem, że sprostasz temu wyzwaniu.

Cóż, istotnie było to wyzwanie. Teraz jednak przeradzało się to coraz bardziej w

rutynę: rzecz, której tak nienawidziła w Kongregacji.

Przetarła stół dłonią i uśmiechnęła się. Był to przepiękny stół, wykonany z

najlepszego drewna, ozdobiony niezliczoną ilością żłobień. Naturalnie wykonały go tytanie.

Był to już drugi stół, który ozdabiał Salę Rady.

Ten pierwszy był okrągły. Cirocco spojrzała na niego i kazała go zabrać.

- To nie Camelot - powiedziała. - Nie będzie tu spotkań równych sobie. Przynieście mi duży, podłużny stół, a u jego szczytu ma stać wielkie krzesło.

Robin wiedziała, że tytanie popełniły ten błąd z niewiedzy. Ludzie mieli swoje

metody, a tytanie swoje. Nie znały się na efektach psychologicznych, które Cirocco chciała osiągnąć przez zasiadanie u szczytu stołu.

Tak więc przyniosły jej wielkie krzesło. Cirocco czasami na nim siadała. Ostatnimi czasy coraz częściej stało puste, a Robin przeniosła swoje krzesło na prawą stronę tronu.



Inni też już zajmowali swoje siedzenia. Po drugiej stronie stołu stanęła Nova.

Rzuciwszy hałaśliwie na blat ogromną stertę papieru, opadła na swoje krzesło. Zerknęła na matkę, skinęła głową i zaczęła bazgrać jakieś notatki na marginesach.

Starsza czarownica westchnęła. Zastanawiała się, jak długo Nova w tym wytrwa.

Zdarzało jej się czasami odezwać do matki. Umiała z nią wspólnie pracować. Wszystko to jednak było niezwykle ostrożne. Nie towarzyszył temu ani śmiech, ani żarty, ani nawet skargi, z wyjątkiem tych ubranych w wyrozumowany, rozwścieczający język biurokracji. Robin tęskniła za porządną, hałaśliwą sprzeczką w dawnym stylu.

Spojrzała na wciąż puste krzesło. Cirocco Jones, w otoczeniu swych dwóch głównych doradców. Suka i Dwie Wiedźmy, podsłuchiwała kiedyś. Większość członków Rady nie zdawała sobie sprawy z rozpadu więzi między matką i córką.

Stuart usiadł po prawej ręce Robin. Sinęła głową w jego stronę i uśmiechnęła się uprzejmie, co kosztowało ją trochę wysiłku. Nie lubiła tego faceta, ale był pomocny, skuteczny, sprytny i inteligentny, kiedy mu to odpowiadało. Był także niesamowicie ambitny.

W innej sytuacji zrobiłby wszystko, by wbić Robin nóż w plecy. Na razie grał na czas, czekając, czy Cirocco rzeczywiście odda władzę po upływie ziemskiego roku, tak jak obiecała. Gdyby tak zrobiła, należało oczekiwać, że polecą wióry.

Trini usiadła obok Novy, która pochyliła się i pocałowała starszą Amazonkę w usta.

Robin poruszyła się niespokojnie. Nie lubiła Trini tak samo jak Stuarta. Może nawet jeszcze bardziej. Trudno jej było uwierzyć, że przed dwudziestu laty były przez krótki okres kochankami. Teraz Trini i Nova były razem. Robin nie wiedziała, na ile jest to szczere. Nova najwyraźniej zachowała swój pociąg do Cirocco. Robin była przekonana, że ta publiczna demonstracja uczuć jest częściowo spowodowana tym, że Nova dobrze wiedziała, jak

zirytować matkę.

Rzuciła chmurne spojrzenie i odwróciła wzrok. "Nowy wspaniały świat".

Zapełniały się inne siedzenia. Conal usiadł na swoim dziwnym krześle kilka

jardów od krzesła Cirocco i nieco z boku, skąd mógł obserwować przebieg posiedzenia i palić cygara, jedno za drugim. Zazwyczaj nic nie mówił, przysłuchiwał się tylko. Większość członków Rady nie miała pojęcia, co tutaj robi. Robin wiedziała, że jego obecność spełnia określone funkcje. W razie potrzeby przybierał minę skrytobójcy. Owiany kłębam dymu, miał niezwykle złowieszczy wygląd.

Cirocco usiadła na tronie, rozparła się wygodnie i położyła nogi na stole. W zębach trzymała nie

zapalone cygaro.

—

Do roboty, ludzie - powiedziała.

—

No i jak się czujesz, Conal? - spytała Cirocco.

—

Jak się czuję? - Zastanowił się. - Nieźle, Kapitanie. Znacznie lepiej.

—

Ostatnim razem uważałeś, że to się nie uda.

—

Każdy może się mylić.

Przyjrzała mu się uważnie. Zniósł jej wzrok bez zmieszania.

Z początku miał wrażenie, że został pominięty. To było zajęcie dla każdego, oprócz Conala. Jasne, że zastanawiano się, czy i kiedy będzie dowodził siłami powietrznymi, bo to on zorganizował Bellinzońskie Oddziały Lotnicze. Ci, którzy chcieli, nosili mundury. Nie latali jednak samolotami i nie zanosilo się, żeby mieli latać w najbliższym czasie.

Uważał, że został pominięty i to go bolało. Stopniowo jednak pojmował, że o ile

Robin przejmowała stanowisko Burmistrza w czasie, gdy Cirocco udawała się na swoje tajemnicze wyprawy, on miał być wtedy jej oczami i uszami.

Nie sprecyzowała zakresu jego obowiązków, co bardzo mu odpowiadało. Jego

zadaniem było kręcić się wszędzie w najrozmaitszych przebraniach. Nikt prócz członków Rady i paru osób z dowództwa policji nie wiedział, że on ma coś wspólnego z władzami miasta. Przychodził i odchodził, kiedy chciał, a ludzie rozmawiali z nim. O wszystkim, co usłyszał, dowiadywała się Cirocco. Nie dysponował komputerowymi wykresami Novy ani doświadczeniem Robin, ani też wymyślnymi teoriami, ale znał wszystkie tajemnice.

—

Co zrobić z czarnym rynkiem?

—

Zgadzam się ze zdaniem Robin.

---

Chcesz mnie zdenerwować, czy co? Ja też się z nią zgadzam, ale nie przychodzę do ciebie, żebyś mi gadał o teoriach, Conal. Chcę znać rzeczywistość.

Conal był odrobinę zdziwiony jej reakcją. Przyjrząwszy się jej bliżej, dostrzegł, że jest niezwykle spięta.

- Czarny rynek nie jest aż takim problemem, jak twierdzi Nova. Towarów jest niewiele i ceny są bardzo wysokie.

---

Co oznacza - powiedziała Cirocco - że do doków wciąż dostarcza się bardzo niewiele żywności i ciągle mamy niedobory. Niedobory są więc prawdą.

---

Nikt nie jest głodny, ale wielu ludzi chciałoby, żeby znów spadła manna.

Cirocco zamyśliła się na chwilę.

- Co z zielonymi?

Conal roześmiał się.

---

Z zielonych są dobre filtry do kawy. Użyj ich pięć albo dziesięć, a kiedy skończysz, brązowe plamy mogą się na coś przydać. Dobrze się też w nich pali kokę.

---

Innymi słowy makulatura.

---

Prawie to samo powiedziała Nova. Zdaniem Robin to oznacza, że złe pieniądze wyparły z obiegu dobre pieniądze.

---

Nie - odparła Cirocco. - Z tego powodu złote monety wędrują do materacy i

starych skarpet. Ludzie chowają to, co ma jakąś wartość, a wydają to, co ulega inflacji.

—  
Być może. Poza tym nie uważam, że problem ze szkolnictwem jest aż tak

poważny, jak oni go dziś przedstawili. To prawda, że istnieje opdr. Ale większość ludzi tutaj i tak uczy się angielskiego, przynajmniej w niezbędnym dla nich zakresie. Wkurza ich tylko to, że muszą się uczyć poprawnej angielszczyzny.

—  
Co proponujesz?

—  
Obniżenie wymogów odnośnie do analfabetyzmu. Wypuszczać ich ze szkoły,

kiedy już są w stanie przeczytać jakiś plakat, i nie bawić się w uczenie ich czasu zaprzeszłego. Oczywiście, zajmowanie się facetem, który był analfabetą, kiedy tu zamieszkał

i nawet do dziś nie za bardzo...

—  
Kończ już, Conal. - Cirocco posłała palec. - Masz rację. Możemy pozwolić, żeby

dorośli posługiwali się łamaną angielszczyzną. Ich dzieci nauczą się więcej niż oni. Nie powinnam była posuwać się tak daleko.

—  
Nikt nie jest doskonały.

—  
Nie przypominaj mi o tym. Czego jeszcze się dowiedziałeś?

—  
Większość ludzi woli handel wymienny. Twierdzą, że sześćdziesiąt procent

wszystkich interesów w mieście odbywa się na takich właśnie zasadach. Na dodatek pojawiła się nowa waluta, którą jest alkohol. Długo czas było to piwo. Uznaje się czasami wino, ale nie mam pojęcia, z czego jest robione, i chyba wolę tego nie wiedzieć. Poza tym pojawiło się sporo silniejszego świństwa.

—  
Alkohole destylowane. Boję się tego.

—  
Ja też. W użyciu bywa też metanol. Kilku ludzi już oślepiło.

Ciocco westchnęła.

—  
Czy potrzebny jest kolejny przepis prawny?

—  
Zakaz pędzenia bimbru? - Conal zmarszczył brwi i potrząsnął głową. - Tutaj  
zastosowałbym raczej twoją złotą zasadę. Prawo minimum, żeby skorygować problem.

Zamiast zakazu wyrobu dobrych alkoholi, które to pojęcie, wierz mi, w Bellinzonie jest wewnętrznie sprzeczne, wprowadź zakaz produkcji trucizny.

—  
To nie zadziała, jeśli ona jest wykorzystywana jako pieniądź. Przechodzi przez tyle rąk, że nie dowiemy się, skąd się wzięła.

—  
To jest problem - zgodził się Conal. - Zwłaszcza, że dobre gorzelnie używają  
nalepek, które jest łatwo sfalszować... i ludzie dolewają wody...

—  
To nie jest najlepszy kierunek - powiedziała Ciocco. - Myślę, że najlepiej będzie rozpocząć  
kampanię powszechnej edukacji. Nie znam się za bardzo na metanolu. Czy tak trudno go odróżnić, na  
przykład po zapachu?

—  
Nie jestem pewien. Przede wszystkim trzeba go wyłapać w samym zapachu  
alkoholu.

Na chwilę pograżyli się w milczeniu. Conal miał ochotę zostawić to tak, jak jest. Nie wierzył w  
obronę ludzi przed nimi samymi. On sam pił tylko z zalakowanych butelek, które odbierał z rąk

zaufanego producenta. Wydawało mu się, że wszyscy powinni robić to samo.

Być może jednak potrzebne było do tego prawo.

Miał co do tego wszystkiego mieszane uczucia. Nie dlatego, że kiedyś kochał

Bellinzoneę. Wiedział, że całe miasto zmieniło się na lepsze. Nawet bez broni można było w miarę bezpiecznie chodzić po ulicach.

Jednakże gdzie tylko się nie obrócić, wszędzie czyhało prawo. Po siedmiu latach życia bez prawa trudno było się przestawić.

To z kolei przywiodło mu na myśl pytanie. Był pewien, że usłyszy je od Cirocco. Nie rozczarowała go.

- A jak jest ze mną? Ile stopni na skali Conala?

Machnął ręką.

—  
Jest lepiej. Jakies dziesięć do piętnastu procent nawet cię lubi. Może ze trzydzieści procent toleruje i przyzna, jak w nich wlać kilka piw, że dzięki tobie się polepszyło. Reszta natomiast zupełnie cię nie znosi. Jednym bruździsz, a inni uważają, że robisz za mało. Jest tu mnóstwo takich, którzy poczuliby się zdecydowanie lepiej, gdyby im ktoś powiedział, co mają z sobą zrobić od czasu, kiedy się budzą, do czasu, kiedy ich kładziesz do łóżka.

—  
Może ich życzenie zostanie spełnione - mruknęła Cirocco.

Conal czekał, aż powie coś więcej, ale milczała. Zaciągnął się więc cygarem i szukał odpowiednich słów.

—  
Jest coś jeszcze. Chodzi chyba o twój publiczny image. Jako twarz na boku miękkołota nie jesteś zbyt realna.

—  
Moi spece od mediów przekonali mnie do tego - powiedziała kwaśnym tonem. -

Występuję w telewizji jako jędza z głową na karku.

Nie znam się na normalnej telewizji - powiedział Conal. - Ale ty im się zwyczajnie nie podobasz na tych wielkich ekranach na Gwizdku. Górujesz nad nimi. Nie wydajesz się człowiekiem... a nie jesteś wystarczająco silna, jeśli to jest dobre słowo, aby wywołać ten rodzaj strachu... albo, no nie wiem, może chodzi o szacunek... - zawiesił głos, nie mogąc w pełni wyrazić tego, co czuł.

—  
Potwierdzasz znowu moje badania nad wpływem środków masowego przekazu.

Jestem znienawidzonym olimpijskim bogiem i Drakonem, a jednocześnie nie wyglądam na osobę, która sprawuje władzę.

—  
Ludzie nie wierzą w ciebie - powiedział Conal. - Bardziej wierzą w Gaję niż w ciebie.

—  
A nawet nie widzieli Gai.

—  
- Większość z nich jednak widziała ciebie.

Zamyśliła się znowu. Dla Conala było jasne, że podjęła decyzję, która jej zdaniem jest obrzydliwa, ale nieunikniona. Czekał cierpliwie, wiedząc, że obojętnie co to będzie, on zrobi wszystko, aby wypełnić przydzielone mu zadanie.

- Okay - powiedziała, kładąc nogi na stole. - Oto co zrobimy.

Wysłuchawszy wszystkiego, uśmiechnął się szeroko.

Dziewiętnaście

Po posiedzeniu Conal wyszedł na niezmiennie światło Dione i skręcił w lewo na

Bulwar Oppenheimera.

Bellinzona była miastem, które nigdy nie spało. “Codziennie” były trzy godziny

szczytu, które Gwizdek sygnalizował swym donośnym trąbieniem. Wtedy ludzie wracali z pracy do domów albo na odwrót. Conal wiedział, że to wszystko było doskonale

zaplanowane. Cało miasto można było podzielić z grubsza na trzy strefy: w jednej panował

zawsze względny spokój, bowiem jej mieszkańcy spali, druga szumiała odgłosami

prowadzonego handlu, a trzecia dźwiękami skromnej oferty rozrywkowej Bellinzony. Wielu ludzi pracowało na dwie albo półtorej zmiany, by jakoś związać koniec z końcem. Powstały jednak tawerny, kasyna, domy publiczne i kluby, dzięki którym istniało jakieś życie towarzyskie. Zdaniem Conala miasto nie mogło żyć samą pracą i obywać się bez zabawy.

W rzecznych dokach i na nabrzeżach, do których przybijała flota rybacka, pracowano przez całą dobę. Bez przerw działały też stocznie, a także niektóre raczkujące gałęzie przemysłu, gdzie praca szła na trzy zmiany. Godziny pracy rozbito na całą dobę głównie po to, aby zapobiec powstawaniu zbyt dużych tłumów w mieście. Poza tym po prostu zabrakłoby domów, gdyby wszyscy chcieli się położyć spać jednocześnie. Normą było mieszkanie

zespołowe.

Wychodziło to nawet całkiem nieźle. Jednakże współczynnik urodzin rósł, a stopa

śmiertelności niemowląt spadała. Przy Nabrzeżu Końcowym i wysoko na wzgórzach trwały nieprzerwanie prace przy budowie nowych domów.

Conal stwierdził, że lubi to miasto. Oddychało nowym życiem. Było pełne zapału, tak jak Fort Reliance w jego wspomnieniach sprzed wojny. W knajpach słyszało się dużo

narzekań, ale jego zdaniem liczył się już sam fakt, że ludzie odważali się swobodnie narzekać.

Oznaczało to, że liczyli na szybką poprawę tego, co im się nie podobało.

Minął szybko jeden z nowo założonych parków - wielki, kwadratowy pływający dok z

wytyczonymi miejscami do rzutu podkową, boiskami do siatkówki i koszykówki, drzewami i krzewami w donicach - a potem szpital i szkołę. Jeszcze siedem kiloobrotów wcześniej to wszystko byłoby nie do pomyślenia. Ustąpił z drogi tytani, która galopowała z ciężarną kobietą w ramionach w stronę szpitalnego wejścia przeznaczonego do nagłych wypadków. W

szkole na podłodze siedziały dzieci i tak jak zwykle czekały na koniec lekcji. Wyposażenie do zabaw w parkach było zawsze używane. Wszystkie te rzeczy dodawały Conalowi otuchy.

Nawet sobie dotąd nie uświadamiał, jak bardzo za nimi tęsknił.

Nie dlatego, że chciał mieszkać w tym mieście. Miał zamiar, kiedy to wszystko

zostanie ukończone i oddane miejscowemu, powrócić do poprzedniego trybu życia, i na powrót stać się nomadem znanym w całym Kole, przyjacielem Kapitana. Miło było jednak wiedzieć, że tak tu się polepszyło.

Skręcił w stronę znajomego budynku i wdrapał się po schodach na trzecie piętro.

Otworzył drzwi własnym kluczem i wszedł do środka. Rolety były zasunięte. Robin leżała w łóżku. Pomyślał, że śpi. Wszedł do niewielkiej łazienki i umył się w małej misce, używając twardego,



ostrego mydła, które ostatnio stało się dostępne na czarnym rynku. Wyszorował

zęby i ogolił się bardzo starannie starą brzytwą. Nabral tych zwyczajów stosunkowo niedawno, ale zdążył już zapomnieć dni, kiedy brał kąpiel dopiero wtedy, gdy jego ubranie robiło się tak sztywne, że nie dawało się zgiąć.

Wślizgnął się do łóżka, uważając, żeby jej nie zbudzić.

Odwróciła się w jego stronę, rozbudzona i spragniona.

- To się nigdy nie uda - powiedziała to, co zwykła często powtarzać. Skinął głową, wziął ją w ramiona i udało się wspaniale.

Dwadzieścia

Po posiedzeniu Cirocco Jones udała się do miejsca, w którym spodziewała się znaleźć Piszczalkę. Poruszała się w wyuczony sposób, którym tak wytrącała z równowagi Robin, kiedy się pojawiała na posiedzeniach Rady. Nikt jej nie zauważył.

Zastanawiała się, czy to czasem nie jest ostatni raz, kiedy może się tak poruszać.

Niewiedza, skąd pochodzi moc, tym bardziej utrudniała wiarę, że nic się nie zmieni po tym, co zaplanowała zrobić.

Dosiadła Piszczalki i wybiegli galopem z miasta. Wkrótce zaczęli przedzierać się przez dżungle południowej Dione, niedaleko od Tuxedo Junction.

Dotarła do brzegów Fontanny Młodości i zsiadła z grzbietu tytanii.

- Nie odchodź za daleko - poprosiła Piszczalkę. - To potrwa jakiś czas.

Tytania skinęła głową i zniknęła w dżungli. Cirocco zdjęła ubranie i uklękła na piasku.

Otworzyła plecak i wyjęła z niego butelkę, w której trzymała Kapusia. Stworzenie zamrugało nieprzytomnie. Postawiła je na ziemi i patrzyła, jak się chwieje i przeklina. Upłynie trochę czasu, zanim będzie się z nim można jakoś porozumieć.

Cirocco odnosiła wrażenie, że jej ciało jest jakimś obcym i potencjalnie

niebezpiecznym obiektem. Miała wystające żebra. Piersi były wciąż wydatniejsze niż zazwyczaj, a uda prężne i krągłe, ale kolana robiły się już kościste. Jej włosy znowu poprzetykały pasma siwizny. Wokół oczu i kącików ust pojawiły się drobniutkie zmarszczki.

Przytknęła palcami przed nosem Kapusiowi, ten splunął na nią, ale nie włożył w ten gest ani odrobiny serca. Nie dając się prosić, Cirocco wyjęła z plecaka butelkę i przy użyciu pipety wcisnęła siedem sporych kropli do rozdziawionych chciwie ust.

Kapuś oblizał wargi i zrobił minę, która w jego ograniczonym repertuarze grymasów oznaczała uśmiech.

—  
Stare babsko jest dzisiaj bardzo hojne - powiedział.

—  
Stare babsko nie ma dziś nastroju do zabawy. Chcesz usłyszeć, że obedrę cię żywcem ze skóry, jeśli nie będziesz gadał? Czy może jesteś równie zmęczony jak ja?

Kapuś stanął na jednej nodze, a drugą podrapał się za uchem.

—  
Może sobie to podarujemy?

—  
Świetnie. Co z Adamem?

—  
Adam kwitnie jak pączek w maśle. Uwielbia swoją wielką babunię. Któregoś dnia Gaja będzie go miała, wybaczone określenie, w garści.

—  
Jak się ma Chris?

—  
Chris zrobił się smętny. Kiedy ma dobry dzień, wciąż myśli, że zdobędzie serce i umysł rzezonego Adama, jego syna. Kiedy ma zły dzień, uważa, że już go stracił. Ostatnie dni były dla niego złymi dniami. Wszystko pogarsza fakt, że Gaja wpatruje się w niego z programów telewizyjnych i wyznacza mu różne niesmaczne zadania, żeby zarobił na swój...

chleb z masłem. - Kapuś zamrugnął i zmarszczył się. - Czyżbym pomylił metafory?

Ciocco zignorowała to pytanie.

A co z... Gaby? Kapuś zrobił perskie oko.

—

Nigdy dotąd mnie o nią nie pytałaś.

—

Teraz cię pytam.

—

Powiem ci, że ona jest tworem twojej wyobraźni.

—

A ja ci rozwalę łeb, ty dupku.

—

Boże - powiedział Kapuś i skrzywił się. - Szkoda tylko, że w odróżnieniu od ciebie, tylko ja to mogę zrobić.

—

Wiesz, że nie możesz.

—

Cały czas o tym pamiętam. - Westchnął. - Gaby... przygotowuje swój brudny numer. Wiesz, o czym mówię. Gaby stąpa po cienkiej linie. Może się nigdy nie dowiesz, jak cienkiej. Zostaw ją w spokoju.

—

Ale ja jej nie widziałam od...

—

Zostaw ją w spokoju, Kapitanie.

Popatrzyli sobie w oczy. Taka uwaga zasługiwała na karę. Cirocco zastanawiała się, dlaczego jednak postanowiła puścić mu to płazem. Co się zmieniło? Czy może po prostu jest tak zmęczona, że jej to wcale nie obchodzi?

Przestała o tym myśleć, dała Kapusiowi jeszcze trzy krople czystego alkoholu i

wsadziła go z powrotem do szkła. Potem ostrożnie weszła w oczyszczające ciepło Fontanny, zanurzyła się i już w wodzie zrobiła głęboki wdech.

Trwała tak nieruchomo przez dziesięć obrotów.

Dwadzieścia jeden

Nowe Pandemonium było ukończone.

Gaja osobiście przeprowadziła inspekcję zewnętrznego muru; swymi potężnym

dłońmi wyławiała z fosy białe olbrzymy, sprawdzała przygotowania na wypadek oblężenia.

Nadal miała problemy z siłą roboczą. Musiało minąć trochę czasu, nim jej nadzorcy

produkcji zrozumieli, że ludzi nie można już zmuszać do zapracowywania się na śmierć.

Wielu z nich umarło, zanim się tego nauczyli. Zaistniał też niewielki problem dezercji, ponieważ zabrakło batalionów zombie, które mogły ścigać i torturować zbiegów. Kapłani nie byli zadowoleni z żywych akolitów, ale dobrze wiedzieli, że lepiej nie robić o to zbyt wiele hałasu. Mimo wszystko proszek przeciwko zombie nie działał na kapłanów.

Poczyniono wszystkie przygotowania. Nowe Pandemonium mogło przetrwać każdy atak, każde oblężenie.

Zadowolona wezwała swojego archiwariusza i zamówiła potrójny seans. “Człowiek, który chciał być królem”. “Gubernator”. “Indira”.

Najlepsze filmy polityczne.

Dwadzieścia dwa

Gaby Plauget urodziła się w Nowym Orleanie w 1997 roku, kiedy to miasto należało jeszcze do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Miała tragiczne dzieciństwo. Ojciec zabił jej matkę i potem plątała się pomiędzy

krewnymi a różnymi organizacjami, ucząc się, że nie należy się do nikogo za bardzo przywiązywać. Zbawieniem okazała się astronomia. Była najlepsza w astronomii planetarnej, tak dobra, że kiedy kompletowano załogę “Ringmastera”, bez trudu zdobyła tę posadę, mimo iż nienawidziła podróży.

Seks był jej raczej obojętny.

Potem “Ringmaster” został zniszczony i cała załoga spędziła jakiś czas w stanie

całkowitej izolacji sensorycznej. Ge-ne'a doprowadziło to do szaleństwa. U Billa pozostawiła ona luki w pamięci, więc nie poznał Cirocco, kiedy się znów spotkali. Siostry Polo, April i August, najstabilniejsze z wszystkich geniuszy-klonów, zostały rozdzielone: April została aniołem, August umarła z tęsknoty za swą utraconą siostrą. Calvin ocknął się z umiejętnością porozumiewania się z mięk-kolotami i brakiem pragnienia kontaktu z ludźmi. Cirocco potrafiła śpiewać jak tytanie.

Gaby przeżyła całe swoje przyszłe życie. Dwadzieścia lat - powiedziała. Po

przebudzeniu miała wrażenie, że był to jeden z tych szalonych snów, podczas których - ni stąd ni zowąd - wszystko się rozumie. Dostępne są rozwiązania Wielkich Zagadek Życia, jeśli tylko potrafi się zachować na tyle przytomny umysł, by móc je potem odnaleźć. Wszystkie te nowe doświadczenia z dwudziestu lat znalazły się właśnie tam, w jej umyśle, gotowe zmieniać jej życie i świat...

...dopóki się nie rozwiały jak sen. Po kilku minutach pamiętała już tylko parę rzeczy.

Raz, że było to dwadzieścia lat, wraz ze szczegółami, jakich mógł dostarczyć taki okres czasu. Poza tym wspomnienie wspinaczki po wysokich schodach z towarzyszeniem muzyki organowej. Później, kiedy razem z Cirocco odwiedziły Gaję w piaście, Gaby ponownie przeżyła tę chwilę. Trzecią rzeczą, jaką zapamiętała, była jej nie odwzajemniona i nieuleczalna miłość do Cirocco Jones, co było zaskoczeniem równie wielkim dla Gaby, jak i dla Cirocco. Gaby nawet nie domyślała się wcześniej, że jest lesbijką.

Wszystko inne odeszło w mrok niepamięci.

Upłynęło siedemdziesiąt pięć lat.

W wieku stu trzech lat Gaby Plauget umarła pod centralnym kablem Tetydy. Jej

śmierć była straszna i bolesna, spowodowana przez płyn, który wypełnił spaloną tkankę płuc.

Potem czekało ją zaskoczenie największe ze wszystkich. Życie po śmierci istniało

naprawdę. Gaja rzeczywiście była Bogiem.

Zastanawiała się nad tym przez całą drogę do piasty. Widziała swoje martwe ciało.

Stała się po prostu cząsteczką świadomości, która nie czuła nic na poziomie fizycznym.

Jednakże utrata ciała wywołała w niej emocje. Najsilniejszą był strach. Cofnęła się do dzieciństwa, znalazła tam siebie recytującą Zdrowaś Mario, Ojczy Nasz i Modlitwę Pańską, wyobraziła sobie siebie w ogromnym, chłodnym, posepnym i jednocześnie kojącym wnętrzu starej katedry, klęczącą obok swej matki odmawiającej różaniec.

Teraz jedyną katedrą było żywe ciało Gai.

Została zaprowadzona, przeniesiona, porwana lub w jakimś innym sensie

przetransportowana do piasty, do filmowej klatki schodowej, po której ona i Cirocco wspinały się tak dawno temu. Schody były potwornie zakurzone i ozdobione sztucznymi, artystycznie udrapowanymi pajęczynami. Ona sama czuła się niczym kamera na bardzo stabilnym wózku, przechodząca bezwiednie przez niewielkie drzwi prowadzące z krainy Oz do komnaty

Ludwika XVI, która była wierną kopią planu "Odysei kosmicznej: 2001". To tam razem z Cirocco po raz pierwszy spotkały się z przysadzistą i barczystą kobietą, która przedstawiła im się jako Gaja.

Z ram obrazów odpadała złota farba. Połowa światel pogasła albo migotała. Meble

były postrzępione, wypaczone i zapleśniałe. Na chwiejnym krześle przed starym

czarnobiałym telewizorem siedziała Gaja. Bose stopy wspierała o mały stolik i piła piwo prosto z butelki. Jej opasłe, bezkształtne ciało jak zwykle okrywał brudnoszary szlafrok.

Gaby, jak każdy człowiek z wyjątkiem największych fanatyków, wyobrażała sobie

tysiące wizji życia po śmierci, obejmujące pełne spektrum od piekła do nieba. To, co teraz zobaczyła, jakoś nigdy nie przyszło jej do głowy.

Gaja wykonała lekki skręt tułowia. Przypominało to jeden z tych manierycznych

filmów, w których oko kamery reprezentuje bohatera, a pozostali aktorzy muszą na to reagować. Spojrzała na Gaby albo przynajmniej na to miejsce w przestrzeni, które Gaby uważała, że zajmuje.

—

Czy masz pojęcie, jakich mi przysporzyłaś kłopotów? - mruknęła Gaja.

—

Nie, nie mam - powiedziała Gaby.

Po głębszym namyśle uznała, że słowo "powiedziała" jest całkiem odpowiednim

czasownikiem określającym to, co rzeczywiście zrobiła. Nie towarzyszył temu żaden dźwięk.

Nie czuła ruchów swych warg albo języka. Oddech nie wydobył się z płuc, które - o ile się orientowała - zatkane flegmą wciąż leżały w mroku Tetydy.

Odruch ten jednak przypominał mówienie i Gaja wydawała się ją słyszeć.

- Czemu nie zostawiłaś tego tak, jak było? - zaczęła gderać Gaja. - W kołach są inne koła, kotku, żeby tak sparafrazować to powiedzonko. Rocky tak sobie świetnie radziła.

Co w tym złego, że trochę zbyt często się upijała?

Gaby nie "powiedziała" nic. "Rocky" to była oczywiście Ci-rocco Jones. Przez

większość czasu była pijana bardziej niż tylko trochę. A jeśli chodzi o zostawianie tego tak, jak było...

Ciocco mogła tak postąpić. Nie można już było tego sprawdzić. Być może po

upływie kolejnych czterdziestu albo pięćdziesięciu lat ruszyłoby ją wreszcie i spróbowałaby coś zrobić z tą nieprawdopodobną sytuacją, która ją wpędziła w alkoholizm. Z drugiej jednak strony być może nawet nieśmiertelny jest w stanie zapisać się na śmierć.

W każdym razie to Gaby skłoniła w końcu Ciocco, aby zrobiła pierwszy, próbny krok w celu dokonania lustracji regionalnych mózgów Gai i znalezienia śladów użytecznej akcji wywrotowej, w nadziei, że znajdzie się ktoś, kto posłuży jako centrum zaplanowanej przez Gaby Rebelii Bogów. Za to właśnie zginęła paskudną śmiercią.

—  
Miałam plany względem tej dziewczuchy - powiedziała Gaja. - Dwa lub trzy

stulecia... kto wie? Można jej było wmówić niejedno. Można było... sprawić, by zrozumiała...

żeby przyznała... - Gaja przestała mówić i tylko coś posepnie pomrukiwała. Gaby znowu nie reagowała. Gaja zerknęła na nią z irytacją. - Wkurzyłaś mnie - poskarżyła się. - Nigdy się nie spodziewałam, że to ty narobisz tych kłopotów. Jesteś postacią tragiczną. Całe to łązenie za Ciocco z wywieszonym ozorem, zupełnie jak jakaś suka podczas upałów. To była dobra rola, Gaby, taka wokół której można było zbudować całe życie. Nie mogę ci wybaczyć, że dopisałaś sobie własne kwestie. Tam, gdzie się pojawiaasz... - Nie mogąc znaleźć słów, Gaja cisnęła butelką w stronę wielkiej plamy na ścianie. Na podłodze leżał już spory stos okruchów szkła. Gaja podniosła wzrok i złośliwie się uśmiechnęła.

—  
Założę się, że chętnie usłyszalabyś kilka wyjaśnień. Mam zamiar zabawić się

wytlumaczeniem ci wszystkiego. Oto pierwsza rzecz, proszę bardzo. - Gaja wyciągnęła rękę, której obraz zamazał się, zbliżając się do linii widzenia Gaby/kamery, a potem cofnęła ją, ściskając małe, białe, wrywające się stworzenie, dwunożne i wyłupiastookie.

—  
Szpiedzy - powiedziała Gaja. - Ten jest twój. Siedział w twojej głowie przez

siedemdziesiąt pięć lat. Jak ci się to podoba? To jest Szpicel. Rocky ma innego imieniem Kapuś. Nic o nim nie wie, tak samo, jak ty nie wiedziałaś o swoim. Donosili mi o wszystkim, co robiłyście.

Gaby poczuła, jak przepelnia ją bezdenne rozpacz. To jakieś piekło.

—  
Nie, nieprawda. To także ubaw. - Gaja przerwała na moment, aby wydusić życie z  
piszczącego obrzydlistwa trzymanego w dłoni, po czym otarła krwawą miazgę o poręcz krzesła.  
—

Zycie i śmierć nie są aż takie ważne, jak ci się wydaje. To świadomość jest  
prawdziwą zagadką. Twoja świadomość jako żywej istoty. Pamiętasz, jak umierałaś, wydaje ci się,  
że pamiętasz, jak przed chwilą szybowiałaś w przestrzeni, nim wreszcie dotarłaś tutaj.

Ale na tym poziomie życie jest zwodnicze. Pamięć tak samo. Nie jesteś duchem, jeśli mogę cię jakoś  
pocieszyć. Mam cię - wyszeptała Gaja, wykonując gest, jakim zmiażdżyła Szpicla. -

Sklonowałam cię, nagrałam, wzięłam z ciebie wszelką Gabowatość, kiedy pojawiłaś się tu po raz  
pierwszy. Z Cirocco postąpiłam tak samo. Od tego czasu ten skurwiel w twojej głowie  
systematycznie donosił mi nowe dane. Nie jestem ani bytem nadprzyrodzonym, ani też Bogiem,  
przynajmniej w taki sposób, w jaki myślisz o Bogu... ale jestem za to piekielnie dobrym magikiem.  
Problem, czy ty, Gaby Plauget, ta mała dziewczynka z Nowego Orleanu, która pokochała gwiazdy,  
naprawdę umarła w Tetydzie, jest ostatecznie filozoficznym dzieleniem włosa na czworo. Niewartym  
wysiłku. Wiesz, że świadomość, do której teraz się zwracam, to ty. Spróbuj tylko zaprzeczyć.

Gaby nie potrafiła.

—  
Wszystko to się odbywa przy pomocy luster - powiedziała Gaja, wrzuciwszy  
ramionami. - Jeśli miałaś coś takiego jak dusza, to ja jej jakoś nie znalazłam. Podryfowała pewnie do  
twojego antropomorficzno-katolicko-judeochrze-ścijańskiego "nieba", w które ja osobiście nie  
wierzę, jako że nigdy nie słyszałam żadnych stacji radiowych, które by stamtąd nadawały. Posiadam  
natomiast całą resztę ciebie.  
—

Co masz zamiar ze mną zrobić? - spytała Gaby.  
—

Cholera. Żałuję, że piekła nie ma. - Na jakiś czas pogrzyła się w milczeniu. Gaby nie miała innego  
wyjścia, jak tylko czekać. Na twarzy Gai powoli wykwitał koszmarny grymas, skrzyżowanie  
uśmiechu i szyderstwa.  
—



Pomimo tego, że piekło nie istnieje, mam jednak jego kopię. Nie sądzę, żebyś je przeżyła. Ale jeszcze nie skończyłam ci wszystkiego wyjaśniać. Chcesz słuchać dalej?

Gaby pomyślała, że pewnie wszystko będzie lepsze od ga-jańskiego substytutu piekła.

- Musisz zrozumieć - powiedziała Gaja - że to ty mi zniszczyłaś Rocky. Rocky była prawdziwą, rasową heroiną.

Szukałam takiej od tysiącleci. Na razie wciąż jeszcze jest skażona, ale na pewno się oczyści. Kapuś to czuje. Właśnie odkryła, że nie żyjesz. Nie jest pewna, czy to ja cię zabiłam; podejrzewa, że tak. Robin, Valiha i Chris mają wielkie kłopoty. Mogą nie wyjść z nich cało.

Właśnie w tej chwili Rocky poświęca całą swoją energię, żeby uratować im życie. Potem...

pojawi się tutaj i wypowie mi wojnę. To - Gaja załomotała się w pierś - to wcielenie Gai tego nie przeżyje. - Wzruszyła ramionami. - Nic nie szkodzi. Pani Ziemiak już mnie i tak męczyła. Mam kilka pomysłów na następną Gaję, które być może cię rozbawią. Widzę

jednak, że to cię nie obchodzi. Mam cię dosyć. Tracę przez ciebie czas.

Powiedziawszy to, Gaja wyciągnęła rękę i... schwyciła sen/przestrzeń, którym była

Gaby. Wszystko poczerniało, a potem Gaby zorientowała się, że po zakrzywionej pustce piasty leci w stronę czerwonej linii światła na samym szczycie, tej linii, którą ona i Cirocco zobaczyły, gdy po raz pierwszy...

To wszystko sen - przypomniała sobie. Ta rozmowa nigdy się nie odbyła, nie w

plaszczyźnie rzeczywistości fizycznej. Gaja miała wszystkie wspomnienia Gaby i była zdolna tworzyć nowe przy pomocy programu komputerowego/matrycy pamięciowej, które były

wszystkim, co zostało po dawnym ciele i krwi Gaby. Więc to wszystko jest złudzeniem. Ona coś ze mną robi, ale ja nie lecę do góry, nie zanurzam się w tym wirującym wirze, o którym w głębi serca zawsze wiedziałam, że jest umysłem stworzenia zwanego Gają...

Chroniła ją jedna myśl. Jedno wyobrażenie ścisłone kurczowo w samym środku

chaosu ratowało ją przed upadkiem z manii w szaleństwo.

Minęło dwadzieścia lat - pomyślała Gaby. - Ja już to przeżyłam.

W czerwonej linii prędkość światła była prawem lokalnym, osobliwością regionu,

która mogła być uciążliwa, jak gliniarz ukrywający się za tablicą stojącą przy wjeździe do prowincjonalnego miasteczka w stanie Georgia, który jednak, za odpowiednią łapówką albo dzięki

dostatecznej ilości koni pod maską, nie powinien stanowić problemu.

Należy analizować to krok za krokiem. “Prędkość” jest zależna od przestrzeni i czasu.

W Linii żadne z nich nie jest pojęciem bezwzględnym. “Światło” jest wielkością złożoną, składa się z sumy pozbawionych masy falowań, produktów ubocznych życia w linii, takich jak pot i odchody. Już w samym terminie “Prędkość światła” tkwi sprzeczność wewnętrzna.

Ile ważył tamten dzień w górach, kiedy rozpałiłeś ognisko i widziałeś spadającą gwiazdę?

Jaka jest masa wczorajszego dnia? Jak szybka jest miłość?

Linia rozciągała się wzdłuż całej wewnętrznej obręczy Gai, która - w perspektywie

einsteinowskiej - miała kształt koła. Linia nie była kolista. Widziana z uskoku wewnętrznej obręczy była cienka. Nie była jednak cienka.

Linia musiała istnieć we Wszechświecie. Nie rozciągała się poza fizyczne granice Gai, a Gaja zawarta była we Wszechświecie, więc linia też była częścią Wszechświata.

Linia była znacznie większa niż Wszechświat.

Ostatecznie słowo “Wszechświat” było nieadekwatne do sformułowania definicji

Linii. Pojęcie prostej osobliwości najlepiej oddawało prawdziwą naturę Linii... a jednak miało z nią niewiele wspólnego.

Żyły w niej różne stworzenia. Większość z nich była szalona, bowiem Gaja chciała,

żeby Gaby popadła w szaleństwo. Gaby jednak stale o tym myślała: Minęło dwadzieścia lat.

A także: Cirocco będzie mnie potrzebować.

Powoli i ostrożnie Gaby poznawała naturę rzeczywistości. Stała się jakby Bogiem. Jej boskość była dość żalosa - znała już wiele Odpowiedzi i wiedziała, że Pytań nigdy nie sformułowano poprawnie - ale to już było coś. Byłaby znacznie szczęśliwsza, gdyby żyła zgodnie ze scenariuszem, który uważała za Życie, ale było już na to za późno i nie miała innego wyjścia, jak pogodzić się z tym.

Ostrożnie, trzymając się z dala od tej dominującej obecności znanej jako Gaja, Gaby zaczęła wyglądać zza Linii. Zobaczyła, jak Cirocco przybywa do piasty, zobaczyła, jak pociski rozdierają stworzenie, które przedstawiało się jako Gaja”, wyczuła znacznie ciekawsze zmiany, jakim uległ byt, który jej był znany jako Gaja, i zamyśliła się. Tu istniała możliwość...

Rozmyślała nad tym przez chwilę, która trwała pięć lat.

Uświadomiła sobie, że dłużej już nie wytrzyma w tym miejscu. Gaja nie była tu w

pełni obecna, choć Linia kryła pewną jej część. Gaby musiała zrobić to samo, jeśli chciała przetrwać. Ostrożnie, starając się nie alarmować Gai, uwolniła się i przeniosła centrum swej świadomości do obręczy. Wiele razy widywała Cirocco, ale jej samej nie zauważano.

Zaczęła uczyć się Magii.

Dwadzieścia trzy

---

Może ona tu nigdy nie przyjdzie - powiedziała Gaja.

---

Być może - odparł Chris.

Zanurzył myjkę w mydlanej wodzie, strząsnął z niej nadmiar wilgoci i przyłożył ponownie do wielkiej, różowej ściany ciała.

Znajdowali się w Łażni, czyli po prostu w jednym ze stu-dio'w dźwiękowych na terenie RKO, gdzie kiedyś Esther Williams wyczyniała swoje sztuczki, które potem przygotowano tak, aby mogło służyć za miejsce kąpieli Gai. Mętne światło padało na drewniane ściany i sufit, ogromne rozsuwane drzwi były zamknięte. Gdzieś obok do wody wrzucano gorące kamienie, całe wnętrze Łażni wypełniały chmury pary. Zarówno Chris jak i Gaja ociekali potem.

Zamiast myjki używał ogromnej szczotki ryżowej. Skdra Gai, choć miękka w dotyku, wydawała się być zupełnie odporna na to narzędzie, mimo że Chris szorował ją z całej siły.

Była to jedna z pomniejszych zagadek.

Przechodzący obok panafleks skadrował scenę, nakręcił kilka stóp filmu, a potem się zmył.

---

Wcale tak nie myślisz - zauważyła Gaja.

---

Być może - powtórzył Chris.

Gaja zmieniła pozycję. Chris odsunął się, ponieważ każdy ruch cielska mógł mieć niebezpieczne skutki dla normalnych ludzi, którzy przypadkiem znaleźli się na jego drodze.

Gaja spoczywała półleżąc, z twarzą zwróconą w dół i głową wspartą na złożonych ramionach. Woda, w której leżała, sięgała Chrisowi prawie do kolan. Zmieniwszy pozycję, odwróciła głowę i nie spuszczała z niego ogromnego oka. Mył właśnie jej prawy bok, od pasa do pachy, kierując się w stronę barku. Miało mu to zabrać dobrą chwilę.

—

Minęło wiele czasu - ciągnęła Gaja. - Ile to już... osiem miesięcy?

—

Coś koło tego.

—

Słyszałeś coś o jej aktualnych poczynaniach?

—

Wiesz, że była tu dwukrotnie. Wiesz również, że nie powiedziałbym ci, gdyby się tu jeszcze raz pojawiła.

—

Jesteś impertynentem, ale uwielbiam cię. W każdym razie wiem, że nie było jej tutaj po raz kolejny.

Co było prawdą. Cirocco ostrzegała go, że tak będzie, ale nadal było mu ciężko. Chris bardzo potrzebował moralnego wsparcia.

Z drugiej strony posada łazienkowego nie była aż tak zła, jak się obawiał. Gaja najwyraźniej chciała go zdemoralizować. Robił, co mógł, żeby myślała, że to jej się udaje, człapiąc posłusznie do Łażni, gdy życzyła sobie kąpieli. Zresztą była to po prostu praca.

Przyzwyczał się już do jej dziwaczного charakteru i uznał, że mycie ciała Gai nie różni się niczym od tynkowania domu.

Umył jej bok i wewnętrzną stronę ręki, po czym ponownie namoczył myjkę i zaczął szorować łokieć i ramię.

—

Kiedy ona tu się zjawi... - zaczął i zawiesił głos.

—  
To co?

—  
Co z nią zrobisz?

—  
Zabiję ją. Już ci to powiedziałam. A w każdym razie spróbuję.

—  
Uważasz, że ma jakąś szansę?

—  
Nie za bardzo. Jest przegrana, nie uważasz?

—  
—  
Każdy to wie. Dlaczego więc... nie zapolujesz na nią? Nie dałaby rady zbyt długo przed tobą uciekać, prawda?

—  
Jest bardzo przebiegła. A mój... wzrok już jej nie dosięga. Tę sprawę załatwiła zupełnie nieźle.

Gaja już wcześniej czyniła niejasne aluzje do swojej ślepoty. Chris nie był tego całkowicie pewien, ale podejrzewał, że chodziło o Kapusia.

- Dlaczego tak bardzo jej nienawidzisz?

Gaja westchnęła. Obłoki pary gwałtownie zawirowały.

—  
To nie jest nienawiść, Chris. Ja ją bardzo kocham. Dlatego chcę jej podarować śmierć. Tylko tyle jestem jej winna i ona tego potrzebuje. Ciebie też kocham.

—  
Czy mnie też zabijesz?

—  
Tak. Chyba że Cirocco cię wyratuje. W twoim przypadku śmierć nie będzie podarunkiem.

—  
Nie rozumiem różnicy.

—  
W twoim przypadku to będzie udręka, bo będziesz tęsknił za miłością Adama. Jesteś młody i w twoim życiu nie było dotąd nic tak dobrego jak Adam.

—  
Teraz rozumiem. Nie rozumiem tylko, dlaczego dla Cirocco śmierć miałaby być łaską.

—  
Nie mówiłam nic o łasce, tylko o podarunku. Ona jej potrzebuje. Śmierć jest jej przyjaciółką. Śmierć to jedyny sposób, by mogła rozkwitnąć. Nigdy nie znajdzie miłości. Ale może się nauczyć żyć bez niej. Ja się tego nauczyłam.

Chris przemyślał to i postanowił skorzystać z okazji.

- Z pewnością. Zastąpiłaś ją okrucieństwem.

Uniosła brew. Nawet z tej odległości Chrisowi nie spodobał się wyraz jej oczu. Czaił

się w nich ból zbyt pradawny. Zło, zbyt wiele zła... zło zaczęło go zastanawiać już dawno temu. Czy ktoś po prostu postanawia, że będzie zły? Wątpił w to. To jest raczej długi, powolny proces.

- Jasne, że jestem okrutna - mruknęła Gaja, znowu przymykając oczy. - Tylko że nie potrafię widzieć mojego okrucieństwa w odpowiedniej perspektywie. Skończyłam

pięćdziesiąt tysięcy lat, Chris. Cirocco ma tylko sto i już czuje, że coś zżera jej duszę. Czy potrafisz sobie wyobrazić, co ja czuję?

—  
Chciałaś chyba powiedzieć trzy miliony, a nie...

—  
Naturalnie. O czym ja myślę. Możesz się już zająć plecami, Chris.

Wyciągnął więc drabinę i wspiał się po niej, niosąc szczotkę i gumowy wąż. Jej plecy uginały się miękko pod jego stopami.

Kiedy szorował łopatki, pomrukiwała jak kot.

Dwadzieścia cztery

Cirocco wyszła z Fontanny i położyła się na piasku. Na chwilę zamknęła oczy.

Kiedy je otworzyła, nadal leżała na plaży, ale był to ten sam sypki, czarny piasek nad niewielkim jeziorem, na którym kochała się z Gaby tamtego dnia, kiedy porwano Adama.

Odwróciła głowę i spostrzegła stojącą obok niej Gaby. Gaby wzięła ją za rękę. Znowu miała to uczucie, że coś ją odrywa od kleistej powierzchni, po chwili stała na nogach.

Uściskała Gaby.

—  
Tak długo cię nie było - poskarżyła się Cirocco. Była bliska łez.

—  
Wiem, wiem. Zbyt długo. Teraz też nie mamy zbyt wiele czasu, a jest tyle do

zobaczenia. Pójdiesz ze mną?

Cirocco skinęła głową i weszła razem z Gaby do jeziora. Pamiętała, że jest płytkie, dlatego zdziwiła się, gdy poczuła, że traci grunt pod nogami. Po chwili obie płynęły z głowami wystawionymi ponad powierzchnię. Na znak Gaby jednocześnie zanurkowały.

To nie przypominało pływania. Spadły prosto na dno. Cirocco nie musiała

wykonywać żadnych ruchów, po prostu opadała. Czowała silny prąd wody.

Ale to nie była woda. To było raczej błoto, ciepła ziemia. Pomyślała, że tak pewnie czują się dżdżownice pod ziemią. Przypomniała sobie, jak dawno temu przedzierała się przez wilgotną glebę Gai ku światłu: bezwłosa, dezorientowana, przestraszona jak nowo

narodzone dziecko. Teraz było inaczej. Strach zniknął.

Po chwili stanęła w ogromnej jaskini, nie pamiętając, jak się do niej dostała. Jaskinia ciągnęła się daleko, nie mogła dostrzec jej krańców. Razem z Gaby szła obok doków pełnych pająkowatych drzemiących kształtów statków kosmicznych.

- Zaczęłam je zbierać na początku wojny - powiedziała Gaby. - Ich kapitanowie zdezerterowali. Porzucili swoje statki. Sprowadziłam je tu i przechowałam.

Były ich tam setki. Stanowiły niezwykle dziwaczny widok.

—  
Jakie to... smutne - zauważyła Cirocco.

—  
Większość uszkodzeń z łatwością da się naprawić - zapewniła ją Gaby.

—  
Domyślam się. Ale... to przecież nie jest ich miejsce. Wiesz, jak wyglądają? Jak meduzy rozrzucone na plaży.

Gaby popatrzyła na milczącą armadę i pokiwała głową. Statki miały rzeczywiście wiele wspólnego z miękkimi, fantazyjnymi formami przybieranymi przez egzotyczne morskie bezkręgowce.

—  
Powiedziałaś, że to ty je sprowadziłaś. Nie Gaja.

—  
Tak, to ja. Pomyślałam, że któregoś dnia mogą się przydać. Sprowadziłam tu też

wiele innych rzeczy, kiedy pojęłam, że Gaja chce, by wojna trwała dalej. Spójrz tutaj. - Gaby delikatnie odwróciła Cirocco...

...i znowu ogarnął ją mrok. Gdy zapłonęło światło, Cirocco zorientowała się, że są już w zupełnie innym miejscu.

—  
Jak tego dokonałaś?



Kochanie, chyba nie umiem tego wyjaśnić. Uznaj po prostu, że potrafię.

Cirocco zastanowiła się nad tym. Czowała lekkie zawroty głowy, trochę jakby się upiła, a trochę jakby spała. Ten stan umysłu dawało się zaakceptować.

- W porządku - powiedziała pogodnie.

Znajdowały się w bezkresnym tunelu. Idealnie okrągły w przekroju i całkowicie prosty, pulsował wielobarwnym światłem.

- To nie jest realny czas - wyjaśniła Gaby.

—

To znaczy, że to mi się śni, czy tak?

—

Tak jakby. To Pierścień Alchemika, czyli cyklotron z wiązkami przeciwbieżnymi o

tunelu długości czterech tysięcy kilometrów, w którym zastosowano kilka dodatkowych usprawnień, dzięki czemu jest o wiele lepszy niż wszystko, co kiedykolwiek skonstruowano na Ziemi. Tu Gaja wytwarza ciężkie metale, ostatnimi czasy głównie złoto. Przedtem sporządziła spore zapasy plutonu. Chciałam ci to tylko pokazać.

Cirocco zapatrzyła się na światła. Fruwały po tunelu niczym jaskrawe, czerwone, żółte i białe trzmielce. Nie były szybkie.

Nierealny czas, powiedziała Gaby. Te światła musiały być jądrami atomów i musiały pędzić z prędkością bliską szybkości światła. To tylko wspomaganie wizualne - pomyślała.

To nie sen, ale coś podobnego. Tak jak film.

- Tu nie ma powietrza, prawda?

—

Nie, oczywiście, że nie. Czy to ci przeszkadza? Girocco potrząsnęła głową.

—

Okay, spójrz tutaj...i znowu się odwróciła...

Tym razem Girocco trzymała się za głowę i było jej trochę łatwiej. Ani na chwilę nie zamknęła oczu, ale to jej się na nic nie przydało. Znajdowała się w innej jaskini, znacznie mniejszej od hangaru ze statkami kosmicznymi.

- Temperatura tutaj jest bliska zera absolutnego. Są tu zamrożone próbki kilkuset

tysięcy gatunków zwierząt i roślin ziemskich. Część z nich zebrała Gaja. Pozostałe zamówiłam ja, tuż przed wybuchem wojny. Mam nadzieję, że któregoś dnia się przydadzą, tak jak te statki. Teraz zrób krok w górę...

Zrobiwszy to, Cirocco omal nie straciła równowagi. Gaby przytrzymała ją i nagle jej stopy znalazły się z powrotem na znajomym czarnym piasku. Zrobiła głęboki wdech.

—

Tak nie lubię - poskarżyła się.

—

Okay. Ale mam ci coś jeszcze do pokazania. Chcesz zobaczyć?

—

Tak.

—

- To złap mnie za rękę i nie bój się.

Cirocco posłuchała i obydwie uniosły się w górę.

Wiele razy już fruwała, w snach. Istniały dwie metody uprawiania tej czynności, mające prawdopodobnie coś wspólnego z psychologiczną prognozą pogody. Słaba

widoczność w mózgu, czyste powietrze w rdzeniu. Jedna metoda polegała na tym, że się siadało i po prostu leciało, niczym na perskim dywanie czarodziejskim. W ten sposób można było powoli oblecieć cały świat. Drugim sposobem było nagłe poderwanie się i poszybowanie

- tyle że lot nie dawał się tak kontrolować jak w samolocie.

Ten lot przypominał ten drugi sposób, niemniej jednak był bardzo precyzyjny. Leciwała z rozpostartymi ramionami, z początku trzymając Gaby za rękę, ale później puściła się i leciała samodzielnie ze złączonymi stopami i wyprostowanymi nogami.

Czuła, jak ogarniają cudowna beztroska. Wystarczyło wygiąć ręce do tyłu i już leciała szybciej. Dłonie funkcjonujące jak lotki mogły ją zatrzymać lub zawrócić. Dzięki ruchom stóp wzbijała się lub spadała. Eksperymentalnie wykonała kilka ciasnych obrotów i pętli.

Była jednak zasadnicza różnica w porównaniu z "normalnym" lataniem we śnie i szybko pojęła, że wiąże się to z inną kinestetyką. Choć spojrzenie wciąż zamazywała mgła, a jej umysł był jakby

znarkotyzowane, czuła zapach i smak powietrza, czuła, jak ono przepływa przez jej ciało, i - co najważniejsze - miała masę i bezwładność. W dolnych partiach pętli, pod naciskiem dodatkowych przyspieszeń, musiała wyprężyć sztywno ręce, czując, jak ściągają się jej policzki, uda i piersi.

Obejrzała się na Gaby, która leciała w taki sam sposób.

—  
To jest wspaniałe - powiedziała.

—  
Przypuszczałam, że ci się to spodoba. Ale nasz czas się kończy. Leć za mną.

Gaby odwróciła się i zaczęła się wznosić nad ciemną powierzchnią Dione. Cirocco

zrobiła, jak jej kazano. Leciała w tyle, zauważając, że wbrew woli przyśpieszyła. Przyłożyła ramiona do boków i podążała w górę w ślad za Gaby. Nie przypominało to latania samolotem.

Nie czuło się wysiłku, nie było słychać silników. Mknęły prosto w górę niczym rakiety.

Wkrótce doleciały do wlotu Szprychy Dione. Cirocco nie czuła już oporu powietrza, choć poruszały się prawdopodobnie z prędkością setek mil na godzinę. Na próbę rozłożyła ramiona

- nie poczuła wiatru. Obracanie rękoma albo nogami nie wywoływało żadnych efektów.

Mogła tylko lecieć za Gaby.

Szprycha Dione, tak jak wszystkie sześć szprych wielkiego koła, miała przekrój

owalny; długość dłuższej średnicy wynosiła około stu kilometrów, a krótszej pięćdziesiąt. W

miejscu jej połączenia z obręczą widniało szerokie wybrzuszenie w kształcie dzwonu, które stopniowo przechodziło w łukowaty dach obręczy. Na szczycie dzwonu znajdował się

zwieracz dający się szczelnie zamykać. Na drugim końcu, w pobliżu piasty, znajdował się drugi zwieracz. Otwierając i zamykając te zawory oraz naprężając trzystukilometrowe ściany szprychy, Gaja pompowała powietrze z jednego regionu do drugiego, ogrzewając je lub chłodząc, zależnie od potrzeby.

Z wyjątkiem Szprychy Okeanosa, która była jałowa, we wnętrzach tych

monumentalnych cylindrów tętniło bujne życie. W labiryntowych gałęziach, zagłębieniach drzew i w ścianach samej szprychy kwitły złożone ekosystemy.

Na Gai żyły dziesiątki gatunków aniołów, w większości zbyt różniące się od siebie, by móc się krzyżować. We wnętrzu Szprychy Dione żyły trzy gatunki albo rody, jak same siebie nazywały. Sam

szczyt, gdzie grawitacja prawie nie istniała, zajmował pająkkształtny ród lekkich: karłów pośród aniołów, obdarzonych przezroczystymi skrzydłami i skórą,

efemerycznych, niezbyt jaskrawo upierzonych i bardziej przypominających nietoperze niż ptaki. Lądowały bardzo rzadko, najczęściej tylko po to, by złożyć jajka, które potem pozostawiały na pastwę losu. Żywiły się wyłącznie liśćmi.

Środkowa część szprychy należała do orłów Dione, które były spokrewnione z rodami

orłów Rei, Fojbe i Kronosa. Orły nie tworzyły społeczności. Spotkaniu dwóch orłów nieomal zawsze towarzyszyła krwawa walka. Ich młode rodziły się w powietrzu i uczyły się latać podczas długiego spadku do obręczy. Większości się to udawało.

Zwyczajne lekkich i orłów znacznie odbiegały od sposobu życia pozostałych gatunków

gajańskich aniołów, które zakładały gniazda i karmiły swoje młode. Robiły to na wiele różnych sposobów. W jednym z gatunków żyjących w Tei występowały trzy odmiany płci: koguty, kury i neutra. Kury były ogromnymi nietotami, koguty małymi dzikusami. Do

inteligentnych zaliczały się tylko neutra, które opiekowały się żyworodnymi młodymi.

Z kolei dionskie najwyższe - zdaniem Cirocco nie najlepiej nazwane, ponieważ ich

terytorium znajdowało się w dole szprychy - były łagodnym gatunkiem, chętnie łączącym się w społeczności. Budowały na drzewach wielkie, podobne do uli gniazda z gałęzi, błota i własnych odchodów, które zawierały środek lepiący. W jednym gnieździe mogło mieszkać aż tysiąc najwyższych. Ich samice rodziły organizmy zwane łożyskoidami, morfologicznie podobne do jaj ssaków. W nich zawarty był embrion, który przywierał do żywego ciała Gai.

Dzięki temu cięższe samice nigdy nie były tak duże, by im przeszkadzały w locie, a młode mogły się dobrze rozwijać, zanim oderwano je od łona. Podobnie jak w przypadku ludzi najwyższe przez dłuższy czas pozostawały bezradne. Potrzebowały sześciu lub siedmiu lat, żeby się nauczyć latać.

Cirocco lubiła najwyższe. Były bardziej przyjazne niż większość aniołów, handlowały nawet z Bellinzoną. Powszechniej niż inne anioły używały narzędzi. Cirocco wiedziała, że jest niesprawiedliwa i nietolerancyjna - orły były mało przyjazne wyłącznie z powodu swojej biologii - ale nie umiała sobie z tym poradzić. Przez lata zdążyła się zaprzyjaźnić z wieloma najwyższymi.

Tak jak większość aniołów najwyższe przypominały bardzo szczupłych ludzi

obdarzonych gigantyczną klatką piersiową. Ich ciała były czarne i połyskliwe, stawy kolanowe wyginały się we wszystkich kierunkach, a zamiast stóp miały ptasie szpony.

Skrzydła wyrastały im nisko na grzbiecie, pod łopatkami. Kiedy je składały, "łokciowe"

stawy skrzydła sterczały im ponad głowami, a czubki długich lotek pierwszego rzędu ciągnęły się za nimi po ziemi.

Anioły miały jedną wspólną cechę z tytaniumu. Były stworzeniami wymyślonymi

stosunkowo niedawno, jako wariacje Gai na temat człowieka. Puste kości, ogromne skrzydła, wielkie mięśnie i całkowity brak tłuszczu tych latających ludzi stanowiły ukoronowanie inżynieryjnych talentów Gai. Przy samej obręczy większe anioły potrafiły udźwignąć więcej, niż wynosiła waga ich ciał. Wolały żyć w tych obszarach szprych, w których grawitacja była niższa.

Oprócz zwyczaju zakładania gniazd jeszcze dwie inne cechy wyróżniały najwyższe.

Jedną z nich było ubarwienie. Samice miały zielone pióra, a samce czewrone. U obu płci części ogonowe były czarne, wyjąwszy okres godowy, kiedy samicom wyrastały kogucie pióropusze, które po rozłożeniu stanowiły wspaniałą widok. Nie miały żadnych innych zewnętrznych cech płciowych.

Ponadto nie posiadały imion. Ich język nie zawierał pier-wszoosobowych zaimków liczby pojedynczej. Używały najwyżej zaimka “my”, chociaż nie potrafiły myśleć w kategoriach społecznych. Istniały jako jednostki.

W pewien sposób utrudniało im to porozumiewanie się. Bardzo się jednak starały.

Najwyższe nie zdziwiły się bardzo, gdy zobaczyły w swym gnieździe lądujące lekko

jak puch Gaby i Cirocco. We wnętrzu szprychy padał deszcz i wejście było osłonięte zasłoną ze skóry śmieszka. Gaby uchyliła zasłonę i Cirocco zagłębiła się razem z nią w ciemność.

Cóż to za dziwny sen - pomyślała. Jeszcze przed chwilą potrafiła latać, a gdy tylko wylądowała w gnieździe, jak zwykle zaczęła się potykać.

Szereg prętów osadzonych w ścianach zbudowanych z budulca przypominającego

cegły suszone na słońcu służył za klatkę schodową. Anioły zaczepiały się o pręty stopami, Cirocco mogła się tylko na nich wieszać i wmawiać sobie, że to drabina. Długa pozioma żerdź stanowiła odpowiednik krzesła. Najwyższe mościły się na niej bez trudu.

Razem z Gaby dotarły do drugiego końca gniazda, które przylegało do ściany

szprychy. Cała ściana była w tym miejscu upstrzona dziećmi najwyższych, które osadzone były w kieszeniach ciała Gai. Niektóre nie były większe od strusich jaj, a inne wielkością dorównywały ludzkim niemowlętom i trzeba było stale pilnować, by nie poprzerywały

pępowin. Opiekę nad dziećmi sprawowali na zmianę wszyscy członkowie stada.

Podstawa łożyskowej kolonii była jedynym płaskim i dostatecznie szerokim

fragmentem podłoża gniazda, które można było uznać za podłogę. Gaby i Cirocco doszły do tego miejsca i usiadły po turecku. Cirocco przypomniała sobie, że należało przynieść jakiś prezent.

Wystarczyłoby cokolwiek - najwyższe uwielbiały jaskrawe przedmioty. Składanie im wizyt wymagało tego typu uprzejmego gestu. A ona nawet nie miała ubrania.

Gaby też była naga, ale gestem magika otworzyła zaciśniętą dłoń i podała stary

reflektor rowerowy, który zmieniał barwy, kiedy się go obracało. Najwyższym strasznie się spodobał, zaraz zaczęły go sobie podawać.

—

To bajeczny podarek - powiedział jeden z nich.

—

Niezwykłe świecący - zgodził się drugi.

—

Elegancki i figlarny - orzekł inny.

—

Jesteśmy urzeczeni - wtrącił czwarty.

—

Będzie czczony jak świętość.

Trajkotały jeszcze dłuższą chwilę. Cirocco i Gaby wreszcie udało się im przerwać.

Same zaczęły w wymyślny sposób wychwalać urodę, rozum, grację, spryt i eleganckie cechy lotu swych gospodarzy. Chwałyły kolonię, gniazdo, gałąź, skrzydło, szwadron i cały ród nieocenionych najwyższych. Jedna z przeżywających okres godowy samic była tak

wzruszona, że w erotycznym pokazie rozpostarła skrzydła w ogonie. Chociaż Cirocco ledwie ją widziała w mroku, przyłączyła się do pozostałych w chwaleniu płodności i dzielności tej samicy, używając słów tak dosadnych, że zaczerwieniłaby się od nich prostytutka.

- Czy chcecie coś... zjeść? - spytał jeden z nich. Pozostali odwrócili wzrok i dyskretnie umilkli. Było to coś nowego dla najwyższych, coś, co dopiero wypróbowywali w ich

stosunkach z ludźmi. Zwyczajowo nigdy nie prosili o jedzenie ani też nikogo nie częstowali poza własnym gniazdem. Inne gniazda nie odmawiały pożywienia umierającemu z głodu

najwyższemu, niemniej większość najwyższych wolałaby raczej umrzeć niż o nie poprosić.

Zaproszenie do posiłku wygłosił anioł o najniższym statusie w gnieździe, stary,

kości i najprawdopodobniej bliski śmierci samiec.

—  
Raczej nie - powiedziała pogodnie Cirocco innemu aniołowi.

—  
Jesteśmy objedzone, absolutnie objedzone - przytaknęła jej Gaby.

—  
Jeszcze jeden gram, a nie mogłybyśmy latać - zauważyła Cirocco.

—  
Wstrzemięźliwość jest cnotą.

Ani razu nie spojrzały na tego, który pytał, w ten sposób starając się podzielić ciężar zażenowania, co też należało do nakazów uprzejmości. Najwyższe zacmokały na znak, że to im się podoba, i zaczęły chwalić dobrobyt ich gości.

Nagle Cirocco przypomniała sobie, że spotkała już tego najwyższego nad Japetosem, kiedy anioł śmierci unosił Adama.

- No dobrze, dlaczego przybyłyśmy do waszego gniazda?

- spytała Cirocco, adresując to pytanie do całej grupy aniołów, a nie do Gaby, i odwracając je w taki sposób, by wprowadzić je w jak najmniejsze zakłopotanie.

—  
Tak, to najbardziej interesujące - stwierdził jeden z nich.

—  
Dlaczego tu przybyły, dlaczego tu przybyły?

—  
Jedna jest z powietrza, druga ze snu.

—  
Sny w gnieździe, jakie to dziwne.

—  
Ta, która płonie. Dlaczego tu przybyły? Gaby chrząknęła i wszyscy spojrzeli na nią.

—  
Przybyliśmy z tego samego powodu, co w przeszłości - powiedziała. - Żeby wysunąć oskarżenie przeciwko Gai i poczynić dalsze przygotowania do wojny z nią, jak również z wszystkimi jej majątkami i gniazdami.

- Dokładnie! - wtrąciła Cirocco, która nie mogła być bardziej zdezorientowana. -

Takie dokładnie są nasze zamiary. Zgłębić... najbardziej błyskotliwe strategie i taktyki.

—  
Jakże precyzyjnie! - wykrzyknął entuzjastycznie jeden z aniołów.

—  
Och, przeklinam ten dzień!

—  
Gniazdo Gai nisko upadnie.

—  
Tralalala - powiedział jeden anioł. Zawsze to mówiły na znak, że nie mają nic do powiedzenia, ale nie chcą wypaść z rozmowy.

—  
Tralalala - zgodził się inny.

Łatwo było uznać, że diońskie najwyższe są przyjaznymi kretynami

przypominającymi zidiociałych uczonych, posługujących się obszernym i

wyspecjalizowanym słownictwem. Tak naprawdę były jednak zupełnie inne. Język angielski sprawiał im po prostu rozkosz, jako nielogiczny, płodny i znakomicie pasujący do ich naturalnej chęci wprowadzania zamieszania i nieporozumień, a także obchodzenia jasnych znaczeń wszędzie tam, gdzie to było możliwe.



—  
Dość gwałtownie - odpowiedziała Gaby.

—  
O tak, tak bardzo gwałtownie. Dużo cierpienia.

—  
I ostrożnie, bardzo ostrożnie.

—  
Taktyka - rzekł któryś. - Taki leksykon taktyki. - Po sposobie, w jaki to powiedział, Cirocco wiedziała, że należało to przetłumaczyć jako "Jak ją pokonamy?"

Gaby zrobiła ten sam zręczny ruch rękoma. Nie ma nic w rękawie - stwierdziła

Cirocco. Przez chwilę wiedziała, jak muszą się czuć pozostali, kiedy sama uprawiała własne nędzne sztuczki magiczne.

Wyciągnęła czerwoną laskę, która była z pewnością dynamitem - zresztą widniała na niej nalepka z napisem DYNAMIT: madę in Bellinzona. Na jej widok anioły umilkły.

Cirocco wzięła laskę i obróciła ją w dłoniach. Anioły westchnęły jednogłośnie.

—  
Skąd to masz? - spytała Cirocco, momentalnie zapominając o pozostałych. -

Niczego takiego nie produkujemy w Bellinzonie.

—  
To dlatego, że zaczniecie go wyrabiać dopiero po upływie następnego kiloobrotu -  
powiedziała Gaby.

—  
Efemeryda! - zakrzakał jakiś najwyższy. - To efemeryda!

Nicość pozbawiona treści - zawyrokował inny.

—

Jeszcze niewykonany? Cóż za farsa! Łaskawie wprowadza nas się w błąd.

—

Jeszcze nie istnieje - podsumował inny. - Jak ta Cirocco.

—

Przestań mataczyć - padła prośba.

—

Czy zapomniałaś, że to sen? - przypomniano Cirocco.

—

Dynamit! Dynamit! Dynamit!

—

Będzie dynamit - potwierdziła Gaby. - Kiedy nadejdzie pora do walki z Gają,  
dynamit będzie już istniał od jakiegoś czasu.

—

Będzie już istniał! Prawdziwie stratosferyczny czasownik.

—

Jak najszczerzej.

—

Iluzja? - spytał jakiś młodszy najwyższy, marszcząc czoło i nadal wpatrując się w  
dynamit w ręku Gaby.

—

Błędny ognek - wyjaśnił inny.

—

Marionetka! Fantazja na temat grochu z kapustą, przed-przebarwiająca, infra-

zgasła, ulotna farsa - wykrzykiwał inny, skutecznie zagłuszając debatę.

Zapatrzyli się znowu na dynamit, nastąpiła cisza przerywana tylko szelestem piór. Po chwili Gaby sprawiła, że zniknął, wrócił tam, skąd pochodził - do przyszłości, domyśliła się Cirocco.

—  
Ach - westchnął wreszcie któryś.

—  
Rzeczywiście - potwierdził inny. - Mój Boże, cóż będziemy mogli osiągnąć z takim okrucieństwem! - wykrzyknął.

—  
To prawda, będziecie mogli - potwierdziła Gaby. - A teraz opowiedzcie nam o tym ze szczegółami.

I Gaby opowiedziała dokładnie o wszystkim.

Kiedy skończyła, nastąpił zwyczajowy poczęstunek seksem. Zarówno Gaby jak i Cirocco przyjęły go, bo tak dyktowała uprzejmość.

Przeszły przez rytuał zalotów, który Cirocco zawsze przypominał ludowy taniec.

Część mieszkańców gniazda śpiewała i wyklaskiwała rytm. Partner Cirocco był wyjątkowym okazem. W trakcie "konsumowania" aktu otulił ją jaskrawoczerwonymi skrzydłami.

Jeszcze jedną rzecz uważała za atrakcyjną u najwyższych. Nie mieli w sobie ani

krztyny ksenofobii. Ponieważ byli ludem plemiennym, ich kultura zawierała wiele rytuałów, obyczajów i tradycji, ale była też elastyczna. Poczęstunek seksem odbywający się podczas wizyty u najwyższych był całkowicie szczerzy i aktu nie udawano. Sformalizowali ten rytuał

wyłącznie na użytek odwiedzających ich ludzi. Prawdziwy seks z najwyższym byłby

groteskowy dla obojga uczestników. Podczas rytuału samiec tylko dotykał ją lekko swym małym penisem, którego jednak wcale nie obnażał, i wszyscy byli zadowoleni. Cirocco zrobiło się weselej. W jakiś sposób czuła się kochana.

Prawie zapomniała, że to sen, dopóki nie wylądowały na czarnym piasku i nie

zobaczyła swojego śpiącego ciała. Tuż obok na ugiętych nogach spoczywał Piszczalka i rzeźbił coś, odpoczywając. Podniósł wzrok i skinął im głową.

Cirocco pocałowała Gaby na pożegnanie i odprowadziła ją wzrokiem, kiedy odlatywała. Potem ziewnęła, przeciągnęła się i spojrzała na siebie. Czas się obudzić - pomyślała z przymusem.

Raz jeszcze zdumiała się, jak łatwo coś fantastycznego stawało się powszedniością.

Uklękła przy swoim śpiącym ciele, przypominając sobie, jak to było ostatnim razem, i nachyliła się nad nim.

Krzyknęła zaskoczona, kiedy uderzyła w ciepłe, muskularne ciało zamiast w piasek,

tak jak się spodziewała. Leżała przez chwilę rozciągnięta na swoim śpiącym ciele, a potem zerwała się gwałtownie, jakby się zorientowała, że wylądowała na mrowisku. Stała

przeżrana, a tymczasem ta druga Cirocco drgnęła, przyłożyła dłoń do twarzy... potem przewróciła się spokojnie na bok i znowu zasnęła.

Odwróciła głowę i zobaczyła, że Piszczalka patrzy na nią. Co on widzi? Nie

wiedziała, czy będzie umiała kiedykolwiek go o to zapytać.

- Nie jestem jeszcze gotowa - powiedziała głośno. Westchnęła jednak, uklękła na

piasku i z wahaniem dotknęła ciała. Znowu było inne. Należało do wysokiej, silnej, opalonej i niezbyt ładnej kobiety.

Ujęła dłoń tej drugiej Cirocco, która drgnęła nieznacznie i coś do siebie mruknęła.

Potem otworzyła oczy i szybko usiadła.

Nastąpił chwilowy zawrót głowy i po chwili była już tylko jedna Cirocco. Rozejrzała się szybko wokół, ale nikogo nie zauważyła.

- Tylko ty i ja, dziecko - powiedziała do siebie i poszła do Piszczalki.

Dwadzieścia pięć

Historycy, których Bellinzona w końcu wydała, nigdy do końca nie byli pewni, kiedy nastąpiła zmiana. Miasto zrodziło się z chaosu, wyrastało w zamieszaniu, zostało podbite w nieładzie. Był krótki okres, kiedy mieszkańców obozów pracy było prawie tylu co wolnych obywateli.

Conal, nieformalnie zbierający opinie obywateli, nie wykrył żadnego dramatycznego

skoku w morale czy w stopniu aprobaty Cirocco Jones, nawet po ataku powietrznym.

Podejrzewał, że jest to spowodowane różnymi czynnikami.

Jednakże cokolwiek było tego powodem, w którymś momencie między szóstym a

dziwiałym kiloobrotom po inwazji Cirocco Bellinzona przestała być wrzącą mieszanką krnąbrnych jednostek i stała się społecznością - w ramach określonego przez ludzi znaczenia tego terminu. Nie było w tym nic dramatycznego, że wszyscy nagle postanowili być braćmi.

Nadal istniały głęboko zakorzenione różnice, na posiedzeniach Rady uwidaczniające się niejako najsilniej. Niemniej jednak po upływie niecałych dziewięciu obrotów Bellinzona stała się miastem obdarzonym tożsamością i celem.

Zadziwiająco wiele wspólnego z tym miała piłka nożna.

Dzięki obsesji Serpenta połączonej ze sporą pomocą talentów organizacyjnych Robin i ochoczą pracą zarządcy parków wkrótce powstały dwie ligi liczące po dziesięć drużyn seniorów. Oprócz tego istniały również drużyny juniorów i młodzików. Trzeba było

wybudować drugi stadion, aby pomieścić taką liczbę namiętnie rozgrywanych meczy i takie rzesze zagorzałych widzów. Temu warto było kibicować. Rodzili się lokalni bohaterowie, nawiązywała się rywalizacja między dzielnicami. Było o czym rozmawiać w knajpach po długim i znojmym dniu pracy. Niektórzy mieli o co się bić. Tytanie zrzeszone w policji otrzymały polecenie, że nie mają interweniować, jeśli w ruch idą tylko gołe pięści. Kiedy rozeszły się wieści o tym bezprecedensowym sposobie egzekwowania prawa, wybuchły

wielkie zamieszki, paru ludzi zostało rannych... a Burmistrz nic nie zrobiła. Nawet to wydawało się wpływać dodatnio na ducha wspólnoty. Do akcji zaczęły wkraczać jednostki obdarzone bardziej umiarkowanym temperamentem, które kładły kres walkom, odkąd świeżo upieczeni obywatele zaczęli się uczyć wzajemnej tolerancji.

Co nie oznacza, że liczba połamanych nosów się zmniejszyła.

Wiązało się to jakoś również z odlotem Gwizdka. Któregoś dnia zwyczajnie odfrunął i już nie wrócił. Ludzie jakby odetchnęli swobodniej. Zbyt rzucił się w oczy, stanowiąc symbol ucisku. Był tylko starą torbą pełną wiatru, zupełnie nieszkodliwą, ale ludzie nie lubili jego obecności nad swoimi głowami i ucieszyli się, gdy zniknął.

Liczba tytani zmalała, a te, które zostały, były mniej widoczne. Mówiąc dokładniej, siły okupanta zmniejszyły się o połowę w dniu, w którym Cirocco wróciła z wyprawy do Fontanny, a po upływie następnego kiloobrotu znowu zostały zdziesiątkowane. Władzę przejęła policja złożona z ludzi i tytanie interweniowały jedynie w przypadkach największych zbrodni. Przesłupstwa gospodarcze zupełnie ich nie interesowały.

Zarówno jakość jak i ilość żywności zwiększyła się, ponieważ przybyło terenów

uprawnych, a ci, którzy je uprawiali, nauczyli się robić to lepiej. Na targowiskach zaczęło się pojawiać mięso śmieszków, a jego ceny stopniowo spadały. Dzięki nadaniom ziemi zaczęli się pojawiać rolnicy indywidualni i nikt się nie dziwił, że pracowali znacznie wydajniej niż przymusowi robotnicy.

Problemem nadal była inflacja, ale - mówiąc nieśmiertelnymi słowami jednego z gospodarczych raportów Novy - "stopa wzrostu stopy wzrostu spadała".

Większość ludzi uważała, że główny powód podniesienia morale jest oczywisty:

tchórzliwy i niczym nie sprowokowany, jak później się dowiedziano, atak Szóstego Skrzydła Myśliwsko/Bombowego Gajańskich Sił Lotniczych, z bazą w Jape-tusie. Szóste skrzydło składało się z Luftmordera i dziewięciu rakiet. Nadleciały z wrzaskiem pierwszego

pogodnego dnia, który nastąpił po wielu dekaobrotach deszczu, przyłapując ludzi poza domami, kiedy cieszyli się ciepłem, od którego bardzo już odwykli.

"Tchórzliwy i niczym nie sprowokowany atak" były określeniami użytymi przez Trini

w przemówieniu, które wygłosiła dwadzieścia obrotów później, kiedy wciąż porządkowano ruiny. Użyła zresztą sformułowań jeszcze bardziej namiętnych; przepełniająca ją nielogiczna, dyktowana emocjami furia kazała jej nazwać ten atak dniem, który przejdzie do niesławy.

Z wyjątkiem słowa "dzień" cała ta fraza była zadziwiająco precyzyjna.

- Gaja mi niezwykle pomaga, niech diabli porwą jej nieszczęsną skórę - powiedziała Cirocco na następnym posiedzeniu Rady. - Podaje mi Pearl Harbour na srebrnym półmisku i na dodatek zwycięskie. Musi być chyba zrozpaczona, skoro jest tak hojna. Wie, że dzięki rodzącemu się patriotyzmowi niedługo już do niej przybędę.

Szóste Skrzydło Myśliwsko/Bombowe spowodowało w mieście ciężkie straty swymi

bombami i pociskami raketowymi. Gdyby atak był kontynuowany, albo gdyby przyłączyło się do niego Ósme Skrzydło, o którym Cirocco wiedziała, że stacjonuje w Metis, miasto zmieniłoby się w piekło.

Na szczęście w samą porę przybyły Bellinzońskie Siły Powietrzne.

Fakt, że istnieją jakieś Bellinzońskie Siły Powietrzne, był nowością dla

Bellinzończyków i ci, którzy odważyli się wychylić ze schronów, obserwowali zadziwieni, jak Ważki, Modliszki, Trzmiele i Komary wciągają grasujące nad miastem aeromorfy w śmiertelny bój. Nie wiedzieli również, że Szóste było przegrane od samego początku.

Ogromne, szybkie i głośne rakiety ciągnęły za sobą wielkie chmury czarnego dymu i pluły podczas ataku ogniem. Samoloty bellinzońskie wyglądały jak konstrukcje z drutu i celofanu.

Potrafiły jednak zawracać i skręcać z zawrotną łatwością i chociaż ich uzbrojenie nie wywoływało zbyt wiele hałasu, kiedy już trafiło w cel, osiągało zawsze pożądany rezultat.

Trzy Modliszki spędziły najpierw z przestrzeni nad miastem wielkiego, sunącego niezgrabnie Luftmordera, potem ściagały go wrzeszczącego w agonii, dopóki nie wpakował się w zbocze góry i tam eksplodował. W tłumie przerażonych Bellinzończyków rozległo się kilka nieśmiałych wiwatów.

Byłaby to druzgocąca klęska rakiet, gdyby nie brak doświadczenia niektórych bellinzońskich pilotów. Jeden dał się ogłupić jakiejś szczególnie sprytnej rakiecie, stracił skrzydło i utonął w morzu. Jego ciało wyłowiono i spontanicznie utworzony orszak przeniósł je po bulwarze Oppenheimera. Później wzniesiono mu pomnik jako bohaterowi Wojny z Gają.

Tak więc zwycięstwo w Bitwie o Bellinzonę było z pewnością ważnym czynnikiem zmiany, jaka dokonała się w mieście. Jednakże zasadniczy element tej zmiany ujawnił się wraz z powrotem Cirocco z wyprawy do Fontanny.

Stała się postacią publiczną.

Po upływie hektoobrotu drogi dojazdowe do Bellinzony zostały przystrojone plakatami z podobizną jej twarzy. Były to monumentalne plakaty, wykonane na podobieństwo wielkich sztandarów z wizerunkami Lenina i Susłowa, które w Moskwie noszono w pochodach pierwszomajowych. Kto na nie spojrzał, wiedział od razu, że Cirocco Jones oznacza braterstwo, solidarność, trzy posiłki dziennie i dobrobyt proletariatu.

Tablice z biuletynami informacyjnymi przekształciły się w centra informacyjne, wielkie ściany oblepione były wiadomościami, opowieściami i wynikami meczy w piłkę nożną.

Rozwinął się raczkujący przemysł gazetowy, który tworzyło zaledwie cztery czy pięć sporadycznie wydawanych płacht pergaminu. Przemysł ten został potajemnie opanowany.

Wydawcom przemówiono do rozumu, a jednego wsadzono do aresztu. Zaczęły krążyć opowieści o Gai i Nowym Pandemonium, pogłoski o przygotowaniach do wojny na

wschodzie. To, że te opowieści były prawdziwe, nie zmieniało faktu, iż środki masowego przekazu w Bellinzonie należały wyłącznie do państwa. Wielu ludziom w rządzie to się nie podobało. Mniej

więcej taka sama liczba uważała, że to dobry pomysł. Cirocco stwierdziła, że zawsze i wszędzie liberałów i faszystów jest mniej więcej tyle samo.

Stuart i Trini nienawidzili tego stanu rzeczy, choć wcale nie dlatego, by wierzyli w jakąś moralną wartość swobód obywatelskich. Patrzyli bezradnie, jak Cirocco chwyta coraz silniej za gardło bellinzońską opinię publiczną. Zdawali sobie sprawę, że dopóki będzie utrzymywała siły bezpieczeństwa i tłumiła działalność opozycyjną, pozostanie burmistrzem aż do śmierci. Co w jej przypadku mogło równie dobrze potrwać tysiąc lat.

Z drugiej jednak strony istniała również szansa, że nie przeżyje następnego kilobrotu.

Zacząła występować publicznie. Odbył się szereg spotkań, wieców, parad. Mieszała

się z grupami ludzi, ścisła im ręce, całowała dzieci, spotykała się z przywódcami społeczności. Przecinała wstęgi na nowych budowach.

Wygłaszała przemówienia. Były to dobre przemówienia, dobre z tego samego powodu

co plakaty: Cirocco znalazła ludzi, którzy potrafili malować, a także takich, którzy umieli pisać przemówienia, i zagnała ich do roboty.

Wszystko to było bardzo zręczne. Nawet Trini i Stuart musieli się z tym zgodzić.

Czuli to w jej obecności: tę siłę, która wydawała się z niej emanować, moc, która sprawiała, że w jej towarzystwie człowiek czuł się dobrze, i że dobrze o niej myślał podczas jej nieobecności. Potrafiła być wszystkim, czego wymagała sytuacja. W tłumie zachowywała się zwyczajnie. Na podium była poruszająca, porywająca... albo przerażająca, kiedy mówiła o zagrożeniu ze strony Gai.

Trini zaczęła ją nazywać Charyzmatyczną Jones, przynajmniej wtedy, gdy jej akurat

nie było w pobliżu. Na szczęście ostatnio przestała się tajemniczo pojawiać nie wiadomo skąd i równie tajemniczo zniknąć. Cirocco stała się wszechobecna.

Trini wiedziała, że Cirocco wiele ryzykuje. Pomimo wysokich notowań jej

popularności, wciąż wielu było takich, którzy jej nienawidzili. W ciągu trzech kilobrotów dwukrotnie próbowano ją zabić. Gdyby wcześniej, podczas pierwszych dni jej rządów, częściej pokazywała się publicznie, z pewnością byłoby więcej zamachów. Teraz, w

otoczeniu tłumów, stanowiła łatwy cel. Gdyby dostępna była broń, nie miałaby żadnej szansy.

Na razie ci, którzy podchodzili do niej z nożami, ginęli w ciągu kilku sekund. Cirocco była zbyt dobra, by potrzebować tłumy strażników ochrony osobistej.

Do czasu. Któregoś dnia jakiś bardzo dobry łucznik spróbuje.

Ale poza tym dobrze się żyło w Bellinzone.



Kiedy Cirocco zaczęła organizować armię, wydawało się, że jest to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem.

Dwadzieścia sześć

—  
Nie podoba mi się ten pomysł z wojskiem - oświadczyła Robin.

—  
Dlaczego nie? Wszyscy mają takie same szanse. Będą regimenty męskie i regimenty kobiece. Żołd jest wysoki, wyżywienie znakomite...

—  
Już od dawna nie wyczuwam, kiedy żartujesz.

—  
Robin, kiedy rozmawiamy o wojsku, żartuję cały czas. To jedyny sposób, w jaki mogę to strawić.

Robin spojrzała na Cirocco Jones, która siedziała na grzbiecie Piszczalki. Sama dosiadała Valihę. W pobliżu dreptała nieletnia Tambura, żwawa i radosna jak wszystkie młode tytanie, ciesząc się, że bierze udział w tej edukacyjnej wyprawie razem ze swą przednią matką, Piszczalką oraz dwojgiem ludzi.

Czarodziejka, Kapitan, Burmistrz... Demon. Cirocco była tym wszystkimi i była też przyjaciółką. Jednakże czasami Robin odczuwała prawdziwy lęk. Kiedy ją widziała na wielkich wiecach na stadionie, obserwowała, jak tłumy wiwatują wraz z każdym jej słowem... zbyt bardzo przypominało jej to wielkich demagogów znanych z historii, złotoustych łotrów, którzy prowadzili swój naród do klęski. Była taka obca, kiedy stała z ramionami wzniesionymi ku górze, spijając aprobatę tłumów.

Jednakże podczas tych rzadkich okazji, kiedy nikt im nie towarzyszył, była zwykłą

Cirocco. Naturalnie, Robin zawsze czuła się nieco przytłoczona jej osobowością, ale w zupełnie inny sposób.

Cirocco zdawała się wyczuwać nastrój Robin. Odwróciła się w jej stronę i pokręciła głową.

—  
Przypomnij sobie, co ci powiedziałam, jeszcze w Junction - powiedziała Cirocco.

- Wtedy, dopiero gdy to planowałyśmy. Uprzedzałam, że ci się to nie spodoba. Ale kazałam ci też pamiętać, że to wszystko nie jest takie, jakim się wydaje.

—  
Wsadziłaś redaktora do więzienia... Chciało mi się rzygać. To dobry człowiek.

—  
Wiem o tym. Podziwiam go. Kiedy to wszystko się skończy, a ja przeżyję,

wykorzystam wszystkie wpływy, jakie mi zostaną, aby go odpowiednio uhonorowano. Może mianuję go szefem szkoły dziennikarstwa... On i tak będzie mnie nienawidził przez resztę życia. I będzie miał ku temu powody.

Robin westchnęła.

- Cholera. Trini albo Stuart wsadzą go z powrotem, gdy tylko się upewnią, że już cię nie ma.

Kierowały się prawie prosto na zachód, w samo jądro ciemności Dione. Tytanie

przewiozły je przez “niezłębioną” dżunglę i “niebotyczne” góry z taką samą łatwością, z jaką dwa czołgi posuwają się po brukowanej drodze. Przepłynęły przez Ophion i teraz zbliżały się do centralnego, pionowego kabla Dione. Przypominało to ziemską noc z

księżycem w pełni. Za nimi Japetus zakrzywiał się do wnętrza koła, a przed nimi leżała Metis.

Obydwa regiony dawały wystarczająco dużo światła, by tytanie widziały drogę przez Metis.

Tambura zapuszczała się w lewo i prawo od głównego szlaku, ale delikatnie upominana przez Valihę zawsze wracała i ani razu nie popadła w żadne tarapaty. Dzieciom tytanii nigdy się to nie zdarzało.

Cirocco nie wspomniała ani słowem, co jest celem tej wyprawy. Robin myślała, że

centralny kabel jest tylko drogowskazem na ich drodze do celu, ale kiedy do niego dotarli, tytanie się zatrzymały.

- Z przyjemnością będziemy ci towarzyszyć, Kapitanie - powiedziała Valiha. - To

miejsce nie wywołuje w nas strachu.

Była to aluzja do instynktownego przerażenia, jakie tytanie odczuwały przed

centralnymi kablami i stworzeniami, które żyły w ich wnętrzu. Dwadzieścia lat wcześniej, złapani w

pułapkę skalnej lawiny pod centralnym kablem Tetydy, Robin i Chris przeszli koszmar przepędzania Valihy po pięćciokilometrowych, spiralnych schodach do samego legowiska Tetydy - kapryśnego, owładniętego maniami prześladowczymi, przerażającego i, na całe szczęście, krótkowidzącego gorszego boga. I.Q. Valihy obniżał się wraz z każdym stopniem, aż na samym dole stała się nie bardziej inteligentna od zwykłego konia, a za to dwa razy bardziej płochliwa. Spotkanie zakończyło się tym, że Valiha złamała obydwie przednie nogi, a Robin przeżyła nie kończący się koszmar.

Tytanie w żaden sposób nie mogły sobie poradzić z tym strachem. Gaja tak je zaprogramowała.

Jednakże Dione nie żyła i to najwyraźniej stanowiło jakąś różnicę.

—

Dziękuję za tę propozycję, moi przyjaciele, ale wolałabym, żebyście tu na nas

poczekali. Nasza sprawa nie zabierze dużo czasu. Macie za to okazję nauczyć to bezużyteczne stworzenie trochę wdzięku i godności, z jakiej słynie wasza rasa, a której jej tak bardzo brakuje.

—

Hej! - zaprotestowała Tambura i rzuciła się na Cirocco, która uskokczyła w bok,

schwyciła ją i udawała, że zapamiętała się z nią mocuje, aż w końcu młodą tytanie porwał taki atak śmiechu, że nie były w stanie kontynuować zabawy. Cirocco poprawiła włosy i ujęła Robin za rękę. Weszły razem w las włókien kabla.

Do wnętrza Dione prowadziło dwadzieścia tysięcy stopni, a każdy z nich miał

wysokość dwudziestu pięciu centymetrów. Nawet przy 1/4 g było to cholernie dużo stopni.

Robin była wdzięczna Cirocco za to, że zabrała z sobą potężną latarkę. W kablu

płonęło naturalne światło, wydzielane przez stworzenia zwane światłoptakami, które przywierały do wysokiego, łukowatego sklepienia, ale było ono mętne i pomarańczowe, a poza tym napotykało się długie odcinki, gdzie zwierzęta nie miały swych gniazd.

Maszerowały dłuższy czas w milczeniu.

Robin pojęła, że prawdopodobnie nigdy nie będzie miała lepszej okazji do rozmowy z Cirocco na temat tego, co przysparzało jej tyle bólu. Nowa, ulepszona, wspaniała Burmistrz miała ostatnimi dniami niewiele czasu na rozmowę z przyjaciółmi.

—

Nie sądzę, abyś jakimś cudem nie wiedziała o mnie i Conalu.

—  
Masz rację. To niemożliwe.

—  
On znowu chce się do mnie wprowadzić.

—  
Dlaczego go wyrzuciłaś?

—  
Ja nie... - Ale to była prawda. Stwierdziła, że może się do tego przyznać. Minął już od tego czasu prawie cały kilooobrót, podczas którego niezbyt wiele spała. Pewnie

odzwyczaiłam się od spania samotnie, wmawiała sobie, ale wiedziała, że to coś więcej.

—  
Chyba chodzi tu częściowo o Novę - powiedziała. - Za każdym razem, kiedy na nią patrzyłam, widziałam, że mnie oskarża i czułam się winna. Chciałam na powrót się do niej zbliżyć.

—  
Wyszło całkiem nieźle, co?

—  
Ta bezczelna, świętoszkowata, przemądrzała... - Ugryzła się w język, nie dając się do końca opanować złości. - Mam tylko ją - powiedziała bezradnie Robin.

—  
To nieprawda. I to nie fair wobec niej.

—  
Ale ja...

—  
Posłuchaj przez chwilę - wtrąciła Cirocco. - Myślałam o tym trochę. Myślałam o

tym od uczty, na której złożyliśmy Przysięgę i zaczęliśmy planować przejęcie Bellin-zony.

Ja...

—  
Więc wiedziałaś?

—  
Nie znoszę widoku przyjaciół uwikłanych w takie tarapaty. Trzymałam się od tego z daleka, bo ludzie nie lubią wysłuchiwać rad w takich sprawach. Ale miałabym kilka. O ile chcesz je usłyszeć.

Robin nie chciała. Nauczyła się, że spostrzeżenia i plany poczynione przez Burmistrza są zazwyczaj właściwe - i najczęściej nie są tym, co chciałoby się zrobić.

- Chcę - powiedziała.

Robin naliczyła trzysta stopni, zanim Cirocco ponownie się odezwała. Wielka Matko, pomyślała. To musi być naprawdę coś okropnego, skoro ona potrzebuje tyle czasu na

znalezienie właściwych słów. Za kogo ona mnie ma?

- Nova jeszcze nie poznała różnicy między złem i grzechem.

Robin naliczyła kolejne pięćdziesiąt stopni.

—  
Może ja też nie - powiedziała wreszcie.

—  
Ja naturalnie daję do zrozumienia, że ja tak - powiedziała Cirocco chichocząc. -

Pozwól, że ci powiem, co myślę, a ty zrobisz z tym, co będziesz chciała.

Kolejne dziesięć stopni.

- Grzech to pogwałcenie praw plemiennych - zaczęła Cirocco. - Na Ziemi, w

większości społeczeństw, to, co praktykowałyście w Kongregacji, byłoby grzechem. Jest na to jeszcze inne słowo. Perwersja. Od zarania dziejów większość ludzi zawsze uważała

homoseksualizm za perwersję. Słyszałam setki teorii wyjaśniających, dlaczego ludzie stają się homoseksualistami. Lekarze twierdzą, że to się dzieje w dzieciństwie. Biochemicy mówią, że to

wszystko przez związki chemiczne, które znajdują się w mózgu. Wojujące pedały twierdzą, że bycie gajem jest czymś dobrym, i tak dalej.

W Kongregacji twierdzicie, że mężczyźni są źli i tylko zła kobieta mogłaby się z takim połączyć w parę.

—

Ja nie wyznaję żadnej teorii. To mnie nie interesuje. Dla mnie nie jest ważne, czy ktoś jest heteroseksualny, czy homoseksualny.

—

Ale dla was to było ważne. Tobie samej się wydaje, że zgrzeszyłaś przez uprawianie stosunków płciowych z mężczyzną. Że jesteś zboczona.

Robin musiała przejść pięćdziesiąt stopni, zanim to przemyślała. Ta myśl faktycznie nie była jej zupełnie obca.

—

Nie wiem, czy mi to w czymś pomoże - powiedziała w końcu.

—

Nie obiecuję, że pomoże. Myślę, że twoją jedyną szansą jest spojrzeć na to

obiektywnie. Ja próbowałam. Wyciągnęłam wniosek, że z powodów, których nie rozumiem, jedni ludzie są tacy, a drudzy inni. Na Ziemi, gdzie z przeważających względów należało być heteroseksualnym, zawsze znajdowali się odmieńcy. Kongregacja jest lustrzanym odbiciem.

Podejrzewam, że żyje tam całkiem spora liczba nieszczęśliwych kobiet. Prawdopodobnie nawet nie wiedzą, co je unieszczęśliwia. Może o tym marzą. Grzeszne marzenia. Ale ich problem polega na tym, że z jakichś powodów: biologicznych, behawioralnych,

hormonalnych, są... cóż, z braku lepszego słowa, gajami. Byłyby szczęśliwsze z męskimi partnerami seksualnymi. Nie wiem, czy ty urodziłaś się lesbijką, czy też stałaś się nią pod wpływem jakiegoś czynnika z Ziemi czy Kongregacji. Ale uważam, że jesteś zboczona.

Robin poczuła, jak krew ucieka jej z twarzy, ale nie pomyliła kroku. Najlepiej było mieć już to za sobą.

—

Uważasz, że powinnam żyć z mężczyzną.

—  
To nie jest takie proste. Ale coś w twojej osobowości pasuje do czegoś w osobowości Conala. Gdyby on był kobietą, byłabyś teraz najszczęśliwszą osobą na całej Gai.

Ponieważ to mężczyzna, jesteś jedną z najbardziej nieszczęśliwych. A to wszystko dlatego, że kupiłaś wielkie kłamstwo Kongregacji, nawet pomimo faktu, że myślałaś, że jesteś na to zbyt dorosła. Na Ziemi żyły całe miliony mężczyzn i kobiet, którzy kupowali wielkie kłamstwa ziemskich kultur i umierali równie nieszczęśliwi jak ty teraz. A ja ci mówię, że to idiotyzm.

—  
—  
Tak, ale... do diabła, Cirocco, rozumiem to. Tak myślałam...

—  
Ale nie myślałaś wystarczająco dużo.

—  
Ale co z Novą?

—  
Co z nią? Skoro nie potrafi cię zaakceptować taką, jaka jesteś, to znaczy, że nie jest taka, jaką chciałaś, żeby była.

Robin myślała o tym przez wiele setek stopni.

—  
Jest dorosła - powiedziała Cirocco. - Może sama podejmować decyzje.

—  
Wiem. Ale...

—  
Ona reprezentuje ciężar moralności Kongregacji.

—  
Ale... czy ja jej nie mogę zmusić, żeby się zmieniła?

—  
Nie. Nie jestem nawet pewna, czy możesz jej pomóc. Ale... może nie powinnam tego mówić, lecz sądzę, że czas wyleczy twój problem. Czas i jakaś tytania.

Robin zapytała ją o to, ale Cirocco nic już więcej nie powiedziała.

—  
Więc sądzisz, że powinnam pozwolić Conalowi, żeby się na powrót wprowadził?

—  
Kochasz go?

—  
Czasami myślę, że tak.

—  
Niewiele rzeczy wiem na pewno, ale jestem całkiem przekonana, że miłość jest jedyną rzeczą, dla której warto wiele poświęcić.

—  
Dzięki niemu jestem szczęśliwa - przyznała Robin.

—  
Tym lepiej.

—  
Jest nam... bardzo dobrze w łóżku.

—  
No to jesteś idiotką, że w ogóle z niego wychodzisz. To było dobre dla twojej prapraprababki. Wywodzisz się z długiej linii lesbijek, ale w twojej krwi płynie domieszka perwersji.

Upłynęło kolejne sto stopni, potem następne.

- Okay. Pomyślę o tym - powiedziała Robin. - Powiedziałaś mi, na czym polega



grzech. A co to jest zło?

- Robin... Ja je rozpoznaję dopiero wtedy, gdy je widzę.

Tylko na tyle starczyło czasu, bo, ku zdziwieniu Robin, oto znalazły się na samym dole schodów Dione. Było tu zupełnie inaczej niż w pozostałych regionalnych mózgach. Robin widziała już trzy: Kriosa, wciąż lojalnego względem Gai, Tetydy, jej wroga, i Tei, jednej z najsilniejszych sojuszniczek Gai. Dawno temu, podczas Rebelii Oceanicznej, dwanaście mózgów zajęło stanowiska, podczas gdy sam kraj przestał być lojalny wobec Gai.

Na nieszczęście dla Dione była ulokowana między Metis i Japetusem, dwoma

najsilniejszymi i najskuteczniejszymi poplecznikami Okeanosa. Kiedy wybuchła wojna, została przez nich zdławiona i śmiertelnie raniona. Umierała bardzo długo, w chwili obecnej nie żyła od przynajmniej pięciuset lat.

Na dole panował mrok. Ich kroki odbijały się echem. Wysoką, stożkową wieżę,

która kiedyś była Dione, otaczała wyschnięta fosa. Tetyda jarzyła się czerwonym

wewnętrznym światłem i zawsze wydawała się czujna i świadoma, pomimo swego

całkowitego braku mobilności. Dione była z całą pewnością trupem. Część jej wieży już się rozpadła. Przez ziejące w niej otwory Robin dostrzegła kratopodobną wewnętrzną strukturę.

Kiedy omiotło ją światło latarki Cirocco, zamigotała milionem nierównych odbić.

Kiedy snop światła latarki powędrował w przeciwną stronę, pozostały tylko dwa.

Bliźniacze błyski, rozstawione na jakieś dwa metry, pały z wnętrza wielkiego, sklepionego łukowato wejścia do tunelu. Wyglądało to tak, jakby w środku stał pociąg.

- Wyjdź stamtąd, Nasu - wyszeptała Cirocco.

Serce Robin podskoczyło. Trzymała się przez te wszystkie lata, dwadzieścia, a może i dłużej...

...aż do dnia, kiedy - jako młoda dziewczyna - dostała maleńkiego węża,

południowoamerykańską anakondę, *Eu-nectes murinus*, i zdecydowała, że on będzie jej demonem. Dla Robin nie istniały jakieś koty czy kruki: chciała mieć węża. Zobaczywszy, jak pożera sześć przerażonych myszy na każdy posiłek, nazwała go Nasu, bo ktoś jej powiedział, że w jakimś ziemskim języku oznaczało to "prosiaczka".

...do czasu przybycia na Gaję, z Nasu w torbie, przerażoną i zdenerwowaną odprawą

celną i niską grawitacją. Nasu ugryzła ją trzykrotnie tamtego dnia.

...kiedy zgubiła węża gdzieś w czeluściach Gai, pomiędzy Tetydą i Teją. Razem z Chrisem szukali długo, wystawiali przynęty, wołali bez końca, ale na próżno. Chris usiłował ją przekonać, że wąż upoluje sobie coś w tych ciemnościach, że przeżyje. Robin bezskutecznie usiłowała w to uwierzyć.

Chciała hodować go przez całe życie i razem z nim się zestarzeć. Wiedziała, że mdgł osiągnąć dziesięć metrów długości i ważyć więcej niż zwykły pyton. Chciała obserwować, jak rośnie, cal za cal, aż stanie się ogromny. Naprawdę niezwykły wąż, anakonda...

Nasu zasyczała. Włosy na karku Robin zjeżyły się. Takie dźwięki, choć nie tak głębokie i głośnie, musiały się rozlegać na bagnach okresu kredowego. Niesamowity wąż, ale przecież normalnie nie rosły takie wielkie.

- Szzzzz... Cirocco... chodźmy...

Nasu poruszyła się. Z pewnością od zarania czasu nie istniał taki wąż. Był to wąż, na ktdrego widok tyranosaurus uciekłby z piskiem w zarośla, żeby opróżnić zawartość żołądka z resztek rosomaka, wąż zdolny przyprawiać lwy i tygrysy o zawał serca.

Wąż, na widok ktdrego serce Robin przestało bić.

Głowa węża wynurzyła się z tunelu i tam się zatrzymała. Jego język był dwa razy dłuższy od ciała wyrosniętej anakondy i stale wysuwał się z paszczy. Jego głowa była całkowicie biała, mniej więcej rozmiarów lokomotywy, którą Robin z początku sobie wyobraziła w tunelu. Miał złote oczy przeświecające z wąskich czarnych szczelin.

Przemów do niej, Robin - szepnęła Cirocco.

Cirocco! - syknęła ostrzegawczo Robin. - Ty chyba nic nie rozumiesz! Anakonda nie jest szczeniakiem albo małym kotkiem.

- Wiem.

Nie wiesz! Można je hodować, ale nigdy ich nie posiadasz. Tolerują cię, bo jesteś zbyt wielka,

żebyś się nadawała do zjedzenia. Jeśli ona jest głodna...

—  
Nie jest. Wiem coś o tym, mała. Tu na dole trwa niezła zabawa. Nie myślisz chyba, że urosła taka na diecie złożonej z kurcząt i królików, co?

—  
- Nie wierzę, że w ogóle taka wyrosła! Przez dwadzieścia lat? To niemożliwe.

Znowu rozległ się ten okropny szurający odgłos i do ciemnej komnaty wsunęło się kolejne dwadzieścia metrów Nasu. Zatrzymała się i zaczęła węszyć.

—  
Nie będzie mnie pamiętać. To nie jest domowe zwierzę, do jasnej cholery. Bardzo na nią uważałam, ale i tak mnie gryzła.

—  
Zapewniam cię, Robin, że nie jest głodna. A nawet gdyby była, to ktoś taki mały jak my wcale by jej nie zainteresował.

—  
Nie pojmuję, czego ode mnie chcesz.

—  
Po prostu stań i przemów do niej. Mów to, co zawsze do niej mówiłaś dwadzieścia lat temu. Przyzwyczaj ją do siebie... i nie uciekaj.

Robin usłuchała. Od węża dzieliło je jakieś trzysta czy czterysta metrów. Co kilka minut słychać było znowu szuranie i z tunelu wyłaniało się kolejne pięćdziesiąt metrów. Nasu najwyraźniej nie miała końca.

Nadeszła chwila, kiedy głowa znajdowała się nie dalej, jak dwa metry od niej. Robin wiedziała, co ma teraz nastąpić, i uzbroiła się w odwagę.

Wysunął się wielki jęzor. Dotknął lekko jej przedramienia, zabawił się chwilę jej ubraniem, przemknął po jej włosach.

I nic złego się nie stało.

Język był wilgotny i chłodny, ale nie nieprzyjemny. A w momencie, kiedy ją dotknął, Robin wiedziała, że wąż ją pamięta. Dotyk języka zdawał się przekazywać znak: znam cię.

Nasu poruszyła się ponownie, wielki łeb uniósł się lekko i Robin znalazła się w kręgu utworzonym przez białe cielsko, wyższym od jej głowy. Jedno przerażające żółte oko przyjrzało jej się z gadzim namysłem, ale jakoś się nie przestraszyła. Głowa pochyliła się odrobinę...

Robin pamiętała, co lubiła Nasu. Pocierała czasami czubek jej głowy palcem

wskazującym. Wąż prostował się wówczas, owijał wokół jej ramienia i domagał się dalszych pieszczot.

Stała na palcach i obydwoma pięściami potarła gładką skórę na czubku głowy Nasu.

Wąż syknął cicho - liniowiec oceaniczny nie wpływa głośniejszo do portu - i cofnął się. Jęzor dotknął ją znowu i Nasu podpełzła do niej z drugiej strony, pochylając łeb, chcąc być pogłaskana z drugiej strony.

Cirocco podeszła do nich powoli. Nasu obserwowała ją spokojnie.

—

Okay - powiedziała cicho Robin. - Porozmawiałam z nią. Co teraz?

—

To jest oczywiście coś więcej niż anakonda - zaczęła Cirocco.

—

Oczywiście.

—

Nie wiem, co ją tak zmieniło. Pożywienie? Niska grawitacja? Coś na pewno.

Zaadaptowała się do życia pod ziemią. Widziałam ją dwa albo trzy razy, za każdym razem większą, i nigdy nie wchodziła mi w drogę. Mam powody, by sądzić, że jest teraz znacznie inteligentniejsza.

—

Dlaczego?

—

Podpowiedział mi to pewien przyjaciel. Kiedy więc ostatnim razem widziałam

Nasu, powiedziałam jej, że ma się ze mną spotkać tu, w Dione, jeśli chce zobaczyć swą dawną przyjaciółkę. I oto przyszła.

Robin była pod wrażeniem, ale zaczynała mieć pewne podejrzenia.

- O co tu naprawdę chodzi?

Ciocco westchnęła.

—

Spytałaś mnie, czym jest zło. Mozo to właśnie ono. Długo o tym myślałam, ale

obawiam się, że nie bardzo potrafię się uporać ze złem w postaci węża. Nie sądzę, żeby kochała Gaję, ale mogę to tylko zaproponować. Reszta zależy od ciebie i od niej.

—

Co zaproponować?

—

Poproś ją, żeby poszła za nami do Hyperionu i zamordowała Gaję.

Dwadzieścia siedem

Nova spojrzała na Wirginał, starając się ukryć swoje rozczarowanie.

—

Jesteś zmęczona? O to chodzi?

—

Nie - odparła Wirginał. - Ja... nie mam dziś ochoty na bieganie.

—

Źle się czujesz? - Nova nie pamiętała, by jakakolwiek tytania uskarżała się na coś gorszego niż ból głowy. Wszystkie były obrzydliwie zdrowe. Oprócz połamanych kości lub jakichś poważniejszych ran nic nie było w stanie rozłożyć tytanii.

Oczywiście, miała do tego prawo. Nova nie łudziła się, że posiadała Wirginał, ani też nie rościła sobie prawa do jej czasu. Robiły to jednak regularnie każdego dnia od czasu przybycia do Bellinzony. Nova pakowała ogromny kosz z jedzeniem i galopowały razem do jakiegoś odległego, straszego miejsca w górach. Nova udawała, że walczy o swoje

przetrwanie, choć wiedziała, że niewiele jej grozi. Jadły, rozmawiały o tym i o owym, potem Nova

zapadała w drzemkę, a Wirginał pogrążała się w swoim niby-śnie.

Z początku robiły to zawsze raz na jeden hektoobrót. Kiedy Novie przybyło

obowiązków, miała coraz mniej czasu na te wypadki. Był to jednak jej jedyny sposób na zregenerowanie sił, jej jedyna ucieczka od odwiecznych, nudnych uciech. Piłka nożna jej nie interesowała. Nie piła alkoholu.

- Trudno, może jutro - powiedziała, używając powszechnego w Bellinzonie

powiedzenia oznaczającego "po moim następnym okresie snu".

Ku jej zdziwieniu Wirginał zawahała się, a potem odwróciła wzrok.

- Nie sądzę - wydusiła z siebie.

Nova upuściła ciężki pakunek na drewniany chodnik i wsparła ręce na biodrach.

—

Okay. Coś cię dręczy. Zdaje się, że mam prawo wiedzieć, co to takiego.

—

Nie jestem tego pewna - odparła Wirginał. Wyglądała na zranioną. - Może

Tambura będzie miała ochotę na przejażdżkę z tobą. Zapytam ją.

—

Tambura? Dlaczego ona? Bo jest dzieckiem?

—

Na pewno chętnie się z tobą przejedzie.

—

Nie o to chodzi, Wirginał! - Pohamowała rodzącą się w niej złość i spróbowała

ponownie. - Twierdzisz... że nie chcesz się przejechać ze mną ani dzisiaj, ani jutro... to znaczy nigdy?

—

Tak - odparła z wdzięcznością w głosie Wirginał.

Nova przemyślała to zdanie w umyśle, starając się je zrozumieć. Nie chodziło o

“dlaczego”. Zawsze jednak jest jakieś “dlaczego”. Tytanie były uczciwe, ale nie zawsze mówiły całą prawdę.

—  
Czy już mnie nie lubisz? - spytała Nova.

—  
Wciąż cię lubię.

—  
To... Jeśli nie możesz mi powiedzieć dlaczego, to może przynajmniej mi powiesz, co się zmieniło. Coś się zmieniło, prawda?

Wirginał z niechęcią przytaknęła.

- W twojej głowie - powiedziała w końcu - coś rośnie.

Nova odruchowo dotknęła ręką głowy. Natychmiast pomyślała o Kapusiu i odniosła wrażenie, że po jej skórze pełzną lodowate pająki.

Nie to jednak miała na myśli tytania.

- Myślałam, że to szybko umrze - powiedziała Wirginał. - Ale ty to pielęgnujesz i

wkrótce będzie za duże, żeby dało się zabić. Ja to oplakuję. Chciałabym ci już teraz powiedzieć “do widzenia”, bo to coś pożera Novę, którą pokochałam.

Nova raz jeszcze wysiliła się i tym razem do czegoś doszła.

- Czy to ma coś wspólnego z moją matką?

Wirginał uśmiechnęła się, zadowolona, że przez to przeszła.

- Tak. Oczywiście. W tym tkwi sedno.

Nova poczuła, jak znowu narasta w niej gniew. Nie była pewna, czy tym razem uda jej się go pohamować.

- Słuchaj no, ty, jeśli to Robin cię do tego namówiła...

Wirginał uderzyła ją. Jak na tytanie był to całkiem lekki Policzek. Nova nawet się nie przewróciła.

- To była Cirocco, tak? Powiedziała ci, że ja...

Wirginał uderzyła ją jeszcze raz. Tym razem Nova poczuła smak krwi. I rozpłakała się.

—  
Bardzo mi przykro - powiedziała Wirginał. - Ja też mam swoją dumę. To nie jest żaden podstęp. Nie zgodziłabym się być narzędziem w czyichkolwiek planach pogodzenia cię z matką.

—  
To nie twoja sprawa!

—  
Masz absolutną rację. To wcale nie jest moja sprawa. Masz własne życie i możesz robić to, co uważasz za najlepsze. - Odwróciła się i odeszła.

Nova popędziła za nią, schwyciła ją za ramię.

- Czekaj. Proszę, zaczekaj, Wirginał. Posłuchaj, co... co ja mogę zrobić?

Wirginał zatrzymała się i westchnęła.

—  
Wiem, że nie miałaś zamiaru być nieuprzejma, ale dawanie ci rad w takiej sytuacji jest uważane za niegrzeczność przez moją rasę. Nie mogę ci mdwić, co masz robić.

—  
Pogodzić się z matką, czy tak? - spytała z goryczą w głosie Robin. - Powiedzieć jej, że dobrze robi... łamiąc wszystkie uroczyste przysięgi... pogodzić się...

—  
Nie wiem, czy to by ci pomogło. Już... powiedziałam za dużo. Idź do Tambury.

Ona jest młoda i przez jakiś czas tego nie dostrzeże. Możesz jeździć z nią po okolicy.

- Przez... Chcesz powiedzieć, że inne tytanie mogą...

Potworność tego pomysłu przytłoczyła ją. Czowała się, jakby była naga. Czy każda jej sekretna myśl była wystawiona na pokaz przed wszystkimi tytaniumu?



Ile one widzą?

Wirginał sięgnęła do swej sakwy i wyciągnęła jeden z tych małych klocków drewna, które zawsze używała do rzeźbienia.

Przedstawiał dziewczynę, łatwo rozpoznawalną jako Nova, siedzącą w pudełku z kamiennym wyrazem twarzy. Na zewnątrz pudełka byli inni - Robin? Conal? Wirginał? - nie tak wyraźni, ale pełni smutku. Nova pojęła, że to pudełko może być trumną. Jednak leżąca w nim dziewczyna nie była martwa. Zemdlilo ją i usiłowała oddać rzeźbę.

- Przyjrzyj się dokładniej tej twarzy - zarządziła Wirginał.

Uśluhała. Twarz wydawała się pozbawiona wszelkiego wyrazu. Gdy przyjrzała jej się bliżej, dostrzegła kociopodobny uśmiech samozadowolenia. Zamiast oczu miała puste otwory. Cisnęła to w bok. Wirginał podniosła figurkę, spojrzęła na nią smutno i rzuciła ją w wody Morosa.

—  
Czy nie powinnaś jej zachować? - spytała Nova z goryczą w głosie. - Któregoś

dnia może będzie coś warta. Tylko że jest odrobinę przesadzona, zbyt symboliczna. Spróbuj jeszcze raz, jestem pewna, że uda ci się uzyskać pożądany efekt.

—  
To była piąta z całej serii, Nova. Robiłam je podczas moich ostatnich pięciu

okresów snu. Próbowałam ich nie zauważać, wyrzucałam je. Ale nie mogę dłużej ignorować tego, co mówią mi sny. Odrzucasz tych, którzy cię kochają. To smutne. Bawi cię to. Mówisz, że to nie moja sprawa, ale ja nie umiem traktować tego obojętnie. Żegnaj.

—  
Poczekaj. Proszę, nie odchodź jeszcze. Powiem... powiem jej, że nic się nie stało.

Powiem jej, że ją przepraszam.

Wirginał zawahała się, po czym powoli pokręciła głowę.

—  
Nie wiem, czy to wystarczy.

Co mogę zrobić?

—

Otwórz się na nowo - powiedziała Wirginał bez wahania. - Odepchnęłaś od siebie

miłość. Nie tylko ze strony twojej matki. W twoim biurze jest pewna dziewczyna. Ledwie ją zauważasz. Ona cię podziwia. Mogłaby być twoją przyjaciółką, kochanką, nie wiem. Ale na razie nie dopuszczasz do siebie żadnej z tych możliwości.

Nova po raz kolejny była zaskoczona.

—

O kim ty mówisz?

—

Nie znam jej imienia. Zauważyłabyś ją, gdybyś umiała patrzeć.

- Nie wiem, jak to się robi.

Wirginał westchnęła.

- Nova, gdybyś była tytanią, kazałabym ci odejść na jakiś czas. Gdyby to mnie

zaatakowała choroba duszy, odeszłabym do lasu i pościłabym dopóty, dopóki na powrót nie zaczęłabym widzieć wszystkiego wyraźnie. Nie wiem, czy to się sprawdza w przypadku ludzi.

—

Aleja nie mogę. Moja praca... Cirocco mnie potrzebuje...

—

Tak - odparła smutno Wirginał. - Masz oczywiście rację. Więc żegnaj.

Dwadzieścia osiem

Cirocco znalazła Conala na zboczu wzgórza, z którego rozciągał się widok na obóz rekrutów.

Obóz był położony na dużej, podłużnej wyspie na środku Morosa. Tworzyły go rzędy

namiotów, wielkie kasyno i plac apelowy. W powietrzu unosiły się okrzyki sierżantów i widać było małe figurki rekrutów maszerujących w szeregach albo wędrujących w

różnych kierunkach. Kiedy usiadła obok niego, podniósł wzrok.

—  
Robi wrażenie, co? - powiedziała.

—  
Nie przepadam za tym miejscem - wyznał Conal. - Ale rzeczywiście rekrutów jest coraz więcej.

—  
Doliczyłam się ostatnio trzydziestu tysięcy. Myślałam, że będę musiała wprowadzić premie w żołdzie i żywności, żeby ich tylu ściągnąć, ale i tak stale przybywają. Czy patriotyzm nie jest czymś wspaniałym?

—  
Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

—  
Myślałeś o tym ostatnio?

—  
Jasne. - Wskazał ręką rodzącą się armię bellinzońską. - Twierdzisz, że oni nie będą musieli walczyć. Mam pewne wątpliwości. Wydaje się, że oni tego chcą. Nawet...

—  
...po tym wszystkim, co widzieli na Ziemi - dokończyła Cirocco. - Wiem.

Myślałam, że tutaj będzie trudno zebrać armię ochotników. Ale zdaje się... że głębokie, prymitywne zamiłowanie do wojny nigdy nie da się wykorzenić z ludzkiej rasy. Któregoś dnia Bellinzona za bardzo się rozrośnie. Założymy gdzieś w pobliżu nowe miasto, może w Japetusie. Wkrótce potem zacznie się dalsza ekspansja. I już wkrótce będą z sobą walczyć.

- Czy im się naprawdę podoba to bieganie i przyjmowanie rozkazów?

Cirocco wzruszyła ramionami.

- Niektórym tak. Reszta... wielu wolałoby wrócić do domu. Nie powiedziałam im, jak długo potrwa

ich służba, a żeby się stąd wydostać, potrzebują zwolnienia lekarskiego. Połowa z tych ludzi uważa, że zrobiła błąd. - Wskazała ogrodzony teren. - To palisada. Tu jest znacznie gorzej niż w obozach pracy. Kiedy stąd wyjdą, będą bardzo twardzi.

Conal wiedział o tym, wiedział już większość z rzeczy, o których teraz mówiła.

Spędził tu jakiś czas, usiłując to zrozumieć. Kiedy się urodził, dni wielkich armii dawno już minęły. Dyscyplina wojskowa była mu obca i przerażała go. Żołnierze, z którymi rozmawiał, wydawali się... inni.

- Oni z pewnością są gotowi do walki - zauważył Conal.

To była prawda. Musztra odbywająca się właśnie tam na dole była jak najprawdziwsza. Pełną parą ruszyła produkcja mieczy. Każdy żołnierz miał otrzymać krótki miecz, napierśnik z utwardzanej skóry albo, w przypadku oficerów, z brązu, a także żelazny hełm, dobre wysokie buty i spodnie, podstawowe wyposażenie piechoty. Zorganizowani w legiony i kohorty, uczyli się rzymskiej taktyki. Powstały też legiony łuczników, a inżynierowie projektowali proste w konstrukcji wieże oblężnicze i katapulty. Niektóre jednostki już wyjechały do Japetosa i Kronosa i tam zajęły się naprawianiem mostów starej autostrady transgajeńskiej.

- Muszą być gotowi - powiedziała Cirocco. - Jeśli ta wielka bitwa między mną i

Gają... jeśli ją przegram, wojna dla tych żołnierzy się nie skończy. Utkną gdzieś daleko od domu, a Gaja niczego nie odwoła. W Pandemonium ma około stu tysięcy ludzi i oni wszyscy będą walczyć. Nie będą wyszkoleni, bo Gaja jest strasznie niechlujna. Jednakże na każdego naszego człowieka będzie ich przypadało czterech. Muszę przypilnować, aby potrafili się bić.

Conal potrzebował chwili, żeby to wszystko podsumować.

—

Ale my już mamy trzydzieści tysięcy i wciąż napływają nowi.

—

Niektórzy umrą przed walką, Conal. - Odwrócił się, by na nią spojrzeć i stwierdził, że czekała na jego reakcję.

—

Aż tylu?

—

Nie. Mam zamiar trochę ich odsiać. Ale ofiary będą. Ile ich będzie, zależy częściowo od ciebie.

To też rozumiał. "Rzymskie" legiony będą maszerować pod stałą groźbą ataku z powietrza. To jego zadaniem będzie walczyć z Gajańskimi Siłami Powietrznymi.

—  
Ile jest samolotów? Dowiedziałaś się już?

—  
Rakiet? Jestem raczej pewna, że zostało osiem grup bojowych. To osiem samolotów. A nawiasem mówiąc, jak idzie szkolenie?

—  
Bardzo dobrze. Odkąd mam samoloty, mam coraz więcej pilotów.

—  
Cóż, nie będziesz miał ich więcej. Nie zmarnuj żadnego.

Conal na moment się zezłościł. Takie słowa były niepodobne do Cirocco. Spojrzał na nią i przeraził się, gdy zobaczył, że przez ułamek sekundy wyglądała prawie na swój wiek. To musiał być piekielny ciężar.

—  
Conal... może to nie jest właściwa pora, żeby o tym mówić. Właśnie odbyłam pewną wyprawę razem z Robin i zauważyłam, że zrobiła się strasznie nerwowa.

—  
To znaczy? Dlaczego?

—  
Och... Mam wrażenie, że... ona chyba się boi, że ja się tym wszystkim świetnie bawię. - Wskazała ręką obóz, ale w tym geście zawierało się coś więcej.

Conalowi też przyszła do głowy pewna myśl.

—  
Już zdążyłem pojąć - powiedział - że nikt ci nie zabierze twojego stanowiska.

Nawet gdybyś stanęła w wyborach.

—

Masz rację.

—

To wielka władza.

—

Tak. Uprzedzałam was trochę, jak to będzie, kiedy po raz pierwszy o tym

dyskutowaliśmy. Jednak słuchanie o tym, a oglądanie tego na własne oczy to dwie zupełnie różne rzeczy.

—

Conal poczuł, jak ogarnia go chłód. Od dawna nie przytrafiło mu się coś takiego.

Piastą jego wszechświata była enigma zwana Cirocco Jones. Ich związek rozpoczął się od krwi i śmiertelnego bólu. Przeszedł powoli przez politykę terroru i poddaństwa do akceptacji -

czegoś bliższego oddaniu - i wreszcie do przyjaźni.

Jednak w jego duszy zawsze gdzieś tkwiła maleńka bryłka suchego lodu.

Kiedyś, w tamtej górskiej jaskini, myślał, że umrze. Cirocco i Piszczalka nie wracali przez ponad kiloobrót. Dużo wcześniej zjadł tę niewielką ilość pożywienia, jaką mu zostawili.

Trwał w stanie półsnu stosownego do niezmiennego światła. Obserwował, jak ciało przysycha mu do kości i wiedział, że go porzucili na pastwę losu.

Uznał to za niesprawiedliwość. Nie spodziewał się tego po Cirocco.

Jednak dzięki temu czuł się jakby kimś lepszym. Dowiedział się o sobie kilku rzeczy, i ten facet, który miał umrzeć z głodu po kilku tygodniach, byłby lepszym człowiekiem od tego, który podszedł do czarno odzianej postaci w barze ty-tanii. Gdyby pozwoliła mu umrzeć, to byłaby tylko jej strata.

Potem, któregoś “dnia”, do jaskini wspiął się Piszczalka i cały nowo zbudowany świat Conala legł w gruzach. Sprawdzały mnie, pomyślał. Niech zgłodnieje, zobaczymy, jak będzie wtedy śpiewał. No i co z tego, że będzie trochę wariował? Dzięki temu stanie się bardziej potulny.

Trwało to tylko ułamek sekundy. Potem zobaczył, że Piszczalka jest ciężko ranny,

krwawi z kilkunastu ran, a jedno ramię ma na temblaku. Jak on tu doszedł w takim stanie...

- Czuję głęboki wstyd - rzekł zmęczonym głosem Piszczalka. - Gdyby to leżało w

zasięgu mych możliwości, przybyłbym tu już dawno temu. Ale nie mogliśmy się ruszyć.

Cirocco zobowiązała mnie, żebym ci przyniósł jej słowo, że jeśli ona przeżyje, wówczas przeprosi cię osobiście. Niezależnie zaś od tego chce ci zwrócić wolność. Nie trzeba cię tu było zostawiać.

Conal był pełen tysięcy pytań, z których żadne nagle nie wydało się istotne, kiedy zobaczył jedzenie. Piszczalka ugotował mu bulionu i został przy nim przez krótki czas, żeby się upewnić, że wyzdrowiał. Nie chciał odpowiadać na żadne pytania i wyjaśnił tylko, że Girocco jest poważnie ranna, ale już przebywa w dość bezpiecznym miejscu.

Potem tytania znowu odeszła, pozostawiając mu mnóstwo jedzenia w szklanych

słojach, piecyk, odrobinę paliwa i spadochron. Objasniła mu jego działanie, zapewniając, że jeśli się nim posłuży, ma wszelkie szanse przeżyć - o ile naturalnie dotrze do ziemi.

Piszczalka podkreślał, że jaskinia jest w tym momencie najbezpieczniejszym miejscem na całej Gai i że z tego powodu ma zamiar sprowadzić do niej Girocco. Wyjaśnił mu, że wszędzie dzieją się straszne rzeczy i że najlepiej zrobi, jeśli zostanie w grocie tak długo, aż nie skończy mu się jedzenie. Przysięgał, że tylko śmierć mu przeszkodzi przed powrotem do jaskini. Gdyby się nie pojawił, a jedzenie się skończyło, Conal miał skoczyć.

Jednakże Piszczalka wrócił całkiem szybko. Wrócił razem z Girocco, która miała tyle ran, że trudno je było zliczyć. Wychudła i straciła mnóstwo krwi, a także dwa palce, które potem jej odrosły. Miała gorączkę i była półprzytomna.

Razem z nimi przybyła tytania imieniem Rocky. Była uzdrowicielem i stopniowo

pomogła jej wrócić do zdrowia.

Potrwało to jednak trochę, a w tym czasie pojawiła się okazja, na którą czekał Conal.

Obydwie tytanie leżały u wejścia do jaskini, przeczekując swój półsen. Były zwrócone do niego plecami. Nie opodał na sienniku spała Girocco.

Ostrożnie wyciągnął z jej plecaka pistolet. Odwiódł kciukiem kurek. Przycisnął lufę do jej skroni. I czekał, by stwierdzić, na co go stać.

Lekki nacisk na spust i już by nie żyła.

Pamiętał, że obejrzał się, sprawdzając, czy tytanie go obserwują. Nie patrzyły w jego stronę. Pojawiło się kolejne podejrzenie i szybko sprawdził, czy broń jest naładowana. Była.

Tak więc odsunął pistolet od jej głowy, starannie opuścił kurek i odłożył broń. Kiedy podniósł wzrok, obydwie tytanie stały w odległości kilku stóp od niego. Miały dziwne wyrazy twarzy, ale nie był to gniew. Wiedział, że widziały, jak odkładał broń. Później zrozumiał, że dokładnie wiedziały, co

robił, i odtąd zawsze już wierzył w rozsądek tytania.

Niewiele później Rocky przyłożył ucho do głowy Cirocco i obwieścił, że coś tam słyszy...

- Conal?

Podniósł głowę, zaskoczony.

- Wyglądałeś tak, jakbyś był miliony mil stąd.

- Bo chyba byłem. Pytałaś mnie, czy się martwię, że na zawsze będziesz dyktatorem Bellinzony.

Cirocco przyglądała mu się bacznie.

- Właściwie wcale o to nie pytałam... ale chyba o to mi chodziło.

- Odpowiadam więc, że wcale mnie to nie obchodzi. Gdyby tak się stało, to pewnie

robiłabyś to lepiej niż ktokolwiek, może z wyjątkiem Robin, którą chcę przekonać, żeby przestała pracować w rządzie i wyprowadziła się ze mną do jakiejś małej chatki w Metis, gdzie być może urodziłaby mi kilkoro dzieci, a ty, Nova, Chris i wszystkie tytanie moglibyście nas tam odwiedzać w dniu swoich urodzin. Myślę, że wiesz, co robisz. I nie sądzę, że zostaniesz na tym stanowisku... bo jesteś na to o wiele za mądra.

—

Bomba! - Cirocco potrząsnęła głową, a potem się roześmiała. - Masz rację. To jest

kuszące, nawet dla takiej zaprzysięgłej samotnej starej suki jak ja. Jednak masz rację, gdy mówisz, że to wcale nie jest aż tak pociągające.

—

Więc po co tu przyszedłaś? - spytał Conal.

—

Chyba po to, żeby usłyszeć szczerą opinię. Ostatnimi czasy owładnęła mną taka paranoja, że chyba nawet tytanie mówią mi to, co chcę usłyszeć.

- A ja tak nie zrobiłem?

Cirocco uśmiechnęła się szeroko.



- Jasne, że nie, Conal. Wierzę, że naprawdę tak myślisz.

Dwadzieścia dziewięć

Miało to być ostatnie posiedzenie przed rozpoczęciem Wielkiego Marszu.

Finalizowały się plany wielkiej parady, która miała się odbyć za jeden hektoobrót. Była to znana niedogodność - oddziały po ich przetransportowaniu do Bellin-zony miały

przemaszerować przez całe miasto wśród wiwatów wielotysięcznych tłumów, a potem znowu miano je załadować i wysłać do południowego krańca Morosu, gdzie droga do autostrady była płaska i łatwa. Nie dało się jednak tego obejść. Miasto musiało zobaczyć swoją armię.

Armia musiała wiedzieć, że ludzie wspierają ich niebezpieczne przedsięwzięcie. Nie wolno było nie doceniać wagi morale.

Posiedzenie też było niedogodnością. Cirocco wysłuchiwała w milczeniu zwykłych

skarg, sugestii, napatrzyła się na ewidentne demonstracje egotyzmu. Czekwała cierpliwie na swoją kolej.

Wielki namiot z łatwością mieścił czterech generałów, dwudziestu pułkowników i stu majorów, którzy tworzyli sztab armii. Znała ich wszystkich z nazwiska - jeden z elementów bycia politykiem stanowiła znajomość wszystkich nazwisk i stanowczo tej zasady

przestrzegała - ale prywatnie utożsamiała ich wyłącznie z posiadaną rangą.

Mieli cztery dywizje, każdą dowodził generał. Tak więc był generał Drugi, Trzeci,

Ósmy i Sto Pierwszy, dowodzący Drugą, Trzecią, Ósmą i Sto Pierwszą Dywizją. Cirocco nie przejmowała się, że nie mają Pierwszej, Czwartej itd. Wybrała te liczby z historycznych powodów, aby zrobić wrażenie na Gai.

Każdy generał miał pod sobą pięć legionów, dowodzonych przez pułkowników.

Każdy legion liczył dwa tysiące żołnierzy, ich liczbę stale uzupełniano.

W każdym legionie było pięć kohort składających się z dziesięciu kompanii, a każda kompania liczyła dziesięć drużyn. Kompaniami dowodzili sierżanci, których w bellinzońskiej armii było tysiąc sześciuset.

Liczby te zostały ustalone na drodze wielu kłótni i nadal były przedmiotem sporów.

Większość kadry dowódczej zgadzała się, że liczba oficerów jest beznadziejnie niska.

Zdaniem profesjonalistów czterdzieści tysięcy żołnierzy potrzebowało większej ilości oficerów.

Drugim głównym powodem skarg był brak uzbrojenia i ekwipunku. Zaopatrzenie nie sprostało oczekiwanym wymaganiom. Cirocco wysłuchała generała Sto Pierwszego wymieniającego liczby: brak X mieczy, Y tarcz, Z napierśników.

Trzecim powodem były niedostatki w wyszkoleniu. Kadra mocno się uskarżała, że brak jej weteranów. Nie było żadnych oddziałów, które przeszły przez ogień walki, z wyjątkiem garstki tych, którzy walczyli na Ziemi.

Cirocco wysłuchała tego wszystkiego i w końcu wstała.

- Po pierwsze - powiedziała i wskazała Generała Drugiego - jesteś zwolniony.

Gardzisz ludzkim życiem i powinieneś się znaleźć z powrotem na Ziemi, gdzie mógłbyś naciskać przyciski i tworzyć pustynie. Odesłałabym cię tam, gdybym mogła. Na razie odsyłam cię do obozu dla więźniów na dwa kiloobroty. Twoje bagaże już są spakowane.

Możesz się zabrać za pisanie wspomnień.

Odczekała w brzemienniej ciszy, jak spurpurowiały mężczyzna wymaszerował z namiotu. Potem wskazała pułkownika Szóstego.

- Zostajesz mianowany na jego miejsce. Na twoim posłaniu leży gwiazdka. Przypnij

sobie, kiedy ją znajdziesz. Wybierz swojego następcę do legionu szóstego, nie musi to być żaden z twoich majorów. - Wskazała jeszcze trzy osoby. - Ty, ty i ty. Nie jesteście już pułkownikami. Nie nadajecie się na dowódców legionów. - Wszyscy trzej wstali i wyszli.

Cisza stała się jeszcze głębsza. - Nie znam majorów wystarczająco dobrze, aby się wypowiadać na temat ich służby, więc możecie odetchnąć. Jednakże namawiam was wszystkich, abyście należycie wywiązywali się ze swoich obowiązków, bowiem potrzebujemy jak najlepszej armii. - A teraz...

mam zamiar rozwiązać wszystkie wasze problemy. Zamierzam zdziesiątkować oddziały.

Czekała, aż szmer rozmów ucichnie, a potem przemówiła do generałów.

- Chcę, by wydano rozkazy sierżantom. Każdy ma pod sobą dwudziestu żołnierzy.

Niech wybiorą po dwóch najgorszych i odeślą ich do domów. Mają wybrać najbardziej niedojrzałych rekrutów: tych chłopców, którzy stale się potykają o własne sznurowadła, albo kaleczą

swoimi mieczami, i te dziewczęta, które nie potrafią salutować, albo nie pamiętają, który koniec strzały nakłada się na cięciwę... Chcę, by pozbyto się wszystkich niedorajdów, nieprzystosowanych, słabeuszy i idiotów. Wymusztrować ich w ciągu dwudziestu obrotów i dać odpowiedni żołd, bez żadnego wilczego biletu. - Machnęła nicierpliwie ręką. - Nie musi ich być dwóch z każdej drużyny. Niektóre drużyny mogą pozostać nienaruszone, a w innych znajdzie się czterech czy pięciu odrzuconych. Czy to się wyrówna na poziomie kompanii czy kohorty... ma się w każdym razie wyrównać. Chcę, żeby za dwadzieścia obrotów ta armia zmniejszyła się o dziesięć procent.

Tak jak się spodziewała, rozgorzały dalsze dyskusje. Stłumiła uśmiech. To cholernie zasili szeregi oficerów, ale im wcale nie o to chodziło.

—  
Następny krok - kontynuowała. Wskazała generała Trzeciego. Skulił się nieznacznie. - Do ciebie należy najnowsza dywizja, z najwyższym procentem rekrutów.

Wierzę, że okażesz się dobrym generałem, który będzie się prawdziwie troszczył o dobro swoich oddziałów. To nie jest twoja wina, że ta dywizja jest najsłabsza z wszystkich czterech.

Niemniej jednak jest najsłabsza. Będzie to więc dywizja miejska.

—  
Ale...

Ciocco nie musiała patrzeć na niego zbyt surowo, by umilkł. Mężczyzna pojął, że się zapomniał, i zamknął usta.

- Jak już mówiłam, twoja dywizja będzie na tyłach. To rozwiąże problem wyposażenia i wyszkolenia, ponieważ zostawisz cały swój ekwipunek i będziesz nadal szkolił swoje oddziały, podczas gdy reszta pomaszeruje na Pandemonium.

Generał przełknął ślinę, ale nic nie powiedział.

- Otrzymasz nowy sprzęt, gdy tylko zostanie wyprodukowany. Reszta będzie musiała

sobie radzić z tym, co mamy. Teraz będzie tego dostateczna ilość. Twoja misja polega na wybudowaniu dwóch garnizonów, jednego przy wschodniej drodze wiodącej do Japetusa i drugiego przy zachodniej przełęczy w górach. Te garnizony powinny umieć się obronić, jeśli Gaja wyśle swoje wojska do Dione. Postawisz także posterunki na północnej obręczy pasma Moros. Po konsultacji z władzami cywilnymi zorganizujesz flotę, która będzie patrolowała Moros. Decyzje taktyczne pozostawiam tobie, ale zalecam, byś wybudował część fortyfikacji miejskich, a także by pewna liczba oddziałów, może jeden legion, stacjonowały w pobliżu.

Jeśli przegramy, wówczas obrona Bellinzony będzie zależała od ciebie.

General wyglądał na znacznie bardziej zainteresowanego, choć Cirocco wiedziała, że nie ma sposobu, aby powierzone zadanie mu się podobało.

—  
Jeszcze jedno, generale. Po naszym wymarszu zostanie tu najgorsza dywizja. Po powrocie chcę tu zastać najlepszą, albo proszę sobie poszukać innej posady.

—  
Będzie najlepsza - powiedział.

- Dobrze. Proszę się za to zabrać od razu.

Wyglądał na zaskoczonego, a potem szybko wstał i odmaszerował, a za nim jego pułkownicy i majorzy. Kiedy ich już nie było, liczba pustych krzeseł robiła wrażenie. Cirocco właśnie zmniejszyła armię o ponad jedną czwartą i była raczej zadowolona ze swego dzieła.

Popatrzyła kolejno po wszystkich twarzach, a zrobiwszy to, uśmiechnęła się.

- Panie i panowie - powiedziała - jesteśmy gotowi do marszu na Pandemonium.

## TRZECI SEANS

Byka trzeba chwycić za rogi. Sam Goldwyn

Jeden

Być może Gaja dowiedziała się o paradzie.

Błędem byłoby przypisywać wszystkie nieprzyjemne wydarzenia złośliwej interwencji

Gai, ale deszcz, który przemoczył wojska maszerujące przez Bellinzonę, był czymś, co by ją z pewnością zachwyciło. Nie wpłynęło to ujemnie na entuzjazm obywateli, wydawało się, że wszyscy Bellinzończycy stoją na rogach ulic albo wyglądają z okien, aby obserwować przemarsz wojsk. Armii naturalnie to się nie podobało, bowiem żołnierze nienawidzą parad od samego zarania sztuki wojennej. Przemokły im buty, a ich utwardzane skórzane

napierśniki, nie zmiękczone jeszcze potem, oliwą i długim użytkowaniem, dawały się we znaki, jak miniaturowe żelazne dziewice.

Niemniej jednak jakoś przez to przebrnęli. Wytrzymali przeprawę przez nadzwyczaj

wzbudzony Moros. Jak było do przewidzenia, niektórzy ulegli chorobie morskiej. Wysiedli na zachodnim brzegu Morosu, w morzu błota, przyłączając się do tysiąca ogromnych wozów towarowych - z których połowa zdążyła już ugrzęznąć po same osie.

Korpus kwatermistrzowski - oddzielna, nie przeznaczona do zadań bojowych grupa,

która zajmowała się sprzętem i ruchem na drodze Dione - zaopiekował się i biegle opanował

użytkowanie jedyne zwierzęcia pociągowe na Gai. Były to żyjące w Metis stworzenia zwane jeepami. Do niedawna nie miały żadnej nazwy, wymieniały je jedynie pieśni tytanii.

Cirocco nakazała okiełznać i zaprząć tysiąc pięćset sztuk, co wcale nie okazało się trudne.

Jeepy były przyjaznymi, ociężałymi i wszystkożernymi istotami. Budową przypominały swe starożytne pierwowzory, nosorożce, które żyły niegdyś w Persji i wielkością dwukrotnie przewyższały współczesne słonie. Jeepy nie były takie duże. Miały niedźwiedzie pazury, głowy podobne do wielbłądzych, a ich przednie nogi były dwa razy dłuższe od tylnych. Dzięki temu ich chód był niezwykle komiczny. Jadły wszystko, czego były w stanie dosięgnąć.

Dzięki jeepom odpadał problem śmieci. Ich najgorszą cechą było potykanie się o własne stopy i przewracanie wozu, który właśnie ciągnęły. Za to były czyste, nie cuchnęły i odwzajemniały okazywane im uczucia. Większość woźniców doceniała je.

Ponadto potrafiły przenosić ogromne ciężary na dużych odległościach, nie wypijając przy tym wiele wody. Na barkach miały wielkie wiotkie garby, w których przechowywały tłuszcz na gorsze czasy.

Jeepy wkrótce ruszyły na czele kolumn...

...a kiedy armia wkroczyła do Japetusa, na niebie zawisły chmury i zerwał się ciepły wiatr. Niebawem powietrze zaiskrzyło się, a droga wyschła. Widać było całą drogę aż do Mnemosyne. Pogoda wydawała się odpowiednia do takiej wyprawy - niezależnie od tego, co mogło się czaić na końcu drogi.

Wiatr łopotał jaskrawymi sztandarami niesionymi na czele wszystkich legionów,

kohort i kompanii. Każdy sztandar był opatrzony liczbą lub literą, ale nie miał żadnych symboli. Natomiast na samym czele pochodu nie było żadnej flagi. Zewsząd naciskano, aby Bellinzona miała swoją flagę, ale Girocco sprzeciwiała się temu do samego końca. Mogła się zgodzić na to, że będzie burmistrzem, że musi założyć armię, wyszkolić ją, wyposażyc i poprowadzić do boju... ale w sprawie flagi nie zmieniła decyzji. Niech Gaja wznosi sobie sztandar i potem o niego walczy.

Słońce Japetosa odbijało się od napierśników oficerów. W powietrzu rozlegał się

turkot drewnianych kół, skrzypienie skórzanych butów i dziwaczne trąbienie jeepów, które nigdy wcześniej nie były tak podniecone.

Ludzkie legiony maszerowały razem. Wśród nich znajdowały się kontyngenty złożone

z pięćdziesięciu tytanii ciągnących własne wozy, które wyglądały na solidniejsze, lepiej zbudowane i z pewnością ładniejsze od ludzkich. Tytanie, już same w sobie barwne, miały na sobie swą najlepszą biżuterię i poprzystrajały swoje ciała i wozy kolorowymi kwiatami. Nie niosły żadnych sztandarów.

Było ich tysiąc, uformowanych w małe grupy bitewne, i trwał

spór, czy to one, czy też blisko trzydziestotysięczna armia ludzi stanowią większą siłę.

Oprócz tych regularnych oddziałów były jeszcze tytanie-zwiadowcy, które

dokonywały dalekich wypadów przed czołem i po bokach kolumn, na odległość dwudziestu kilometrów. Nie było takiej zasadzki, której nie potrafiłyby wykryć. Tamtego dnia jedyne zagrożenie mogło się czaić w powietrzu. Niektórzy żołnierze tęsknili za chmurami, więc spędzali większość czasu na wgapieniu się w czyste niebo.

Majorzy maszerowali na czele kohort. Każdym legionem dowodził pułkownik,

również idący pieszo. Namówiono trzy tytanie, obdarzone nadzwyczaj ustępliwymi

charakterami, aby zechciały ponieść generałów na czołach ich dywizji. Tytanie nie były zachwycone - ledwie znały rzeczonych generałów, a przywykły do noszenia na swym

grzbiecie wyłącznie najbliższych przyjaciół. Staraly się więc, aby jazda była jak najbardziej uciążliwa. Generałowie aż wrzeli z gniewu. Nie z powodu tej niewygodnej jazdy - żaden z nich nie znał niesłychanej płynności zwykłego chodu tytanii - tylko dlatego, że nie mogli jechać na tych stworzeniach i jednocześnie widzieć okolicy zza ich szerokich grzbietów.

Godność nie pozwalała im jechać praktyczną metodą, jaką dawno temu wypracowała

Cirocco: jazda tyłem. Przecież celem, dla którego użyto tych rumaków, było wywyższenie generałów ponad zwykłych żołnierzy. Tak więc wytrzymywali podskoki i brak widoczności, starając się wyglądać możliwie jak najbardziej godnie.

Na czele kolumny, kilkaset metrów przed Sto Pierwszą Dywizją, jechało dziewięć

osób. Na przedzie, na grzbiecie Piszczalki, jechała Girocco Jones w swym niczym nie ozdobionym czarnym ubraniu i kapeluszu. Za nią bez jakiegoś określonego porządku jechali: Conal na grzbiecie Rocky'ego, Robin na Serpencie... i Nova na Wirginał. Valiha dreptała obok, nie obciążona żadnym ludzkim ciężarem.

Żadne z nich nie miało zbyt wiele do powiedzenia. Nie była to pora do żartów.

Postanowiono, że Conal tylko tego dnia będzie towarzyszyć armii, więc Rocky i Serpent dopilnowali, by był jak najbliżej Robin. Cokolwiek mieli sobie do powiedzenia, najwyraźniej zostało już powiedziane. Po pierwszym biwaku Conal miał się skierować w stronę

północnych płaskowyżów, aby tam przejąć dowództwo nad siłami powietrznymi.

Na prośbę Novy Wirginał trzymała się z dala od nich obojga. Młoda czarownica i była biurokratka - ustąpiła ze stanowiska po głośnej kłótni z Girocco i została zastąpiona przez kogoś z frakcji Trini - chciała, by matka i jej kochanek jak najwięcej czasu byli tylko we dwoje. Między czarownicą i ty-

tanią zawiązał się nowy, dojrzalszy związek. Zdaniem Wirginał Nova była daleka od ideału, ale już wstąpiła na właściwą drogę. Powtarzała to wielokrotnie i za każdym razem wybuchały śmiechem. Sama Wirginał wstydziła się swojego zachowania. Wciąż ją bolało wspomnienie wykładu, jakiego wysłuchała od swojej zadniej matki po scenie z Novą.

Nova często sięgała ręką do pasa i dotykała palcem mieszka z zakłęciami. Był na nim przepięknie wyhaftowany symbol jin-jang i zawierał proszek przeciwko zombie, który niechcący odkryła i który zgodnie z dekretem zawsze musiał nosić przy sobie każdy

Bellinzończyk. Mieszki prędko stały się amuletami służącymi do wszelkich celów. Ten dała jej pewna nieśmiała Koreanka imieniem Li, która wciąż miała trudności z opanowaniem angielskiego, ale uniwersalnym językiem miłości władała naprawdę doskonale. Pożegnanie było bardzo czułe. Nova nie mogła się nadziwić, jak mogła przeoczyć taką urodę i

wrażliwość. Li pracowała w jej Urzędzie Statystyki. Czy to jest miłość? - zastanawiała się Nova. Cóż, może. Za wcześnie, by coś powiedzieć. Jednakże Li była kimś, do kogo można było ślać listy i kto podtrzymywał ognisko domowe.

Jadąca na czele kolumny Cirocco Jones była sztywno wyprostowana, świadoma, że obserwuje ją cała armia, której nadawała własne tempo.

Generałowie ostrzegli ją, że ten pierwszy dzień marszu trwa zbyt długo dla nie

przyzwyczajonych oddziałów. Obóz został przygotowany w głębi Japetusa, cały hektoobrót wcześniej. Stały tam namioty, które miały potem zostać rozebrane i dołączone do reszty bagaży.

Cirocco wiedziała, że to za daleko, ale było to zgodne z jej planami. Znowu dziesiątkowała.

Tak więc przepuściła swe oddziały bezlitośnie przez narastający skwar i niegasnące światło Japetusa. Zaczęli mdleć. Każdy, komu się to przytrafiło, był ładowany na wóz. Kiedy wreszcie dotarli do obozu, większa część armii znajdowała się w stanie krańcowego

wyczerpania. Na drodze zostało niewielu oficerów.

- Oto co zrobimy - powiedziała do zebranej kadry oficerskiej, zanim zdołali dotrzeć do namiotu mieszczącego kasyno. - Ci żołnierze, którzy zemdleli lub mają inne problemy zdrowotne spowodowane dzisiejszym marszem, zostaną tutaj. Z wszelkich dostępnych

materiałów zbudują w tym miejscu obóz zwany Pontosem. Zachowają broń i inne

wyposażenie, ale wozy pojedą z nami. Pontos będzie ufortyfikowany i posłuży jako stała siedziba dwóch kohort z jednego legionu. Pozostałe trzy kohorty założą podobne, ale mniejsze posterunki na północy, południu i wschodzie. Zadaniem tych oddziałów będzie ulepszanie autostrady, pilnowanie dostępu do niej oraz jej obrona przed ewentualnym atakiem z Hype-rionu. Będzie nimi dowodził

generał Trzeciej Dywizji, w Bel-linzonie. Wyślijcie posłańca z wiadomością do niego. Zgłóście też zapotrzebowanie na taką ilość wozów, jaka jest potrzebna, by odwieść najbardziej chorych, tych których powaliło coś więcej niż wyczerpanie. Wszystko jasne?

Nikt nie miał siły, żeby się z nią kłócić.

Dwa

Czteryście pięćdziesiąt kilometrów na zachód i pięć kilometrów pod powierzchnią ziemi Nasu pełzła w całkowitej ciemności. Dotarła w końcu do długiego, wąskiego tunelu, który pachniał bardzo nieprzyjemnie.

Znała te miejsca i nienawidziła ich swym chłodnym i skłonny do refleksji, gadzim umysłem. Nie chciała wchodzić do tego tunelu. To było miejsce, które kaleczyło. Pamiętała je niewyraźnie z wędrówki pod Japetusem, zaledwie kiloobrot wcześniej, oraz z dawniejszej przeszłości.

Wysunęła język i poczuła smak nienawiści. Oddalone o prawie kilometr wielkie zwoje środkowej części jej ciała zaczęły się wić z niezdecydowania i pragnienia, by jednak iść dalej.

Jej ogon zaczął nawet pełznąć w tył. Musiało upłynąć trochę czasu, by impulsy dotarły od galona szarej materii, która jej służyła za mózg, aż do najdalszej części, która coraz częściej nie potrafiła się zgodzić z ośrodkami dyspozycyjnymi znajdującymi się w głowie.

Potężny konflikt cielesny spowodował, że do jej ogromnej jamy trawiennej napłynęły kwasy, co już samo w sobie było bolesne, a na dodatek rwąca fala kwasu sprawiła, że obydwie jej boki wybrzuszyły się niespodziewanie. Powód tego był prosty: pożarła ostatnio

siedemdziesiąt osiem powolnych, ślepych, słoniowatych stworzeń zwanych heffalumpami, które zamieszkiwały tę ciemność i nie umierały tak łatwo. Dwadzieścia sześć wciąż żyło i podobnie jak anakonda raczej nie przepadało za kwasem.

Kwas. Hyperion. Robinowatość. Idź do Hyperionu. Kwas. Robin.

Pojęcia te przepływały przez jej umysł niczym widma, sto razy, dwieście, aż wreszcie na nowo zostawiły swój ślad. Musi iść do Hyperionu. Ma tam spotkać Robin-chronicielkę ciepła. Musi wejść do tunelu, czyli tam, gdzie jest kwas.

Kiedy już raz ruszyła z miejsca, nie potrafiła się zatrzymać. Sunęła przez tunel niczym najgorszy ze znanych koszmarów freudowskich.

Napotkała kwas znacznie dalej, niż się spodziewała. Do tego czasu wiadomo było, że się nie zatrzyma. Sunęła przez wielką falę, nawet na moment nie otwierając oczu. Widziała jednak przez przezroczyście powieki, że wpełzła do głębokiego sanktuarium Kronosa,



wiernego przyjaciela Gai.

Kronos zawył z wściekłości, upokorzenia i bdlu. To nie powstrzymało węza. Nasu

wybrała najbardziej wysunięty na wschód z trzech tuneli wychodzących z komnaty i wsadziła do niego łeb. W tym momencie koniec jej ogona znajdował się jeszcze w zachodnim krańcu tunelu.

Aż zbielała z bdlu. Świadomość, że wkrótce zrzuci skórę, pomagała, ale tylko trochę.

Kwas wypalił jej powieki. Miały jej odrosnąć, ale ból był nie do zniesienia.

Tam dalej, w tyle, też oczywiście bolało, ale sygnały musiały przebywać dłuższą

drogę. Zagłębiła się w jaskiniową ciemność labiryntu wschodniego Kronosa i nie przestawała pełznąć, dopóki się nie upewniła, że już pokonała całą drogę. Potem zaczęła się wic, łomocząc monstrualnymi zwojami o skałę. Dwadzieścia sześć wciąż żywych heffalumpów szybko zginęło. Gdyby ktoś stał tuż nad nią, na wewnętrznej obręczy Gai, poczułby drgania przypominające trzęsienie ziemi.

Ból jednak nie ustawał ani na chwilę. Nasu zwinęła się w ciasną kulę, z głową gdzieś pośrodku, i czekała na uzdrowienie.

Jeszcze tylko jeden, pomyślała.

Trzy

Kronos był autentycznie wkurzony.

Gdy jest się panem i władcą setki kilometrów kwadratowych terenu - oraz nie

kończących się jaskiń pod nimi, a także w pewnym sensie powietrza ponad nimi - i ma się przeciętnie jednego gościa na dziesięć myriaobrotów, co już nie jest najprzyjemniejsze... to naprawdę można się wpnieć, gdy jakiś koszmarny gad przeciska się przez cudzy dom niczym zbiegły pociąg towarowy. Przepelniała go coraz większa gorycz. To cholerne koło zamieniało się w burdel. Nic już nie działało. Wszystko się rozpieprzyło.

Był wierny Gai przez tysiąclecia - przez eony! Kiedy wybuchła tamta afera z

Okeanosem, to kto poparł Gaję w tysiącu procentach? Kronos, proszę bardzo. Kiedy opadł

pył i stary Japetus zacierał swe nie istniejące ręce niczym komunistyczny szpieg z komiksu i szeptał słodkie głupstewka do uszu Kronosa, to czy on słuchał? Ani trochę. Kronos miał

wtedy gorącą linię do nieba, na tronie siedziała Gaja i w kole dobrze się działo.

Kiedy ta schizolka Mnemosyne pękła zupełnie i zaczęła smęcić przy piwie, buu-buu-

buu, o tym, co ten obleśny piaskowy czerw robił z jej śmierdzącymi lasami, czy stracił wiarę?

Nie stracił.

I nawet wtedy, gdy podsunęła mu tę podstępłą sukę Ci-rocco Jones i powiedziała, że Jones jest teraz Czarodziejką i że musi być dla niej miły, czy stwarzał problemy? Nie, nie, stary, poczciwy Kronos. Służył jej wiernie, gdy Jones...

Porzucił tę myśl. Gaja była słabego zdrowia, każdy to widział, ale lepiej było nie przywoływać niektórych myśli. Nie wiadomo, kto ich słuchał.

Ale tego już było za wiele. Autentycznie.

Nie chodziło tylko o to, że nie zauważył, jak stwdr się zbliża. Nie uzupełniał swego przydziału od jedenastu myriaobrotów! Trzysta tysięcy galonów składających się w

dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach z czystego chlorowodoru, tylko tego potrzebował, by wypełnić po brzegi swój zbiornik. Kręci się tu jakiś stwór, powiedział jej. Podobny do węża, ale okropnie wielki. Nie należy do mnie, to może jest twój. Najwyraźniej tu żyje i przechodził tędy dwa razy i za każdym razem jest większy. Poza tym ten chronicznie niski poziom kwasu stale wysusza moje górne synapsy. Stale mnie boli...

Nie uwierzyła mu. Powiedziała mu: to nie mój, ale nie przejmuj się nim. I to Japetus kradnie twój HCL, a ja z tym ni cholery nie mogę nic zrobić. Więc zamknij się i pozwól mi wrócić do moich filmów.

Proszę bardzo.

Tym razem miał zamiar o tym donieść. Zadzwoił do Gai. Słuchawkę odebrał nowy

asystent, co się ostatnio zdarzało coraz częściej. Ich rozmowa nie odbyła się przy pomocy stów, ale przetłumaczona brzmiałaby mniej więcej tak:

—

Słucham, Wytwórnia Gajańska.

—

Czy mógłbym rozmawiać z Gają?

—

Niestety, Gaja jest w terenie.

—

Cóż, proszę mnie w takim razie połączyć z Pandemonium. To ważna sprawa.

—

Kogo mam zapowiedzieć?

—

Kronosa.

—

Słucham? Czy może pan przeliterować?

—

Kronos, do cholery! Władca tego regionu Gai, dokładnie jednej dwunastej całkowitego obszaru obręczy. Nawiasem mówiąc, znany jako Kronos.

—

Ach, naturalnie. To się pisze C-H-R-0-...

—

Kronos! Proszę mnie natychmiast połączyć z Gają!

—

Przykro mi, proszę pana, ale ona jest właśnie na pokazie. Daję, zdaje się, “Spartakusa”. Naprawdę powinien to pan zobaczyć. To najlepszy epos, jaki...

—

Uzyskam wreszcie połączenie?

—

Przykro mi. Proszę posłuchać, jeśli zostawi pan swój numer, to natychmiast po jej powrocie poproszę ją, by do pana zadzwoniła.

—

To jest sprawa nie cierpiąca zwłoki. Powinna koniecznie się o tym dowiedzieć, bo

to się skierowało w jej stronę. Znacie mój numer.

—

...A... tak, jest tutaj. Spadł za... Jest pan tam jeszcze?

—

Mam zamiar donieść o całej tej rozmowie Gai.

- Skoro pan tak uważa.

Szcęk.

Kronos spróbował jeszcze raz później. Raz jeszcze odebrał bystry asystent, który powiedział, że Gaja jest na zebraniu producentów i nie można jej przeszkadzać.

No to w takim razie pieprzyć ją.

Cztery

Dotychczas w Tarze nie było piwa. Było dostępne w kantynach dla tych, którzy udowodnili, że już skończyli swoją zmianę. Chris nawet go nie spróbował, bo to było jakieś świństwo.

Obecnie lodówki Tary zapełniły się znakomitym piwem. Panował upał. Adamowi

wyraźnie nie przeszkadzał, Chrisa też raczej nie męczył, ale jedno czy dwa chłodne piwka były wszystkim, czego potrzebował po całym dniu spędzonym na próbach oderwania uwagi Adama od ekranów telewizyjnych w taki sposób, by się to nie rzucało z nadto w oczy.

Dwa lub trzy piwka były wszystkim, czego potrzebował.

Trudno było nie zauważyć, że wymyślane przez niego zabawy miały za zadanie

przeszkadzać Adamowi w oglądaniu programów telewizyjnych. Bez telewizji z pewnością spędzałby z nim dużo czasu, ale wolał, by dziecko częściej bawiło się samo. Na razie bał się, że spędza z nim zbyt wiele czasu. Coraz trudniej było mu go zainteresować. Gry i zabawki często męczyły Adama. Czasami, w najgorszych chwilach, Chris bał się, że Adam go już nie lubi.

Co za paranoja - myślał Chris. Trzy czy cztery piwa skutecznie odpędzały takie myśli.

Ale najgorsze, najokropniejsze... że...

Czasami przyłapywał się na tym, że ma ochotę uderzyć dziecko.

Każdą godzinę po przebudzeniu spędzał z Adamem i potem tyle czasu, ile był w stanie mu czymś aktywnie zająć. Tylko tyle dziecinnych rzeczy, dziecinnego gadania, zabaw i głupiego śmiechu może znieść dorosły człowiek. Chris potrafił znieść wiele, ale istniała jakaś granica. Tęsknił za inteligentnym towarzystwem... Nie, nie, nie, to zupełnie niewłaściwe słowo, zupełnie nieodpowiednie. Tęsknił za towarzystwem dorosłych.

Kiedy więc Adam zasypiał, a on czuł się taki potwornie samotny, cztery czy pięć piw było talonem, za który kupował sobie spokój dla roztrzaskanych nerwów.

Pragnął mieć kogoś dorosłego obok siebie. A miał tylko rozkosznego dwulatka... oraz Amparo i Sushi. Inni pomocnicy domowi przychodzili i odchodzili, nie zamieniwszy z Chrisem ani słowa. Zakładał, że Gaja dała im rozkaz traktować go jako człowieka-którego-tam-nie-ma. Na stałe były tylko Amparo i Sushi.

Obydwie były mamkami, kiedy Chris tam trafił. Amparo wydawała się być inteligentną kobietą, ale nie znała angielskiego i nie miała żadnej ochoty się go nauczyć.

Chris nauczył się odrobinę chłopskiego hiszpańskiego, żeby się z nią porozumiewać, ale nigdy to porozumienie nie było specjalnie zadowalające.

A jeśli chodziło o Sushi...

Nie wiedział, czy naprawdę miała tak na imię. Była idiotką. Przed przybyciem na Gaję mogła być supergenialna, ale Gaja coś jej zrobiła. Na czole miała obrzmienie pod skórą w kształcie odwróconego krzyża. Kiedy Chris pojął wreszcie, że umysł Sushi jest równie pusty jak jej oczy, dotknął któregoś dnia obrzmienia i zdziwił się, gdy upadła na podłogę, wijąc się jak w ataku epilepsji. Po staranniejszym zbadaniu - i przyprawiających o mdłości

eksperymentach - dowiedział się, że to nie była epilepsja. Była to stara zasada przyjemności.

Gaja umieściła w głowie Sushi coś przypominającego Kapusia i wkręciła go do jej ośrodka przyjemności. Teraz Sushi była w stanie zrobić wszystko, żeby zaznać rozkoszy. Sama nie mogła się dotykać. Musiał to robić ktoś inny. Wydawało się, że potrzebuje tego trzy razy dziennie. Jeśli nie dostała tego od Chrisa, wówczas prowokowała Adama, który uważał, że to bardzo śmieszne, kiedy Sushi wiła się na podłodze, jęczała i masturbowała.

Tak więc Chris musiał zadowalać Sushi kilka razy dziennie. Na szczęście mógł potem wypić na uspokojenie sześć albo siedem butelek piwa.

Nazywali ją Sushi z bardzo prostego powodu. Żywiła się surowymi rybami. Ryby nie musiały być świeże. Nawet nie musiały być oskrobane z łusek, nie gardziła też głowami. Jej oddech cuchnął straszliwie.

Chris potrzebował jakiegoś czasu, żeby to wszystko poskładać w całość. Zjedanie ryb było odruchem warunkowym. Zjesz rybę, dostaniesz spazmów. Bardzo długo potrafiła nie jeść nic innego.

Telewizja stała się w pięćdziesięciu procentach interaktywna. Obecnie również on się w niej pojawiał, choć nigdy nie stanął przed kamerami Gai. Z początku, tak jak wiele rzeczy w Tarze, wydawało się to nieszkodliwe. Najpierw pojawił się w filmie z Abbottem i Costello.

Po paru subtelnych zmianach został podstawiony pod Costello. Zrobiono z niego w ten sposób niskiego i przysadzystego mężczyznę, a jego głos stanowił mieszankę jego

prawdziwego głosu i głosu Costella. Adam to uwielbiał. Nawet Chris mimowolnie uśmiechał się od czasu do czasu. Costello był bez wątpienia osłem, ale przynajmniej sympatycznym.

Mogło być gorzej.

I stało się.

Potem byli Laurel i Hardy. Gaja była Flapem, a Chris był Flipem. Chris przypatrywał

się uważnie filmom, rozważając wszystkie za i przeciw. Obydwaj komicy darzyli się

uczuciem. To go martwiło. Na pierwszy rzut oka Flip wyglądał jak idiota, ale było to coś znacznie bardziej złożonego. A Flap był tępakiem, często się przewracał... ale ostatecznie był

postacią dominującą. Gaja znowu coś chciała osiągnąć.

Potem zaczął się pojawiać w dość dwuznacznych rolach. Nie kompletnych

rzejmieszków, ale postaci zdecydowanie niemiłych. W jednym filmie, którego tytułu nie zapamiętał, zobaczył siebie, jak bije Gaję. Zauważył, że to zaniepokoiło Adama, choć chłopiec nie chciał o tym rozmawiać. Adam odróżniał fantazję od rzeczywistości, ale linia graniczna była mocno niewyraźna. Gaja była zdumiewającą, śmieszoną, wielką i nieszkodliwą panią, która podchodziła do okna na trzecim piętrze Tary i podawała mu piękne zabawki.

Dlaczego Chris ją pobił? Akcja filmu nie była ważna ani też fakt, że Chris miał tylko ponad siedem stóp wzrostu i był raczej miernym przeciwnikiem dla pięćdziesięciostopowej Monroe.

Był teraz pewien, że w końcu poniesie klęskę. Można było liczyć na sumienie Adama, ale telewizja mówiła zawsze do-nośniejszym głosem, który mógł zagłuszyć dziecięce

sumienie, które zresztą i tak zaczyna reagować dopiero wtedy, gdy ktoś na nie oddziałuje.

Chrisowi nie dano na to szansy.

Minął rok. Cirocco powiedziała, że mogą upłynąć nawet dwa lata, zanim znowu przyjdzie.

Nie miał już wątpliwości, że wtedy będzie za późno.

Na pewno by poweselał, gdyby wiedział, że Cirocco i jej armia maszerują już na

Hyperion. Jednakże Gaja nie mogła mu tego powiedzieć, a innego sposobu na dowiedzenie się tego nie miała. Mógł coś wyłowić z telewizji gajańskiej. Adam spał, a Chris siedział

zgarbiony przed odbiornikiem. Film był nie zmienioną wersją “Napoleona” z 1995 roku i na ekranie wielkie armie maszerowały w kierunku Waterloo.

Chris był już w tym momencie zbyt pijany, by to zauważyć.

Pięć

Podczas drugiego dnia marszu zemdłało jeszcze więcej żołnierzy niż podczas

poprzedniego etapu, choć ten był krótszy.

Cirocco także i to przewidziała. Znowu mogła kilku zwolnić bez budzenia podejrzeń.

Powiedziała lekarzom, by zbadali wszystkich starannie i odesłali tylko najcięższe przypadki.

Było ich szesnaście. Wszyscy pozostali założyli plecaki na ramiona i po rozebraniu obozu pomaszerowali w stronę Ja-petusa.

Przekroczyli dwie niewielkie, bezimienne rzeczki, które płynęły na południe od Gór Tyche do wielkiego morza Pontos, które zajmowało większą część Japetusa. Mosty były w dobrym stanie, a teren łatwy do pokonania. Cirocco wiedziała, że Japetus, wróg Gai, nie przeszkodzi im w marszu przez swoje dominium. Ich problemy zaczną się w Kronosie.

Przez kilka “dni” armia obozowała nad przepięknym morzem. Było jasno i ciepło.

Cirocco stopniowo przyspieszała tempo, w miarę jak żołnierze przyzwyczajali się do rytmu marszu. Nie ponaglała ich jednak zbyt. Chciała, żeby byli twardzi, a nie wyczerpani, gdy nastaną dla nich naprawdę ciężkie chwile.

W miejscu połączenia Plutona i Ophionu, bardzo blisko granicy z Kronosem, Cirocco

zmusiła swych generałów do założenia garnizonu na najbardziej wysuniętej wschodniej linii obrony. Tym razem nie chodziło jej o najsłabszych. Chciała weteranów, najtwardszych żołnierzy obu płci, jakich mogła znaleźć. Mieli założyć fort na zachód od brodu na Plutonie i na północ od Ophionu. Pozostawiła im tytanijskie canoe do przepłynięcia się przez wielką rzekę. Mieli patrolować północ i południe, przemieszczając się bez żadnych bagaży, chodziło o szybkość. W razie skutecznego ataku nie mogli się obronić, ale nie o to chodziło. Miała nadzieję, że w takiej sytuacji oddziały te wyślą posłańców do Bellinzony i przejdą do walki partyzanckiej, dając miastu możliwie jak najwięcej czasu, aby przygotowało się przed napaścią.

Ogarniało ją przygnębienie. Prawie wszystko, co zrobiła w Japetusie, było

przygotowaniem do porażki. Jeśli Bellin-zońskie Siły Powietrzne będą jeszcze istniały, wówczas ten posterunek z szybkimi kurierami okaże się zbyteczny. Nawet najwolniejsze Wążki mogły dolecieć stąd do Bellinzony w dwadzieścia minut i wszcząć alarm.

Jednakże Siły Powietrzne mogły się nie przedostać przez Kronosa.

I naturalnie, gdyby jej armia odniosła zwycięstwo w nadchodzącej bitwie, nikt nie wróciłby z Hyperionu prócz jej własnych żołnierzy, uchodźców i jeńców wojennych z Pandemonium.

Niemniej jednak wyposażyła miasto we wszelkie dostępne jej środki obronne.

Stwierdziła, że nie ma sensu tworzyć garstki piechurów, lecz pełną poświęcenia i motywacji jednostkę bojową.

Wiedziała, że w razie czego wojska będą walczyć.

Autostrada transgajańska przekraczała Ophion w punkcie znajdującym się dokładnie na niewidocznej granicy między Japetusem i Kronosem.

W czasie, gdy Gaby budowała Autostradę, przeprawy przez Ophion stanowiły dla niej największe wyzwania. Rzeka była bardzo szeroka i dość głęboka na nizinach, natomiast w niedostępnych górach toczyła swe nurty niezwykle wartko. Dlatego musiała ograniczyć liczbę przejść do minimum.

Kilka jednak było koniecznych. Kronos był dobrym przykładem. Nie było łatwo

przeprowadzić się przez Kronosa, ale północna trasa była pięć razy cięższa od południowej. Tak więc konieczne było zbudowanie wielkiego mostu.

Inżynierowie Ciroceo, którzy sprawdzili trasę aż do Mne-mosyne i dokonali wszelkich koniecznych napraw dróg i mostów w Japetusie, a także - w mniejszym zakresie - w

Kronosie, donieśli, że Most Ophioński jest w beznadziejnym stanie. Zapadł się cały jego południowy kraniec. Siedemdziesiąt lat wcześniej grupom budowlanym Gaby jego budowa zabrała pięć lat. Nie było sposobu, by można było go naprawić wystarczająco szybko przed przemarszem do Pandemonium.

Rozbili więc obóz na północnym brzegu i zbudowali setki tratw. Była to ciężka i

powolna praca, jako że w tej części Kronosa rosło niewiele drzew wystarczająco dużych, aby dostarczyć odpowiedniej ilości drewna.



Podczas całej operacji Ciroceo i generałowie z niepokojem obserwowali niebo.

Ciroceo spodziewała się, że atak nastąpi w Kronosie albo w Hyperionie - być może w obydwu tych miejscach, gdyby pierwsza bitwa nie skończyła się rozstrzygnięciem. Podczas przeprawy przez Ophion armia, rozdzielona przez rzekę i rozproszona na barkach, stanowiła niezwykle łatwy cel.

Przedstawiła swój punkt widzenia Conalowi, jego pilotom oraz generałom wkrótce po

rozpoczęciu kampanii. Posługując się analogią z tarczą zegarową, wyrysowała dwanaście regionów Gai w wielkim kole, rozpoczynając od Kriosa na godzinie dwunastej.

- To sprawia, że Hyperion, nasze przeznaczenie, jest tutaj, na drugiej - powiedziała, wpisując tę nazwę. - Centralny kabel Hyperionu jest bazą Drugiego Skrzydła

Myśliwsko/Bombowego Gajańskich Sił Powietrznych. Następna stacja, na godzinie trzeciej, to Okeanos. Nie ma Trzeciego Skrzydła. Gaja nie ma kontroli nad Okeanosem. - Przy

Okeanosie postawiła duże X. - Czwarte, z bazą w Mne-mosyne, zostało zniszczone w

eksplozji ponad rok temu. Z moich źródeł wiem, że nie zostało zastąpione. - Dopisała kolejne X. - Szóste, z Japetusa, zaatakowało Bellinzonę i zostało rozbite. Nie ma Siódmego w Dione, z tych samych powodów, co w Okeanosie. Następna działająca jednostka, Ósma, znajduje się tutaj, w Metis. - Dorysowała kolejne dwa ikсы i odsunęła się, żeby podziwiać swoje dzieło. -

Widzicie, że Rronos znajduje się pośrodku wielkiej luki w lotnictwie Gai. Od Metis, tu przy ósmej godzinie, aż do samego Hyperionu na drugiej znajduje się siedem w pełni uzbrojonych skrzydeł bombowców. Metis jest uważnie obserwowana. Jeśli atak nadejdzie stąd, wówczas zostaniemy ostrzeżeni przez radio. To samo w przypadku Hyperionu. Ale jeśli spadnie na nas Piąta, kiedy będziemy w Kronosie, ostrzeżenie nadejdzie zbyt późno. Opracowałam kilka możliwych scenariuszy. Powiedzmy, że atak rozpocznie Ósme z Metis. Będą potrzebowali czasu, żeby tu dotrzeć, a my zostaniemy ostrzeżeni. Moim zdaniem dla Gai byłoby znacznie logiczniej rozpocząć od użycia skrzydła Kronosa, aby nas zaskoczyć i osaczyć. Jednocześnie wystartują Ósme lub Drugie, lub obydwa na raz, żeby przybyć tu na czas i odciążyć Piątę.

Druga opcja jest taka, że przepuści nas przez Kronosa. Szczerze mówiąc, wolałabym, żeby atak nastąpił tutaj, bo w innym przypadku będzie to oznaczało, że Gaja chce poczekać, aż przybędziemy do Hyperionu, żeby móc tam sprowadzić wszystkie oddziały z Fojbe, Kriosa, Rei, Hyperionu, Kronosa... może nawet z Tetydy i zaatakować wszystkimi jednocześnie.

Wtedy nie będziemy mieli wielu szans, by zostać ostrzeżeni na czas.

Wszyscy uroczyście wpatrywali się w wielki gajański zegar Cirocco. Rzucano

najrozmaitsze pomysły, niektóre okazały się nawet użyteczne. Zgodzono się, że najlepiej dla Gai będzie poczekać, aż dotrą do Hyperionu, i sprowadzić tam wszystkie siły.

Cirocco przyznała im rację... i pomyślała ponuro, że Gaja pewnie zrobi coś zupełnie przeciwnego,

odkładając całą logikę na bok. Cirocco ze strachem czekała na wrogą noc w Kro-nosie.

Sześć

Luftmorder w Tetydzie nie wiedział, że jest flugelfuhrerem Dziesiątego Skrzydła

Myśliwsko/Bombowego Gajańskich Sił Powietrznych. Nie takim zadaniem obdarzyła go

Gaja. Wiedział tylko, że jest dowódcą szwadronu. Nie wiedział, czy są jeszcze jakieś inne szwadrony, ale to nie miało dla niego znaczenia. Jego misja została wyraźnie sprecyzowana, a nie współpracowało mu się najlepiej z pozostałymi Luftmorderami. To było sprzeczne z jego naturą. Ale to on był flugelfuhrerem szwadronu.

Nadchodziły rozkazy. Kazano mu nabierać paliwa w bazach dowodzonych przez

innych Luftmorderów. Czuł niesmak na samą myśl o tym, ale Rozkazy były Rozkazami.

Wiedział, że jest jakaś armia, która teraz maszeruje przez Kronosa.

Wiedział, że w którymś momencie Rozkazy każą mu zaatakować tę armię.

Wiedział, że niebo jest pełne wrogów. Tym się nie przerażał.

Czuł, jak ogarnia go błogie zadowolenie.

Jedynym utrapieniem w jego życiu były wszystkie te anioły, które ostatnimi czasy

zaczęły się tu pojawiać.

Dolatywały całkiem blisko, ćwierkając o czymś z ciekawością. Zielone i czerwone.

Gardził nimi. Ich galaretowate ciała byłyby zabawnymi celami dla jego czerwonoooków i grzechotników... ale nie było takich Rozkazów. Gardził aniołami. Były takie słabe, takie nieskuteczne jako maszyny latające.

Zaczęły budować gniazda, które zwisały tak samo jak on, ze ściany kabla. Pod nim

były takie trzy - wielkie wybrzuszone konstrukcje, najwyraźniej składające się z samego błota i gałęzi. Uważał je za obrzydlistwa.

Przedtem były cztery. Wypuścił na jedno z nich czerwono-okiego, aby sprawdzić jego wytrzymałość. Rozpadło się jak kulka ryżu. Czerwone i zielone pióra poleciały w powietrze, a piski przerażenia ocalałych rozbawiły go.

Nie próbował jednak więcej strzelać.

Czekał na swoją misję.

Siedem

Conal chciał kiedyś poprowadzić atak na bazę w Kronosie. Długo i namiętnie

dowodził, że ma rację, dopóki Cirocco nie dopuściła go do swego tajemnego planu, który mógł się powieść lub nie. Tylko dlatego Conal potrafił czekać beczynn timer, podczas gdy Robin

- i naturalnie reszta przyjaciół - maszerowała bezradnie pod tymi łąknącymi krwi monstrami, które gnieździły się na jakimś obrzydliwym kablu.

Kiedy usłyszał, co jest treścią planu, zgodził się bardzo niechętnie. Robin nadal

znajdowała się w niebezpieczeństwie, ale nie było innego sposobu, by tego uniknąć.

- Tak już musi być, Conal - powiedziała Cirocco. - Sądzę, że atak na bazę w Kronosie ściągnąłby posiłki z całego koła, zanim mielibyśmy okazję wykorzystać element zaskoczenia.

Gdyby przyleciało ich tu wystarczająco dużo, ty i twoi ludzie zostalibyście rozbici. Potem bylibyśmy narażeni na atak z powietrza przez całą drogę do Hyperionu.

Tak więc Conal siedział teraz w swojej bazie, dobrze ukrytej w północnych wyżynach Japetusa i tonął w myślach. Czekanie wydawało się trwać wieczność. Źle sypiał. Nigdy nie odchodził dalej niż dwieście metrów od swojego samolotu, który zawsze miał pełen bak i był

gotów do lotu.

Pozostali piloci grali w karty, opowiadali dowcipy i przeważnie starali się zawsze jakoś zabić czas. Byli to na ogół mężczyźni i kobiety, którzy latali na samolotach wojskowych jeszcze na Ziemi. Conal miał niewiele z nimi wspólnego. Sami studenci. Patrzyli na niego z gdry, oburzali się na fakt, że Cirocco uczyniła go dowddcą... ale podziwiali jego umiejętność latania. Twierdzili, że robi to bardzo naturalnie. To była prawda, ale słuchali go przede wszystkim dlatego, że spędził w powietrzu Gai więcej czasu niż oni wszyscy razem wzięci. Znał specyficzne warunki panujące na Gai, wiedział, ile te małe, twarde samoloty potrafią wytrzymać w wysokim ciśnieniu i niskiej grawitacji, rozumiał burze Coriolisa, które tak niepokoiły innych pilotów.

Tolerowali go i uczyli się od niego.

Kiedy nie spał, zawsze czuwał przy radiu.

Sama baza utrzymywała ciszę radiową. Mieli nadzieję, że Gaja nie zna jej położenia, a podejrzewali, że rakiety mogą podsłuchiwać rozmowy przeprowadzane przy pomocy radia.

Słuchali więc obserwatorów z Metis i zwięzłych komunikatów od nadciągającej armii.

Aż wreszcie ogłoszono alarm.

- Bandyci na ósmej - powiedział głos przez radio. -...sześć, siedem... tutaj ósma, dziewiąta... i Duży

Tata jako dziesiąty.

Załogi rozbiegły się. Conal już był w powietrzu, kiedy dotarła do nich reszta wiadomości.

- Schodzą na dół. Już ich nie widać. Stacja pierwsza kończy nadawanie. Wzywam stację drugą i trzecią.

Stacja pierwsza znajdowała się na południowych wyżynach Metis. Mieli tam

największy teleskop na Gai - zarekwirowany tak, jak wiele innych nowoczesnych urządzeń z przepastnych piwnic Chrisa - i stale wypróbowywali jego zdolność rozdzielczą na centralnym kablu Metis.

Druga i trzecia znajdowały się na wschód i na zachód od kabla. Niezależnie od tego, w którą stronę miało się udać Ósme, Conal za moment powinien się o tym dowiedzieć.

Spodziewał się, że skręcą na wschód, w stronę Bellinzony i armii. Jednak zawsze istniała możliwość, że jest to lot dywersyjny albo jakiś podstęp. Przynajmniej jednej rzeczy był

jednak pewien: Piąte Skrzydło leciało wprost do Kronosa i nie miało przed sobą zbyt długiego dystansu.

- Tu stacja trzecia. Widzimy wszystkich dziesięciu bandytów. Kierują się... na wschód, są w zasięgu naszego radaru.

Po tym wstępnym alarmie trzy szwadrony liczące po pięć samolotów rozproszyły się.

Conal nie lubił myśli o tym, jak niewiele samolotów zostało w rezerwie.

—

Tu Wielki Canuck - powiedział Conal. - Przywódco Trzeciego Szwadronu, skreć na wschód i wykonaj plan trzeci.

—

Okay, Canuck.

—

Życzę szczęścia.

—

Dzięki - padła lakoniczna odpowiedź. Conal wiedział, że będą go potrzebowali.

Przewidywali, że Ósme będzie leciało na wschód jak najdalej, aż w końcu ujawni swój cel, ostro skręcając w lewo w stronę Bellinzony albo lecąc dalej w kierunku Kronosa i armii. Tak czy inaczej miał ich przejąć Trzeci szwadron; przewaga liczebna wynosiła dwa do jednego na ich niekorzyść.

Conal obserwował, jak pięć samolotów zrywa się, równo i efektownie jak na pokazie.

Żałował, że to wszystko, co posiada.

Kierowali się prosto na południe. Wydał rozkaz skrętu na wschód. Szwadrony

pierwszy i drugi miały rozdzielić się i potem ponownie spotkać nad armią, nadlatując z północy i południa.

Kiedy już kończyli skręt, usłyszał przez radio wiadomość, której się bardzo obawiał.

- Tu Droga Rocky. Jesteśmy atakowani z powietrza. Nie zauważono żadnych

oddziałów naziemnych. Atakuje prawdopodobnie Piąte Skrzydło z Kronosa, ale na razie trudno to potwierdzić. - Słychać było odgłos eksplozji. - śpieszcie się, chłopcy! Rozwałą nas tu na kawałki!

Po usłyszeniu pierwszej wiadomości ze stacji armia przystąpiła do realizacji swego mizernego planu obrony.

Po przeprawie przez Ophion weszli do Kronosa, na łagodnie pofałdowany teren, gdzie było ich dokładnie widać z powietrza. Wąski przesmyk łąk był otoczony dżunglą od południa i morzem Hestia od północy.

Nie mogli podjąć żadnej akcji ofensywnej. Nie mieli nic w swoim arsenale, czym

można by było trafić rakiety. Ponurym niepowodzeniem zakończyły się próby przekształcenia uzbrojenia sił powietrznych w broń naziemną. Cirocco poddała się, wiedząc, że i tak zmarnowała dużo ze skąpych zapasów podczas pokazu nad Pandemonium, kiedy tak sobie pofolgowała. Miała teraz za to zapłacić, ona i wszyscy, którzy z nią byli.

Bellinzona zaczęła ostatnio wytwarzać proch i nitroglicerynę. Armia miała proch w

postaci rakiet, ale prawie cała nitrogliceryna - w postaci dynamitu - została przeniesiona do miejsca, którego Cirocco nie chciała zdradzić, rozwścieczając tym generałów. Jednakże nawet gdyby mieli nadmiar dynamitu, w obronie przeciwko atakowi z powietrza nie miało to znaczenia. Rakiety i ich głowice były użyteczne tylko do wprowadzania zamieszania.

Wszyscy żywili nadzieję, że czerwo-nooki i grzechotniki przyciągnie ich ciepło.

Z tego samego powodu wzniecono ogniska. Kilkadziesiąt wozów wypełniono suchym

drewnem i naftą. Po ogłoszeniu alarmu wagony te wyprowadzono na przód, tył i boki armii, na taką odległość, jaką zdołano osiągnąć przed pojawieniem się samolotów, i potem

podpalono. Istniała nadzieja, że pośrodku kronosowej nocy te jasne światła sprawią, że atakujący pomylą się co do wielkości armii i będą stanowić łatwe i dające się pokonać cele.

Żołnierze tworzący główny trzon armii pogasili wszystkie światła, rozproszyli się i zabrali do pracy z użyciem ich Narzędzi Do Budowania Okopów - szpadli w języku cywilów

- czyli czegoś, co dzięki nowoczesnej technologii można było zrobić niewiele lepiej.

Argońska piechota wiedziałaby natychmiast, jak ich używać. Ziemia była zbita,

zdumiewające jest jednak, jak ludzie potrafią szybko kopać, kiedy spadają na nich bomby.

Cirocco przyłapała się na robieniu przedziwnej rzeczy. Kiedy nad nimi zaczęły krążyć i zajmować stanowiska niebie-sko-białe plamki Piątego Skrzydła Myśliwsko/Bombowego, wbiegła na Autostradę krzycząc i wymachując mieczem.

- Padnij! Kryć się! Padnij, padnij! Nadlatują Siły Powietrzne. Schować głowy, do cholery!

Zobaczyła przed sobą i dość daleko z boku pierwszy śmiercionośny pomarańczowy

kwiat i wtedy ktoś ją schwycił, uniósł i wrzucił na szeroki grzbiet Piszczalki. Wylądowała na stojąco, złapała go za ramiona i wrzasnęła mu do ucha:

—  
Schowaj się, ty głupi sukinsynu!

—  
Zrobię to tylko razem z tobą.

Pogalopowali więc z hałasem po drodze, płosząc żołnierzy, wymachując mieczami i

wykrzykując ostrzeżenia, które były całkowicie niepotrzebne, ponieważ cały krajobraz zapełnił się jazgotem i stanął w ogniu od kanonady Zapalczywego Piątego. Wiedziała, że to czyste szaleństwo. Nigdy nie pojmowała, jak to się dzieje, że dowódcy robią takie szalone rzeczy w takich chwilach, i nie była do końca pewna, jak jej samej się to udaje. Nie miała złudzeń co do swej odporności na kule i pociski, wcale też nie uważała, że szaleńcza siła jej osobowości jest w stanie jakoś ją osłonić, choć taką właśnie teorię wyczytała w niektórych bardziej fantastycznych traktatach z militarystyki.

Wiedziała tylko, że nie powinna się teraz kryć. Lepiej ryzykować, że zostanie zabita.

Żołnierze widzieli ją i uważali, że ona się wcale nie boi, choć trzęsa się tak, że omal nie wypuściła miecza. Nie było innego sposobu, by przekonać ich, aby ryzykowali własnym życiem, kiedy ona tego od nich zażąda.

Boże, pomyślała. Czyż wojna nie jest czymś cudownym?

Większość tytanii pobiegła śladem Cirocco i generałowie stwierdzili, że to logiczne postępowanie. Kopanie szanów, które osłoniłyby ich potężne cielska, zabrałoby wieczność.

Ich wielką przewagą była szybkość.

Więc uciekały.

Rozbiegły się we wszystkich kierunkach, starając się oddalić jak najbardziej od centrum akcji i patrzyły, owładnięte przerażeniem, na złowrogie, barwne piękno bitwy toczącej się w powietrzu i na ziemi.

Z wozów pirotechników wlatywały do góry rakiety wlokące za sobą pomarańczowe ogony iskier i natychmiast eksplodowały, wytwarzając jaskrawoczerwoną lunę. Czerwonooki i grzechotniki wypadały spod skrzydeł raket niczym stada fosforyzujących ptaków, ciągnąc za sobą czerwony, niebieski albo zielony ogień, dostawały przerażającego przyśpieszenia i wrzaskiem oznajmiając swą żądzę krwi, samobójczo nurkowały wprost na płonące wozy lub ścigały rakiety albo, o wiele za często, nie dawały się oszukać i szybowały na wysokości kilku metrów nad ziemią, polewając płynnym ogniem pagórkowaty teren. Same aeromorfy były widoczne tylko dzięki swym niebiesko-białym spalinom. Bomby natomiast były

zupełnie niewidoczne, dopóki nie docierały do ziemi, a wtedy wszystko inne stawało się nieważne.

Kilka tytanii zdenerwowanych do kresu wytrzymałości usiłowało zawrócić, ale

zostały zatrzymane przez swe bardziej rozsądne towarzyszeki.

Nie uciekały tylko tytanie-uzdrowiciele. Podobnie jak ludzcy lekarze robiły to, co lekarze zawsze robią podczas wojny. Zbierały rannych, opatrywały ich... i razem z nimi umierały.

- O Wielka Matko, jeśli pozwolisz mi to przeżyć, nigdy już nie opuszczę mojego komputera, już nigdy, przenigdy, nigdy...

Nova nawet nie zauważyła, że krzyczy. Kuliła się w okopie - zdawało jej się, że ma najwyżej ćwierć cała głębokości - razem z dwoma żołnierzami piechoty, których nigdy wcześniej nie poznała.

Okop był tak naprawdę, nieco głębszy i kiedy nastąpił względny spokój, wszyscy troje wyskoczyli na zewnątrz i zaczęli kopać jak szaleni. Potem te potwory zrobiły kolejny nalot i znowu wpadli do środka, tworząc płątaninę łokci, butów, mieczy, przekrzywionych hełmów i smrodu strachu. Nad

głowami trzymali tarcze i słyszeli, jak na ich brąz padają pacyny błota.

Gdzieś w pobliżu wybuchła bomba. Nova zastanawiała się, czy kiedykolwiek odzyska

słuch. Przez dłuższy czas słyszała tylko dzwonięcie. Spadł na nich deszcz odłamków gorącego metalu i parującej ziemi.

- Już nigdy, nigdy, nigdy...

Jakiś szósty zmysł podpowiadał Conalowi, że ci, którzy dokonali najazdu na Metis,

skręcili potem na północ i kierują się teraz na Bellinzonę. Ten sam zmysł oplakiwał

zdziesiątkowany Trzeci Szwadron.

Pozostałe zmysły Conal skoncentrował na ciemnej przestrzeni, która rozjaśniała się bardzo powoli. Widzieli bitwę dużo wcześniej, niż do niej dotarli.

Potem zaatakowali wroga i nie było czasu myśleć o niczym innym prócz lotu.

Jego komputer był obciążony wieloma zadaniami. Na ekranie było za dużo smug, za

dużo zamieszania, za dużo ciemności. Zawracał i skręcał, dolatywał do czegoś obiecującego...

i ulegał władzy komputera sterującego pociskami, który identyfikował jego cel jako przyjazny. Potem rozwalił jedną rakietę. Całe ich starcie trwało nie dłużej niż trzy sekundy.

Nawet nie trudził się oglądaniem spadającego wśród nocy wraka, ale natychmiast skręcił i z przyspieszeniem 10 g ruszył w stronę następnego celu.

Bitwa właściwie przyniosła rozczarowanie. Wiedział, że nie dane było wziąć w niej

udziału tym, którzy czekali od dwudziestu minut na ziemi na przybycie jego szwadronów.

Jednak zanim tam dotarli, Piąte Skrzydło zdążyło bezsensownie zużyć większość swych pocisków powietrze-powietrze. Ich działom zaczynało brakować małych stworzeniokul. Na szczęście jednak wciąż miały bomby, dzięki czemu eksplozja była znacznie bardziej okazała, kiedy trafiały je pociski Conala. Każdy wybuch w powietrzu oznaczał jedną przesyłkę ze śmiercią mniej dla tych, którzy kryli się w okopach.

W końcu został tylko Luftmorder. Conal i jego dwóch pilotów zaszli go od tyłu.

Odstrzelił mu prawie całe lewe skrzydło. Jakiś Komar doleciał do jego dysz wylotowych, potem Conal wystrzelił pocisk, a wszyscy odlecieli na bezpieczną odległość i patrzyli, jak spada. Powietrze wypełniło się dymem i na ziemi zapłonęła zatrważająca ilość ognisk.

- Tu Wielki Canuck, wzywam Drogę Rocky.



Pauza, która nastąpiła, była zdaniem Conala o wiele za długa. Potem uświadomił

sobie, że ktoś odłączył jego radio.

- Tu Droga Rocky, Canuck, Nie widzę już wroga.

—  
Zgadza się. Wszyscy zginęli. Nie ma już Piątego. Nie miałem dotąd wiadomości

od Trzeciego Szwadronu, ale wiem, że biją się z Ósmym gdzieś nad Dione, więc macie przynajmniej pđł obrotu, żeby spokojnie odetchnąć, zanim przybędą niedobitki.

—  
Okay, Canuck. Będziemy się okopywać.

Conal leciał śmiertelnie wolno, a komputery uformowały Pierwszy i Drugi szwadron.

Obejrzawszy się dookoła, zobaczył jedną wyrwę w Drugim i jedną we własnym, Pierwszym.

Spojrzał na swój ekran i zobaczył symbol oznaczający, że ktoś został zmuszony do awaryjnego lądowania niedaleko Hestii. Wysłał jednego ze swych pilotów, by sprawdził, czy ocalał.

Dwa samoloty stracone. Zginął jeden pilot, może dwóch. Dwa inne samoloty uległy drobnym uszkodzeniom.

Conal zauważył, że jest doszczętnie mokry. Włączył automatycznego pilota, oparł się wygodniej; przez kilka minut wstrząsały nim dreszcze. Potem otarł pot z twarzy.

- Wielki Canuck, Wielki Canuck, tu Trzeci Szwadron.

Conal rozpoznał głos. Należał do Grantiany Gomez, najmłodszej i najmniej doświadczonej pilotki w Trzecim.

—  
Słyszę cię, Gomez.

—  
Canuck. Trzeci Szwadron starł się z wrogiem w odległości dziesięciu klicków na południe od Zatoki Peppermint. Dostrzeżono dziesięć maszyn i tyle zostało zniszczonych.

Jedna przedostała się do Bellinzony i właśnie ją straciłam. Spuściła trzy, może cztery bomby na

nasze miasto.

W jej głosie było słycać coś, co zaniepokoiło Conala.

—  
Gomez, gdzie jest dowódca twojego szwadronu?

—  
Conal... ja jestem dowódcą szwadronu. Prawdę mówiąc... ja jestem Trzecim Szwadronem. - Jej głos załamał się na końcu i w słuchawkach zaległa cisza.

- Grantiana, wracaj do północnego Japetusa i tam ląduj.

Nastąpiła długa przerwa. Kiedy znowu się odezwała, mówiła już opanowanym głosem.

- Nie mogę, Canuck. Samolot jest mocno uszkodzony.

Myślę, że da się go uratować. Jeśli się da, mam zamiar wylądować na boisku obok obozów pracy. Myślę, że potrafię...

—  
Brak zezwolenia, Gomez. - Conal wiedział dokładnie, co miała na myśli. Pilotów zdobywało się bez trudu, ale samoloty były bezcenne. Taki bilans go obrażał.

—  
Cóż... w takim razie mogę wlecieć do wody w pobliżu nabrzeża, gdzie nie jest zbyt głęboko. Stamtąd będą go mogli wyciągnąć i...

—  
Gomez, polecisz w kierunku Morosa, a kiedy znajdziesz już największy płaski teren, masz wyskoczyć.

—  
Canuck, naprawdę myślę, że...

—  
Masz skakać, Gomez! To rozkaz.

—  
Okay, Conal.

Później, kiedy wszystko się uspokoiło, dowiedział się, że Gomez wylądowała

bezpiecznie. Godzinę później umarła w wyniku upływu krwi z ran od szrapnela, o których mu nie powiedziała.

Nova powoli sobie uświadamiała, że nalot się skończył.

Uniosła odrobinę głowę. Na tle nocy płonęły ogniska. Z niewielkiej odległości dobiegł

ją czyjś jęk. Ktoś krzyczał. Ostrożnie podźwignęła się na łokciach, poprawiła swój hełm i znalazła się twarzą w twarz ze swoim towarzyszem z okopu. Głupawo szerzył zęby w uśmiechu. Usłyszała własny chichot. Wielka Matko, co za potworność. Długo jednak nie potrafiła się opanować. Mężczyzna śmiał się razem z nią, uszczęśliwiony, że żyje. Potem odwrócili się w stronę trzeciego człowieka, żeby razem z nim dzielić radość.

Niestety, pod jego lewą ręką widać było niewielki otwór, a w piersiach znajdował się znacznie większy. Nova długo tuliła zakrwawionego trupa, ale nie potrafiła się rozpłakać.

Choć żadne z nich nie powiedziało ani słowa, przywarli do siebie jak oszalałe

zwierzęta i tulili się nazwajem wśród ciemności i ognia, dzieląc się swym ciepłem. I nawet nie zauważyła, kiedy jego ciepło wypłynęło wraz z powodzią czerwieni.

Cirocco i Piszczalkę powaliła fala uderzeniowa bliskiej eksplozji. Choć nie byli ranni, postanowili nie wstawać. Dosyć to dosyć.

Szła teraz przez pole bitwy, lekko utykając. Jeszcze jej dzwoniło w uszach. Miała

upalone końcówki włosów i prawą brew, prawa dłoń lekko krwawiła.

Natychmiast zorientowała się w sytuacji. Było wielu poległych i rannych, ale już się nimi zajęto. Sierzanci pokrzykiwali, jakby to był normalny, ćwiczebny bieg z przeszkodami.

Wszędzie unosił się pył. Wiele okopów miało już osiem stóp głębokości. Girocco nie potrafiła znaleźć ani jednego próżniaka. Piąte Skrzydło sprawiło, że wszyscy uwierzyli w realność niebezpieczeństwa.

W dużym namiocie, na tyle oddalonym od okopów, na ile Girocco się odważyła,

założono szpital polowy. Długo debatowała, czy oznaczyć go białym krzyżem. W końcu jednak stwierdziła, że nie należy tego robić. Gaja obsadziła siebie w roli złego faceta. Równie dobrze mogła nakazać swym raketom poszukiwać białych krzyży.

Weszła do baraku radiowego i chwyciła ręczny mikrofon.

—  
Wielki Canuck, jesteś tam jeszcze?

—  
Nigdzie się nie wybieram. Kapitanie, czy widziałaś Robin?

—  
Nie mam o niej żadnej informacji, Canuck.

—  
Okay, przepraszam. Nie powinienem był pytać. Cirocco rozejrzała się dookoła, nikt jej nie obserwował.

—  
Conal, powiem ci, jak tylko będę coś wiedziała.

—  
Zgoda. Co mam teraz zrobić?

—  
Omówili to, używając kodu, którego Gaja i jej oddziały nie mogli zrozumieć, gdyby ich przypadkiem podsłuchiwali. Conal był jedną z dwóch osób, które znały plan Cirocco dotyczący Gajańskich Sił Powietrznych.

—  
Sądzę - powiedział Conal - że jeśli masz zamiar to zrobić, to musisz to zrobić jak najszybciej.

—  
Zgadzam się. Daj nam... jeszcze dwa obroty, żebyśmy się tu mogli jak najlepiej

okopać. Ty wracaj ze swoimi ludźmi do Japetusa, uzupełnij amunicję i paliwo. Ja się zajmę generałami.

Większą część bitwy Robin spędziła zagrzebana pod martwą tytanią.

Razem z czterema innymi kopała właśnie lisią norę, gdy zaczęły spadać bomby... i

tytania spadła ze skraju. Jej ciało osunęło się w dół, nakrywając prawie całą Robin. Była przekonana, że to najprawdopodobniej ocaliło jej życie. Kiedy wszystko się skończyło i była w stanie wydostać się na zewnątrz, zobaczyła, przed jaką ilością odłamków osłoniła ją ogromna, martwa góra ciała. Jednej z jej towarzyszek utkwiał w nodze odprysk metalu, ale pozostali wyszli z tego bez szwanku.

Odszukała Cirocco, która znalazła czas tylko na przelotny uścisk i zaraz popędziła do namiotu generałów.

Robin i Nova były tu uważane za dziwolągi i Robin była tego boleśnie świadoma. Nie były członkami armii, tak jak wszyscy. Nie miały wyznaczonych obowiązków. Nova nawet nie pracowała już we władzach miasta. Na zwyczajną wojnę, w której walczyło się wyłącznie przy pomocy strategii i taktyki z użyciem żołnierzy i samolotów, Robin nigdy by nie zabrano.

Ale jej obecność tutaj była niezbędna.

Problem polegał na tym, że nikomu nie mogła powiedzieć do czego. Sama nawet nie rozumiała tego do końca.

Brnęła teraz przez tę rzeź, szukając córki. Kilku innych ludzi błąkało się równie bez celu, a w ich spojrzeniach odbijał się przeżyty szok. Robin też była oszołomiona, ale opanowana. Pogodziła się ze swym strachem dwadzieścia lat wcześniej, kiedy po raz

pierwszy poczuła, że się boi. Bardzo się bała podczas ataku, szokował ją i smucił widok ofiar, ale teraz, kiedy wszystko ucichło, czuła obrzydzenie wobec okrucieństwa tego ataku... i martwiła się o córkę.

Znalazła ją przy jakimś okopie. Musiała trzykrotnie zawołać, zanim Nova podniosła

wzrok. Wargi dziewczyny zadrżały, wygramoliła się z jamy w ziemi i rzuciła się Robin w ramiona.

Robin poczuła, jak do oczu napływają jej łzy szczęścia. Jak zwykle było też jej nieco głupio, gdy tak obejmowała córkę wyższą od niej o prawie stopę. Nova szlochała bez opamiętania.

- Och, mamó - powiedziała. - Chcę wrócić do domu.

Osiem

Cirocco rozłożyła swoją zegarową mapę na rozstawianym stole. Oświetliła ją sobie lampą i dorysowała jeszcze dwa ikсы.

- Jeszcze dwa skrzydła Gajańskich Sił Powietrznych, te z Kronosa i Metis, zostały

rozbite. To oznacza, że w całej tej połowie koła, z nami pośrodku, nie ma już wrogiego lotnictwa.

Najbliższe zagrożenie czeka nas dopiero tutaj, w Hyperionie.

Bellinzonie nadal zagraża Skrzydło Tei. Powiedzcie, co byście zrobili na miejscu Gai.

Generał Drugi przyjrzał się mapie i oświadczył:

—  
Wie teraz, że w sytuacji jeden na jeden nasze oddziały są lepsze.

—  
Nie sądzę jednak, żeby znała całość naszych sił - zauważyła Cirocco.

—  
W porządku. To ją zmusi do czekania. Możliwy jest atak na Bellinzonę z Tei.

—  
Twierdzisz jednak, że jej głównym celem jest armia.

—  
Bez wątpienia.

—  
W takim razie... zostaniemy wcześniej ostrzeżeni, jeśli Skrzydło Hyperionu poderwie się do lotu. Twierdziłaś, że nasi szpiedzy w Hyperionie są doskonali.

—  
Bo są.

—  
Na jej miejscu - powiedział Generał Ósmy - zacząłbym niszczyć nasze samoloty.

—  
Przerzuciłbym grupę hy-periońską na przykład do pustej bazy w Mnemosyne, o ile jeszcze nadaje się do użycia.

—  
Nie nadaje.

—  
W porządku. A oddział z Hyperionu nie doleci do bazy w Kronosie, bo zaatakują

go nasze Siły Powietrzne. Kazałbym im więc spokojnie czekać. Przerzuciłbym Skrzydło Tei do bazy w Metis. Japetus odpada, z tego samego powodu co Kronos. Ile rakiet może

pomieścić jedna baza?

—

Tego nie wiem.

—

Mhm. Cdź, jeśli w jednej bazie może wylądować więcej niż jedno skrzydło,

wówczas zacząłbym przerzucać te bardziej oddalone oddziały. Z Fojbe, Kriosa, Tetydy do Metis i Hyperionu. Nie znamy ich zasięgu, prawda?

—

Nie. Podejrzewam, że znajdujemy się poza zewnętrznymi granicami zasięgu grupy

Hyperionu. Ale podejźmy bliżej. Sądziłam, że ona może napuścić ich na nas właśnie teraz, kiedy się jeszcze zbieramy, i kazać zająć stanowisko Rei. Uważam jednak, że to, co robi teraz... będzie mało istotne. Jak dotąd miałam rację. - Wskazała ponownie mapę. - Musimy bronić armii, miasta... i bazy w Mnemosyne. Baza w Japetusie jest przeznaczona na stratę.

Dałam nawet rozkaz, że mają ją wysadzić w powietrze, gdyby tamci próbowali ją opanować.

—

Po co mieliby to robić?

—

Bo zgłodnieją. Proponuję atak z zaskoczenia. Jeśli się powiedzie, zdobędziemy całkowitą przewagę w powietrzu.

Obserwowała efekt, jaki wywołała ta magiczna fraza. W bitwach z udziałem wielkich armii takie słowa były kluczem do zwycięstwa.

Chcieli naturalnie wiedzieć, jakie są jej plany. Powiedziała im.

Dziewięć

- Rozpoczynamy operację “Co tchu”. Rozpoczynamy operację “Co tchu”.

Te diońskie najwyższe, przycupnięte na wszystkich centralnych kablach od Hyperionu po

Mnemosyne, które siedziały właśnie wokół małych odbiorników, rozćwierkały się z podnieceniem.

Demon ze snu powiedział, że te odbiorniki będą mówić, i ojej, czyż nie miał racji?

Najwyższe siedziały oczarowane krystalicznym szwargotem dobiegającym ich z tych mądrych maszyn. Odbiorniki, które wspominały o egzotycznym awanturniku imieniem

Canuck, recytowały poezję o Drodze Rocky, opowiadały o metalowych szwadronach i jakimś facecie imieniem Luftmorder, stanowiły dla nich źródło wspaniałej zabawy. Bawiły się w rymowanki.

—  
Wielki Canuck, jesteś na stanowisku?

—  
Klepisku.

—  
Stylisku.

—  
Szelki i twaróg.

—  
Sprzątnij ten barłóg. To była wspaniała zabawa.

Demon ze snu i jego pozbawiona ciała towarzyska wyjaśniły, co znaczyło to “co tchu”. Na najwyższych wywarło to ogromne wrażenie. Nie sama misja - do której już się zobowiązały - ale to hasło i zawarty w nim dowcip. Najwyższe miały dość prostackie poczucie humoru.

Przygotowywały się do tego od wielu kiloobrotów. To było nieprzyjemne. Nie lubiły zapachu nafty. Zrobiły to jednak dla Demona.

A teraz przez radio padło hasło. Plan miał zostać wykonany natychmiast, tak aby odbył się jednocześnie nad całą Gają. Inaczej wszystko mogło się obrócić przeciwko najwyższym. Gaby mocno to podkreślała.



Och, jakże będzie dynamitowo - powiedział jeden z nich.

—

Bukiety chryzantem - westchnął inny, nieco za wcześnie.

—

Deszcz kwiatów.

—

Wybuch uspokajających salw - któryś się zmartwił.

—

Spodziewane są ofiary - zachęcił ich inny, odnosząc się do nikczemnego ataku na ich gniazdo w Tetydzie.

—

Miecz zawsze tnie w dwie strony.

—

To pirotechnika.

—

Czy w kamerze jest film?

Wyfrunęli z kabla i runęli na wiszące pod nimi gniazdo żmij.

Luftmorder był tylko częściowo świadomy obecności aniołów, dopóki nie doleciały na odległość pięćdziesięciu metrów. Tyle ich było dookoła, że jego zmysły po prostu je zlekceważyły, jak sprytny radar, który lekceważy lot ptaków.

Potem otoczyły szwadron, ćwierkając i szczebiocząc, i dolatując tak blisko, że mogły dotknąć jego aeromorfowych wasali. Zauważył, że jeden z nich przykłada coś do rakiety.

Usłyszał, jak w drugiej rurze spalinowej coś szczęka.

Zaskrzeczał i wzbił się w powietrze, włączył zapłon i uruchomił wszystkie cztery silniki. W ślad za nim poleciał jego szwadron...

Jedna rakietka eksplodowała. Pijawkowa mina przyczepiona do jej boku wyrwała

dziurę w komorze spalinowej. Rakieta pomknęła w bok i wpadła w nie kończący się wir, ciągnąc za sobą płomienie i dym.

Innej nawet nie udało się opuścić bazy. Po uruchomieniu silnika dynamitowa bomba, umiejscowiona w jej dopalaczu, rozsadziła ją. Na ziemię sfrunęły już tylko szczątki.

Luftmorder przekrzywił się z trudem i zaczął się wznosić. Nie czuł nienawiści, jedynie przemożne pragnienie, by wysadzić w powietrze wszystkie gajańskie anioły.

Pracował nad tym jakiś czas. Uwolnił kilka grzechotników, udało mu się trafić jednego anioła w locie. Wysłał pocisk w stronę ich gniazda. Po rodzaju eksplozji zorientował się, że było puste.

Nie był w stanie trafić aniołów. Obserwował swoich podwładnych, którzy skręcali się w powietrzu, próbując ich dopaść. Dość szybko anioły zniknęły z zasięgu wzroku. Wleciały do kabla i ukryły się tam w małych szczelinach. Strzelanie do nich nie przynosiło skutku i mogło zagrażać...

Jego skupienie było tak wielkie, że dopiero wtedy zauważył, że baza płonie. Z

przewodów, które dopiero co opuścił, wypływały wielkie strugi paliwa i lały się po boku kabla. Wiedział, że ogień będzie się palił tak długo, aż Źródło - czymkolwiek było - nie wyschnie.

Jego umysł umieścił tę informację we właściwym miejscu i na jej podstawie opracował następną taktykę.

Nie miał możliwości ugaszenia ognia. Nie znał żadnego stworzenia na Gai, które potrafiłoby zwalczyć tak rozszalały pożar. A więc baza została utracona. Musi więc bronić górnej bazy. Wspiął się...

Wkrótce spostrzegł, że ona również płonie.

Szcęk. Kolejna informacja.

Wezwał swój szwadron, aby skupił się wokół niego. W Tei była baza. Zabierze ich

tam, tymczasowo. Przesłał Gai zwięzły opis walki i czekał na jej Rozkazy, przekonany, że lot do Tei jest jedynym logicznym rozwiązaniem.

Nie martwił się niczym.

Luftmordery i rakiety z sześciu pozostałych regionów Gai, w których mieściły się

oddziały lotnictwa, uciekały ze swoich płonących baz. Szwadron Tetydy miał najmniejsze straty:

tylko dwie rakiety. Krios stracił trzy rakiety, a jego Luft-morder wirował bez celu wokół płonącego kabla, niezdolny postanowić, dokąd ma teraz polecieć. Hyperion oberwał

najsilniej, na jego dziewięć rakiet sześć zostało zniszczonych lub unieruchomionych podczas wstępnego ataku.

Diońskie najwyższe również poniosły ofiary, zgodnie ze swymi przewidywaniami. Po

upływie kilku dekaobrotów miały się zebrać, żeby opłakiwać zabitych, kiedy upłynie dostateczna ilość czasu, by można już było pielęgnować wspomnienia.

W tym czasie nie myślały o swoich stratach.

Przecież był to tak doskonały kawał.

- Wielki Canuck, płoną wszystkie bazy. Powtarzam, wszystkie. Ocalali są w powietrzu. Trwa spore zamieszanie.

Conal przełknął ślinę. Wiedział, że w końcu do tego dojdzie. Niektóre dotrą tutaj.

Może wiele.

Słuchał Cirocco przekazującej mu raport o zniszczeniach, sumował pozostałe siły wroga w myślach i porównywał ze swoimi. Biorąc pod uwagę nie znane zmienne - maksymalny zasięg i możliwość istnienia stacji paliwowej, o której najwyższe mogły nie wiedzieć - wynik wychodził całkiem niezły.

Oddziały z Rei i Hyperionu powinny się skierować w stronę Kronosa i armii. Był to

jedyny możliwy dla nich cel. Jego samoloty czekały już na nie w Mnemosyne. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że zastawiono tam na nich zasadzkę, ale raczej się jej nie spodziewał.

Luftmorder Kriosa mógł polecieć inną drogą, ale jeśli ich obliczenia maksymalnego zasięgu były prawidłowe, na nic mu się to nie przyda.

Szwadron teański mógł prawdopodobnie dotrzeć do Kro-nosa. Ten z Tetydy też mógł

to zrobić. Oddział z Fojbe nie mdgł, ale należało się liczyć z ewentualnością, że zaatakuje Bellinzonę.

Wielka przewaga taktyczna Conala polegała na tym, że mdgł walczyć z nimi po kolei.

Uważał za wysoce nieprawdopodobne, by te bliższe krążyły w miejscu, marnując paliwo i spokojnie czekając, aż dogonią ich następne. Nie sądził, by myśli Luftmorderdw mogły podążyć takim torem.

Wyznaczano im jeden cel, który potem samobójczo starały się osiągnąć i zniszczyć.

Rozmieszczył kolejno swoje szwadrony na odpowiednich pozycjach.

Nadeszły Rozkazy. Luftmorder odgadł je prawidłowo... do pewnego stopnia.

Spodziewał się, że jako cel zostanie mu przydzielone miasto. Jednakże Rozkazy, przekazane przez Luftmordera Teańskiego, były krótkie i wyraźne. On i jego szwadron mieli polecieć do Kronosa i zaatakować armię. Miał walczyć tak długo, aż na niebie nie zostanie żaden samolot wroga, a wszystkie bomby miały zostać spuszczone na armię. Dopiero wtedy miał się martwić własnym przeżyciem.

Wcale go to nie zdziwiło, przynajmniej ta ostatnia część. Tego nie trzeba mu było

mówić w ramach Rozkazów. Natomiast do jego komputera nie zostało wprowadzone to, co powinno się tam znaleźć. Nie powiedziano mu, że ma nabrać paliwa w bazie teańskiej.

Jak na Luftmordera był niezwykle bliski nie wykonania rozkazu. Postanowił, że kiedy się zbliży do bazy teańskiej, poprosi o pozwolenie na nabranie paliwa. To w żaden sposób nie może być uznane za nieposłuszeństwo. Tą decyzją spełni wszystkie nakazy zdrowego rozsądku.

Potem dotarł do centralnego kabla Tei i spostrzegł, że baza płonie. To wszystko wyjaśniało. Znowu się nie przejął. Parł w stronę Kronosa.

Piąty i Szósty szwadron Conala zaczęły się w radarowym cieniu mnemosyńskiego kabla. Kiedy nadleciało Drugie Hy-periońskie, kierujące się w stronę Kronosa i oddalonej o czterysta kilometrów armii, samoloty spadły na nie jak jastrzębie i rozdarły je na kawałki.

Przed śmiercią hyperiońskiemu Luftmorderowi udało się ostrzec Szwadron Rei, że w Mnemosyne czeka zastawiona pułapka. Mieli przybyć za dwadzieścia minut.

Drugi i Czwarty szwadron Bellinzońskich Sił Powietrznych miały zamiar użyć tego samego podstępu w Dione, ale musiały poczekać, aby się upewnić, że wróg nie kieruje się w stronę miasta. Szwadron teański nie został odpowiednio wcześniej ostrzeżony i teraz ponosił wielkie straty. Conal, stacjonujący chwilowo w bazie w Japetusie, był gotów podesłać na pomoc Piąty Szwadron, ale wtedy usłyszał o śmierci trzech pilotów i czwartym zmuszonym do wyskoczenia. Wśród zmarłych był jeden z jego dowódców, więc połączył sześć

pozostałych samolotów z Drugiego i Czwartego w jeden szwadron i nakazał im wrócić do Japetusa po paliwo.

Wyruszył do Dione na czele Pierwszego szwadronu - na wschodzie pozostało jego jedenaście samolotów.

Rakiety z Tetydy miały zamiar spróbować się przedrzeć do Bellinzony, to było pewne.

Szaleństwem z ich strony byłoby pchać się do Kronosa.

Pierwszemu szwadronowi z Tei już brakowało paliwa, kiedy napotkał Szósty i

Siódmy Conala - Siódmy składał się tylko z dwóch samolotów, które miały strzec bazy w Mnemosyne, podczas gdy atakowany był szwadron hyperioński. Piąty nabierał właśnie

paliwa i nie mógł przyjść z pomocą. Nadal istniała szansa, że z Kriosy nadejdzie ostatnia fala, i trzeba było bronić bazy.

Tea zaczęła odpalać pociski z dużej odległości. Z zachodu nadleciały stada grzechotników, zanim jeszcze cały szwadron znalazł się w zasięgu wzroku.

Okazało się, że była to dobra taktyka. Trzy bellinzońskie samoloty zostały trafione i spadły na ziemię. Dwóm pilotom udało się wyskoczyć na piasek. Potem rozpoczęła się walka i po dziesięciu minutach niebo zostało oczyszczone z rakiet.

Szwadron w Mnemosyne jeszcze tego nie wiedział, ale dla niego wojna już się skończyła.

W Kriosie ocalałe rakiety nadal krążyły wokół szczątków ich Luftmordera,

dopalających się na ziemi. Od czasu do czasu któraś z nich posyłała czerwonoooka do wraku, jakby miała nadzieję, że pobudzi go tym do życia.

Wydawały płaczliwe dźwięki i nie opuszczały swego przywódcy. Wszystkim im po kolei kończyło się paliwo i rozbijały się o ziemię.

Luftmorder Fojbe i podlegające mu rakiety wlecieli do Me-tis. Zauważył, że podobnie jak w Tetydzie i Tei baza przy centralnym kablu również płonęła.

Luftmorder zmagał się z problemem taktycznym. Miał zaatakować w Kronosie

bellinzońską armię, oddaloną o dwa tysiące kilometrów. Miał zapas paliwa na tysiąc osiemset.

Stwierdził po namyśle, że mógłby tego dokonać, gdyby przeleciał przez Szprychę

Fojbe, potem przez piastę i stamtąd dotarł do Kronosa. Byłoby to z pewnością miłe zaskoczenie.

Liczył, że nabierze paliwa w Metis. Nikt mu nie powiedział, że nie będzie żadnych przystanków po drodze, a Rozkazy kazały mu lecieć wzdłuż obręczy, chyba że otrzyma inne instrukcje. Było też coś o uciszeniu hałasu w piasku. Przebywała tam Gaja - albo przynajmniej jej część - i być może Luftmorder wywoływał u niej ból głowy.

Słownik Luftmordera nie zawierał jednak słowa bezradny. Przeleciał nad Metis do

Dione - oglądając płonące ciała tych, którzy to zrobili przed nim - absolutnie przekonany, że spełni swoją misję. Jego rakiety, każda obdarzona tylko jednym silnikiem, miały zasięg dwóch tysięcy i stu kilometrów. One przeżyją, by walczyć.

Nad Japetusem skończyło mu się paliwo, a za to pojawił się dylemat.

Rakiety nie były najmądrzejsze. Istniał dość niewielki repertuar rozkazów, które mógł im wydać. "Za mną", "Atakować", "Bombardować", "Przejsć do obrony", "Bić wroga"... tego typu rzeczy. Przejrzał całą listę. Nie było tam "Lecieć dalej beze mnie".

Był to interesujący problem. Zastanawiał się nad nim całą drogę, sunąc jak wielki ślizgacz, w towarzystwie basowych pomrukiwań jego oddziału lecącego eszelonem za nim.

Jakieś dwa metry nad ziemią po raz pierwszy w życiu opadły go wątpliwości. Może się nie udać, pomyślał i eksplodował w zderzeniu z ziemią.

Za nim, jedna pod drugiej, w ziemię uderzały rakiety.

Z góry przyglądał im się z niedowierzaniem Drugi szwadron Conala.

Na jakieś dwadzieścia minut przed śmiercią Jedenastego z Fojbe Conal patrzył zdjęty panicznym strachem, jak Dziesiąte z Tetydy ignoruje Bellinzone i mknie na zachód.

Razem z innymi samolotami z Pierwszego ukrywali się w pobliżu centralnego kabla

Dione, w miejscu idealnym do tego, by wypaść z zasadzki na Dziesiąte i rozbić je. Wróg uzyskał teraz sporą przewagę, a inne jego oddziały nabierały właśnie paliwa, więc tym bardziej nie mogły go dogonić. Wydał rozkazy swoim lotnikom i szybko przeszli na prędkość ponaddźwiękową. Kiedy dogonili tamtych, mieli zbyt mało paliwa, aby rozpocząć walkę.

Wówczas drżącymi dłońmi wystukał kod wzywający armię Cirocco.

—  
Droga Rocky, tu Wielki Canuck.

—  
Mów, Canuck.

—  
Rocky... Cirocco, Dziesiąte właśnie przeleciało przez Dione. Obawiam się, że zobaczycie ich za kilka minut.

—  
Jesteśmy jak zawsze gotowi.

—  
Kapitanie... Przepraszam. Przeliczyłem się. Myślałem, że...

—  
Conal, przestań się obwiniać. Myśleliśmy, że dopadną nas co najmniej trzy szwadrony. Jak dotąd nie widzieliśmy nawet smug na niebie.

—  
Tak, ale pozostaje jeszcze Krios, o którym nie wiem nic, i ci Fojbe, których wypatrzone w odległości dwudziestu minut za mną.

—  
—  
Krios się rozpieprzył, Conal. A jeśli chodzi o Fojbe... pewien mały ptaszek wyćwierkał mi do ucha, że będą mieli kłopoty, absolutnie nie związane z tobą. Powiedz swoim ludziom, żeby zachowali dystans, nie każ im walczyć i donoś mi o wszystkim.

—  
...Cóż, jeśli jesteś pewna...  
—

Jestem pewna. Zrób teraz, co możesz, z tymi z Tetydy i daj mi powiedzieć

wszystkim, żeby pochowali głowy.

—  
Okay, Droga Rocky.

Dziesięć

Luftmorder wiedział, że od tyłu osacza go wrdg. Wypadli nie wiadomo skąd i czuł, że dopadną go, zanim on i jego szwadron zdąży pokonać wroga w Kronosie.

Z trudem opierał się przemożnej chęci, by skrócić na północ w stronę apetycznego, bezbronnego celu, jakim była Bellin-zona. Miasto przyciągało go wręcz jak magnes. Chciał skrócić na północ...

A potem pojawiły się maleńkie, godne pogardy samolociki i pojął, że cały czas na niego czyhały. Gaja jest wielka. Gaja jest dobra. Gaja jest mądra i z pewnością wiedziała, że jeśli on skróci na północ, wówczas wpadnie w zasadzkę.

Nadzwyczaj pewien siebie leciał w stronę Kronosa.

Kiedy flota wroga znalazła się w zasięgu pocisków, wysłał cztery ze swoich siedmiu rakiet, aby zawróciły i rozpoczęły bitwę. Oderwały się szybko. Leciał dalej i swoimi zadnimi zmysłami radarowymi patrzył, jak umierają, jedna po drugiej. Czuł tyle emocji, co strzelec, który widzi, jak jego cztery kule nie trafiają do tarczy. Irytowało go, że chybiały, ale ani razu nie pomyślał o samych rakietach.

Potem zauważył, że jeden z pięciu samolotów wroga spada w dół. Więc jednak się opłacało, bo pozostałe zostały teraz daleko w tyle, zmarnowawszy czas i paliwo na strącenie czterech rakiet. Leciał za nim już tylko jeden, który chciał pokonać jego zredukowany szwadron, zanim rozsiejie śmierć nad armią.

Po chwili wahania wysłał jeszcze jedną raketę, żeby zatrzymała ten wrogi samolot.

Nie wątpił, że go zestrzeli.

Rakieta poleciała wprost na atakującego... i chybiła. Skręciła, ale już ją doganiali trzej pozostali prześladowcy. Do tego jeszcze nadleciał następny.

Szczęk. Niech i tak będzie. Już był prawie w Kronosie. Ten samolot za nim zestrzeli jedną, może dwie z pozostałych trzech rakiet jego szwadronu. Nie da rady trzem. Nawet gdyby zestrzelił samego



Luftmordera, rakiety znały swoje Rozkazy. Będą atakować tak długo, aż nie skończy im się paliwo, a potem spadną jak kamikadze na najlepszy cel.

To przypomina pokaz powietrzny, pomyślał Conal, kiedy przed jego przednią szybą wyrosła rakietą, kierując się wprost na niego. Samoloty zwykły lecieć wprost na siebie i kiedy odnosiło się wrażenie, że nie unikną zderzenia, nagle w ostatniej chwili jeden z nich usuwał się drugiemu z drogi i mijały się o kilka cali.

Tylko że na pokazach samoloty nie strzelały do siebie. Z każdej nadlatującej rakiety dobywały się smugi światła. Conal poczuł, że dwie z nich przecinają jego skrzydło, ale nawet na nie nie spojrzął.

Od czasu, kiedy ją dostrzegł i wykonał swój ruch, nie mogło upłynąć więcej czasu niż dwie sekundy przy takiej prędkości lotu, a wydawało się, że upłynęła godzina. Rakietą rosła i rosła, a on czekał i czekał, a potem skręcił tak gwałtownie, że zrobiło mu się ciemno przed oczami.

To było tylko chwilowe zaburzenie. Kiedy podniósł głowę, wciąż jeszcze był w powietrzu i pewnie w tyle za pozostałymi trzema rakietami, choć nadal były niewidoczne.

Ścigający go napastnik skręcał jazgotliwie, ale o nim mo'gł zapomnieć. Ten go nigdy nie dopadnie.

Ostrożnie sprawdził stery. Samolot nie został mocno uszkodzony. Wysiadło działo prawego skrzydła i niektóre połączenia reagowały zbyt wolno, ale stwierdził, że jakoś sobie poradzi. Dolatywał już do trzech napastników.

Zaczęło mu się wydawać, że jest to podejrzenie łatwe. Wybrał jedną z rakiet, która nawet nie próbowała zrobić uniku. Wycelował w Luftmordera, ale ten zrobił skręt i poleciał w inną stronę. Teraz została mu tylko jeszcze jedna rakietą, która również nie próbowała mu uciec. Ledwie mógł ścierpieć czekanie, ale podał komputerowi namiar, a ten z piskiem wpakował pocisk do wylotu rakiety.

Conal podniósł wzrok i zobaczył Luftmordera. Skręcił, odpalił kolejny pocisk, a potem zrobił jeszcze ostrzejszy skręt, gdy spostrzegł, że wprost na niego leci grzechotnik.

Nadal wykonywał obrót, kiedy grzechotnik rozleciał się w odległości metra od końca jego lewego skrzydła.

Mała Ważka zakrzuszyła się i poleciał gwałtownie do przodu, na szczęście przytrzymały go pasy. Bardzo szybko stracił trzysta metrów wysokości, a przezrocyste skrzydła naprężyły się i jęknęły, przybierając nowy kształt, aby wyrównać uszkodzenie.

Wreszcie - cztery, a może pięć sekund później - uznał, że maszyna wciąż jeszcze kwalifikuje się do

latania, choć nie będzie już taka szybka.

Wyśledził Luftmordera. Brakowało mu jednego z czterech silników, w jego miejscu

unosił się czarny dym. Luftmorder jednak wyraźnie się tym nie przejmował. Spadał w dół i Conal wiedział, że robi to celowo, jako że dostrzegł już rozproszone ogniska armii.

Wzbił się w górę i poleciał w ślad za nim. Starannie wycelował i kazał komputerowi wysadzić go w trzy diabły. Nic się nie wydarzyło. Przeklinając przełączył komputer na ręczne sterowanie i usiłował go zestrzelić jedynym działem skrzydłowym. Znów nic się nie

wydarzyło. Komputer nadal pracował, ale do uzbrojenia nie docierały żadne informacje.

Krzycząc ze wściekłości, podleciał jeszcze bliżej.

Luftmorder nie przejmował się.

Nie mógł odciąć dopływu paliwa do brakującego silnika, więc ogień nie wygasł i

trochę go to bolało, ale ból nie mógł go powstrzymać. Szybkie sprawdzenie wskaźnika zużycia paliwa upewniło go, że nie tracił go więcej, niż gdyby silnik był na miejscu. Nadrobi to. Nadrobi to, tak długo jak ten mały...

Gdzie on, do diabła, jest? Miał go na radarze jeszcze sekundę temu. Spadał. Gdyby się rozbił, zauważyłby to. Rozejrzał się po niebie, ale nic nie znalazł.

W końcu zaczął się jednak przejmować.

Conal znajdował się dziesięć metrów poniżej Luftmordera.

Miał wrażenie, że może wyciągnąć rękę i dotknąć jego ogromnego kadłuba.

Czerwonooki i grzechotniki zwisały z jego boków jak winogrona, falując w podmuchach silnego wiatru.

Dostrzegł zarysy ogromnych skrzydeł wygiętych w dół i chwytających powietrze.

Musiał szybko ugiąć własne skrzydła, bo inaczej wyprzedziłby tego potwora.

Zwalnia. Szykuje się do zrzucenia bomby. Będzie chciał to zrobić jak najdokładniej, spuścić jak najwięcej bomb podczas tego jedyne go lotu. Prawdopodobnie wie, że działa naziemne nie są w stanie nic mu zrobić.

Działa.

Conal zastanawiał się nad kolizją. Gdyby Luftmorder nie zwolnił, byłoby to jego

jedyne wyjście.

Spojrzał na jego brzuch, cały pokryty wybrzuszeniami przypominającymi zwieracze.

Zastanawiał się, skąd wylatują bomby. Trzeba by się dowiedzieć, pomyślał. To pewnie idealnie zadowoliliby poczucie humoru Gai.

Odsunął płócienną zasłonę. Podmuch wiatru przypominał cios zadany pięścią. Jednak

on i bestia wciąż zwalniali, więc po chwili było już trochę lepiej. Pogrzebał w swojej kurtce i wyciągnął pistolet sygnałowy. Wiatr pochwycił pierwszy pocisk i zepchnął go na lewą stronę Luftmordera, przez co nie trafił przewodu paliwowego. Miał jeszcze dwa. Czy ten stwór ma zamiar skrócić? Nieważne. Ponownie wycelował, biorąc sporą poprawkę na wiatr. Zobaczył, że rakietka sygnałowa utkwiała w zadziwiająco miękkim ciele, w odległości kilku cali od jednego ze zwieraczy. Rakietka była wypełniona magnezją, zbyt jasna, by móc na nią patrzeć.

Conal poleciał w dół i skręcił, Luftmorder również. Usłyszał skrzek; podniósł wzrok, w przelocie mignęło mu ohydne, nieruchome oko osłonięte twardym plastykiem. Spojrzało na niego z nienawiścią, po czym Luftmorder zaczął bezradnie lecieć w tył, a jego wnętrze stanęło w ogniu.

Conal pomyślał o bombach, oparach nafty, pociskach i położył samolot w

najostrzejszy skręt, na jaki się odważył.

To, co potem nastąpiło, przypominało chiński Nowy Rok. Wokół niego fruwały jakieś

szczątki, wlokąc za sobą ogień. Wazką zaczęły miotać podmuchy eksplozji, oberwała też szrapnelem i na moment ogarnęły ją płomienie przelatującej w pobliżu bomby. Po chwili na powrót ogarnęło go czyste powietrze.

Wazka przesunęła swoje przekładnie. Zmieniała jej jeszcze parokrotnie,

wypróbowując jeden kształt za drugim, ciągle jednak ściągając w lewo. Gdzieś wśród jej niezgłębionego szeregu możliwych kształtów musi się znajdować konfiguracja, która

umożliwi dalszy lot.

Ale jednak takiej nie było.

Przepraszam, zdawał się mówić mały dzielny samolot, kiedy obróciwszy się do góry

brzuchem, zaczął spadać jak kamień. Conal wyskoczył z samolotu, rozłożył swój spadochron i zobaczył Luftmordera, który uderzył w ziemię w odległości stu metrów od obozowiska armii.

I pomyśleć, że kiedyś trzeba było go przekonywać, że życie nigdy nie jest takie

barwne jak w komiksach.

Spojrzał w górę i zobaczył ogromną dziurę w czaszy spadochronu. W swoim obecnym stanie umysłu wcale się tym nie przejął. I tak przeżyję, powiedział sobie z szerokim uśmiechem.

I rzeczywiście przeżył.

Przy wstawaniu zawył z bólu. Miał złamaną w kostce nogę.

- Nie mam doświadczeń w lataniu na spadochronach - powiedział tym, którzy pośpieszyli mu z pomocą.

Jedenaście

Wszystko mogło potoczyć się inaczej.

Gaja nie miała zbyt licznej kadry oficerskiej, ale kiedy nadeszły meldunki o porażce sił powietrznych Kronosa i Me-tis, znalazł się jakiś oficer, który ją o tym poinformował.

Zalecił jej przerzucenie innych jednostek na drugą stronę koła i ustawienie ich na jak najdogodniejszych pozycjach do przypuszczenia zmasowanego ataku. Wszyscy zgodzili się, że jest to najlepszy sposób na pokonanie małych, podstępnych samolotów bellinzońskich.

Gaja oglądała właśnie “Wojnę i pokój”, długą wersję wykonaną przez Mosfilm.

Przyznała, że jest to prawdopodobnie dobry pomysł i nakazała, by spytano ją o to jeszcze raz, kiedy już będzie miała czas, żeby to przemyśleć.

Kiedy wyszła z sali, mrugając na widok światła, poinformowano ją, że wszystkie bazy zostały zniszczone, a siły powietrzne są właśnie dobijane.

Te wieści wywołały grymas rozdrażnienia na jej ogromnej twarzy.

- Sprawdźcie, czy jest jeszcze gdzieś tamta kopia “Dowództwa strategicznych sił powietrznych” - powiedziała swoim doradcom i wróciła do sali projekcyjnej.

Dwanaście

Zebrano i policzono wszystkich zmarłych. Ponad sześciuset ludzi, dwadzieścia dwie

tytanie. Ciała tytanie ułożono na stosach i podpalono w obecności wszystkich dywizji, które stały wyprężone na baczność.

Opatrzono rany. Ludzie mieli tysiąc pięćset ran, a tytanie trzydzieści pięć; wiele z nich było poważnych. Mniej poważne przypadki załadowano na wozy i odesłano do miasta pod strażą składającą się z trzech kohort.

Tak więc bilans wyniósł jeden legion poległych i rannych oraz pół legionu

niezdolnych do marszu. Podobne straty poniosły tytanie. W rezultacie armia Cirocco została po raz kolejny zdziesiątkowana.

Mogło być jednak znacznie gorzej. Wszyscy to sobie stale powtarzali w duchu, ale

nikt nie wspominał o tym na głos, gdy płonął stos, albo gdy na wozy wrzucano oślepionych, poparzonych i okaleczonych żołnierzy.

Znająca bezlitosną logikę wojny Cirocco wiedziała, że nie mogło być lepiej, nawet wtedy gdyby zaplanowała każdą sekundę.

Bellinzońskie Siły Powietrzne zaznały więcej strat niż armia, zarówno w pilotach, jak i samolotach - ale gajańskie lotnictwo przestało istnieć. Ci, którzy przeżyli, byli bohaterami.

Opowieści o ich walce miano jeszcze usłyszeć w niejednej knajpie Bellinzony.

Armia została nadwerężona, lecz teraz była prawdopodobnie silniejsza niż

kiedykolwiek. Została, mówiąc dosadnie, nieźle wkurzona. Żołnierze widzieli, jak umierają ich towarzysze. Winili za to Gaję i nienawidzili jej. Dowiedzieli się czegoś na temat strachu.

Byli już weteranami.

Generałowie wiedzieli, że lepiej, nic o tym nie mówić. Pamiętali eks-generała, który powiedział coś o "dopuszczalnych ofiarach". Jednakże wiedzieli również, że miał rację i że Cirocco też to pojmuje.

Poszło im o wiele lepiej, niż Cirocco kiedykolwiek przypuszczała. Była tym tak

uszcześliwiona, że miała ochotę demonstrować to na każdym kroku.

Ta wojna dawała się znieść przede wszystkim dlatego, że jak dotąd bili się wyłącznie z monstrami. Mogła zaakceptować i przyklasnąć tej nienawiści, temu duchowi zemsty żadnej krwi, wobec której zazwyczaj czuła niechęć, gdy były skierowane przeciwko innej grupie ludzi. Jak dotąd walczyli z prawdziwym złem. Jednakże w Hyperionie, u bram Pandemonium, wszystko mogło się zmienić. Jeśli plany wobec Gai zawiodą, ci ludzie wkrótce będą walczyć z innymi ludźmi.

Ta garstka ludzi, która zdecydowała się towarzyszyć Gai, składała się z jednostek

równie złych jak ona sama. Jednakże przeważająca większość mieszkańców Pandemonium trafiła tam równie przypadkowo, jak bellinzończycy osiedlili się w Dione. Było to

przypadkowe rozdanie, a zresztą Gaja i tak używała znaczonych kart.

Cirocco przyłapała się na tym, że wznosi modły do świętej Gaby. Proszę, nie pozwól mi przegrać.

Proszę, nie pozwól, żeby ta armia - ta armia, którą zebrałam tylko dlatego, że obiecałaś mi, że Adam zostanie uratowany bez walki ludzi z ludźmi - proszę, nie pozwól, by ludzie tworzący tę armię nauczyli się kochać zabijanie innych ludzi.

Jeszcze jedna rzecz podtrzymywała ją przy życiu. Gdyby umarła i ta armia musiałaby walczyć bez niej, to z pewnością wybierze krwawą śmierć, nie życie w niewoli.

Armia parła przed siebie. Kiedy droga zniknęła w dżungli, na czoło wysunęły się oddziały tytanii.

Słyszało się narzekania na tytanie. Nie były zbyt logiczne, ale sarkania nigdy takie nie są. Nieważne, że osaczeni ludzie nie mieli czym się bronić i właściwie dotąd nie walczyli w żadnej bitwie. Nieważne, że gdyby zaistniała taka możliwość, ludzie również uciekliby z pola bitwy. Chodziło o to, że tytanie uciekły, a ludzie zostali, żeby przyjmować kule. Ale dżungla zmieniła to nieprzychylnie nastawienie.

Przez dżunglę posuwali się bardzo wolno. Kiedy oddziały przemieszczały się przez długi, ciemny tunel listowia, mijały grupy wyczerpanych, podrapanych do krwi tytanii, które siedziały na poboczu szlaku. Razem z nimi zazwyczaj wypoczywał ten legion, który dotychczas szedł na czele. Kiedy cała kolumna już przeszła, legion i tytanie przyłączały się do jej końca. Powtarzało się to co każde dwa obroty.

Legion wychodzący na prowadzenie widział, co się działo. Grupa pięćdziesięciu tytanii przedzierała się przez dżunglę z prędkością i energią ogromnej piły tarczowej. Był to widok budzący grozę. Atakowały je małe, gryzące i drapiące stworzenia. Ich kolorowe skóry plamiły trujące rośliny. Nie trzeba było dużo czasu, by stwierdzić, że ludzie potrafili przemieszczać się w ten sposób zaledwie z jedną dziesiątą ich prędkości i przy sporej liczbie ofiar.

Sytuacja maszerujących też nie była najciekawsza, bo z poszycia stale wyskakiwały na nich jakieś stworzenia. Żołnierze stali się bardzo podenerwowani. Paru z nich umarło, prawdopodobnie w efekcie zetknięcia z jakąś trucizną.

Kiedy rozbijali obóz, dżungla zamykała się wokół nich. Z odurzającego mroku wynurzały się stworzenia lepiej do niej przystosowane i na moment ukazawszy się w świetle, wdawały się w walkę z czterema lub pięcioma tytaniem. Dwukrotnie musieli obozować w dżungli. Nikt nie spał zbyt długo.

Istniał jeszcze inny powód stałego napięcia. Rozeszła się wieść, że mogą zostać zaatakowani na terytorium Kronosa, który był sprzymierzeńcem Gai. Nikt nie wiedział, czym mogą być ich potencjalni wrogowie, ale na podstawie tego, co dotychczas widzieli,

spodziewali się czegoś naprawdę okropnego.

Jednakże z niewiadomych przyczyn Kronos nie zaatakował. Armia doszła do jego

drugiego krańca i odetchnęła z ulgą - tylko pięćdziesiąt dwie tytanie i szesnastu ludzi poległo w tej morderczej przeprawie.

Nad brzegiem Ophionu rozbili nieco bardziej solidny obóz. Znajdowali się na skraju wielkiej pustyni Mnemosyne, nie opodal miejsca, w którym rzeka miała swoje źródło i płynęła dwieście kilometrów pod ziemią, zanim wreszcie przebijała się na powierzchnię.

Cirocco pozwoliła im odpocząć, pozbierać się po przeprawie przez dżungłę i nabrać

sił przed wejściem na pustynię. Zorganizowano mecze piłki nożnej. Mężczyźni i kobiety schronili się w małżeńskich namiotach i zapomnieli na moment o strachu.

Napełniono wszystkie dostępne pojemniki na wodę. Po drodze do śniegów Okeanosa

nie było żadnych oaz, źródeł, w ogóle żadnej wody w jakiegokolwiek postaci.

Trzynaście

Czerw budził we wszystkich mistyczny lęk.

Krążyło o nim wiele legend, ale z wszystkich ludzi tylko Cirocco go widziała.

Jedni mówili, że ma dziesięć kilometrów długości i dwustumetrową paszczę. Łaknie

ludzkiej krwi, twierdzili inni. Lubił kryć się w piasku, pod którym poruszał się szybciej niż biegnąca tytania, a potem wybijał się na zewnątrz, by pożerać całe armie.

Cóż... coś w tym było.

Wielu autorów tych opowieści pamiętało bestię, która po raz pierwszy pojawiła się

dawno temu w pewnym filmie - jednym z ulubionych filmów Gai. Podobał jej się tak bardzo, że stworzyła podobną bestię i wpuściła ją do Mnemosyne, która, jak głosiła tytanijska legenda, była niegdyś Klejnotem Koła.

Prawda była jednocześnie znacznie gorsza i znacznie lepsza.

W połowie wędrówki napotkali jeden wielki zwój czerwia. Czerw miał trzysta

kilometrów długości i cztery kilometry w przekroju. Wolał przebywać pod powierzchnią, ale w miejscach, gdzie podłoże skalne znajdowało się płycej niż cztery kilometry pod warstwą piasku, nie miał wyboru, więc wystające zwoje były widoczne z daleka. Przemierał stopniowo kamienie na coraz to drobniejszy piasek i żywił się połykanymi minerałami.

A jeśli chodziło o jego prędkość...

Trzysta kilometrów piasku wytwarza spore tarcie. Czerw składał się z ogromnych

pierścieni, każdy miał około stu metrów długości. Odbywało się to w ten sposób, że jeden z widocznych segmentów podciągał się do przodu na odległość sześciu lub siedmiu metrów, potem następny przysuwał się do tego pierwszego, potem następny i tak dalej, aż do końca. W

ciągu dwóch lub trzech minut każdy segment pokonywał od sześciu do siedmiu metrów.

Choć widok ten budził grozę, poczuli jednak ulgę, gdy zobaczyli, że jest raczej

nieszkodliwy. Narodziła się chwilowa moda, której Cirocco w żaden sposób nie potrafiła zapobiec. Armia pokrywała czerwia graffiti.

Każdemu legionowi, który akurat mijał dwa czy trzy kilometry wystającego cielska

tego robaka, dowódcy dawali krótką przerwę. Żołnierze tłoczyli się wówczas wokół tej największej ściany na świecie i śmiali się z napisów zostawionych przez poprzedników.

Chętnie wyrażano swoje sentymenty wobec nazwisk i miast. "Marian Pappadopolis,

Dżakarta". "Carl Kingsley, Buenos Aires". "Fahd Fong, WIELKI Wolny Stan Teksasu!"

Zadziwiająco miękka skóra stworzenia dawała się nacinać mieczem albo nożem;

czerw w ogóle na to nie reagował. Wycinano poezje: "Ci, którzy piszą na jajach czerwia..."

Pilne wiadomości: "Sammy, zadzwoń do domu!" Ogłoszenia: "Chcesz się zabawić, wpadnij do George'a, Legion Piąty, Namiot Dwunasty". Uwagi krytyczne: "Sonia Kolska jest bardzo przystępna!" Teorie filozoficzne: "Pieprzyć armię!" Pomocne sugestie: "Wysraj to wreszcie z siebie!" I patriotyczne wyznania: "ŚMIERĆ GAI!!!" Ta sentencja powtarzała się często, jak czerw długi i szeroki. Pojawiały się też wzruszające epitafia dla zmarłych przyjaciół i nostalgiczne żołnierskie treny. Nawet wzmianki historyczne: "Był tu Kilroy".

Cirocco wiedziała, że obecność czerwia jest przydatna. Armia potrzebowała jakiejś

rozrywki. Przeprowadzenie przez Mne-mosyne przypominało piekło.

Temperatura dochodziła do stu czterdziestu stopni Fahrenheita i rzadko spadała

poniżej stu dziesięciu. Wilgotność była bardzo niska, co pomagało, ale niewiele. Noc nie przynosiła żadnej ulgi, żadnej chłodnej bryzy.

Postępowanie na gajańskiej pustyni dalece się różniło od postępowania na Saharze.

Promienie słoneczne były tak słabe jak herbaciana lura. Nie opalały, a już na pewno nie groziły



poparzeniem. Nie trzeba więc było nosić kapeluszy ani żadnej odzieży ochronnej.

Wielu żołnierzy wolało się rozbierać do naga, żeby ich pot jak najszybciej parował. Inni z kolei woleli nosić jakąś lekką odzież, żeby zachować choć trochę wilgoci.

Żadna strategia nie była dobra. Mieli wystarczająco dużo wody, żeby jej nie

racjonować, więc Cirocco nie wydawała żadnych rozkazów. Problemem było oszczędzanie stóp i spanie.

Rozpakowano i rozdano dziwaczne sandały, które nieśli od samej Dione. Były

uplecione z twardych trzciny i przypominały rakiety śnieżne. Chodzenie w nich wymagało odrobiny ćwiczeń, ale warto się było uczyć. Cały żar wydobywał się z podłoża, z piasku, który miejscami był tak gorący, że można było na nim gotować. Sandały rozkładały ciężar ciała, dzięki czemu nikt nie grzał. Ponadto chroniły podeszwy butów od bezpośredniego kontaktu z piaskiem.

Tytanie miały własne, dyżurne obuwie. Tylko jeepy poruszały się z wielkim trudem.

Bezustannie trąbiły.

Obozowanie było istnym koszmarem.

Ludzie spali na stojąco, oparci o wozy. Można było piętrzyć stosy złożonych

namiotów, ubrań i wszystkiego, co wpadło w rękę, ale to tylko częściowo chroniło przed żarem. Ludzie tłoczyli się na tych posłaniach i budzili się dysząc, złani doszczętnie potem.

Śniło im się, że płoną.

Lepiej było spać podczas marszu. Żołnierze na zmiany kładli się na wozach i tam

kradli kilka godzin snu, dopóki nie budzili ich następni. Wielu jednak zasypiało w ruchu, padali i budzili się z krzykiem.

Były przypadki wyczerpania i odwodnienia. Siły Powietrzne bezustannie zabierały

tych w najgorszym stanie na skraj Okeanosu. Mimo tego były przypadki śmiertelne, choć nie tak liczne, jak obawiała się Cirocco.

W strefie zmierzchu, między Mnemosyne i Okeanosem, na brzegu ciepłego jeziora,

przy którym ze swej podgajańskiej wędrówki wyłaniał się Ophion, Cirocco zezwoliła na krótki odpoczynek. Tu można już było spać na ziemi. Potem pognała ich w stronę wybrzeża największego morza na Gai, tego, które zajmowało sześćdziesiąt procent całej powierzchni Okeanosu i nazywało się po prostu Okeanos.

Woda była chłodna, a całe wybrzeże porastała roślinność. Żołnierze pozdejmowali z siebie skąpą odzież i powskakiwali do morza. Jeepy ochoczo rozbryzgiwały wodę kopytami.

Tytanie pływały na głębinie, wyglądając przy tym jak potwory z Loch Ness, gdy wystawiały swój ludzki tors ponad powierzchnię.

Cirocco raz jeszcze zebrała generałów, aby omówić przegrupowania w oddziałach osłabionych po przejściu przez Mnemosyne. Próbowwała ukryć swoje obawy, ale raczej jej się to nie udało. Zdaniem Cirocco Okeanos stanowił wielką niewiadomą. Przeprowała się przez niego wiele razy, ale zawsze z wielkim strachem. Trudno jej było to wyjaśnić, bo nigdy dotąd nie stało jej się tu nic złego. Gaby jednak nie chciała o tym rozmawiać i to ją martwiło.

Postanowiono, że żołnierze, którzy zgodnie z orzeczeniem korpusu medycznego są zbyt osłabieni, by wytrzymać przeprawę przez Okeanosa, pozostaną na zachodnim brzegu jeziora. Nie będą ich strzegły żadne oddziały. Sami mieli się sobą zająć, gdyby doszło do walki.

Cirocco pokazała im, co mogą jeść i od czego się trzymać z daleka, i nie mogąc już dłużej tego odkładać, wprowadziła swą armię do Okeanosa.

### Czternaście

Wozy były tak lekkie jak nigdy dotąd. Sprzęt zabrany do przeprawy przez dżunglę porzucono na zachodnim skraju pustyni. Sprzęt pustynny został przy chorych na wschodnim krańcu. Do Okeanosa nie trzeba było zabierać wody, a zimowy sprzęt, niesiony tak długo i z tak daleka, znalazł się teraz na tyłach wszystkich oddziałów. Trudno było stwierdzić, czy jeepom podobało się to zmniejszenie ciężaru, bo niczego po sobie nie pokazały.

Trasa wiodła ich wzdłuż południowego brzegu morza, obok punktu, w którym zaczynała się tworzyć wielka lodowa tafla, aż do skraju jednego z trzech głównych lodowców, które docierały tam od południowych wyżyn. W tym punkcie tafla lodowa miała ponad sto metrów grubości, co stanowiło pewną gwarancję, że udźwignie ciężar maszerującej armii.

Podobnie jak Mnemosyne Autostrada Transgajańska omijała Okeanosa. Wytyczanie tu stałej trasy byłoby głupotą, bowiem najłatwiej wędrowało się po zamrożonym morzu.

Choć jego powierzchnia nie była równa - parcie lodowców kruszyło lód i przepychało wielkie tafle, które nakładały się na inne - dawało się wyszukać dość gładkie odcinki. Przejścia między nimi zwiadowcy wysadzali przy pomocy resztek dynamitu, którego nie zużyły anioły.

Samoloty Conala kursowały nieprzerwanie, dostarczając tony materiału wybuchowego.

Kiedy wędrowali przez roziskrzoną od lodu noc Okeanosa do miejsca swojego

pierwszego obozowiska, na wschodzie pojawił się znajomy kształt. Był to Gwizdek, który jak zwykle zachowywał się dziwnie. Miękkoloty nad Okeanosem zawsze latały na dużych wysokościach. Gwizdek leciał tak nisko, jakby mu za to płacono.

Zatrzymał się niedaleko armii i z jego brzucha zaczęło spadać coś, co wyglądało jak sypki pył. Trwało to bardzo długo. W przerwach słyszeli odgłos niesamowitego mgielnego rogu, bowiem miękkolot pozbywał się nadmiaru wodoru. W tym czasie stopniowo unosił się coraz wyżej, a pył wciąż spadał.

Skończywszy tę czynność, przeniósł się o kilka kilometrów dalej, obracając się znowu w stronę wschodu, i wypuścił potok wody, która zdążyła zamarznąć, nim dotarła do

powierzchni.

Okazało się, że wypuszczony ładunek to drewno do palenia. Leżało rozsiane po całym terenie, który Cirocco wybrała na ich pierwsze obozowisko, poprzycinane już stosownie do rozmiarów piecyków, które ustawiono w namiotach żołnierzy. Było suche i prawie nie dawało dymu.

Cirocco nakazała oficerom, by obwieścili swoim podwładnym, że to drewno jest

prezenterem od hyperiońskich tytani. Ogólna ocena tytani, i tak dość wysoka po przeprawie przez dżunglę, podniosła się jeszcze o kilka kresek, kiedy wszyscy rzucili się jak wilki na ciepły posiłek i wpełzli do śpiworów w wygrzanych namiotach.

Gaby odwiedziła Cirocco podczas drugiego postoju w Oke-anosie.

Cirocco była w swoim namiocie. Wygrzewała właśnie stopy przy ognisku,

rozpalonym w czymś, co przypominało starą beczkę po oleju. W namiocie stało rozkładane łóżko. Liczyła, że się trochę zdrzemnie. Nie spała od... Gdzie to było? Chyba w Kronosie.

Przez długi czas jakoś nie mogła zasnąć.

Wiedziała jednak, że tego potrzebuje, więc wyciągnęła się znowu, ziewnęła, zamknęła oczy i... wtedy do namiotu weszła Gaby. Cirocco usłyszała ją i usiadła. Nie zdążyła nawet nic powiedzieć. Gaby ujęła ją za rękę i pośpiesznie wyprowadziła na zewnątrz.

- Chodź - powiedziała Gaby. - Mam ci coś ważnego do pokazania.

Weszły w wirujący śnieg.

To nie była zadymka. Nie była to nawet burza, tyle że każdy wiatr jest nieprzyjemny, gdy temperatura spadnie poniżej zera. Przed namiotem stało dwóch czujnych strażników, odwróconych plecami od oślepiającego blasku ogniska... ale nie zauważyli Gaby i Cirocco.

Patrzyli na nie niewidzącym wzrokiem.

We śnie to normalne - pomyślała Cirocco.

Dobrnęły przez śnieg do innego namiotu, Gaby wprowadziła Cirocco do środka. Były tam dwa śpiwory, obydwaj zajęte. W jednym z nich spała Robin. W drugim siedział Conal i przecierał oczy.

- Kapitanie? Czy to...

Conal najwyraźniej widział Gaby. On też pewnie śni - stwierdziła Cirocco.

—

Kto to jest? - spytał.

Nazywam się Gaby Plauget - powiedziała Gaby. Cirocco naprawdę była pełna

podziwu dla Conala. Przez chwilę patrzył w milczeniu na Gaby, najwyraźniej dopasowując rzeczywistość do niezliczonych legend, które usłyszał podczas swego pobytu na Gai.

Obecność ducha najwyraźniej wcale go nie kłopotowała. Skinął w końcu głową.

—

Twój szpieg, Kapitanie... Zgadza się?

—

Zgadza się, Conal. Jak najbardziej.

—

Domyślałem się, że to nie może być nikt inny. - Zaczął wstawać, skrzywił się, a potem przerzucił nogi tak, by móc chodzić o kulach.

Ze swoją złamaną kostką Conal nadawał się do odesłania do miasta. Miał zamiar zrobić niezłe piekło, gdyby ktokolwiek wpadł na taki pomysł, ale nikt tego nie zrobił. Cirocco potrzebowała go w Hyperionie, nawet unieruchomionego. A ponieważ mógł jechać na grzbiecie Rocky'ego, nie było żadnego problemu.

Ale było to naprawdę niedobre złamanie. Tytanie-uzdrowicielki uważały, że będzie kulał jeszcze bardzo długo - może nawet do końca życia.

Gaby uklękała przed nim. Bez wysiłku rozerwała gips i objęła dłońmi obnażoną kostkę.

Ścisnęła ją pdł sekundy. Conal jęknął, a potem na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

Wstał, a potem przeniósł cały ciężar na tę nogę.

—

Cuda, po ćwierć dolca za dwa - powiedziała Gaby.

—

Będę ci winien tę ćwiartkę - powiedział Conal. - Ale naprawdę dziękuję... - I

wybuchnął śmiechem.

—

Co się stało?

—

Powiedzieć tylko “dziękuję” to chyba o wiele za mało... - Wzruszył ramionami, a

jego usta wykrzywiły się w głupim uśmiechu. Wyglądał dość nietęgo. - Jaki jest ten drugi cud?

—

Pokażę ci. Weźcie mnie za ręce, dzieci.

Latanie zdawało się przerażać Conalą znacznie bardziej niż duchy czy uzdrawianie za sprawą magii. Cirocco słyszała, jak szcękają mu zęby.

- Weź się w garść, Conal - powiedziała Gaby. - Po tym numerze z Luftmorderem to

powinien być dla ciebie chleb z masłem.

Nic nie powiedział. Cirocco znosiła to jak zwykle. Nie lubiła rzeczy, na które nie miała wpływu, ale podczas tych snów jakoś zupełnie nie miało to dla niej znaczenia.

Stwierdziła jednak, że się myliła. Gdy pojęła, dokąd lecą, miała ochotę zawrócić.

—

Ufałaś mi jak dotąd - powiedziała łagodnie Gaby. - Zaufaj mi jeszcze odrobinę.

Nie ma się czego bać.

—  
Wiem, ale...

—  
Za każdym razem, gdy przeprawiałaś się przez Oke-anosa, czułaś irracjonalny

strach i nigdy nie doszłaś bliżej do centralnego kabla niż na sto kilometrów. Okeanos jest wrogiem, właśnie to stale podpowiada ci twój umysł. Okeanos jest złem. Cóż, od dwudziestu lat wiesz także, że Gaja jest wrogiem. Czym zatem jest Okeanos?

—  
...Nie wiem. Wiele razy tu przychodziłam i chciałam spojrzeć temu sukinsynowi w oczy... i stale widziałam “Ring-mastera” rozlatującego się na kawałki.

—  
Bo zapamiętałaś tę bajeczkę, którą Gaja opowiedziała nam w piasku... - Gaby

urwała, a gdy odezwała się ponownie, mówiła głosem rozdrażnionego dziecka. - O tym, jak biedna, nie rozumiana Gaja próbowała wszystkiego, naprawdę wszystkiego i chciała się tylko zaprzyjaźnić z ludzkością, powitać nas z otwartymi ramionami... ale ten obmierzły, spiskujący sukinsyn Okeanos wyciągnął swoje łapska i... o biedne duszyczki, jakie to musiało być dla was straszne, ale zrozumcie, to nie była moja wina, tylko Okeanosa, który kiedyś był

częścią mojego tytanicznego mózgu, ale teraz jest sam dla siebie półbóstwem i nie mam żadnej kontroli nad tym obwiesiem...

Gaby umilkła, a Cirocco się zamyśliła.

—  
Nie jestem aż taką idiotką, żeby mi to nie przyszło do głowy - rzekła Cirocco. - Ja po prostu nie byłam w stanie tu podejść.

—  
Kapuś miał wiele z tym wspólnego - wyjaśniła Gaby. - Nawet gdy już go

wyciągnęłaś z głowy, zostawił po sobie różne śmieci.

Cirocco zadrżała.

- Przepraszam, to była chyba dość kiepska metafora. Nie będzie ich już więcej. Czas wrócić do

rzeczywistości.

Wylądowali na skraju lasu otaczającego centralny kabel i dalej poszli pieszo.

W miarę jak zbliżali się do centrum, robiło się coraz cieplej. Po pierwszych stu

metrach przestało tam docierać nawet nikiłe światło. Ani Conal, ani Cirocco nie zabrali lampy, ale Gaby miała jakieś źródło światła, które sączyło się przed nią niczym promienie księżyca albo blaski lustrzanej kuli w sali tanecznej. Wystarczało, by coś zobaczyć... choć i tak nie było czego oglądać. Cirocco zwiedziła okolice wielu kabli i zawsze napotykała tam szczątki pozostałe po wielu stuleciach. Szkielety dawno umarłych zwierząt, gniazda ślepych latających stworzeń, zmięte strzępy izolacji, która oderwała się od włókien kabli i zwisała tak od kilku godzin albo tysiącleci... Nawet stare kartonowe pudła, plastikowe opakowania po kanapkach i zgniecione puszki z czasów programu turystycznego Gai, kiedy tysiące ludzi uczestniczyło w spływach po Ophionie, albo buszowało po lasach otaczających kable. W lasach można było napotkać ślady istnienia złożonych ekosystemów, mało widocznych i tajemniczych,

naznaczonych przez zwierzęce odchody i łupiny nasion, które spadały z niewidocznych szczelin w górze.

W Okeanosie natomiast nie było niczego. Tak, jakby zaledwie kilka godzin temu

przebywała tu ekipa sprzątaczek, które wszystko odkurzyły i wypolerowały. Podłóżę przypominało w dotyku linoleum.

Cirocco prawie już zapomniała o swoim dotychczasowym lęku. Wręcz się dziwiła, jak mogła się kiedyś tak bać. Chwilom spędzonym z Gaby towarzyszyła zawsze przyjemna,

jakby narkotyczna i senna atmosfera. Wiedziała, że nie stanie się nic złego. Nawet we wspomnieniach te sny nie wydawały się przerażające. Jak zwykle więc ogarnął ją teraz nastrój spokojnego podniecenia. Czuła się trochę jak dziecko, które wędruje ze swoją matką po krętej, leśnej ścieżce. Była zaciekawiona, bo za każdym zakrętem mogły ich czekać jakieś nowe rzeczy, ale nie trzeba się było bać. Przepelniała ją rozkosz oczekiwania, co będzie dalej, ale nie dręczył jej żaden niepokój.

Domyślała się niejasno, jakie emocje muszą przepelniać Conala, choć nie podjęłaby

się ich opisać. On również się nie bał i cała ta wyprawa mocno go ciekawiła. Gaby stale musiała go wołać, bo albo zostawał w tyle, albo znacznie ich wyprzedzał. Idąc tropem podobnej analogii, przypominał chłopca z miasta, który nigdy nie widział lasu; za każdym zakrętem spodziewał się zobaczyć nowe cuda.

Cirocco wiedziała - nie rozumiejąc, skąd to wie - że miejsce, w którym dostrzegli

światło, jest dokładnie środkiem kabla. Gdy podeszli jeszcze bliżej, zobaczyli mężczyznę siedzącego

obok tego światła. Gdy stanęli tuż przy nim, podniósł wzrok.

Przypominał Robinsona Crusoe albo Ripa van Winkle'a. Jego włosy i broda były

długie i siwe. Miał w nich zaplątane różne przedmioty, gałązki, rybie ości, a pod jego ustami widniała podłużna brązowa plama. Cały był oblepiony popękany błotem. Miał na sobie to samo ubranie, w którym Cirocco widziała go po raz ostatni, przed dwudziestoma laty, kiedy wił się na zabłoconej podłodze "Zaczarowanego Kota" w Ti-tantown. Stwierdzenie, że jego ubranie wisiało w strzępach, byłoby wielką niesprawiedliwością, bowiem była to najbardziej zniszczona odzież, jaką kiedykolwiek widziała. Wielkie dziury ukazywały spore fragmenty skdroy - wymizerowanej, ciasno obciągającej kości, każdy jej cal pokrywały mniejsze lub większe blizny. Jego twarz była stara, ale nie aż tak bardzo jak twarz Calvina. Równie dobrze można go było wziąć za sześćdziesięcioletniego kloszarda. Jeden z jego oczodołów był pusty.

I - Cześć, Gene - przemówiła łagodnym głosem Gaby.

—

Jak leci, Gaby? - spytał Gene zadziwiająco silnym głosem.

—

Całkiem nieźle. - Odwróciła się do Conala. - Conal, pozwól, że ci przedstawię

Gene'a Springfielda, byłego członka załogi SKDZ "Ringmaster". Gene, to jest twój pra-prawnuk, Conal Ray. Przebył długą drogę, żeby się z tobą spotkać.

—

Siadźta se tutaj - powiedział Gene. - Nigdzie się nie wybieram.

Usiedli. Conal wpatrywał się w swego zgrzybiałego krewnego, człowieka, którego uważał za zmarłego, kiedy przybył na Gaję.

Pierwszą rzeczą, którą Cirocco zauważyła, przyjrząwszy się bliżej Gene'owi, była

narośl na łysiejacej czaszce. Pokrywająca ją sko'ra nie różniła się od reszty. Narośl kształtem przypominała połówkę grapefruita.

Wpatrzywszy się w to zniekształcenie, domyśliła się, czym ono może być. Pomyślała o ucisku, jaki to mogło powodować na jego płyty czołowe.

Rozejrzała się uważniej po otoczeniu. Nie było właściwie czego oglądać. Ze szczeliny w ziemi wydobywał się ogień. Płonął jasno i równomiernie na tle bezwietrznej ciemności.



Sterta siana leżącego nieopodal najwyraźniej służyła Ge-ne'owi za posłanie. Światło ognia odbijało się od pobliskiej sadzawki, mającej dwadzieścia metrów szerokości. Obok Ge-ne'a stało duże, cynkowane wiadro z wodą.

To było wszystko. W pobliżu znajdowało się wejście na schody prowadzące w dół do Okeanosa.

—  
Byłeś tu cały ten czas, Gene? - spytała Cirocco.

—  
Ano cały - potwierdził. - Od tamtej pory w Tety-dzie, co mi Gaby odcięła jaja. -

Spojrzał na Gaby i zachichotał. Nie, stwierdziła Cirocco, to nie jest najwłaściwsze słowo.

Wcale nie było mu wesoło. To był po prostu dźwięk wydany przez starca. Wydał go raz jeszcze, patrząc na Cirocco, Conal, a potem znowu na Gaby. - Chyba teraz nie o to ci idzie, coby mnie za to przeprosić, co nie?

—  
Nie - odparła Gaby.

—  
Takem tyż myślał. Nie ma co gadać. Odrośną tak jak wtedy, coś mi je obcięła za pierwszym razem. - Znowu zachichotał.

—  
Czym ty się żywisz? - spytał Conal.

Gene przyjrzał mu się podejrzliwie, a potem pogrzebał sękatą dłonią w wiadrze.

Wyciągnął stamtąd jakieś szare i ślepe stworzenie, które zaczęło się wić.

—  
Gotujesz je na ogniu? - spytała Gaby.

—  
Gotuję? - powtórzył Gene zaskoczonym głosem. Spojrzał na paskudztwo, które

trzymał w dłoni, potem na ogień, potem znowu na nie i w jego oczach ocienionych

zmierzwionymi brwiami pojawił się wyraz podejrzliwości. Uśmiechnął się szeroko, ukazując brązowe pieńki zębów. - Niegłupi pomysł. Takie ci to twarde, że człowiek może se na nich połamać klawisze. Łapię je w tym stawie. Śliskie jak diabły. - Spojrzał ponownie na węgorza i zmarszczył brwi, jakby nie mógł sobie przypomnieć, skąd go ma. Wrzucił go z powrotem do wiadra.

- Czym ty się tu zajmujesz? - spytał Conal.

Gene podniósł wzrok, ale zdawał się nie widzieć Conala. Podrapał się po głowie -

Ciocco omal nie zemdlilo, gdy dostrzegła, jak głęboko jego palce zanurzają się w narośli - i mruknął coś do siebie. Wydawał się nie być świadomy ich obecności.

—  
Gaby - wyszeptała Ciocco. - To... jak on mówi, to...

—  
Po wiejsku? Osobliwie? Kolokwialnie? - Wywinęła wargę w gorzkim uśmiechu. -

To interesujące w przypadku nowojorczyka, absolwenta Harvardu i byłego pracownika NASA, nieprawdaż? Rocky, Gene jest największą ofiarą losu, jaka się kiedykolwiek narodziła. W porównaniu z nim to, co Gaja zrobiła z nami, przypomina dziecięce igraszki. Spójrz na jego głowę. Spójrz tylko na to.

Ciocco ledwie była w stanie oderwać wzrok.

Teraz ogarnęła ją chęć, aby to koniecznie dotknąć. Powstrzymywała się, jak długo mogła, potem wstała, uklękła i przyłożyła dłoń do jego czoła. Pod skórą coś drgnęło leniwie.

Pomyślała, że zaraz zwymiotuje, ale jakoś się opanowała. Wpatrywała się w swoją dłoń, jakby należała do kogoś innego, i czuła, jak narasta w niej siła. Gene wolno podniósł ręce, po czym objął nimi jej przedramię, nie starając się jej odpechnąć. Czuła, jak jej dłoń się zaciska. Poczwała absurdalny odruch - bardzo bliski hysterii - żeby krzyknąć: "Wyzdrowiej!"

Po chwili trzymała w ręku coś mokrego, ruchliwego i cuchnącego. Spojrzała na to

obojętnie. Było pokryte krwią, tak samo jak jej ręka. Budową przypominało Kapusia, ale było opuchnięte, groteskowo tłuste i przewracało małymi, kaprawymi oczyma. Nagle coś

zaskrzeczało.

- Sukinsyn - mruknął Gene. - Sukinsyn. Sukinsyn.

Cirocco usłyszała, jak Conal, potykając się, ucieka i wymiotuje. Wiedziała skądś, że to ważne, by nie odrywała wzroku od stworzenia, które nie przestawało skrzeczeć. Gaby wykonała ruch i podała jej... słój z grubego, czarnego szkła. Girocco wrzuciła do niego potwora i zakręciła szczelnie pokrywę.

Dopiero wtedy Girocco spojrzała na Gene'a. Obmacywał palcami zakrwawione czoło, ale nie znalazł żadnej rany. Po narośli został tylko luźny płat skóry.

—

Sukinsyn - powtórzył.

—

Jak Kapuś? - spytała Girocco. Kiedy już było po wszystkim, miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

—

Nie - powiedziała Gaby. - Są tylko spokrewnieni. Ale Kapuś tylko słuchał i

donosił. - Postukała palcami po swoim czole. - Ten w mojej głowie tylko słuchał. - Podniosła czarny słój. - Takich jak ten szpiedzy nazywają kretami. Wrył się głęboko i wszystko przemieszał. Wpływał na rozwój wydarzeń, gdy tylko mógł to zrobić, nie demaskując swej obecności. To on prowokował gwałt, wojnę, sabotaż.. Po jakimś czasie zaczął kierować życiem Gene'a. Gene stał się marionetką, której sznurkami poruszała Gaja.

—

Stąd... Z kabla?

Już wtedy je zaskoczył, tyle lat temu, wkrótce po katastrofie "Ringmastera". Usiłował

pokazać tytaniom, jak mają używać nowej broni w wojnie z aniołami, łamiąc bezpośrednio zasady Pierwszego Kontakt i przepisy prawne ONZ. Wtedy jednak uznały, że to zwykła chęć przyjscia z pomocą tytaniom.

Dlatego zabrały go na wspinaczkę do piasty. Wówczas ogłuszył Gaby, zgwałcił ją i

pozostawił na pastwę losu. Potem zgwałcił Girocco i zabiłby je obydwie, gdyby nie odrobina szczęścia i seria szybkich kopniaków.

Gaby chciała go wtedy wykastrować. Cirocco nie pozwoliła. Wciąż nie żałowała tej

decyzji, mimo że przez następne siedemdziesiąt pięć lat przysparzał im wiecznych kłopotów i tak pokierował biegiem wydarzeń, że Gaby w końcu zginęła. Później wielokrotnie żałowała, że jednak go nie zabiła.

Przekonały się, że bardzo go trudno zabić. Gaby poderżnęła mu kiedyś gardło i pozostawiła w takim stanie. Przeżył.

Stał się więc podobny do Kapusia. Gdy Cirocco chciała czegoś od Kapusia, musiała go torturować. Gaby postępowała z Gene'em podobnie: przy każdym spotkaniu pozbawiała go czegoś - ucha, kilku palców, jąder. Zdrowiał, ale w odróżnieniu od Cirocco i Gaby zostawały mu blizny.

- Nie, nie z kabla - powiedziała Gaby. - To znaczy nie bezpośrednio. Ten stwór

donikąd go nie ciągał. Ale podszeptował mu różne rzeczy. Gene zaczął przypominać

schizofrenika. Sądzę, że musiał mieć jakieś inklinacje do gwałtu, bo ten potwór go do tego podburzył. Później przestało już się liczyć, co Gene myśli. W pewnym sensie zniknął, czy też umarł wiele lat temu.

Gaby westchnęła i pokręciła głową.

—

Dlatego jest mi tak głupio. Bo widzisz, skoro teraz nastąpił cud, to tylko dlatego, że opierał się, i to jak długo. Nawet przyszedł tutaj... Do tego jedyne miejsce na Gai, do którego ona sama nawet nie zagląda. Nadal dostaje raporty od kreta, ale udaje, że przychodzą z innego miejsca.

—

Dlaczego?

—

Dlaczego? Bo jest szalona. I... jest coś jeszcze, co zobaczysz za minutę.

Conal dołączył już do nich. Jego twarz nadal miała zieloną barwę.

- Co ona z nim zrobiła? - spytał. Jego głos był cichy, ale wyczuwało się w nim ogromne napięcie.

Przez chwilę Cirocco myślała, że chodzi mu o nią. Patrzył jednak na Gaby, a ona

wyjaśniła, co zrobiła Gaja, jak dawno temu to się stało i co to oznaczało. Conal wysłuchał tego wszystkiego w milczeniu.

—  
Co z Calvinem? - spytała Cirocco.

—  
On też takiego dostał, ale Gwizdek to wykrył i zabił to prawie natychmiast. Nie

wiem jak. Gwizdek nie zechciał nam powiedzieć... o co teraz mam do niego trochę pretensji, mimo że wiem, iż jego nie interesują ludzkie troski. - Wzruszyła ramionami. - Calvin teraz umiera, właśnie dlatego, że ten stwór w jego głowie został zabity.

—  
Kto to jest Calvin? - dopytywał się Conal.

—  
Pamiętasz swój komiks? - spytała Cirocco. - To ten czarny.

—  
To on też jeszcze żyje?

—  
Tak. - Cirocco ponownie spojrzała na Gaby. - A co z Billem?

—  
Po powrocie na Ziemię zrezygnował z pracy w NASA i został agentem Gai. Niby

robił wszystko zupełnie otwarcie, ale miał również rdżne tajne zadania. Sądzę, że również dostał takiego stwora jak Gene, ale nie wiem tego na pewno. Nie pytaj mnie o April i August, bo nie wiem, co Gaja z nimi zrobiła.

—  
Co jeszcze wiesz? Czy teraz możesz mi to powiedzieć?

Wiedziałem, że go tu mam - powiedział Gene. Wszyscy spojrzeli na niego. - Lubił ryby - wyjaśnił i wskazał ręką wiadro. - Nieźle się na nich spał. Ja tam nie jestem za rybami. - Uderzył się pięścią w zapadniętą klatkę piersiową. - Ale żem wiedział, że go tam mam. Srał mi we łbie.

- Zachichotał.

—  
Czy wiesz, kto ci go tam umieścił, Gene? - spytała Gaby.

—  
Gaja.

—  
Co o tym myślisz?

—  
Paskudna rzecz. - Znowu zachichotał i potrząsnął głową. - To nie ja żem myślał, ino on. On myślał za mnie.

Gaby przemówiła do Cirocco takim tonem, jakby Gene nie mógł jej słyszeć. I być może rzeczywiście tak było.

—  
Ten prostacki dialekt to pożegnalny prezent od Gai. Pamiętasz te moje porównania z filmami? Chciała, żeby był aktorem charakterystycznym. Błaznem, statystą... nie wiem.

Wiejski humor.

—  
Naprawdę zabawne - wściekł się Conal.

—  
Kilo śmiechu - zgodziła się Gaby. - Gaja zawsze była mniej więcej tak zabawna,

jak rak odbytnicy.

—

Oko mi wydłubała - powiedział Gene i zachichotał.

- Ale żem ciężko myślał. Aż mie ciepło we łbie, takem myślał. - Znowu zachichotał.

- Ale mi odrośnie. Zawsze tak jest. Lubiałem se odcinać graby, żeby nie myśleć. Tyż mi je odrosła. - Zastanowił się nad swoimi słowami. - Myślenie boli - zakończył.

- Czy myślałeś o czymś szczególnym, Gene? - spytała Gaby.

Zmrużył swoje jedyne oko.

- A jakże - powiedział wreszcie. - Ja żem myślał, że trza cś zrobić. Umyśliłem se, że trza jej... dać po gębie tak, coby się nakryła nogami na zawsze, o tak! - Spojrzał na nich wyzywająco.

- Może jest jakiś sposób - powiedziała Gaby.

Zmrużył podejrzliwie oko.

—

Ino nie rób w balona starego Gene'a, Gaby. - Na jego twarzy ujawniło się

zakłopotanie, potem zachichotał i spojrział na nią jak pies, który wie, że narobił bałaganu tam, gdzie nie powinien.

—

A ty naprawdę jezdeś Gaby? Juzem cię chciał szukać. Chciałem ci rzec... Jezu,

naprawdę mi przykro... - Wyglądał na jeszcze bardziej zakłopotanego. -...żem cie zabił.

- To już historia, Gene - pocieszyła go Gaby.

Śmiech Gene'a zabrzmiał wreszcie autentycznie.

—

Historia. A to dobre. Trza to powiedzieć... - Rozejrzał się niepewnie po ciemności.

Potem z trudem zmusił się do powrotu do terażniejszości.

—

Może będziesz mógł coś zrobić - powiedziała Gaby - Gai.

—  
Gai?

—  
Ale to będzie niebezpieczne. Mówię uczciwie. Możesz zginąć.

Gene przypatrywał się jej uważnie. Cirocco nie była przekonana, czy zrozumiał.

Potem spostrzegła, że w jego oku pojawiła się łza.

- Znaczy się... mogę przestać myśleć?

Piętnaście

Gaby sprowadziła ich na dół do Okeanosa przy pomocy tej samej przyprawiającej o

zawroty głowy teleportacji, którą zastosowała w poprzednim śnie. Cirocco rozejrzała się dookoła i odniosła wrażenie, że już tu kiedyś była.

Co wcale nie było prawdą. Po prostu miejsce to było bardzo podobne do komnaty

Dione. Różniło się tylko zielonkawym przewodem biegnącym z ruin mózgu, który kiedyś był

Oke-anosem, prosto w ciemność nad ich głowami. Przewód tuż nad posadzką rozdwajał się i rozchodził na wschód i zachód. Cirocco usiłowała ustalić, co jej przypomina ten widok, i w końcu jej się udało. Stare kamienice z nagimi żarówkami zwisającymi u sufitu - przewody zasilające opiekacz i telewizor.

Fosa była głęboka i wyschnięta. To miejsce było od dawna wymarłe. Cirocco zwróciła się do Gaby.

—  
Co tu się stało?

—  
Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy. Jego części nadal są w umyśle Gai. Inne

zostały zniszczone. Gaja twierdziła, że stało się to wiele tysięcy lat temu. Ale mózgi nigdy nie były samodzielne. Sądzę, że Okeanos po prostu... umarł, a Gaja nigdy nie przyjęła tego do wiadomości. Ludzkie analogie można stosować dopóty, dopóki nie okażą się fałszywe, ale nie znam lepszego sposobu, żeby ci to wyjaśnić. Gaja poczuła się zdradzona. Nie chciała uwierzyć w coś tak fantastycznego jak śmierć Okeanosa. Dlatego więc jej umysł naprawdę uległ rozszczepieniu i doprowadziła tutaj ten nerw (ten koniec prowadzi do mózgu



Hyperionu, a ten do Mnemo-syne) i to jest właśnie Okeanos. Ale ta jej część była kawałem drania. Istotnie wywiązała się jakaś walka, ale nie sędzę, że tak dramatyczna, jak Gaja ci ją opisała. W końcu to zawsze tylko ona, wiecznie gadająca sama do siebie. Gdy rozmawiasz z którymś z regionalnych mózgów, to tak naprawdę rozmawiasz z częścią osobowości Gai. Ona rozszczepia się coraz bardziej. Ona... nadal nie mogę ci powiedzieć wszystkiego, ale opracowała pewien... system, dzięki któremu wszystko funkcjonuje. Ta kobieta o wzroście pięćdziesięciu stóp, z którą masz zamiar walczyć, jest częścią tego systemu. Ty też do niego należysz. Ja również, choć tylko przez przypadek. Jedynie tyle mogę ci powiedzieć.

Gaby zwróciła się do Gene'a:

- Czy zrobisz coś dla mnie, jeśli cię poproszę? Czy będziesz pamiętał? Jeśli będziesz wiedział, że zaszkodzisz tym Gai?

Oko Gene'a załśniło.

- A jakże. Gene będzie pamiętał. Gene zrani Gaję.

Gaby westchnęła.

- Zatem ostatni kawałek układanki jest już na swoim miejscu - powiedziała.

Gaby pozostawiła ich na obrzeżach obozu, ale już za pierwszym kręgiem straży, co pozwoliło im uniknąć niepotrzebnych pytań. Ruszyli w stronę świateł.

Conal potknął się. Cirocco chciała podać mu rękę i wtedy zauważyła, że płacze.

Zawahała się przez chwilę, nie wiedząc, co zrobić, a potem objęła go ramionami. Płakał bezradnie, ale opanował się szybko i wyrwał z jej objęć mocno zawstydzony.

—

Lepiej już?

—

Właśnie sobie przypomniałem... co chciałem ci kiedyś zrobić.

—

Nie bądź idiotą. Nie wiedziałam większości tego, co właśnie usłyszeliśmy.

—

Ten biedak. Ten biedny, żaloszny sukinsyn.

Poczujesz się lepiej, kiedy się obudzisz. - Spojrzał na nią dziwnie, potem ścisnął jej rękę i ruszyli w stronę jego namiotu.

Cirocco poszła do siebie. Strażnik zatrzymał ją, potem rozpoznał i zasalutował.

Wyraźnie nie zauważył, że musiała się wymknąć z namiotu podczas jego służby.

Szkoda, że nie zajrzał do środka, pomyślała Girocco. Westchnęła i zasunęła klapę, przygotowując się do przemiany, przez którą przechodziła już dwukrotnie, ale która zawsze ją niepokoiła.

Jednakże na postaniu nie było żadnej Girocco.

Postała tam chwilę, zastanowiła, usiadła na łóżku i znowu zamyśliła. Stwierdziła w końcu, że nie ma sensu się budzić, skoro i tak wcale nie spała.

Zerknęła na zegarek, stwierdziła, że nadchodzi pora wymarszu, i wyszła na zewnątrz, aby wszystkiego dopilnować.

Armia wkroczyła do Hyperionu.

Od połowy drogi przez Mnemosyne, o ile pozwalała na to pogoda, cel ich marszu znajdował się w zasięgu wzroku. Trudno było przeoczyć południowy pionowy kabel, wznoszący się w samym sercu Pandemonium. Gdy maszerowali wśród łagodnych wzgórz południowo-zachodniego Hyperionu, widzieli czasami mur, który otaczał Studio.

Most na Uranii był jednym z niewielu wciąż nie zniszczonych mostów Autostrady

Transgajańskiej. Girocco posłała do niego swych inżynierów, by zorientowali się, czy nie ma tam jakichś zasadzek, oraz sprawdzili jego wytrzymałość. Okazało się, że most jest mocny, ale na wszelki wypadek Girocco rozstawiła wozy w dużej odległości i kazała oddziałom zgubić krok. Most wytrzymał.

Gaja zbudowała most na Kalliope. Tamę, którą tam nakazała usypać, usypano z ziemi.

Turbiny były małe, odpowiadały normom ludzkich hydroelektrowni.

Siły Powietrzne dostały jeszcze trochę dynamitu i kiedy armia przekroczyła już tamę, Girocco wysadziła ją w powietrze. Wszyscy obserwowali, jak tworzy się w niej wielka dziura, i wiwatowali, gdy cała konstrukcja szybko zamieniła się w ruinę. Girocco zniszczyła również turbiny. Tamy właściwie nikt nie pilnował, z wyjątkiem sześciu hutników, którzy

najwyraźniej nie przejęli się na widok zniszczenia ich dzieła.

Cirocco nie wiedziała, czy to dobry, czy zły znak. Wysłała patrole, aby wypatrywały ewentualnych ruchów wojsk Gai, ale wróciły z niczym.

Szesnaście

Od dłuższego czasu Gaja oglądała prawie wyłącznie filmy wojenne.

Prąd wysiadł w najmniej odpowiednim momencie. Była to ostatnia szpula "Mostu na rzece Kwai". W monumentalnych, finałowych scenach napięcie osiągało apogeum. Zza

zakrętu właśnie wyjeżdżał pociąg pełen Japońców, a ten facet musiał chyba zgłupieć, bo pomagał żołtkom znaleźć bomby przytwierdzone do mostu i... Alec Guinness, pomyślała z goryczą. To było prawie jak omen. Oczywiście w żadne omeny nie wierzyła...

I właśnie wtedy wysiadł prąd. Jakaś odległa, zmętniała część jej umysłu wiedziała, co jest tego powodem, ale nie chciała o tym myśleć. To wszystko zaczęło się jak dobra zabawa, ale z każdym dniem coraz bardziej ją nudziło.

Prawdę powiedziawszy, filmy też zaczynały ją już męczyć. Była zmęczona tym

małym śmierzdkiem Adamem i tym pijaczną Chrisem. A przede wszystkim miała dosyć

czekania na Cirocco Jones. Obawiała się, że wbrew swym nadziejom nie ubawi się aż tak porządnie, gdy wreszcie rozkwasi tę sukę.

Ogarnęła ją złość, a tymczasem technicy pośpieszyli uruchomić awaryjny generator, a potem przynieśli transformator, żeby projektor mógł działać... Cała seria nudziarstw, które wykonują kurdupłowaci nudziarze. Czy oni nie wiedzą, że ona jest gwiazdą?

Wreszcie uruchomili wszystko na nowo. Projektor pracował hałaśliwie przez jakieś

piętnaście sekund, po czym zatrzymał się, a lampa wypaliła dziurę w filmie.

Dosyć, dosyć tego.

Zabiła operatorów i wyszła na światło dzienne, by sprawdzić, czy armia Cirocco już dotarła.

Siedemnaście

Końcowy obóz rozbili w odległości zaledwie dziesięciu kilometrów od Pandemonium.

Ostatni, najkrótszy etap. Naturalnie żaden generał na Gai nie musiał się głowić, o jakiej porze dnia wszcząć atak.

Musiała zrobić jeszcze dwie rzeczy. Wezwała do wielkiego namiotu Novę, Wirginał, Conalę, Rocky'ego, Robin, Serpenta, Valihę i Piszczalkę. Nikt nie mógł słyszeć tej rozmowy.

Nawet strażnikom nakazano odejść na odległość pięćdziesięciu metrów.

Stała przed nimi i spojrzała na każdego po kolei. Była wyraźnie zadowolona z tego, co zobaczyła i pełna niesmaku wobec tego, co miała zaraz powiedzieć.

- Robin - zaczęła. - Nigdy cię nie okłamywałam. Ale nie powiedziałam ci całej prawdy. Nasu ma może jedną tysięczną szansy na pokonanie Gai.

Robin odwróciła wzrok, a potem powoli skinęła głową.

—

Chyba się tego domyślałam.

—

Nawet gdyby rzeczywiście zabiła tę Gaję... Mówię teraz o tym ogromnym

monstrum z Pandemonium, a nie o prawdziwej Gai, której Nasu nigdy nie pokona... to nic się nie zmieni. Prawdę powiedziawszy, liczę, że to Gaja ją zabije.

—

Nasu nie jest już moim demonem, Kapitanie - powiedziała Robin. Spojrzała znowu na Cirocco, w jej oczach błyszczały łzy. - No bo przecież nie mogę już jej nosić w plecaku, prawda?

—

Nie. Ale wciąż jeszcze mogę ją uratować. Możemy się obyć bez niej.

Robin potrząsnęła głową i wyprostowała się.

- Ty zawsze masz rację, Cirocco.

Teraz przyszła kolej Cirocco, żeby odwrócić wzrok.

- Chciałabym, żeby tak było. Ale nie zawsze wszystko wiem. - Spojrzała na resztę

zebranych. - Powiedziałam wam więcej niż komukolwiek. Teraz powiem wam jeszcze

więcej. To jednak nie będzie całość, bowiem choć jest już tak późno, nawet ja sama nie wiem wszystkiego. Ale jest tylko jedna szansa i ja chcę z niej skorzystać. Nova.

Młoda czarownica gwałtownie wzięła haust powietrza. Na zmęczonej twarzy Cirocco pojawił się uśmiech.

- Nie, nie mam dla ciebie żadnych wielkich niespodzianek. Ale rozliczam się z wszystkimi, a ty jesteś jedyna, która widziała Calvina. Pamiętasz go?

Nova skinęła głową.

- On umiera. Mogłyby może wyleczyć go z choroby tytanie, ale nie wiemy tego na pewno, bo nie pozwala się zbadać.

Był kiedyś lekarzem, więc może zdaje sobie sprawę, że to coś nieuleczalnego. W

każdym razie chce dla nas coś zrobić, coś, co go zabije. Zabrałam cię z sobą do niego tamtego dnia, bo chciałam sprawdzić, czy nadal chce to zrobić. Chciał.

—  
Tego dnia, kiedy się upiłam - powiedziała Nova i uśmiechnęła się smutno.

—  
Conal, widziałeś Gene'a. Wiesz już mniej więcej, do czego jest zdolny.

Prawdopodobnie nie zrobi dobrze tego, o co poprosi go Gaby. Prawdopodobnie tego nie przeżyje. Gaby i ja wiedziałyśmy to od początku.

Conal przez moment wpatrywał się w swoje buty, a potem spojrzał Cirocco w oczy.

- Nigdy nie widziałam nikogo bardziej gotowego umrzeć niż on. Śmierć chyba będzie dla niego błogosławieństwem.

On jednak dokładnie wie, co robi.

Cirocco była mu wdzięczna. Conal zdawał się zawsze podawać jej pomocną dłoń.

Zrobiła głęboki wdech; z trudem powstrzymała łzy.

- Wirginał. Valiha. Serpent. Pisz...

Piszczątka wystąpił naprzód i delikatnie położył dłoń na ramieniu Cirocco.

—

Kapitanie, ponieważ to jest godzina szczerości, powinienem ci powiedzieć, że my już się domyśliłyśmy, że...

---

Nie - powiedziała Cirocco, odsuwając jego dłoń. - Muszę wam to powiedzieć.

Wiedziałyście wszystkie, że Chris może zginąć w tej potyczce. Powiedziałam wam, że ratowanie Adama jest moim głównym celem. To było kłamstwo. Ratowanie go było moim celem numer dwa. Trudno mi wyrazić, jak ważnym... ale jeśli w efekcie ja, Gaja i Adam umrzemy, będę to mogła nazwać zwycięstwem.

Piszczalka nic nie powiedział. Do przodu wystąpiła Valiha.

- Już to przedyskutowałyśmy - oświadczyła. - Przestrzegaliśmy twoich zasad

bezpieczeństwa i nie powiadomiłyśmy o tym całej rasy, więc podejmujemy tę decyzję we czworo i to my ponosimy odpowiedzialność. Uważamy, że cała społeczność tytanii

zgodziłaby się z nami. Oto nadchodzi czas, kiedy trzeba zaryzykować wszystkim, żeby wyeliminować wielkie zło.

Cirocco potrząsnęła głową.

---

Mam nadzieję, że się nie mylicie. Istnieje... spore prawdopodobieństwo, że nawet

jeśli Gaja, Adam i ja zginiemy, cudowna rasa tytanii, którą przysięgam wam, kocham bardziej niż własną rasę, przeżyje. Ale jeśli tylko ja i Adam zginiemy, a Gaja przeżyje, wówczas jesteście skazane na zagładę. I to jest mój główny cel: wymazać tego stwora zwanego Gają z mapy wszechświata.

---

Jesteśmy z tobą w tej walce - powiedział Piszczalka. - Odpowiedzialność za

uratowanie Adama spoczywa na nas... - Gestem ręki ogarnął całą grupę -...wszystkich siedmioro, pochodzących z dwóch ras, ale połączonych więzami miłości. Tak powinno być.

---

Tak powinno być - zaśpiewały tytanie.

---

Życie Adama jest teraz w naszych rękach. Powinnaś przestać o tym myśleć.

Powiedziałaś nam, co mamy zrobić, i użyjemy wszystkich naszych sił. Powinnaś zapomnieć o tym teraz, zaufać nam... i zrobić to, co do ciebie należy.

—  
Zawsze będziesz naszą Czarodziejką - powiedział Serpent i potem to zaśpiewał donośnym i wyzywającym głosem. Pozostałe tytanie przyłączyły się do niego.

Ciocco czuła, że za chwilę się rozplacze, ale ponownie się opanowała. Wreszcie podniosła wzrok.

—  
Być może jest to nasze ostatnie spotkanie - powiedziała.

—  
Zatem ci, którzy przeżyją, zawsze będą czcić pamięć tych, którzy polegli - rzekła Wirginał.

Ciocco podeszła do nich i ucałowała wszystkich po kolei. Potem odesłała ich do wyznaczonych zadań. Myślała, że wtedy, w Junction, wylała wszystkie łzy, ale kiedy odeszli, okazało się, że jeszcze kilka jej zostało.

Po jakimś czasie wezwała generałów.

Kiedy usiedli przy stole dowództwa sztabu, Ciocco popatrzyła na wszystkich po kolei i zawstydziała się, że w swej zarożumiałości w myślach zawsze ich tytułowała numerami dywizji, którymi dowodzili. Był to odruch, który wynikał z jej obrzydzenia dla wojskowości.

Teraz jednak byli towarzyszami. Stali obok niej i ze zdumieniem poczuła, że raz na zawsze musi skończyć z tymi numerami.

Spojrzała na każdego po kolei, zapisując ich w pamięci.

Park Suk Chee: niski Koreańczyk po czterdziestce, dowódca Drugiej Dywizji.

Nadaba Shalom: czterdziestoletnia, jasnoskóra, niecierpliwa, ostoja Ósmej.

Daegal Kurosawa: mieszanka krwi japońskiej, szwedzkiej i Swazi, który dowodził Sto Pierwszą.

Na Ziemi wszyscy byli wojskowymi, ale żaden nie awansował wyżej niż do stopnia

porucznika. Wśród ich żołnierzy byli wyżsi rangą, ale nie było żadnych byłych generałów.

Był kiedyś taki czas w Bellinzonie, kiedy znalezienie eks-generała było okazją do rzadkiego święta. Ludzie zbierali się i palili generała na stosie. Palenie generałów było jedynym rodzimym sportem Bellinzony.

Lincze ustały, odkąd Cirocco przejęła władzę. Niemniej jednak trudno było znaleźć kogoś takiego, kto zechciałby przyjąć ten tytuł, i przez jakiś czas generałów nazywano “cezarami”. Jednakże stopniowo przyjmowało się zwykle określenie, gdy ludzie przyzwyczaili się wreszcie do faktu, że ci generałowie nie zabawiają się żadną bronią nuklearną.

- Park. Shalom. Kurosawa. - Kłaniała im się po kolei i oni odpowiadali znużonymi gestami. - Po pierwsze... nie będziemy budowali wież oblężniczych.

Byli zdziwieni, ale starali się to ukryć. Jeszcze niedawno któryś z nich na pewno chciałby wiedzieć, czy nie planuje frontalnego ataku z mostów, a inny by spytał, czy dowódca nie będą brali wroga głodem. Teraz tylko słuchali.

- To, co się tu wydarzy, będzie trochę przypominało wielką paradę. Będzie to po trosze karnawał albo widowisko na panoramicznym ekranie. To będzie film o potworach.

Będzie to jak jedno z tych przedstawień pod gołym niebem z “Uwertury 1812” z dodatkowym udziałem armat. Będzie to 4 lipca i Cinco de mayo. Natomiast nie będzie to, moi przyjaciele, żadna wojna.

Na chwilę zapanowała cisza. W końcu przemówił Kurosawa:

- W takim razie co to będzie?

- Powiem wam za minutę. Po pierwsze... jeśli to, co wam przedstawię, się nie

powiedzie, ja zginę. Będziecie musieli walczyć dalej beze mnie. Nie jestem tak głupia, żeby dać się wrobić w wydawanie rozkazów zza grobu. Będziecie musieli podejmować

samodzielnie decyzje. - Wskazała Parka. - Ty będziesz dowódcą całości. Tyle mogę zrobić i niniejszym mianuję cię generałem dwugwiazdkowym. Zgodnie z prawami Bellinzony

będziesz odpowiadał tylko przed burmistrzem, jeśli taki zostanie mianowany, ale na polu walki daje ci to prawie absolutną władzę.

Spojrzała na drugiego. Ukrywali swoje myśli, ale mniej więcej się ich domyślała. Trzy dywizje w



terenie, jedna w Bel-linzone. Jeśli Park będzie chciał pomaszerować do miasta i przejąć je, nikt go nie powstrzyma. Wybrała go jako osobę najmniej skłoną do

wprowadzenia stanu wojennego. Wiedziała jednak, że stworzyła potencjalnego potwora w łonie armii. Gdyby istniał inny sposób...

Jednakże Gaja chciała wojny i musiała stworzyć choć jedno złudzenie. Musiała odwrócić jej uwagę i chyba tylko armia mogła w tym pomóc.

- Zanim przejdziemy do dziennych rozkazów, powiem wam, co robić, w razie gdybym zginęła. Możecie przyjąć te rady albo nie. Radzę wam się wycofać.

Czekała na komentarz, ale nie usłyszała go.

- Być może uda wam się zrobić wyłom w murze i bić się wewnątrz z ludźmi Gai. Ale

ich jest więcej. Poniesiecie ciężkie straty i ostatecznie przegracie. Jeśli Gaja postanowi was ścigać... to będzie to taki koszmar, jakiego nawet sobie nie możecie wyobrazić. Urządzi jatkę.

Ona nigdy nie śpi, nigdy się nie męczy. Na początku zabije być może tylko kilku z was.

Ale kiedy wasze oddziały się zmęczą, zabije więcej. Może to będzie jeden legion dziennie, dopóki nie zniszczy wszystkich.

Dlatego jeśli zginę, powinniście natychmiast uciekać. W Okeanosie będziecie bezpieczni, przez jakiś czas, bo nie sądzę, że ona się tam zapędzi.

Widziała, że udało jej się nastraszyć przynajmniej dwóch. Park nieznacznie zmrużył oczy i Cirocco nie miała pojęcia, co się za nimi kryje.

—

Jeśli ona przeżyje... - zaczął Park. Jego oczy zwęziły się jeszcze bardziej. - W końcu przyjdzie do Bellinzony.

—

Tego chyba nie da się uniknąć.

- Co wtedy zrobimy? - spytała Shalom.

Cirocco wzruszyła ramionami.

—

Nie mam zielonego pojęcia. Może wymyślicie jakąś broń, która ją zabije. Mam

nadzieję. - Wystawiła kciuk w stronę niewidocznych murów Pandemonium. - Może najlepiej przyssać się do niej, jak te biedne duszyczki. Kłaniać się jej nisko i mówić jej, jaka jest wielka i jak bardzo wam się podobał jej ostatni film. Chodźcie do jej kina trzy razy dziennie jak prawdziwi niewolnicy i bądźcie wdzięczni, że żyjecie. Nie wiem, czy lepiej jest umrzeć stojąc, czy żyć na kolanach.

—  
Ja osobiście - powiedział cicho Park - wolałbym umrzeć. Ale nie o to chodzi.

Doceniam twoją analizę tej hipotetycznej sytuacji. Czy możesz nam teraz powiedzieć, co zrobimy dzisiaj?

Dodatkowa gwiazdka z pewnością dodaje odwagi, pomyślała Cirocco. Pochyliła się do przodu, wsparła łokcie na blacie stołu i spojrzała na nich najszczerzej, jak tylko potrafiła.

Czuła się jak pokerzysta, który właśnie zasiadł do stolika.

- Czy słyszeliście kiedykolwiek o walkach byków?

Osiemnaście

Chris zszedł z drabiny przystawionej do szczytu muru. Stał tam przez kilka obrotów, po prawej stronie bramy "Uni-versal", i patrzył na obozujące w oddali wojska Cirocco.

Z początku zrobiły na nim wielkie wrażenie. Sądził, że są bardzo liczne. Przez swój teleskop był w stanie wyróżnić rozmiary i wielkość wozów, rodzaj mundurów noszonych przez żołnierzy i energiczne kroki, jakimi się poruszali.

Im dłużej patrzył, tym bardziej tracił pewność siebie. Robił więc, co mógł, żeby porachować, ilu tych żołnierzy tam jest.

Powtarzał tę czynność wiele razy i nawet największa liczba, którą uzyskiwał, była mniejsza od tej, na którą liczył. Było tam też o wiele mniej tytanii, niż się spodziewał.

Nie siedział jednak zupełnie beczynnie. Kiedy zdenerwowane agencje informacyjne

Pandemonium rozgłosiły wieść o nadciągającej armii, zaczął szacować siły Pandemonium.

Starał się z tym nie afiszować, choć wątpił, czy Gaję w ogóle obchodzi, co on robi. Nie próbowała niczego ukryć ani przed nim, ani przed nikim innym w Pandemonium. Prawdę powiedziawszy, często się przechwalała, że ma sto tysięcy wojowników.

Chris stwierdził, że jest to prawda... ale zwodnicza. Wewnątrz tych murów było wielu ludzi i należało się spodziewać, że wszyscy staną do walki. Zakładał jednak, że armia Cirocco potrafi walczyć. Natomiast oddziały Gai były zdaniem Chrisa wyszkolone do stawania przed kamerami, a także robienia zapalczywych min, pokrzykiwania i udawania wielkiej

determinacji podczas ataku.

Niemniej jednak było kilka rzeczy, o których koniecznie chciał powiadomić Cirocco.

Spieg nie jest wart nic, jeśli nie może wydostać się z kraju. Ta myśl sprawiła, że zachciało mu się piwa...

Gwałtownie potrząsnął głową. Miał zamiar zachować trzeźwość do końca walki. Musi

być gotowy, jeśli pojawi się szansa... choć nie wiedział, czy w razie czego w ogóle ją zauważy. Był zupełnie ogłupiały. I dlatego miał ochotę na piwo...

Cholera jasna.

Wzdłuż muru szła Gaja. Chodziła po całym terenie, sprawdzając rozmieszczenie

swoich oddziałów, przemieszczając jednostki, męcząc swoich żołnierzy jeszcze przed rozpoczęciem walki.

—  
Hej, Chris! - zawołała. Odwrócił się i spojrzał na nią. Wskazywała ręką północ, gdzie zbierała się armia. - Co o tym sądzisz? Ładnie się prezentują, prawda?

—  
Złoją ci skórę, Gaja - powiedział.

Ryknęła śmiechem, przestąpiła przez globus Universalu i kontynuowała dalej swój

obchód. Chris coraz bardziej czuł się jak nadworny błazen, zdolny do bezczelności, jaka jest dozwolona tylko komicznym postaciom. Nie podnosiło to jego morale i dawno już przestało go bawić.

Cholera, gdyby tylko istniał jakiś sposób na porozumienie się z Cirocco.

Musi się dowiedzieć, że Gaja ma armaty.

Może Cirocco już wiedziała o tym i Chris martwił się niepotrzebnie. A zresztą nie

były to najlepsze armaty. Chris przypatrywał im się podczas testowania - z bezpiecznej odległości,

po tym, jak wybuchł jeden z wcześniejszych modeli, zabijając szesnastu ludzi.

Armaty nie miały zbyt dalekiego zasięgu i nie były również specjalnie dokładne.

Jednakże hutnicy dostarczyli ostatnio jakieś nowe, eksplodujące kule armatnie, a ponadto rozsypali tysiące gwoździ na sporym terenie. Jeśli Cirocco zamierzała wziąć mury szturmem, wówczas czekały ją kłopoty.

Przygotowano też wiadra z wrzącym olejem, ale Chris sądził, że Cirocco się tego spodziewa. Wiedziała też, że Gaja ma łuczników...

Były też inne złe i zarazem dobre wieści. Gaja dysponowała bronią, ale na szczęście nie miała jej dużo i były to głównie prymitywne skałkówki, których ponowne załadowanie trwało wieczność i które wybuchaly jeszcze częściej niż armaty. Strzelcy bali się je nosić przy sobie.

Chris zastanawiał się, co jest gorsze: nosić przy sobie broń, która może oberwać ci ręce, czy też iść do walki z atrapą.

Niedawno przeżył wyjątkowo nieprzyjemną chwilę, kiedy zobaczył regiment złożony z żołnierzy ubranych w nowoczesne, lekkie zbroje, niosących laserowe karabiny i wielkie plecaki z amunicją. Był pewien, że jedna kompania takich wojsk mogłaby zmasakrować cały rzymski legion.

Potem spotkał tych żołnierzy w kantine. Z odległości dziesięciu stóp z łatwością można było wykryć oszustwo. Laserowe karabiny zbudowane były z drewna i szkła, a plecaki były puste. Zbroje wykonano z jakiegoś plastyku.

Ruszył z powrotem w stronę Tary. Po drodze musiał często ustępować maszerującym formacjom żołnierzy. Minął oddział kawalerzystów jadących na koniach, których Gaja używała w swoich westernach. Mieli prawdziwe szable, ale ich sześćciostrzałowe rewolwery były wyrzeźbione z drewna. Wiedział również, że na właściwy sygnał większość z koni przewraca się, udając, że są postrzelone, tak bowiem je wyszkolono. Czy to nie byłoby wspaniale, gdyby podał Cirocco, jaki to sygnał?

Później minął go rzymski legion, oślepiając blaskiem swych mosiężnych tarcz, napierśników i szkarłatnych koszul. Za nim przemaszerował gęsiego regiment złożony z faszystowskich oddziałów szturmowych, a dalej włókł się oddział szturmowy z "Wojen Gwiezdných". Nim wrócił do Tary, napotkał jeszcze Gurków z "Gunga Din", piechurów z

"Na zachodzie bez zmian", konfederatów z "Przeminęło z wiatrem", Hunów, Mongołów,

Burów, Federales, Czerwone Płaszcz, Apaczy, Zulusów i Trojan. Niezależnie od swojego zdania o Pandemonium musiał przyznać, że jego kostiumownia była znakomita.

Wszedł po szerokich schodach georgiańskiego dworku; znalazł Adama w jednym z ogromnych pokoi. Siedział na marmurowej podłodze i bawił się kolejką. Była to niezwykła zabawka, wykonana ze srebra i ozdobiona szlachetnymi kamieniami, zbyt dużymi, by dał radę je połknąć, gdyby przypadkiem udało mu się je wydłubać - a Adam zawsze demontował

różne rzeczy, choć przestał już je zjadać, jeśli nie nadawały się do zjedzenia. Przyczepiał

wagoniki do lokomotywy, potem odpełzał w bok i popychał pociąg. Wagoniki przejeżdżały po torach, a on pokrzykiwał: szu-szu-szu-szu!

Zobaczył Chrisa i radośnie rzucił swą bezcenną lokomotywą o ścianę, mocno wgniatając miękki metal (Chris wiedział, że podczas jego następnego snu zostanie naprawiona).

- Chcę latać, tatusiu! - zapiszczał.

Chris podszedł więc do niego, podniósł go i zaczął huśtać, naśladując samolot. Adam cały czas się zaśmiewał. Potem posadził sobie dziecko na ramionach i zaniósł je na balkon drugiego piętra. Patrzyli w stronę północy.

Gaja wciąż obchodziła mury. Doszła do bramy "Goldwyn" i wracała już do

"Universalu", który był najbliższy obozu oddziałów Cirocco. Była to jedna z trzech ulubionych bram Adama: lubił Myszkę Miki na szczycie bramy "Disneya", wielkiego

kamienego lwa na "MGM" i obracającą się kulę ziemską na "Universalu". Adam wyciągnął rękę.

- Tam jest Gaja! - krzyknął. Zawsze był dumny i zadowolony z siebie, gdy udało mu

się wypatrzeć z daleka jej ogromne cielsko. - Chcę na dół, tatusiu - zażądał, i Chris postawił go.

Adam podbiegł do teleskopu. Tara była wyposażona w sto bardzo dobrych

teleskopów, ustawionych specjalnie w tym celu. Adam źle się z nimi obchodził, tak jak z wszystkimi swoimi zabawkami. I zawsze po jego przebudzeniu soczewki były już

naprawione, ślady palców wytarte, a mosiężne pokrętła błyszczące.

Potrafił się już nimi posługiwać. Obrócił teleskop i szybko znalazł Gaję. Chris

podszedł do innego, by zobaczyć, na co patrzy Adam.

Gaja wrzaskliwie wydawała rozkazy oddziałom rozmieszczonym przy murach,

pokazując pozycje, jakie mają zająć. Potem odwróciła się z rękoma wspartymi na biodrach.

Chris zerknął na Adama i zauważył, że chłopiec lekko obraca teleskopem, by objąć nim piękne pola Hyperionu, na których jak mrówki roiła się armia. Pokazał palcem.

- Co to jest, tatusiu?

- To, mój spryciarzu, jest Cirocco Jones i jej armia.

Adam spojrział ponownie do obiektywu teleskopu, najwyraźniej mocno zainteresowany. Może myślał, że dojrzy samą Jones. Ostatnimi czasy oglądał ją często, w takich filmach jak

“Pożeracze mózgow”, “Cirocco Jones spotyka Dra-kulę”, “Potwór z Czarnej Laguny”. Kilka filmów zostało nakręconych na Ziemi i Cirocco zastępowała w nich potwory, a dodatkowe sceny ukazywały jej transformację z dość potwornej, ale rozpoznawalnej kapitan Jones w obojętnie jakie monstrum z lateksu, które właśnie w tym tygodniu pożerało Tokio. Głównie jednak były to nowe dzieła, oznakowane napisem Madę in Pandemonium, z zaznaczeniem, że film powstał dzięki “Gai, Wielkiej i Potężnej”. Gaja znalazła przekonującego sobowtóra Cirocco do niektórych scen, a w innych używała komputerowych przeróbek. Jakość nie była najlepsza, ale nie oszczędzono funduszy. Chris dowiedział się z plotek krążących po kantynie, że liczne wypatroszenia, amputacje, dekapitacje i defenestracje w tych przygodach potworów bynajmniej nie były efektami specjalnymi i że nie brali w nich udziału kaskaderzy. Często, jeśli wymagał tego dany efekt, Gaja uważała, że znacznie łatwiej jest poświęcić statystów.

Trudno było stwierdzić, jaki wpływ miały te filmy na Adama. Były to zazwyczaj

ohydne moralitety, w których Cirocco zawsze grała rolę czarnego charakteru i zazwyczaj na samym końcu ginęła ku wielkiej radości pozostałych postaci. Chris jednakże pamiętał, że Drakula i Frankenstein, najbardziej znane kinowe wcielenia zła, zawsze w dziwny sposób fascynowali dzieci. Adam wydawał się reagować w podobny sposób. Bardzo się podniecał, kiedy na ekranie pojawiała się Cirocco.

Może była to część planu Gai. Może chciała, żeby identyfikował się z czarnym

charakterem, nawet jeśli to była Cirocco. Z drugiej strony istniała jeszcze zmieniona przez komputer wersja King Konga.

Chris nigdy nie widział żadnego z tych filmów, ale Cirocco opowiedziała mu kiedyś

akcję jednego z nich, gdy chciał udać się do północnej Fojbe i podjąć heroiczną próbę zabicia odnowionego wcielenia Gai. Wersja telewizji Pandemonium była inna. W roli Konga

występowała Gaja, a Cirocco była Carlem Denhamem. Fay Wray prawie wcale nie pojawiała się w tym filmie. Kong/Gaja nigdy jej w żaden sposób nie zagrażała - wszystko, co on/ona robiła polegało na ochronie niewinnych świadków w trakcie, gdy Denham nieudolnie

próbował ją zabić. Na samym końcu, zagnana na szczyt wieżowca, potwornie poraniona przez małe samoloty, Gaja spadała. Chris pamiętał klasyczną ostatnią kwestię: "To piękna zabiła bestię". W tej wersji Cirocco/Denham mówiła: "Teraz świat należy do mnie!"

Trudno było myśleć o Kongu i nie spojrzeć przy tym na dwudziestoczekaratową drogę. Przy jej końcu, niedaleko bram Tary, znajdowała się wielka czarna kula z odstającymi uszami. Była to głowa Konga. Za każdym razem, kiedy obok niej przechodził, odprowadzały go żalosne oczy.

- Jak to się skończy, tatusiu?

Chris wrócił do terażniejszości. To było ulubione pytanie Adama. Kiedy oglądali jakiś film, w miarę gdy rosło napięcie, Adam oglądał się na Chrisa z wyczekiwaniem i

przerażeniem w oczach i pytał, jak to się skończy.

Jak to się teraz skończy?

To pytanie zadajemy sobie wszyscy - pomyślał Chris.

—

Chyba będzie wojna, Adam.

—

Bomba! - powiedział Adam i ponownie spojrzął przez teleskop.

Dziewiętnaście

Atak na Pandemonium rozpoczął się w dwa dekaobroty po opuszczeniu przez nich ostatniego obozowiska. Jego początek obwieścił "J)zwon wolności" Johna Philipa Sousy wykonany przez Tytanijską Orkiestrę Armii Bellinzońskiej.

Gaja, zdecydowanie gdrując nad swoim kamiennym murem, obserwowała zbierającą się orkiestrę, widziała pojawienie się wypolerowanych instrumentów i ich błysk w pięknym świetle Hyperionu. Wysłuchiwała dwóch taktów początkowej frazy. Wtedy podskoczyła z radości.

- To Monty Python! - wrzasnęła.

Wpatrywała się w nich zaskoczona. Cirocco nauczyła, zmusiła albo przekonała tytanie, żeby maszerowały. Zawsze uwielbiały muzykę marszową, ale nie miały talentu do kroku marszowego. Zazwyczaj brykały beztrosko, ale utrzymywały przy tym równe i

niezmienne tempo marsza, jakby posługiwały się metronomem. Teraz jednak szły sztywną, zwartą formacją i śpiewały głośno, tak jak to potrafią tylko tytanie. I było to wspaniałe.

“Dzwon wolności”, jeden z wcześniejszych marszów Sousy, został przyjęty przez grupę komików jako ich hymn i Gaja знаła go z wielu filmów oraz programów telewizyjnych.

Wkrótce muzyka zupełnie ją porwała. Maszerowała w obie strony swego kamiennego

muru i obrzucała przekleństwami swoich żołnierzy, dopóki z wysiłkiem nie uformowali szeregów i nie zaczęli maszerować razem z nią.

Tytanie trzymały się w bezpiecznej odległości od fosy otaczającej mury i zaczęły

maszerować wokół Pandemonium w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara, kierując się do bramy “United Artists”. Skończyły grać “Dzwon wolności” i bez chwili przerwy zaintonowały “Pułkownika Bo-geya”. Gaja zmarszczyła brwi na chwilę, przypominając sobie kiepską scenę z tego niedawno widzianego filmu, ale szybko pojaśniała, kiedy połowa tytani odłożyła instrumenty i zagwizdała refren. Potem zagrały “Siedemdziesiąt sześć puzonów”.

Następne utwory również dawało się skojarzyć w taki czy inny sposób z różnymi filmami.

Kiedy muzyka ucichła w oddali, Gaja spojrzała w stronę północy, skąd nadciągała

ubrana na czarno postać. Wyprzedzała o co najmniej pięćdziesiąt metrów grupę trzystu tytani; za nimi, idealnie równymi kolumnami, maszerowały legiony. Tylko oficerowie dowodzący każdą formacją mieli na sobie mosiężne zbroje, co zdaniem Gai świadczyło o tandetności pomysłów Cirocco. Jednakże mosiądz był wypolerowany do połysku, a poza tym musiała przyznać, że piechurzy wyglądali na wypoczętych, czujnych, kompetentnych i oddanych. Z północnego zachodu nadlatywał również miękkołot. Nawet z odległości

dwudziestu kilometrów łatwo było stwierdzić, że jest to Gwizdek.

Grupa na ziemi kontynuowała swój marsz, a miękkołot szybko się zbliżał. W końcu

zatrzymał się w odległości pięciu kilometrów i na wysokości trzech tysięcy metrów. Wielka masa powoli się obróciła, aż w końcu jej bok zwrócił się w stronę Gai i Pandemonium.

Do boku Cirocco podbiegło pośpiesznie kilkoro ludzi. Nie wyglądali jak zwykli

żołnierze. Postawili coś przed nią. Potem bok Gwizdka zamigotał i ukazał się na nim świetlny ekran, przedstawiający twarz Cirocco. Gaja uznała, że to znakomity numer. Nie wiedziała, że miękkołoty potrafią coś takiego.

—  
Gaja - rozległ się gromki głos Cirocco z boku miękkołota.



—  
Słyszę cię, Demonie - odkrzyknęła Gaja. Jej głosu nie trzeba było wzmacniać przy pomocy technicznych sztuczek. Słysząc ją było nawet w Titantown.  
—

Gaja, przybyłam tu z potężną armią, zdecydowaną obalić twój reżim zła. Nie chcemy z tobą walczyć. Żądamy, byś poddała się dobrowolnie. Nie stanie ci się nic złego.

Oszczędź sobie upokorzenia ostatecznej i całkowitej klęski. Opuść mosty wiodące do Pandemonium. I tak zwyciężymy.

Przez jeden krótki moment Gaja zastanawiała się, co by zrobiła ta głupia suka, gdyby ona się rzeczywiście poddała. Była ciekawa, czy Cirocco przyniosła z sobą odpowiednio wielkie kajdanki. Jednakże szybko odpędziła tę myśl. Trzeba walczyć do końca.

- Pewnie, że nie masz ochoty walczyć - zadrwiła. - Wszyscy zginiecie, do ostatniego żołnierza. Moje wojska pomaszerują na Bellinzonę i opanują tę garstkę, która pozostanie ci lojalna. Poddaj się, Cirocco.

Jak się zdawało, ta odpowiedź nie zdziwiła Cirocco specjalnie. Nastąpiła długa

przerwa, a potem seria gwałtownych wybuchów, które wywołały spory niepokój za murami Pandemonium. Ludzie spojrzeli na niebo i zobaczyli Bellinzońskie Siły Powietrzne:

wszystkie dwanaście sprawnych samolotów nurkowało na włączonych silnikach. Jednakże zaatakowały Pandemonium wyłącznie ogłuszającym hukiem zagadkowych detonacji.

Samoloty leciały ze wschodu na zachód. Teraz zwolniły gwałtownie i wykonały

wyjątkowo sprytny obrót, dzięki któremu leciały teraz prostą linią, nieomal stykając się czubkami skrzydeł. Osiągnąwszy odpowiednią prędkość, zaczęły rytmicznie wypuszczać z siebie plamki dymu. Kiedy znowu przeleciały nad Pandemonium, słysząc było ponowne

uderzenia dźwiękowe. A plamki uformowały się w słowa.

- Ludzie w Pandemonium - ryknęła ogromna podobizna Cirocco na boku Gwizdka, a

samoloty napisały na krystalicznie czystym niebie Gai: LUDZIE W PANDEMONIUM.

Gai opadła szczęką. Musiała przyznać, że to robiło piekielne wrażenie. Samoloty

wzniosły się wyżej, wykonały obrót i bardzo szybko ustawiły się w szeregu do kolejnego przelotu.

- Zrzućcie kajdany - zadudniła Cirocco. ZRZUĆCIE KAJDANY. Znowu w górę,

obrót i wyrównanie...

Oczywiście, było to wykonywane przy pomocy komputerów. Ludzki refleks nie mógł

być tak szybki w prędkości ponaddźwiękowej, aby wytwarzać wszystkie te małe plamki dymu w tak precyzyjnym układzie. Piloci musieli tylko lecieć idealnie prostym szeregiem.

Zaraz po ukazaniu się napisu słowa rozwiewały silne wiatry wytwarzane przez lecące samoloty, robiąc miejsce na następny napis.

- Porzućcie niewolę u Gai... opuśćcie mosty... uciekajcie na wzgórza... dostaniecie ochronę...

Dość już tego - stwierdziła Gaja i kazała rozpocząć własny pokaz. Po kilku chwilach niebo wypełniło się fajerwerkami, które miały oderwać uwagę ludzi od napisów.

Dopilnowała, by dużo materiałów pirotechnicznych kierowano przeciwko miękkolotowi. Nie było szansy, żeby do niego dotarli, ale nie zaszkodzi, jeśli go trochę postraszą.

Coś dziwnego stało się z Gwizdkiem - pomyślała Gaja. Dostała raporty o jego

działalności nad Bellinzoną. Jednak słyszeć o tym, a oglądać na własne oczy to były dwie różne rzeczy. Normalny, płochliwy miękkolot nie zechciałby przebywać w tej samej

przestrzeni powietrznej co te niebezpieczne, ziejące ogniem małe samoloty. I wiązka rakiet wystrzelona w jego stronę powinna wystarczyć, żeby odleciał do Rei tak szybko, jak mu na to pozwalały masywne tylne - płetwy, jeszcze bardziej winny go przestraszyć donośne

wystrzały, które Gaja słała ku niebu. Jednakże Gwizdek wyraźnie się tym wszystkim nie przejmował.

Po krótkim czasie napisy i fajerwerki skończyły się. Gaja przypuszczała, że pełniły tylko symboliczną rolę. Cirocco nieźle sobie z tym poradziła. Monstrum nie było jednak przekonane, czy w walce okaże się równie dobra.

I właśnie wtedy pod jej nogami zatrzęsa się ziemia.

Tylko jeden z generałów rozumiał, o czym mówiła Cirocco, kiedy wspomniała o

walkach byków. Jednak nawet on nie widział takiej w życiu.

Cirocco uważała się za ostatniego żyjącego świadka walki byków. Kiedy była jeszcze dość mała, na taki pokaz - tuż przedtem, zanim zabroniono ich w Hiszpanii, ostatnim kraju, w którym mogły się odbywać - zabrała ją własna matka.

Matka Cirocco uważała, że nie należy osłaniać dziecka przed całą brzydotą i

brutalnością świata. Nie pochwałała walk byków - które stały się sprawą polityczną w wyniku działalności ruchu "Ratujcie Wieloryby" już kilka dziesięcioleci wcześniej - ale sądziła, że będzie to pouczające doświadczenie. Cirocco była dzieckiem wojny, dzieckiem poczętym na drodze gwałtu, ale jej matka, twarda, zaradna kobieta, od swego pobytu w arabskim obozie jenieckim zawsze była nieco dziwna. Było to jedno z najżywszych wspomnień Cirocco z dzieciństwa.

Niewiele spektakli jest równie kolorowych. Kostium matadora nie darmo jest nazywany ubraniem ze świateł. Zafascynowana patrzyła, jak mężczyźni na koniach

podjeżdżają do ogromnego byka i wbijają mu lance w grzbiet. Pamiętała boki zwierzęcia ociekające jasnoczerwoną krwią. Zanim pojawił się matador, byk przedstawiał już żałosny widok: oszołomiony, zdezorientowany i wystarczająco rozzłoszczony, by atakować wszystko, co się ruszało.

Wtedy właśnie do akcji wkroczył kurduplowaty matador. Pysznąc się swoją odwagą,

bawił się zwierzęciem, ogłupiając je raz za razem swoją magiczną peleryną, odwracając się do niego tyłem, gdy zwierzę przystawało ogłuszone bólem, niezdolne pojąć, dlaczego świat zwrócił się przeciwko niemu w tak groteskowy sposób. Cirocco pragnęła wyrwać się z tego tłumu. Nienawidziła go. Chciała zobaczyć, jak byk rozdziera matadora od jaj po szyję, i wiwatowałyby, gdyby jego parujące wnętrzności wyciekły na gorące hiszpańskie słońce.

Tak się jednak nie stało. Zwyciężyło zło. Śmierdzący mały kutas spojrział na ledwie żywego byka i zanurzył szpadę w jego sercu. Potem odszedł, pysznąc się jak paw wśród ogłuszających oklasków, i gdyby Cirocco miała wtedy strzelbę i umiała się nią posługiwać, stałby się martwym małym kutasem. Zamiast tego zwymiotowała.

A teraz proponowała, że sama będzie matadorem.

Wbiła sobie do głowy kilka rzeczy, zanim pogrążyła się w obrzydzeniu do samej

siebie. Przede wszystkim Gaja nie była żadnym głupim toro. Nie była ani bezradna, ani niewinna, ani głupia. Z drugiej jednak strony Cirocco nie walczyła dla sportu. Według wszelkich trzeźwych ocen przewaga była po stronie Gai.

Dla osoby, która nic nie wiedziała o walkach byków, na pierwszy rzut oka wydawać się mogło, że to byk ma większą przewagę. Ale dokonawszy analizy, obserwując przygotowania i porównując umysłowość byka i człowieka, wkrótce dochodziło się do

wniosku, że tylko najdurniejszemu matadorowi grozi jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Miał swoją chwilę zabawy ze zmęczoną bestią, zabijał ją... i wmawiał wszystkim, że to był czyn bohaterski, a nie nikczemny i tchórzliwy.

Jednak zasada była ta sama. Cirocco zamierzała oszołomić swojego byka, zadać mu

wiele bólu, gdy się zagapi w jasno-czerwoną pelerynę, nie rozumiejąc, dlaczego rogi na nic się nie przydają... i wsadzić szpadę, kiedy Gaja będzie umysłowo i emocjonalnie wyczerpana.

To tyle. Pierwsza część widowiska już się odbyła. Słowa na niebie. Głośna muzyka.

Gaja tylko jej pomogła swymi fajerwerkami.

- Zapamiętaj - powiedziała Gaby, kiedy się spotkały po raz ostatni. - W wielu

sprawach Gaja cofnęła się umysłowo do poziomu pięciolatka. Uwielbia spektakle. To ją tak właśnie przyciągnęło do filmów. To podstawowy powód, dla którego rozpoczęła wojnę, Boże, zmiłuj się nad nami. Pokaż jej coś ciekawego, Rocky, a ja zajmę się resztą. Nie zapominaj jednak nawet na chwilę, że to zdziecinnienie owładnęło nią tylko częściowo. Cała jej reszta będzie czujna. Ona nie wie, że to będzie podstęp. Nie będzie podejrzewała, że wiemy aż tak dużo. Za każdym razem, kiedy ją będziesz atakowała, będzie to musiało wyglądać tak, jakbyś robiła to absolutnie na serio.

Pamiętając o tym, Cirocco nakazała gestem ekipie karnerzystów usunąć jej się z drogi, wystąpiła odrobinę naprzód, skrzyżowała ręce na piersi i wezwała Nasu.

Ziemia poruszyła się pod Gają. Monstrum zatoczyło się do przodu, wymachując

rękoma, a potem odwróciło się i patrzyło w oszołomieniu na eksplodującą

dwudziestokaratową drogę.

Ziemia zmarszczyła się gwałtownie i zafalowała od Tary aż do miejsca pod stopami

Gai. Na wszystkie strony poleciała fontanna twardych złotych cegieł i pacyn błota, a wokół jej kostki owinęła się mamucia pętla.

Została zwalona z nóg i wtedy zobaczyła Nasu pokrytą perłowobiałymi łuskami, która unosiła się trzysta metrów ponad nią.

Monty Anakonda - pomyślała i poturlała się w tył.

Chris i Adam obserwowali tę scenę z balkonu Tary. - King Kong! - zapiszczał Adam.

Chris zerknął na niego nerwowo. Chłopcu wyraźnie się to podobało.

Wąż błyskawicznie owinął się wokół ciała Gai. Gaja zaczęła się turlać. Turlała się tak energicznie, że zdemolowała trzy studia dźwiękowe, zanim udało jej się zatrzymać. W tym czasie zabiła trzystu statystów. Ci, którzy widzieli, jak wstaje, ledwie wierzyli własnym oczom. Widać było tylko stopę i część nogi Gai.

Potem wyswobodziła się jedna ręka. Rozległ się odgłos łamanych kości. Do nikogo

nie dotarło, że jest to odgłos miażdżenia węża. Uniesiona wysoko ponad nią Nasu patrzyła

beznamiętnie na swoją ofiarę. Upłynęło już wiele czasu, odkąd po raz ostatni złapała coś, co by sprawiło jej tyle satysfakcji. Heffalumpy były nudne. Nawet nie uciekały.

Po chwili Gaja wyswobodziła drugą rękę. Pomacała na oślep dłońmi i znalazła pętlę, zaczęła ją szarpać.

Węże nie robią żadnych min. Potrafią tylko otworzyć paszczę, zamrużyć i wystawić język. Nasu zaczęła trzepotać ogonem.

Gaja, wciąż ślepa, zachwiała się w stronę muru. Upadła na niego, przez moment zastanawiała się, czy to dobry pomysł, po czym cofnęła się, żeby znowu uderzyć. Górne trzy metry muru rozpadły się. Uderzyła ponownie.

Nasu poluźniła częściowo sploty. Widać już było czubek głowy Gai. Wciąż słychać było chrzęst. Kości Gai wydawały odgłos podobny do gałązek łamanych pod stopami. Kości Nasu były bardziej giętkie i wydawało się, że pęka jakaś deska.

Gaja zaczęła na ślepo szukać głowy węża. Nasu zachwiała się i opasała ciało Gai jeszcze mocniej. Pod takim naciskiem trzaskał już cały las gałązek.

Potem Gaja znalazła się na szczycie muru. I odrywała od siebie węża, po dziesięć metrów za jednym razem. Te części, które oderwała, nieruchomiały.

Nasu otworzyła paszczę. Tylko tyle mogła zrobić. Gaja runęła w tył, zwalając z obrotowej podstawy globus Uniwersału, a potem przewaliła się na drugą stronę muru. Jeszcze chwilę się szamotała, aż wreszcie złapała łeb węża. Zaczęła rozwierać mu paszczę.

W głowie Nasu pojawiło się pęknięcie. Gaja uderzała nią o ścianę, aż w końcu głowa stała się bezkształtną masą. Wstała i odwróciła się. Z zaskoczeniem stwierdziła, że trzyma w ręku głowę martwego węża. Razem ze stumetrowym cielskiem cisnęła ją do fosy.

Natychmiast otoczyły je rekiny, by rozpocząć swą szaleńczą ucztę.

Ciało Gai było nienaturalnie powykręcane. Żaden z jej stawów nie wyglądał prawidłowo. Głowa przypominała zdeptany melon, a plecy zwijały się potwornie, niczym droga wiodąca przez szwajcarskie góry.

Gaja zaczęła się wić. Podniosła wysoko jedną rękę i coś z trzaskiem wskoczyło na swoje miejsce. Poruszyła biodrami i rozległ się kolejny chrzęst. Przycisnęła dłonie do twarzy,

nastawiając kości. Krok po kroku porządkowała całe ciało, aż w końcu wyprostowała się zupełnie zdrowa i wpatrzyła groźnie w Cirocco, która wciąż stała niewzruszenie z założonymi rękoma.

- To był śmierdzący numer, ty suko! - wrzasnęła. Potem odwróciła się, przeskoczyła mur i krzyknęła do dozorców bram: - Otwierać drzwi! Opuścić ten most. Chcę ją dopaść.

Jeden z jej doradców wojskowych usiłował coś powiedzieć, ale zarobił kopniaka,

który wysłał jego ciało na odległość dziesięciu mil, na terytorium "Warner". Człowiek strzegący bramy natychmiast zaczął ją otwierać z szaleńczym zapałem.

Gaja postawiła stopę na zwodzonym moście, który już się opuszczał. Pod naporem jej ciała blok przekreślił się tak szybko, że lina zaczęła się dymić i wkrótce stanęła w ogniu.

Potem Gaja przeszła przez most i wkroczyła na drogę Universal.

Opuściła magiczny krąg.

Dwadzieścia

Chris sięgnął do wiaderka z lodem - to była wyjątkowa uprzejmość ze strony Gai, że dzięki niej zawsze miał pod ręką schłodzone piwo - wyciągnął butelkę i zdjął kapsel. Walka z monstrualnym wężem z początku była przerażająca. Po krótkim czasie jednak zaczęła

przypominać jeden z tych setek filmów o potworach, które obejrzał w ostatnim roku. Była z góry rozstrzygnięta. Wiadomo było, że kobieta zabije węża, i tak też się stało.

Piwo wywołało przyjemny zawrót głowy. Adam wciąż siedział na podłodze balkonu,

z buzią wtuloną między słupki balustrady i patrzył jak urzeczony na widowisko. Nigdy dotąd nie widział takiego filmu. Od czasu do czasu podskakiwał i biegł do teleskopu, żeby przyjrzeć się lepiej.

Chris nigdy wcześniej nie czuł się taki bezradny. Jednakże Cirocco całkiem wyraźnie określiła jego zadania. Ma tu zostać, dopóki ona po nich nie przyjdzie. Cóż, była tam, zgoda -

jak czarna plamka na czele nieprawdopodobnej armii. Czy miał pomaszerować do bramy

"Uniwersału" i sekundować Gai, kiedy walczyła z wężem? Było to raczej bez sensu, a zresztą nie miał na to najmniejszej ochoty.

Ktoś po was przyjdzie - obiecała Cirocco. Bardzo pragnął, żeby to była prawda.

Gaby poklepała go po ramieniu.

Upuścił butelkę, która roztrzaskała się na marmurowej posadzce tarasu. Adam

roześmiał się, kiedy zobaczył okruchy szkła. Zupełnie tak, jak w "Trzech ofermach".

—  
Chris, jesteś trzeźwy? - spytała, zmrużywszy oczy.

—  
Dość trzeźwy.

—  
To posłuchaj, co będziesz musiał zrobić.

W kilku słowach wszystko mu wyjaśniła. Nie było to zbyt skomplikowane, ale

przerażające. Spędziłem tu cały rok - pomyślał. Cały rok nierobienia niczego prócz dziecięcej paplaniny. Teraz muszę stać się superbohaterem. Wiedział, że za chwilę zacznie beczeć jak dziecko, więc szybko skinął głową i Gaby zniknęła.

Podbiegł do Adama, podniósł go i uśmiechnął się najmilej, jak potrafił.

—  
Idziemy na spacer - powiedział.

—  
Nie chcę. Chcę jeszcze patrzeć, jak Gaja się bije.

—  
To będziemy robić później. Teraz zrobimy coś, co będzie jeszcze fajniejsze.

Mina Adama wyrażała wątpliwości, ale chłopiec nic nie powiedział, kiedy Chris wziął

go na ręce i zbiegł z nim na dół po schodach, obok śpiących Amparo, Sushi i innych służących. Wyszli tylnymi drzwiami Tary i zagłębili się w rosnący za nią las.

Gaja zatrzymała się na środku drogi. Coś tu nie pasowało. Jej umysł był

rozcząstkowany, ale przywykła do tego, wiedziała, jak sobie z tym radzić. Coraz większa jego część skupiała się w tym ciele. Podczas walki z wężem prawie nie mogła myśleć o niczym innym. W taki sam sposób koncentrowała swoją energię na leczeniu siebie. Teraz jednak chodziło o coś innego. Za minutę będzie wiedziała. Wysilek myślenia pokrył wielkie czoło bruzdami.

Potem usłyszała krzyki. Jednocześnie inna grupa tytanii, zorganizowana w oddziały

werbli i rogów, rozpoczęła jakiś wyjątkowo głośny utwór i ruszyła w stronę wschodu. To sprawiło, że Cirocco została sama, w odległości prawie kilometra od swej armii.

Zastanówmy się teraz. Ta pierwsza grupa tytanii jest już pewnie przy bramie

“Disneya”. Ta druga grupa wybrała inną drogę, w kierunku “Goldwyn”. Czyżby Cirocco rozpraszała swoje wojska, przygotowując się do ataku?

Rozległo się dwanaście eksplozji. Gaja podniosła wzrok i zobaczyła przelatujące nad nią mikroskopijne samoloty, lecące z zachodu na wschód. Jeszcze jeden element, który trzeba rozważyć. Samoloty minęły Gwizdka, który wydawał się jakby krótszy. I tak jakby dymił

albo parował...

Domyśliła się. Gwizdek wydawał się krótszy, bo leciał prosto na nią. I coraz bardziej prostował kurs, aż w końcu zawisł nieomal nad jej nosem. Z jego zadniego krańca polały się tony wody balastowej, a on rósł i rósł, aż w końcu stał się ogromnym kołem na tle nieba i ciągle stawał się coraz większy.

Parą okazały się cherubiny wylatujące z jego górnych otworów wentylacyjnych i miliony stworzeń nie większych od myszy, które wyskakiwały na maleńkich spadochronach.

Trwała ewakuacja. Był to przerażający widok, któremu towarzyszył równie przerażający odgłos: przenikliwe, żałobne wycie, od którego zadzwoniły jej zęby.

Tak miękkołot opłakiwał swą śmierć.

Luter stał samotnie na szczycie muru otaczającego jego kaplicę, w pobliżu bramy

“Goldwyn”. Wydawało się, że nie uczestniczy w wydarzeniach.

Wiedział, że nie będzie długo żył. Przeżył rany, które zadało mu Kolegium

Kardynałów Papieżycy Joanny, a Gaja ignorowała go za to, że zbyt długo triumfował po swym zwycięstwie nad Kali. Wypadł z wewnętrznego koła i to go bolało, bo pragnął

wyłącznie służyć Gai. Obserwował walkę z wężem. Gaja zwyciężyła, a on nie poczuł ani zadowolenia, ani bólu. Widział miękkołota ustawiającego się na swojej pozycji. I tą drobną częścią jego umysłu, dostrojona do myśli Gai, wybrał moment jej wahania, zanim spojrzał w niebo.

Padł na kolana. Rozdzierał sobie ciało i modlił się.

Umysł Lutra przypominał ciężarówkę na kwadratowych kołach. Można ją było

ruszyć, ale wymagało to najwyższego wysiłku. Napiąwszy się, podźwignął swój umysł do granic możliwości i sprawił, że załomotała w nim nowa myśl. Potem raz jeszcze się wyteżył.

Gdzie jest Dzieciątko? - pomyślał. Wysilek, uniesienie... łup. Na północy jest ta



diabelska armia. Łup. A jeśli to wszystko dla oderwania uwagi? Łup. A jeśli prawdziwy atak nadejdzie z innej strony?

Jakiś głos zaszeptał mu prosto do ucha. Zabrzmiął jak głos jego żony... ale on nie miał żony. To była Gaja... to oczywiście była Gaja.

—  
Brama “Fox” jest na północy - wyszeptał głos.

—  
Brama “Fox”, brama “Fox” - mruczał Luter. Cóż, niezupełnie. Jego usta były już tak zniszczone, że potrafił tylko wymówić: “Raa foh, raa foh”.

Na stacji “Goldwyn” stał pociąg. Luter wszedł do jednoszy-nowego wagonu, który miał go powieźć po szczycie muru.

Urządzenie to mogło jechać całkiem szybko. Dostał się do przedziału maszynisty i pociągnął wielką żelazną dźwignię. Pociąg ruszył i szybko nabrał prędkości.

Chris biegł przez las. Adam był wyraźnie zachwycony.

- Szybciej, tatusiu, szybciej! - krzyczał.

Byłoby ciemno choć oko wykol, gdyby nie majaczące przed nimi tajemnicze

niebieskie światło. Miał nadzieję, że wskazuje mu drogę, bo bez niego, mimo że miał latarkę, wkrótce zupełnie by się zgubił.

- Złap to tatusiu!

Mam nadzieję, że to się nie stanie - pomyślał. Gdybym to złapał, nie wiedziałbym, co z tym zrobić. Mam nadzieję, że ono wciąż tam będzie migotać, jeszcze tylko pięćdziesiąt metrów, mam nadzieję, że się o nic nie potknę.

Z oddali dobiegł go odgłos głuchej, przedłużającej się, dudniącej eksplozji.

Zastanawiał się, co to mogło być.

Calvin siedział na miejscu bombardiera, tuż pod samym czubkiem ogromnego cielska

Gwizdka. Był opatulony w grube tkaniny, ale cały drżał. Nie czuł się najlepiej. Nie potrafił się wyzbyć uczucia chłodu. Wszystko, co zjadł, zdawało się podchodzić mu do gardła. I prawie cały czas

bolała go głowa.

Nie wiedział, co mu dolega. Prawdopodobnie można było postawić jakąś diagnozę, ale wątpił, czy udałoby się go wyleczyć. Wiedział natomiast, że nadchodzi dla każdego człowieka taki czas, kiedy trzeba się już wycofać.

Dla Calvina sto dwadzieścia sześć lat to było aż nadto. Stary i chory, widział, jak wielkie koło obróciło się ponad milion razy za jego życia, i to mu wystarczyło.

- Może mnie wysadzisz teraz? - powiedział Calvin do Gwizdka. - Jestem już gotów.

Jak sądzę, ty przeżyjesz jeszcze dwadzieścia albo trzydzieści wieków.

Usłyszał ciche pogwizdywanie. Nie słyszał w nim poszczególnych słów, ale

opowiadało mu o związku, który był niezrozumiały dla ludzi. On i Gwizdek wyrastali razem, dzielili coś, o czym żaden z nich nie mógł opowiedzieć ani innemu miękkołotowi, ani innemu człowiekowi, i byli gotowi umrzeć razem.

- No, domyślałem się, że muszę to zaproponować - zachichotał. Oparł się wygodnie,

wyjął cygaro i zapalniczkę, które dostał od Gaby, i tym razem głośno się zaśmiał. - Pamiętała

- powiedział. Calvin nie palił cygar już od tak dawna, że prawie zapomniał, jak smakują.

Cygaro było świeże i aromatyczne. Powąchał je, odgryzł końcówkę i zapalił

zapalniczkę. Podpalił i zaciągnął się. Miało dobry smak.

Potem jeszcze raz zapalił zapalniczkę i przyłożył ją do tkaniny okrywającej jego

prawy bok. Usłyszał za sobą głuchy syk otwieranych zaworów i owiało go powietrze

zmieszane z wodorem.

Eksplozji już nie usłyszał.

Dwadzieścia jeden

Wszystkie miękkołoty umierają w ogniu. Taki jest ich los. Nic innego nie może ich zabić.

Ciocco patrzyła, jak Gwizdek spada na Gaję, która stała osłupiała na szerokim, drewnianym moście.

Sami tego chcieli - powiedziała do siebie. To była ich decyzja. Ale to wcale nie

pomogło.

- Niech wszyscy padną! - krzyknęła przez ramię. - Zasłońcie się tarczami. - Odwróciła się, kiedy nos Gwizdka był już sto metrów nad Gają i wciąż spadał.

Była ciekawa, czy Gaja ucieknie. Nie uciekła. Stała w miejscu i kiedy gigantyczny

worek z gazem upadł na nią, zamachnęła się pięścią i pewnie by go przebiła, ale w tym momencie ogarnął ją ogień.

Płomienie wybuchły z nosa Gwizdka i w mgnieniu oka ogarnęły jego boki. Powietrze

rozdarł niesamowity dźwięk. Na wysokość piętnastu kilometrów wykwitła z rykiem fontanna płomieni i ciało Gwizdka osiadło na ziemi w miejscu, gdzie przedtem stała Gaja. Wahało się jakby przez chwilę, po czym zaczęło się majestatycznie zapadać. Trwało to bardzo, bardzo długo.

Miękkolot, chociaż lżejszy od powietrza, wcale nie jest lekki, bowiem przenosi w

sobie więcej powietrza, niż sam waży. Sama pojemność zbiorników gazowych Gwizdka

wynosiła pół miliarda stóp sześciennych, co przy dwóch atmosferach ciśnienia stanowiło ogromną masę.

Jedna połowa Gwizdka złożyła się równo niczym akordeon w miejscu, w którym stała

Gaja. Reszta potoczyła się, nie podtrzymywana już przez wodór, i wpadła na studio "Uni-wersaF i część zachodniego muru. Wszystko z wyjątkiem kamieni zaczęło płonąć.

Prawie natychmiast powstała fala potwornego żaru, a ku niebu buchnęły pióropusze

ognia. Ciocco nie odsunęła się, ale musiała zakryć rękoma twarz. Słyszała skwierczenie końcówek swoich włosów i czuła, jak tli się jej ubranie. Żołnierze ledwie byli w stanie utrzymać swe rozgrzane tarcze, a przecież byli od niej oddaleni o kilometr.

Jednakże ten podniebny słup wodoru szybko wygasł. Pożar trawiący "Uniwersał" był gorący, ale to dawało się już znieść.

Ogromna sterta wyschłej, płótnopodobnej skóry, która kiedyś była Gwizdkiem, miała

się jeszcze jakiś czas palić. Nikt nie spuszczał z niej wzroku, bo pod nią była Gaja.

Prawdopodobnie znajdowała się w fosie. Nikt nie wiedział, jaka jest jej głębokość.

Po dziesięciu minutach, kiedy wciąż nic się nie działo, niektórzy z żołnierzy wznieśli okrzyki.

Ciocco rozejrzała się dookoła. Podrzucali rdzne przedmioty w górę, naiwnie przekonani, że Gaja nie żyje. Stopniowo cichli, widząc, że Ciocco nie podziela tej radości.

Odwróciła się i patrzyła na dogasający ogień. W pożarze zginęło dwieście panafleksdw, ponad tysiąc arrifleksdw i niezliczone szeregi boleksdw, a wraz z nimi spłonął bezcenny zapis filmowy bitwy z Wężem Gigantem.

Główny Specjalista od Kinematografii zaczął wzywać bataliony fotofauny z innych studiów, ale to właściwie nie było konieczne. Większość została na swoich posterunkach, posępnie filmując tytanijskie orkiestry przechodzące obok ich bram, ale całkiem spora grupa pośpieszyła w stronę "Universalu", gdy tylko usłyszała odgłos, jaki wydawał wąż wydobywający się spod ziemi.

Potem na północy wybuchł wielki słup ognia. Znakomicie. Mieli swoje rozkazy, ale tego już było za wiele. To było tak, jakby głodnemu dziecku kazać siedzieć nieruchomo i niczego nie dotykać w pokoju zrobionym z czekolady, jakby powiedzieć hordzie barbarzyńskich papparazzi, że tuż za następnym skrzyżowaniem królowa Anglii zabawia się z największą gwiazdą telewizyjną świata na samym środku drogi... ale, koledzy, uszanujcie jej godność, dobra? Nie życzą sobie żadnych zdjęć.

Wszystkie boleksy, arrifleksy i panafleksy w Pandemonium prawie jak jeden mąż pośpieszyły w stronę ognia najkrótszą możliwą drogą.

Chris wyszedł z lasu w jakimś dziwnie spokojnym miejscu.

Rozejrzał się ostrożnie dookoła, ale nikogo nie dostrzegł. Stwierdził, że wszyscy muszą być przy murze, na stanowiskach obronnych.

Nie opodal znajdował się koniec ulicy Fox Main. W pobliżu kabla nie było już zabudowań studia. Rosły tam drzewa, trawa, jakieś krzaki. Nazywało się to Parkiem

Producentów. Po obu stronach ulicy, na wysokich cokołach z wypisanymi zasługami dla filmu, stały posągi sławnych postaci podwójnej wielkości. Na początku ulicy, tyłem do Chrisa, stał jeszcze większy od nich Irving Thalberg, a za nim Goldwyn, Louis B. Mayer, Jack Warner, Zanuck, De Laurentis, Ponti, Fore-man, Lucas, Zamiatin, Fong, Cohn, Lasker - było ich ponad stu, tak że część niewyraźnie majaczyła w oddali. Stali w pozach wyrażających zamyślenie, większość miała pochylone głowy, aby zwiedzający park mogli podnieść wzrok i napotkać spojrzenie wielkich postaci historii kina.

Wszystkie pomniki wpatrywały się dokładnie w drogę pokrytą złotą farbą. Zdawało się, że nic nie może zburzyć ich spokoju.

Światło przestało już prowadzić Chrisa. Zastanawiał się, czym tak naprawdę było, bo był przekonany, że Gaby musiała mieć coś z nim wspólnego.

Najwyraźniej uznała, że odtąd sam znajdzie drogę. Nakazała mu pośpiech, na szczęście okolica była zupełnie wymarła. Ominął więc pomnik Thalberga i pobiegł w dół ulicy.

Producenci obserwowali go w milczeniu. W oddali, po lewej stronie, dostrzegł niewielki pióropusz białego dymu, co oznaczało, że jakiś pociąg jedzie na południe. Razem z Adamem wiele razy nim jechali. To była jedna z miłszych rzeczy w Pandemonium.

Zastanowiło go, czy jadący nim ludzie wiedzą, że tory kończą się w “Universalu”.

Tytanijny Korpus Werbli i Rogów, bezpiecznie oddalony od bramy “Paramount”, przestał grać, tytanie starannie odłożyły swoje instrumenty i ruszyły pełnym galopem, kontynuując ruch przeciwny do wskazówek zegara. Orkiestra po drugiej stronie

Pandemonium zrobiła to samo.

Naturalnie wszystko to było doskonale widoczne z murów. Jednakże tytanie nie zbliżały się do bram. Zachowały ostrożny dystans, utrzymując się tuż poza zasięgiem pocisków.

Rozkazy były precyzyjne. Stać i walczyć. Bronić swojej bramy. Tak więc małe oddziały biegały wzdłuż murów, na próżno starając się dotrzymać kroku dudniącemu stadu, żeby w razie czego donieść, iż próbowało przekroczyć fosę i zaatakować lukę między bramami. Te działania miały niewielki wpływ na obronność Studia.

Las rósł stosunkowo blisko bramy “Fox”. Tym właśnie martwiła się Gaby.

Bronili jej Gautama i Siddhartha, prawdopodobnie najmniej uzdolnieni militarnie kapłani. To też było ważne. Na szczęście od “Universalu” brama ta była oddalona o sto osiemdziesiąt stopni, czyli najdalej, jak tylko można było dotrzeć, nie opuszczając Pandemonium. Czowała, że przydałoby się jej jeszcze trochę więcej takich szczęśliwych okoliczności, żeby jakoś dociągnąć tę sprawę do końca i nie stracić żadnego z przyjaciół.

Gautama miał niestety dwie kompanie żołnierzy pospolitego ruszenia wyposażonych

w działające strzelby skałkowe. Siddhartha dysponował kilkoma armatami.

A Luter musiał przebyć długą drogę do “Fox”.

Gaby pracowała nad zniszczonym mózgiem Lutra już od jakiegoś czasu.

Wykorzystała tkwiące w nim niezadowolenie i rozbudowała je. Nie było sposobu, by

zachwiać jego lojalność wobec Gai, ale był na nią mocno obrażony i przestał być tak ostrożny jak zazwyczaj. Udało jej się szepnąć mu coś do ucha obok jego posterunku przy “Goldwyn” i wyruszył w drogę. A ona miała jeszcze kilka innych sztuczek w zapasie.

Nie mogła polegać na Lutrze. Nie mogła znieść tej myśli, ale sama nie mogła podjąć żadnej bezpośredniej akcji w obrębie murów Pandemonium. Co najwyżej mogła uspić cały personel Tary.

Na Gene’a też nie mogła specjalnie liczyć. Ale czy miała jakieś inne wyjście? Musiał

odegrać w tej historii swoją rolę, tyle była mu winna. A poza tym nie było nikogo innego, kto mógłby to zrobić za Gene’a.

Czekała na skraju lasu, dopóki nie pojawiły się cztery tytanie i troje ludzi. Powitała wszystkich po imieniu. Na twarzy Robin dostrzegła grymas szoku; żałowała, że nie ma czasu, aby porozmawiać z małą czarownicą, którą tak bardzo kochała, ale tyle było jeszcze do zrobienia.

Dała im więc tylko szybkie instrukcje. Mieli z sobą broń. Reszta zależała już od nich.

Conal jechał na grzbiecie Rocky’ego i obserwował niewielką smugę pary, która pełzła po obrzeżach Pandemonium. Nie wiedział, co to jest. Wiedział tylko, że kiedy smuga dotrze do pewnego punktu na murze, mają ruszać.

Ze zdziwieniem odkrył, że nie boi się o siebie. Natomiast potwornie się bał, że coś może stać się Robin.

Byli stosunkowo dobrze uzbrojeni. Każda tytania dysponowała długim mieczem i

karabinem z rezerwowymi magazynkami. Ludzie mieli pistolety. Przećwiczyli strzelanie zarówno z karabinów, jak i pistoletów i odkryli, że podczas jazdy praktycznie nie są w stanie trafić w cokolwiek z ręcznej broni, mimo że tytanie poruszały się dość łagodnie. Z krótką bronią czuli się jednak lepiej. Byli też wyposażeni w krótkie miecze, ale mieli nadzieję, że nie będą musieli ich używać. Podczas jazdy pożytek z nich mógł być raczej niewielki, natomiast upadek z grzbietu tytania mógł się zdarzyć tylko wtedy, gdyby została ciężko ranna.

Obłok pary znalazł się w wyznaczonym punkcie. Conal poczuł, że ktoś ściska jego

rękę. Robin... Jej dłoń była bardzo zimna. Pochylił się i pocałował ją. Nie musieli sobie nic mówić.

Tytanie wybiegły na otwartą przestrzeń i rozpoczęły szarżę.

Ciało Gwizdka dopaliło się prawie do końca, kiedy pod nim coś się poruszyło.

W "Universalu" wciąż szalał pożar. Wody fosy były pełne pływającego gruzu. Wokół skurczonych szczątków miękko-ła wypływały brzuchami do góry setki ugotowanych, ośmio-metrowych rekinów.

Tak jak w epizodzie z Nasu najpierw wyłoniła się ręka. Potem powoli z czarnego kłębowiska wydołała się cała Gaja. Stała na drugim brzegu fosy, na jej twarzy widniał wyraz kompletnego oszołomienia.

Ciocco zdusiła w sobie chęć śmiechu. Gdyby teraz zaczęła się śmiać, chyba nigdy by nie przestała i szybko wpała w histerię. Ale Gaja...

...Wyglądała jak postać z kreskówki w jednym z najstarszych i najczęściej

powtarzanych gagów. Nieszczęśliwy zwierzak dostaje okrągłą czarną bombę z zapalonym lontem, patrzy na nią, obraca ją w rękach, wybałusza oczy i BOOM! Dym opada, bohater stoi w takiej samej pozycji jak przedtem, niczego już nie trzyma, ale jest za to kompletnie czarny, ma zjeżone włosy, cały paruje kłębami dymu... mruga dwukrotnie - przez chwilę widać jego kontrastujące z resztą białka - i pada.

Cała czarna z wyjątkiem białek. Tak właśnie wyglądała Gaja. Tyle że wcale nie pała.

Zacząła się więc. Widok był to okropny. Wypręzała się we wszystkie strony, dopki

nie popękała jej skóra na całym ciele. Obmacała swój brzuch, nogi, stopy i zaczęła się gwałtownie pocierać rękoma. I skóra zaczęła odpadać.

Odpadła w postaci jednej wielkiej płachty, niczym dziecięca piżama w króliczki. Pod nią rozbłysła biała skóra, jasne włosy... Nowa, nie uszkodzona Gaja, tyle że brakowało jej jakichś dwóch stóp wzrostu, stała przez chwilę nieruchomo, a potem zaczęła biec w stronę Ciocco.

Dwadzieścia dwa

—

Czas już, Gene.

—

Wiem, że już czas - powiedział. - Do cholery, przecie mi powiedziałaś...

Przerwał pracę i rozejrzał się dookoła. Gaby nigdzie nie było. Wydawało mu się, że ją słyszał, ale

nie był pewien. Wzruszył ramionami i ponownie zabrał się za urządzenie, które trzymał w dłoniach.

Siedział na wielkiej skrzyni oznaczonej napisem: DYNAMIT. Madę in Bellinzona. Ta

z kolei była ustawiona na wielkim włóknie zielonego nerwu prowadzącego do martwego serca Okeanosa. Wokół niego stały całe sterty takich skrzyń.

Na kolanach Gene trzymał urządzenie do odmierzania czasu. Przedtem myślał, że wie, jak się nim posłużyć. Zaczep tego dynksa o ten wichajster tutaj i już.

Żadnej reakcji. Ani nie tykało, ani zupełnie nic.

Miał go nakręcić i zwiewać gdzie pieprz rośnie. Nie miał zamiaru uciekać, więc kiedy Gaby dała mu sygnał, że ma zaczynać, odczekał spory kawał czasu i dopiero wtedy zabrał się do pracy. Teraz wydawało się, że to mu się nie uda, bo w którą stronę nie pokręcił, nic się nie działo.

Załkał przygnębiony niemocą. Dobrze byłoby teraz przegryźć trochę ryby. Co dziwne, te śmierdziele naprawdę o wiele lepiej smakowały, gdy je trochę przypiec w ognisku. Ale dlaczego pomyślał właśnie o tym?

Już miał wstać i przynieść sobie rybę, kiedy przypomniał sobie, ile czasu zabierze mu wstanie i powrót. Jejku! To dlatego czekał tak długo, zanim zabrał się do pracy nad tym hokus-pokus, bo sobie obliczył czas, jaki mu zajmie wspinanie się w górę po schodach...

Znowu bujał w obłokach i wiedział o tym. Poprzekładał części detonatora, zastanawiając się, czy kiedykolwiek złoży go prawidłowo.

I ciągle miał wrażenie, że o czymś chyba zapomniał.

A to była najważniejsza rzecz.

Hamulce tej przeklętej kolejki nie działały. Luter przeklinał ją co sił w płucach, a kiedy minął stację, wyskoczył i potoczył się po peronie. Wstał chwiejnie. Po całym peronie rozsiane były kawałki ciała Lutra. Na szczęście nie były to ważne kawałki. Ucho, fragment czaszki, część stopy.

Wiedział, że nie zostało mu dużo czasu. Patrzył, jak mały pociąg pokonuje szeroki

zakręt tordw, wytwarzając przy tym kłęby pary. Będzie tak jeździł już zawsze po wielkim kole Pandemonium, dookoła Wielkiej Gai...

Nie, nie będzie. Tory były przerwane, bo... łup... Gaja walczyła z wężem, bo... łup, łup... atakowała Cirocco! Gaja przysłała go tutaj z ważną misją!

Łomot w jego mózgu od dawna już nie ustawał. Kwadratowe koło, jeśli toczy się

wystarczająco długo, ściera sobie część kantów. Nie czuł się tak czujny od dnia, kiedy...



umarł.

Resztkę jego czoła zmarszczyła się, ale zbył to wzruszeniem ramion i zbiegł

pośpiesznie po schodach...

Tam powitał go Gautama. Pomalowany na złoto kurdupel o wielkim tyłku, Gautama

stękający coś w swym bezbożnym języku. Luter wyciągnął swój krzyż - potężny Miecz Pana

- i odciął mu głowę.

Czym go naturalnie nie uśmiercił, ale odkopnąwszy głowę na odległość stu jardów, z pewnością trochę pomieszał mu szyki. Gautama zatoczył się po omacku; pozbawiony

orientacji, bezradnie wyciągnął przed siebie ręce. Luter nie namyślał się. Zabułgotał, usiłując wymówić słowa, bo z jego ust nie zostało już prawie nic.

- Ale teraz do walki wkracza mistrz, którego Bogini we własnej osobie wybrała!

Żadna nasza siła nie może się równać Jej mocy! Będziemy straceni, odrzuceni!

Ludzie na murach strzelali. Usłyszał armatni wystrzał. Pomaszerował do bramy i

otworzył ją. Ludzie krzyczeli coś do niego. Nie rozumiał słów. Podeszedł do mechanizmu mostu, znalazł odpowiednią dźwignię...

Łup.

Opuszczam most - wyjaśnił sobie. Łup. Dlaczego opuszczam most? Aha... bo

pomagam Gai, to proste. Trzeba pomóc Gai, żeby... Wpuścić? Łup, łup, łup. Może to jakiś podstęp. Puścił dźwignię.

- To nie jest podstęp, mój kochany Lutrze - powiedział mu prosto do ucha jakiś głos.

Odwrócił głowę i zobaczył ją.

To była Gaja, jego żona, jego matka, całe macierzyństwo, kobiecość, Boże-dopomóż-

Najświętszej-Dziewicy, z cierniami udrapowanymi wokół serca i z tym świętym wyrazem na twarzy (a była to niska, śniada kobieta), w oślepiająco białych szatach, i ta aureola - aureola!

To przesywające, przepalające na wskroś światło, które tryskało z niej, płonące światło dobroci/bólu/śmierci - a nad nią krążyły miliony aniołów, trąbiących w swoje trąby (a on nawet nie znał tej małej, śniadej kobiety)... łup - miało być podstępem? Jak to może być podstęp?

Ludzie cięli go mieczami. Z roztargnieniem zauważył, że jedna z jego rąk pada na

kamienną posadzkę. Ależ, Panie, mam jeszcze drugą na Twe rozkazy.

Rzucił się do dźwigni, pchnął ją do przodu, upadł na ter-koczący mechanizm, a wążący wiele ton most zwałił się i rozdarł jego ciało na kawałki...

Pierwsza śmierć Arthura Lundquista była potworna. Druga była chwalebna.

Niektórym przedstawicielom fotofauny udało się jakoś przepłynąć fosę. Kilkunastu zbiło się w gromadę wokół stojącej nieruchomo Cirocco i obserwowało Gaję, która pewna swojej przewagi zdecydowanym krokiem zmierzała w jej stronę.

Monroe-olbrzymka rozpostarła ręce, jakby chciała powstrzymać Cirocco, gdyby przypadkiem zachciało jej się uciekać, nieważne, w którą stronę. Nadchodziła niczym przerażający profesjonalny zapaśnik z twarzą wykrzywioną nienawiścią.

Dzieliło ją już tylko pięćset metrów. Czteryście. Trzysta.

W tym samym momencie, w którym umarł Luter, zatrzymała się nagle i zaczęła nasłuchiwać.

Gdzie jest Dzieciątko?

Kiedy dochodzili do krańca mostu, nad ich głowami eksplodowała kula armatnia.

Conal usłyszał, że coś z brzękiem odbiło się od jego hełmu, poczuł, jak coś go kłuje w ramię, i usłyszał krzyk Robin.

Zobaczył, że spod jej dłoni przyłożonej do czoła płynie strumyk krwi. Już miał skoczyć...

- Nie! - wrzasnęła Robin. - Nic mi nie jest.

Zresztą i tak nie było czasu. Byli już na moście, kopyta tytania dudniły na grubych deskach. Pędzili w stronę wielkiej wyrwy. Most był podniesiony. Może jednak powinniśmy zawrócić - pomyślał Conal.

Dokładnie w tym samym momencie most opadł. Jakąś częścią umysłu Conal

zauważył, że Rocky krwawi, raniony w wielu miejscach. Coś na murze wydawało dziwne odgłosy przypominające szczekanie. Owionął ich dym. Podniósł wzrok i spostrzegł ludzi celujących do nich ze strzelb. Miał nadzieję, że nie potrafią strzelać lepiej od niego.

Wjechali w zwieńczoną łukowato bramę i minęli ją szybko. Conal nie miał czasu,

żeby strzelić do czegokolwiek. Miecze tytani ruszyły do dzieła i ludzie, którzy padali wokół nich, umierali, zanim zetknęli się z ziemią. Wciąż jednak ich atakowali. Conal zaczął strzelać do wszystkiego, co się rusza.

Nie było czasu sprawdzać, z kim właściwie walczył, wrogowie nie stanowili dla niego pojedynczych istot. Mimo woli jednak zauważył dziwaczne stroje, w które byli ubrani. Mieli na sobie długie płaszcze albo białe zbroje, albo wielobarwne zielono-szaro-brązowe spodnie i hełmy takie, jaki on sam miał na głowie.

Podbiegł do niego jakiś wrzeszczący mężczyzna, ale po chwili padł cięty mieczem

Rocky'ego. W rękach trzymał niesamowicie długi miecz. Jak on mógł go unieść, a co dopiero się nim zamachnąć? Jednakże jakoś się zamachnął i trafił Conala w nogę. Conal zaczął się modlić, pewien, że noga jest już stracona i że za kilka sekund straci przytomność.

Spojrzał w dół. Zaciskał część tego miecza w dłoni. Zobaczył przełamane drewno.

Zobaczył srebrną farbę. Odrzucił oręż, ale farba przywarła mu do dłoni. Jego oszołomiony umysł nie mógł sobie z tym poradzić, tego było już za wiele. Mój Boże, czy oni myśleli, że to zabawa?

Potem usłyszał krzyk Valihy. Była daleko w przodzie, nie obciążona niczym ciężarem, i właśnie znalazła Chrisa.

—  
Zawracajcie! - wrzasnęła. - Mam ich! Zawracajcie!

—  
Tchórz! - wrzasnęła Cirocco. Gaja zatrzymała się.

- Gaja to trzęsący portkami, zżółkły ze strachu ŚMIERDZIEL! Gaja to TCHÓRZ!

Nagi, spocony olbrzym odwrócił się powoli. Gaja kierowała się właśnie do "Fox", aby nie dopuścić, by wykradziono Adama. Ale... tu przecież stała Cirocco. A Adam był oddalony o wiele mil.

- Chodź tu i walcz, ty żółta suko! Czego się boisz? Gaja się boi, Gaja jest tchórzem, Gaja to śmierdząca dziwka!

Gaja utknęła w miejscu, kołysząc się to w jedną, to w drugą stronę i nie wiedząc, czy iść po Adama, czy też raz na zawsze pozbyć się tego robaka. Wiedziała, że to podstęp.

Wiedziała, że Cirocco chce, by ona do niej podeszła i zamknęła jej plugawą gębę. Wiedziała to... i bardziej niż czegokolwiek w tym wszawym, nudnym wszechświecie pragnęła zawrócić i zmiażdżyć

tego obrzydliwego krzykacza.

Cirocco splunęła w stronę Gai. Podniosła kamień i cisnęła nim najsilniej, jak potrafiła.

Kamień odbił się od głowy Gai, zostawiając krwawy ślad. Wyciągnęła miecz i podniosła go wysoko w przepięknym świetle Hyperionu. Ostrze załśniło.

- I to ma być Bdg? Rozśmieszasz mnie, Gaja. Jesteś zwykłą świnią. Twoja matka była świnią, twoja babka była świnią, a jej matka pieprzyła się ze zdechłymi świniami. Leję na ciebie. Wzywam cię, żebyś tu przysłała i walczyła. Jeśli uciekniesz, wszyscy się dowiedzą, jakim jesteś tchórzem!

W oczach Cirocco pojawiły się łzy wściekłości.

Gaja wciąż jeszcze mogła zawrócić i iść po Adama, ale Cirocco wydała mrozący krew w żyłach okrzyk... i ruszyła w jej stronę.

Tego było po prostu za wiele. Gaja zaczęła iść. W kierunku Cirocco.

—  
Czas już, Gene.

—  
Wiem, że już czas, Gaby. Przepraszam, zem cię zg... zgwaaaałcił. Przepraszam, zem cię zabił. Naprawdę nie chciałem.

Nieporadnie majstrował przy detonatorze trzymanym na kolanach. To był prosty mechanizm, wiedział, że jest prosty. To straszne, ale nie pamiętał.

Eugene Spingfield był lotnikiem. Latał na odrzutowcach i pojazdach księżycowych o napędzie raketowym. Został wybrany wśród tysięcy innych, by pilotować pojazdy badawcze, które "Ringmaster" przywiózł na Saturna, i to tylko z jednego powodu: był najlepszy.

A teraz nie potrafił się połapać w plątaniu drutów, które nawet najbardziej ociężały umysłowo terrorysta poskładałby przez sen.

Otarł łzy. Jeszcze raz od początku. Co powiedziała Gaby? Wyjmij... Otworzył szeroko oczy. Najważniejsza część, a on prawie o niej zapomniał. Na rybie cycki, jego mdzg chyba zupełnie spleśniał. Tu stoi, pod jego stopami. Słój z czarnego szkła, z metalowym wiekiem.

Podniósł go, otworzył i cisnął wieko w ciemność.

Tłusty, przypominający ropuchę pasożyt, który przez dziewięćdziesiąt lat wysysał mu mdzg,

podskoczył i usadowił się na krawędzi słoja. Omidł wzrokiem otoczenie, a potem się nadał. Wydawał z siebie niespójne dźwięki: skrzeczał, łkał, krztusił się. Gene uważał go za wielkie gówniane nic, ale Gaby powiedziała, że to ważne.

Gaja musi to zobaczyć - powiedziała Gaby.

- Myślisz se, żeś ode mnie sprytniejszy, co? - szepnął Gene, wpatrując się w nabiegłe krwią, kaprawe ślepie stworzenia. - Już ci stary Gene da popalić.

Spojrzał ponownie na detonator. Bateria. To ten dynks. Druty. No, jest ich tu kilka.

Ten idzie tutaj, a ten tutaj. Znaczy się, że jak ten facet dotknie tym drutem tego druta, to powinien się zrobić cholerny...

Gaja zastygła w miejscu, kiedy jej oczy w Okeanosie zostały odsłonięte, kiedy

wyrzały ze słoja, wskoczyły na jego skraj i spoglądały na spektakl odgrywany przez upośledzone umysłowo dziecko bawiące się zapalkami i benzyną.

- Gene! - wrzasnęła. - Nie rdb tego!

Cirocco parła do przodu gnana dziką żądzą krwi, z której istnienia nawet nie zdawała sobie sprawy. Podbiegła do potwora i wbiła mu miecz w stopę. Gaja wrzasnęła, a Cirocco przepełniło niewypowiedziane poczucie triumfu... które trwało około dwóch sekund. Gaja obróciła się wokół własnej osi, strząsając Cirocco niczym dokuczliwą mrówkę. Gaja

zapomniała już o istnieniu Cirocco.

Cirocco podniosła się, zobaczyła, że Gaja nieruchomieje. Monstrum przyłożyło ręce do głowy i spojrzało powoli na niebo.

- Gaby! - krzyknęła. - Gaby, poczekaj! Słuchaj, ja., ja nie jestem jeszcze gotowa!

Gaby, musimy porozmawiać!

Potem ziemia się zatrzęsała, gdy Gaja pobiegła potężnymi susami w stronę kabla.

Cirocco padła na kolana i załkała bezradnie. Poczula na swoim ramieniu czyjąś dłoń, podniosła wzrok i zobaczyła wszystkich trzech generałów. Mój Boże, pomyślała. Przyszli do mnie. Nie uciekli.

Otaczała ją prawie cała armia. Miecze były wyciągnięte, strzały ponakładane na

cięciwy... i nie było do kogo strzelać. Wszyscy patrzyli, przerażeni i ogłupieni, jak Gaja brnęła przez fosę, wciąż krzycząc co sił w płucach.

Mur nie zatrzymał jej. Opuściła jedno ramię i staranowała go. Przebiegła przez

płomienie kompleksu studia Universal, załomotała na wyboistych resztkach

dwudziestoczerokara-towej autostrady. W końcu dobiegła do kabla. Skoczyła, wczepiła palce w nadzwyczaj twardy materiał włókna kabla i zaczęła się po nim wspinać zwinnie jak małpa.

Później ludzie spekulowali, że prawdopodobnie szukała najszybszej drogi do piasty.

Gaby tam była, Gaby przejmowała władzę, a Gaja/Monroe, która skupiła w sobie ponad dziewięćdziesiąt procent tego, co zwało się Gają, musiała się tam koniecznie dostać i rozpocząć negocjacje.

Gaja była już na wysokości pięciuset metrów, kiedy włókno przerwało się tuż przy ziemi. Pękło z trzaskiem i złamało się tak szybko, jak pułapka na myszy. Potworne ilości ton włókna kabla zwinęły się, skręciły... i cisnęły cielskiem Ga-jostwora o sztywny trzon kabla.

- Walcz! - krzyknęła Cirocco. - Złaż stamtąd i walcz!

Ziemia pod nimi zapadła się na głębokość trzydziestu metrów.

Dwadzieścia trzy

W trakcie tych wydarzeń, wysoko ponad nimi, w regionie zwanym czerwoną linią rozegrał się znacznie mniej spektakularny, ale daleko ważniejszy dramat.

Istota znana jako Gaja uległa rozproszeniu. Zajmowała się wieloma rzeczami

jednocześnie. Istota znana jako Gaby podeszła bliżej, skulona w postawie obronnej. Umysł

Gai otrzymał potworne ciosy, jeden po drugim. Ostatnim ciosem było odcięcie niezwykle istotnego nerwu w Okeanosie. Gaby wydostała się ze swego ukrycia.

Przy pomocy ograniczonych czasowo zmysłów nie dawało się wyjaśnić tego, co się działo z ludźmi, tytaniumi, miękko-lotami albo czymkolwiek innym.

Rezultat końcowy był prosty. Umysł Gai uległ zniszczeniu. Umysł Gaby Plauget,

pochodzącej z Nowego Orleanu w stanie Louisiana, przeleciał przez nieeinsteińską przestrzeń czerwonej linii, nie napotykając żadnego oporu.

Dwadzieścia cztery

Czekali, aż Valiha, Chris i Adam ich dogonią. Czekali, a w tym czasie setki statystów Pandemonium atakowało ich mieczami z drewna, kartonu... a czasami ze stali.

To rekwizyty! - zawołała Nova do Wirginał.

Widzę - odkrzyknęła Wirginał. - Ale nie wszystkie. To było straszne. W żaden sposób nie można było odróżnić, która broń jest prawdziwa, a która fałszywa. Ludzie z

Pandemonium również zdawali się nie rozpoznawać różnicy.

Wypadli z bramy "Fox". Chris był ciężko ranny. Valiha miała głębokie cięcie w lewej tylnej nodze. Robin musiała przytrzymać Serpenta, który doznał kilku obrażeń.

Conal uległ potwornemu uczuciu oderwania od rzeczywistości. Strzelał do ludzi, którzy go atakowali i miał wrażenie, że wcale nie strzela do żywych istot.

Minęli bramę, kierując się wprost do lasu. Ścigały ich hordy Pandemonium.

Zatrzymali się, odwrócili i patrzyli na Orkiestrę, która przybyła o umówionym czasie i zaczęła wyrzynać całe setki wrogów.

- Przestańcie! - zaczęli krzyczeć do nich. - Czekać, cofnijcie się! Oni nie są uzbrojeni!

Trzysta tytani oszołomionych ze zgrozy zwalniało stopniowo; zobaczyły, co się dzieje... i cofnęły się. Żołnierze Pandemonium kłębili się bez celu. Wydawało się, że większość z nich ratowała się przed domniemaną inwazją od wewnątrz.

Conal przypomniał sobie, jak wielu było uciekinierów. Brama wiodąca na zewnątrz musiała się wydawać jedyną drogą ratunku.

Zeskoczył z grzbietu Rocky'ego i upadł na kolana. Chwiał się, czując, jak zbiera mu się na wymioty. Poczł, że jego ramiona obejmuje czyjaś ręka, która obróciła go i mocno przytuliła.

To jednak była Nova, a nie Robin; ona również płakała. Tulił ją przez chwilę, a potem oboje podbiegli do Robin.

Starczyło im tylko tyle czasu, żeby się zorientować, że nikt nie został śmiertelnie ranny - choć każdy krwawił - kiedy spod ich stóp usunęła się ziemia.

Wielkie koło Gai wibrowało przez dwudzieścia obrotów.

Pierwsze trzy czy cztery obroty były najgorsze. Kiedy pękło włókno, zginęło wielu ludzi. Większość z nich znajdowała się w Pandemonium, w którym zapadały się budowle. W wyniku tych wstrząsów zginęło również paru żołnierzy z armii Ci-rocco.

Potem, podczas czwartego obrotu, pękło włókno Tetydy, a następne drgania były równie silne, choć nie aż tak jak pierwsza seria.

W końcu wszystko się uspokoiło. Wnętrze obręczy przez wiele kiloobrotów było pełne pyłów i kurzu, ale koło znalazło nową równowagę. Ophion w niektórych miejscach płynął szybciej, a w innych nieco wolniej. Kilka jezior powiększyło się, a kilka zmalało. Dwa bagna zagarnęły dodatkowe kilka tysięcy akrów, a pustynia w Tetydzie - która w odróżnieniu od Mnemosyne zawsze była pustynią - rozszerzyła się o kilka metrów w każdym kierunku.

Rocky był przez pewien czas zajęty opatrywaniem większych i mniejszych ran członków ich grupy, która obecnie powiększyła się do dziewięciu osób, o Chrisa i Adama.

Żadne z obrażeń nie było groźne.

Orkiestra wzięła do niewoli dwa tysiące jeńców. Spodziewano się, że po krótkiej blokadzie niedobitki w Pandemonium poddadzą się z powodu braku żywności.

Adam był wyraźnie zachwycony tym wszystkim. Wyszedł z tego bez szwanku. To było trochę jak w filmach, a trochę jak latanie... i z niecierpliwością czekał na dalszy ciąg.

Cirocco stała na czele wiwatującej armii i patrzyła, jak resztki stworzenia, które kiedyś było Gają, ściekają po kablu w dół.

Była jedyną osobą, która rozumiała, dlaczego kabel ją zabił, mimo iż nie udało się to Nasu i Gwizdkowi, i wiedziała, że pozostało jeszcze kilka nie rozwiązanych zagadek.

Z plecaka dobiegło ją żalosne łkanie. Włożyła rękę i wyciągnęła słój z Kapusiem.

Kapuś zdychał. Wytrząsnęła go na rękę.

- Dostanę drinka? - spytał ją między spazmami. Girocco znalazła butelkę. Nie trudziła się szukaniem zakrapla-cza. Szczodrze polalała jego ciało i Kapuś zlizwał kilka łyków.

Wiedziała, że on jest ostatnim umierającym fragmentem Gai.

Gaja wiedziała, że może przegrać, kiedy rozpoczynała tę zabawę. Jednak prawie do samego końca nie liczyła się poważnie z taką możliwością, a tak się właśnie stało. Gaby ją przechytrzyła.

Leżała teraz na dłoni Girocco. Poetycka sprawiedliwość - pomyślała. Spędziłaś dwadzieścia lat knując, jak się pozbyć zdrajczynie, i do czego cię to doprowadziło? Musisz dosłownie



wykrztusić swoje ostatnie sekundy na dłoni największego wroga.

Zamyśliła się chwilę nad znaczeniem tych ostatnich słów.

Jeśli już odchodzisz, to powinnaś to zrobić w wielkim stylu. Zamyśliła się więc nad tą ostatnią szansą.

Znała klasyczne teksty z kreskówek Looneya Tunesa. Trochę za bardzo beztroskie.

Albo "Rosebud". Zbyt wymyślna i mętna. W końcu przypomniała sobie tak uwielbiane przez nią filmy klasy JB".

- Matko litościwa - wyrzeźbił Kapuś. - Czyżby to był koniec Gai?

I umarła.

I...

Na długo przedtem, zanim zamarły wibracje ostatecznego kataklizmu, z

hyperiońskiego dachu spłynął promień światła.

Padł prosto na Cirocco Jones.

Cirocco wyprostowała się i spojrzała w górę. Jej stopy oderwały się od ziemi.

Została uniesiona w Niebiosy.

PRZENIKANIE

Na mnie nie liczcie. Sam Goldwyn

Cirocco zorientowała się, że stoi na Schodach do Raju, ale nie pamiętała, jak się tu dostała.

Razem z Gaby widziały to miejsce prawie sto lat wcześniej, kiedy dotarły do piasty po długiej wspinaczce w górę kabla i poprzez wnętrze Szprychy Rei. Potem zaskoczono je efektami specjalnymi rodem z "Czarnoksiężnika z Oz", to znaczy z filmu, nie z książki (Cirocco wątpiła, czy Gaja ją kiedykolwiek czytała). Na samym szczycie oczekiwało ich ogromne, panteistyczne stworzenie, które usiłowało je przekonać, że jest Gają.

Schody nie były w dobrym stanie. Jednak przyjrząwszy się im bliżej, Cirocco

stwierdziła, że ktoś przy nich pracował. Na boku leżały sterty kurzu. Czulo się zapach środka dezynfekującego - tego samego typu, którego się używa w toaletach metra.

Weszła na szczyt schodów i zobaczyła, że drzwi do dawnej komnaty Gai są uchylone.

W środku była Gaby. Tylko Gaby. Żadne nadprzyrodzone bzdury, żadne hokus-pokus.

Kłęcząca na czworakach, ubrana w spłowiałe jeansy i niebieską koszulę roboczą, jej biodra otaczał pas z narzędziami. Pod ścianą stało kilka przezroczystych klepek wyjętych z podłogi w łoży 2001. Całe się kleiły od brudu, a obok nich leżały sterty szmat i kilka butelek niebieskiego środka czyszczącego. Meble były przestawione pod drugą ścianę.

Gaby sięgała ręką przez podłogę i czyściła proste, zwykłe oświetlenie neonowe, które było przymocowane do drewnianej belki. Dwie rurki migotały.

Spojrzała na Cirocco, usiadła na piętach i otarła czoło wierzchem brudnej dłoni.

Trzymała w niej obcęgi.

—  
Dużo tu roboty - powiedziała Gaby.

—  
Na to wygląda.

Gaby wstała, wsadziła obcęgi za pętlę przy pasie, wsparła ręce na biodrach i uśmiechnęła się do Cirocco.

—  
Chcesz się czegoś napić? Mam piwo i wino.

—  
Wystarczy szklanka wody.

—  
Przysuń sobie krzesło.

Gaby wyszła z pokoju. Cirocco usłyszała szum płynącej wody. Znalazła dwa krzesła, które wyglądały stabilnie, i ustawiła je obok siebie w odległości kilku stóp. Usiadła na jednym z nich. Gaby wróciła, przysunęła niski stolik i postawiła na nim dwie szklanki z lodowatą wodą. Cirocco upiła trochę, a potem pociągnęła spory łyk. Woda miała dobry smak.

Zapadło niezręczne milczenie.

- A więc - powiedziała Gaby - udało ci się. Byłam z ciebie dumna.

Cirocco wzruszyła ramionami.

—  
Nie miałam z tym wszystkim aż tyle wspólnego, wbrew temu, co ci wszyscy ludzie tam na dole myślą. Wiesz to lepiej niż ktokolwiek inny.

—  
To ty tam stałaś i stawiałaś czoła Gai. Niewielu ludzi byłoby na to stać.

—  
Chyba nie. - Rozejrzała się raz jeszcze po pokoju. Nie było w nim nic nowego do oglądania. Wskazała ręką szklankę. - Robisz porządki?

Gaby wyglądała na zawstydzoną.

—  
Cóż, muszę gdzieś mieszkać. Nie całkiem to miałam na myśli, ale to tylko na jakiś czas.

—  
Gaby... czym ty jesteś?

Gaby gwałtownie pokiwała głową i z trudem przełknęła ślinę, nie patrząc na Cirocco.

Wciągnęła powietrze i wolno je wypuściła. Spojrzała na sufit.

- Widzisz, ja wszystko obserwowałam. Kiedy tu przychodziłaś i żądałaś jakichś

wyjaśnień od Gai. Ona cię nie okłamywała. Uważała, że nie ma potrzeby. Była dość pewna, że będziesz ją chciała zabić, ale nie miało to dla niej znaczenia.

Zresztą i tak była już zmęczona tym nędznym małym ciałem.

Nadal jednak chciała twojej lojalności. Za chwilę powiem ci dlaczego. Pamiętasz jednak... że zaofiarowała się przywrócić mnie do życia taką, jaka byłam, ale bez tego przymusu

prowadzenia przeciwko niej wojny. Powiedziałaś "nie". Więc ponowiła ofertę. Przyrzekła, że przywróci mnie nie zmienioną. Że mnie wskrzesi. Pamiętasz, co powiedziałaś?

- Dość dobrze.

Spojrzenie Gaby było jakby nieobecne.

---

Powiedziałaś, że to kuszenie. - Ponownie spojrzała na Cirocco. - A propos,

dziękuję ci za to. Potem powiedziałaś: Właśnie wyobraziłam sobie, co by o tym pomyślała Gaby, i zrozumiałam, że byłaby to chamska, sprzedajna, obrzydliwa czarna magia.

Przeraziłaby ją sama myśl, że żyje nadal jako mała lalka Gaby, wykonana przez ciebie, z twojego własnego, zgniłego mięsa. Chciałaby, żebym natychmiast zniszczyła coś takiego.

---

Może trochę przesadziłam.

Gaby roześmiała się i pokręciła głową.

- Nie. Miałaś absolutną rację. Nie mogłaś wiedzieć, że część mnie wciąż żyje i

przysłuchuje się temu... ale miałaś rację. Gdyby Gaja na powrót złożyła mnie wtedy w całość, przypuszczalnie nie byłabym sobą. I z pewnością miałaś rację, nie ufając jej w niczym. -

Myślała, że się mnie pozbyła.

- Wskazała ręką sufit. - Ta czerwona linia tam w górze...

nie wiem, jak ci to najlepiej wyjaśnić. Chcesz poznać wszystkie odpowiedzi, a ja jestem oczywiście gotowa ci ich udzielić, ale ostrzegam cię, że niektóre będzie trudno zrozumieć... i będziesz musiała mi uwierzyć na słowo. Bo nie potrafię ci wyjaśnić, czym jest ta czerwona linia. Raczej nie pasuje do żadnych ludzkich idei. Wrzuciła mnie więc tam i myślała, że już ze mną skończyła. Ale przechytryłam ją. Zachowałam zdrowe zmysły. Przeżyłam... choć

musiałam być ostrożna.

Ona była tu dłużej niż ja i wiedziała, jak się poruszać. Ja musiałam uczyć się pęłzać, potem chodzić, potem biegać i musiałam robić to tak, żeby nic nie zauważyła. Dlatego cały czas byłam taka tajemnicza. Kiedy uczyłam się materializować własne ciało... kiedy w ogóle coś robiłam, ryzyko, że ona mnie nakryje, było jeszcze większe. Kiedy mówiłam ci o tym, czego nie powinnaś była wiedzieć... to było jak przeciek. Zaczęła się domyślać, że gdzieś powstał, ale nie wiedziała gdzie. Pomimo wszystkich moich starań zawsze mogła mnie znaleźć, ale naprawdę nie szukała zbyt usilnie. To wszystko mnie uratowało. Zbyt bardzo zajmowały ją inne obsesje. Za dużo w niej było... chęci życia, z braku lepszego słowa możemy to chyba tak określić. Pytałaś mnie, czym jestem. Nie jestem tworem Gai. Sama się stworzyłam. Jestem prawdziwa, żywa... Jestem sobą.

Cirocco nie przestawała na nią patrzeć i Gaby musiała w końcu odwrócić wzrok.

Potem ujęła Cirocco za rękę i mocno ścisnęła.

- Widzisz? Poczuj mnie, Rocky. Jestem realna. Mam ciało. To ciało jest całkowicie ludzkie. Żyję w nim, tak jak ty żyjesz w swoim.

Ciocco znówu nic nie powiedziała. Potem potarła czoło.

- Ale Gaby... wciąż mi jeszcze nie powiedziałaś, czym jesteś?

Gaby puściła jej rękę i oparła się wygodniej.

- Jestem tym, kim ty miałaś być. Następczynią Gai. Ale ty to wiedziałaś, prawda?

Ciocco powoli skinęła głową.

- Gaja... - Gaby rozejrzała się po pokoju i roześmiała gorzko. - Gaja! Co za dowcip!

Zanim ją poznałyśmy, była już tak zwariowana... Wzięła to imię z greckiej mitologii.

Wzięła wszystkie swoje najlepsze pomysły z bzdurnych filmów. Nie wiem, jakie było jej prawdziwe imię. Przybyła tu któregoś dnia, bardzo dawno temu. Nie była ludzką istotą.

Wątpię, czy jej rasa jeszcze istnieje w kole. To stworzenie, które zajmowało miejsce, na którym ja teraz siedzę, rozmawiało z Gają. Powiedziało jej, że potrzebuje Czarodziejki. Gai to się spodobało i była dobrą Czarodziejką przez tysiąc lat.

Potem, kiedy jej poprzednik zupełnie się zużył, obaliła go i przyszła żyć na jego miejscu.

Rozmawiamy teraz o istocie, która jest Kołem. To coś jest tam, w tej czerwonej linii.

Sprawuje pieczę nad codziennym funkcjonowaniem całego tego złożonego systemu, który podtrzymuje koło w ruchu. Pod wieloma względami przypomina boga, ale właściwie jest raczej komputerem. Obecny system... zarządzania kołem liczy sobie prawie milion lat. Było już wiele Czarodziejek. Kiedy umierają... muszą stać się Gają. Gaby. Mną. Ty możesz być jedyną Czarodziejką bez dyplomu.

Ciocco patrzyła dłuższy czas na Gaby. Była bardzo zmęczona.

- Gaby... tak mi przykro.

Gaby cisnęła szklanką przez cały pokój.

- Cholera, Rocky... niech cię diabli! Nie przepraszaj. Nie jest jeszcze za późno. Kiedy z głowy wyjęto ci Kapusia, Gaja dała sobie z tobą spokój. Musiała mieć całkowity i kompletny zbiór twoich wspomnień, zanim mogłabyś zająć jej miejsce.

Ten zbiór jest teraz zniszczony... ale można go naprawić.

Mogę cię nagrać. Mogę cię tu do mnie sprowadzić. To nie jest śmierć. To wcale nie

przypomina śmierci. Myślałam, że nie żyję, kiedy się tu dostałam, ale dowiedziałam się, że całe życie jest w tej czerwonej linii. Możemy... możemy panować razem, ty i ja. Możemy z tego zrobić zupełnie przyzwoite miejsce.

Ciocco westchnęła i zastanawiała się, jak ma to powiedzieć. Może najlepiej jakoś to obejść.

- Gaby... stale, bez przerwy mi powtarzałaś, jak trudno będzie zabić Gaję. I to była prawda. Wszystko przez co przeszliśmy... wszystko było po to, żeby odwrócić jej uwagę, żebyś mogła opanować ją tu w piasku, w sposób, jakiego nigdy nie pojmę. Czy istnieje... czy istniał jakiś inny sposób, w jaki mogła umrzeć?

Gaby odwróciła wzrok i otarła łzę. Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Widzisz, Gaby... ja nie boję się aż tak bardzo śmierci.

Gaby przytaknęła równie gwałtownie, a potem ukryła twarz w dłoniach. Ciocco milczała.

Bała się urazić swoją starą przyjaciółkę. Nie bała się o siebie, lecz o Gaby.

—

Czy wiesz coś więcej o tym, jaka była Gaja, kiedy po raz pierwszy przybyła do tego miejsca? - spytała w końcu.

—

O Jezus, Rocky. Podejrzewam, że była słodkim i kochanym stworzeniem. Nie

wątpię, że kiedy doszła do władzy, panował tu złoty wiek. Mogą to pamiętać niektóre miękkołoty, choć wątpię, czy zechcą o tym mówić. Nie, nie musisz tego mówić. Boże, pomóż mi, wystarczająco dużo o tym myślałam. Czym się stanę za dwadzieścia tysięcy lat? Co? Czy w ogóle jestem w stanie wyobrazić sobie, jaka mogę być tym wszystkim zmęczona? Na razie tego nie widzę. Nie przypuszczam, żebym się zmieniła. Pamiętam, kiedy skończyłam sto lat, byłam taka cholernie zadowolona z siebie. Nie sądzę, bym była inna niż wtedy, gdy miałam trzydzieści lat. Ale sto lat to nic.

—

Potrafię to zrozumieć.

—

Mam nadzieję, że nie sądzisz, że zrobiłam to, bo pragnęłam władzy.

—  
Nie, nie sędzę.

—  
Nie miałam wyboru. Mogłam tylko patrzeć, jak ta ma-niaczka zabija ciebie i

wszystkich, których kocham, albo zrobić to, co zrobiłam. - Raz jeszcze pochyliła się do przodu, jakby w ten sposób chciała dać dowód swej szczerości. - Ale Rocky, teraz, kiedy ci powiedziałam wszystko to, czego nie mogłam powiedzieć przedtem... wyznam ci jeszcze jedną rzecz. Cały czas miałam nadzieję, że się do mnie przyłączysz. Podejrzewam, że ostatecznie jest to straszny los... ale taka jest śmierć, jak by na to nie spojrzeć. Obserwowałam cię w Bellinzonie. Byłaś świetna. Byłabyś o wiele lepsza niż ja. Mogłybyśmy pracować razem.

—  
Byłam straszna, Gaby. Tylu ludzi umarło. Z mojego rozkazu.

—  
Wszyscy kiedyś umierają, Rocky.

—  
Wiem. Po prostu nie chcę być za to odpowiedzialna.

—  
Nie można tego uniknąć. Oni umrą z powodu tego, czego ty nie zrobisz. Stuart,

Trini, czy któryś z twoich generałów... nie będą tacy rozumni, jak ty. Oni narobią straszliwego bałaganu.

—  
Każdy by narobił. Taka jest ludzka natura. Tytanie mówią o złych ludziach. I to

jest prawda, istnieją źli ludzie, ludzie, którzy powinni umrzeć. Ale ja nie chcę być osobą, która o tym decyduje. Zrobiłam to i nienawidzę tego. Nie chcę już dla nich żyć. Nie będę więcej ratowała świata. Mam tego dosyć.

Gaby wstała i wyszła do drugiego pokoju. Cirocco usłyszała dźwięki, które

przypominały łkanie. Nie chciała o tym myśleć. Gaby wróciła ze świeżą szklanką wody.

—

Gaby, myślę, że jestem twoją przyjaciółką. O ile tego nadal chcesz.

—

Chcę - zapewniła ją Gaby cichym głosem.

—

Mam nadzieję, że będziesz moją przyjaciółką aż do mojej śmierci. Ale zbyt dużo

wymagasz od przyjaźni. Przykro mi, że to ci się przytrafiło. Przykro mi, że to spadło na ciebie, a nie na mnie, tak jak chciała Gaja. Mam nadzieję, że nie masz o to pretensji.

—

Nie. To był przypadek.

—

Więc nie żądaj tego ode mnie. Wiem, że twoje życie będzie bardzo interesujące i

długie. Jeśli już ktoś to musi robić, to nie widzę lepszej osoby niż ty. Myślę, że gdyby to się przytrafiło mnie, zrobiłabym to samo co zamierzasz ty: zrobić to jak najlepiej. Bawić się najlepiej, jak potrafisz. Być tak rozsądną, jak tylko umiesz.

—

Bycie Bogiem to brudna robota - powiedziała Gaby. - Ale ktoś to musi robić.

Racja? - Na jej twarzy zagościł cień uśmiechu. Cirocco niepewnie odwzajemniła uśmiech.

—

Racja.

Siedziały w milczeniu obok siebie, każda pogrążona we własnych myślach. W końcu

Cirocco poruszyła się.

- Więc... - powiedziała i wykonała jakiś nieczytelny gest. - Co masz zamiar zrobić?

Spojrzały na siebie i roześmiały się.

- Rdźne rzeczy - odparła Gaby.

- Co z tytanianu?

Gaby spoważniała.



- Nie martw się o nie. Nie będą zdane ani na twoją łaskę, ani na Adama. Zrobię pewną drobną rzecz. Nigdy tego nie zauważą. To ich nie zmieni, tyle że odtąd będą mogły mieć dzieci, kiedy tylko zechcą.

Ciocco natychmiast stała się czujna. Gaby zauważyła to i potrząsnęła głową.

—  
Myszę z wyprzedzeniem. Jeśli będą się rozmnażać bez kontroli, wówczas zapełnią całe koło. Tak samo stanie się z ludźmi, wiesz o tym.

—  
Tak, wiem.

Gaby wzruszyła ramionami.

—  
Więc trzeba coś będzie zrobić, jeśli to się zacznie wymykać z rąk. Jeszcze nie wiem co. Ale po upływie stu czy dwustu lat znowu będzie można mieszkać na Ziemi.

Będziemy mogli ją zaludnić. Mam wszystko, czego potrzeba. I nie przejmuj się tak bardzo.

Mam zamiar stosować zasadę wtrącania się w tak małym stopniu, jak to tylko możliwe. Nie chcę być Bogiem-działaczem. Będę natomiast konserwatorem ludzkiej i tytanijskiej rasy oraz wielu innych. Trzeba będzie dokonać kilku trudnych wyborów.

—  
Czyli dokładnie to, czego ja chcę uniknąć.

—  
Nie wracajmy już do tego. Posłuchaj... - Gaby raz jeszcze pochyliła się do przodu.

- Dałaś mi swoją odpowiedź i ja ją akceptuję... na razie. Ale przemyśl to jeszcze. Obydwie wiemy, że ta praca doprowadziła Gaję do totalnego szaleństwa. Jestem jednak pewna, że to trwało bardzo długo. Tysiące lat. Myszę, że będę dobra przez jakieś osiem czy dziewięć stuleci, zanim będzie mi potrzebny kaftan bezpieczeństwa. Czy to brzmi rozsądnie?

—  
Chyba tak. Nawet bardzo. Gaby, może ty wcale nie zwariujesz, wcale nie chciałam dać ci do zrozumienia, że moim zdaniem...

—  
Cicho. Nie mamy żadnych innych danych oprócz przykładu Gai, a nie można

rysować krzywej, znając tylko jeden punkt. Okay. Przyjmuję twoją decyzję niewchodzenia ze mną w spółkę w tym boskim interesie... Na razie. Ale za... dwa stulecia, czy będę mogła cię znowu zapytać?

Ciocco nie odpowiadała przez dłuższy czas. Kiedy w końcu przemówiła, ostrożnie  
wazyła słowa:

—  
Najpierw odpowiedz na kilka pytań.

—  
Pytaj, o co tylko chcesz.

—  
Jak myślisz, jak długo będę żyła?

—  
Regularnie odwiedzając fontannę... spokojnie jakieś pięć czy sześć wieków. Może  
dłużej.

—  
Ale nie jestem nieśmiertelna?

—  
Nie ma takiej choroby, która mogłaby cię zabić. Jesteś twardsza i szybsza niż  
normalny człowiek. Ale żeby żyć, musisz bardzo uważać, tak jak to zawsze robiłaś.

—  
Nie będę miała żadnej ochrony specjalnej? Żadnego anioła stróża zagląającego mi  
przez ramię, zawsze gotowego pomóc?

Gaby potrząsnęła przecząco głową.

- Będę się trzymać z dala od twoich spraw. Nie będę cię obserwować. Jeśli dostaniesz w łeb, to

będzie to wyłącznie twoja zasługa. A jeśli umrzesz, pozostaniesz martwa.

Ciocco dostrzegła tęsknotę w jej oczach. Wiedziała, jak bardzo Gaby tego potrzebuje.

I co ją to w końcu kosztuje?

- Proszę, Ciocco, nie chcę cię błagać... ale po prostu mam uczucie, że może sposób na pokonanie tego zjawiska, które zniszczyło Gaję... tej, jak mi się zdaje, śmiertelnej nudy polega na obecności tu w górze dwóch osób, które będą się wspierać w ucziwości.

Ciocco wyciągnęła rękę.

- Umowa stoi. Zobaczymy się za dwa stulecia... Jeśli będę żyła tak długo.

Gaby spojrzała na nią z ukosa. Chrząknęła.

—

Nie masz chyba zamiaru się... zabić ani czegoś w tym rodzaju, prawda?

—

Przysięgam, że nie. - Uśmiechnęła się. - Ale nie mam też zamiaru być tak ostrożna

jak dotychczas. Mam zamiar trochę ryzykować. I kto wie, do diabła? Jeśli będę teraz żyła tylko dla siebie... - Ale tu musiała urwać. Nie należało kończyć tej myśli w obecności Gaby.

Jeśli będę żyła tylko dla siebie... może uda mi się znaleźć kogoś, z kim będę mogła żyć. Jest wiele sposobów na skorzystanie z szansy. Robin zaryzykowała z Conalem.

Podejmowanie ryzyka...

Ciocco stała na opadającej górnej krawędzi szprychy Dio-ne. Szprycha jarzyła się

pod nią na całej swej nieprawdopodobnej długości, sześćset kilometrów, do samej ziemi. W

łagodnie zwiększającej się grawitacji Gai do dna była prawie godzina. Jeden obrót koła, bo powietrze we wnętrzu szprychy stopniowo przyspieszało ruch ciała spadającego po krzywej trajektorii.

Ciocco zaczęła biec.

W piąście czuła się niezręcznie. Jej stopy nie miały najlepszego zaczepienia.

Wiedziała jednak, jak to zrobić, i po kilku ogromnych podskokach poruszała się sporymi susami po opadającym boku szprychy. Kiedy osiągnęła dostateczną prędkość, skoczyła.

Frunęła bez skrzydeł w głąb długiej, ciemnej studni. Podejmowała ryzyko.

Nie po raz pierwszy spadała w głąb szprychy. Nawet nie pierwszy raz robiła to bez spadochronu. Po zabiciu pierwszego wcielenia Gai spadała przez Szprychę Rei tak migotliwą od błyskawic, że wydawało się prawie niemożliwe, aby mogła bezpiecznie dotrzeć do ziemi.

A jednak dotarła.

Robin została wrzucona do szprychy w czasach, kiedy Gaja robiła głupie kawały wszystkim swoim gościom. Uratował ją anioł. Cirocco będzie przelatywała obok gniazd najwyższych. Może któryś z nich ją uratuje.

Chris także wpadł do szprychy. Wylądował na grzbiecie miękkolota. Może będzie miała rdwnie wielkie szczęście i wyląduje na miękkolocie.

Może też wpaść do Morosa. To by prawdopodobnie przeżyła.

Albo może nagle zacznie latać.

Dotąd zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.

Uśmiechnęła się i rozpostarła skrzydła.

stealth (ang. ukradkiem) - nazwa modelu odrzutowców bojowych niewykrywalnych dla radaru